

ZAPOMNIANA  
KSIĘGA

# WYS ŁAN NIK

PAULINA  
HENDEL



WYS  
ŁAM  
NIK







**Strażnik**



**Tropiciel**



**Łowca**



**Wysłannik**



PAULINA  
HENDEL  
WYS  
ŁAM  
NIK



 we  
need  
YA



Copyright © Paulina Hendel, 2020

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadząca: Milena Buszkiewicz

Marketing i promocja: Łukasz Chmara

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Pawłowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: FecitStudio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66553-05-7

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

**WE NEED YA**

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

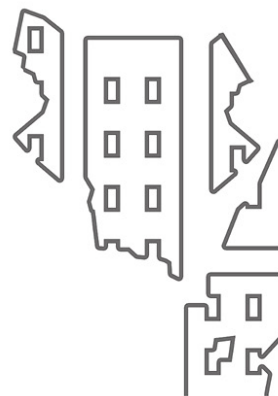
redakcja@weneedya.pl

www.weneedya.pl



*Mojej przyjaciółce Eli*





# Rozdział I

– Uciekaj!

Hubert Sierpień obejrzał się za siebie, ale nikogo nie dostrzegł. Huczące wokół płomienie rozświetlały bezgwiazdną noc, buchało od nich gorącem, czarny dym gryzł w gardło. Naraz ktoś wyskoczył z ognia niczym sam diabeł, wymachując ostrzem wykutym z kawałka blachy. Sierpień wycelował i nacisnął spust pepeszy, ale magazynek był już przecież pusty. W ostatniej sekundzie zerwał pasek z ramienia i uderzył przeciwnika kolbą w szczękę. Ten padł nieprzytomny na ziemię, a płomienie już zaczęły wspinać się po jego ciele. Hubert przeskoczył nad nim i popędził dalej. W pobliżu huknęło. Mimowolnie osłonił głowę, nie przerywając biegu. A więc mieli też granaty.

Po lewej ktoś wrzasnął rozdzierająco. Krzyk, przepiętny przerażeniem i bólem, zdawał się ciągnąć w nieskończoność, ale nagle zamarł, pozostawiając po sobie nienaturalną pustkę. Hubert miał nadzieję, że to był wróg. Stracił już zbyt wielu bliskich, żeby móc pogodzić się z kolejną śmiercią. Jak to się

stało, że się tutaj znalazł? Zupełnie sam w ogarniętym pożogą obcym mieście? Sam nie był tego pewien.

Nagle nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zahaczył butem o jakieś żelastwo i runął wprost na popękany beton pokryty gruzami. Skulił się, przetoczył przez ramię i wylądował na plecach. Nad nim rozciągało się niebo pomarańczowe od łuny ognia. Drobne iskierki pędziły w górę, żeby za chwilę tam zgasnąć.

Sierpień pozbierał się z ziemi i stanął wyprostowany. Nie czuł bólu, ale wiedział, że następnego dnia przyjdzie mu zapłacić obitymi kolanami, zdartą skórą i wyczerpanymi mięśniami. O ile w ogóle przeżyje. Powiódł wzrokiem dookoła. Miał wrażenie, jakby cały świat trawiła kolejna apokalipsa. Nie było stąd ucieczki. Otaczały go żar i zrujnowane budynki będące reliktem zamierzchłych czasów. A na granicy, niczym sępy żadne padliny, krążył wróg – ludzie oraz demony.

Nagle płomienie rozstąpiły się, tworząc wąską ścieżkę. Kroczyła nią ciemna, potężna postać, której ogień się nie imał. Biły od niej moc i władza. To był ktoś, kto żelazną ręką rządził setkami ludzi, porywał tłumy do walki za swoje przekonania i szedł przez życie, miażdżąc pod butami czaszki przeciwników oraz przyjaciół.

Hubert czuł, jak pot leje mu się po twarzy, wiedział, że niedługo pochłona go płomienie, że zginie w męczarniach zupełnie tak, jak niegdyś konali heretycy. Wszystko wokół stało się tak jasne, aż rozbolały go oczy. I jedyne, czego nie mógł dostrzec, to ukryta w mroku twarz niszczyciela. Zacisnął zdętwiałe pięści. Bez broni zdawały się takie puste. Strzelił spojrzeniem w bok. Pepesza leżała dwa metry dalej; musiał upuścić ją podczas upadku. Na cóż jednak mogła mu się zdać, skoro nie miał już amunicji?

– Nie pokonasz nas! – wrzasnął, unosząc wysoko czoło.

Nieprzyjaciel się roześmiał. Na ułamek sekundy płomienie za jego plecami wystrzeliły, tworząc kształt skrzydeł. Zaskoczony Hubert zamrugał, ale zniknęły.

Mężczyzna uniósł dłoń. Był zbyt daleko, żeby chociaż dotknąć chłopaka, jednak Sierpień poczuł uderzenie w splot słoneczny. Rozbłysnął w nim ból, a on sam poleciał na plecy, szykując się na bolesne zderzenie z gruzami, które nigdy nie nastąpiło.

– Jęczysz jak zarzynane prosię – usłyszał.

Poderwał się gwałtownie do pozycji siedzącej. Zatechły koc zsunął się z jego klatki piersiowej. Tuż obok znajdował się wojskowy but, którym przed chwilą dostał w brzuch. W okopconym kominku dopalał się ogień.

Hubert opuścił stopy na zimne kafelki i przeczesał palcami włosy. Kawalek dalej z zamkniętymi oczami leżał na materacu Ernest Brzeski.

– Nie udawaj, że śpisz – burknął Sierpień.

– Przy tobie nie da się spać – stwierdził przyjaciel, unosząc powieki.

Hubert strącił jego but na podłogę.

– Nie moja wina, że mam koszmary.

– Znowu Poznań?

Kumpel był jedyną osobą, której powiedział, co dręczy go nocami. Zresztą prawie co noc spali w jednym pomieszczeniu, więc nie dałby rady tego przed nim zataić, nawet gdyby bardzo chciał.

– Nie wiem – westchnął. – To chyba już nie był Poznań. Ale ten facet...

– Zrozumiałbym jeszcze, jakby ci się ładne dziewczyny śniły, ale ty po prostu masz obsesję na punkcie jakiegoś kolesia.

– Głupi jesteś – warknął Hubert.

Wstał z wersalki do wtóru głośnego skrzypnięcia starych sprężyn, zarzucił na plecy bluzę mundurową, a przez ramię przewiesił karabin.

– Zaraz wracam.

Kumpel bez słowa odwrócił się na drugi bok.

Na zewnątrz panował nieprzyjemny chłód. Noce powoli stawały się coraz zimniejsze, a przecież dopiero zaczął się sierpień. Hubert ruszył przez wysoką, wilgotną od rosy trawę ku tyłom ogródka. Usłyszał ciche rzenie Mokki. Odruchowo podszedł do niej i pogłaskał ją po miękkich chrapach. Inka i Malibu, który pełnił funkcję luzaka, w międzyczasie zaczęli dobierać mu się do kieszeni, sprawdzając, czy nie ma tam czegoś do jedzenia. Świeże powietrze wywiało mu z głowy większość koszmaru, choć obraz wysokiego mężczyzny z ognistymi skrzydłami będzie go prześladował do rana za każdym razem, kiedy tylko zamknie oczy. Staął pod płotem i załatwił to, co miał do załatwienia.

Noc była jeszcze wczesna, ale on wcale nie miał ochoty spać. Ciągnęło go do domu, najchętniej już teraz wsiadłby na konia i popędził do Dąbrówki. W ostatnich tygodniach wciąż byli w podróży. Za każdym razem, kiedy opuszczał rodzinę, martwił się o nią, a do tego wszystkiego doszła jeszcze ciągła obawa o Izę, która wróciła do Święcina.

Hubert zatrzymał się na środku ogrodu i wsłuchał w odgłosy nocy, lecz wkrótce jego myśli pognały chaotycznie ku wspomnieniom z minionej wiosny. Z odmętów pamięci wyłoniła się wielka postać strzygonia, który niemalże zabił łowcę i jego przyjaciół. Demon ten kojarzył mu się niezmiennie z tym, co najgorsze – śmiercią Michała oraz upadkiem marzeń o odbudowie dawnego świata. Sierpień potrząsnął głową, a wizja potwora rozwiała się jak dym na wietrze. Znacznie lepiej było wspominać słowa sołtysa Święcina, który

przekonywał, że dzięki ich demonologii zdołają zjednoczyć wszystkie znane im osady.

Nagle spokojną, opuszczoną wsią wstrząsnął huk. Hubert odruchowo przypadł do ściany budynku i odbezpieczył karabin. Jednak strzały padły gdzieś daleko w lesie. Z pobliskiego drzewa zerwała się przestraszona sowa.

Wyszedł na drogę, gdy skrzypnęły otwierane drzwi od domu. Na progu stanął Ernest z bronią w rękach.

– Słabo czuję jakiegoś demona – rzucił Sierpień.

Brzeski skinął głową, po czym podał mu maczetę, którą Hubert wsunął za pasek. Razem w ciszy opuścili wieś.

Nie mieli pojęcia, kto ani dlaczego strzelał. Znali jednak wszystkich ludzi mieszkających w promieniu stu kilometrów i istniała spora szansa, że to właśnie ktoś z nich potrzebował pomocy. A jeśli miał okazać się obcym, to zawsze warto wiedzieć, kto i w jakim celu kręci się po okolicy.

Kolejne dwa wystrzały pozwoliły im skorygować kierunek na rozstaju. Wkrótce rozdzielili się i każdy ruszył lasem wzdłuż drogi.

Hubert setki razy już skradał się do innych ludzi czy zwierzyny na polowaniu, a noc była wyjątkowo jasna, więc pewnie stawiał kolejne kroki na ściółce leśnej. Czasem tylko suchy liść zaszeleścił pod jego butem. Im bardziej oddalał się od wsi, tym wyraźniejszy stawał się zapach demona. Stwór był przestraszony i głodny, a to nigdy nie jest dobrym połączeniem.

Sierpień zatrzymał się przy grubym pniu sosny i rozejrzał wokół. Nie dostrzegł nic podejznanego. Ale Ernesta skradającego się po drugiej stronie asfaltu również nie widział, więc to nic nie znaczyło. Korony drzew poruszyły się nieznacznie, szumiąc cicho. Wtem owionął go delikatny, obcy zapach. Usłyszał trzask odciąganego zamka w pistolecie,

jednak było już za późno na jakąkolwiek inną reakcję niż zachowanie spokoju.

– Nawet nie drgnij. – Głos był zdecydowanie kobiecy, celowo modulowany na niższy niż w rzeczywistości.

*Szkoda, że ludzi nie wyczuwam tak skutecznie jak demonów*  
– pomyślał z pewnym żalem Hubert.

– Nie lepiej celować w demona niż drugiego człowieka? – zagadnął lekko. – Nie zabiłaś jeszcze tego wija.

Dziewczyna sapnęła cicho.

– Przyszedłem ci pomóc, ale jak chcesz, zostawię cię w spokoju. – Powoli odwrócił się w jej stronę.

– Mówiłam: nie rusz się!

W ciemnościach dostrzegł bladą twarz, jasne, związane włosy, ciemny zarys szczupłej sylwetki i lufę starego policyjnego pistoletu P-83.

– Jesteś sama w nocy, w lesie – zaczął wymieniać. – A tuż obok czai się wija. No i nie masz już amunicji.

Z tym ostatnim to tak naprawdę zgadywał. P-83 miał wyłącznie osiem naboji, a Hubert do tej pory usłyszał tylko cztery strzały, ale dziewczyna niepewnie przestąpiła z nogi na nogę i lekko opuściła pistolet, co było dla niego wystarczającą odpowiedzią.

– Odłóż broń. – Zza pobliskiego drzewa bezgłośnie wychyliła się potężna sylwetka Ernesta. Sierpień zawsze podziwiał kumpla, że pomimo swoich rozmiarów potrafi być aż tak cichy.

Przeciwniczka zamarła, a Hubert wykorzystał tę chwilę, żeby odebrać jej pistolet, który zabezpieczył i wsunął z tyłu za pasek.

– Nic ci nie zrobimy, tylko najpierw trzeba... – zaczął, gdy usłyszał szelest. Z ciemności wystrzelił trójkątny gadzi łeb.

Demon rzucił się na dopiero co rozbrojoną dziewczynę. Był zbyt szybki, żeby miała choćby szansę przed nim uskokoczyć.

Wybił się i uderzył ją prosto w brzuch. Poleciała do tyłu i z głuchym stęknieniem wylądowała na plecach. Wij potężną łapą przycisnął jej ramię do ziemi i rozwarł szeroką paszczę, gotów do rozszarpania swojej ofiary. Jego długi ogon wił się na wszystkie strony, wzbijając w powietrze fontannę suchych liści.

Hubert doskonale wiedział, że jakakolwiek próba zastrzelenia go skończyłaby się podziurawieniem zarówno stwora, jak i dziewczyny. Złapał więc swój karabin za lufę, wziął zamach i uderzył w wielki łeb, aż trzasnęło. Miał tylko nadzieję, że to kości czaszki, a nie jego broń.

Demon na chwilę stracił orientację. Dziewczyna, krzycząc głośno, usiłowała go z siebie zrzucić, jednak był zbyt ciężki. Ernestowi udało się pochwycić bijący na boki ogon i nim szarpnąć. Niestety wij nie zamierzał tak łatwo zrezygnować ze swojej ofiary. Jedną łapę owinał wokół jej lewego uda, drugą wbił w ziemię. Dziewczyna kopała go prawą nogą, próbując się uwolnić. Ernest zapał się mocno, nie wypuszczając końcówki ogona z obu rąk.

Hubert odrzucił karabin i wyjął zza paska maczetę. Wziął zamach, wycelował i opuścił ostrze wprost na łapę wbitą w ziemię. Z gardła wija dobył się głośny skrzek. Sierpień chciał poprawić cięcie i odrąbać kończynę, która trzymała się już tylko na kawałku mięśni i skóry, jednak demon zwolnił chwyt i puścił udo niedoszłej ofiary.

Maczeta opadła w pustkę, po czym wbiła się w ziemię. Dziewczyna kopnęła gadzi pysk, odsuwając się jak najdalej od niego. Ernest zaś, który wciąż trzymał ogon, poleciał prosto w gęste maliny.

Łowca miał nadzieję, że ranny demon odpuści. Mimo to potwór zdawał się jeszcze bardziej rozjuszony. Zwrócił ślepią w stronę Brzeskiego, który wyplątywał się z kłujących krzewów, po czym opierając się na zdrowej łapie i krwawiącym

kikucie, ruszył wprost na niego. Ernest sięgnął po leżącą obok broń, lecz nie zdążył wycelować, kiedy wij na niego wpadł. Chłopak zasłonił się karabinem, blokując paszczę demona.

Hubert upuścił maczetę, sięgnął po nóż i doskoczył do szarpiącego się potwora. Oparł lewą dłoń o grube cielsko, a następnie wbił ostrze u podstawy czaszki, sięgając mózgu. Długi ogon uderzył jeszcze kilka razy w ziemię, paszcza zamknęła się ze zgrzytem na karabinie, po czym powoli rozwarła, a wij opadł na Ernesta.

Sierpień pochylił się, chcąc odzyskać nóż, kiedy poczuł nagłe szarpnięcie. To dziewczyna, o której zdążył już zapomnieć, wyrwała zza jego paska pistolet. Nie zdążył nawet zakląć, kiedy usłyszał strzał, a tuż po nim następny.

Odwrócił się z niepewną miną i ujrzał wijącego się w konwulsjach kolejnego demona. Z niejaką ulgą, że to nie do niego strzelała, schylił się po maczetę i dobił stwora. W międzyczasie Ernest zepchnął z siebie tłuste cielsko i stanął u boku kumpla. Nastąpiła chwila nienaturalnej ciszy, lecz w ich uszach rozbrzmiewało jeszcze echo wystrzałów.

– Hm – odezwał się Hubert. – Czyli jednak miałaś jeszcze amunicję.

– Zawsze byłeś dupa z matematyki – stwierdził Ernest.

Dziewczyna wciąż mierzyła ich podejrzliwym wzrokiem. W końcu najwyraźniej podjęła decyzję, co robić dalej.

– Maja jestem – powiedziała.

– Hubert i Ernest. – Sierpień wyciągnął w jej stronę rękę, ale ją zignorowała.

– Zatrzymaliśmy się w pobliskiej wsi – dodał Brzeski. – A ty? Jesteś sama? Ktoś ci towarzyszy?

Dziewczyna się zawahała. W tych czasach trudno było zaufać obcym, a jednocześnie ludzie częstokroć okazywali

sobie nawzajem znacznie więcej życzliwości i pomocy niż przed ostatnią wojną.

– Jestem sama.

Musiała ich uznać za porządnych ludzi i postanowiła być szczerą.

– To zapraszamy do nas – powiedział Ernest. – Znajdzie się coś do zjedzenia i wypicia.

Maja skinęła głową. W pobliskich krzakach odszukała plecak, który musiała porzucić przed atakiem wjów, i pozwoliła się poprowadzić ku opuszczonej wsi. W pewnej chwili Hubert usłyszał za nimi jakiś szelest. Przystanął, nasłuchując, ale nie wyczuwał już żadnego demona.

– Co jest? – Ernest zatrzymał się kilka kroków dalej.

– Wydawało mi się. – Sierpień machnął ręką. Pewnie jakieś zwierzę wylazło z ukrycia po tym, jak zabili wije.

Pół godziny później siedzieli w nieco zatęchłym salonie. W kominku palił się ogień, a nad nim wisiał garnek z wodą. Maja właśnie znacząco uszczuplała resztkę zapasów, które zostały im na koniec podróży. Sama w opuszczonym świecie po wojnie, daleko od zamieszkałych osad, z niewielkim plecakiem jako całym dobytkiem... Diabli wiedzą, kiedy ostatni raz jadła coś pożywnego.

– Skąd jesteś? – zagadnął Hubert, z niejakim żalem patrząc na ostatni kęs suszonej wołowiny, który zniknął w drobnych ustach.

Ernest zdjął z ognia garnek z wrzącą wodą, wrzucił do środka garstkę suszonych ziół, które zapakowała im Zuza, a po chwili napełnił naparem trzy kubki.

– My mieszkamy w Dąbrówce, dwa dni drogi na północny wschód – wyjaśnił, podając napój gościowi.

Maja podziękowała skinieniem głowy i przez chwilę wpatrywała się w parującą herbatę.

– Jestem sama – powtórzyła, a w tych dwóch słowach zawarła cały ogrom cierpienia i strachu, jakiego musiała doświadczyć. W obecnych czasach samotność była bardzo niebezpieczna i częstokroć kończyła się śmiercią. Hubert i Ernest wiele razy już podróżowali w pojedynkę. Zawsze jednak wiedzieli, że mają bezpieczny dom, do którego mogą wrócić na zimę, albo przyjazną osadę, w której miejscowi zapewnią im opiekę podczas choroby czy zwykłego zmęczenia.

– Jeżeli chcesz, możesz jechać z nami do Dąbrówki – zaproponował Sierpień. Zbyt dobrze pamiętał, jak ponad rok wcześniej trafił ranny do Świącina i wydawało mu się, że jest zupełnie sam na świecie. To było paskudne uczucie. – Zatrzymać się tam choć na kilka dni. A jak nie tam, to w okolicy jest kilka normalnych wsi, które przyjmą do siebie młodego człowieka niebojącego się ciężkiej pracy.

– Dzięki – rzuciła, nie odrywając spojrzenia od kubka.

Do wschodu słońca pozostało zbyt mało czasu, żeby kłaść się spać, dlatego gdy tylko wypili herbatę, spakowali się i ruszyli w drogę. Maja dosiadła luzaka, który w tę stronę nie niósł już żadnego bagażu.

Zapowiadał się kolejny ciepły dzień. Zresztą lato tego roku było bardzo łaskawe – słoneczne i z wystarczającą ilością deszczu, żeby wszystko pięknie rosło. Plony zebrane do tej pory w Dąbrówce były najobfitszymi od wojny. Zupełnie jakby nawet natura poparła pomysł urządzenia wiecu.

– Skąd jedziecie? – zagadnęła podczas drogi Maja. Gdy wstało słońce, odzyskała dobry humor. Okazało się też, że była nieco starsza, niż na początku podejrzewał Hubert. Przypuszczał, że mogła mieć około dwudziestu lat. Była też trochę wychudzona, pewnie długo błąkała się po lasach, ale przy każdym jej ruchu pod opaloną skórą grały mięśnie.

– Z Duszników – wyjaśnił Ernest. – Całkiem spora wioska kilka dni na południowy zachód.

– To wywiało was daleko od domu.

– Interesy. – Hubert wzruszył ramionami.

Niezbyt mile wspominał tę wizytę. Owszem, pani Ciesielska, była matematyczka, ucieszyła się na ich widok, ale wójt wsi i pozostali mieszkańcy już niekoniecznie. Najchętniej pogoniliby ich widłami, zanim przyjezdni zdążyli im wytłumaczyć, z jakich powodów zawitali do Duszników.



Hubert chłonał wzrokiem znajome widoki. Uznał, że chyba nigdy go nie znużą. Kochał ten stary las otaczający Dąbrówkę, pola falującego złota, nawet niesiony wiatrem od gospodarstw zapach obornika. Im częściej i na dłużej stąd wybywał, tym bardziej cieszył się na powrót.

– Robi wrażenie, co? – zagadnął Maję wpatrującą się w pobielającą od słońca czaszkę wiszącą na płocie przy wjeździe do wsi.

Dziewczyna skinęła głową.

– Imponująca.

– Ten bies zakradał się zimą do gospodarstw. Pożerał bydło, zamordował jednego człowieka, młodego chłopaka ranił... Jego mama – Sierpień wskazał brodą Ernesta – zabiła go sama, uzbrojona zaledwie w dzidę.

– Jeżeli wzrost odziedziczył po mamie, to wcale mnie to nie dziwi. – Maja się uśmiechnęła.

Na spotkanie wybiegł im Blues, pies, którym zaopiekowały się Sylwia i Ada. Duży, bury wilczur z radością obszczał

przybyłych; urażona Mokka prychnęła na niego i tupnęła kopytem, wesóły burek zaś pobiegł gdzieś dalej z wywalonym ozorem.

Emil Górski stanął na progu domu i pomachał im na powitanie.

– Wreszcie wróciły te obiboki – zażartował, nie odrywając wzroku od Mai.

– Nie tak powinno się zwracać do posłów! – oburzył się Hubert.

– Z ciebie taki poseł jak z koziej dupy trąba – usłyszeli.

To Albert szedł ku nim drogą. W kościstej ręce trzymał hak, na którym wisiało kilka dorodnych węgorków. Dziadek Brzeski został okrzyknięty we wsi mistrzem wędzenia i od tej pory nad jego małą przydomową wędzarnią prawie bez przerwy unosił się dym.

– Nowa znajda? – zagadnął, zerkając na Maję.

Dziewczyna odpowiedziała mu urażonym spojrzeniem. Potrzeba było czasu, żeby przyzwyczać się do sposobu bycia oraz tekstów Alberta. Ona zdecydowanie nie była jeszcze na nie gotowa, jak ocenił w duchu Sierpień.

Bagaze zrzucili na środku podwórka, zadbali o konie i puścili je luzem na pastwisku. Z ogródka warzywnego wyszła Natalia, wyściskała swojego prawdziwego i przyszywanego syna, po czym to samo zrobiła z Mają. Pani Brzeska również bardzo dobrze pamiętała, jak to jest podróżować samotnie.

– Chodźcie do domu, mam cały gar zupy z wczoraj, a jak znam życie, to jesteście potwornie głodni – powiedziała.

Ernest zamiast obiadu wołał jednak iść przywitać się z Sylwią. Hubert nie ubolewał nad tym, uznając, że to jemu w takim razie przypadnie większa porcja, a trzeba przyznać, że odkąd Natalia zamieszkała z rodziną i przejęła obowiązki kuchenne, obiady stały się o wiele smaczniejsze.

– Co działo się w domu? – zagadnął Sierpień podczas jedzenia.

– Nic szczególnego. – Natalia wzruszyła ramionami.

– Jakież wiadomości ze Świącina? – zapytał bez większych nadziei.

Kobieta pokręciła głową. Zresztą nikt i tak nie spodziewał się gości z południa wcześniej niż za kilka dni. Hubert doskonale wiedział, że Izabela Kościuszko potrafi poradzić sobie w nawet bardzo niebezpiecznych sytuacjach, ale poczucie strachu o nią nie opuszczało go ani na chwilę. Zerknął tęsknie za okno. Ernest miał szczęście, że jego dziewczyna mieszkała w tej samej wsi, co on.

– Musisz robić to w domu?! – wybuchnęła Natalia, kiedy Albert zabrał się do patroszenia węgorki. – Tylko nasyfisz!

– Zawsze robię to w domu – obruszył się staruszek.

– Szczególnie jak się boisz, że ominą cię jakieś plotki.

– Co prawda, to prawda – przyznał bez cienia zażenowania. – To mów, chłopaku, co tam w tych Dusznikach wyszło.

– Nie byli zachwyceni na nasz widok...

– A dziwisz im się? – Do kuchni wmaszerował Ernest, tuż za nim dreptała Sylwia. – Po naszej ostatniej wizycie demony naprawdę nie dawały im spokoju. Zabiły dwóch ludzi, kilkoro raniły, doszło do tego, że przez bardzo długi czas bali się wyściubiać nos z osady.

– A nie mówiłem, że wypuszczenie tych wszystkich demonów odbije się wam jeszcze czkawką? – Albert wycelował zakrwawiony nóż w Huberta.

– Nic takiego nie mówiłeś! – oburzył się młody Brzeski.

Sierpień zerknął na Maję, która znieruchomiała z pełną łyżką w połowie drogi do ust i przysłuchiwała się im w zaciekawieniu.

– Rok temu kręcący się po okolicy żołnierze porwali siostrę Ernesta – wyjaśnił pokrótce. – Żeby ją odbić, musieliśmy wypuścić z klatek wszystkie demony, które tam kolekcjonowali.

Dziewczyna z niedowierzaniem pokręciła głową.

– No i te same demony tudzież kilkoro dezertków gnębiło pobliską wieś, więc teraz nie mamy tam wielu przyjaciół – dodał Ernest.

– No ale przyjadą czy nie przyjadą? – dopytywał Albert.

– Nie byli zbyt chętni, ale obiecali kogoś przysłać.

Staruszek z zadowoleniem pokiwał głową.

To, co jeszcze kilka miesięcy temu zdawało się zaledwie nierealnym marzeniem, powoli stawało się rzeczywistością. Wiec odbędzie się już za tydzień. Przyjadą na niego wysłannicy wszystkich znanych Hubertowi osad, a także, jak mieli nadzieję, kilku tych zaprzyjaźnionych ze Święcinem.

Dwóch łowców demonów stało się przedstawicielami idei nowego świata, w którym ludzie na powrót zaczynają ze sobą współpracować, handlują na większą skalę, wymieniają się pomysłami, a może nawet specjalistami takimi jak lekarze, dentyści czy kowale. Atutem mieszkańców Dąbrówki była nowa demonologia. Każda miejscowość, która przyśle kogoś na wiec, miała dostać książkę o wszystkich istotach, które znali Hubert i Ernest, o ich zwyczajach i o tym, jak sobie z nimi radzić. Sołtys Święcina, Marian Kościuszko, miał rację: dla niej ludzie byli gotowi opuścić bezpieczne wsie i wyjechać znacznie dalej niż kiedykolwiek od czasu wojny.

W ciągu ostatnich kilkunastu tygodni dwaj przyjaciele odwiedzili wiele osad, przeprowadzili mnóstwo rozmów i udało im się namówić wszystkich, aby przybyli na wiec w pobliże Dąbrówki. Czas ich naglił, więc już wczesną wiosną rozdzielili

się z Izą i Henrykiem, żeby dwójka święcinian przeprowadziła podobną akcję wśród swoich znajomych.

Nagle łyżka z brzękiem uderzyła o talerz, a zupa rozprysnęła się po stole. Do kuchni wmaszerował dostojnym krokiem Klakier. Zmierzył czerwonymi ślepiami wszystkich zebranych przy stole, po czym wskoczył na blat koło zlewu.

– Poszedł won! – Albert zepchnął go, kiedy ten spróbował dobrać się do węgorki w misce.

Kot wylądował miękko na podłodze i prychnął ze złością; biło od niego nienaturalnym ciepłem. Zawsze gdy poczuł się urażony, podnosił temperaturę ciała. Hubert nieraz się zastanawiał, czy mógłby stać się tak gorący, by zaproszyć wokół siebie ogień. Pewnego dnia wpadł nawet na pomysł, żeby posadzić go na małym stosie drewna i nadepnąć mu na ogon – może byłby skuteczniejszy niż krzesiwo. Zuza Brzeska jednak skutecznie wybiła mu to z głowy.

– Czy to jest...? – odezwała się Maja, kiedy wreszcie przestała krztusić się zupą.

– Tak, demon, ale domowy – zapewnił Ernest.

– Aha... – Na wszelki wypadek odsunęła krzesło od rozzłoszczonego owinnika.

Chwilę po kocie do kuchni weszła Zuza. Z radością rzuciła się w ramiona brata oraz Huberta; Maję zmierzyła co najmniej podejrzliwym spojrzeniem.

Albert skończył właśnie patroszyć węgorki, po czym je zasolił. Teraz używał znacznie mniej soli niż kiedyś. Praktycznie wszystkie okoliczne sklepy i domy już dawno temu zostały z niej ogołoczone. A żeby zdobyć nowe zapasy, trzeba było zapuszczać się coraz dalej. I nawet nie chodziło tu o walory smakowe – sól jako naturalny konserwant była bardzo przydatna, a wręcz niezbędna w każdym

gospodarstwie, które od kilku już lat musiało się obyć bez lodówki.

Całe popołudnie minęło pod znakiem witania się z bliskimi. Bianka i Hans nie mogli wręcz oderwać się od swoich przyszywanych braci i jedno przez drugie opowiadali im, co działo się w osadzie podczas ich nieobecności. Ojciec Huberta, niezbyt wylewny w takich chwilach, po prostu pochwalił się synowi nowymi egzemplarzami demonologii, które udało mu się ukończyć. A pracował przy nich niemal bez przerwy, żeby wyrobić się na czas. Dobrze, że chociaż przy składaniu stron i zszywaniu grzbietów pomagała mu Dorota Borowska.

Wieczorem zaś odbyło się zebranie w świetlicy wiejskiej, na które przyszedli wszyscy pełnoletni mieszkańcy. Natalia zaproponowała Mai, żeby dziewczyna wzięła kąpiel, położyła się spać i wypoczęła, ale ta poprosiła o zgodę na uczestnictwo w spotkaniu.

– A daj spokój, dziewczyno. – Albert machnął ręką. – Nic ciekawego się tam nie będzie działo. Stare dziadki tylko będą pierniczyć o głupotach. Lepiej się porządnie wyśpij!

– Trochę dziwne, że tak jej zależało na tym, żeby tu przyjść – stwierdził Hubert, siadając okrakiem na krześle w świetlicy.

– Pewnie chciała zobaczyć wszystkich mieszkańców. – Ernest wzruszył ramionami. – Ty też byś się na coś takiego pchał, a potem narzekał, jakie to nudne.

Sierpień w duchu przyznał mu rację.

Podczas zebrania przyjaciele opowiedzieli o swojej wizycie w Dusznikach, ostatecznie podliczono, ilu gości się spodziewają, przydzielono ostatecznie obowiązki. Wiec przedstawiciele miejscowości rozsianych na północy Polski miał być pierwszą tego typu imprezą na taką skalę po ostatniej wojnie, co nastęrczało wielu problemów organizacyjnych. Poza tym mieszkańcy Dąbrówki planowali

pokazać się z jak najlepszej strony i odegrać rolę wspaniałych gospodarzy. A ręk do pracy wcale nie było tak dużo.



Już następnego dnia Hubert i Ernest wyjechali do Piaseczna pomóc w przygotowaniach.

– Odwaliliście tu kawał dobrej roboty – ocenił Sierpień, spacerując po opuszczonej wsi.

Kajetan z zapałem pokiwał głową. Czasem Hubert nie mógł się nadziwić, jak bardzo chłopak wydorósł, odkąd pierwszy raz spotkali się w zrujnowanym Gdańsku. Wydarzenia na Górze Gradowej oraz pospieszna ucieczka ze Starego Miasta zaatakowanego przez wroga odcisnęły na nim swoje piętno.

– Pracowaliśmy dniami i nocami – powiedział. – Choć nadal nie rozumiem, dlaczego to wszystko nie mogło się odbyć w Dąbrówce. Byłoby łatwiej i wygodniej...

– Przecież już ci mówiliśmy, że to musiał być neutralny grunt – odparł Ernest. – Najbliższe osady nas znają i nam ufają, ale te dalsze już niekoniecznie. Jestem pewien, że niektórzy nawet obawiają się zamachu stanu.

– Bez przesady, mamy wystarczająco dużo roboty we własnej wsi, po cholere nam kolejne? – stwierdził Kajetan.

– No i w razie jakiegokolwiek incydentu Dąbrówka będzie bezpieczna – dodał niezrażony Hubert.

Wybór Piaseczna był dość trudną decyzją, poprzedzoną wieloma dyskusjami, a nawet kłótniami. Miejsce spotkania musiało być ulokowane dość blisko Dąbrówki, mieć dużą salę odpowiednią na wiec, w razie niepogody, i wystarczającą liczbę domów w dobrym stanie, aby ulokować w nich gości.

Z początku szukano wsi opuszczonych od razu po ostatniej wojnie, ale większość z nich była zbyt zrujnowana.

– A Piaseczno? – zapytał Albert podczas jednego ze spotkań w świetlicy wiejskiej. – Po zamachu wszystkie budynki zabezpieczyliśmy, są w dobrym stanie, no i jest tam ten... ten dom...

– Dom Hadama? – podpowiedział Hubert.

– No właśnie! – Staruszek uderzył dłonią w stół.

Na sali zapadła cisza. Wszyscy spoglądali na siebie z niepewnymi minami.

– Dziadku, ja nie wiem, czy to dobry pomysł – odezwał się cicho Ernest.

Hubert odszukał wzrokiem Martynę, kowalę; pochodziła z Piaseczna i tak jak zaledwie garstka innych osób cudem uniknęła śmierci, kiedy banda dezertersów napadła na jej osadę poprzedniej jesieni. Zrobiła się teraz nienaturalnie blada i wyglądała, jakby połknęła wielką kłuchę.

Jej babcia podniosła się z miejsca i skinęła głową.

– Albert ma rację. Po co szukać opuszczonej osady w dobrym stanie, jeśli mamy taką pod samym nosem? Dziesiątego sierpnia nastąpi historyczny dzień. Będę zaszczycona, jeśli moja rodzinna wieś posłuży nam jako pierwsze miejsce na wiec.

Przetarła lekko zaszklone oczy i już chciała usiąść, kiedy ponownie się wyprostowała.

– A jeśli ktoś z byłych mieszkańców Piaseczna będzie miał coś przeciwko temu, wyślijcie go do mnie. Już ja sobie z nim porozmawiam.

Martyna z czułością poklepała ją po dłoni, a atmosfera w sali się rozluźniła.

Od tygodnia zatem mała grupka mieszkańców Dąbrówki pracowała w pocie czoła, aby przygotować Piaseczno na

wielkie wydarzenie. Trzeba było uprzątnąć drogi, aby były przejezdne, ogarnąć budynki gościnne, dom Hadama, a nawet stajnię.

– A demony? – zapytał Hubert, wracając myślą do tu i teraz.

– Były jakieś incydenty?

– Pięć dni temu coś tam wyło w lesie, ale nadal się kłócimy, co to mogło być, zwierzę czy demon.

– Głupio by było, jakby coś zaatakowało podczas wiecu – stwierdził Ernest.

– Mamy na stanie najlepszy radar i najlepszego łowcę demonów w kraju, nie ma więc obaw... – zapewnił Kajetan.

– Już mówiłem, że Zuzy tu nie będzie...

Hubert roześmiał się i poklepał kumpla po łopacie.

– Jakby ona cię jeszcze słuchała. Jeśli będzie chciała, to przyjedzie. A ty zachowaj resztki godności i nie baw się w odpowiedzialnego starszego braciszka, który jest ignorowany na każdym kroku.

Ernest sapnął gniewnie, ale musiał zdawać sobie sprawę, że nie miał już na siostrę takiego wpływu, jakiego by sobie życzył.

– A tak na poważnie – odezwał się po chwili Hubert. – Może to brzmi trochę górnolotnie, ale tak jak mówiła babcia Martyny, będziemy tworzyć historię. Nie chcemy, żeby podczas takiego wydarzenia nastąpił zmasowany atak demonów, a ja poczuje się znacznie lepiej, jeśli granic osady będzie pilnowała Zuza.

Przyjaciel mruknął tylko coś niezrozumiałego pod nosem. Chwilę później szturchnął Sierpnia po żebrach, wskazując smużkę dymu wznoszącą się nad kuźnią.

– Patrz.

– Pójdę z nią pogadać – westchnął Hubert i skierował się do niskiego budynku na obrzeżach wsi.

Drzwi skrzypnęły cicho, ze środka powiało przyjemnym ciepłem. Na palenisku płonął niewielki ogień. Martyna siedziała ze zwieszoną głową w kącie na starym pniaku, na którym kiedyś stało kowadło. Po przeprowadzce jej dawna kuźnia została praktycznie ogołocona, nie było sensu zostawiać tu jakichkolwiek sprzętów.

– Znowu dali ci coś do roboty? – zagadnął Sierpień.

– Nie, tylko... jakoś tak...

W końcu wzruszyła ramionami i podrzuciła lekko młotek, najwyraźniej zabrany z Dąbrówki. Miała wielkie dłonie i żyłaste ramiona, a Hubert na własne oczy widział, z jaką lekkością przenosiła swoje kowadło. Nigdy nawet nie chciał spróbować siłować się z nią na rękę. Bał się, że mógłby przegrać.

– Jeżeli chcesz, możemy oddelegować do pracy w Piasecznie kogoś innego – zaproponował.

– Nie. – Stanowczo pokręciła głową. – Jakoś tak wzięło mnie na wspominki. Zaraz się ogarnę. Poza tym powinien być tu ktoś miejscowy.

Hubert nie naciskał. Nawet nie wyobrażał sobie, co mógłby czuć, gdyby ktoś wymordował prawie wszystkich mieszkańców Dąbrówki.

– Węgiel – usłyszał.

– Co?

– Mieliście rozejrzeć się za węglem po drodze do tych Duszników.

Przejechał dłonią po krótko ostrzyżonych włosach.

– Znaleźliśmy jedną taką piwnicę, było tam może z pół tony. Ale to kawał drogi. Przywieźliśmy ci jeden worek...

Martyna przeszła go spojrzeniem, więc zamilkł.

– Hubert. – Wycelowała w niego młotek. – Jeżeli nie będę miała węgla, to ty zostaniesz naszym kowalem i zobaczymy,

jak ci pójdzie kucie na drewnie.

– No ja wiem, ale była też sól i znaleźliśmy dwie bele bawełny  
– zaczął się tłumaczyć.

Za każdym razem, gdy gdzieś wyjeżdżali z Ernestem, wszyscy robili wielką listę surowców i przedmiotów brakujących w osadzie. Każdy uważał, że jego potrzeby są najważniejsze. I do nikogo nie docierało, że miejsce na wozie jest ograniczone, a jeśli jedzie się tylko z jednym luzakiem, to jest jeszcze gorzej. A później Hubert musiał się grubo tłumaczyć, dlaczego nie przywiózł tego, co mu kazano. Czasem miał wrażenie, że są wraz z Ernestem niedoceniani, a ich wyprawy traktuje się jak zwykle wycieczki.

– Trzeba będzie wyczyścić komin w domu Hadama – odezwała się Martyna, wygaszając palenisko.

– Jak znajdziesz mi sprzęt, to mogę się tym zająć – obiecał, żeby ją udobruchać.



Wieczór nastał bardzo szybko. Świat spowiła szarówka, kiedy Hubert w samych bokserkach wyskoczył z parującego jeziora, wziął ubrania pod pachę i truchtem wrócił do wsi. W kominku w domu Hadama płonął ogień, a na ruszcie leżało kilka kawałków soczystego mięsa, które pachniały tak apetycznie, że chłopakowi od razu zaczęło burczeć w brzuchu.

– Nie domyłeś się – skwitował Ernest, kiedy jego przyjaciel pospiesznie się ubierał.

Hubert spojrzał na swoje ramiona i dłonie poznaczone czarnymi smugami pozostałymi po czyszczeniu komina.

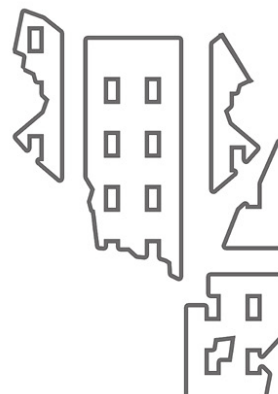
– Jak jest ciemno, to nie widać. – Machnął ręką. Rozsiadł się na krześle i wyciągnął przed siebie nogi.

Kajetan przewrócił piekące się mięso na drugą stronę, Agata drzemała w kącie, a Martyna ostrzyła nóż. Cała trójka pracowała w Piasecznie już od tygodnia, ale Hubert dostrzegł w nich pewną nerwowość. Kajetan podskoczył na krześle, kiedy gdzieś w pobliżu zagwizdał leszy, Martyna wzdrygnęła się, gdy Ernest ze zgrzytem przesunął krzesło po ceglanej podłodze. Agata zaś co chwilę upewniała się, że jej karabin jest tuż obok. I tylko Woźnica jak gdyby nigdy nic piekł na patyku nad ogniem jabłko. Zresztą myśliwy był przyzwyczajony do spędzania czasu samotnie poza Dąbrówką i nieraz musiał stawiać czoła demonom.

*Kiedyś ludzie przestaną bać się ciemności i opuszczania własnej osady – pomyślał Hubert, wychodząc na zewnątrz. Przynajmniej mam taką nadzieję, bo inaczej chyba wyginieemy.*

Zagwizdał cicho. Zza najbliższego domu odpowiedział mu identyczny gwizd. Sierpień w milczeniu podszedł do drewnianej ławki i położył na niej kawałek mięsa. Czasem Ernest wkurzał się na niego, że marnuje jedzenie, a leszy przecież sam zdobywa pożywienie, ale Platon zawsze trzymał się w pobliżu i należała mu się drobna nagroda chociażby za taką wierność.





## Rozdział II

Na pięć dni przed wiecem przyjechało kilka kolejnych osób z Dąbrówki. Przywieźli wędzone mięso i ryby, trochę przetworów, siano i owies dla koni, zapasowe koce oraz wszystko to, co nie psuło się za szybko, a mogło się przydać podczas spotkania.

– Ciebie też puścili? – zdziwił się Hubert na widok Mai.

– Każdy ma robotę we własnym domu. – Wzruszyła ramionami. – Nie chciałam wchodzić im w paradę, no i uważam, że bardziej przydam się wam tutaj.

– I dobrze. – Ernest skinął głową. – My idziemy dziś na patrol do lasu, ale przydałby się ktoś, kto posprawdza, czy Kajetan wysprzątał domy gościnne tak dobrze, jak twierdzi.

– Mogę się tym zająć. – Uśmiechnęła się, być może wdzięczna za normalne traktowanie.

Kilka minut później dwaj przyjaciele, uzbrojeni w karabiny i noże, opuścili wieś. Zatoczyli wokół niej wielki okrąg, sprawdzając wszelkie ślady i nasłuchując czegokolwiek podejrzanego. Hubert przystawał co kilkadziesiąt metrów,

zamykał oczy i brał głęboki wdech, starając się wyczuć demony. Zdawało się jednak, że jeśli nie liczyć Platona, okolica była pusta.

– Pokażę ci coś – powiedział, zatrzymując się w pewnej chwili.

Zadarł głowę i zagwizdał w charakterystyczny sposób. Wysoko w koronach drzew przemknął niewielki cień. Sierpień wyjął z kieszeni kawałek placka, jednego z tych, które jedli na śniadanie. Ernest odchrząknął znacząco.

Hubert ponownie zagwizdał, a gdy usłyszał odpowiedź, wyrzucił wysoko placek, po czym rozłożył szeroko ręce i uśmiechnął się z satysfakcją. Liście w górze zaszeleściły, kilka z nich opadło na ziemię.

– No i? – zapytał Brzeski.

– No i placek nie spadł – odparł tamten, szczerząc zęby. – Skubany jest naprawdę szybki i zwinny.

– Już ci mówiłem, co o tym sędzę. – Przyjaciel niestety nie wykazywał należnego entuzjazmu.

– A znasz kogokolwiek, kto wyszkoliłby tak sobie demona?

– Na przykład moja siostra Klakiera.

Hubert sapnął poirytowany.

– A poza nią?

– Masz rację, jesteś genialnym treserem demonów.

– Zobaczysz, będą jeszcze o mnie książki historyczne pisać.

Ernest nie wytrzymał i parsknął śmiechem, kręcąc głową.

– Ponadto... – zaczął Hubert, lecz nagle poczuł coś podejrzanego.

Uniósł rękę, żeby uciszyć ewentualne komentarze z ust kumpla, i zamknął oczy. Dotarła do niego bardzo słaba woń, zaledwie jej sugestia. Mimo to już wiedział, że coś grasuje w okolicy.

– Tam. – Wskazał kierunek, otworzywszy oczy.

– Wiesz, co to? – zapytał szeptem Brzeski.

– Jeszcze nie. – Pokręcił głową. – Musimy się do niego zbliżyć.

Odbezpieczyli karabiny i ruszyli bezgłośnie przez las. Z każdym krokiem serce Huberta biło coraz szybciej, adrenalina krążyła w jego ciele. Czuł ukłucie strachu, a jednocześnie za nic by się teraz nie wycofał. Zupełnie jakby był stworzony do polowania na demony.

Byli coraz bliżej; zmartwiło go, że jeszcze nie rozpoznał tej bestii i nie miał pojęcia, z czym przyjdzie mu się mierzyć. Kiedyś pewnie rzuciłby się na stwora bez zastanowienia, ale teraz wolał być ostrożniejszy. Zbyt wielu ludzi na nim polegało, zbyt wiele zależało od wiecu, żeby teraz dał się zabić albo chociaż ranić.

Nagle Ernest położył dłoń na jego ramieniu, po czym wskazał coś na ziemi.

Hubert przymrużył powieki, wpatrując się w ślady na wąskiej, zwierzęcej ścieżce. Racice saren, drobne łapki kuny leśnej i coś jeszcze, odcisk, jakiego jeszcze nigdy żaden z nich nie widział.

– Nie gadaj, że będzie trzeba na nowo przepisywać tę demonologię – zażartował, choć wcale nie było mu do śmiechu.

– Wracamy po Woźnicę? – zapytał Ernest.

Sierpień zastanowił się. Przydałby się dodatkowy karabin, skoro jeszcze nie wiedzieli, z czym będą mieli do czynienia.

– Daj mi jeszcze chwilę – poprosił.

Ruszyli wzdłuż ścieżki, jednak w pewnej chwili ślady demona się urwały. Ten najwyraźniej skręcił gdzieś w las.

– Cholera – burknął Hubert. – Nie czuję już go. Musiał odejść.

– Wracajmy do wsi, trzeba ostrzec innych, żeby nigdzie nie chodzili w pojedynkę. A w nocy wystawimy warty.



Do wieczora Hubert tylko udawał, że ciężko pracuje, a tak naprawdę co chwilę zerkał ku lasom otaczającym Piaseczno i usiłował wyczuć czającego się w okolicy demona.

Maja znalazła go w stajni.

– Domy gościnne czyste, kominy drożne – zakomunikowała.

– Tylko przed samym wiecem trzeba będzie wywietrzyć.

– Po co? – Zmarszczył brwi, opierając się o widły.

– Żeby nie było czuć stęchlizną? – Powiodła wzrokiem po boksach, a Hubert poczuł się głupio, że był tu już od ponad godziny, a jeszcze nic nie ogarnął.

– Bardzo dobry pomysł, a będziesz o tym pamiętała?

Pokiwała głową.

– Tak sobie też myślałam, że warto byłoby przywieźć wapno do zasypania wychodków po całej tej imprezie... – Lekko się zarumieniła.

– Ktoś na pewno będzie jeszcze jechał do Dąbrówki – powiedział. – Dopiszemy wapno do listy. A poza tym dlaczego w ogóle przyszłaś tu sama? Przecież mówiliśmy, że nikt nie ma chodzić w pojedynkę, nawet po wsi.

– Przecież to tylko kawałek od domu Hadama...

Hubert wzniosł oczy ku sufitowi pokrytemu pajęczynami.

– Zawsze byłem przeciwny panicznemu strachowi przed demonami, ale bagatelizowanie ich też nie jest dobrym wyjściem.

– Słyszałam, że jesteś radarem na demony i od razu wyczujesz, jak jakiś zbliży się do wsi.

Sierpień westchnął ciężko. Owszem, połechtala jego ego, czasem jednak przerażało go, że ludzie aż tak mu ufali. On sam miał trochę mniej wiary we własne zdolności.

– Ale nie dam rady być wszędzie i mógłbym nie zdążyć, gdyby coś się wydarzyło.

– Jak to w ogóle jest? – Maja przysiadła na snopku siana, oparła brodę na dłoniach i wpatrzyła się w niego. – Wyczuwać demony?

– To trochę jak uczucie przed burzą – odparł, stukając lekko palcami w trzonek od wideł. – Po prostu wiem mniej więcej, gdzie jest demon i jaki to gatunek.

Tylko najbliżsi wiedzieli, że potrafił również rozpoznać u stworów strach, głód i inne podstawowe odczucia.

– Przydałby się ktoś taki kiedyś u nas... – zaczęła, ale szybko uciekła wzrokiem.

Hubert pokiwał głową. Nie musiał o nic pytać, wiedział, jak takie historie brzmiały – okrutna i niespodziewana śmierć w samym środku bezpiecznej osady albo atak w nocy na grupkę podróżników. Przepęniający serce strach, że potwory czają się tuż obok, paraliż na widok bestii żądnej krwi, ciała ludzi rozdarte na strzępy, ciemnoczerwone plamy na trawie czy śniegu. Słyszał to już wiele razy, sam doświadczył utraty bliskich.

– Ale jestem pod wrażeniem, jak wychowaliście sobie tego owinnika – zmieniła temat Maja.

– Rozpuszczony jak dziadowski bicz – zacytował Alberta Hubert.

– Wcale że nie. Przychodzi na zawołanie...

– Tylko gdy mu się chce.

– Reaguje na swoje imię...

– Kiedy masz w kieszeni kiełbasę.  
– Nawet podaje łapę.  
– Chyba tylko po to, żeby człowieka podrapać.  
– Jesteś niesprawiedliwy – zaprotestowała.  
– No dobra, czasem się przydaje. Raz nawet uratował mnie przed trojanem. Ale poza takimi wyjątkami to jeden wielki darmozjad.

– Słyszałam też coś o jakimś leszym?  
– Ty to chyba przeprowadziłaś dokładny wywiad środowiskowy po naszym wyjeździe.

Maja się zmieszała.

– Po prostu byłam ciekawa... – Zaczęła skubać nitkę wystającą ze spodni.

– Chodź, coś ci pokażę. – Odstawił widły i wyszedł ze stajni.

Wystarczyło kilka sekund, żeby zorientował się, gdzie ukrywa się Platon. Zagwizdał krótką melodyjkę, a spomiędzy gęstych gałęzi pobliskiego świerka odpowiedział mu podobny gwizd.

– I on tu siedział cały czas? – Dziewczyna się wzdrygnęła.

Hubert skinął głową. Ludzie częstokroć nie mieli nawet pojęcia, że tuż obok czaił się demon, przechodzili obok niego wiele razy i nikt go nie zauważał. Można było nie mieć nic przeciwko w miarę udomowionemu leszemu, ale w takich chwilach człowiek zaczynał się zastanawiać, ile razy ledwo uszedł z życiem, mimo że niczego nieświadomy za bardzo zbliżył się do jakiegoś innego demona.

Sierpień znów zagwizdał, a Platon odpowiedział.

– Mogę spróbować? – poprosiła Maja.

Gdy tylko gwizdnęła, leszy zamilkł. Nie chciał nawet zacząć z powrotem naśladować Huberta.

– Chyba się obraził – skwitował chłopak. – Przejdzie mu, kiedy dostanie coś do jedzenia. – Machnął ręką. – Zaraz się

ściemni, pora na kolację.

Razem ruszyli do domu Hadama, a gdy tylko otworzyli duże drzwi, powiało w ich stronę zapachem pysznego gulaszu.

– Stajnia ogarnięta? – zagadnął Ernest.

– Oczywiście – skłamał Hubert bez najmniejszego zająknięcia. – Jutro tylko będę musiał tam jeszcze na chwilę wpaść.

Po posiłku Woźnica pochwalił się, że znalazł miejsce, gdzie często żerują dziki. Kilka dni przed wiecem planował je podejść i ustrzelić jednego na uroczystą kolację. Na szczęście w domu Hadama był wystarczająco duży piec chlebowy.

– Uda się jakoś sensownie zgrać to czasowo? – zastanowił się Ernest.

– Po polowaniu mięso musi ostygnąć przez dobę, później dwa dni na marynowanie, kilka godzin na pieczenie... – Myśliwy podrapał się po zarośniętej brodzie. – Nie mogę ruszyć na tego dzika za szybko, żeby się nie popsuł, ale jakiś zapas czasowy też powinienem mieć.

– Dasz radę – zapewnił Sierpień, któremu aż ślinka pociekła na samą myśl o dziku faszerowanym kaszą gryczaną. Poza tym uważał, że takie danie będzie odpowiednim ukoronowaniem oficjalnej kolacji rozpoczynającej wiec.



Hubert zamknął drzwi na zasuwę i wrócił do kominka.

– Cisza i spokój na zewnątrz – powiedział.

Maja skinęła głową. Pozostali już dawno posnęli na antresoli. Do tej pory Martyna spała w swoim dawnym domu, Kajetan i Agata zaś w jednym z gościnnych. Tej nocy jednak

Hubert naciskał, żeby wszyscy zatrzymali się w domu Hadama. Zaniepokoił go ten nowy demon. Możliwe, że już dawno temu odszedł z okolicy, ale chłopak wolał dmuchać na zimne. Ich nowa znajoma uparła się, że na równi z innymi chce pełnić wartę. Tak więc dostała pierwszą, a Sierpień nie mógł zasnąć, więc postanowił jej towarzyszyć. Zresztą on i Brzeski nie do końca byli pewni, czy mogą na niej w stu procentach polegać.

– Teraz uważaj, bo będę miał na ciebie haka – rzucił Ernest, zanim udał się do łóżka.

– Że co? – zdziwił się Hubert.

– Jak mnie wkurzysz, to powiem Izie o tym, że wartujesz sobie z obcymi dziewczynami.

– Po pierwsze, Iza wcale taka nie jest, po drugie...

– Nikt jeszcze nie wie, czy jesteście ze sobą, czy nie, bo żadne z was nie umie się określić – wpadł mu w słowo kumpel. – A po trzecie za bardzo się jej boisz, żeby jej podpaść.

– Idź spać, bo gadasz już głupoty – burknął Hubert.

Przyjaciół mógł sobie stroić z niego żarty, ale był jeszcze jeden powód, dla którego Sierpień chciał wartować z Mają. Liczył, że wyciągnie z niej co nieco o jej przeszłości. Rozumiał, że mogła mieć traumę, być jeszcze w żałobie, ale skoro zaprosili ją do własnej osady, powinni coś o niej wiedzieć. A noc przy kominku sprzyjała zwierzeniom. Poza tym Hubert doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że ludzie chętnie mu ufali i zdradzali swoje sekrety. Dla większości był prostym, zabawnym, trochę nieodpowiedzialnym chłopakiem, który chyba nigdy nie wydorosłeje. Sam siebie przekonywał, że właśnie taki wizerunek utrzymywał celowo.

– Mam nadzieję, że z tym wiecem wszystko wypali – odezwał się. – Tyle tygodni przygotowań...

– Myślę, że to fajna inicjatywa – przytaknęła Maja.

– Zeszłej jesieni, kiedy banda dezertarów, która wymordowała Piaseczno, kierowała się na Dąbrówkę, udało nam się skrzyknąć sąsiadów, żeby nam pomogli. Dobrze jest mieć na kogo liczyć. A jak będzie nas jeszcze więcej...

– Nas nie było.

W domu pachniało dymem, żywicą sosnową i sianem. Ogień rzucał fantastyczne cienie na drewniane ściany. Hubert zapatrzył się na nie, oczekując dalszej części odpowiedzi. Maja jednak milczała.

– Co się stało? – zapytał w końcu.

– Było nas zaledwie ośmioro – odparła po dłuższym czasie. – Nie znaleźliśmy żadnej innej zamieszkaney osady. Nie mieliśmy łątwo, ale jakoś dawaliśmy radę. Ostatniej zimy... niedrożny komin...

Dziewczyna otarła wilgotne oczy.

– Trzy dorosłe osoby i jedno dziecko... Dziwiłam się, dlaczego nie zdążyli uciec, ale moja ciotka powiedziała, że czad to cichy zabójca... A zaproszony ogień... – Pociągnęła nosem. – Spłonęło wtedy wiele naszych zapasów, przez resztę zimy głodowaliśmy. Wiosną chcieliśmy odejść, szukać innych ludzi, ale ciocia tak źle się czuła, że nie była w stanie opuścić domu. Karol, starszy brat mojej przyjaciółki, podejrzewał, że to rak.

Hubert pamiętał, że ludzie kiedyś panicznie bali się tej choroby. A przecież mieli tyle sprzętu i lekarstw do walki z nią. Teraz nawet nie potrafili jej zdiagnozować, samo zaś słowo „rak” oznaczało wyrok śmierci.

– Przykro mi. – Niezgrabnie położył rękę na dłoni dziewczyny i lekko ścisnął jej palce. Zatopiona we wspomnieniach zdawała się nawet tego nie zauważyć.

– Pochowaliśmy ją w maju – podjęła opowieść. – Dzień później spakowaliśmy się i we trójkę wyruszyliśmy w drogę.

Hubert cofnął rękę. Maja znów zaczęła skubać nitkę wystającą ze spodni.

– Szliśmy wzdłuż szczytu małego wąwozu. Nawet nie było stromo. Ale wcześniej padał deszcz, ziemia rozmiękła, zrobiło się błoto... Karol się poślizgnął i pokoziołkował w dół. W pierwszej chwili śmiałyśmy się z Kingą. Wyglądał komicznie, ale kiedy się nie podniósł... Zbiegłyśmy na dół. Złamał nogę, a jego okrwawiony piszczel rozerwał nogawkę i wystawał na zewnątrz.

Na kilka sekund zamknęła oczy, po czym potrząsnęła głową, żeby odpędzić od siebie tę makabryczną wizję.

– Próbowaliśmy mu pomóc, jak umiałyśmy. Ale utknęliśmy w środku lasu, nasze bagaże były naprawdę skromne, nie mieliśmy żadnych leków. W ciągu kilku dni Karol dostał wysokiej gorączki, rana zaczęła się jątrzyć, tak bardzo śmierdziała ropą... Jednej nocy, może zwabiony właśnie tym zapachem, zaatakował nas demon. Był wielki, włochaty. Rzucił się na Kingę, usłyszałam trzask łamanych żeber. Chciała krzyczeć, ale chyba miała przebite płuca, bo z ust wydostała się jedynie krwawa piana. Później demon ruszył na Karola. Wiedziałam, że go nie uratuję. Wykorzystałam ten moment na ucieczkę.

W domu nastała zupełna cisza, przerywana jedynie trzaskiem ognia w kominku. Sierpień nie słyszał nawet pochrapywania Ernesta. Podejrzewał, że kumpel również słucha opowieści Mai.

Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała wprost na Huberta.

– Czasem w nocy słyszę jęki ciotki w agonii, krzyk Karola ogarniętego gorączką albo trzask kości Kingi. Zastanawiam się, czy mogłam zrobić coś więcej; może trzeba było namówić ich, żebyśmy ten jeden dżdżysty dzień przesiedzieli w obozowisku, żebyśmy wybrali inną drogę. Gdybym nie

spanikowała, może udałoby mi się zastrzelić tego demona, zanim zmiażdżył moją przyjaciółkę.

Hubert doskonale ją rozumiał. Tyle razy przecież sam się zastanawiał, czy mógłby ocalić bliskich, gdyby cokolwiek zrobił inaczej.

– Przeszłości już nie zmienisz – powiedział powoli. – Ale znalazłaś nowy dom i teraz możesz zadbać o bezpieczeństwo ludzi, których, kto wie, pewnego dnia może nazwiesz swoją rodziną.

– Może... – westchnęła.

Na drabince wiodącej do antresoli rozległy się ciche kroki. Skrzypnęły szczelbelki.

– Dlaczego mnie nie budzicie? – odezwała się Agata. – Trzeba było mówić wcześniej, że chcecie siedzieć też na mojej warcie.

– Jak już wstałaś, to nie będziemy się fatygować. – Hubert podniósł się z krzesła. – Dobranoc.

Wspiął się na pięterko i ułożył na swoim sienniku. Przez chwilę nasłuchiwał, jak Agata dokładała do ognia, Maja szykowała się do snu na swoim łóżku, a Ernie znowu zaczął chrapać. Sam też szybko odpłynął.



Wszędzie wokół huczały płomienie. Rozległ się stukot kopyt na asfalcie i z za zakrętu wypadł przerażony koń. Języki ognia pożerały jego ciało, grzywa i ogon niemal zupełnie się stopiły. W oczach zwierzęcia dostrzec można było strach i ból. Z pyska sfrunęły płaty pożółkłej piany. Koń zarżał rozdzierająco i wbiegł w ścianę płomieni, jakby chciał zakończyć swoją agonię. Nagle z boku rozległ się trzask pękającego drewna,

a chwilę po nim huk walących się cegieł. Sierpień spojrzał w tamtym kierunku i wśród pożogi szalejącej w poczerniałych zgliszczach rozpoznał dom Alberta. Poczł się, jak gdyby szpony demona rozdarły jego serce na dwoje. Przez ostatnie osiem lat ten budynek był dla niego bezpieczną przystanią w mrocznym świecie pełnym potworów. Wszystko wokół mogło się walić i palić, ale tutaj zawsze miał swój dom. A teraz wszystko legło w gruzach.

Osunął się na kolana, poczuł, jak kawałki szkła rozrywają jego spodnie i wbijają się w ciało. Chciał płakać, wyc z rozpacz, ale jego oczy pozostały suche, zupełnie jakby już dawno stracił prawo do żałoby.

Nagle wszystko wokół ucichło. Uniósł głowę i dostrzegł mężczyznę krocącego w jego stronę. Jego twarz była skryta w cieniu, a może w ogóle był jej pozbawiony? Za nim zaś rozpostarły się skrzydła z płomieni.

– Kim jesteś?! – wrzasnął Hubert, wstając.

Postać nie odpowiedziała.

– Czego chcesz?!

Wtem ogień zniknął, pozostawiając za sobą czarną pustkę. Przez sekundę jeszcze Sierpień widział tajemniczego mężczyznę, a potem i jego pochłonał mrok. Chłopaka ogarnęło zaś uczucie niepokoju. Otworzył oczy i dostrzegł nad sobą ciemne belki, pod dłońmi wyczuł szorstki materiał pachnącego kurzem siennika. Tuż obok wielki cień pochylał się nad Ernestem. Sierpień gwałtownie usiadł i przywalił czołem w skośny sufit.

– Cholera – warknął.

Dopiero po chwili zorientował się, że tym cieniem był Kajetan.

– Coś dzieje się na zewnątrz – szepnął chłopak.

Ernest już wstał i ruszył ku drabinie. Hubert, nie tracąc czasu, przeszedł nad barierką zabezpieczającą antresolę, zsunął się niżej, zawisnął na samych rękach i głośniej, niż by sobie tego życzył, wylądował piętro niżej.

Jego przyjaciel już sięgał po karabiny. Chwilę później dołączyli do nich Kajetan, Woźnica, Agata i Martyna. Maja wygrzebała z plecaka swój pistolet i zeszła na dół ostatnia. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Ernest uciszył ją ruchem dłoni.

Hubert stanął przed drzwiami, oparł o nie obie ręce i przymknął powieki. Coś kręciło się w pobliżu domu Hadama. Oczyma wyobraźni zobaczył wielkie łapy ostrożnie stąpające po miękkiej trawie. Niemal usłyszał świst powietrza wciągane nozdrzami. Wszędzie wokół pachniało ludźmi, a tam, gdzie byli ludzie, zawsze można znaleźć łatwą zdobycz. Zamknięte w zagrodach zwierzęta, które nie potrafiły uciekać ani się bronić. Miękkie, soczyste, tłusciutkie mięso... Oraz to ludzkie, najśłodsze z nich wszystkich.

Demon był głody, nic nie potrafiło go nasycić. Okropne łaknienie nie opuszczało go nigdy. Pożerał wszystko, co spotkał na swojej drodze, nawet swoje młode, i wciąż był głodny.

Hubert otworzył oczy i spojrzał po bladych twarzach przyjaciół.

– Musimy zabić to coś – szepnął.

– Ale co to... – zaczął Kajetan.

– Nieważne co – przerwał mu Ernest. – Ważne, że musimy to wykończyć.

Sierpień skinął głową z wdzięcznością. Przyjaciel potrafił niemal czytać mu w myślach.

– Ktoś powinien zostać i pilnować domu. – Woźnica dyskretnie wskazał wzrokiem Maję.

– A nie będę bardziej potrzebna na zewnątrz? – Dziewczyna odbezpieczyła swój pistolet. – Nieraz stawiałam czoła demonom.

– Jeżeli ten demon nie znajdzie ludzi, zadowolili się końmi – odezwał się Hubert. – Maja, Martyna, Agata i Kajetan, przejdziecie do stajni i obstawicie okna i drzwi. My – skinął w stronę myśliwego i Ernesta – wywabimy go i zabijemy. Jeżeli się nie uda, to wtedy go wam wystawimy. Gotowi?

Pokiwali głowami.

– Będziemy was osłaniać – powiedział Ernest, kładąc rękę na metalowej zasuwie.

Gdy drzwi się otworzyły, Hubert poczuł na twarzy powiew chłodnego powietrza, który przyniósł ze sobą zapach obcego demona. Wyszedł z budynku jako pierwszy i zlustrował otoczenie. Noc była dość jasna, jednak wszędzie wokół powstawały cienie, w których mogła ukrywać się bestia. U boku Sierpnia stanęli Brzeski i Woźnica.

Poczekali, aż pozostała czwórka przemknęła do stajni, po czym Hubert wskazał kierunek, skąd dochodził zapach stwora. Ruszyli jeden za drugim w tamtą stronę. Myśliwy osłaniał ich plecy.

Nocą wymarła wieś sprawiała upiorne wrażenie. W murach domów wciąż widniały ślady po kulach karabinu maszynowego, niczym niezagojone rany. W tym miejscu wybito jak w rzeźni niemal wszystkich mieszkańców: mężczyzn, kobiety i dzieci, nie dając im nawet szans na obronę. Niejeden twierdził, że słyszał tu po zmroku krzyki i zawodzenie umierających, a echo wystrzałów wciąż niosło się po okolicznych lasach. Hubert raczej nie wierzył w takie rzeczy. *Kto umarł, nie wraca z grobu, żeby jęczeć jak potępiona dusza* – skwitował kiedyś w myślach. Jednak w świecie

pełnym demonów, gdy noc skrywała zbyt wiele cieni, łatwo było zwątpić we własne przekonania.

Sierpień wskazał lufą karabinu dom, za którym powinien znajdować się demon. Gestami wytłumaczył towarzyszom, że powinni się rozdzielić. Ernest wyglądał na dość niezadowolonego z faktu, że jego przyjaciel zamierzał okrążyć budynek w pojedynkę, jednak Hubert nie dał mu czasu na spieranie się i po prostu ruszył w swoją stronę.

Kiedy znalazł się sam, poczuł, że woń demona stała się jeszcze bardziej wyraźna, zupełnie jakby obecność innych ludzi ją blokowała. Uspokoił oddech, jego dłonie pewnie trzymały odbezpieczony karabin. Wiedział, że się nie zawaha, a jego ręka nie zadrży, gdy przyjdzie mu zmierzyć się z bestią.

Szedł bezgłośnie wzdłuż ściany z popękany tynkiem. Żałował, że nie słyszał kroków towarzyszy i nie wiedział, gdzie są.

Tuż przed nim znajdował się ostatni załom. Ostrożnie wychylił się zza niego, gotów na wszystko. Demon buszował w wysokiej trawie tuż przy zwałonym pniu starego klonu. Hubert miał ochotę zakląć. Zupełnie zapomniał o drzewie leżącym prostopadle do ściany budynku. Gdy Ernest i Woźnica wyjdą z drugiej strony, i tak nie dostrzegą stwora.

Stanął na prostych nogach, celując w demona wężącego nisko przy ziemi. Położył palec na spuście i nacisnął. Noc rozświetlił błysk wystrzału, okolicą wstrząsnął huk, łuska poszybowała w powietrze. Stwór zawył i padł.

Nie tracąc czujności, łowca podszedł bliżej. Powiał delikatny wiatr i wysoka trawa ugięła się z szelestem. Ernest wspiał się na przewrócony pień i od razu wycelował w tym samym kierunku, co jego przyjaciel.

Nagle serce Huberta podeszło do gardła. Stanął w miejscu, gdzie powinien leżeć martwy demon – ale tu go nie było.

– Zwiął – sapnął, od razu unosząc lufę i nerwowo rozglądając się wokół.

– Gdzie?

– Nie wiem, postrzeliłem go...

– Tam! – krzyknął Woźnica.

Kilka metrów dalej duży, ciemny kształt wystrzelił z zarośli i zgrabnie wskoczył na pień blisko korony pokrytej uschniętymi liśćmi. Myśliwy wystrzelił, lecz bestia szybko zniknęła między gałęziami klonu. Hubert ruszył pędem za nią. Ernest biegł po pniu, a Woźnica po drugiej jego stronie.

Sierpień dotarł do samego końca korony przewróconego drzewa, lecz po demonie nie było żadnego śladu. Między gałęziami rozległo się kilka trzasków i spomiędzy nich wychylił się Ernest.

– Gdzie on jest? – zapytał.

– Nie wiem, powinien przecież gdzieś zleźć z tego drzewa!

Po chwili dołączył do nich Woźnica.

– Jakby rozplynął się w powietrzu.

– Demony nie rozplywają się w powietrzu – mruknął Hubert, wściekły, że spudłował i przez niego polowanie skończyło się fiaskiem.

Nagle Ernest odtrącił go na bok i wystrzelił. Hubert gwałtownie się odwrócił i kilka metrów dalej ujrzął uciekającego stwora. Już chciał zerwać się do biegu, jednak wiedział, że nie ma nawet najmniejszych szans go dogonić.

– Malaria – burknął Woźnica. – I zwiął w las.

– Wróci? – Brzeski zerknął na przyjaciela.

– Tej nocy raczej nie. Wracajmy po tamtych ze stajni.



Nikt nie miał ochoty ponownie kłaść się spać. Chłodne, nocne powietrze oraz solidna dawka adrenaliny nie szły w parze z sennością.

– Ale jak wyglądał? – Po raz wtóry dopytywał Kajetan.

– Był wilkowaty – odparł Woźnica.

– Jak dla mnie wyglądał jak olbrzymi zmutowany szczur – dodał Ernest.

– A więc miał łysy ogon? Ale był mniej więcej taki czy taki? – Chłopak wyciągnął przed siebie dłoń.

– Było naprawdę ciemno – przypomniał myśliwy.

– Był zaskakująco zwinny jak na swoje rozmiary. – Ernest wlepił spojrzenie w sufit, prawdopodobnie wertując w głowie kartki starej demonologii.

– Czyli możemy spokojnie założyć, że to nowy gatunek? – Ekscytował się dalej Kajetan. – Szkoda, że sami nie nadajemy nazw nowo odkrytym demonom...

Zamyślony Hubert przestał go słuchać. Nie mógł pozwolić, żeby ta wygłodniała bestia czaiła się w okolicy, kiedy lada dzień mieli zjechać się tu goście. Bał się, że gdyby ktokolwiek został zaatakowany – lub co gorsza zginął – ludzie tylko utwierdziliby się w przekonaniu, że opuszczanie własnych osad jest nad wyraz niebezpieczne. Co z tego, że nawet u siebie byli mordowani. Wtedy umierali przynajmniej na swoim terenie.

– Najważniejsze, że przepędziliście go z osady – podkreśliła Maja, dosiadając się do niego.

– On tu wróci. – Pokręcił głową. – Jest zbyt wygłodniały, żeby odejść.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem. – Wzruszył ramionami, po czym wstał. – Pora iść spać, jutro czeka nas polowanie.

Pozostali pokiwali głowami i wkrótce wszyscy udali się na pięterko.

Niestety Hubert nie spał spokojnie. Tym razem, zamiast ognia i zgliszczy, wciąż śnił mu się wielki, szczuropodobny demon, atakujący w mroku.



– Tutaj ślad się urywa. – Ernest pozbierał się z klęczek i odwiązał Inkę od krzaka.

– Jesteś pewien? – dopytywał Hubert, wpatrując się w malutką plamkę krwi na suchym bukowym liściu.

– Jak chcesz, to zleź z konia i sam sobie zobacz.

– Dobra, wierzę ci. A może wspiał się na drzewo? – Powiódł wzrokiem po zielonych koronach.

– Coś tak wielkiego na pewno zostawiłoby ślady na pniach. – Brzeski obejrzał dokładnie korę najbliższego drzewa. – A ty nic nie czujesz?

– Woźnica miał rację, jakby rozplynął się w powietrzu. – Hubert się skrzywił.

– Pokręcmy się jeszcze po lesie, a jeśli nic nie zauważymy, to będzie trzeba zastawić na niego pułapkę we wsi. Skoro na pewno wróci nocą...

– Obawiam się, że tylko żywa przynęta skusi go do wejścia w pułapkę.

– A ten znowu swoje. – Ernest wzniosł oczy do nieba. – Skąd niby możesz to wiedzieć?

– A stąd, że ten przeklęty demon udawał martwego, jak go postrzeliłem, poczekał chwilę w trawie i zaczął się czołgać

dopiero wtedy, kiedy ta zafalowała na wietrze. Mało który człowiek byłby na tyle cwany.

– To co, zamierzasz wystawić na przynętę któregoś konia?

Hubert pokręcił głową.

– Jak sobie chcesz – westchnął Ernest, najwyraźniej już dawno pogodzony z faktem, że jego przyjaciel uwielbiał ryzykować własne życie.

Wsiadł na klacz i powoli ruszyli przed siebie, wypatrując jakichkolwiek śladów.

– Nie spinaj się tak – odezwał się po jakimś kilometrze Ernest. – Wyglądasz, jakby czaszka miała ci zaraz wybuchnąć.

– Nie mogę namierzyć tej cholernej szkarady! – zezłościł się Hubert.

– Może już odeszła i nie wróci, a jak nie, to zabijemy ją w nocy, i tyle.

– A jeśli nie?

– Od kiedy aż tak się przejmujesz takimi rzeczami?

– Odkąd to właśnie od nas zależy tak wiele.

Brzeski westchnął.

– Słuchaj, ludzie, przyjeżdżając tutaj, pokonają wiele kilometrów. Nie zrazi ich jeden demon.

– Powinniśmy zapewnić im bezpieczeństwo!

– Chodzi o te twoje koszmary? – zapytał zniecierpliwiony Ernest.

Hubert się nie odezwał.

– Kurde, gdyby nie koniec świata, to zrobiłbym karierę jako psycholog.

– Od czubków chyba – burknął Sierpień.

– Ty to powiedziałeś. Poza tym nie ten wiec, to inny.

Jednak jego przyjaciel pokręcił głową.

– Nie, to właśnie ten wiec jest bardzo ważny. Za kilka dni stworzymy podwaliny nowego świata albo... wszystko się posypie, osady nadal będą żyły osobno i w końcu demony

wybiją nas wszystkich. Staniemy się wymarłym gatunkiem, jak dinozaury.

Ernest parsknął śmiechem.

– A nie mam racji? – oburzył się Hubert.

– Pewnie, że masz. Przypomniały mi się tylko te wszystkie akcje ekologów sprzed wojny. Ciągłe trąbienie na alarm, że niszczymy planetę, że ją zabijamy.

– A tak naprawdę zabijaliśmy samych siebie.

– Bez nas ziemia radzi sobie całkiem nieźle, co? – Ernest powiódł wzrokiem po otaczającym ich lesie. – Daję głowę, że pewnego dnia zobaczymy nowe gatunki nie tylko demonów, ale też zwierząt i roślin.

Nagle po lesie poniósł się huk wystrzału.

Hubert zerknął na przyjaciela, chcąc się upewnić, że mu się nie wydawało. Sekundę później usłyszeli kolejny strzał. Równocześnie popędzili konie do galopu.

– Ktoś od nas?! – zawołał Ernest, pomimo wiatru szumiącego w uszach i uderzeń kopyt w miękką ziemię.

– Nie! Reszta jest w osadzie, a kolejna wycieczka z Dąbrówki ma przyjechać dopiero pojutrze!

Wkrótce wypadli na szeroką drogę częściowo pokrytą łachami piachu i zeszlórocznymi liśćmi. Przez chwilę kopyta Mokki ślizgały się na kawałku odkrytego asfaltu, ale klacz odzyskała równowagę i pogalopowała dalej.

W końcu usłyszeli ludzkie głosy, a gdy wyjechali z za zakrętu, ujrzeni trójkę podróżników. Hubert odetchnął z ulgą na widok znajomych twarzy. Iza, Henryk i Mateusz stali na środku drogi i przyglądali się czemuś leżącemu przed nimi, co wyglądało jak truchło boruty. Tuż obok ich konie skubały trawę z pobocza.

– Nie spodziewaliśmy się was tak szybko – odezwał się Ernest.

Sierpień nie mógł powstrzymać uśmiechu. Nie przeszkadzał mu nawet smród martwego demona. Tyle tygodni zamartwiania się, ciągłych obaw i tęsknoty, a teraz widział ich całych i zdrowych. Ściągnął wodze Mokki i zanim jeszcze się zatrzymała, zeskoczył z siodła. Podszedł do Izy. Miał już dość czekania.

Zanim powiedziała cokolwiek, jedną ręką objął ją w pasie, drugą położył na jej karku i pocałował dziewczynę prosto w usta. Z początku zupełnie zeszywniała, jakby zaraz miała go odepchnąć, ale właśnie wtedy oddała pocałunek. Hubert miał wrażenie, jakby krew w nim zawrzała. A gdy Iza położyła dłoń na jego piersi, poczuł w tym miejscu płomień. Żar ogarnął całe jego ciało, aż zaczął się dziwić, że ten ogień nie rozprzestrzenił się na wszystko wokół.

Już nigdy nie zamierzał wypuścić jej z ramion. Ale płomień nagle zgasł, jakby ktoś chlusnął na nich wiadrem wody. Hubert odepchnął Izę na bok i sięgnął po karabin wiszący na pasku na jego ramieniu.

Demon większy niż wilk i bardziej zwinny niż lis wystrzelił spomiędzy drzew. Wskoczył wprost na jednego z jucznych koni, wbił pazury w jego grzbiet i zatopił zęby w karku. Zwierzę zakwiczało żałośnie, zaczęło brykać, usiłując strącić z siebie przeciwnika.

Sierpień oddał dwa strzały, lecz nie zdołał trafić tak ruchliwego celu. Bestia odbiła się od końskiego zadu i skoczyła między pozostałe konie, wywołując u nich napad paniki.

Demon zgrabnie przemykał między końskimi nogami, zupełnie jakby pilnował, żeby żaden z ludzi nie miał czystego strzału. Wierzchowce się rozbiegły, jeden z nich prawie wpadł na Mateusza. Strażnik odskoczył w ostatniej chwili, cudem

unikając stratowania. Pokraczny stwór zaś przyczał się tuż przy ziemi, po czym wyskoczył wprost na niego.

Mateusz nie miał nawet czasu, aby wykonać strzał. Zasłonił się strzelbą i zaczął cofać, próbując uniknąć wściekłego ataku.

– Uważaj! – krzyknął Henryk, kiedy Ernest przyłożył broń do ramienia. Niestety ryzyko postrzelenia przyjaciela było zbyt wysokie.

Hubert z kolei stał jak sparaliżowany. Wpatrywał się w bestię, którą w całej okazałości widział po raz pierwszy w życiu. Była inna niż pozostałe demony. Szaleństwem i wściekłością przypominała może borutę, ale było w niej coś... coś przerażającego. I wcale nie chodziło o wielką paszczę pełną zębów czy ostre pazury. Bure futro było wyleniałe, miejscami mógł dostrzec skórę i jątrzące się rany. Tuż pod skórą grały zaś same kości i ścięgna. Gdyby tylko miał czas, mógłby policzyć wszystkie zebra kreatury. Poczował obrzydzenie i coś w rodzaju współczucia dla tej istoty. Wyglądała na śmiertelnie chorą i niedożywną. Hubert odbierał jej wieczny głód oraz pragnienie krwi, którego nie można zaspokoić.

Minęły zaledwie ułamki sekundy, a demon powalił Mateusza na ziemię. Jego paszcza była zaledwie centymetry od gardła człowieka. Sierpień zerknął na pozostałych. Henryk dopadł do swojego konia i usiłował wyszarpnąć maczetę przytroczoną do siodła. Iza i Ernest okładali bestię kolbami karabinów, ale nic to nie pomagało.

Hubert wypuścił z rąk karabin i zdjął pasek z ramienia. Podwinął rękaw bluzy mundurowej, wyjął z pochwy nóż i niewiele się zastanawiając, rozciął własne przedramię.

– Hej! Pokrako! – wrzasnął.

Nim pierwsza kropla krwi spadła bezgłośnie na ziemię, demon już ją zwęszył. Uniósł łeb, wciągając w nozdrza powietrze. Akurat w tej chwili Ernest przywalił mu prosto

w czaszkę, aż chrupnęło, lecz stwór zignorował cios. Czarne niczym węgle oczy spojrzały na Huberta, po czym demon wystrzelił wprost na niego.

Rozległ się strzał, lecz nie trafił celu. Sierpień nawet nie wiedział, kto zaryzykował postrzelenie go. Lekko ugiął kolana, przesunął prawą dłoń dzierżącą nóż odrobinę na bok.

Bestia zaatakowała. Chciała zacisnąć paszczę na rannym przedramieniu, spić całą krew, pogruchotać kości. Hubert w ostatniej chwili chwycił ją za skórę i futro z boku szyi. Na udzie poczuł pazury przednich łap. Wbił nóż w podgardle, ale to nie spowolniło demona. Sierpień wyciągnął ostrze i ciął w poprzek całego gardła, czując, jak skóra i mięśnie rozrywają się pod naporem metalu. Na lewą rękę połała mu się posoka. Futro na szyi stało się lepkie, a demon wciąż atakował, jakby nie czuł bólu ani zbliżającej się śmierci.

– Giń!!! – wrzasnął Sierpień, po raz ostatni wbijając nóż w szeroką ranę.

Stwór rozdziawił paszczę, jego oczy zrobiły się wielkie, po czym zaszły mgłą, a całe ciało zwiotczało. Hubert odepchnął je od siebie. W dłoni została mu garść paskudnej sierści trzymającej się na kawałku skóry.

Truchło kilka razy jeszcze wierzgnęło łapami, nim znieruchomiało. Wokół jego szyi rozlała się kałuża krwi, która już zaczęła wsiąkać w piasek.

Hubert przeklął pod nosem i wytarł dłonie o spodnie.

– Wszyscy cali? – Powiódł wzrokiem po towarzyszach.

Iza pomogła Mateuszowi podnieść się z ziemi.

– Ja chyba tak – rzucił strażnik, siląc się na lekki ton. –

A ty?

Sierpień zerknął na ranę na przedramieniu.

– Ma ktoś wodę? – zapytał.

Iza odpięła od paska bukłak i obficie połała jego rękę.

– Głębiej się nie dało? – zagadnęła, patrząc na ranę.

– To tylko draśnięcie. – Hubert machnął drugą ręką, choć teraz rozcięcie zaczynało go porządnie boleć.

Henryk wyjął ze swojego bagażu apteczkę i rzucił ją Izie. W międzyczasie Ernest podszedł do rannego konia, leżącego na boku na drodze. Demon rozharatał mu cały grzbiet i kawał szyi.

– Ciii, spokojnie – szeptał Brzeski, przyklękając przy zwierzęciu i gładząc je po łopatce. – Dzielny konik... Będzie dobrze...

Jednym zdecydowanym ruchem podciął mu gardło. Pozostali odwrócili głowy.



– I coś ty narobił? – zapytała Iza, podchodząc do zdenerwowanego konia.

Nadal przestraszony Hermes szarpnął łbem. Jego wodze zaczepiły się o grubą gałąź na drzewie, unieruchamiając zwierzę.

– Już od godziny cię szukamy – powiedziała dziewczyna, uspokajając go.

– Dobrze, że nie pobiegł jeszcze dalej – dodał Hubert.

– Naprawdę się martwiłam, że go już nie znajdziemy. – Iza delikatnie pogładziła miękkie chrapy. – Mam nadzieję, że chłopakom też się uda szybko znaleźć konia Mateusza.

Wydostali się z gęstego lasu na zarośniętą dróżkę i dosiedli wierzchowców. Sierpień nie wyczuwał już żadnych demonów w okolicy, niespiesznie więc ruszyli w stronę Piaseczna. Po drodze Iza zdała mu relację z ostatnich kilku tygodni.

Opowiedziała, jakie osady odwiedziła i które z nich zdecydowały się przysłać przedstawicieli na wiec.

– Wszyscy byli dość podejrzliwi. Nie bardzo uśmiechała im się podróż tak daleko na północ, narzekali, że to niebezpieczne i tak dalej, jednak chęć posiadania własnej demonologii okazała się dość silna.

– Twój ojciec miał naprawdę dobry pomysł, żeby użyć jej jako karty przetargowej – przyznał Hubert. – A jak w Świącinie? Mam nadzieję, że wszystko po staremu?

Iza od razu się zasepiła.

– Co się stało? – zapytał, poważniejąc.

– Łuczyk nie żyje – odparła.

Sierpień poczuł żal. Naprawdę lubił starego nauczyciela i uważał go za wartościowego człowieka. Może nie potrafił celnie strzelać ani nie nadawał się na polowania, ale miał olbrzymią wiedzę, a to również było na wagę złota w tych czasach.

– Jak to się stało?

– To było w przeddzień uruchomienia tarana wodnego. Już mieliśmy mieć wodę w kranach. – Iza uśmiechnęła się ze smutkiem. – Prawdopodobnie poszedł wieczorem nad jezioro sprawdzić, czy wszystko w porządku... Znaleźliśmy go rozszarpanego rano, a taran był zniszczony.

– Przykro mi. – Hubert delikatnie ściągnął wodze Mokki i zbliżył się do dziewczyny, po czym położył dłoń na jej ramieniu. Przytuliła do niej policzek, lecz sekundę później Hermes odskoczył w bok, gdy przestraszył się podejrzanie wyglądającego kołka, i moment przysł.

Na horyzoncie pojawiły się pierwsze zabudowania Piaseczna. Na niebie nad domem Hadama wiła się smuga szarego dymu.



Jadąc przez osadę, Iza przypatrywała się dziurom po kulach w ścianach domów, oknom zabitym deskami i zarośniętym ogrodom.

– Mam nadzieję, że żadna wieś już nigdy nie podzieli losu Piaseczna – odezwała się.

Hubert skinął głową. Dostawał ciarek za każdym razem, gdy pomyślał, że Dąbrówka mogła skończyć podobnie.

Na drodze pojawiła się Martyna i pomachała do nich.

– Inni wrócili? – zapytał Sierpień.

– Już jakiś czas temu. – Pokiwała głową. – Ten facet z długimi włosami zabrał Kajetana i pojechali zakopać truchła konia i demonów.

Iza uśmiechnęła się kącikiem ust. Hubert spojrzał na nią pytająco.

– Odnoszę wrażenie, że Mateusz albo jest nadpobudliwy, albo czuje neodpartą potrzebę ciągłego wykazywania się.

– Co kto lubi. – Sierpień wzruszył ramionami.

– I ty to mówisz? Serio? – Spojrzała na niego krzywo.

Udał, że nie ma pojęcia, o co jej chodziło. Odprowadzili konie do stajni, rozsiodłali je i zanieśli bagaże Izy do domu Hadama. Ernest i Henryk jedli właśnie obiad.

– I nawet na nas nie poczekaliście? – pożalił się Hubert.

– Byliśmy przekonani, że wrócicie znacznie później – odparł jego kumpel znad miski zupy. – Diabli wiedzą, co wy w tych lasach robiliście.

– Jak to: co robiliście? Konia szukaliśmy – burknął.

Henryk i Ernest wymienili zbyt uradowane spojrzenia, a Iza zaczerwieniła się jak nastolatka.

– Dzieciaki – skwitował Sierpień, nalewając zupę dla siebie i dziewczyny. – Kto rzucił pomysł zakopywania tamtego konia?

– Ja. – Brzeski wyprostował się i spojrzał wyzywająco na kumpla.

– Dobrze. – Hubert skinął głową.

– Naprawdę? I nie usłyszę tyrady na temat marnowania świeżego mięsa?

– Cóż, nie przepadam zbyt za koniną, choć staram się nie wybrzydzać, ale widziałeś tego demona. Wyglądał, jakby cierpiał na wszystkie możliwe choroby i już za życia się rozkładał... Nie chciałbym jeść mięsa, które on napoczął.

– Hubercik zrobił się ostatnio brzydliwy – odezwała się Iza. – Nawet zęba mu nie wyrwał.

– Sobie już naszyjnik z zębów zrobiłem. Kolejny będzie dla ciebie, a chyba byś nie chciała takiego zgniłego kła – odgryzł się.

Nagle Ernest poderwał się z ławy, niemal wylewając resztkę zupy z miski.

– Mesza! – rzucił, po czym wspiął się na antresolę i zaczął przerzucać tam swoje rzeczy.

– A jemu co? – zainteresował się Henryk.

– Mesza... – Hubert wysilił pamięć. – Mieszkał w ruinach... Wyjadał resztki z misek psów... Ale dlaczego akurat on? – zapytał Ernesta, który ponownie zasiadł za stołem, zapamiętale kartkując pożółkłe i powyginane strony.

– Uważany za zwiastun głodu i chorób – przeczytał Brzeski.

– A to z powodu swojej wychudzonej sylwetki i nikczemnego wyglądu.

– Jak dla mnie pasuje – oceniła Iza.

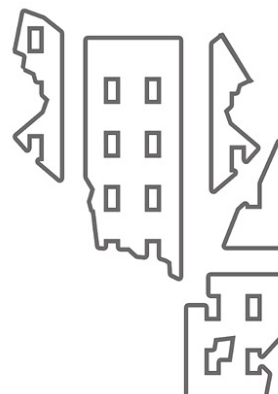
Ernest pokiwał głową, wyjął z kieszeni ołówek i zaczął dopisywać na marginesie własne spostrzeżenia.

– Ojciec się wkurzy, że będzie musiał dodawać nowe strony do naszej demonologii – odezwał się Hubert.

– Co roku na nowy wiec powinniście pisać uzupełnienie – powiedział Henryk.

– Może nie wybiegajmy tak daleko w przyszłość – rzucił Ernest, nie odrywając wzroku od książki. – Niech ten jeden wiec się uda. Później będziemy mówić o kolejnych.





## Rozdział III

Każdy znalazł sobie jakieś zajęcie. Mateusz i Ernest wdali się w jakąś zażartą dyskusję. Henryk podziwiał nóż, który wykula Martina. Iza rozkładała sobie posłanie na antresoli. Dopiero teraz, kiedy przyjaciele ze Święcina dotarli do Piaseczna, Sierpień poczuł ulgę. Wrażenie ciągłego niepokoju zniknęło.

Iza zgrabnie zeskoczyła z kilku ostatnich szczebelków i do niego podeszła.

– Możemy porozmawiać? – poprosiła poważnym tonem.

Czyżby chciała poruszyć sprawę tamtego pocałunku? *Najwyższy czas* – pomyślał. Doskonale wiedział, że dziewczyna miała problemy ze zbliżeniem się do kogokolwiek, ale jego cierpliwość też miała swoje granice. Czasem miał wrażenie, że jeśli czekałby, aż to ona wykona pierwszy krok, oboje zdążyliby się zestarzeć.

Skinał głową i nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, opuścili budynek. Usiedli naprzeciwko siebie przy drewnianym stole. Iza zaczęła skubać dolną wargę. *Czyli będzie poważnie.*

– Chodzi o Łuczyka – odezwała się wreszcie.

Zamrugał. Nie tego się spodziewał.

– Nie wszystkich zdołamy uratować – powtórzył to, co wielokrotnie mówił jej i samemu sobie.

– Wiem – westchnęła. – Jestem jednocześnie wściekła, przykro mi i naprawdę będzie mi go brakować. To był chyba najinteligentniejszy człowiek w Świącinie.

– Jego śmierć to cios dla całej osady.

– Wszyscy tak bardzo cieszyli się na to otwarcie rurociągu. To znaczy na razie woda miała być doprowadzona tylko do dwóch domów najbliższej jeziora, ale to miał być początek czegoś nowego. Taran wodny. Woda w kranach! Przecież to brzmiało jak marzenie nie z tego świata.

Wyjęła z pochwy nóż i zaczęła delikatnie ścinać nim drzazgi wystające na rogu stołu.

– Teraz wszystko przepadło – kontynuowała. – Taran zniszczony, Łuczyk nie zdążył przekazać swojej wiedzy nikomu...

– Złośliwość losu.

– Trochę tak, ale nie w tym rzecz. Chodzi o samą śmierć Łuczyka.

– To znaczy?

– Nie powinien był iść sam o zmroku nad jezioro, ale rozumiem, że chciał po raz ostatni sprawdzić, czy wszystko jest w porządku przed „wielkim otwarciem”. – Zaznaczyła w powietrzu cudzysłów. – Gdy znaleźliśmy jego ciało... – Utkwiła wzrok w małej kropki żywicy, która zastygła z boku stołu.

Hubert skinął głową, dając Izie czas na uporządkowanie myśli.

– Jego ciało nosiło znamiona ataku demona – wyrzuciła z siebie szybko, jakby zdawała suchą relację z mała

znaczącego wydarzenia. – Nie wiem jakiego, ale widziałam ślady kłów i pazurów. Został tak rozszarpany, że...

Sierpień nieraz widział ofiary demonów i nigdy nie był to ładny widok. Nawet ktoś zaprawiony w bojach miał później koszmary.

– Warto to roztrząsać? – zapytał ostrożnie.

Iza spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Nie o to mi chodzi. – Pokręciła głową. – Wszędzie wokół powinna być krew, ale jej tam nie było. Wszyscy patrzyli na rany, rozoraną twarz, kiszki, które niemal wylewały się z brzucha, a nikt nie zauważył, że trawa wokół była czysta.

Hubert zastanowił się, lecz do głowy przychodziła mu tylko jedna możliwość.

– Łuczyk zginął w innym miejscu i coś przeniosło go nad jezioro?

– Nie wiem. – Zaczęła okręcać wokół palca kosmyk włosów, który wydostał się z jej kitki.

– Pamiętasz, jak zimą bies porwał z Dąbrówki jedną z jałówek? Zostawił na śniegu tyle krwawych śladów, że podążania za nim nawet nie można było nazwać tropieniem.

– A może to coś wypilo całą krew? – wypaliła Iza.

– Jak wam...

– Jeżeli powiesz: jak wampir, to przysięgam, że ci przyłożę – przerwała mu. – To samo walnęli po kolei Henryk, Mateusz i Jacek, kiedy tylko chciałam z nimi porozmawiać.

– Nie wykluczam faktu, że pewnego dnia będziemy musieli napisać całą demonologię od nowa. Naiwnością byłoby stwierdzenie, że znamy już wszystkie demony. Zresztą najdalej kilka godzin temu zabiliśmy meszę, o którego istnieniu nie mieliśmy pojęcia. Bardziej dziwi mnie to, że cały mechanizm tarana został zniszczony. Tylko ludzie potrafią tak działać.

– Kto miałby zrobić coś takiego? Na pewno nikt ze Święcina.

– Może ktoś obcy? Już raz przecież mieliście włamanie do wsi. Co prawda z mojej winy, ale nie możemy wykluczać, że coś takiego znów się stało. – Hubert zapatrzył się w pustkę.

– Jest jeszcze coś. – Iza wyrwała go z zamyślenia.

– Dawaj – odparł nieco zmęczonym głosem.

– Tamtej nocy Łukasz widział coś na palisadzie.

– Coś? – powtórzył głucho Hubert.

– Z początku myślał, że mu się przywidziało, i dopiero rano, kiedy znaleźliśmy Łuczyka, powiedział nam o tym.

– Jaki demon mógłby wspiąć się na palisadę? – Sierpień poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku, gdy tylko o tym pomyślał. Wije byłyby w stanie to zrobić, leszy też...

– Widział zaledwie kształt czegoś szarego i wielkiego...

– Co to znaczy: wielkiego? – Nieraz słyszał, jak ktoś opisywał na przykład takiego borutę jako olbrzymią bestię.

– Jak koń.

Na chwilę zapadła między nimi cisza. Z domu Hadriana dochodziły do nich dźwięki krzątania, na zewnątrz jednak panował lodowaty spokój.



– Wybierasz się gdzieś? – usłyszał Hubert, siodłając Mokkę.

Klacz zarżała radośnie na widok Henryka. Pewnie nieraz próbował przekupić ją jabłkami, stąd ta sympatia.

– Jadę na patrol.

– Co powiesz na towarzystwo?

– Będę zaszczycony. – Ukłonił się nisko.

Już szykował się do wykonania uniku, pewny, że starszy przyjaciel spróbuje trzepnąć go w głowę, ale ten tylko

westchnął znacząco.

Kilka minut później opuścili wieś i zagłębili się w chłodnym cieniu drzew.

– Mam wrażenie, że nikt oprócz mnie nie przejmuję się ewentualnym atakiem demonów – stwierdził Hubert. – Zupełnie jakby chodziło, nie wiem, o pogodę. Będzie słońce, to fajnie, rozłożymy wiaty na świeżym powietrzu, będzie padać, to zbierzemy się w domu Hadama.

– I tylko wielki łowca demonów czuje się odpowiedzialny za zapewnienie wszystkim bezpieczeństwa – dodał odrobinę sarkastycznie Henryk.

– A żebyś wiedział.

– A co mają zrobić? Nie potrafią wyczuwać ich tak jak ty. Muszą zatem pogodzić się z faktem, że w każdej chwili mogą zostać zaatakowani.

Hubert nawet nie wyobrażał sobie, jak by to było nie wyczuwać demonów. Przed nimi rósł na poboczu potężny dąb z gałęziami zwieszającymi się nad drogą. Na chwilę pojawił się na nich niewielki cień, strącając kilka starych, wyschniętych liści. Hubert odruchowo zagwizdał i sięgnął do kieszeni po kawałek szynki. Rzucił go wysoko przed siebie. Znow zaszeleściło, a mięso nie spadło już na ziemię.

– Diabeł jeden jest sprytny – ocenił Henryk.

– Dużo sprytniejszy niż Klakier – mruknął Hubert. – Z nim przynajmniej nie ma problemu przy obcych, bo po prostu się im nie pokazuje. A to durne kocisko włązi do każdej nowej osady, jakby było u siebie. Już tyle razy chcieli nas przez niego zlinczować...

Przyjaciel uśmiechnął się lekko. Jego reakcja na owinnika była przecież całkiem podobna.

– Świat się zmienia – rzucił sentencjonalnie. – A skoro już mówimy o zmianach, co postanowiliście w sprawie broni

podczas wiecu?

– Matko, ty wiesz, co to za kłótnie były? Większość osób głosowała za tym, żeby odbierać przyjezdnym broń. No bo przecież prawie w każdej nowej wsi nie ma „dzień dobry”, tylko „dawajcie karabiny”. A ty wiesz, jak ja tego nie lubię. Jesteś wtedy całkowicie zdany na łaskę gospodarzy.

– Czy wy czasem też tak nie robicie z obcymi w Dąbrówce? – Henryk zmarszczył brwi.

– Oczywiście, że tak! Ale nie zabieramy broni ludziom, których już znamy. Tak samo nie rozbierają już mnie i Ernesta w Kamiennej, Borach czy innych wsiach. A chciałbym, żeby przyjeżdżając na ten wiec, ludzie poczuli, że są w gronie przyjaciół.

Były żołnierz parsknął pod nosem.

– Dobra, brzmi to trochę górnolotnie, ale wiesz, o co mi chodzi. Poza tym padł też argument, że kiedyś na żadne większe zebranie nie wpuszczano uzbrojonych ludzi. Tylko że dawniej mało kto miał w ogóle jakikolwiek pistolet czy karabin. Ktoś rzucił, że jak wszyscy po kolacji popiją, to może dojść do jakiejś tragedii. Od ośmiu lat nie słyszałem o żadnym przypadku, żeby ktoś po pijaku kogoś zastrzelił.

Henryk mruknął cicho.

– No bo jesteśmy chyba bardziej odpowiedzialni pod tym względem niż kiedyś, prawda?

– Możliwe – przyznał mężczyzna.

– Agata upierała się, że to może być niebezpieczne, bo komuś może odbić szajba i zaatakuje innych – kontynuował Hubert. – Może jestem naiwny, ale chyba wszyscy przyjeżdżają tutaj, żeby się dogadać, a nie zabijać. No i nie wydaje mi się, żeby ktoś próbował fikać, jak wszyscy będą uzbrojeni.

– A jakiś atak z zewnątrz?

– Niby właśnie po to teraz patrolujemy okolicę. Ale dobrze by było, gdyby wszyscy byli uzbrojeni, kiedy pojawi się jakiś demon. W tyłu chłopa sobie poradzimy.

– Nie mówię o demonach.

Hubert zamilkł na chwilę. Nawet nie brał pod uwagę tego, że ktoś obcy mógłby ich zaatakować w trakcie obrad. Kopyta koni zastukały głośno na odkrytym kawałku asfaltu.

– Kto miałby to zrobić? – odezwał się w końcu. – Wszystkie najbliższe osady będą tutaj...

– Nie utrzymywaliście tego wiecu w tajemnicy – zauważył przytomnie Henryk. – Pamiętaj, że świat to nie tylko te wioski, które znacie ty i Iza. Pewnie niejedna osada, o której istnieniu nie macie nawet pojęcia, usłyszała o tym wydarzeniu.

– Ale po co mieliby zaatakować?

– Bo jeżeli się dogadacie, to będziecie stanowić całkiem znaczącą potęgę na północy kraju. Tak się tworzą państwa, które później podbijają maluczkich.

Hubertowi zabrakło argumentów. Pogładził dłonią kolbę karabinu, gdy z jego pamięci wypłynął obraz szczupłej, ubranej na czarno blondynki o zimnych oczach.

– Podobne rzeczy mówiła Alicja z tej jednostki, którą spacyfikowaliśmy.

– Bo wbrew pozorom ta kobieta pewnie wcale nie była głupia.

Sierpień wzruszył ramionami. On chciał tylko zawrzeć sojusz handlowy, poznać nowych ludzi, na których można by liczyć w ciężkich czasach. Nigdy nie planował zakładania małego państwa.

– Nie wydaje mi się, żeby ktoś miał nas zaatakować – powiedział w końcu. – A nawet jeśli, to tym lepiej, że wszyscy będziemy uzbrojeni.

– Ja tylko tak mówię. – Henryk uniósł dłonie w obronnym geście. – Warto być przygotowanym na wszystko.

Hubert zapatrzył się na drzewa w oddali. Zastanowiło go, ilu kwestii jeszcze nie wziął pod uwagę, ilu scenariuszy tego, jak potoczy się spotkanie, nie przewidział. A im więcej o tym myślał, w tym ciemniejszych barwach mieniła się dla niego najbliższa przyszłość.



Sierpniowe dni nagle przyspieszyły. Z Dąbrówki przyjechało kilka wozów z jedzeniem, pożywieniem dla koni i najróżniejszymi przedmiotami, które mogły się jeszcze przydać.

Hubert każdego ranka i wieczoru wybierał się na patrol, ale nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Zdawało się, że poza zabitymi meszą i borutą w okolicy nie było żadnych demonów.

Dziewiątego sierpnia do Piaseczna zaczęli zjeżdżać się goście. W większości były to same znajome twarze, ale również kilka nowych z osad, które zaprosiła Iza. Kolejny dzień zapowiadał się naprawdę ciepły, więc rozstawiono wiaty na łące przy domu Hadama i tam przeniesiono ławy oraz stoły. Przed zmierzchem podano kolację na świeżym powietrzu. Na razie wszyscy trzymali się raczej w niewielkich grupkach wśród swoich znajomych, z pewną rezerwą zerkając na obcych. Lecz gdy zapadł zmierzch i zapalono na stołach świece oraz kaganki, atmosfera nieco się rozluźniła.

Sierpień krążył między przyjezdnymi, chcąc porozmawiać z każdym choć przez chwilę. Towarzyszyła mu Iza.

– Hubert! – wykrzyknął na jego widok Antoni Wróblewski, sołtys z Borów. – Chodź tu!

Objął go ramieniem i siłą pociągnął w swoją stronę.

– Jak minęła wam droga? – zagadnął Sierpień.

– Wyjątkowo spokojnie. – Starszy mężczyzna sięgnął po kieliszek i nalał do niego czegoś z butelki, którą trzymał za pazuchą. – Musisz tego spróbować.

– Dziś wolałbym zachować trzeźwość umysłu – odparł z uśmiechem.

– Mojej aroniówce nikt nie odmawia!

– Jednak spasuję.

– Zawodzisł mnie, chłopie – westchnął sołtys. – Za to twoja piękna towarzyszka na pewno się ze mną napije.

Wcisnął kieliszek Izie. Dziewczyna wychyliła go bez mrugnięcia okiem.

– Właśnie miałem opowiadać, jak cię poznałem.

– Może lepiej nie? – rzucił Hubert, na co Antoni zaśmiał się rubasznie.

– Ja z chęcią posłucham – odezwała się Iza.

– Ja też – dołączył się Paweł z Kamiennej.

– To było już kilka ładnych lat temu, jak przyjechało do nas tych trzech młokosów: Hubert, Ernest i Michał, świeć panie nad jego duszą. Chcieli z nami handlować... – Mężczyzna zmarszczył brwi. – Czego wy chcieliście?

– Kilka worków pszenicy.

– Właśnie! Ale wiecie, jak to jest z obcymi. – Sołtys nalał kolejny kieliszek i podał Pawłowi. – Traktowaliśmy ich dość podejrzliwie, bo diabli wiedzą, czego po ludziach można się teraz spodziewać. Aż tu nagle jeden z nich wypalił, że mamy demona w osadzie! Wyobraźcie sobie nasze zdziwienie, bo rzeczywiście były ataki w jeziorze...

– Topielec? – zapytała Iza.

– A jak! Hubert zaproponował, że zabiją tego topielca za kilka worków pszenicy. Pomyślałem sobie, że nic nie tracimy. Dość nisko wycenili swoje usługi...

– To mogliśmy wołać więcej? – zdziwił się Hubert.

– Chłopie! Ten topielec zabił człowieka, dalibyśmy dużo więcej za jego głowę!

– Dobrze wiedzieć po fakcie – mruknął Sierpień.

– Więc mogliśmy dość tanio pozbyć się demona. Jeżeli zaś by się im nie udało, nic nie traciliśmy. A powiem wam, że nie wyglądali na specjalistów. – Sołtys pokręcił głową.

– To było dawno temu, nie miałem chyba nawet dwudziestki – bronił się Hubert.

– Wieczorem wypłynęli na jezioro – kontynuował Antoni. – „Oni tam zginą”, tak powiedział mój kolega, obserwując ich z okna. Stwierdziłem, że to była przecież ich decyzja, nikt ich do niczego nie zmuszał. Ale kumpel zaczął mnie straszyć konsekwencjami. Że rodzina zacznie ich szukać, że wywołamy wojnę między osadami. I wiecie co?

Hubert z zainteresowaniem uniósł brwi.

– Już zaczęliśmy snuć plany, jak pozbyć się waszych ciał, gdybyśmy znaleźli je rano nad wodą!

Iza parsknęła śmiechem. Sierpień się zakrztusił.

– Wóz chcieliśmy spalić, karabiny oczywiście zatrzymać i tylko z końmi mieliśmy problem. No bo szkoda zabijać zwierzęta, które mogłyby nam się przydać, ale baliśmy się, że gdyby was szukali, mogliby poznać konie.

– Nie wierzę. – Hubert pokręcił głową.

– I jak to się skończyło? – zapytał Paweł.

– Myślałem, że zawału dostanę, jak w środku nocy zaczęli walić mi do drzwi. Otworzyłem je i zobaczyłem ich przemoczonych, brudnych i trupio białych. Ale topielca nie

dość, że zabili, to jeszcze wyłowili z wody jako dowód. Byłem naprawdę pod wrażeniem.

– Taa, bo nie musiałeś już myśleć, co zrobić z naszymi ciałami.

– Powiem wam, że to był najlepszy interes, jaki ubiłem w życiu. Zabicie demona za kilka worków pszenicy. Kilka worków! – westchnął sołtys.

– Zawsze mówiłem Ernestowi, że nie umie się targować – stwierdził Hubert.

– Chłopie, ty wyglądałeś, jakbyś chciał utłuc tego topielca za darmo!

Sierpniowi zabrakło słów. Antoni się nie mylił.

– Ale ta noc zaowocowała przyjaźnią między nami i Dąbrówką, a tego nie da się wycenić. – Sołtys z uznaniem poklepał chłopaka po ramieniu.

Wróblewski chwilę później wdał się z Pawłem w dyskusję o wyższości broni białej nad palną, Hubert i Iza zaś dyskretnie się oddalili.

– Szkoda, że nie widziałam cię za czasów początku twojej kariery jako łowcy demonów – rzuciła wesoło.

– Nie sądzę, że było na co popatrzeć – odparł ze wzruszeniem ramion. – Gówniarz, któremu wydawało się, że zna się na demonach i będzie w stanie je zabijać. Czasem gdy wspominam to, co wtedy wyprawiałem, dziwię się, że jeszcze żyję.

Iza lekko zacisnęła palce na jego obandażowanym przedramieniu. Rana po nożu dobrze się goiła, ale mimo wszystko syknął z bólu.

– A mnie się wydaje, że ty nadal nie wyrosłeś z tego okresu.

Powoli kierowali się w stronę kolejnej grupki rozprawiającej o czymś wesołym, sądząc po gromkich wybuchach śmiechu, gdy na drodze stanął im Kajetan.

– Widzieliście Maję?

Oboje pokręcili głowami.

– Od pół godziny jej szukam, a miała pomóc przy zmywaniu naczyń po kolacji.

Hubert się zaniepokoił. Czyjeś zniknięcie bardzo często kończyło się znalezieniem tej osoby martwej w lesie.

– Kiedy ostatni raz ją widziałeś? – zapytał.

– Bo ja wiem... – Kajetan podrapał się po głowie. – Dawno, jakoś po południu.

Sierpień przeszedł kilka metrów, oddalając się od stołów, i stanął przodem do lasu, wciągając głęboko do płuc wieczorne powietrze.

– Jest możliwość, że urwała się z przygotowań do kolacji i całego sprzątnięcia po niej? – zapytała Iza.

Hubert powoli pokręcił głową niepewny.

– Ja bym tak zrobiła. Może nie przepada za tłumami?

– To nie jest tłum. – Kajetan machnął ręką w stronę wiat.

– Pojęcie tłumy zmieniło znaczenie po wojnie – przypomniała dziewczyna. – A dodajcie jeszcze do tego niedawną tragedię...

Spojrzała wymownie na Huberta. Tuż po przyjeździe do Piaseczna wyciągnęła od niego wszystko, co wiedział o Mai.

– Masz rację. – Skinął głową. – Ale mimo wszystko powinniśmy jej poszukać. Tylko nie chcę na razie podnosić alarmu. Ty szukaj odtąd do starego sklepu – zwrócił się do Kajetana. – A ty – spojrzał na Izę – od sklepu do kapliczki przy drodze. Ja przejdę się po obrzeżach wsi.

Już mieli się rozejść, kiedy Hubert się zatrzymał.

– Macie broń? – zapytał.

Oboje przytaknęli.

– Tylko nie postrzelcie któregoś z gości – przypomniał.

– Przynajmniej byłoby mniej do zmywania – zażartował Kajetan.

Sierpień pokręcił głową i oddalił się od stołów. Otoczył go półmrok rozświetlany przez ubywający księżyc. Słyszał stłumione rozmowy, ktoś wybuchnął śmiechem. Tutaj, z dala od bawiących się, miał wrażenie, jakby noc była zimniejsza. Postawił kołnierz od bluzy mundurowej, karabin był chłodny w dotyku. Na obrzeżach osady minął się z Woźnicą, który pełnił wartę, jednak myśliwy również nie widział Mai.

Hubert zaglądał do ogródków, sprawdzał w pustych domach, ale po dziewczynie nie było nawet śladu. Z każdą minutą martwił się coraz bardziej. Nie znał jej zbyt dobrze, nie miał pojęcia, czego może się po niej spodziewać. Byłaby na tyle nierozsądna, żeby po zmroku zbliżyć się do lasu? Okrążył całą wieś i stanął przed domem Hadama. Kajetan na pewno już tam szukał, ale nie zaszkodzi sprawdzić jeszcze raz.

Pchnął ciężkie drzwi do wtóru skrzypnięcia zawiasów. Na palenisku dogasał ogień, malując na ścianach ruchome cienie. Przy kuchence i ruszcie leżały brudne garnki i patelnie, których nikt nie zdążył sprzątnąć po kolacji.

– Jest tu kto? – zapytał głośno.

Coś zaszeleściło na antresoli.

– Hej?

Usłyszał stuknięcie i ciche przekleństwo. W końcu przez barierkę wychyliła się głowa Mai.

– Co ty tam robisz? – zdziwił się.

– Szukałam cieplejszej bluzy, bo zrobiło się chłodno – odparła, po czym zeszła na parter.

– Wszędzie cię szukamy.

– Co? Kto? – zdziwiła się.

– Ja, Iza i Kajetan.

– Ale po co? – Zrobiła wielkie oczy.

– Bo się ponoć urwałaś ze zmywania naczyń, co bardzo zaniepokoiło Kajetana.

Dziewczyna rzuciła spojrzenie w bok, na drzwi.

– No dobra, nie miałam już siły ani ochoty na zmywanie. Myślałam, że poradzą sobie beze mnie, na chwilę się ukryłam i chyba przysnęłam. Nie wiedziałam, że od razu zaczniecie poszukiwania.

– Spoko, rozumiem. – Machnął ręką. – Chodźmy go uspokoić. – Przepuścił ją w drzwiach i odruchowo spojrzał w dół. – Gdzie ty się ukrywałaś, że masz takie ubłocone buty?

– Co? – Zerknęła na swoje podeszwy. – Trochę krążyłam po ogródkach... Dawno nie widziałam tylu nowych twarzy i... jakoś tak...

– Dobra, nie musisz się tłumaczyć. Teraz poszukajmy Izy i Kajetana.



Przed północą wszyscy porozchodzili się do domów. Mieszkańcy Dąbrówki posprząтали ze stołów i sami udali się na spoczynek.

– Nie idziesz do środka? – usłyszał Hubert. Stał na wzniesieniu tuż przed domem Hadama i patrzył na usypiającą osadę. Widział w oknach po kolei gasnące płomyki świec.

– Jeszcze chwila – odparł, nie oglądając się za siebie.

Iza podeszła bezgłośnie i stanęła u jego boku. Owionął go zapach ziół i prochu, poczuł bijące od niej ciepło. Powoli wysunął rękę w bok i ją objął. W pierwszej chwili zadrżała; już był pewien, że zaraz się odsunie, lecz ona oparła głowę o jego ramię.

– Cieszę się, że jesteś tu ze mną – szepnął. I nie miał na myśli jedynie wiecu w Piasecznie. Przy niej nawet koniec

świata nie wydawał się już taki straszny.

– Ja też – odparła po chwili.

Przez dłuższy czas stali tak razem, patrząc na ciemną wieś, aż Iza przestąpiła z nogi na nogę. Usłyszał, jak bierze kilka głębszych wdechów.

– Co zrobimy później? Jesienią? – zapytała cicho.

Wiedział, o co jej chodziło. Nawet jeśli wiec zakończy się sukcesem, jeśli nawiążą sojusze i zaczną budować trakty łączące osady, gdzieś będą musieli spędzić zimę. A każde z nich czuło się odpowiedzialne za swoją wieś i bliskich.

– Dopiero co przyjechałaś, a już się tym przejmujesz – rzucił lekko. Już nie pamiętał, jak martwił się o nią przez ostatnie tygodnie. – Mamy jeszcze mnóstwo czasu.

Iza jednak pokręciła głową.

– Właśnie że nie. Nigdy nie wiesz, ile ci zostało.

W tych kilku słowach kryły się lodowate szpile, które wbiły się prosto w jego umysł i serce, nie dając już o sobie zapomnieć.



Z samego rana do Piaseczna przyjechali Albert, Zuza i Górski.

– A gdzie mama? – zapytał Ernest, wychodząc im naprzeciw.

– Musiała zostać z dziećmiakami – burknął jego dziadek, zerkając na rudą wnuczkę. – Bo ktoś stwierdził, że nie może przegapić wiecu.

– Co zrobisz, uparł się jak koń – westchnęła Zuza, po czym wyminęła ich i skierowała się do stajni, ciągnąc za sobą Arkę, łaciatą klacz, która urodziła się w Dąbrówce cztery lata po

wojnie i stosunkowo niedawno została przyuczona do jazdy pod siodłem.

Hubert nie mógł powstrzymać parsknięcia śmiechem, za co starszy pan trzepnął go po głowie.

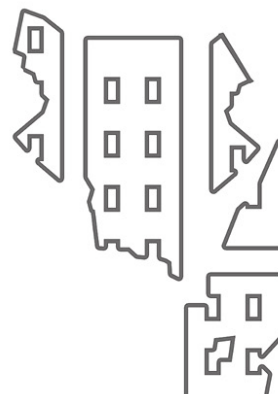
– Daj, dziadku, swojego konia, zajmę się nim. – Ernest ruszył za siostrą.

Górski spojrzał wymownie na Sierpnia i wyciągnął w jego stronę rękę trzymającą wodze wierzchowca.

– Nie ma mowy. – Hubert cofnął się o krok. – Teraz rodzeństwo będzie miało bardzo poważną rozmowę w stajni, nie zamierzam im przeszkadzać. A zresztą idę witać nowych gości – wykręcił się, widząc na horyzoncie kolejnych jeźdźców.

Okazało się, że było to przedstawicielstwo z Duszników, z Joanną Ciesielską, była nauczycielką Huberta, na czele. Niedługo po nich zaś przyjechała mała grupka z Gniazda, jednej z dzielnic Poznania, pod dowództwem Kruka.





## Rozdział IV

Hubert poczuł, jak ktoś złapał go za rękę i ścisnął mu palce. Zerknął w bok. Iza stała u jego boku z uśmiechem na twarzy. Jej policzki zaróżowiły się lekko, oczy błyszczały. Odwzajemnił uścisk, po czym oboje cofnęli dłonie. Wiedział, że przepełniała ją taka sama duma. Udało im się to osiągnąć. Spędzili długie tygodnie w drodze, całymi godzinami rozmawiali z upartymi ludźmi, aż w końcu przekonali dowódców dziesięciu osad, aby opuścili bezpieczne domy sami lub wyznaczyli wysłanników i przejechali wiele kilometrów, żeby się tu spotkać. Tak naprawdę Hubert przez cały ten czas nie dowierzał, że wiec dojdzie do skutku. Był pewien, że coś stanie im na drodze, że coś pójdzie nie tak.

Dopiero teraz mógł z całą pewnością przyznać, że tego dnia zaczną tworzyć nowy świat.

– Dzień dobry – zabrał głos Ernest. – Nawet nie wyobrażacie sobie, jaki jestem szczęśliwy, że widzę tutaj was wszystkich.

Zebrani pokiwali głowami.

– Mam nadzieję, że dziś nawiążemy nowe znajomości, zdobędziemy przyjaciół, na których będziemy mogli liczyć w trudnych czasach, i stworzymy sojusze, które będą trwały nierozzerwalnie przez długie lata.

Ktoś zagwizdał donośnie. Hubert nie był pewien kto, ale zauważył, że Teresa klepnęła swojego syna w głowę. Kilka osób zaczęło klaskać, najpierw nieśmiało, ale po chwili dołączyli do nich pozostali.

– Nazywam się Ernest Brzeski. Huberta Sierpnia wszyscy znacie, a jak nie, to na pewno o nim słyszeliście. – Kilka osób uśmiechnęło się pod nosem. – Pochodzimy z Dąbrówki. Oferujemy usługi łowców demonów, mamy u siebie bardzo dobrą pielęgniarkę i genialnego kowala. – Martyna wstała i skinęła zebrany głową. – Możemy handlować wędzonymi rybami, zbożem i najróżniejszymi sadzonkami.

W ciągu kilku minut opowiedział o wszystkim, co miała do zaoferowania Dąbrówka. Hubert zauważył, że kilka osób robiło notatki. Później głos zabrała Iza, w podobny sposób przedstawiła Świącino. Po niej odzywali się kolejno pozostali dowódcy lub przedstawiciele innych osad.

– Trochę sztucznie to wychodzi – szepnął Hubert wprost do ucha Izy.

Przytaknęła skinieniem głowy.

– A dziwisz się im?

Nie dziwił. To było pierwsze spotkanie na tak szeroką skalę po ostatniej wojnie. Większość zebranych od ośmiu lat nie widziała tylu nowych twarzy naraz. Z jednej strony chcieli jak najlepiej się zaprezentować, udowodnić, jak dobrze sobie radzą, a z drugiej starali się zachować pewną ostrożność wobec obcych.

Podczas przerwy na obiad atmosfera nieco się rozluźniła, ale nadal daleko jej było do swobodnej. Po posiłku Hubert

podszedł do Antoniego Wróblewskiego.

– Nie masz czasem jeszcze trochę tej swojej nalewki? – zapytał półgębkiem.

– A co, dziś już nie musisz zachować trzeźwości umysłu? – zakpił sołtys Borów.

– Nie chodzi o mnie, ale co drugiemu przydałaby się jako lekarstwo na kij w tyłku.

Antoni powiódł wzrokiem po ludziach, którzy choć nadal zebrani na jednym placu, dyskutowali cicho w niewielkich grupkach.

– Wychlali mi wszystko wczoraj – pożałił się.

– Wychlali? – powtórzył Hubert, zerkając na zaczerwienione i podkrążone oczy mężczyzny.

– Przecież mówię – burknął. – Za rok trzeba by zorganizować konkurs nalewek. Zobaczysz, że wygram.

Sierpień uśmiechnął się pod nosem. Jeszcze kilka tygodni temu stary sołtys zarzekał się, że nie ma najmniejszej potrzeby opuszczania Borów, a teraz już sam ma plany co do kolejnego wiecu.

– Niezła propozycja – odparł. – Pomyślimy nad tym.

Przeszedł kawałek dalej i zobaczył Zużę, która leżała w poprzek na stole. Jej rude loki spływały z drewnianego blatu ku ziemi. Lekko machała wiszącymi w powietrzu stopami.

– Wygodnie ci? – zagadnął ironicznie.

– Niezbyt – odparła. Jej zielone oczy były utkwione w baldachimie, ale wyglądała, jakby wcale nie dostrzegała szarego materiału.

– Nie potrzebują cię czasem przy zmywaniu po obiedzie albo przygotowywaniu kolacji?

– Pewnie tak, ale mam ważniejsze sprawy na głowie.

Zawiał lekki wiatr, poruszając jej lokami.

– To znaczy?

– Patrolowanie okolicy.

Nie był do końca pewien, czy sobie z niego żartowała, czy rzeczywiście sprawdzała ewentualną obecność demonów w pobliskich lasach.

– Oho, zaraz będziesz miała kolejną aferę – rzucił, widząc Ernesta nadchodzącego z pochmurną miną.

– Zuza! – syknął Brzeski. – Złaż ze stołu!

– Nie.

– Zachowujesz się jak dzieciak!

Ernest rozejrzał się, jakby się obawiał, że zaraz ktoś zwróci mu uwagę na karygodne zachowanie siostry. Dziewczyna przez chwilę zupełnie go ignorowała, lecz nagle się podniosła.

– Nie jesteśmy w lesie sami – powiedziała. Jej wzrok był zamglony.

– Że co? Jakies demony? – Hubert natychmiast poczuł, jak wszystkie jego mięśnie się spinają.

– Żadnych demonów – rzuciła. – Tylko Platon.

Zeskoczyła ze stołu i odeszła. Ernest sapnął gniewnie.

– I po co się wściekasz? – Sierpień wzruszył ramionami. – Nie zmienisz jej. Ludzie muszą zaakceptować ją taką, jaka jest. A poza tym zobacz, jakoś nikt się nie przejął dziewczyną leżącą na stole.

– Ja się przejąłem – burknął Brzeski.

– Ty się nie liczysz.

Po przerwie wznowiono rozmowy. Każdy przedstawiciel podał dokładne współrzędne swojej osady, żeby inni mogli pozaznaczać je na swoich mapach. Rozpoczęła się dyskusja na temat szlaków między zamieszkałymi wsiami. Hubert był przekonany, że w tej kwestii nie pojawią się żadne spory. I częściowo się nie mylił. Razem z Ernestem mieli swoje ulubione drogi, którymi podróżowali już od lat. Odkrywali je

sami albo zostały one im polecane przez miejscowych. Trochę zamieszania powstało, kiedy ludzie zaczęli nanosić je na mapy, ale i z tym sobie poradzili.

– No dobrze, a kto będzie dbał o te szlaki? – zapytała Teresa z Kamiennej.

– Co jakiś czas każda osada powinna wysłać kogoś, żeby sprawdził ich przejezdność – powiedział Ernest, po czym się zastanowił. – Dajmy na to... do połowy. Czyli na przykład jeśli będzie jakaś wichura, na drogę spadnie drzewo, to my wyślemy z Dąbrówki ludzi, którzy uprzątną połowę drogi, a druga połowa należy do was.

– Przepraszam bardzo – odezwał się dowódca Orlej. – My znajdujemy się pomiędzy trzema osadami. Czy to oznacza, że mamy dbać aż o trzy różne drogi?

– A my do Dąbrówki mamy ze sto kilometrów – dodał sołtys Maciej z Duszników. – Sprzątanie takiej trasy to czyste przegięcie.

– Jak wam się nie podoba, to nie musicie sprzątać, jeździć i handlować z innymi – powiedział Albert.

– Nie o to chodzi. – Joanna Ciesielska, była matematyczka, położyła uspokajająco dłoń na ramieniu swojego towarzysza. – Nie brakuje nam dobrej woli, ale rąk do pracy. Nie możemy pozwolić sobie na wysyłanie kilku ludzi w taką trasę po każdej wichurze. Już bardziej opłacalnie dla nas byłoby wysłać ich w poszukiwaniu niesplądrowanych miasteczek.

– A może to ludzie, którzy będą jechali danym szlakiem, powinni usunąć po drodze wszelkie przeszkody? – zaproponował Henryk.

– A w razie większych kłopotów mogą prosić o pomoc najbliższą osadę – dodał Antoni Wróblewski.

– Wszyscy za? – zapytał głośno Ernest.

Zebrani pokiwali głowami.

– Nikt przeciw? – upewnił się Brzeski. – Zatem pora nanieść na mapy domy nadające się na nocleg w trasie. My mamy kilka propozycji, ale śmiało mówcie, jeśli znacie lepsze miejsca.

Dyskusja rozgorzała na nowo. Trzeba było omówić kwestię oznakowania takich miejsc, dbania o nie, wyposażenia ich w drewno, a może nawet suchy prowiant...

Zebrani zaczęli się kłócić i przekrzykiwać. Prawie każdy miał inną wizję.

– Ludzie! – Albert nagle podniósł się z krzesła. – Własnych myśli nie słyszę!

Wiek zrobił swoje. Poza tym dziadek Brzeski miał w sobie wystarczająco dużo charyzmy, żeby wszyscy zamilkli.

– Pamiętajcie, że robimy to dla siebie – przypomniał. – Nie dla obcych, ale dla nas. Może bardziej dla was, bo ja jestem już za stary, żeby zbyt często opuszczać Dąbrówkę. Ale kiedy znów to zrobię, z przyjemnością wyciągnę nogi pod nieprzeciekającym dachem i ogrzeję kości przy drożnym kominku.

Wśród zebranych poniósł się pomruk aprobaty.

– To jak będziemy znakować te domy? – zapytał Albert, siadając.

Hubert ziewnął przeciągle. Późno poszedł spać, potem martwił się tym, co powiedziała mu Iza, a gdy w końcu zasnął, znów miał koszmary o zniszczonych osadach i człowieku ze skrzydłami z ognia. Wtem dostrzegł w oddali Zużę przechadzającą się po łące poza osadą.

– Zaraz wracam – szepnął, nachylając się do ucha Ernesta.

Kumpel machnął przyzwalająco ręką. Iza zerknęła na niego pytająco, ale uspokoił ją gestem, po czym ruszył w dół zbocza. Miło było wreszcie rozprostować nogi i kręgosłup. Nie przypuszczał, że podczas rozmów może pojawić się aż tyle

kwestii spornych. Przecież wszystkim zależało na sojuszu, prawda? Szkoda tylko, że każdy miał inne pojęcie na temat tego, jak powinien on wyglądać.

Zuza stała plecami do niego i całej osady. Opuściła dłonie, głowę lekko zadarła, wiatr delikatnie głaskał jej loki. Hubert stanął u jej boku i przyjrzał się twarzy dziewczyny. Miała porcelanową cerę naznaczoną piegami na nosie. Zamknęła oczy, a jej długie rzęsy zdawały się rzucać cień na policzki.

– W jego miejsce przyjdzie kolejny – odezwała się, nie unosząc powiek.

Huberta zdziwiło, że od razu domyśliła się, że to on do niej podszedł.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Demona, którego zabiłeś.

– Meszę?

Skinęła głową. Sierpień wziął kilka głębszych wdechów, ale nic nie wyczuwał.

– Skąd wiesz? – zapytał po chwili.

Zuza wzruszyła ramionami i pomaszerowała dalej przez łąkę. Hubert obejrzał się na wiaty na wzgórzu, a następnie podążył za nią. Sam nie wiedział dlaczego, ale w tej chwili wolał być z Zuzą zamiast na wiecu.

– Jak tam twoje koszmary? – zapytała po chwili.

– Jakie kosz... – zaczął, ale przerwała mu gestem.

– Śpimy pod jednym dachem, choć ostatnio zdarza się to dość rzadko. A ja nie jestem ani ślepa, ani głucha.

– I wiesz znacznie więcej, niż ktokolwiek by podejrzewał – dodał. – Czy za każdym razem, kiedy nie wiemy, gdzie jesteś i co robisz, siedzisz sobie tak naprawdę gdzieś w kącie i wszystkich podsłuchujesz?

– Może. – Zerwała kilka niebieskich chabrów i zaczęła wplatać je sobie we włosy. – To jak z tymi koszmarami?

– Śni mi się, że świat się kończy – odparł po chwili wahania. Na ten temat rozmawiał tylko z Ernestem. Izie jeszcze nic nie powiedział, ponieważ nie miał ani czasu, ani okazji, poza tym trochę się krępował.

– Nie byłby to pierwszy raz.

Taka właśnie była Zuza. Komentarz rzucony niby przypadkiem, niby bez większego znaczenia, a trafił w najczulszy punkt.

– Wszystko zaczęło się w miarę układać – podjął. – Nawet ten wiec się udał. – Machnął ręką w stronę wzgórza. – Iza wróciła... Jest niemal idealnie, na tyle, na ile oczywiście to możliwe. Boję się, że nagle wszystko znów zacznie się sypać, zginą ludzie, mój dom spłonie, a ja obudzę się...

Nawet nie mógł dokończyć zdania.

– W Paryżu. – Zuza zrobiła to za niego.

O tym nie wiedział nawet Ernest. Huberta paraliżowało na samą myśl, że znów wpadłby w to błędne koło, że znów mógłby mieć siedemnaście lat i musiałby na nowo przeżyć koniec świata, śmierć matki i innych. Poza tym nie chciał utracić tego, co miał w tej chwili.

– Nie wierzę, że dzięki snom można przepowiedzieć przyszłość – prychnął. – Ale całkiem logiczne jest to, że odzwierciedlają one nasze codzienne obawy.

– A łowca demonów boi się nie samych potworów, ale tego, że ich nie będzie.

– Tak daleko bym nie wybiegał. – Pokręcił głową.

Zaczął się zastanawiać, czy fakt, że tylko Zuza, która – delikatnie mówiąc – nie była do końca normalna, potrafiła tak dobrze go zrozumieć, nie robił i z niego wariata.

– Muszę wracać. – Machnął dłonią w stronę wzgórza. – Bo jeszcze poczynią jakieś ważne postanowienia beze mnie.

Odłączył się od Zuzy, trawa i chwasty zaszeleściły pod jego butami. Zrobił jednak zaledwie kilka kroków.

– Czy mój brat wie, że nie wierzysz w jego wytłumaczenie tamtego snu o Świącinie?

Zatrzymał się gwałtownie i obejrzał na dziewczynę.

– Mało kto uwierzyłby w ten pseudonaukowy bełkot – rzucił lekko. – Patroluj dalej, a jak coś będzie się działo, wołaj mnie.

Zuza skinęła głową i ruszyła dalej przed siebie. Wyjęła z włosów jednego chabra i zaczęła po kolei wyrywać z niego płatki.

*A sądziłem, że oszukałem wszystkich.* Pokręcił głową. Na co dzień udawał, że zapomniał o tamtym śnie czy wizji, która rzuciła go siedem lat wprzód do Świącina. Nawet samego siebie omamił i starał się w ogóle o tym nie myśleć. Jednak niewiedza na temat tego, dlaczego to wszystko się stało i w jaki sposób, dobijała go. Była jak drzazga gdzieś głęboko pod skórą. Czasem o niej zapominał, ale gdy tylko zaczynał o niej myśleć, bolała i drażniła tak bardzo, że chciałby rozorać głęboką bruzdę we własnym ciele, byleby tylko się jej pozbyć.

Prawie nikt nie zwrócił na niego uwagi, kiedy usiadł na swoim miejscu przy stole.

– Semaforey! – zawołał Paweł Kamiński z Lipczynka.

– Coś mnie ominęło? – szepnął Hubert do ucha Izy.

– Właśnie rozkminiają sposoby komunikacji – powiedziała cicho.

– I jak im idzie?

– Jak widać. – Wskazała wzrokiem zebranych. Niektórzy mieli miny sceptyczne, inni dość krytyczne, a jeszcze inni najwyraźniej nie rozumieli, o czym mowa.

– No ludzie! Chodzi mi o telegraf optyczny! – zdenerwował się sołtys Lipczynka.

– System wież z ruchomymi ramionami? – odezwała się Teresa z Kamiennej. – Teoretycznie nie jest to trudne do wykonania. Jednak wyobraź sobie, jakim przedsięwzięciem byłoby zbudowanie samych semaforów. Później zaś w każdym z nich musiałyby na stałe przebywać co najmniej dwóch ludzi...

– U nas każdy ma ręce pełne roboty – dodała Ciesielska. – Jest nas zbyt niewiele.

– A telegraf elektryczny? – zaproponował Albert. – W teorii jest on dość prosty do wykonania. Można by wykorzystać dawne linie energetyczne...

– Wykonalne? – zapytał cicho Ernesta Sierpień.

Brzeski powoli pokiwał głową.

– Nie jestem pewien, jak telegraf dokładnie działał, ale metodą prób i błędów... albo ktoś mądrzejszy od nas...

Tyle wystarczyło Hubertowi. On się na tych rzeczach kompletnie nie znał, ale ufał kumpłowi. Tuż po ostatniej wojnie wielu ludziom wydawało się, że odbudowanie cywilizacji to kwestia kilku lat. Przecież ludzie już raz skonstruowali niesamowite maszyny, odtworzenie ich nie powinno zatem być żadnym problemem. Okazało się jednak, że choć prawie wszyscy mieli komputery i telefony komórkowe, mało kto tak naprawdę wiedział, jak one działały. Stworzenie najprostszych urządzeń graniczyło z cudem, nawet gdy korzystało się z pozostałości po dawnym świecie. Ponadto brakowało rąk do pracy. Ludzie wciąż myśleli o tym, jak przeżyć kolejną zimę, ustrzec się przed atakami demonów czy innych ludzi. Nie mieli czasu na to, aby poświęcić całe godziny, dni czy tygodnie na konstruowanie rzeczy, które nie były bezpośrednio konieczne do przetrwania.

Po jakiejś godzinie zarzucono temat telegrafu. Ustalono, że jeśli ktokolwiek zbuduje choćby namiastkę urządzenia, które

wyda się obiecujące, inne osady przyłączą się do stworzenia sieci komunikacyjnej.

Później Kruk poruszył pewną kwestię, o której Hubert wcześniej nie myślał.

– Wy na północy się znacie – powiedział przywódca Gniazda.

– My raczej też. – Skinął głową w kierunku przedstawicieli wsi z okolic Poznania. – Ale nie chciałbym sytuacji, w której zastrzelicie na przykład mojego posłańca, bo ten akurat nie był na wiecu. Oczywiście tak samo w drugą stronę.

– Wystarczy, że człowiek się przedstawi, że jest z Gniazda – powiedziała Teresa ze wzruszeniem ramion. – To nie będziemy strzelać.

Kruk spojrzał porozumiewawczo na dwójkę swoich towarzyszy. Tamci skinęli głowami.

– Nie tylko my mieszkamy w Poznaniu. Jest tam pewna banda... pomyleńców.

Hubert ledwo powstrzymał się, żeby nie parsknąć. *Banda pomyleńców – co za ładne określenie na tamtych fanatyków!*

Może to był tylko sen, może i minęło od niego wiele lat, ale do tej pory doskonale pamiętał ten obłęd w oczach Łazarzy. To byli ludzie, z którymi się nie pertraktowało. Oni najpierw strzelali, a później... nie, oni nawet nie zadawali pytań. Bo i po co, skoro to siebie uważali za wybrańców, a reszta świata była skazana na zagładę?

– Daję głowę, że usłyszeli zarówno o naszym wiecu, jak i o osadach na północy – kontynuował Kruk. – Zazwyczaj nie opuszczają swoich terenów, ale nie chciałbym, żeby przyjechali tutaj, przedstawiając się jako ktoś od nas. To mogłoby zrodzić niepotrzebny... konflikt.

– Glejty – odezwał się Albert. – Albo coś w tym rodzaju. Każdy posłaniec powinien mieć przy sobie coś, dzięki czemu

będzie można go zidentyfikować. A przynajmniej osadę, z której pochodzi.

– To musiałyby być jakaś pieczęć, którą trudno podrobić. – Kruk podrapał się po brodzie.

– Nie wydaje mi się, żeby Łazarze od razu chcieli bawić się w fałszerzy – powiedział Hubert, za co mieszkańcy okolic Poznania zgromili go wzrokiem. – Ale warto przemyśleć tę kwestię – dodał pośpiesznie.



Obrady trwały do późnego wieczora. Ustalono wiele ważnych kwestii, czasem co poniektórzy dali się ponieść wyobraźni i snuli marzenia o wymianie uczniów u na przykład kowala czy lekarza. Były to jednak plany na bardzo odległą przyszłość.

Przed zmierzchem podano kolację, podczas której królował dzik nadziewany kaszą. Hubert był dumny z mieszkańców Dąbrówki, że jak na razie wszystko udało im się tak sprawnie zorganizować. Przyjezdni wydawali się zadowoleni z tego, jak zostali ugoszczeni, i już zaczęli napomykać o spotkaniu za rok.

– Tyle jeżdżenia, załatwiania, czekania... I co, jutro czeka nas taki sam dzień, a później będzie już po wszystkim – odezwał się Hubert, kończąc jeść solidny kawał dzika.

– A co byś jeszcze chciał? – zapytał Ernest.

– Nie wiem, ale wyszło jakoś tak... normalnie. Było trochę gadania, teraz impreza. Jeśli za parę lat ktoś miałby napisać książkę historyczną o tym wiecu, to w sumie nie za bardzo jest o czym.

– Myślisz, że kiedyś odbywało się to inaczej? – zagadnęła Iza.  
– Na pewno wyglądało inaczej w podręcznikach od historii.  
– Na następny wiec możemy naszabrować fajerwerki, jak chcesz to zrobić z większym rozmachem – zażartował Ernest.  
– Możemy też odprawić jakąś ceremonię – podchwyciła temat Iza.

– Jak chcecie, to się nabijajcie, ja i tak czuję niedosyt – stwierdził Hubert.

Zgarnął z talerza resztkę kaszy i odchylił się na krześle.

– O cholera – rzucił, kiedy poczuł obecność demona. – Ale nie o to mi chodziło.

Iza i Ernest podążyli za jego spojrzeniem. Na polanę wkroczyła Zuza, przy niej zaś wiernie szedł Klakier. Huberta ogarnęła myśl, że dziewczynie brakuje tylko kapelusza i miotły, a mogłaby uchodzić za czarownicę.

Skierowała się prosto w ich stronę, usiadła obok Izy i zrobiła miejsce na ławie dla swojego pupila.

– Miałaś go tu nie przyprowadzać! – syknął Ernest.

– Był głodny. – Zuza sięgnęła po kawałek mięsa z talerza Izy i podała go owinnikowi.

– To mógł sobie coś upolować!

Hubert widział kolejne głowy obracające się w ich stronę. Północne osady doskonale znały Klakiera, obawiał się jednak reakcji nowych znajomych spod Poznania.

Kruk gwałtownie poderwał się z krzesła i położył dłoń na kolbie pistoletu wsuniętego do kabury. Na razie chyba nie był pewien, co to za istota zasiadła za stołem, ale właśnie wtedy kot spojrział na niego czerwonymi ślepiami. Hubert za plecami Izy wysunął dłoń w stronę demona i poczuł ciepło. Owinnik nie lubił, kiedy ktoś mierzył do niego z broni.

Kolejne dwie osoby podniosły się, gotowe stawić czoła demonicznemu przeciwnikowi.

– Klakier! – zawołał nagle Antoni. – Ty stary diable! Ciebie też skusił zapach dzika?

Mężczyzna podszedł do kota i podrapał go za uszami.

– Ależ się gorący zrobiłeś! Kruk! Chodź tu! – Wróblewski machnął ręką w stronę przywódcy Gniazda. – Założę się, że jeszcze w życiu nie widziałeś hodowlanego demona!

Atmosfera nieco się rozluźniła. Przywódca Gniazda stał przez chwilę niezdecydowany w miejscu, ciekawość jednak zwyciężyła. Odprowadzany wzrokiem przez pozostałych, którzy nie mieli jeszcze przyjemności poznać Klakiera, zbliżył się do demona.

Owinnik zasyczał gniewnie.

– Ja bym zdjął rękę z pistoletu – poradził Hubert.

Kruk opuścił obie ręce wzdłuż ciała, sekundę później splótł je na piersi, a potem oparł dłonie o biodra.

– Klakier to owinnik, który mieszka z nami od małego – wyjaśnił Ernest. – Nie jest niebezpieczny, ale nie przepada za tym, jak ktoś mu grozi.

– A ja mam wrażenie, że wręcz przeciwnie – odezwał się Hubert. – On uwielbia być w centrum zainteresowania. I kocha wywoływać wokół siebie zamieszanie.

Zuza podsunęła demonowi pod nos kolejny kawałek dzika. Iza zabrała swój talerz i zaczęła jeść to, co jej jeszcze zostało.

Kruk nie ośmielił się dotknąć Klakiera, ale wystarczyło, że nie zaczął panikować ani krzyczeć, że ma do czynienia z bandą wariatów. A gdy postanowił tolerować jego obecność wśród ludzi, inni podążyli jego śladem.

Było już ciemno, kiedy Hubert musiał udać się na stronę. Wracając, spotkał Kajetana, który patrolował wieś.

– Cisza i spokój – rzucił chłopak. – No, może z małymi wyjątkami. – Wskazał brodą wzgórze, gdzie przy świetle świec

biesiada trwała w najlepsze. – Mam tylko nadzieję, że ktoś odłożył mi trochę tego dzika.

Sierpień zrobił głupią minę.

– Na pewno ktoś o tym pomyślał – zapewnił.

W oddali rozległ się nieco ochrypnięty gwizd. Obaj zwrócili się twarzami w kierunku czarnej ściany lasu.

– I masz nawet towarzystwo podczas warty – powiedział Hubert.

– Nie jestem pewien, czy się z niego cieszę. I czy ostrzegłby mnie przed jakimś atakiem.

Opinia tchórza już chyba na stałe przywarła do Platona.

Nagle gwizd urwał się gwałtownie.

– Dlaczego to brzmiało, jakby coś go dorwało? – zapytał Kajetan.

Jego oczy zrobiły się nienaturalnie wielkie, a twarz blada.

– Przestraszył się czegoś – stwierdził Hubert.

– Mam nadzieję, że nie jakiegoś wielkiego demona. Wystarczy mi blizn po tym biesie, który dorwał mnie zimą.

Sierpień pokręcił głową. Nie miał pojęcia, co mogło aż tak wystraszyć Platona. Czasem miał wrażenie, że leszy bał się nawet własnego cienia. Na wszelki wypadek towarzyszył Kajetanowi podczas obchodu wsi, a dopiero później dołączył do zabawy na wzgórzu. Paweł znów przykleił się do Izy i zaczął opowiadać jej o swoim ostatnim polowaniu. Hubert z rozbawieniem obserwował jej znudzoną minę, kiedy słyszała tę samą historię już trzeci raz. W końcu postanowił się nad nią zlitować i jej pomóc.

– Zuza czegoś od ciebie chciała – rzucił, podchodząc do tej dwójki.

Iza posłała mu spojrzenie pełne wdzięczności.

– Gdzie ona jest?

– Zaprowadzę cię. Wydaje mi się, że Ernest był zainteresowany tym polowaniem – zwrócił się do Pawła.

Chłopak z Kamiennej skinął głową i zaczął rozglądać się za wysokim rudzielcem.

– Naprawdę go lubię – odezwała się cicho Iza. – Ale daru do opowiadania to on nie ma za grosz. To co z Zuzą?

– Ściemniałem. Pewnie siedzi gdzieś w jakimś kącie i gada z Klakierem. A widziałaś w ogóle Maję?

– Mignęła mi podczas kolacji, ale to było już jakiś czas temu. – Iza pokręciła głową. – Może znów się ukryła przed ludźmi?

– Pewnie tak. – Hubert skinął głową. Czuł się odpowiedzialny za wszystkich obecnych w Piasecznie, ale przecież nie miał obowiązku ciągle ich niańczyć.

Przez resztę wieczoru krążył wraz z Izą wśród gości; przysłuchiwali się ich rozmowom, czasem wtrącali coś od siebie. Cieszyło go, że ludzie zaczęli wymieniać się luźnymi pomysłami. Mateusz opowiadał o tym, że już prawie uruchomili taran wodny, i o dziwo znalazł się ktoś, kto kiedyś słyszał o takim urządzeniu i być może umiałby je na powrót poskładać. Antoni Wróblewski i pani Ciesielska dyskutowali nad konstrukcją transformatora prądu. Albert i Szmidt z Kamiennej podzielili się przepisami na wędzone mięso.



Kolejny dzień wyglądał podobnie jak poprzedni. Po dość późnym śniadaniu znów zaczęły się obrady. Tym razem jednak odbywały się w znacznie luźniejszej atmosferze. Ernest notował wszystkie ostateczne postanowienia. Kilka osób siedziało ze zwieszonymi głowami, co chwilę sięgając po

dzbanek z chłodną wodą. Patrząc na nich, Hubert cieszył się, że poprzedniej nocy Albert częstował bimbrem sąsiadki Anieli tylko gości. Mimo wszystko zmęczenie zaczęło dawać mu się we znaki, co chwilę musiał ukrywać znużone ziewnięcia.

– Nie śpij! – Iza wbiła mu palec w żebra, kiedy niewiele brakowało, by uderzył czołem w blat stołu.

Przetarł dłońmi twarz i zamrugał, odpędzając senność. Właśnie ustalano, jaką ochronę należy zapewnić podczas wymiany specjalistów. Ile osób powinno znaleźć się w obstawie lekarza czy weterynarza, którego jedna osada chciałaby „pożyczyć” od drugiej.

– Dobrze, że łowcy demonów nie potrzebują ochroniarzy – stwierdził cicho Hubert.

Wtem jego uwagę przykuł ruch we wsi. Nie wszyscy uczestniczyli w obradach, więc to normalne, że ktoś włóczył się między domami. Mimo to wiedział, że coś było nie tak.

– Co ty...? – zaczęła Iza, gdy sięgnął po swój karabin, do tej pory stojący na ziemi i oparty o nogę krzesła, po czym położył go na stole.

Ruchem dłoni wskazał grupkę ludzi, która szła w ich kierunku. Widział już sześć obcych sylwetek. Niespiesznie wspinali się na zbocze.

– Ernie – rzucił Hubert do kumpla, wciąż notującego coś w zeszycie. – Ernest! – Kopnął go w łydkę.

– Co? – Brzeski podniósł zamglony wzrok.

Kolejni uczestnicy wiecu dostrzegli nowo przybyłych. Zaczęli nerwowo szeptać między sobą, niektórzy sięgali po broń, ktoś poderwał się z krzesła.

– Zalecam spokój – powiedział głośno Hubert. – I rozwagę.

Wstał i przewiesił przez ramię pasek od karabinu. Na razie skierował lufę w ziemię, ale wyprostowany wskazujący palec

trzymał tuż przy spuście. Iza i Ernest zrobili to samo, aż inni podążyli za ich przykładem.

– Znacie ich? – rzucił ktoś.

Prawie wszyscy pokręcili głowami. Hubert wpatrywał się w sześcioro obcych, ale nie rozpoznał nikogo. Z przodu kroczył dość szczupły i wysoki mężczyzna w średnim wieku. Na czole, nad prawym okiem, miał paskudną, poszarpaną bliznę. Tuż za nim szło trzech barczystych osobników robiących groźne miny, z całą pewnością ochroniarzy. Jeden miał tak wydatne wały brwiowe, że wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z jaskini, drugi był zgolony na łyso, trzeci zaś miał gęstą, czarną brodę. Pochód zamykały dwie kobiety, jedna szatynka z krótkimi włosami, która niewiele ustępowała mężczyznom pod względem muskulatury, i nieco drobniejsza blondynka.

– Nie jesteśmy uzbrojeni! – powiedział głośno ten chudy.

Uniósł obie dłonie, prezentując oczywisty brak widocznej broni. Ale Sierpień założyłby się, że tej niewidocznej miał co najmniej kilka sztuk.

– I przybywamy w pokoju. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Mówiłem im, że to kretyńsko brzmi. – Dodał, wskazując brodą towarzyszy.

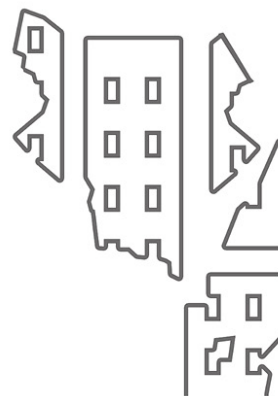
– Czego chcecie? – zapytał Hubert.

– Słyszeliśmy o waszym wiecu. Nie znamy się, więc oczywiście nie dostaliśmy zaproszenia, ale bardzo chcieliśmy uczestniczyć w tym wiekopomnym wydarzeniu.

Sierpień wymienił spojrzenia z Ernestem i Izą. Wszyscy doskonale wiedzieli, że właśnie w tej chwili ważą się losy nie tylko ich, ale i wszystkich zebranych na wiecu. Bardzo wiele zależało od tego, jak teraz postąpią, co powiedzą... Może nawiążą nowe znajomości, może rozpętają małą wojnę albo właśnie wpadli w zasadzkę i zostaną wystrzelani jak kaczki.

– Możemy zatem się przyłączyć? – zapytał mężczyzna.





## Rozdział V

Cisza się przedłużała. Hubert miał wrażenie, że potrafi usłyszeć myśli swoich przyjaciół i znajomych: To zły pomysł, przegońmy obcych, przecież chcą tylko pogadać, nie zachowujmy się jak zwierzęta, wystrzelajmy ich, dajmy im szansę... I sam nie wiedział, co będzie najwłaściwszym rozwiązaniem.

Ponownie zmierzył wzrokiem przybyłych. Wystarczyła chwila i już wiedział, z kim ma do czynienia – z żołnierzami. Wszyscy mieli na sobie cywilne ubrania – nieco brudne spodnie, zwykłe koszulki, ale trzy osoby zapomniały wymienić wojskowe buty na sportowe, dżinsy jednego były wytarte w miejscu, gdzie zapewne przed chwilą miał przypiętą kaburę biodrową, a spod koszuli jeszcze innego wystawał charakterystyczny czarny pasek podtrzymujący spodnie. Co prawda Hubert sam uwielbiał wojskowe ubrania – były wytrzymałe i wygodne – ale do żołnierza było mu bardzo daleko. A stojąca przed nim szóstka, choć starała się to ukryć, prezentowała żołnierską postawę.

Albert odchrząknął głośno, dając swoim wnukom, temu prawdziwemu i przyszywanemu, znak, że czas na podjęcie decyzji. *Dlaczego to my mamy to zrobić?* – zapytał Sierpień samego siebie. *I od kiedy jesteśmy uznawani za dorosłych?*

Zerknął na Henryka. Ten dyskretnie skinął głową.

– Siadajcie – powiedział w końcu Hubert. – Z chęcią dowiemy się, kim i skąd jesteście. Kajetan, przynieś jeszcze jedną ławę – rzucił do młodego chłopaka.

– Pomogę mu – zaoferował się Woźnica.

Hubert wymienił z nim spojrzenia. Miał olbrzymią nadzieję, że myśliwy zamierzał urwać się ze spotkania, żeby sprawdzić, czy w okolicy nie kryje się więcej ludzi. Po lesie potrafił poruszać się cicho niczym duch i była spora szansa, że wypatrzy ich, zanim oni dostrzegą jego.

Przybysze zasiedli na przyniesionej ławie. Któraś z kobiet podała im kubki i nalała do nich wody.

– Wiem, że nasza obecność tutaj jest dość niespodziewana – odezwał się mężczyzna z blizną. – Ale zapewniam was, że nie mamy złych intencji i interesuje nas to samo, co was: handel i sojusz z... pozwólcie, że użyję tego sformułowania: normalnymi osadami. Bo wariatów w tym świecie nie brakuje. Nazywam się Alan Owczar i pochodzę z południowej części kraju.

Powiódł wzrokiem po zebranych, jakby szukał ich przywódcy. W takiej chwili nikt nie poczuwał się do tej roli.

– Ernest Brzeski. – Rudzielec wyciągnął w jego stronę dłoń. – Pozostali to mieszkańcy pobliskich osad, ale to już na pewno wiesz.

Owczar uśmiechnął się i skinął głową. I choć gest ten zdawał się zupełnie niewinny, Hubert aż dostał gęsiej skórki na samą myśl o tym, co ten facet już mógł o nich wiedzieć.

– Skąd jesteście? – zapytała Iza.

– Jakiś czas po wojnie założyliśmy osadę na południe od Łodzi. Taka niewielka wieś. – Machnął zbywająco ręką.

– Ilu mieszkańców? – wtrącił Sierpień.

Owczar zawiesił na nim wzrok nieco dłużej niż na pozostałych.

– Ponad dwustu – powiedział w końcu.

Co druga osoba siedząca przy stołach uniosła w zaskoczeniu brwi. Tak wielkie osady tutaj nie przetrwały. Sama Dąbrówka liczyła przecież zaledwie dwadzieścia kilka osób. Dla Huberta najbardziej ludną wsią spośród poznanych do tej pory było Świącino z osiemdziesięcioma mieszkańcami.

A najgorsze było to, że nie mieli pojęcia, czy ten mężczyzna mówił prawdę, czy kłamał.

– I jakim cudem jeszcze o was nie słyszeliśmy? – zapytał przytomnie Ernest.

– Przyznam, że też mnie to dziwi. Choć przecież nie zapuszczacie się dalej na południe. Jest was niewielu, więc nie mieliście nawet potrzeby opuszczać swoich terenów i udawać się w tak daleką podróż.

Hubert poczuł nieprzyjemny skurcz w żołądku. *Jest was niewielu*. Zupełnie jakby chciał im wytknąć, że mało brakuje, a jego osada przewyższałaby liczebnie ich wszystkich razem wziętych.

– To my musimy szukać najróżniejszych zasobów coraz dalej. I wiecie, jak to bywa. Różnych świrów spotyka się na swojej drodze...

Owczar powiódł wzrokiem po zebranych i chyba nie spodobało mu się to, co zobaczył.

– Nie patrzcie na nas jak na złodziei, a może nawet jak na morderców – powiedział. – Naprawdę chcemy się dogadać. Chcemy sojuszu, handlu. Nie przyjechaliśmy tutaj, żeby was

okraść. Misiek – zwrócił się do ochroniarza z czarną brodą. – Przyniesiesz to?

Mężczyzna wstał, na co kilka osób, w tym Hubert, również poderwało się z miejsc.

– Nie tak nerwowo – rzucił Owczar. – Przed osadą zostawiliśmy drobny upominek dla was. Nie chcieliśmy go od razu taszczyć na górę, gdybyście jednak nie zechcieli z nami rozmawiać.

– To ja pomogę – stwierdził Sierpień.

Czarnobrody nie odezwał się ani słowem, czekając na odpowiedź swojego dowódcy.

– Jak sobie życzysz, nie mamy nic do ukrycia – powiedział Owczar.

Huberta zaczęła już drażnić ta sztuczna uprzejmość, ale przecież nie można wyrzucić kogoś ze spotkania za to, że jest zbyt miły. Zastanowił się chwilę. W czasach, kiedy jedyne prawo stanowiły broń i ludzkie sumienie, może mógł sobie na to pozwolić, nie był jednak pewien, czy spodobałoby się to pozostałym uczestnikom wiecu.

Okrażył stół i dołączył do Miśka. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jaki facet był wielki. Przewyższał go o co najmniej głowę, ramiona miał tak szerokie, jakby nie tylko od wojny, ale już od kołyski całymi dniami przerzucał węgiel w kopalni. Z kimś takim Hubert nie chciałby stanąć do walki wręcz, ale miał nadzieję, że kiedy ten będzie sam, uda mu się coś z niego wyciągnąć. Niestety Owczar sprawiał wrażenie zbyt inteligentnego, żeby przypadkiem chlapnąć więcej, niż planował.

– To jak się nazywa ta wasza osada? – zagadnął Sierpień.

– Grota. – Głos przypominający pomruk niedźwiedzia idealnie pasował do sylwetki Miśka.

– A ile kilometrów pod tą Łodzią... – zaczął, ale towarzysz posłał mu spojrzenie mrożące krew w żyłach. Chyba został przestrzeżony, żeby nie zdradzać zbyt wiele szczegółów dotyczących położenia ich domu.

– Chodziło mi o to, że pewnie długo do nas jechaliście. Opłacało się?

– Ty mi to powiedz.

– Dobre pytanie. Jesteśmy dość przyjaznymi osadami, dla swoich oczywiście. Ale jak ktoś nam zajdzie za skórę... – Pokręcił głową, zdając sobie sprawę z tego, że to on zaczął za dużo gadać.

Przez dłuższy czas szli w milczeniu do wtóru cichego stukania ich butów na asfalcie. Mijali przewrócone płoty, domy z dziurami po kulach w ścianach i z oknami zabitymi deskami.

– Wiesz, co tu się stało? – zagadnął Hubert.

Czarnobrody pokręcił głową.

– Zeszłej jesieni grupa dezertarów napadła na Piaseczno i zamordowała większość mieszkańców. Później ci sami ludzie ruszyli na Dąbrówkę. Ale my byliśmy przygotowani. Pomogły nam sąsiednie osady i wybiliśmy ich co do nogi.

To był test, chciał zobaczyć reakcję żołnierza na tę historię.

– Słuszna kara za taką zbrodnię – odparł tamten.

– Was pewnie wszyscy w okolicy boją się ruszyć, co? Skoro macie tylu mieszkańców.

Misiek wzruszył ramionami.

– W okolicy nie ma zbyt wielu innych ludzi, ale mamy swoje problemy.

Huberta zainteresował ten temat, podejrzewał jednak, że drażnienie go i tak nie ma sensu.

Opuścili osadę i skierowali się polną drogą w stronę lasu. Sierpień zaczął się zastanawiać, czy to wszystko nie jest

czasem jedną wielką zasadzką. Zaraz Czarnobrody da swoim ludziom ukrytym między drzewami znak do ataku. Zabiją wszystkich uczestników wiecu, a Hubert zginie na samym początku. Nie taką śmierć dla siebie planował. Poprawił karabin wiszący wzdłuż ciała, oparł dłoń o kolbę i kątem oka uważnie obserwował swojego towarzysza. Wystarczy jeden fałszywy ruch, a go podziurawi. Zjednoczone osady usłyszą wystrzał, zabiją pozostałą piątkę obcych i jakoś obronią się przed kolejnymi wrogami.

– Tam. – Brodaty wskazał palcem coś leżącego przy drodze.

Hubert zwolnił kroku i przymrużył oczy, wpatrując się w podejrzany przedmiot. Poprawił chwyt na karabinie, po czym zlustrował okoliczne zarośla. Nie dostrzegł nic podejzranego, ale zachował ostrożność.

Tymczasem jego nowy znajomy wysforował się do przodu i podniósł z ziemi coś, co okazało się plastikowym workiem. *Poćwiartowane zwłoki*. To była pierwsza myśl Sierpnia.

– Wracamy? – Misiek podszedł do niego i udał, że nie widzi jego dłoni tak mocno zaciśniętych na broni, aż pobieleły kostki.

Hubert nonszalancko skinął głową. Worek raczej nie stanowił dla nich żadnego zagrożenia, więc postanowił, że nie będzie wypytywał o jego zawartość jak jakiś ciekawski dzieciak.

– Demony – odezwał się za to. – Macie z nimi problemy?

Jego towarzysz wzruszył ramionami.

– Takie jak wszyscy. Straciliśmy kilku ludzi, ale jakoś musimy nauczyć się z nimi żyć, nie?

– Mówią, że w różnych częściach kraju grasują inne. Przebyliście taki kawał drogi; zauważyłeś może jakieś różnice?

– Nie znam wszystkich demonów, jakie występują u nas, ani tutaj nie widziałem ich aż tylu, żeby cokolwiek takiego

stwierdzić.

– Jako żołnierz powinieneś chyba wychwytywać takie rzeczy.

– Hubert nie mógł się powstrzymać.

Czekał na reakcję brodatego. Był niemal pewien, że ten zaraz zacznie się wypierać, że nie jest żadnym żołnierzem, że wojskowe buty znalazł przypadkiem...

– Nie jestem demolonogiem – odparł ze wzruszeniem ramion.

– A ty?

Ciemne oczy prześwidrowały Huberta na wylot. *To niemożliwe, że się domyślił. Nie może wiedzieć, kim jestem.* A jednak jego komentarz był niczym ostra szpila wbita w odpowiednie miejsce.

– Trochę się na nich znam, ale nie uważam się za specjalistę.

– To były jedyne słowa, jakie przyszły chłopakowi do głowy, żeby jakoś wybrnąć z tej sytuacji.

Zaczęli pięć się pod górkę w stronę stołów. Sierpień był na siebie zły. Chciał wyciągnąć od przybysza jak najwięcej informacji. W końcu ten wyglądał tylko jak tępą trep, ale koniec końców Hubert miał wrażenie, że to on powiedział znacznie więcej, niż planował.

Byli już na tyle blisko wiat, że słyszeli strzępy dość uprzejmej, ale ostrożnej rozmowy o roślinach i zwierzętach hodowanych przez zjednoczone osady oraz mieszkańców Groty.

– Wreszcie! – Owczar poderwał się z ławy na widok wracających.

Brodaty bezceremonialnie położył worek na stole przed swoim dowódcą. Ten z kolei wyciągnął nóż, a wszyscy wokół drgnęli nerwowo.

– Nie zastrzelcie mnie, proszę, kiedy będę rozpakowywał prezent dla naszych szacownych gospodarzy – rzucił lekko.

Nie czekając na odpowiedź, rozciął worek. W środku znajdował się biało-szary proszek.

– W podziękowaniu za gościnę oraz jako dowód naszej dobrej woli – powiedział głośno – chcemy podarować gospodarzom trzydzieści kilogramów soli.

Ernest sięgnął po małą grudkę i wsunął ją do ust. Pozostali utkwili w nim spojrzenia.

– Dziękujemy. – Skinął głową.

– Mamy jej znacznie więcej i jesteśmy otwarci na handel. – Owczar z zadowolonym uśmiechem z powrotem usiadł za stołem.

– W takim razie, jeśli mamy handlować, powiedzcie, czym jesteście zainteresowani – odezwał się Brzeski.

Hubert zajął swoje miejsce, ale dalszych rozmów słuchał tylko jednym uchem. Bacznie obserwował przybyszów, każdy ich ruch, każdą minę i gest. Czekał, aż się czymkolwiek zdradzą lub przejawią złe zamiary. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Kiedy rozmowa zesłała na zasoby ludzkie, głos zabrała jedna z kobiet.

– Mamy dwóch lekarzy, pielęgniarkę, weterynarza oraz kilku innych specjalistów w swoich dziedzinach – powiedziała blondynka.

Czegoś takiego można było im pozazdrościć. Sierpnia jednak bardziej zainteresowało nie to, co kobieta powiedziała, ale w jaki sposób. Jej głos był miękki i przyjemny, ale w sposobie akcentowania wyrazów pojawiła się dziwna nuta i Hubert dałby głowę, że już wcześniej słyszał coś podobnego, lecz za nic nie mógł sobie przypomnieć kiedy ani gdzie.

Wpatrywał się w nią, usiłując obudzić pamięć, i dopiero gdy spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami, zganił sam

siebie za to, że tak bezczelnie się na nią gapił, i odwrócił wzrok.

Rozmowy przeciągnęły się do wieczora. Z jednej strony zjednoczone osady dowiedziały się całkiem sporo o przybyszach, ale z drugiej nie były to takie informacje, które dałyby im jakąkolwiek przewagę, gdyby stanęli po przeciwnych stronach barykady.

– Mamy jeszcze wiele kwestii do omówienia – powiedział Ernest, kiedy świat spowiła szarówka. – Ale wszyscy są już zmęczeni. Zapraszamy was więc na kolację i proponujemy nocleg w jednym z gościnnych domów.

Pięcioro przyjezdnych wymieniło się spojrzeniami i tylko usta Owczara rozciągnęły się w uśmiechu, jakby właśnie tego oczekiwał.

– Z przyjemnością zostaniemy tutaj na noc. Już mnie plecy bolą od spania na ziemi przy ognisku.

– A co z waszymi ludźmi, którzy stacjonują w lesie? – wyrwał się Sierpień.

Był to strzał zupełnie w ciemno. Jednak dostrzegł grymas przebiegający po twarzy co najmniej dwójki obcych.

– Hubert! – zganił go Albert.

– Przejechali szmat drogi z takiej licznej osady. A podróżowanie jest naprawdę niebezpieczne w tych czasach. Poza tym nie widziałem jeszcze żadnych koni ani wozów. Ktoś musiał się nimi zająć. Na pewno jest was więcej, prawda? – zwrócił się bezpośrednio do dowódcy.

– Oczywiście – odparł niespeszony Owczar. – Siedmiu naszych ludzi zatrzymało się w lesie dwa kilometry od Piaseczna. Wpadliśmy tutaj bez zaproszenia ani zapowiedzi i nie chcieliśmy was straszyć zbyt wielką liczbą gości naraz.

– Zatem zapraszamy ich tutaj – odezwał się Henryk, który najwyraźniej wolał trzymać potencjalnych wrogów tuż pod

swoim nosem.

– Zaraz będzie ciemno, nie ma sensu ściągać ich tutaj z wozami. – Owczar machnął ręką. – Umówiliśmy się, że będą nocować w lesie, to nie zmieniamy planów. Mają jedzenie i wszystko, co potrzeba. Wyślę tylko kogoś, żeby poinformował ich, że jeszcze żyjemy. – Puścił do Ernesta oko. – Arek i...

– Ja pójdę – wtrąciła blondynka.

Hubert nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zerknęła przy tym na niego.



– I co o tym wszystkim sądzicie? – zapytał Ernest.

Stali tuż przy piecu chlebowym w domu Hadama. Kilka osób sprzątało po kolacji, Albert i Antoni zaś zabawiali nowych gości rozmową.

– Dobrze byłoby mieć tak licznego sprzymierzeńca – odezwała się Iza.

– I ta sól – dodała Teresa. – Wszyscy wiemy, że niedługo nasze zapasy się wyczerpią, a wtedy pójdziemy do nich na kolanach.

– Trudno do czegokolwiek się przyczepić – powiedział Hubert, a trzeba przyznać, że naprawdę starał się wyszukać coś, co wzbudziłoby jego podejrzenia. – Gdybyśmy sami chcieli wbić na cudzy wiec, pewnie zachowalibyśmy się podobnie.

– Henryk? – zapytał Brzeski.

Były wojskowy do tej pory zachowywał milczenie.

– Wiecie, że to żołnierze? – odezwał się w końcu.

– Hubert też nosi różne elementy munduru – wytknęła Iza. – A do żołnierza mu daleko.

– Nie o to chodzi. – Sierpień pokręcił głową. – Oni nadal bawią się w wojsko. Chodzi mi o to, jak stoją, chodzą, jak się porozumiewają.

– Tak wygląda zawodowa armia – przytaknął Henryk.

– Czy to zatem dyskwalifikuje ich jako potencjalnych sprzymierzeńców? – zapytał Ernest.

– Żołnierze zazwyczaj oznaczają kłopoty. – Hubert podrapał się po brodzie. Nieraz miał już do czynienia z dezertierami i zazwyczaj źle się to kończyło.

– Ale nie możemy aż tak generalizować. – Teresa pokręciła głową.

– Sami mówiliście, że w Gdańsku mieszkali żołnierze, którzy opiekowali się cywilami – wypomniała Iza.

Kapitan Brzeszczot przewodzący ludziom na Starówce był surowym, ale inteligentnym i dobrym człowiekiem. Dbał o swoich. Temu nikt nie mógł zaprzeczyć. Hubert nawet po tylu latach nadal czuł żal na myśl o jego śmierci.

– A ta pieprznęta Alicja z jednostki w górach, która kazała porwać Zuzę i chciała hodować demony? – przypomniał.

– Sam hodujesz demony, do spółki z moją siostrą – wytknął Ernest.

– Ale nie trzymam ich w klatkach!

– To zapytajmy ich, czy przetrzymują demony w niewoli. – Podszedł do nich Paweł, który musiał słyszeć końcówkę rozmowy. – Jak nie, to sprawa załatwiona, nie są źli.

– Nie wierzę, że jesteś moim synem – burknęła Teresa, przykładając wielkie dłonie do skroni.

W otwartych drzwiach domu Hadama stanęła szczupła postać.

– Wreszcie! – sapnął Hubert. – Mam nadzieję, że robiłeś to, co myślę, że robiłeś.

Woźnica wszedł do budynku i podszedł do zgromadzonych, po drodze zgarniając ze stołu kawałek nieco wyschniętego chleba. Ernest podał mu kubek z rozcieńczonym winem. Myśliwy wypił go jednym haustem.

– Nie wiem, co ci się po tej pustej głowie obija – powiedział, wycierając rękawem usta. – Ale szukałem śladów innych ludzi.

– Znalazłeś coś? – Ernest wyprostował się, górując wzrostem nad pozostałymi.

– Dobrze zacierali za sobą ślady, ale wzrok mam jeszcze dobry. I nie przyjechali tu dziś ani wczoraj.

Hubert poczuł, jakby na dno żołądka opadł mu wielki kamień.

– Obserwowali nas – powiedział grobowym tonem.

Woźnica skinął głową.

– Od kilku dni kręcili się w okolicy.

– Ciągłe jeździłeś na patrole. – Ernest klepnął Huberta w ramię. – Dlaczego nic nie zauważyłeś?!

– Bo szukałem demonów – przyznał ze wstydem. – Wcześniej coś przestraszyło w lesie Platona. Byłem pewien, że to jakieś zwierzę! – Uderzył pięścią w dłoń. – Ale podejrzewam, że to byli oni.

– Wiecie, o czym to świadczy? – zapytała Iza. Hubert poczuł na plecach delikatne muśnięcie dłoni na pocieszenie. – Że nasi nowi znajomi są inteligentni i ostrożni.

– Co masz na myśli? – zapytał Ernest.

– Przecież zrobilibyśmy dokładnie to samo. Głupotą byłoby tak od razu wpakować się na wiec, nic nie wiedząc o jego uczestnikach.

– Dziewczyna ma rację – przyznała Teresa.

– Ale to nie wszystko – odezwał się Woźnica, gdy przełknął suchy chleb. – Znalazłem ich obóz. Siedmioro ludzi. Siedzą ukryci w krzakach jakieś dwa kilometry od Piaseczna. Mają

konie i dwa wozy. Później dołączyło do nich dwoje, którzy pojawili się na zebraniu.

– Czyli Owczar nie kłamał – powiedział Hubert. – Nie wiedział... chyba nie wiedział, że Woźnica szukał ich ludzi. Mógł skłamać, ale powiedział prawdę.

– Sądzę, że na razie możemy im zaufać – przyznał Ernest. – Zachowując oczywiście wszelką ostrożność.

Pozostali pokiwali głowami.

– A ty dokąd? – zapytała Huberta Iza, kiedy skierował się do drzwi.

– Jak mamy im zaufać, to pogadam sobie z nimi o demonach. – Wzruszył ramionami. – Może dowiem się czegoś ciekawego, bo od tamtego brodatego trepa to niewiele wyciągnąłem.



Piaseczno płonęło. W dachu domu Hadama pojawiła się wielka dziura, przez którą buchały kłęby czarnego dymu, ogień pożerał drewniane okiennice. Ze środka dobywały się przeraźliwe krzyki. Hubert dopadł do drzwi, ale płomienie już się po nich wspinały. Dotknął metalowej zasuw, jednak była tak gorąca, że został na niej płat jego skóry. Nagle dach zawalił się z trzaskiem, a krzyki umilkły. I tylko ogień huczał na szczątkach.

Hubert spojrzał na poczerniałą dłoń, z której ściekało osocze wymieszane z krwią. Bolało jak diabli, ta ręka już nigdy nie będzie sprawna...

Wiedział, że to sen. To musiał być kolejny koszmar, nie miał bowiem pojęcia, jak się tu znalazł ani co tak naprawdę się

wydarzyło. Znow po prostu pojawił się w samym sercu pożogi.

– Gdzie jesteś?! – krzyknął, obracając się wokół własnej osi.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że zaraz ujrzy potężnego mężczyznę, tego samego, który prześladował go prawie co noc. Pobliski żuraw runął na ziemię z hukiem, szyby w domach zaczęły pękać.

Tak jak Hubert przypuszczał, płomienie z jednej strony nagle się rozstały i pojawił się on. Obcy człowiek ze skrzydłami uformowanymi z ognia.

– Zniszczyłeś kolejną wieś! – krzyknął Sierpień. – Na pewno jesteś z siebie dumny!

Mężczyzna jak zwykle nic nie mówił. Tym razem jednak, o dziwo, pokręcił ze smutkiem głową.

– Już czas – usłyszał Hubert.

Ogarnęły go chłód i ciemność.

– Że co?! – poderwał się. Wokół panowała głucha noc.

– Już czas.

Zogniskował wzrok i zobaczył przed sobą Zużę.

– Ja... – zaczął.

– Przysnąłeś na warcie.

Przetarł dłonią twarz. Rzeczywiście – po krótkiej i mało owocnej rozmowie z obcymi o demonach uparł się, że weźmie jedną z wart, podwojonych z racji przyjazdu nowych. Okrążył całą wieś, a potem coś mu przeskoczyło w kolanie i usiadł na chwilę, tylko na chwilę...

– Iza mówiła, że jesteś zmęczony i powinieneś iść spać.

Ale tak naprawdę wszyscy byli zmęczeni. Zarówno gospodarze, jak i pozostali ze zjednoczonych osad, którzy również wystawili kilka osób do wartowania.

Nagle dotarło do niego, dlaczego Zuza go obudziła. Wyczuł smród demona, co natychmiast go otrzeźwiło.

– Obudź... – zaczął, ale w tym momencie za dziewczyną pojawił się wysoki cień.

– Co się dzieje? – zapytał Ernest. Tuż za nim szła Iza z Mateuszem.

– Coś grasuje w okolicy – powiedział Hubert.

Usłyszeli ciężkie kroki nadbiegającego Pawła, który pełnił wartę.

– Słyszeliście to? – zapytał nieco zdyszany.

Pokręcili głowami.

– Słyszałem wystrzały. – Ręką wskazał ciemną granicę lasu.

– Coś zaatakowało naszych nowych kolegów? – zagadnął Mateusz.

– Powinniśmy powiadomić Owczara? – zastanowiła się Iza.

– A jeśli to pułapka? – Ernest zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę.

– Nie sądzę, ewidentnie czuć demonem – odparł Hubert.

Zuza mu przytaknęła.

– A jesteś pewien, że jest to demon na wolności? – zapytał Brzeski, nawiązując do ich wcześniejszej rozmowy.

Sierpień podrapał się po głowie. Jeżeli tamci ludzie trzymali jakiegoś demona w klatce, a teraz udawali, że coś ich zaatakowało, oni sami, chcąc ratować niezapowiedzianych gości, mogliby wpaść prosto w zasadzkę.

– Dobra, nie budzimy ludzi z Groty – zdecydował. – Wiesz, co to za demon? – zwrócił się do Zuzy.

– Nie znam go.

– Cudnie – westchnął. – Dobra, ty zostaniesz tutaj i uważaj, gdyby coś weszło na teren osady. Nas jest pięcioro, więcej nie potrzeba do polowania, bo jeszcze pozabijalibyśmy się w ciemnościach, no i łatwiej będzie nam się skradać, niż gdyby było nas więcej. Macie broń przy sobie?

Wszyscy pokiwali głowami.

– Powiadom dziadka i Henryka – poprosił siostrę Ernest. – Oni będą wiedzieli, co robić.

Woźnica wcześniej dokładnie wytłumaczył im, gdzie zatrzymali się ludzie z Groty, opuścili więc osadę, kierując się jego wskazówkami oraz zmysłem Huberta. Z początku szli szybko i nie przejmowali się robionym przy tym hałasem, jednak po jakimś kilometrze zwolnili, zachowując niemal absolutną ciszę. W pewnym momencie dotarli do nich nawoływania. Wkrótce między czarnymi pniami drzew dostrzegli słabą pomarańczową łunę.

Rozdzielili się i zaczęli skradać się do obozowiska.

Hubert usłyszał trzask złamanej gałązki. To Mateusz, który szedł po jego lewej stronie, musiał na nią nadepnąć. Obejrzał się w prawo. Kawałek dalej między krzakami przemknął niewyraźny cień. Gdyby Sierpień nie wiedział, że tam była Iza, nie dostrzegłby jej. Przywarł do grubego pnia sosny i wyjrzał zza niego. Kilka metrów przed nim płonęło jasno ognisko. Wokół niego nerwowo krążyło troje ludzi.

– Powinniśmy iść za nimi! – Hubert rozpoznał głos blondynki.

– Mamy pilnować obozowiska i koni – odwarknął jej ktoś.

– A jak to coś ich pozabija?!

Na to mężczyzna nie miał już odpowiedzi.

Sierpień na kilka sekund zamknął oczy i skupił się, budząc wszystkie swoje zmysły. Demon tu był, ale już odszedł. Łowca zagwizdał w charakterystyczny sposób, przyłożył kolbę karabinu do ramienia i wyszedł zza drzewa. To samo zrobili jego przyjaciele.

– Nie ruszać się – powiedział głośno Ernest.

Trójka przy ognisku zamarła w trakcie sięgania po broń.

– Mówiłam, że nas pozabijają w nocy – burknęła blondynka, unosząc dłonie.

– Nie chcemy was zabijać – odezwał się Hubert. – Słyszeliśmy strzały.

Poczuł się odrobinę lepiej, gdy pomyślał, że obcy byli tak samo niepewni nowej znajomości jak mieszkańcy zjednoczonych osad.

– Pomożemy wam, tylko bez żadnych numerów. – Ernest powoli opuścił lufę karabinu. – Opowiedzcie, co się stało.

Trójka z Groty widocznie odetchnęła.

– Przez pół nocy coś kręciło się kawałek od obozowiska – powiedział jeden z mężczyzn. – Coś dużego.

Ernest zerknął pytająco na Huberta, ten jednak wzruszył ramionami.

– Najpierw szarżowało w krzakach i prychało dziko. Ale później podeszło bliżej. Konie zaczęły wariować. Czterech naszych wzięło broń i poszli zabić to coś, zanim wpadłoby w sam środek obozowiska. Przez długi czas była cisza, później usłyszeliśmy wystrzały i ich nawoływania. Dwóch kolejnych ruszyło za nimi. A teraz jesteśmy tu sami i nie mamy pojęcia, co się wydarzyło.

Hubert rozejrzał się wokół. Ognisko oświetlało duży kawałek polany w środku lasu, ale zdawało się, że poza tym kręgiem panowały nieprzeniknione ciemności. A w nich jeszcze przed chwilą czaiło się zło. Niedaleko stały poprzywiązywane do drzew konie. Nadal były nerwowe, choć bezpośrednie zagrożenie już minęło.

– Dasz radę to wytropić? – zapytała cicho Iza.

Sierpień skinął głową.

– Zostańcie tutaj – odezwał się Ernest do ludzi z Groty. – Pomożemy waszym towarzyszom.

Nagle po lesie poniósł się upiorny wrzask. Tak potrafił krzyczeć tylko człowiek, który spojrzał prosto w paszczę bestii.

A gdy zamilkł, echo jego głosu nadal rozbrzmiewało w głowach pozostałych.

– O ile będzie jeszcze komu pomagać – dorzucił ponuro Mateusz.

Nikt nie skomentował jego słów.

Hubert opuścił krąg światła wyznaczany przez ognisko i ruszył w stronę ciemności. Pozostali podążyli za nim. Słyszał ich przyspieszone oddechy i bicie własnego serca. Zapach demona był ledwo wyczuwalny, a mimo to nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jakaś nieznana mu bestia czai się w każdym cieniu, za każdym drzewem, gotowa rozerwać go samego i jego przyjaciół na strzępy.

Co jakiś czas musiał się zatrzymywać, żeby dalej obrać właściwy kierunek. Kilka razy cofał się, kiedy zgubił trop. Gdyby było jasno, mógłby wspomagać się śladami pozostawionymi na ziemi, w nocy jednak był zdany wyłącznie na swój demoniczny zmysł.

– Czujecie to? – Zatrzymał się gwałtownie, wciągając do płuc chłodne powietrze przepelnione metalicznym zapachem.

Jego towarzysze pokręcili głowami. No tak, oni pewnie usiłowali skupić się na zmysłach wzroku i słuchu.

– Coś jakby... krew – powiedział.

– Ludzka? – zapytał Paweł.

– Aż taki dobry nie jestem. Ale mam złe przeczucia.

Drzewa zaszemrały na wietrze. Ciemność zdawała się napierać na nich z każdej strony.

– Jesteśmy pewni, że chcemy ryzykować własne życie dla obcych? – Mateusz powiedział na głos to, co pewnie każdemu objęło się po głowie.

Właśnie wtedy usłyszeli jęk. Trochę ludzki, a trochę zwierzęcy.

– To było gdzieś tam. – Iza postąpiła krok w stronę gęstych krzewów malin.

– Demony też potrafią wydawać takie dźwięki – powiedział Hubert.

– Pomocy... – Dotarł do nich ledwo słyszalny głos.

Tym razem zdecydowanie brzmiał, jakby wydobył się z ludzkiego gardła.

– Uważajcie, demon może być nadal w pobliżu – ostrzegł Ernest.

Hubert i Iza ruszyli na przedzie, Mateusz i Paweł osłaniali boki, a Brzeski tyły. Maliny rosły w tym miejscu bardzo gęste i wysokie, zahaczały kolcami o ubrania, jakby chciały ich zatrzymać.

– Gdzie jesteś?! – zawołał Sierpień.

Zaskoczona nagłym i głośnym pytaniem Iza z sykiem wciągnęła powietrze do płuc.

– Ściągniesz na nas jakieś diabelstwo – mruknął Mateusz.

– Jeżeli demon kręci się gdzieś w pobliżu, na pewno wie, że my tu też jesteśmy – stwierdził Hubert. – A po ciemku nie znajdziemy tego człowieka. Odezwij się!

– Tu... – Zacharczał głos.

Skręcili nieco w prawo, zapach krwi stał się wyraźniejszy.

– Widzę go – rzuciła nagle Iza i podbiegła do mężczyzny leżącego na ziemi.

Hubert, zanim do niej dołączył, uważnie zlustrował otoczenie, ale nie dostrzegł nic podejrzanego.

– Już dobrze, gdzie jesteś ranny? – dopytywała dziewczyna.

Z gardła człowieka dobyło się jedynie rżenie.

Sierpień przyjrzał się jego bladej, niemal białej twarzy poznaczonej ciemnymi plamami; reszta ciała, zakryta ubraniami, zdawała się czarna. Nie miał szans ocenić stanu rannego.

– Ma ktoś ogień?

Paweł przyklęknął i wyjął kilka rzeczy z kieszeni. Po chwili rozległ się dźwięk noża uderzającego w krzesiwo. Pojawiła się iskra. Kilka kolejnych stuknięć i następna spadła na hubkę, zamieniając się w malutki płomycek. Paweł ostrożnie dmuchnął na niego, dorzucając suchego igliwia. Mateusz pozbierał z ziemi gałązki i mu podał. Wkrótce malutkie ognisko rozjaśniło ciemność.

– O cholera... – rzucił Ernest.

Obie nogi mężczyzny leżały pod nienaturalnym kątem, z jego ust ciekła ciemna strużka, oczy były wielkie i błędne.

Iza chciała sprawdzić uszkodzenia na jego ciele, ale gdy tylko dotknęła torsu, ranny zawył z bólu. Dziewczyna uniosła dłonie. Obie były czerwone.

– Tu mu nie pomożemy – powiedziała. Choć była zdenerwowana, głos jej nie zadrżał. – Musimy zanieść go do obozu.

– A zatamować krwawienie...? – odezwał się Paweł.

– On jest cały zalany krwią. Zróbcie jakieś nosze – rozkazała. Hubert wykonał krok w stronę leżącej na ziemi gałęzi.

– Ty stań na warcie. – Ernest zatrzymał go, kładąc dłoń na jego ramieniu. – I pilnuj, żeby coś nie zaatakowało nas znienacka.

Sierpień skinął głową. Musiał oddalić się od rannego na kilka metrów, gdyż zapach krwi nie pozwalał mu się skupić.

– Widziałam ludzi, którzy wylizali się z gorszych ran. – Iza przemawiała miękko do mężczyzny z Groty. – Zaraz zaniesiemy cię do obozu, to tylko kawałek stąd.

Po lesie poniósł się echem trzask łamanego pnia chudego świerka.

– Mam jeden – powiedział Mateusz. – Zobacz tamten.

– Spróchniały – odparł Paweł. – Tu mam lepszy.

Zdjęli swoje bluzy i założyli na cienkie drewno, tworząc bardzo prowizoryczne nosze. W piątkę przenieśli na nie rannego i choć starali się być bardzo ostrożni i delikatni, z jego gardła dobył się krzyk bólu.

Hubert wymienił się spojrzeniami z Ernestem, który pokręcił głową. Obaj zapewne pomyśleli o tym samym – mężczyzna miał niewielkie szanse na przeżycie, ale nie mogli przecież zostawić go umierającego w środku lasu.

Droga powrotna zajęła im znacznie dłużej. Sierpień szedł na przedzie, mając nadzieję, że zawczasu wyczuje demona, który tak urządził człowieka z Groty. Ernest i Mateusz nieśli rannego, Iza i Paweł zamykali pochód. Przez większość drogi mężczyzna jęczał z bólu, a oni nie mogli zrobić dla niego już nic więcej. W końcu dostrzegli płomienie między drzewami i usłyszeli nerwowe rozmowy.

– To my! – krzyknął Hubert, żeby czasem nikt nie zaczął do nich strzelać.

Wszedł w krąg światła jako pierwszy. Lufy karabinów wycelowane prosto w jego klatkę piersiową zostały powoli opuszczone. Tym razem przy ognisku czuwało aż sześć osób.

– Krzysiek! – wykrzyknęła blondynka, po czym podbiegła do rannego. – Co mu się stało?

– Tak go znaleźliśmy – odparł Ernest.

Ułożyli mężczyznę przy ognisku. Po drodze musiał stracić przytomność. Blondynka rozcięła jego ubrania, a gdy odsłoniła klatkę piersiową, z ust stojących najbliżej wydostał się cichy syk. Na torsie żołnierza wykwitły sine plamy, na brzuchu trzy głębokie rany broczyły krwią.

– Ty. – Hubert wskazał mężczyznę, którego wcześniej nie było przy ognisku. – Myślałem, że poszliście do lasu razem.

Tamten pokręcił głową.

– Na początku tak, ale później się rozdzieliliśmy. Nasza trójka poszła w jedną stronę, a oni... – Spojrzał na rannego, ale natychmiast odwrócił wzrok. – A oni w drugą. Później słyszeliśmy jęki jakiegoś zwierzęcia i ich krzyki. Ale nie mogliśmy w tych ciemnościach ich znaleźć. Dlatego wróciliśmy tutaj, licząc, że oni zrobią to samo.

– Czyli gdzieś tam jest jeszcze dwóch waszych ludzi? – Sierpień wskazał między czarne pnie.

– Jak nie wrócą do świtu, zaczniemy ich szukać – wtrącił ktoś inny. – Teraz nie ma sensu oddalać się od obozu, bo skończymy jak Krzysiek.

Hubert wziął kilka głębszych wdechów, ale zapach krwi nadal nie pozwalał mu się skupić. Słowa tego człowieka były rozsądne. Nie powinni niepotrzebnie ryzykować, gdzieś w pobliżu czaiła się bestia, której nie znali, a która tak poturbowała tego nieszczęsnego Krzyśka. Poza tym dlaczego mieliby się poświęcać dla dwójki obcych? Przecież to w ogóle nie powinno ich obchodzić. Jednak sam fakt, że ludzie z Groty nie zamierzali ruszyć na pomoc swoim, rozdrażnił go. Powiódł wzrokiem po towarzyszach. Do diabła, gdyby którykolwiek z nich znalazł się w takiej sytuacji, Hubert nawet by się nie zastanawiał, tylko popędziłby ich ratować.

Wysoko wśród drzew rozległ się ochrypnięty gwizd. Ludzie z Groty natychmiast wycelowali karabiny w górę. Konie zarżały nerwowo.

– Kurwa, następny – warknął jeden z żołnierzy.

– Ani mi się ważcie strzelać – ostrzegł Sierpień. – Jeżeli nie obudziliście jeszcze wszystkich demonów w okolicy, to chyba nie chcecie zrobić tego teraz, kiedy do świtu jeszcze kilka godzin – dodał, ucinając wszelkie dyskusje.

Dyskretnie skinął głową Ernestowi i Izie, po czym oddalili się na skraj obozowiska.

– Wiecie, co znaczy ten gwizd? – zapytał cicho.

– Mam nadzieję, że nie to, co myślę, widząc twoją minę – stwierdził Brzeski.

– „Chodź za mną” – wyjaśnił Hubert. – Tak gwizdże, kiedy chce mi coś pokazać.

– Na przykład nowego demona? – rzuciła z ironią Iza.

– On się boi innych demonów. Myślę, że wie, gdzie są tamci ludzie.

– Nie lepiej poczekać do rana? – przekonywał Ernest, po czym ściszył głos do szeptu. – Nie jesteśmy im nic dłużni. Przynieśliśmy im już jednego człowieka. Resztą swoich powinni sami się zająć.

– A co, jeśli tamci są ranni i czekają na pomoc?

– A co, jeśli nie żyją i nie możemy już im pomóc? – wtrąciła Iza.

Hubert spojrzał w górę, na czarne korony drzew. Platon znów zagwizdał.

– Nie prowadziłby mnie do trupów – odparł pewnie, choć wcale nie był o tym taki przekonany.

Ernest westchnął ciężko.

– Mam nadzieję, że mają na tych wozach więcej worków soli i będą umieli się odwdziczyć za pomoc – stwierdził, po czym machnął dłonią na Pawła i Mateusza. – Idziemy szukać tamtych dwóch...

Obaj z powagą skinęli głowami.

– Przykro mi, chłopaki, ale wy musicie zostać – zatrzymał ich Hubert.

– Co?

– Dlaczego?

– Platon mnie poprowadzi, ale was nie zna, przestraszy się i ucieknie.

– A nas to niby zna? – zdziwiła się Iza. – Raz prawie go zastrzeliłam, a później niewiele brakowało, a zabiłabym go widłami!

– No widzisz, macie wspólną historię. – Poklepał ją po ramieniu.

– Jesteś pewien, że nie możemy iść w piątkę? – Ernestowi najwyraźniej ten pomysł podobał się coraz mniej.

– Słyszysz? – Hubert uniósł palec.

– Nie...

– No właśnie, ucichł, bo już zdążył się wystraszyć tych dwóch.

Mateusz sapnął ze złością.

– Jak nie wróćcie za godzinę... – zaczął.

– To poczekacie do rana – przerwała mu Iza. – Nie pozwolę, żeby zginął ktoś więcej.

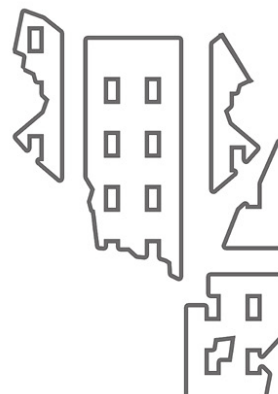
– Powiedzcie tamtym, że idziemy. – Ernest wskazał brodą ludzi z Groty, zajętych opatrywaniem rannego. – I przypilnujcie, żeby nic ich nie wybiło, bo Owczar nie uwierzy, że to nie była nasza zasadzka.

– Do zobaczenia, oby szybko. – Hubert, mijając Pawła, klepnął go w ramię.

Po raz drugi tej nocy opuścił złudnie bezpieczny krąg światła i wkroczył w ciemną noc.

– Dalej, Platon. Prowadź – powiedział cicho, po czym zagwizdał na znak, że jest gotów powierzyć demonowi swój los.





## Rozdział VI

– Widzisz go? – zapytał szeptem Ernest.

– Nie. – Hubert pokręcił głową.

Dostrzeżenie Platona bezgłośnie przemierzającego las w koronach drzew graniczyło z niemożliwością.

– Ale mniej więcej wiem, w którą stronę idzie. Zatrzymajcie się.

Trójka przyjaciół znieruchomiała, a Sierpień zagwizdał kontrolnie. Nastąpiła chwila ciszy, gdzieś w oddali rozległ się tętent spłoszonych dzików.

– Zostawił nas? – wyraziła swoje obawy Iza. Tolerowała leszego, ale Hubert doskonale wiedział, że pewnie nigdy mu nie zaufa.

Wreszcie usłyszeli ochrypnięty gwizd.

– Tam. – Hubert ruszył przed siebie, korygując kierunek.

Wszystkie zmysły postawił w stan alarmowy. Spodziewał się, że cokolwiek poturbowało tamtego człowieka, nadal może ukrywać się w okolicy. Wierzył, że wyczuje demona, zanim ten zaatakuje, jednak zawsze towarzyszyła mu obawa, że ten

jeden raz zmysł demoniczny go zawiedzie i nie tylko on zginie, ale zabierze ze sobą dwójkę przyjaciół.

Po lesie poniósł się głos puszczyka, który nagle się urwał, a coś zaszeleściło w gałęziach. Chwilę później rozległ się kwik i trzepot skrzydeł. Spłoszony ptak zerwał się do lotu, śmignął wysoko nad nimi i zniknął między drzewami.

Trójka ludzi zamarła, nasłuchując. Stanęli do siebie plecami, celując w ciemność.

– To chyba Platon go wystraszył – odezwał się po chwili Hubert.

– Prowadź dalej – powiedział Ernest, opuszczając nieco broń.

– Znajdźmy tych ludzi i wracajmy do wsi.

Podążając za ochrypniętym gwizdaniem, jeszcze dalej zagłębili się w las. W pewnym momencie Iza się zatrzymała, wpatrując się w coś kilka metrów dalej.

– Widzicie? – zapytała.

– Co? – Hubert spróbował podążać za jej spojrzeniem.

– Tam, pod tamtym drzewem. – Wskazała lufą karabinu.

Sierpień wysilił wzrok. Rzeczywiście na ziemi znajdował się cień.

– To pewnie jakaś kłoda – stwierdził Ernest. – Albo krzak.

Lecz Iza powoli ruszyła w tamtym kierunku. Dwóm łowcom nie pozostało nic innego, jak podążać za nią, wciąż bacznie obserwując otoczenie.

– Że też ta noc jest taka ciemna przez te przekłete chmury! – utyskiwał Hubert.

– Cholera. To człowiek! – Dziewczyna przyklękła przy nim. To samo zrobił Ernest.

– Żyje? – rzucił Sierpień przez ramię, stając do przyjaciół tyłem, żeby osłonić ich w razie ewentualnego ataku.

Usłyszał szelest, kiedy próbowali sprawdzić funkcje życiowe męczczyzny.

– Nie – powiedział w końcu Brzeski. – To do niego prowadził nas leszy?

Hubert zwątpił. Mogło mu się wydawać, że zna Platona, ale tak naprawdę nie miał pojęcia, co obijało się w tej paskudnej, demonicznej głowie. Zagwizdał, lecz nie usłyszał już odpowiedzi.

– Powinniśmy chyba zanieść go do obozu – odezwała się Iza.  
– Ale najpierw rozejrzyjmy się, czy w okolicy nie ma drugiego...

– Jest tu kto?! – krzyknął Hubert, wywołując tym samym syknięcie u przyjaciół.

– Co się drzesz?! – zdenerwował się Ernest. – A jak w pobliżu jest ten demon, który tak go urządził?!

– Nie czuję żadnego demona. Z kolei jeśli drugi facet jest ranny, a nie martwy, powinien odpowiedzieć. Tak będzie łatwiej go znaleźć. Halo! Żyjesz?!

Lecz zamiast ludzkiego głosu znów usłyszeli gwizd.

– Co tym razem? – zapytała Iza.

– Chyba mamy iść za nim dalej.

– Ale jeszcze nie przeszukaliśmy... – zaczęła.

Hubert pokręcił głową.

– Gdyby żył i był tutaj, dałby nam znak.

– Nie powiem, żeby mi się to podobało – stwierdził Ernest, jednak ruszył za głosem leszego.

Szli coraz dalej i dalej, aż ziemia pod ich butami stała się miękka i wilgotna.

– Co teraz? – zapytała Iza, kiedy stanęli na skraju polanki porośniętej wysokimi trawami i skarłowaciałymi drzewkami.

– Dlaczego chciał, żebyśmy przyszli na bagna? – Ernest na próbę postąpił kilka kroków w przód, jednak roślinność na brzegu ugięła się pod nim i od razu zapadł się po kostki w wodę.

Hubert zagwizdał, mając nadzieję, że to miejsce nie było ich celem i Platon poprowadzi ich gdzieś w bok, jednak leszy nie odpowiedział.

– Na pewno chciał nam coś tu pokazać – stanął w obronie demona. – No odezwij się! – mruknął, kiedy znów nie doczekał się żadnej reakcji na swoje gwizdy.

– Może rzeczywiście prowadził nas tutaj. – Iza położyła dłoń na jego ramieniu. – Ale dlatego, że znalazł tu coś ciekawego dla niego; może nie miało nic wspólnego z zaginionymi ludźmi.

– Wykluczone. – Sierpień pokręcił głową. – Musimy sprawdzić to bagno.

Ruszył w prawo wzdłuż brzegu. Miękki mech ugiął się pod butami, a sitowie szeleściło cicho, ocierając się o jego spodnie. Za plecami usłyszał jeszcze ciężkie westchnięcie Ernesta, ale po chwili przyjaciele podążyli za nim.

Coś dużego rzuciło się w wodzie z głośnym pluskiem. Trzy karabiny natychmiast wycelowały w tamtą stronę, ale bagna zamilkły.

– Jest tu kto?! – zawołał Hubert.

Na dźwięk jego głosu jakieś zwierzę w lesie zerwało się do biegu. Racice zadudniły głucho na suchej ściółce.

– Przyszliśmy z pomocą!

Zatrzymali się i zaczęli nasłuchiwać.

– Chyba powinniśmy wracać – odezwała się po dłuższym czasie Iza. – Po drodze zabierzemy tamtego zmarłego i... Słyszeliście to?

Z bagien dotarł do nich jęk.

– Jest tam ktoś?! – krzyknął Ernest.

Znów jęknięcie, a tuż po nim trzask łamanej gałązki i plusk wody.

– Tutaj...

– Gdzie?!

– Tu! Na bagnie! – Głos był coraz mocniejszy i wyraźniejszy. – Utknąłem i nie mogę wyjść!

– Hubert! Co ty robisz?! – wybuchnęła Iza, kiedy łowca zdjął buty i zaczął podwijać nogawki spodni.

– Spokojnie, wejdę tylko kawałek. Będę ostrożny.

Oddał jej swój karabin i ruszył w kierunku, skąd dochodził do nich głos. Poczuł, jak zimna woda omywa jego stopy, roślinność się pod nim ugiwała. Dla asekuracji przytrzymał się chudych drzewek rosnących na bagnie.

– Cholera – sapnął.

– Co jest? – zapytał głośno Ernest.

– Nic, zapadam się coraz głębiej! – odkrzyknął. – Ale stąd nadal niewiele widzę.

Zaczął ostrożniej wybierać ścieżkę. Starał się stawiać stopy na leżących gałęziach lub gęstych kępach trawy.

– Gdzie jesteś?!

– Tutaj! – zawołał mężczyzna.

Jeszcze tylko kilka kroków naprzód. Nagle gruba gałąź, na której Sierpień postawił stopę, złamała się, a on zapadł się w muł aż po samo biodro. Poczuł rozdzierający ból w łydce.

– Szlag by to trafił – mamrotał, próbując się wydostać.

– W porządku? – krzyknęła Iza.

Wreszcie udało mu się wyciągnąć nogę z błota i stanął chwiejnie na poziomym korzeniu najbliższej sosenki.

– Tak, tylko zadrapałem się o jakiś badył!

Spojrzał na swoją łydkę, jednak w ciemnościach zobaczył jedynie, że jest oklejona szlamem.

Zaciskając zęby, powoli ruszył dalej. Drzewka w końcu się przerzedziły. Usłyszał jakąś szamotaninę i zobaczył mężczyznę po pachy zanurzonego w bagnie. Trzymał się pnia małej brzoźki, która jednak była zbyt cienka, żeby mogła posłużyć jako podpora do wydostania się z trzęsawiska.

Hubert podniósł grubą gałąź i zaczął badać grunt przed sobą. Okazało się, że gdyby wykonał jeszcze dwa kroki, wpadłby w muł po samą szyję.

– Nie ruszaj się! Zaraz spróbujemy cię wyciągnąć!

– Od kilku godzin nigdzie się nie wybieram! – burknął ponuro mężczyzna.

– Ernie! – Hubert się odwrócił. – Potrzebuję długiej, naprawdę długiej gałęzi!

– Dobra! – odkrzyknął kumpel.

Sierpień usłyszał szelest na brzegu. Znalazł sobie wygodniejszą pozycję na cienkim korzeniu i delikatnie zbadał opuszkami palców skórę na łydce. W jednym miejscu natrafił na podłużne wgłębienie. A może tylko sprawiało wrażenie głębokiego przez to, że było oblepione błotem? Syknął, gdy zapiekło pod dotykiem, i wyprostował się, ignorując ból. Będzie się tym przejmował, kiedy wróci do wsi.

Zdawało się, że poszukiwania idealnej gałęzi trwają całą wieczność, ale wreszcie dotarł do niego trzask łamanego drewna, a później zażarta dyskusja, z której jednak nie potrafił rozpoznać żadnych słów.

– Już idę! – krzyknęła Iza.

Ernest pewnie nie chciał jej puścić na bagna, ale prawdopodobnie wytknęła mu, że jest znacznie lżejsza i zwinniejsza.

– Tylko ostrożnie! – zawołał do niej Hubert.

Słyszał, jak powoli kieruje się w jego stronę. Ciągnięcie za sobą długiej gałęzi na pewno nie ułatwiało jej sprawy.

Sierpień porządnie już zmarznął, kiedy wreszcie do niego dotarła. Wziął od niej gałąź, która okazała się prawie trzymetrowym pniem małego świerka; wspólnymi siłami wysunęli go w stronę mężczyzny.

Godzinę później zmęczeni i ubłoceni stanęli na suchym gruncie.

– Dzięki – sapnął uratowany mężczyzna, po czym zwałił się na ziemię. – Mam nadzieję, że nie widzieliście tego demona.

– Jakiego znowu demona? – mruknął podejrzliwie Ernest.

– No tego, co się tu przez cały czas kręcił.

Brzeski zerknął pytająco na Huberta, lecz ten pokręcił głową. Nic nie wyczuwał.

– To on zapędził mnie tak daleko na bagna – kontynuował mężczyzna. – I przez pół nocy łąził po brzegu. Dlatego siedziałem cicho. Z początku, jak was usłyszałem, bałem się, że to jakaś jego nowa sztuczka: naśladowanie ludzkich głosów.

– Ale kiedy już wiedziałeś, że przyszliśmy ci pomóc, nie wpadłeś na to, żeby nas ostrzec? – zapytała grobowym tonem Iza.

– Oczywiście, że tak! Ale bałem się, że się wystraszycie i odpuścicie sobie ratowanie mnie.

– Co za żelazna logika! – zdenerwował się Hubert. Zsuwał właśnie nogawki przemoczonych spodni i zahaczył boleśnie o skałeczenie, co wcale nie poprawiło jego humoru.

– Wszystko w porządku? – zapytała Iza tak miękko, że aż się zdziwił.

– Przeżyję. – Machnął ręką, wkładając buty. – A ty wstawaj i idziemy do obozu.

Mężczyzna, niezbyt przejęty tym, że narażał cudze życie, pozbierał się z ziemi.

Nagle w oddali rozległ się basowy ryk. Wszyscy zamarli z bronią gotową do strzału.

– To on – szepnął przerażony uratowany. – Wrócił.

Usłyszeli tętent jakiegoś bardzo ciężkiego stworzenia, trzask łamanych na jego drodze gałęzi i zapewne mniejszych drzewek.

– Jest jeszcze daleko, idziemy – szepnął Hubert.

Starając się robić jak najmniej hałasu, ruszyli z powrotem przez las. Co jakiś czas dochodził do nich wściekły ryk, ale stwór na razie zachowywał dystans.

Sierpień wyczuwał demoniczny zapach, którego nie rozpoznawał. Zaczął się nawet zastanawiać, czy ludzie z Groty nie ściągnęli im na głowy obcych bestii, ale szybko odrzucił ten pomysł. Tak niedawno jeszcze mieszkańcy Święcina próbowali oskarżyć jego o to samo. A tak naprawdę jego zdaniem demony zajmowały coraz większe tereny, podchodziły coraz bliżej ludzkich osad i tylko zdawało się, że z dnia na dzień jest ich coraz więcej.

Stwór wciąż szarżował, ale nagle usłyszeli huk, po którym na chwilę zapadła cisza.

– Co tam się stało? – odezwał się szeptem Ernest.

Po lesie poniósł się ryk rannego zwierzęcia.

– To nadal on – powiedział mężczyzna z Groty. – Udaje, że coś mu się stało.

Wyglądało to tak, jakby demon usiłował zwabić ich w zasadzkę. Wydawał dźwięki konającego, ale wciąż szedł za nimi. W ciemnościach nie natrafili na miejsce, gdzie zostawili zmarłego, tak naprawdę jednak nawet nie starali się go odnaleźć. Gdy nieznany stwór deptał im po piętach i niemal czuli jego gorący oddech na karku, woleli jak najszybciej znaleźć się we w miarę bezpiecznym obozowisku, a po ciało wybrać się za dnia.

Świtało, gdy wreszcie zobaczyli łunę od ogniska. Cała czwórka odetchnęła z ulgą, podobnie jak ich towarzysze na ich widok. Gdy zaś ciemność ustąpiła szarości, demon odszedł.

– W ten sposób wpadliście w jego zasadzkę, prawda? – odgadł Hubert, siadając na ziemi. – Udawał rannego.

Mężczyzna, którego uratowali na bagnach, pokiwał głową.

– Chcieliśmy sprawdzić, co to za bestia, ewentualnie ją dobić... I wtedy właśnie się na nas rzuciła. Wypadła spomiędzy drzew, ziemia dudniła pod jej kopytami. Miała czerwone ślepia i wielkie rogi. Zaszarżowała prosto na Fabiana. – Jego głos zadrżał. – Podrzuciła go jak szmacianą lalkę.

– I co z nim? – zapytał ktoś inny.

– To wyglądało źle, naprawdę źle. – Mężczyzna uciekł wzrokiem. – Sam musiałem uciekać przed tym demonem. Wpadłem na bagna, o mało się nie utopiłem...

Przygarbił się i objął ramionami. W jego oczach pojawił się wstyd, że zostawił towarzysza na pastwę potwora.

– Nie żyje – powiedział Ernest. – Przykro mi. Znaleźliśmy po drodze ciało. Później wskażemy wam mniej więcej gdzie. A co z tym pierwszym?

– Z Krzyśkiem? – odezwała się bezbarwnym głosem blondynka. – Zmarł około godziny temu. Miał strzaskane chyba wszystkie żebra i zmiżdżone narządy wewnętrzne...

– Jak Orłowski się dowie, że tak spieprzyliśmy sprawę... – powiedział ktoś z tyłu.

– W każdym razie dziękujemy wam za pomoc. – Jeden z żołnierzy uściśnął rękę Ernestowi. – Odprowadzimy was do osady i powiadomimy Owczara o tym, co zaszło.



– Będzie afera? – zapytał Hubert, wskazując brodą dom, w którym zatrzymali się ludzie z Groty.

– Trudno stwierdzić. – Iza wzruszyła ramionami. – Brzydko to wygląda.

Hubert spojrział na ranę na łydce, którą dopiero co obmył wodą.

– To tylko lekkie zadrapanie. – Machnął ręką. – Oczyszczyłem je, nic mi nie będzie.

Iza zakręciła kubkiem, w którym zrobiła napar z krwawnika. Zapachniało ziołami.

– Naprawdę to nie jest konieczne – zapewnił. – To był tylko jakiś durny badył albo drut.

– Nie marudź. Jeszcze zakażenia dostaniesz. – Wyjęła mokrą papkę z liści na gazę i przyłożyła do rany. – Przytrzymaj – poleciła, po czym owinęła mu łydkę bandażem.

Przechodząca obok nich Maja przystanąła.

– Co się stało?

– Nic takiego. – Hubert opuścił nogawkę spodni i wstał.

– Słyszałam, że coś zaatakowało ludzi z Groty. – Dziewczyna wyglądała na dość zmartwioną.

– I zabiło dwóch z nich – dodała ponuro Iza, na co Maja jeszcze bardziej zbladła.

– Ale liczymy, że do wsi nie wejdzie – zapewnił Hubert. – No i raczej nie atakuje w ciągu dnia.

Mimo wszystko dziewczyna nie wyglądała na pocieszoną.

– Muszę pomóc przy śniadaniu. Na razie – rzuciła.

Sierpień przez chwilę patrzył na jej plecy.

– Nie wydaje ci się, że bardzo mocno się przejęła tym nocnym atakiem? – zapytał.

– A dziwisz się jej? – Iza wylała resztkę naparu na trawę.

– Trochę tak. Ja wiem, że nie każda dziewczyna jest tak odważna jak ty – zastrzegł od razu. – Ale jak ją poznaliśmy, to sama wędrowała przez las. I bez zmrużenia okiem zastrzeliła wija. Wiesz, była trochę przestraszona, to normalne, ale... – Rozłożył ręce, gdy zabrakło mu odpowiednich słów. – Coś jeszcze nie daje mi spokoju.

– Co takiego?

– No właśnie nie wiem.

– Hubert, czy ja mam czuć się zazdrosna? – Iza wzięła się pod boki i spojrzała na niego groźnie.

– Oczywiście, że nie – zapewnił. – Poza tobą świata nie widzę. Objął ją i pocałował w policzek, za co został odepchnięty.

– Teraz to ty się nie podlizuj.

Weszli do domu Hadama, gdzie przy stole zebrało się kilka osób. Ernest najwyraźniej zdążył już opowiedzieć o ich nocnej eskapadzie do lasu.

– Czy będą z tego kłopoty? – zapytała konkretnie Teresa.

– A niby dlaczego miałyby być? – oburzył się Albert. – Przecież sami stwierdzili, że chcą nocować w lesie. Pomijając w ogóle kwestię, że ich tu nie zapraszaliśmy.

– No i ktoś od nas uratował życie ich człowiekowi. – Paweł skinął głową Hubertowi.

– Ale dwóch innych ludzi nie żyje – dodał Maciej z Duszników. – A w żałobie bardzo łatwo jest zacząć rzucać oskarżeniami.

– Byli raczej wdzięczni niż źli. – Mateusz pokręcił głową. – Choć oczywiście dziś wszystko może się zmienić.

– A mnie nie podobało się, że zostawili na pastwę losu swojego człowieka – wtrącił Hubert. – Gdyby nie my, to facet pewnie do rana zdążyłby utopić się w tym bagnie.

– A on z kolei zostawił swojego kumpla, kiedy tego tratował demon – wypomniał Paweł.

Hubert zauważył, że Mateusz spuścił wzrok i odrobinę zbladł. Zanim strażnik dotarł do Świącina, strzygoń zaatakował jego grupę. W takich chwilach to normalne, że większość osób stara się ratować siebie i najbliższych, jednak wyrzuty sumienia, że można było zrobić coś więcej, najwyraźniej jeszcze długo im towarzyszą.

– Czekanie, aż zacznie świtać, było rozsądną decyzją – odezwał się Henryk z ciemnego kąta. – Nie każdy jest tak porywczy jak ta trójka.

– Głupi ma zawsze szczęście – przyznał Albert.

– A jeszcze głupszego szczęście omija – burknął Hubert. – Tylko wy potraficie sprawić, że człowiek źle się czuje z tym, że rzucił się komuś na pomoc.

– Brawura często jest mylona z głupotą.

Wszyscy odwrócili się nerwowo, słysząc niski głos. W drzwiach domu Hadama stanął Owczar, a tuż za nim, niczym wielki cień, tkwił Misiek.

– Moi ludzie z kolei nie wykazali się dziś ani inteligencją, ani odwagą – kontynuował przywódca Groty. – Przepraszam, że znów przerywam waszą naradę bez zaproszenia, ale chciałbym rozwiązać wszelkie wasze wątpliwości. Nie mamy do was żadnego żalu ani pretensji. Jesteśmy wdzięczni, że ruszyliście na pomoc naszym ludziom. Skąd w ogóle wiedzieliście, że mają problemy?

Pozostali wymienili się spojrzeniami.

– Po waszym nieoczekiwanym przyjeździe postanowiliśmy wystawić podwójne warty – przyznał Hubert. – I usłyszeliśmy strzały.

– A że pewnie wcześniej zdążyliście zrobić zwiad, gdzie obozują moi ludzie, wiedzieliście też, dokąd się kierować.

– Cóż... – Ernest wzruszył ramionami.

– Postawa godna pochwały. Gdyby tylko moi ludzie byli na tyle ogarnięci, nadal mielibyśmy pełen skład.

*Moi ludzie to, moi ludzie tamto* – pomyślał niespodziewanie Hubert. *Ale w obozowisku jakoś żaden nie powiedział, że boi się Owczara. Nie. Oni się przestraszyli, co powie Orłowski...*

Nagle doznał uczucia, jakby wszystkie puzzle w jego głowie same odnalazły swoje miejsce i stworzyły całkiem wyraźny

obraz. Wojskowa osada, ludzie ukrywający, że są żołnierzami, handel solą, niespodziewane pojawienie się na wiecu na północy. Serce Huberta zabiło szybciej, krew zaszumiała mu w uszach. Z jednej strony wszystko nabrało sensu, a z drugiej stało się jeszcze bardziej zagmatwane.

– Kłamiesz – odezwał się cicho, wstając z krzesła. Z początku mało kto go usłyszał. – Kłamiesz – powtórzył głośno.

– Ale o co ci chodzi? – Owczar zmarszczył brwi.

– Nie jesteście z żadnej Groty. Jesteście ludźmi Orłowskiego. Jesteście z jednostki w górach!

Izbie wyrwało się z ust paskudne przekleństwo. Ernest wyprostował się gwałtownie. Henryk dyskretnie położył dłoń na swojej strzelbie. Pozostali mieszkańcy zjednoczonych osad poruszyli się nerwowo, nie mając pojęcia, o czym mowa.

Owczar odchrząknął i rzucił spłoszone spojrzenie swojemu ochroniarzowi, który sapnął głośno niczym niedźwiedź.

– Ani razu nie skłamałem – zapewnił po chwili mężczyzna. – Nasza osada nazywa się Grota. Leży pod Łodzią...

– Przestań już udawać. – Hubert wystąpił naprzód i dźgnął powietrze palcem wskazującym. – Wiem, kim jesteście, a jesteście bandą psychopatów. Poznałem już wielu z was.

– Ale nie przeczę, że kiedyś mieszkaliśmy w górach – kontynuował Owczar. – Nie było okazji, żeby o tym powiedzieć.

– Nie było okazji! – zaśmiał się Sierpień. – Dobre sobie!

– Przenieśliśmy się kilka lat temu, w górach były naprawdę niesprzyjające warunki.

– Niesprzyjające warunki? A może zabrakło materiałów do szalonych badań? – zapytał ironicznie.

– O czym ty mówisz, chłopie? – Owczar był dobrym aktorem. Na jego twarzy odmalowało się prawdziwe zdziwienie.

– O Alicji... – Zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie jej nazwisko. – Jakiejś tam. – Machnął ręką. – O Alicji, która

porywała ludzi, katowała demony i groziła wybiciem całej Dąbrówki!

– Alicja Szlaga? Ale ona nie...

– Co, nie była od was? Nie została wysłana na północ, żeby zrobić zwiad? Ale coś nie wyszło, prawda? – zakpił. – Dlatego teraz wysłali na przeszpiegi ciebie.

– Czy to znaczy, że ją spotkałeś?

Hubert poniewczasie zdał sobie sprawę z tego, że ani Owczar, ani jego ochroniarz mogą nie wiedzieć, co stało się z Alicją i jej ludźmi. I wolałby, żeby tak zostało. Żeby nikt więcej się nie dowiedział, że Sierpień wraz z przyjaciółmi zrównał jej jednostkę z ziemią.

– To wszystko to jakieś wielkie nieporozumienie. – Owczar rozłożył dłonie. – Przyjechaliśmy tutaj, żeby nawiązać sojusz, przedyskutować sprawę handlu...

– Akurat! – prychnął łowca, po czym poczuł czyjąś ciężką dłoń na ramieniu.

Odwrócił się i zobaczył Henryka. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

– Myślę, że powinniśmy to na spokojnie przedyskutować – powiedział cicho.

Hubert spojrzał na twarze pozostałych. Tylko Ernest, Iza i Albert wiedzieli, co się właśnie stało. Inni mieli niepewne miny, choć wierzył, że w razie czego staną za nim murem.

– Paweł, Mateusz i Kajetan – odezwał się Sierpień. – Zaprowadźcie Owczara i jego cyngla do najbliższej chaty, gdzie dotrzymacie im towarzystwa. Martyna, Agata i Paweł, powiadomcie resztę ich ludzi i poproście, żeby nie opuszczali swojego domu gościnnego.

Owczar wykonał krok w stronę Huberta, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale łowca błyskawicznym ruchem wyjął z kabury colta i wycelował w niego.

– Zostaniecie poczęstowani śniadaniem i kawą – wycedził. – My naradzimy się, co robić dalej. Przed południem zostaniecie wypuszczeni i albo odjedziecie stąd na zawsze, albo...

– Albo wrócimy do rozmów o handlu – wtrącił Ernest.

Przywódca Groty wymienił spojrzenie z Miśkiem, który nieznacznie skinął głową.

– Zrobimy, o co prosisz. Możecie uznać to za gest dobrej woli.



– Czyś ty, chłopie, zwariował?! – wybuchnął Albert, kiedy Owczar i Misiek zostali wyprowadzeni. – Chcesz rozpętać wojnę?!

– Dziadku, on ma rację. – Ernest pokręcił głową. – Jeżeli to są rzeczywiście ci sami ludzie z gór, to naprawdę musimy wszystko dobrze przemyśleć.

– Gdyby mnie jakiś gówniarz tak potraktował, zmiotłbym jego wioskę z powierzchni ziemi! – denerwował się starszy pan.

– Może zareagowałem trochę za ostro, ale pamiętaj, że to są ludzie, których wysłańcy porwali Zuzę – odparł Hubert. – Niech ktoś zwoła wszystkich przywódców. Obrazowo nakreślimy im, kim są przybysze z gór.

Kwadrans później Sierpień zaczął opowiadać o Alicji i jej jednostce, o tym, jak porwali Zuzę i jak zamknęli go w areszcie, żeby tylko mieć własny radar na demony.

– Każdy z nas chciałby wiedzieć więcej o demonach i o ich ewentualnym wykorzystaniu w walce – stwierdził Kruk.

– Ale przetrzymywanie ludzi wbrew ich woli, żeby to osiągnąć, już nie jest w porządku. – Ernest pokręcił głową.

– Alicja miała ambicje zjednoczenia wielu osad i stworzenia jednej wielkiej potęgi militarnej – powiedział Hubert.

– Wiesz, my od trzech dni robimy w sumie coś podobnego – wypomniął Antoni.

– Ale my nie dążymy do celu po trupach!

Jak wytłumaczyć innym to, że ledwie uszli z życiem z tej jednostki? Jak opisać ten obłąd w oczach Alicji? Przywódcy zjednoczonych osad wysłuchali go, pokiwali głowami, ale nie zrozumieli.

– A ci żołnierze, których spotkaliśmy rok temu podczas szabru? – Spojrzał na Izę i Henryka.

– Zdecydowanie źle patrzyło im z oczu – przytaknęła dziewczyna. Jednak w jej głosie zabrzmiała niepewność. Chciała stanąć po jego stronie, lecz tamci żołnierze tak naprawdę nie zrobili nic złego. Przysiedli się do nich do ogniska i rozmawiali chwilę, dopóki Hubert nie znokautował Czarneckiego i nie pogonił reszty.

Sierpień westchnął ciężko i opadł na ławę. Nie było sensu tłumaczyć innym, że w jego śnie czy wizji o Świącinie ci sami żołnierze zaatakowali jego i Izę tylko dlatego, że mieli nad nimi przewagę, i niewiele brakowało, a oboje zostaliby wtedy zamordowani.

– A was nie dziwi fakt, że jakimś cudem dowiedzieli się o naszym wiecu i postanowili ot tak sobie wbić na niego bez zaproszenia? – spróbował uderzyć z innej strony. – Nie jesteście zaniepokojeni tym, że od kilku dni obserwowali nas z ukrycia?

– Normalne środki ostrożności – skwitował Kruk.

Hubert spojrzał błagalnie na Henryka, licząc, że on się wypowie, że stanie po jego stronie i każe przepędzić żołnierzy. Jednak były wojskowy milczał.

– Wierzę ci – odezwała się Teresa. – Ta cała Alicja musiała być nienormalną kobietą. Nasi goście jednak na razie nie zrobili nic, co powinno nas zaalarmować.

– Przywieźli wam sól – dodał Antoni. – I to dużo soli, a chyba nie muszę wam przypominać, jaką ona teraz ma wartość.

– I chcą handlować węglem. Wiecie, jak to ułatwiłoby nam życie?

Sierpień przyłożył dłonie do skroni.

– Nie słuchacie mnie – mruknął. – Ani sól, ani węgiel nie są warte takiego ryzyka.

– Wy jesteście organizatorami wiecu, więc ostatecznie zdanie należy do was – odezwał się Antoni. – Ja jednak proponuję przyprowadzić tu tego Owczara i wysłuchać, co on ma do powiedzenia.

Pozostali przywódcy pokiwali głowami, a Hubert już wiedział, że przegrał.

– Pójdę po niego – westchnął Ernest.

Kilka minut później Owczar wraz z Miśkiem tuż za plecami stanął przed gośćmi ze zjednoczonych osad. Wcale nie wyglądał na przestraszonego ani zmartwionego zaistniałą sytuacją.

– Tak, jesteśmy z jednostki założonej przez Orłowskiego w górach tuż po wojnie – powiedział pewnym głosem. – Kilka lat temu przenieśliśmy się do Groty, bardziej na północ. To, kto nami dowodzi, nie zmienia jednak faktu, że chcemy żyć z wami w zgodzie. A jeżeli nadal będziecie chętni, nawiązać kontakty handlowe. To nic zobowiązującego, ale jeśli nam nie dowiecie, zapraszamy wasze poselstwo do nas. Zobaczycie, jak żyjemy, kim jesteśmy. Nie będziecie musieli demonizować nas we własnych głowach. Chcemy odbudować dawny świat, mamy już solidne podstawy, ale nic na siłę...

– Skoro tak, to dlaczego tak bardzo chcą tego sojuszu z nami? – szepnął Hubert do ucha Izy. – Dlaczego się po prostu na nas nie wypną?

Dyskretnie pokręciła głową. Rzeczywiście to było dość podejrzane.

Owczar sięgnął po mapę leżącą na stole i zaznaczył na niej krzyżykiem jedno miejsce.

– Tutaj znajduje się Grota – powiedział, podnosząc wysoko cały arkusz tak, żeby wszyscy mogli go zobaczyć. – Jeśli zaś chodzi o Alicję Szlagę...

Hubert nadstawił uszu, ciekaw, co tym razem Owczar będzie miał do powiedzenia.

– Nie wiem, w jakich okolicznościach ją spotkaliście, ale musicie wiedzieć, że odcięliśmy się od niej.

Sierpień nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Przecież przedstawiała się jako wasza wysłanniczka!

– Całkiem możliwe. – Owczar podrapał się po kilkudniowym zarostie. – Jednak prawda jest taka, że wyznawała wartości, z którymi się nie zgadzaliśmy, i nasze drogi, delikatnie mówiąc, się rozeszły.

– Czyli niby ją wywaliliście ze swojej jednostki? A nie przeszło wam przez myśl, że może stanowić zagrożenie dla innych?

Przedstawiciel Groty zerknął przelotnie na Miśka, jakby szukał u niego podpowiedzi.

– To, że ktoś ma inne poglądy, nie znaczy, że od razu powinniśmy skazać go na śmierć – powiedział ostrożnie. – A trzymać jej u siebie też nie chcieliśmy, bo podburzała ludzi. Zresztą, gdy odchodziła, wiele osób poszło za nią, co, nie ukrywam, było dla nas sporym ciosem, jednak nic nie mogliśmy na to poradzić.

Hubert wyprostował się na krześle i odchrząknął. Ernest, najwyraźniej przeczuwając, co przyjaciel chce powiedzieć, złapał go za ramię i ścisnął mocno, lecz to nie powstrzymało łowcy.

Wiedział, że się nakręcił, nie potrafi ukryć własnej wściekłości. Powinien przeanalizować sytuację na zimno, jednak zbyt wiele złego pochodziło z tej jednostki.

– Zatem pewnie jesteście ciekawi, co stało się z Alicją Szlagą i jej ludźmi – wycedził przez zęby.

Owczar uniósł pytająco brwi, a Misiek drgnął nerwowo.

– Przeprowadzała eksperymenty na demonach. Chciała stworzyć nowy ład na świecie. Porwała bezbronną dziewczynę, która zna się na potworach. Mnie zamknęła w areszcie z tego samego powodu i nie zamierzała już nigdy uwolnić.

W domu Hadama zapadła cisza. Samotna mucha kilka razy uderzyła w okno, aż zygzakiem poleciała w stronę otwartych drzwi. Hubert czuł napięcie, które wprowadził. I jak diabli chciał, żeby Owczar wybuchł po usłyszeniu prawdy. Wierzył, że mężczyzna kłamał o wyrzuceniu Alicji z Groty i gdy dowie się, że ta zginęła, w końcu puszcza mu nerwy i zdradzi przed innymi swoje złe zamiary.

– Wypuściłem z klatek wszystkie demony, które przetrzymywała Szlaga – powiedział wolno i wyraźnie. – A one załatwiły za mnie resztę. Strzyga rozszarpała gardło Alicji, a ja mogłem stamtąd uciec. Co się stało z resztą jednostki, nie wiem.

Jeżeli przed minutą atmosfera była gęsta, teraz można by ją kroić nożem.

*Daj mi jakiś powód – poprosił w myślach. Daj mi powód, żeby zakończyć całą tę przeklętą szaradę.*

Owczar ponownie spojrzał na swojego ochroniarza. Ten jak zwykle zachował pokerową twarz.

– Rozumiem... – powiedział wolno.

Hubertowi robiło się na przemian zimno i gorąco. Wiedział, że postąpił głupio, a jednocześnie wciąż czekał na wybuch.

– Jak już mówiłem, odcięliśmy się od Szlagi i jej ludzi – kontynuował nieco bledszy Owczar, wążąc słowa. – Przykro mi, że mieliście z nią zatarg i że tak to się skończyło. Wieści o tych wypadkach do nas nie dotarły.

*Wśród tamtych ludzi na pewno byli tacy, których lubił i którzy byli mu bliscy, mimo że poszli za Alicją – myślał Hubert. A ja właśnie oświadczyłem, że przeze mnie większość z nich pewnie już nie żyje.*

Poczuł wyrzuty sumienia.

– To mnie przykro, że tak to musiało się skończyć – wydusił.

Owczar skinął głową.

– Może jeszcze za wcześnie na rozmowy o sojuszu i handlu – ocenił. – Co nie znaczy oczywiście, że zaczniemy się zbroić. – Gdy to powiedział, kilka osób odchrząknęło nerwowo. – Jeszcze dziś spakujemy się i wyjedziemy. Zarówno wy, jak i my mamy wiele kwestii do przemyślenia. Nasze zaproszenie do Groty jest nadal aktualne. Z przyjemnością podejmiemy i należycie ugościmy wasze przedstawicielstwo. Zresztą po poprzedniej nocy jesteście waszymi dłużnikami.

Powiódł wzrokiem po twarzach zebranych.

– Zaszczycem było was poznać. – Zasalutował, po czym opuścił dom Hadama.

Antoni z sykiem wypuścił powietrze z płuc.

– To się porobiło.

– I dupa, nie będzie soli – sapnął Maciej z Duszników.

– A czy wam nie wydaje się podejrzane, że oni tak bardzo chcieli tego sojuszu? – odezwał się Paweł. – Kiedy Hubert powiedział im o tym, co się stało z tą całą Alicją, myślałem, że facet rzuci mu się do gardła.

Sierpień dotknął palcami własnej szyi, jakby sprawdzając, czy nadal z nią wszystko w porządku.

– Nie ty jeden – dodał Ernest.

– A może oni chcą od nas czegoś więcej? – zastanowił się Albert. – Czegoś, o czym jeszcze nam nie powiedzieli? Dlatego byli tacy mili przez cały czas.

– Niby czego? – mruknął Hubert. – Śledzi z morza?

– Nie mądruj się. – Dziadek Brzeski spojrzał na niego krzywo. – Ty już dość piwa dziś nawarzyłeś. Stary, a głupi.

– Nie, on ma rację – odezwał się Henryk. – Wystawił cierpliwość naszego nowego znajomego na ciężką próbę. Podejrzane jest to, że Owczar ją przeszedł.

– A skoro na czymś tak bardzo im zależy, to chyba znaczy, że mamy jakiegoś asa w rękawie, prawda? – powiedziała Iza.

– Szkoda tylko, że nie wiemy jakiego – westchnął Ernest.

Napięcie powoli opadło. Huberta trawiła złość na siebie i na swoje zachowanie, a jednak nadal był przekonany, że nie wolno ufać ludziom Orłowskiego. Miał nadzieję, że tego dnia uratował zjednoczone osady, choć jeszcze nie do końca wiedział przed czym.

Nagle przed oczami pojawiły mu się mroczki. Pewnie z nerwów.

– Muszę się przewietrzyć – rzucił, po czym wyszedł na zewnątrz.

Jak tylko w twarz buchnęło mu ciepłe, świeże powietrze, rozjaśniło mu się w głowie, ale za to zaczęła doskwierać zraniona łydka. Lekko kulejąc, skierował się w stronę wiat i usiadł samotnie przy stole. Przez spodnie podrapał się po opatrunku. Zabolało bardziej, niż się spodziewał. Już miał podwinąć nogawkę, żeby zobaczyć, czy znów nie zaczął krwawić, kiedy usłyszał za sobą kroki.

– Tak namieszać jak ty to nikt nie potrafi. – Iza usiadła okrakiem na ławie obok niego.

– Ja tylko chcę nas chronić – westchnął i zaczął zeskubywać ze stołu wosk rozlany poprzedniej nocy.

– Wiem. Każdy z nich to wie. – Machnęła ręką za siebie na dom Hadama. – Dlatego jeszcze cię porządnie nie opieprzyli. Zresztą ufają ci.

– A ty co sądzisz? Czy dobrze zrobiłem? Czy może właśnie rozpętałem wojnę?

– Nie jestem pewna – westchnęła, utkwivszy wzrok w odległym domu, w którym nocowali ludzie Orłowskiego. – Nie wydaje mi się, żeby miało dojść między nami do eskalacji. Ale Grota mogłaby być potężnym sprzymierzeńcem.

– Ale przecież poznałaś Alicję, to była prawdziwa wariatka!

– I cieszę się, że tamta strzyga ją załatwiła. A co, jeśli Owczar mówił prawdę o odcięciu się od tej kobiety? Może rzeczywiście powinniśmy pojechać do tej Groty i poznać ich w ich własnym otoczeniu?

– A jeśli to pułapka? Jeśli poszlibyśmy prosto w paszczę lwa?

– Przecież to jest właśnie twoja specjalność. – Uśmiechnęła się. – I wychodzenie obronną ręką z nawet przegranej sytuacji.

– Naprawdę tak myślisz? – mruknął ponuro. – Bo mam wrażenie, że co i rusz zdarza mi się wpakować siebie i bliskich w bagno.

– Coś w tym jest – uznała, wskazując swoje nadal ubłocone spodnie. – Ale pamiętaj, że dziś wyciągnęliśmy z tego bagna innego człowieka.

Hubert zaczął rozważać jej słowa. Gdyby w tajemnicy pojechali do Groty, dyskretnie wybadali teren, może dowiedzieliby się czegoś sensownego? Może odkryliby ich intencje?

Zuza podeszła do nich bezgłośnie niczym kot i usiadła na stole. Oboje spojrzeli na nią, ale nie wyglądała na zainteresowaną rozmową, więc ją zignorowali i w milczeniu obserwowali wieś.

Arek, jeden z ludzi z Groty, przeszedł przez drogę w kierunku stajni. Pewnie miał przygotować konie przed podróżą. Zjednoczeni, którzy przed chwilą uczestniczyli w zebraniu, również zaczęli się rozchodzić. Część z nich poszła do swoich domów gościnnych, część dyskutowała po kątach w małych grupkach. Maja wyszła z jednego z sadów, trzymając przed sobą zawiniętą bluzkę wypchaną prawdopodobnie jabłkami. Niedaleko Kajetan ćwiczył rzucanie nożem w pień drzewa. Można było nawet odnieść wrażenie, że życie w osadzie wróciło na swój zwykły kurs.

– Zauważyliście kiedyś, jak bardzo jestem podobna do mojej mamy? – odezwała się Zuza.

– No – rzucił Hubert. Z przyzwyczajenia słuchał jej tylko jednym uchem, kiedy zaczynała gadać o głupotach.

Jednak tym razem coś go zaalarmowało w sposobie, w jaki to powiedziała. To nie był jej zwykły, rozmarzony ton. O nie, ten był bardzo rzeczowy. Sierpień podniósł głowę. Zuza patrzyła gdzieś w dal, nawijając na palec kosmyk długich włosów. Rzeczywiście jej mama też miała rude loki, teraz już poprzeplatane siwizną, taką samą cerę usianą drobnymi piegami. I tylko spojrzenie miały różne. Czasem jednak robiły podobne miny i miały zbliżony głos...

– Ale byłem ślepy! – Poderwał się z ławy, zapominając o bólu w łydce.

Skąd ludzie z Groty wiedzieli, w którym momencie się zjawić? Co im podpowiedziało, jak cenna jest dla nich sól? Może i nie kłamali, ale na pewno nie mówili też całej prawdy.

– Hubert! Co ty robisz?! – zawołała za nim Iza, ale on zbiegał już ze zbocza.

Jak mógł tego nie dostrzec? Przecież cały czas miał to przed oczami.

– Ale oni są cwani – mamrotał pod nosem, kierując się do stajni. – To było tak bezczelne! Sam bym na to nie wpadł! Mieli jaja, żeby poważyc się na coś takiego...

Wpadł do niskiego, podłużnego budynku. W nozdrza uderzył go zapach słomy, gnoju i końskiego potu. Mokka zarżała wesoło na jego widok, tym razem jednak ją zignorował, bo kilka boksów dalej usłyszał szept.

– Gdzie jesteś?! – rzucił, wciąż maszerując naprzód.

Szelest deptanego siana, skrzypnięcie zawiasów w drewnianych drzwiczkach.

– Kogoś szukasz? – Z boksu wyłoniła się zaskoczona Maja.

– Co ty tu robisz? – warknął.

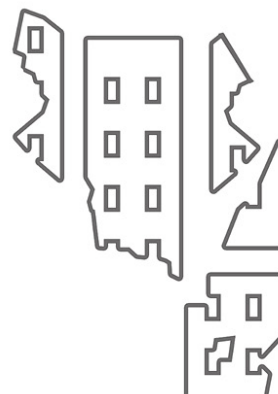
– Przyniosłam koniom trochę jabłek. – Odchyliła bluzkę na brzuchu, pokazując kilka owoców. – Ostatnio czują się zaniedbane.

– Nie kłam. Wiem, że się z nim tu spotkałaś. Gdzie on jest? – Zaczął po kolei zaglądać do kolejnych zagród.

– Ale kto?

– Twój człowiek! Wiem, że jesteś z Groty!





## Rozdział VII

Zapadła cisza, przerywana zwykłymi odgłosami stajni – stukotem kopyt, uderzeniami w ścianki boksów, bzyczeniem much.

– Co ty wygadujesz? – Maja zmarszczyła brwi. – Z jakiej znowu Groty?

– Dobrze wiesz, z jakiej Groty – warknął. – Szpiegowałeś nas i donosiłeś im wszystko!

– Przecież wiesz, że to nieprawda – odparła nieco drżącym tonem. – Opowiedziałam ci, skąd jestem...

Sięgnęła po jabłko i podała następnemu koniowi. Natychmiast zniknęło w dużym pysku. Pogłaskała zwierzę po miękkich chrapach.

Sierpień gwałtownie złapał ją za nadgarstek i obrócił twarzą do siebie.

– Powiedz Owczarowi, że nie trzeba było wysyłać twojej matki jako posła – powiedział twardym tonem. – Jesteście do siebie zbyt podobne.

Szarpnęła się, ale jego uścisk był niczym imadło. Jabłka rozsypały się po podłodze.

– Hubert, to boli! Puść mnie!

– Przyznaj się!

– Przecież znalazłeś mnie samą w lesie – jęknęła.

– Nieźle to ukartowaliście. A atak wijów to też wasza robota czy przypadek działający na waszą korzyść?

Nieświadomie musiał ścisnąć jej rękę jeszcze mocniej.

– Aua!

– Puść ją. – Z cienia wyszedł Arek, którego zaledwie kilka chwil wcześniej Hubert widział wchodzącego do stajni.

– Przyszliście się tu naradzić, co? – zapytał. – Bo dzisiejszy ranek wcale nie poszedł po waszej myśli? A ty? – zwrócił się na powrót do Mai. – Jak miałaś to rozegrać? Po prostu planowałaś zniknąć i odjechać razem z nimi? Czy może dalej byś mieszkała u nas i dla nich szpiegowała?

Był wściekły, że się tego wcześniej nie domyślił. A przecież tamtej nocy, gdy spotkali Maję, usłyszał jakiś szelest w lesie, był prawie pewien, że zobaczył ludzki cień, jednak uznał, że to niemożliwe. A od wczoraj wciąż nie dawało mu spokoju to, że tamta blondynka miała dość charakterystyczny głos – niemal identyczny z tym jej córki!

– Puść mnie! – Maja ponownie spróbowała się wyrwać, a gdy się nie udało, wymierzyła mu kopniaka.

Pech chciał, że trafiła w nogę tuż obok bolącego skaleczenia. Hubertowi rozbłysnęło przed oczami światło, a później zalała je czerwień.

Jednym ruchem okręcił dziewczynę i przycisnął ją plecami do własnej klatki piersiowej, blokując jej ręce.

Arek rzucił się jej na ratunek.

Wspominając później to, co wydarzyło się w stajni, Hubert nie był pewien, jak do tego doszło. Żołnierz zamierzył się

pięścią w jego szczękę. Sierpień się przed nią uchylił, jednocześnie odtrącając od siebie dziewczynę, która wpadła na ściankę jednego z boksów. Wywiązała się szarpanina, w wyniku której Hubert powalił przeciwnika na ziemię. Maja krzyczała.

– Co ty wyprawiasz?! – usłyszał jak przez mgłę.

Już miał zadać kolejny cios, kiedy ktoś szarpnął go za ramię. Odwrócił się, gotów odeprzeć kolejny atak, gdy zobaczył Izę.

– Opanuj się! – krzyknęła.

Zaskoczony własnym zachowaniem odsunął się od Arka. Jednak ten, gdy tylko poderwał się z ziemi, ruszył wprost na niego.

– Ty też się opanuj! – warknęła Iza, celując do niego z brzoźingą.

Dopiero widok broni ostudził w nim chęć do odegrania się.

– Co tu się, do diabła, dzieje?!

– Ją zapytaj. – Hubert wskazał palcem Maję.

Dziewczyna rozejrzała się wokół spłoszonym wzrokiem, jakby szukała pomocy. Gdy jej nie znalazła, westchnęła ciężko.

– Jestem z Groty – przyznała.

– Że co proszę? – Iza schowała pistolet.

– Miałam dowiedzieć się wszystkiego o wiecu – powiedziała cicho Maja. – I o was, to znaczy organizatorach i uczestnikach. Ale to nie ze złych zamiarów! Po prostu nasi ludzie nie chcieli pakować się w to wszystko w ciemno.

– I nie przeszło im przez myśl, że oni mogą okazać się psychopatami? – Iza wskazała Huberta. Jej ton jasno dawał do zrozumienia, że jej zdaniem do psychopaty niewiele mu w tej chwili brakowało.

– Na początku ktoś cały czas nas obserwował...

– Pięknie! – Sierpień machnął dłońmi, nadal zły na siebie, że tego nie zauważył.

– Ale skoro Hubert i Ernest okazali się w porządku i zaoferowali mi pomoc, wierzyliśmy, że ich osada też będzie, bo ja wiem... – Wzruszyła ramionami. – Normalna.

– I przez cały wiec informowałeś Owczara o tym, co się tu działo? – chciała się upewnić Iza.

Maja pokiwała głową, a Hubert zaczął robić szybki przegląd własnych wspomnień. Powiedział jej coś, czego Grota nie powinna wiedzieć? Zdradził jakieś ważne informacje?

– Sami zrobilibyście to samo.

– Może tak, może nie – westchnęła Iza. – Wracaj do swoich ludzi się ogarnąć – zwróciła się do Arka. – Ja pójdę z Mają po jej rzeczy do domu Hadama i odprowadzę ją do was. – A ty – dźgnęła palcem Huberta – znajdź Ernesta i powiedz mu, że ma cię pilnować.

– Bardzo śmieszne – burknął.

– Mówię poważnie.



Hubert dostał areszt domowy. Miał zakaz opuszczania wzgórze, na którym stał dom Hadama. Nie pomogło tłumaczenie, że przecież Arek pierwszy go zaatakował, że nie zrobiłby krzywdy Mai, że to tamci są tymi złymi.

– Masz klapki na oczach – stwierdził Ernest. – Według ciebie całe zło tego świata pochodzi z tej przeklętej jednostki.

– A dziwisz mi się? – burknął. – Mamy z nimi same paskudne doświadczenia. A teraz jeszcze się okazało, że nas szpiegowali!

– To nie powód, żeby wszczynać burdy i bić dziewczyny!

– Przecież nic jej nie zrobiłem!

Ernest jednak tylko pokręcił głową. Zerwał się wiatr i wydał wiaty nad ich głowami.

– Myślałem, że z wiekiem będziesz mniej porywczy i impulsywny – powiedział po chwili Brzeski. – I zostaw ten opatrunek w spokoju – dodał, kiedy Hubert zaczął odwijać bandaż.

– Diabelstwo zaczęło mnie boleć – mruknął. – Tym bardziej po tym, jak Maja mnie kopnęła w łydkę.

– Należało ci się.

Okazało się, że skóra wokół rany się zaczerwieniła.

– Jeszcze tego brakowało, żebym dostał zakażenia – rzucił pół żartem, pół serio.

Ernest westchnął ciężko kilka razy.

– Poszukam czegoś na to – powiedział w końcu, niczym żona, która się wściekła, ale nie pozwoli, żeby cokolwiek stało się jej mężowi. – Tylko się stąd nie ruszaj.

– Nie mam zamiaru. – Hubert skrzyżował ramiona na piersi i wyciągnął przed siebie nogi.

Przyjaciel wrócił po kilkunastu minutach z miseczką pełną pokrojonej i sparzonej kapusty.

– Nałóż to sobie na tę ranę i zawiń bandażem – polecił.

Już dawno temu odkryli, że okłady z kapusty pomagają nie tylko na bóle stawów, ale również na wszelkie schorzenia skóry. A to warzywo akurat łatwo było znaleźć w kuchni.

W ciągu następnej godziny ludzie z Groty, w tym Maja, spakowali się, zdawkowo pożegnali i odjechali.

– Będzie trzeba znów wystawić podwójne warty w nocy – stwierdził Hubert. – Albo może nawet potrójne. Tak na wszelki wypadek.

– Będzie trzeba – przyznała Iza. – Zostaw to!

Hubert wyprostował się i przestał drapać łydkę przez spodnie, choć nadal swędziała jak diabli.

– Pan Albert kazał posprzątać stoły. – Podszedł do nich Kajetan. – Mówi, że będzie padać.

Sierpień zerknął na niebo. Porywisty wiatr toczył po nim szare chmury. Jego zdaniem nie zapowiadało się na deszcz, ale stawy dziadka Ernesta były jednym z najlepszych barometrów.

Wraz z kilkoma innymi osobami przenieśli wszystkie stoły pod dach i złożyli wiaty. W domu Hadama pachniało pieczonym mięsem i grillowanymi warzywami. Podczas obiadu mieszkańcy zjednoczonych osad przeprowadzili dość luźną rozmowę o ludziach z Groty. W końcu doszli do porozumienia – nie należało im ufać, ale nie powinni się również od nich zupełnie odcinać.

Hubert niewiele się odzywał. Powiedział już przecież wszystko, co miał do powiedzenia. Poza tym noga zaczynała boleć go coraz bardziej i nie miał już siły na żadne dyskusje.

Gdy skończyli jeść, usłyszeli szum deszczu uderzającego w dach. Zrobiło się na tyle chłodno, że trzeba było zamknąć drzwi. Większość ludzi porzochodziła się do swoich domów gościnnych.

– Idę się położyć. – Hubert robił się coraz bardziej senny po zarwanej nocy, pogoda też nastrajała do odpoczynku.

Czując na sobie spojrzenia przyjaciół, wspiał się na antresolę, padł na swój siennik i niemal od razu zasnął.

Przed zapadnięciem zmroku chciał dopilnować, żeby warty były porządne, bez przysypiania w kątach i obijania się. Bo choć ludzie z Groty wyjechali wiele godzin wcześniej, nadal nie wiedział, czego można się po nich spodziewać, a udowodnili już, że potrafią być bardzo pomysłowi. Okazało się jednak, że nie był w stanie pozbierać się z łóżka. Noga zaczęła go boleć

i swędzieć jednocześnie, do tego spuchła tak, że bandaż zbyt mocno ją uciskał i musiał go poluznić.

Było już ciemno, kiedy Iza położyła się obok niego.

– Co się dzieje? – zapytał nieco otępiały.

– Idziemy spać – odparła.

– A warty? – Spróbował się podnieść, ale zawadził o coś nogą i znów opadł na siennik.

– W porządku? – W jej głosie pobrzmiwała troska.

– Uhm – mruknął.

– Aż tak cię ta łydka boli? Kurczę, teraz jest już za ciemno, żeby cokolwiek z nią zrobić... Rano ją zobaczymy, dobrze?

– Do rana to mi przejdzie – stwierdził, poprawiając sobie poduszkę pod głową.

Nie przeszło. Przez całą noc albo nie mógł spać, albo miał koszmary. Tym razem jednak zaczął je rozumieć. Znów śnił o płonących domach i człowieku wyłaniającym się z ognia, podczas gdy płomienie układały się za jego plecami w olbrzymie skrzydła.

*Jak mogłem być taki głupi?* – pomyślał, kiedy obudził się po raz kolejny. Przecież musiało chodzić tu o Orłowskiego. To było takie proste i oczywiste. Jak mógł na to wcześniej nie wpaść? Może jego sny rzeczywiście mogły przepowiedzieć przyszłość? Albo wcześniej wydarzyło się coś, co go zaalarmowało. Może przez cały czas przeczuwał, że coś było nie tak z Mają? I jego podświadomość próbowała go ostrzec?

Rano było z nim jeszcze gorzej. Jako ostatni zszedł na dół i ledwie trzymał się na nogach.

– Wyglądasz okropnie – stwierdził Ernest znad śniadania.

– Wiem. – Zwalił się na krzesło i z trudem podwinął nogawkę spodni.

– O cholera – rzucił przyjaciel na widok jego spuchniętej łydki. – Tym to powinien się zająć ktoś, kto się zna.

Niestety w osadzie nie było aktualnie żadnego lekarza ani nikogo, kto miałby o zakażeniach większą wiedzę niż oni sami.

Przez kilka następnych godzin każdy starał się pomóc Hubertowi, jak umiał. Ludzie z innych osad dzielili się zawartościami własnych podróżnych apteczek, co chwilę zmieniano mu okłady na nodze. W okolicy południa jednak stwierdzili, że tym powinna się zająć Irena, która przed ostatnią wojną była pielęgniarką, a teraz od ośmiu lat doszkalala się w leczeniu ludzi środkami dostępnymi po apokalipsie.

– Dasz radę dojechać do domu? – Niepokoiła się Iza.

Minę miała nie za wesołą, a to znaczyło, że musiał naprawdę kiepsko wyglądać.

– Pewnie, że dam – zapewnił, choć najchętniej wyłby z bólu.

– A może powinienes jechać na wozie?

– Tylko że wtedy droga zajmie ze dwa dni. A wolałbym już dziś w nocy położyć się we własnym łóżku – spróbował zażartować.

– Pojedziemy z tobą ja, Henryk i Woźnica. Ernest ogarnie Piaseczno.

Pokiwał głową, choć jemu wszystko było już obojętne. Od rana ludzie z innych osad się z nim żegnali, ale tak naprawdę nie pamiętał, kto wyjechał, a kto jeszcze został.

Pół godziny później z trudem wspiął się na Mokkę i pokazał wszystkim uniesiony kciuk. Uśmiechnął się do nich, ale wyszedł mu chyba tylko paskudny grymas, bo niektórzy z troską pokręcili głowami.

Tak samo męczył się w siodle jedynie raz w życiu – kiedy ponad rok wcześniej ranny szukał Święcina. Dobrze, że tym razem towarzyszyli mu przyjaciele, w każdej chwili gotowi pomóc czy odeprzeć niespodziewany atak demonów.

Co jakiś czas się zatrzymywali i Iza zmieniała okłady na nodze Huberta, ale miał wrażenie, że to nic nie pomagało. Nie mógł znaleźć sobie wygodnej pozycji w siodle, kilka razy prawie zsunął się na ziemię, kiedy przysnął, a każdy kolejny krok Mokki wywoływał u niego ból.

– I po co było ratować tego kolesia? – mamrotał do siebie pod nosem. – Gdybym wcześniej wiedział, że cała ta Grota to jednostka z gór, dwa razy bym się zastanowił, zanim zacząłbym ryzykować dla nich własne życie.

Droga do domu zdawała się trwać w nieskończoność, mijane drzewa zlewały się w jedną brązowo-zieloną plamę. Co jakiś czas gdzieś wysoko słychać było ochrypnięty gwizd, ale Hubert nie miał nawet siły, żeby mu odpowiedzieć.

Było już późne popołudnie, kiedy dotarła do niego prowadzona szeptem rozmowa między Izą i Henrykiem.

– O co chodzi? – zapytał, podjeżdżając do nich bliżej.

– Zaraz będzie ciemno – odparła dziewczyna. – Chyba powinniśmy poszukać miejsca na nocleg.

– Jedziemy dalej – stwierdził, poprawiając się w siodle.

– Wyglądasz, jakbyś zaraz miał zaryć twarzą w ziemię – zaprotestowała.

– To nie jest już aż tak daleko, najwyżej będziemy jechali kawałek po ciemku.

Iza i Henryk wymienili spojrzenia.

– Im szybciej będziemy w Dąbrówce, tym lepiej – zdecydował mężczyzna.

Hubert nawet się nie spostrzegł, kiedy w lesie zapanował półmrok. Głowa co chwilę zwieszała mu się na klatkę piersiową. Chyba miał gorączkę.

Nagle coś zaszeleściło w pobliżu. Iza i Henryk natychmiast wycelowali w tym kierunku karabiny. Po jakimś czasie rozległo się ciche chrumkanie. Dziki wyszły na żer.

– Czujesz jakieś demony? – Dziewczyna zrównała Hermesa z Mokka.

Sierpień potrzebował kilku chwil, żeby zrozumieć pytanie.

– Nie, chyba nie. – Potrząsnął głową, choć tak naprawdę jedyne, na czym w tym momencie potrafił się skupić, to ból.

Miał wrażenie, że powinien już rozpoznawać las, przez który jechali, ale wszystko wokół wyglądało obco i nierzeczywiście. Na moment przymknął oczy...



– Hubert! – Coś szarpnęło go za ramię.

Ocknął się i natychmiast kurczowo złapał za łąk siodła. Gdyby Iza go nie podparła, spadłby na ziemię. Z trudem usiadł prosto.

W ciemnościach twarz dziewczyny była blada jak u jakiegoś upiora.

– Został nam już tylko kawałek – zapewniła. – Jeszcze jakaś godzinka i będziemy w domu.

Sierpień pokiwał głową. Za plecami rozległ się jednostajny stukot kopyt konia Henryka. Przetarł jedną dłońią twarz i sięgnął po manierkę z wodą, mając nadzieję, że chłodny płyn otrzeźwi go choć na chwilę.

Nagle usłyszał hałas, po nim zaś nastąpił krzyk. Nie zdążył zareagować w żaden sposób, kiedy Mokka stanęła dęba i musiał pochylić się do przodu, żeby z niej nie spaść. Mocno ściągnął wodze, usiłując ją uspokoić. Ruszyła bokiem wzdłuż drogi, tańcząc na wszystkich czterech nogach.

– Spokój – powiedział. – Nic się nie dzieje.

Ale to nie była prawda. Gdy wyciągnął jedną dłoń, żeby poklepać ją pokrzepiająco po szyi, znów stanęła dęba. Hubert stracił równowagę i runął na plecy.

Upadek na twardą ziemię wypchnął mu z płuc całe powietrze. Przekręcił się na bok, oddychając chrapliwie. Z tyłu słyszał jakieś hałasy i rzenie przerażonych koni. Wszystko działo się tak szybko, że jego umysł ogarnięty gorączką nie nadążał. Coś wielkiego wpadło wprost na Henryka, zrzucając go z wierzchowca. Wywiązała się szarpanina, jednak w ciemnościach można było dostrzec zaledwie zarysy sylwetek mężczyzny i wielkiego demona. Iza rzuciła się na ratunek przyjacielowi.

Hubert miał wrażenie, jakby powietrze było gęste jak kisiel i utrudniało mu każdy, nawet najmniejszy ruch. Powoli pozbierał się z ziemi i stanął o własnych siłach. Odruchowo sięgnął po karabin, ten jednak został przytroczony do siodła Mokki. Na szczęście przy pasku miał jeszcze colta. Wyszarpnął go z kabury i wycelował, ale na linii strzału znalazła się Iza, atakująca stwora nożem. Serce podeszło Sierpniowi do gardła. Niewiele brakowało, żeby ją postrzelił. W głowie mu łupało, czuł się, jakby był pijany, a jednocześnie nie potrafił wycofać się w tak kryzysowej sytuacji i zostawić bliskich na pastwę demona.

Dopiero teraz dotarł do niego zatęchły smród wilgotnej sierści, usłyszał niski, gardłowy warkot, dostrzegł skrawek rudego futra, gdy Henryk odepchnął mamunę od siebie.

– Na ziemię! – wrzasnął Hubert.

W pierwszej chwili miał wrażenie, że go nie usłyszeli. Nagle jednak oboje padli na drogę, a pokraczny stwór ponownie zaszarżował.

Sierpień miał zaledwie ułamek sekundy, żeby wziąć się w garść. Zamrugał w nadziei, że obraz przestanie mu się

rozmażywać przed oczami. Skupił wszystkie zmysły. Wyprostował łokcie, nacisnął spust i oddał strzał. Nastąpił błysk i huk, a łuska poleciała dużym łukiem w bok i z cichym brzękiem spadła na ziemię.

Mamuna znieruchomiała. Hubert nie miał pojęcia, czy w nią trafił. I w tym momencie wszystko zwolniło. Demon obrócił się w jego stronę i wyszczerzył długie kły, w których kryła się zapowiedź śmierci. Nie zdążył jednak wykonać ani jednego kroku, gdy dopadł go Henryk i wbił nóż w jego szyję. Mamuna wzięła zamach, jakby chciała odtrącić go łapą, ale zanim to zrobiła, padła na pysk.

Hubert jeszcze przez kilka sekund stał w miejscu z bronią gotową do strzału, zanim ją zabezpieczył i wsunął do kabury. Lekko się chwiejąc, podszedł do towarzyszy.

Henryk pochylał się nad demonem.

– Nie żyje – oświadczył, po czym wytarł zalane krwią ręce o trawę.

– A druga? – Iza rozejrzała się wokół.

Hubert położył rękę na kolbie colta, wyrzucając sobie, że o tym nie pomyślał.

– Nic nie czuję – powiedział.

– Tej też nie wyczułeś.

– Nie wymagaj ode mnie zbyt wiele – rzucił. – Mam wrażenie, jakby zostało mi tylko pół mózgu. Trafiłem ją chociaż?

Henryk wskazał ciemną bruzdę widniejącą na skroni demona.

– Powiedzmy, że prawie ci się udało. Złapcie konie i wynosimy się stąd. Tylko zachowajcie szczególną ostrożność.

Na szczęście, choć przestraszone, wierzchowce nie uciekły daleko i czekały na poboczu kilka metrów dalej. Hubert z olbrzymim trudem wspiał się na siodło i luźno chwycił wodze. Mokka знаła drogę stąd do domu.



Dotarli do Dąbrówki późną nocą. Iza od razu pojechała po Irenę, która zajęła się nogą Huberta. Oczyszczyła ranę, nałożyła nowy okład, dała mu zioła, które miały zbić gorączkę. Natalia Brzeska, która na czas wiecu została w domu, opatrzyła drobne zadrapania na rękach i twarzy Henryka po spotkaniu z mamuną.

– Jest źle – usłyszał Sierpień, gdy pielęgniarka przeszła do kuchni. – Wdało się paskudne zakażenie, ma powiększone węzły chłonne...

*No przecież nie zejdem na zakażenie – pomyślał. Zabiłem tyle demonów, nie pokona mnie drut z bagien...*

Zapał w niespokojny sen. Kilka razy w nocy budził się z koszmarów zlany potem i za każdym razem widział ciemną postać przysypiającą w fotelu obok. Ktoś przykładał mu zimne okłady do rozpalonego czoła.

Rano łydka nadal była opuchnięta, rana pulsowała i bolała przy każdym, nawet najmniejszym ruchu, a do tego zaczęła wypływać z niej cuchnąca ropa.

– Jak się dziś czujemy? – Natalia przyszła do niego ze śniadaniem.

– Jak nieboszczyk na wczasach – zacytował Alberta.

Uniósł się na łokciach. W fotelu obok zobaczył śpiącego ojca. Mama Ernesta zmieniała mu opatrunek. Do pokoju wpadli Blanka i Hans, jej przybrane dzieci, ale od razu ich wygoniła.

– Gdzie Iza? – zapytał.

– Pojechała z Henrykiem na mały szaber.

– Szaber...? – powtórzył głucho. – Przecież wszystko mamy...

I wtedy do niego dotarło.

– Chyba nie jest ze mną aż tak źle?

Natalia uciekła wzrokiem.

– Wolimy dmuchać na zimne, a przydałby ci się jakiś antybiotyk, nawet przeterminowany.

– Ale przecież wszystkie apteki w okolicy są ogołocone do czysta... – Z powrotem opadł na poduszkę.

Wiedział o tym doskonale, bo sam z Ernestem przeszukał każdy budynek w promieniu dwudziestu kilometrów od Dąbrówki.

– Nimi się nie martw – powiedziała Natalia, siląc się na pogodny ton. – Poradzą sobie.

Hubert niewiele pamiętał z dwóch następnych dni. Przez większość czasu spał albo usiłował przekonać samego siebie, że noga nie boli go aż tak bardzo, jak mu się wydaje. I wcale nie jest taka spuchnięta ani zaczerwieniona...

W domu znów zrobiło się tłoczno, kiedy wszyscy domownicy wrócili z Piaseczna. Sąsiednia wieś została wysprzątana po wiecu, a wszystkie budynki pozamykane w oczekiwaniu na przyszły rok. Huberta jednak w tej chwili niewiele to obchodziło. Irena zaczęła eksperymentować na jego ranie, używając najróżniejszych leków ziołowych. Połała go paskudnymi naparami. Pod wieczór drugiego dnia Iza i Henryk przyjechali z niewielką torbą starych leków sprzed wojny. Pielęgniarka nie była zachwycona efektami ich poszukiwań, ale stwierdziła, że lepsze to niż nic.

Hubert widział zmartwione twarze rodziny i przyjaciół. Zapewniał ich, że nic mu nie będzie, że przecież wychodził nie z takich opresji, jednak oni nie wyglądali na przekonanych.

*Jeżeli już mam umrzeć, to w walce z demonem – myślał pomiędzy snem a jawą. Nie ma szans, żebym dał się zakażeniu.*



Czwartego dnia od przyjazdu do Dąbrówki gorączka spadła, a opuchlizna nieco ustąpiła. Hubert wreszcie poczuł się nieco lepiej.

– Nieźle wszystkich nastraszyłeś – powiedziała Irena, zmieniając mu opatrunek. Po raz pierwszy się uśmiechnęła.

– A nikt nie chciał wierzyć, że nic mi nie będzie – odparł.

– To o tym ciągle gadałeś przez sen? – zażartował Albert. – Bo za groma nie można było cię zrozumieć.

– Mnie się wydawało, że cały czas mówił o Grocie i Orłowskim – dodała Iza.

– Mówilem, że ma obsesję – skwitował Ernest.

Wszyscy wyglądali, jakby kamień spadł im z serca.

– Dobra, nie gadać, bo chce mi się spać – powiedział Hubert, przymykając oczy.

– Nic innego nie robisz od czterech dni – przypomniał Brzeski.

Sierpień chciał rzucić jakąś kąśliwą uwagę, ale zabrakło mu słów. Zresztą rzeczywiście był zmęczony. Usłyszał kroki i po ciszy, jaka zapadła w pokoju, mógł wywnioskować, że wszyscy przeszli do kuchni, skąd słyszał urywki rozmów.

Tej nocy po raz pierwszy usnął spokojnym, nieprzerywanym przez koszmary snem. A następnego dnia był w stanie samodzielnie iść do wychodka, choć musiał po drodze zrobić sobie kilka przerw na złapanie oddechu.

– Teraz to już będzie się goiło jak na psie – orzekła Irena.

– To normalne, że nie mam na nic siły? – zapytał.

– A co, chciałbyś już ruszać w drogę, zabijać demony? – Spojrzała na niego krzywo.

– Dziś jeszcze nie, ale jutro mógłbym – zażartował.

– Leżeć w łóżku, jeść rosół i nie myśleć o głupotach – przykazała. – Zalecenia lokalnej znachorki.

– Skoro muszę – westchnął teatralnym tonem.

Wieczorem przyszli do niego Iza i Ernest. Oboje mieli niewesołe miny. Zamknęli za sobą drzwi i zerkali na siebie, jakby nie wiedzieli, co powiedzieć.

– Wyglądacie, jakby ktoś umarł – rzucił Hubert, ale kiedy nie zareagowali, przestraszył się nie na żarty. – Co się stało? – spoważniał.

– Nic takiego, tylko musimy pogadać. – Ernest przejechał dłonią po nieco przydługich rudych włosach. Zawsze tak robił, kiedy nie wiedział, co powiedzieć.

Iza przysiadła na oparciu fotela i wodziła wzrokiem po ścianach.

– Macie miny, jakbyście właśnie zamierzali mi wyznać, że macie płomienny romans.

Żadne z nich się nie roześmiało.

– Nie no, ludzie, serio, zaczniście mówić. Nie wiecie, że nie powinno się straszyć chorego?

– Chcemy pojechać do Groty – wypaliła wreszcie Iza jednym tchem.

– Zwariowaliście?! – wybuchnął.

– A nie mówiłam, że tak będzie? – mruknęła do Ernesta.

Hubert potrzebował kilku sekund, żeby się opanować. I nie był pewien, czy wiadomość o romansie nie byłaby lepsza.

– Przecież rozmawialiśmy na ten temat... – zaczął.

– My też rozmawialiśmy – przerwał mu Brzeski. – Przedyskutowałem też sprawę z innymi osadami, kiedy ty wyjechałeś do Dąbrówki. Wszyscy zgodnie uznali, że nie ma co

chować głowy w piasek. Musimy się dowiedzieć, jakie zamiary mają ludzie z Groty. Jeżeli takie, jak przekonywali, opłaca nam się nawiązać z nimi kontakt. Jeśli jednak kłamali, też powinniśmy o tym wiedzieć.

– A jeśli mielibyśmy szykować się na wojnę z nimi, musimy wiedzieć, ilu mają rzeczywiście ludzi, jakie uzbrojenie i tak dalej – dodała Iza.

– Skoro się aż tak upieracie – westchnął Hubert. Był pewien sens w ich rozumowaniu. – Możemy tam pojechać, jak dojdę do siebie.

– Chcemy wyjechać jutro – powiedział szybko Ernest.

– Nie jestem pewien, czy dam radę wsiąść na konia...

– Chcemy jechać bez ciebie. – Iza nadal nie mogła spojrzeć mu w oczy.

W pokoju zapanowała cisza.

– Żartujecie sobie, prawda? – odezwał się po chwili Sierpień. Oboje pokręcili głowami.

– Musimy pojechać szybko, jeszcze przed zimą – powiedziała Iza. – Nie będą się nas spodziewali tuż po tym, jak sami wrócili z wiecu. A poza tym wierzchem będziemy poruszać się szybciej niż oni z wozami, więc liczymy na to, że nadrobimy dzień czy dwa.

– To dajcie mi ten dzień czy dwa na ogarnięcie się. – Hubert czuł powoli narastającą w nim złość.

– Pamiętasz, jak kiedyś obiecaliśmy sobie szczerłość? – Ernest niespodziewanie zmienił temat.

Sierpień pokręcił głową.

– W każdym razie kiedyś to zrobiliśmy. Ty byłeś szczerzy i opowiedziałeś mi o swoim śnie o Święcinie, a ja ci uwierzyłem...

– Nie tak od razu – przypomniał Hubert.

– Mniejsza z tym. – Kumpel machnął ręką. – Chodzi o to, że nie chcemy, żebyś jechał.

– A to niby dlaczego?

– Bo od samego początku jesteś negatywnie nastawiony do całej sprawy.

– Dziwisz mi się?! – wybuchnął. – Przecież dobrze wiecie, że nie wzięło mi się to z kosmosu!

– Wiemy, ale naprawdę jesteś uprzedzony – odparła spokojnie Iza. – Wzięłeś się za łby z tym kołesiem w stajni tylko dlatego, że Maja okazała się mieszkanką Groty.

– Byłem zły, bo okazała się szpiegiem! A ten facet sam się na mnie rzucił!

– To jest bardzo delikatna sytuacja – powiedział ugodowo Ernest. – A ty zawsze robisz wszystko z wielkim hukiem. Nie mówię, że to źle, ale ten jeden jedyny raz myślę, że sami załatwimy to lepiej.

Hubert poczuł się oszukany i zdradzony. Jego dziewczyna i najlepszy przyjaciel uknuli taki plan za jego plecami.

– Jak zależy wam na czasie, dziś się wyśpię, wezmę leki od Ireny i możemy jechać jutro...

– Żebyś nam padł po drodze?

– Słuchajcie, nie muszę nawet wjeżdżać do samej Groty, jak uważacie, że się do tego nie nadaję. – Jego głos drżał ze złości.

– Ale to kawał drogi w obcym i nieznanym terenie. Nie puszczę was samych.

Oni jednak już postanowili. Ani prośby, ani groźby nie mogły ich przekonać, żeby zabrali go ze sobą. Dlatego zdecydował, że porozmawia z każdym z nich z osobna.

– Od wojny wszędzie jeździmy razem – przekonywał Ernesta.

– Z małym wyjątkiem twojej wycieczki do Święcina półtora roku temu – wypomniał kumpel.

– Jesteśmy zgranym duetem, razem pokonamy każdego demona... Martwię się o Izę...

– Sam zawsze powtarzasz, że poradzi sobie w nawet najgorszej sytuacji. Poza tym obiecuję, że będę ją chronił. Zresztą pojedą z nami Henryk i Mateusz. No i Paweł też się uparł, jako przedstawiciel Kamiennej.

Ich rozmowa trwała prawie godzinę i skończyła się wielką kłótnią. Mimo to Ernest nadal był nieugięty.

– Sama mówiłaś, że nie wiadomo, ile czasu nam jeszcze zostało – przypomniał później Izie Hubert. – Dlaczego chcesz się rozstawać akurat teraz?

– Żeby zapewnić nam wszystkim bezpieczniejszą przyszłość.

W jej dwukolorowych oczach zalśnił taki upór, do jakiego tylko ona była zdolna. Wiedział, że jej nie przekona.

– Obiecuję, że zadbam o Ernesta. – Usiadła na jego łóżku i złapała go za rękę.

– On sam sobie poradzi – mruknął.

– Tak jak i ja. Zrozum, że to jest najlepsze wyjście. Zresztą za miesiąc wrócimy... – Uśmiechnęła się. – Po drodze zatrzymamy się w Świącinie, gdzie spędzę kilka dni, a później przyjadę tutaj. Na całą zimę.

– I to niby ma mnie przekonać? – Spojrzał na nią krzywo.

– To co, nie mam tutaj wracać?

– Oczywiście, że masz. Ale i tak uważam, że taka karta przetargowa jest bardzo nie w porządku.

– Wiem. – Pocałowała go w czoło. Z jednej strony było to miłe, a z drugiej sprawiło, że poczuł się jak naburmuszony dzieciak.

Tylko Iza potrafiła wywołać w nim tak sprzeczne uczucia.



Wspierając się o ściany, Hubert wyszedł na podwórko i usiadł na ławce przed domem. Był w paskudnym humorze. Znow miał koszmary o pożarze, lecz tym razem oprócz budynków ogarniętych pożogą widział, jak w ogniu ginęli jego najbliżsi, i nic nie mógł na to poradzić.

Wodził ponurym wzrokiem za Izą i Ernestem, którzy wyprowadzili ze stajni swoje konie. Nagle ktoś niezbyt delikatnie klepnął go w łopatkę.

– Głowa do góry – rzucił pogodnie Henryk. – Szybko wrócimy.

– Jasne – burknął. – Po drodze zawsze coś się spieprzy.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, splunął przez lewe ramię. Tak na wszelki wypadek.

– Będę ich pilnował, obiecuję.

– Gotowi? – Z domu wyszedł Mateusz w podejrzenie dobrym humorze. Jego najwyraźniej też już niosło w nieznane. Podobnie jak Pawła.

Hubert patrzył, jak piątka przyjaciół się pakuje, siodła wierzchowce, mociuje torby do luzaka. Po raz pierwszy od wielu lat znajdował się po drugiej stronie. Czy inni też czuli się tak podle, gdy on wyjeżdżał? Raczej w to wątpił.

– To już wiesz, jak to jest, kiedy ja zostaję w domu. – Zuza wyszła z ogrodu warzywnego i usiadła obok niego.

O błuzkę wytarła z ziemi dwie świeże marchewki i podała jedną Hubertowi.

– Nie, dzięki. – Pokręcił głową.

Wzruszyła ramionami i sama zaczęła głośno chrupać.

– Dziwię się, że ty się nie uparłaś, żeby im towarzyszyć – odezwał się po chwili.

– Nie czuję potrzeby, żeby jechać z moim bratem – odparła lekko.

Spojrzał na nią kątem oka. Zawsze usiłowała wkręcić się na jakąś wyprawę, przekonując, że jej zmysł wykrywający demony może uratować im życie. Tym razem jednak Hubert nie usłyszał ani jednej kłótni czy chociażby dyskusji. A może postanowiła go pilnować? Taki pomysł wywołał u niego tylko irytację.

Natalia podała Ernestowi jedzenie na drogę dla wszystkich, a Hans i Bianka wypadli z domu, żeby pogłaskać konie.

– To co, do zobaczenia wkrótce. – Brzeski uściskał matkę, po czym podszedł do Huberta. – Na razie.

– Na razie. – Uścisnęli sobie dłonie.

Sierpień nie chciał rozstawać się z nimi w gniewie i tylko dlatego powstrzymał się od kąśliwych uwag. Pożegnał się z Henrykiem, Mateuszem i Pawłem, a później stanął przed Izą.

– Uważaj na siebie – poprosił.

– Ty też. – Po chwili wahania uniosła ramiona i go objęła. Zazwyczaj stroniła od publicznego okazywania uczuć, a zatem musiały gnębić ją wyrzuty sumienia.

*I dobrze* – pomyślał ze złośliwą satysfakcją, co nie przeszkodziło mu w tym, żeby pocałować ją na pożegnanie.

Kilka minut później na podwórku zapadła nienaturalna cisza, przerywana głośnym chrupaniem marchewki. Hubert bezradnie rozejrzał się po obejściu. I co on teraz miał ze sobą zrobić?

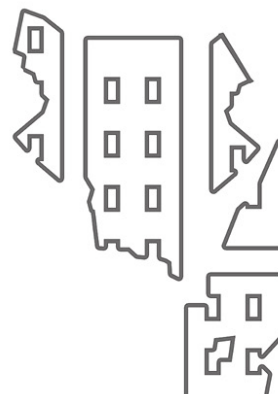
– Nie chcesz się położyć? – zagadnęła Natalia. – Masz zakaz forsowania się.

Pokręcił głową. Ostatnie, na co miał ochotę, to odpoczynek.

– To chodź, pomożesz mi obierać ziemniaki. Bo jak mój teść zobaczy, że się nudzisz, to jeszcze zagoni cię do jakiejś ciężkiej roboty.

Sierpień, wciąż mocno kulejąc, ruszył do domu. Usiadł w kuchni przed workiem pełnym kartofli i westchnął z żalem. Nie tak wyobrażał sobie koniec lata.





## Rozdział VIII

Hubert przez trzy dni nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Bardziej niż ranna noga przeszkadzała mu beczynność. Natalia wynajdywała dla niego lekkie prace, które mógł wykonywać na siedząco, ale on nie był przyzwyczajony do takiego traktowania.

– Co ty wyprawiasz?! – Raz przyłapała go na tym, jak sprzątał w stajni. – Znowu dostaniesz gorączki! – Podeszła do niego gniewnym krokiem i przyłożyła mu dłoń do czoła. – Tym może zająć się Hans, a ty marsz do domu!

– Nic mi nie będzie – zaprotestował słabo.

– Z dziurą w nodze będzie przerzucał gnój! – denerwowała się, wyprowadzając go na zewnątrz. – Twój ojciec szkicuje nowego demona. Możesz mu pomóc.

– Przecież pięć razy już opisywałem mu tego meszę – jęknął.

– To idź patrzeć, jak rysuje.

Zamiast do domu jednak wybrał się w odwiedziny do Ireny.

– Kiedy będę mógł prowadzić normalne życie? – zapytał, pokazując jej ranę.

– Daj sobie jeszcze chociaż dwa, trzy dni – odparła, ale po chwili wzięła się pod boki. – Czyżbyś coś planował?

– Absolutnie nic, ale już męczą mnie to, że wszyscy wokół tak na mnie chuchają – skłamał.

– I tak masz więcej szczęścia niż rozumu. Ciesz się, że to tylko tak się skończyło.

Podziękował kobiecie za opiekę, pożegnał się i ruszył niespiesznie przez wieś. Naprawdę kochał tę osadę, ale miał wrażenie, że jeszcze tydzień, a tu zwariuje.

W jednym z ogródków zauważył pracującą Sylwię.

– Co słychać? – zagadnął.

Dziewczyna wyprostowała się i odrzuciła na plecy długi warkocz. Z podwórka wybiegł Blues i zaczął skakać na Huberta, radośnie się witając.

– Jak zwykle mnóstwo roboty – powiedziała. – Ale lubię zająć czymś myśli, kiedy Ernest wyjeżdża.

– Jak ty to znosisz? – Dopiero teraz dotarło do niego, że jej też musiało być ciężko, kiedy Brzeski opuszczał osadę.

– Tak jak zawsze. – Wzruszyła ramionami. – Codziennie się martwię, boję się, że już nigdy nie wróci, a ja nawet się nie dowiem, co się stało. Ale przecież wiedziałam, na co się decyduję.

Hubert przypomniał sobie te wszystkie awantury, które wszczyniała na początku za każdym razem, kiedy Ernest chciał gdzieś wyjechać. Co będzie, jak postanowią w końcu zamieszkać na stałe razem? Albo Sylwia będzie chciała mieć dzieci? Teoretycznie wszyscy byli już dorośli, ale wzdrygnął się na samą myśl o potomstwie.

*Nie ma co martwić się na zapas – uznał. Teraz mam inne problemy na głowie.*

Wrócił do domu i w tajemnicy przed wszystkimi zaczął się pakować.



– Jutro wyjeżdżam – oświadczył Hubert piątego dnia od wyjazdu przyjaciół.

– Spakuję ci jedzenie – odparła Natalia. – I opatrunki, jakby coś zaczęło się dziać z tą nogą.

– Tylko wymień popręg przy siodle Mokki, bo tamten wygląda, jakby zaraz miał się przetrzeć – dodał Albert.

– A ja poszukam jakiegoś notesu, żebyś mógł robić notatki, jak spotkasz nowe demony – powiedział ojciec.

Hubert zmarszczył brwi. Był gotów na długą dyskusję, możliwe, że zakończoną kłótnią. Miał w głowie mnóstwo argumentów, dlaczego powinien jechać śladem Izy i Ernesta.

– Nie jesteście zaskoczeni? – zdziwił się.

W pewnym sensie był nawet zawiedziony, że nie mógł wyłożyć im swojego punktu widzenia. Dokładnie to przemyślał i ułożył kilka całkiem niezłe brzmiących zdań.

– Wszyscy wiedzieli, że nie wytrzymasz w domu i pojedziesz za nimi – odezwała się Zuza, odrywając wzrok od widoku za oknem.

– Jesteśmy raczej zaskoczeni, że tak długo z tym zwlekałeś.

– Natalia zamieszała łyżką w garze na kuchni.

– Naprawdę? – Nie mógł uwierzyć.

– Dziadek obstawiał, że będziesz usiłował ruszyć już dzień po nich – powiedziała Zuza.

– A ty, wiewióra, trzymaj język za zębami – burknął starszy pan.

– Wygląda na to, że jesteś bardziej rozsądny, niż podejrzewaliśmy. – Natalia uśmiechnęła się pod nosem,

zaglądając z powrotem do zupy.

Wieczorem Hubert przestudiował swoje mapy. Jak zawsze przed wyjazdem Ernest zaznaczył na nich ołówkiem planowaną drogę. Oczywiście mogło wydarzyć się coś nieprzewidzianego, ale dzięki temu Sierpień mniej więcej wiedział, którędy podążali jego przyjaciele. Co prawda będzie miał pięć dni opóźnienia, Mokka była jednak wytrzymałym koniem. Zniesie nieco szybsze tempo podróży.



Hubert zerwał się z łóżka równo ze świtem. Sam zmienił sobie opatrunek na łydce, zjadł pospieszne śniadanie w towarzystwie ojca i Alberta, po czym udał się prosto do stajni.

– Co powiesz na to, żeby trochę rozprostować nogi? – zagadnął Mokkę.

Klacz zarzuciła łbem, jakby wyczuwała jego podekscytowanie.

W drzwiach nagle pojawił się cień. Sierpień odruchowo położył dłoń na kolbie colta.

– Co ty tu robisz? – zapytał, choć widok Zuzy z torbą przewieszoną przez ramię wcale nie powinien go dziwić.

– Też jadę. – Lekkim krokiem podeszła do Arki. Młoda klacz w biało-brązowe plamy chwyciła dziewczynę za niedbale spleciony warkocz. – Zostaw. – Zuza stuknęła ją palcem w chrapy.

Hubert stał przez chwilę nieruchomo, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Wszelkie dyskusje są bezcelowe – podkreśliła dziewczyna, wyprowadzając Arkę z boksu.

W głowie łowcy pojawiło się co najmniej kilkanaście argumentów przeciw wyjazdowi Zuzy. I tyle samo za tym, że dziewczyna powinna jednak jechać.

– Nie ja będę się kłócił z twoją mamą i dziadkiem. I na dobrą sprawę bratem, kiedy już go dogonimy – zastrzegł, zakładając ogłowie na Malibu.

– Okej – rzuciła pogodnie.

Czasem chciałby się niczym nie przejmować tak jak ona.

Oczywiście kiedy tylko wyprowadzili konie ze stajni, na podwórku wywiązała się wielka awantura. Natalia nie chciała nawet słyszeć o puszczaniu córki w tak daleką podróż. Albert nawrzeszczał na wnuczkę i nawet ojciec Huberta stanął po ich stronie.

– Jestem dorosła i sama o sobie decyduję – powiedziała spokojnie Zuza, kiedy starsi członkowie rodziny zamilkli. – A teraz zadecydowałam, że zarówno Hubert, jak i mój brat będą mnie potrzebowali.

Zdawało się, że nic nie jest w stanie jej powstrzymać.

– Pomóż nam. – Natalia spojrzała prosząco na Sierpnia.

– Obiecuję, że się o nią zatroszczę – powiedział tylko.

Pani Brzeska sapnęła ze złością.

– Czyli moje zdanie w ogóle się nie liczy w tym domu! – Machnęła gniewnie rękami. – A jeśli zaatakują nas demony? – sięgnęła po inny argument. – Ernest wyjechał, ty też nas opuszczasz – przeszyła Huberta spojrzeniem. – Jeśli opuści nas też Zuza, to zabraknie nam nie tylko łowców, ale i radaru na potwory.

Sierpień spieszył się trochę.

– Już nie raz wyjeżdżaliśmy we trójkę i zawsze dawaliście sobie radę – odparł, unikając wzroku Natalii. – W razie czego

macie Woźnicę, Agatę, Martynę, Kajetana... Nic wam nie grozi.

Pani Brzeska zmarszczyła gniewnie brwi, najwyraźniej pogodzona z losem.

– A jeżeli cokolwiek stanie się któremuś z was, to zamorduję – dodał Albert, grożąc wnukom palcem.

– Spokojnie, zadbam o Hubercika. – Zuza puściła do niego oko, na co jej dziadek pokręcił głową.

Pożegnali się z bliskimi, wspięli na konie i prowadząc za sobą dodatkowo Malibu, wyjechali z podwórka. Spotkali po drodze kilkoro sąsiadów. Irena zatrzymała ich i dała niewielką torebkę z suszonymi ziołami, a Olga Górka sprezentowała bochenek świeżego chleba i kawałek wędzonej szynki.

– Hubert! – Mijali właśnie ostatni dom na skraju wsi, kiedy dogoniła ich Martyna. – Mam coś dla was – sapnęła, podając mu lniany woreczek.

Sierpień zajrzał do środka i zobaczył splątane rzemienie oraz kawałki blachy.

– Wiem, że stać mnie na coś lepszego – zaczęła się tłumaczyć. – Ale miałam mało czasu, a w sumie warto by wypróbować ten pomysł z glejtami.

Hubert chwycił za jeden z rzemyków i wyjął go z woreczka. Wisiał na nim wykuty w metalowej blaszce liść dębu.

– Świetna robota – uznał, zakładając naszyjnik. Pozostałe wsunął do swojej torby podróżnej.

Martyna uśmiechnęła się, słysząc pochwałę.

– Powodzenia – rzuciła na pożegnanie.



Hubert i Zuza kierowali się na południe, zamierzając zahaczyć o Świącino, a później skrócić na południowy wschód. Zanim słońce znalazło się w zenicie, zatrzymali się na krótki popas na niewielkiej polanie przecinanej przez bystry strumyk. Puścili konie luzem, sami zaś usiedli na zarośniętym zboczu i zamoczyli bose stopy w chłodnej wodzie.

Hubert podał Zuzie jabłko zerwane z pobliskiej dzikiej jabłoni.

– Jakies demony? – zagadnął. On sam nic nie wyczuwał, ale miał wrażenie, że z roku na rok jego przyszywana siostra była w tym coraz lepsza.

– A jeśli tak, to co? – odparła, a następnie wgryzła się w czerwony owoc.

– To nic. – Wzruszył ramionami. – Nie mamy czasu, żeby uganiać się za każdym stworem, jakiego napotkamy.

– W okolicy kręcą się tylko Klakier i Platon – powiedziała.

– Ciekawe, czy oni mogliby się zaprzyjaźnić – zastanowił się.

– Klakier nie lubi Platona.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Skąd wiesz?

Zuza bez słowa wystawiła twarz do słońca. Hubert zaś zapatrzył się na niebieską ważkę, która przysiadła na jego kolanie.



Wczesnym wieczorem minęli dom, w którym Hubert i Ernest zazwyczaj się zatrzymywali, podróżując w tym kierunku.

– Jedziemy dalej? – zaproponował Sierpień. – Za jakies pięć kilometrów jest kolejna wioska.

Zuza zadarła głowę ku niebu, rzuciła spojrzeniem za siebie, po czym przygryzła końcówkę warkocza.

– Jeżeli chcemy ich dogonić, powinniśmy narzucić tempo – zdecydowała.

Minęli pogiętą, naznaczoną wykwitami rdzy tablicę z przekreśloną nazwą miejscowości. Hubert już dawno temu przyzwyczał się do widoku opuszczonych domów, zarośniętych ogrodów, porzuconych sklepów, szkół i bibliotek. Czasem jednak martwiło go, jak szybko te wszystkie miejsca niszczej. Ile lat jeszcze trzeba, żeby budynki się zawaliły, a las całkowicie przejął ślady po dawnej cywilizacji? Jeszcze do niedawna ludziom chodziło tylko o przetrwanie, teraz coraz częściej zaczęli planować przyszłość. Jak ona będzie wyglądać? Co pozostawią dla następnych pokoleń?

Niebo na zachodzie pociemniało, zapowiadając deszcz. Wkrótce błysnęło w ołowianych chmurach, a do dwójki podróżników dotarł stłumiony grzmot. Spięli konie do kłusu i udało im się dotrzeć do kolejnej wsi przed ulewą.

– Tam. – Hubert wskazał niski, stary dom na obrzeżach.

Podczas szabru w każdej miejscowości starał się zapamiętać budynki, które były w najlepszym stanie i nadawały się na niespodziewany nocleg.

Już ponad połowa nieboskłonu była ciemnogrnatowa. Zaprowadzili konie pod wiatę w ogrodzie, oporzędzili je i nakarmili. Wzięli bagaże i ruszyli do domu, lecz Zuza zatrzymała się niespodziewanie, zrzuciła z ramienia torbę i podeszła do płotu.

– Nie mów, że masz stracha się tu zatrzymać – zażartował Hubert, lecz nie odpowiedziała, wciąż wpatrując się w to, co znajdowało się po drugiej stronie drogi. – Spokojne sąsiedztwo, nie urządzą imprez ani nie skarżą się na hałasy. – Zbliżył się do niej.

Znów go zignorowała. Podążył za jej spojrzeniem na niewielki, zapomniany cmentarz. W samym jego środku znajdowały się zgłiszcza drewnianego kościoła. Kilka nadpalonych belek sterczało jeszcze w górę, ale było tylko kwestią czasu, zanim i one runą. Wokół zaś z wysokiej trawy wystawały krzyże. Stał tam nawet kamienny anioł z ułamanym skrzydłem i głową pokrytą porostami.

– Masz okropne poczucie humoru – skwitowała Zuza, po czym odwróciła się, podniosła swoją torbę i skierowała się do domu.

Nacisnęła klamkę i drzwi ustąpiły. Podczas szabrow Hubert, zanim zabrał się do wyłamywania zamków, najpierw rozglądał się za ukrytym kluczem. W tym przypadku akurat znalazł go kilka lat temu pod donicą z uschniętymi chwastami. Później zaś nie zamykał już drzwi na zamek, żeby czasem jakiś inny podróżnik nie usiłował ich wyważyć, przy okazji je niszcząc.

– A ty nie masz żadnego – odgryzł się trochę zbyt późno, bo prawdopodobnie już go nie usłyszała.

Uderzył w niego silniejszy podmuch wiatru. Trawy na cmentarzu się pochyliły. Niebo rozdarła błyskawica, grzmotnęło całkiem blisko. Wszedł do domu i rzucił torbę w korytarzu.

– W ogrodzie leży złamane drzewo, przyniosę trochę do kominka – powiedział, biorąc siekierkę.

Zuza, rozglądająca się po pokojach, nie odpowiedziała, ale przecież był przyzwyczajony do jej dziwnego milczenia. Uwinął się w kilkanaście minut i zanim na dobre się rozpadało, przyniósł do domu naręcze suchych gałęzi. Rzucił wilgotną bluzę od munduru na krzesło, gdy usłyszał miauczenie za drzwiami.

– Co, na deszczu to niełaska siedzieć? – zagadnął, wpuszczając do domu Klakiera.

Owinnik rzucił mu urażone spojrzenie i wszedł do środka, z obrzydzeniem otrzepując mokre łapy.

– Jesteś demonem, zła pogoda nie powinna ci przeszkadzać – kontynuował Hubert, idąc za nim do pokoju. – Platon jakoś daje sobie radę... Co ty wyprawiasz?! Złaź! – Klakier wskoczył na krzesło i ułożył się na jego bluzie.

Sierpień zgonił go na ziemię, ale i tak na ubraniu zostały ślady ubłoconych łap.

– Głupie kocisko – mruknął.

– Przecież nie zrobił tego celowo. – Do pokoju weszła Zuza.

– Jasne, było tyle wolnych krzesel, a on akurat wybrał sobie to. – Przykucnął przy kominku i zaczął wkładać do niego gałęzie. – Jak cię jeszcze raz zobaczę na moich ciuchach... – Pogroził owinnikowi cienkim patykiem.

Demon spojrzał na niego w taki sposób, jakby właśnie obmyślał paskudną zemstę za takie traktowanie. W pokoju zajaśniało na ułamek sekundy, gdy na zewnątrz błysnęło. Deszcz zaczął zacinać o szyby z jednostajnym szumem.

– Ja rozpalę, ty przygotujesz kolację – zarządził Sierpień.

– Jak muszę – westchnęła Zuza, po czym opadła na kanapę.

– Po coś w końcu zabrałem cię ze sobą.



Wiedział, że śni. Nie mógł złapać oddechu. Miał wrażenie, że jeszcze chwila, a się udusi. Było mu tak gorąco, jakby zaraz miał się zająć ogniem. Chciał się poruszyć, ale nie był w stanie nawet drgnąć. *Muszę się obudzić* – myślał. Śniło mu się, że przygniata go sterta olbrzymich głązów i nie może się spod niej wydostać. Najpierw udało mu się uwolnić ręce, później

zaczął strącać z siebie kolejne kamienie, aż ten największy, przygniatający jego klatkę piersiową, zasyczał gniewnie.

– Co?! – Sierpień sennie podniósł głowę i spojrzał prosto w czerwone ślepia.

Zamrugał kilka razy, zupełnie się wybudzając.

– Klakier! Złaż ze mnie! – Zrzucił z siebie owinnika, który chyba uznał, że jego klatka piersiowa będzie najlepszym legowiskiem na noc.

Demon prychnął głośno, wskoczył na fotel i zwinął się na nim w kłębek.

Hubert usiadł na kanapie i rozmasował sobie rozgrzany mostek. Był prawie pewien, że Klakier zrobił to złośliwie. Kiedy owinnik drzemał, temperatura jego ciała była zazwyczaj tylko trochę wyższa niż otoczenia, teraz zaś był naprawdę gorący.

– Kiedyś wywołasz pożar, zobaczysz.

W kominku dopalała się gruba gałąź, odrobinę oświetlając pokój. Skoro i tak już nie spał, Sierpień dorzucił do ognia. Odruchowo zerknął przez otwarte drzwi do pokoju obok, a jego serce na chwilę stanęło.

– Zuza?! – syknął, lecz dziewczyny nie było w jej łóżku. – Gdzieś ty polazła?

Sprawdził pokój, który zajmowała, zajrzał do kuchni i innych pomieszczeń.

– Zuza?! – zawołał głośno.

Odpowiedział mu tylko deszcz uderzający w szyby i parapety.

– Zamorduję kiedyś i ją, i tego jej kota – mamrotał, wiążąc buty.

Istniała możliwość, że wyszła z domu za potrzebą, ale to przecież była Zuza. Z nią nigdy nie miało się pewności, co zaraz wymyśli.

Hubert założył pas z bronią i wziął karabin, który przykrył połą bluzy, nie chcąc za bardzo go zamoczyć. Wyszedł na

zewnątrz i stanął na progu. Deszcz zacinał mu prosto w twarz. Zlustrował wzrokiem otoczenie, jednocześnie starając się wyczuć demony. Okolica zdawała się jednak czysta. Postąpił kilka kroków poprzez wysoką trawę.

– Zuza! – krzyknął, idąc dalej naprzód.

Dopiero po chwili, gdy jego wzrok przyzwyczał się do ciemności, ujrzał niemal czarną sylwetkę stojącą na samym środku drogi. Od razu do niej podszedł, wciąż bacznie rozglądając się na boki.

– Co ty wyprawiasz?!

Dziewczyna stała bez ruchu, z rękami zwieszającymi się wzdłuż ciała, deszcz lał się jej po twarzy, włosy zupełnie oklapły, a ubranie przemokło.

– Zuza! – Położył dłoń na jej ramieniu.

Dopiero teraz zwróciła twarz w jego stronę. Jej oczy zdawały się nienaturalnie wielkie, nadawały jej wygląd zjawy.

– Co ty wyprawiasz?! – Miał ochotę nią potrząsnąć.

– Zdawało mi się, że widziałam coś na cmentarzu – powiedziała w końcu, wskazując przed siebie.

– Demona?

– Nie wiem. – Pokręciła głową.

Miał wrażenie, że po jej policzkach spływały nie tylko krople deszczu, ale i łzy.

– Poczekaj tu – powiedział, po czym przeszedł przez przewrócony w jednym miejscu płot.

Potknął się o ukryty w trawie nagrobek, ale szybko odzyskał równowagę. W ciemnościach miał problem, by zobaczyć cokolwiek, mimo to był prawie pewien, że na cmentarzu nie ma żadnych demonów, ludzi ani nawet zwierząt. Co chwilę zerkając na Zuzę, okrążył ruiny kościoła, lecz nic go nie zaalarmowało.

Przemoczony do suchej nitki, podszedł do dziewczyny.

– Nic tu nie ma, wracajmy! – spróbował przekrzyczeć ulewę, która przybrała na sile.

– Widziałam kobietę!

– Nawet jeśli tam była, to już jej nie ma!

Złapał Zuzę za rękę i pociągnął w stronę domu. W budynku było przyjemnie ciepło, drewno paliło się w kominku, Klakier podniósł na nich wzrok, ale niemal od razu stracił zainteresowanie.

Hubert zrzucił z siebie ociekającą wodą bluzę.

– Przebieraj się – powiedział, rozsznurowując buty.

Spojrzał na dziewczynę, która wpatrywała się w coś za oknem.

– Zuz! Przebieraj się, bo jeszcze się przeziębisz na samym początku podróży!

– Ja ją naprawdę widziałam – szepnęła. – Miała czarną suknię i stała na cmentarzu.

Sierpień podszedł do niej, położył dłonie na jej ramionach i odwrócił dziewczynę twarzą do siebie.

– Może to było tylko złudzenie optyczne – powiedział spokojnie. – Pogoda jest paskudna, krzaki ruszają się na wietrze jak cienie. Może to była tylko ta figurka anioła, sam przed chwilą prawie dostałem przez nią zawału.

– Umiem odróżnić kamienną figurkę od... – zachnęła się.

– Od czego? – wszedł jej w słowo. – Człowieka? Demona? Zamknąłem drzwi na klucz, nikt tu nie wejdzie. A nawet jeśli spróbuje, jestem uzbrojony i mam lekki sen.

– Akurat – prychnęła.

Przez sekundę nawet się zastanawiał, czy nie dać jej pistoletu, ale szybko zarzucił tę myśl. Jeżeli Zuz znów miała atak, wolał nie wciskać jej do rąk broni palnej.

– A jutro za dnia wrócimy na ten cmentarz i możemy poszukać śladów, okej?

Zrobiła minę jak obrażona nastolatka, ale w końcu pokiwała głową.

– Co robisz? – zapytała, kiedy przyniósł jej śpiwór z pokoju obok.

Rzucił go na swoją kanapę, a swój śpiwór rozłożył na ziemi.

– Gdyby coś jednak miało na nas napaść, to wolałbym, żebyśmy spali w jednym pokoju. A teraz idź się wreszcie przebierz.

Mokre ubrania rozwiesili na krzesłach tuż przy kominku, po czym się położyli. Hubert trzymał karabin przy sobie i co chwilę zerkał w stronę okna, ale za szybą nadal panowała nieprzenikniona ciemność.

Jego powieki zaczęły robić się coraz cięższe.

– A co, jeśli nie znamy wszystkich demonów? – Cichy głos Zuzy dotarł do niego niczym przez mgłę.

– Oczywiście, że nie znamy – odparł sennie. – Ponad tydzień temu zabiłem meszę i nadal nie wiemy, co za stwór zaatakował ludzi z Groty.

– Nie rozumiesz mnie. Co, jeśli są demony, które zaprzeczają wszystkiemu, co o nich wiemy?

Hubert odwrócił się na bok i spojrzał na Zuzę. Wpatrywała się w sufit, a jej wilgotne włosy w świetle płomieni zdawały się krwawoczerwone.

– To myślę, że przez osiem lat po wojnie już byśmy się o nich dowiedzieli – powiedział na odczepnego.

Pomimo tego, że był bardzo zmęczony, a noga znów zaczęła go boleć, usnął bardzo lekko i co chwilę się budził, żeby skontrolować, czy nie dzieje się nic złego.

O pierwszym brzasku pozbierał się z podłogi i rozpałił w kominku, mając ochotę na gorącą herbatę po tak okropnej nocy.

– Zrób coś na śniadanie, a ja rzucę okiem na ten cmentarz – powiedział do Zuzy, która z nieprzytomną miną usiadła na kanapie.

Bluza od munduru nadal była nieprzyjemnie wilgotna, a powietrze na zewnątrz świeże po ulewie, lecz tak chłodne, że zadrżał. Przeszedł przez drogę i stanął na samym skraju cmentarza, rozglądając się za śladami. Trawa w niektórych miejscach się położyła, ale było to zupełnie naturalne po takim deszczu.

Ruszył przed siebie, wpatrując się w ziemię. Zobaczył niewyraźny odcisk własnych butów, lecz nic poza tym. Pokręcił się wokół zgliszczy kościoła i wśród nagrobków. Nic nie przykuło jego uwagi. Na drodze z kolei woda wyżłobiła w ziemi i piasku własne ścieżki, zmywając przy okazji wszystko inne.

Hubert wrócił do domu. Poczował zapach chleba od Olgi i wędzonej szynki. Zuza zalewała akurat zioła w kubkach.

– Nic. – Pokręcił głową.

Bez słowa podała mu kanapkę.

– Porozmawiaj ze mną – poprosił.

– Nie mam już nic do powiedzenia – odparła. – Skoro nie ma żadnych śladów, możemy zapomnieć o tej nocy.

– No właśnie nie bardzo. – Odchrząknął, dając sobie chwilę na dobranie odpowiednich słów. – Nie wykluczam, że mogłaś coś tam widzieć. Ale dobrze wiesz, że jest jeszcze jedna opcja.

– Że znów mi odbiło? – burknęła znad swojej kanapki.

– Nie powiedziałbym tego w ten sposób, ale... tak. Słuchaj, mamy przed sobą kawał drogi. Tylko we dwoje. I niedługo znajdziemy się na obcym terenie. Nie możemy sobie pozwolić na twoje... humory.

– Przecież wiesz, że nie robię tego specjalnie! – oburzyła się.

– Może jednak powinniśmy zawrócić, odstawię cię do domu i wrócę tu sam?

– Zgłupiałeś? Straciłbyś kolejne dwa dni. I tak będzie trudno ich dogonić. A jak będziesz odwoził mnie do Dąbrówki, to stanie się to już w ogóle niemożliwe.

– A jak zaczniesz świrować w najmniej odpowiednim momencie? Ile czasu wtedy stracimy?

Wiedział, że jego słowa ją zaboląły, jednak naprawdę zaczął się tego obawiać.

– Nie będę świrować, obiecuję.

Przetarł dłońmi twarz. To była naprawdę trudna decyzja.

– Dlaczego tak bardzo chcesz jechać do tej Groty?

– Bo mam przeczucie, że będziecie mnie potrzebować.

Skończył kanapkę i wytarł dłonie w spodnie.

– Niech ci będzie – westchnął. – Szkoda czasu na siedzenie, pora się pakować.

Kilkanaście minut później dosiedli koni i opuścili wieś. Hubert przez cały czas miał świadomość, że z każdym kolejnym krokiem Mokki i Arki byli coraz dalej od domu. Kątem oka wciąż obserwował Zuzę, która w tej chwili wyglądała jak najnormalniejsza dziewczyna na świecie.

*To ona jako pierwsza zauważyła podobieństwo Mai do jej matki.* Dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. A przecież spędziła z dziewczyną niewiele czasu, a z jej matką jeszcze mniej. Zazwyczaj sprawiała wrażenie, jakby otaczający ją świat w ogóle jej nie interesował, a później okazywało się, że potrafiła dostrzec takie rzeczy, na które nikt nawet nie zwrócił uwagi. A może poprzedniej nocy rzeczywiście coś dostrzegła? Czy to możliwe, żeby istniał demon o wyglądzie kobiety w czarnej sukni? I to taki, który nie pozostawia po sobie żadnych śladów? Jego doświadczenia temu przeczyły. Ale jeżeli ostatnie osiem lat czegoś go nauczyło, to tego, że ludzie tak naprawdę niewiele wiedzieli na temat otaczającego ich świata.

*Jeżeli Zuza nie miała żadnego ataku, a to, co wydawało jej się, że widziała, jest prawdą, to wszyscy mamy przerąbane – pomyślał.*



Zuza przez pół dnia się nie odzywała, zupełnie jakby liczyła, że wtedy na pewno nie powie żadnej głupoty. Hubert z kolei wciąż się zastanawiał, czy wzięcie jej ze sobą było takim dobrym pomysłem. Zawsze krytykował Ernesta za to, że ten zbyt się nad nią wytrząsał i nie traktował jej poważnie, teraz jednak zaczął się zastanawiać, czy to on nie podchodził zbyt lekceważąco do tego, jaką dziewczyną była Zuza. Może z samego rana powinien był się jednak uprzeć i odwieźć ją do domu? Dla bezpieczeństwa jej, swojego i przyjaciół, których planowali dogonić.

– Nie patrz tak na mnie – odezwała się.

– Niby jak? – Szybko odwrócił wzrok, udając zainteresowanie mijanym domem.

– Jak na tykającą bombę.

Jej określenie było wyjątkowo trafne. W każdej chwili spodziewał się wybuchu. A najgorsze, że tym razem podróżowali tylko we dwójkę i czuł się za nią odpowiedzialny.

– Oczywiście, że nie mogło być zbyt łatwo – sapnął późnym popołudniem, kiedy stanęli na brzegu rzeki. Wezbrana woda uszkodziła stary most, który stał się zupełnie nieprzejezdny.

– Co teraz? – zapytała Zuza. – Jest w pobliżu jakieś inne miejsce, w którym możemy przejechać na drugą stronę?

Hubert pokręcił głową. Podczas ostatniej wojny, gdy szerzyła się epidemia, wojsko wysadziło większość mostów, żeby

zapobiec nadmiernej migracji ludności i rozprzestrzenianiu się wirusa. Tak naprawdę na niewiele się to zdało, większość ludzi i tak zachorowała, a teraz, osiem lat później, wszelkie podróże po kraju były dość utrudnione.

Sierpień zeskoczył z siodła i rzucił wodze Zuzie, sam zaś pochylił się nisko nad ziemią. Jeżeli most się zawalił, zanim dotarła tu pierwsza grupa wysłanników do Groty, chciał wiedzieć, w którą stronę pojechali. Niestety dzieliło ich aż sześć dni i co najmniej jedna ulewa, która skutecznie zatarła wszelkie ślady.

Kilkanaście minut później Hubert wyjął z bagażu tubę ze starymi mapami. Były na nich zaznaczone mosty, jednak wiedział, że większość z nich już nie istnieje.

– Patrz tutaj. – Postukał palcem w pożółkły papier.

Zuza nachyliła się nad nim.

– Rzeka tu się rozlewa – powiedziała. – Damy radę tam przejechać?

Wzruszył ramionami.

– Nie mamy innego wyjścia. Bo nie chcę ryzykować przejazdu tutaj, gdzie jest zbyt głęboko, a nurt porywisty. Jak znam twojego brata, to pewnie też pojechali na wschód.

– O ile most był już wtedy zniszczony – odparła, patrząc w ciemny, bystry nurt.

Hubert wspiął się na siodło i ścisnął Mokkę łydkami. Droga wzdłuż rzeki była mocno zarośnięta, trawy i chwasty zdawały się wręcz wylewać z poboczy. Gałęzie zwieszały się tak nisko, że dwójka jeźdźców co chwilę musiała rozgarniać je rękami.

– Mamy do nadrobienia jakieś siedemnaście kilometrów – odezwał się Sierpień, zdejmując z twarzy pajęczynę. Dorodny pająk zbiegł po jego ramieniu. – Nigdy tędy nie jechałem, więc zachowaj czujność.

– Jest wiele dróg, po których jeszcze nie jechałeś – stwierdziła Zuza. – I mnóstwo takich, na których od ośmiu lat żaden człowiek nie postawił stopy.

– Dlatego jak poczujesz jakiegoś demona, od razu masz mi mówić, okej?

– Jak na przykład tamtego trojana?

Serce Huberta na chwilę zamarło. Pospiesznie rozejrzył się wokół, pewien, że zaraz zostaną zaatakowani.

– Którego trojana? – zapytał powoli.

Zuza wskazała palcem w las. Sierpień zamknął oczy, wziął kilka głębokich wdechów, uspokajając zszargane nerwy. Dopiero po chwili wyczuł bardzo słabą woń.

– Co on robi? – zapytał, unosząc powieki.

– Odpoczywa. – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Wie, że my tu jesteśmy?

Zuza w zastanowieniu zaczęła nawijać na palce końcówkę warkocza.

– Chyba nie – powiedziała wreszcie.

– Niech więc tak zostanie. – Skinął głową.

Przez całą drogę Hubert starał się zachować najwyższą czujność. Wszystkie jego zmysły się wyostrzyły. Doskonale słyszał plusk wody w rzece i szum liści na drzewach. Czuł zapach wilgotnej ziemi i najbliższych roślin. Wciąż bacznie obserwował drogę przed sobą oraz otaczający go las. Co chwilę zerkał też na Zuzę w poszukiwaniu jakichkolwiek zmian w jej zachowaniu. Nic jednak nie wskazywało na to, żeby znów miało jej odbić.

Droga do rozlewiska zajęła im znacznie więcej czasu, niż się spodziewali.

*Drugi dzień* – myślał Hubert, kiedy przekraczali płytką w tym miejscu rzekę. *Drugi dzień, a wszystko idzie pod górkę.*

Zadarł głowę i spojrzął na niebo szarzące między koronami drzew.

– Za jakiś kilometr powinna być niewielka wieś, tam się zatrzymamy – zdecydował.

Nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić na to, aby noc zastała ich w drodze.

– Przy moim bracie nie jesteś taki odpowiedzialny – skwitowała Zuza.

– Najwyraźniej wyzwalasz we mnie same najlepsze cechy – rzucił ponuro.

Zmierzch zbliżał się coraz szybciej i gdy dotarli do opuszczonej miejscowości, nie mieli nawet czasu na wybieranie miejsca na nocleg, jeżeli nie chcieli robić tego po ciemku.

– Ten jest ładny. – Zuza wskazała nieduży dom.

Jedno okno na parterze było wybite, a drzwi do środka otwarte na oścież, ale sam budynek wydawał się w dobrym stanie. Hubert skinął głową, zeskoczył z Mokki i rzucił wodze dziewczynie.

– Poczekaj tu – nakazał.

Pokonał zarośnięty ogród i stanął w progu z karabinem gotowym do strzału. Przy samym wejściu wiatr naniósł do środka piach i liście, które zgniły, tworząc miękkie dywan porośnięty gdzieniegdzie mchem. Sierpień bezgłośnie przemierzył korytarz, zaglądając do każdego z pomieszczeń. W gęstniejącym mroku widział zniszczone sprzęty, kilka wgnieceń w ścianach, pleśń na suficie, martwe owady leżące na parapetach, mysie odchody na szafkach – typowy dom po apokalipsie, dokładnie taki, jakich oglądał setki. Tuż po wojnie ktoś go zdemolował, później odwiedzili go szabrownicy i wynieśli wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość.

Sprawdził jeszcze piętro i piwnicę, a następnie wyszedł do ogrodu.

– Zanieś bagaże do środka, ja zajmę się końmi – zakomenderował.

Zuza bez słowa wykonała polecenie.

Pół godziny później dziewczyna skończyła przygotowywać kolację, a Hubert z zadowoleniem wypróbował swoje dzieło, jakim był mały system alarmowy. Zrobił go z drutu znalezionego w piwnicy i pustych szklanych butelek. Drzwi wejściowe do domu były już na tyle wypaczone, że mógł je tylko przymknąć, więc miał nadzieję, że jego wynalazek ostrzeże ich, gdyby ktokolwiek lub cokolwiek chciało włamać się do domu podczas ich snu. Noc na szczęście minęła spokojnie: bez demonów, obcych ludzi i napadów u Zuzy.



Mokka zagapiła się na rosnący przy drodze krzew. Wykorzystując fakt, że jej wodze zostały poluźnione, chwyciła zębami jedną z gałązek i szarpnęła łbem.

– Możesz się opanować? – Hubert klepnął ją jedną ręką po szyi.

Klacz zarżała, najwyraźniej zadowolona z siebie. Sierpień pokręcił głową i wrócił do studiowania rozłożonej przed sobą mapy. Przed nimi było jeszcze sporo drogi do nadrobienia, a już stracili co najmniej kilkanaście godzin. W głowie miał ułożoną dalszą trasę, jednak wzrokiem wciąż wracał do niewielkiej miejscowości o nazwie *Schwarz*. Odwiedzenie jej oznaczało kilka kolejnych nadprogramowych kilometrów, jednak od ponad roku nie miał czasu, żeby się tam wybrać,

a kiedyś obiecał sobie, że odwiedzi człowieka, który uratował mu życie. I to dwukrotnie, jeśli liczyć jego wizję.

– Dobrze – odezwała się niespodziewanie Zuza.

– Co? – Wyrwany z zamyślenia, podniósł na nią zaskoczone spojrzenie.

– Zgadzam się.

– Ale na co?

– Ty mi powiedz. Już od ponad kilometra wpatrujesz się w tę mapę, jakbyś chciał wypalić w niej dziury. A przy tym jeszcze tak głośno wzdychasz, jakby dopadł cię dylemat życia.

– Dzieli nas tylko kawałek od domu Jurka, tego faceta, który opatrzył moje rany zeszłą wiosną, jak jechałem sam do Święcina. Gdyby nie on, pewnie nie dożyłbym następnego dnia.

– Chcesz go odwiedzić i zaproponować przeprowadzkę?

– Jest trochę odludkiem, ale nikt nie powinien mieszkać sam. Choć tyle jestem mu winien.

Co prawda były nauczyciel w ramach rekompensaty za usługę medyczną wziął sobie nóż Huberta, jednak biorąc pod uwagę to, w jakim stanie chłopak wtedy był, mężczyzna mógł zabrać mu dosłownie wszystko, a rannego intruza wyrzucić do lasu, żeby tam dokonał żywota. A zachował się jak człowiek.

Zuza ścisnęła łydkami boki Arki, poganiając ją do kłusu.

– Ale poczekaj! – zawołał za nią Hubert, usiłując zwinąć mapę i z powrotem wcisnąć ją do tuby.

Mokka przebierała nerwowo kopytami, chcąc wyrwać za swoją łaciatą towarzyszką. Dopiero po kilku chwilach udało się jej dogonić Arkę.

– Miałaś się nie oddalać sama! – wyrzucił Sierpień.

– W krzaki też będziesz za mną chodził? – zapytała z przekąsem Zuza. – Nie zachowuj się jak mój brat.

Trochę racji miała, więc nie drażył już tej kwestii.

Dwie godziny później Hubertowi zdało się, że rozpoznaje już te tereny, choć tak naprawdę był tutaj tylko raz. Jednak dzięki licznym podróżom i światu, w którym można było ufać tylko papierowym mapom i własnej intuicji, jego orientacja w terenie była nieporównywalnie lepsza od tej, którą miał – albo wydawało mu się, że miał – jako siedemnastolatek.

Bez większego problemu odnalazł starą, zarośniętą drogę, która wyglądała, jakby cały świat o niej zapomniał. W końcu dostrzegł w oddali bryłę niewielkiego budynku. Wyglądał na opuszczony, ale przecież Jurek celowo pozabijał okna deskami i pozwolił, aby w ogrodzie rozpleniły się chwasty.

Na wypadek gdyby byli obserwowani z ukrycia, Sierpień rozłożył ręce, tak aby było widać, że nie ma w nich żadnej broni.

– Halo! – zawołał.

Odpowiedziała mu cisza.

– To ja, Hubert!

Nic się nie wydarzyło.

– Jakies demony? – zapytał ciszej.

– Nic. – Zuza pokręciła głową.

– Poczekaj tu na mnie.

Zsiadł z konia i wziął karabin. Na razie tylko przewiesił go przez ramię i skierował się do domu. Zapukał do drzwi, a gdy nic się nie wydarzyło, lekko je pchnął. Ustąpiły z głośnym skrzypnięciem.

– Jest tu ktoś?! – zawołał.

W środku panował półmrok, czuć było stęchlizną, jakby nikt tu już nie mieszkał. Hubert bardzo powoli przemierzył parter, a później skierował się do piwnicy. Przez małe okienko pod sufitem wlewało się przyćmione światło. Na stole stała lampa naftowa i niedojedzona puszka z kaszą. Na łóżku leżały skotłowane koce i kilka starych ubrań.

Nagle tuż za chłopakiem rozległ się szelest. Błyskawicznym ruchem złapał karabin, odbezpieczył go i odwrócił się, jednocześnie przywierając plecami do betonowej ściany.

– Chyba się wyprowadził – oświadczyła Zuza.

– Miałaś na mnie poczekać! – sapnął. Jego serce nadal biło w przyspieszonym tempie. – Mogłem cię zastrzelić!

Dziewczyna zignorowała go, podeszła do stołu i zaczęła po kolei brać do rąk wszystkie przedmioty leżące na blacie. Zapalniczka bez gazu, pusta butelka po wodzie, zapleśniały słoik...

Hubert z kolei przeszedł do drugiego pomieszczenia, w którym znajdowała się spiżarnia. Mała, szara mysz uciekła przed nim w popłochu. Na półkach stały konserwy, trochę przetworów, przeterminowane makarony i kasze w nadgryzionych opakowaniach.

Sierpień wrócił do Zuzy i opadł na łóżko.

– Nie sądzę, żeby się wyprowadził. – Pokręcił głową. – Dawno nikogo już nie było w tym domu. Zostawił za sobą zbyt wiele rzeczy, osobistych drobiazgów...

– Nigdzie nie ma żadnej broni – zwróciła uwagę dziewczyna.

– Bo do lasu idzie się tylko z bronią. Tyle że Jurek już nie wrócił.

Zuza skinęła głową ze zrozumieniem. Takich przypadków było mnóstwo. Gdy człowiek mieszkał zupełnie sam na odludziu, wyprawa na polowanie, po dzikie jabłka czy chociażby po wodę mogła okazać się śmiertelnie niebezpieczna. Wystarczył jeden demon, grupka dezertarów, a nawet poślizgnięcie się i złamanie nogi.

– Chcesz poszukać ciała? – zapytała Zuza.

– Nie, to bez sensu. – Hubert dźwignął się z łóżka. – Pewnie już nie ma nawet tego. Zwierzęta się nim zajęły... Chodź do spiżarni, wybierzemy to, co może przydać się nam w drodze.

Czuł pewien smutek, że prawdopodobnie już nigdy nie pozna dalszych losów byłego nauczyciela. Jurek wybrał życie w osamotnieniu, a mimo to Sierpień miał wyrzuty sumienia, że wcześniej nie zaproponował mu przeprowadzki do Dąbrówki. Przecież zaledwie kilka miesięcy temu przejeżdżał przez okolicę, mógł wtedy tu zajrzeć. Może wtedy mężczyzna jeszcze żył.

– Gdyby chciał mieszkać wśród ludzi, już dawno temu znalazłby osadę, w której mógłby się zatrzymać – odezwała się Zuza, przeglądając puszki.

To, że miała rację, niewiele pomagało.



– Własnym oczom nie wierzę! – wykrzyknął Marek, otwierając bramę.

Sierpień zeskoczył z siodła i serdecznie go uściskał.

– Mówiłem ci, że Hubert nie wytrzyma za długo w domu – zaśmiał się Jacek.

– Jak widać. – Łowca poklepał go po plecach.

– Co wy tu robicie? – dopytywał młodszy strażnik. – Nie spodziewaliśmy się gości. Dobrze cię widzieć na nogach, Iza mówiła, że poskładało cię jakieś zakażenie...

– Dawno temu tu byli? – Sierpień przerwał gradobicie pytań przyjaciela.

– Będzie chyba z pięć dni. – Marek zmarszczył brwi. – Zatrzymali się na dwie noce, żeby odpocząć i zdać relację z wiecu... Odprowadzę was do stajni. Jacek, zostaniesz sam na warcie?

Młodszy strażnik niechętnie skinął głową, co chwilę zerkając na Zuzę, która już dawno temu wpadła mu w oko, ku niezadowoleniu Ernesta.

We trójkę ruszyli niespiesznie przez osadę. Hubert jak zwykle nie potrafił nacieszyć oczu znajomymi widokami. Już chyba zawsze będzie darzył tę miejscowość ogromnym sentymentem.

– Bez problemów tutaj dojechali? – zapytał.

– Raczej na nic się nie skarżyli. Byliśmy zdziwieni, że ciebie nie było wśród nich...

– Tym razem dostałem areszt domowy.

– Nie na długo, jak widzę – skwitował strażnik.

– Beze mnie sobie nie poradzą, więc muszę ich dogonić. A co wy myślicie o tej wyprawie do Groty?

Marek wzruszył ramionami.

– Nie wiem, nie spotkałem tych ludzi – odparł. – Nie mam pojęcia, czy coś knują, czy w końcu wyjdzie, że są porządni. Chociaż warto chyba bliżej poznać swojego wroga? Jeżeli oczywiście się nim okażą.

Hubert nie skomentował. Przecież obiecał sobie, że w kwestii Groty zachowa rozsądek. Na chłodno będzie oceniał sytuację, bez żadnych uprzedzeń i założeń. A kiedy wszystko zacznie się sypać, wyciągnie stamtąd swoich przyjaciół.

Pod stajnią rozsiodłali konie i puścili je na łąkę. Od razu dołączyły do pozostałych wierzchowców leniwie skubiących trawę.

Nagle Sierpień usłyszał pisk.

– Hubert!!!

Zanim zdążył zareagować, Ania rzuciła mu się w ramiona.

– Tak się martwiłam! Iza mówiła, że byłeś chory! Jak mogli tak cię zostawić?! – paplała, wisząc na nim.

– Nic mi nie jest, a poza tym wyjechali dopiero, kiedy zacząłem zdrowieć – zapewnił, usiłując wyswobodzić się z jej objęć. – A tak poza tym to cześć.

– Cześć – bąknęła, rumieniąc się, po czym przywitała się z Zuzą.

Zanim doszli do domu sołtysa, zaczepiło ich kilka kolejnych osób. Wszyscy byli dość zdziwieni na widok niespodziewanych gości. Wszyscy oprócz Mariana Kościuszki.

– Tak myślałem, że niedługo cię zobaczymy – powiedział, unosząc wzrok znad książki na biurku. – Nie jestem tak naiwny jak moja córka, żeby wierzyć, że przeczekasz w domu kilka tygodni, kiedy ona pojechała w nieznane.

Wypowiadając ostatnie słowa, skrzywił się nieznacznie. Iza i jej ojciec przebyli długą drogę, jeśli chodzi o sposób, w jaki on ją traktował. Zaledwie półtora roku wcześniej najchętniej zabroniłby jej wyjeżdżać na szabry i patrolować okolice osady. Teraz zaś odbywała tak daleką podróż, choć sołtysowi najwyraźniej było to dość nie w smak.

*Kto wie, może znów zrobili sobie aferę na pół wsi – pomyślał łowca.*

Było wczesne popołudnie. Hubert aż się palił, żeby ruszać dalej w drogę i gonić przyjaciół, uznał jednak, że zarówno on, jak i Zuzia potrzebują choć jednej spokojnej nocy w bezpiecznym miejscu, zanim opuszczą znane im tereny.

Po rozmowie z sołtysem dwójka gości z Dąbrówki zaniósła swoje bagaże do niewielkiego, lekko przekrzywionego domku na obrzeżach osady. Drzwi jak zwykle się zacięły i trzeba było naprzeć na nie całym barkiem, żeby się otworzyły. Ku zaskoczeniu Huberta w środku wcale nie było czuć stęchlizną. Wręcz przeciwnie, budynek sprawiał wrażenie, jakby całkiem niedawno ktoś tutaj sprzątał. Sierpień był prawie pewny, że to zasługa Ani.

– Chcesz odpocząć? – zapytał, zaglądając do swojej sypialni. Zuza rozłożyła się na jego łóżku.

– Poczekam tu na Klakiera – odparła, nie otwierając oczu.

– Okej. Ja idę pogadać z ludźmi, tylko błagam, nigdzie się nie oddalaj.

Mruknęła coś niezrozumiale i machnęła lekceważąco ręką.

*Jak grochem o ścianę* – pomyślał, wychodząc z domu.

Na spotkanie wybiegli najmłodszy mieszkańcy Świącina. Czwórka chłopców zaczęła się przekrzykiwać – każdy chciał opowiedzieć coś łowcy demonów. Towarzyszyli mu aż do samej piekarni.

– Pod wieczór, jak znajdę chwilę, dokończycie mi swoje historie – powiedział i poczochnął kręcone włosy Patryka, który stał najbliżej.

Chłopcy z pewnym zawodem odeszli, Sierpień zapukał natomiast do drzwi niewielkiego budynku. Gdy te się otworzyły, buchnęło mu w twarz ciepłym powietrzem pachnącym chlebem.

– Tak myślałam, że cię słyszałam, ale byłam przekonana, że mam omamy – przywitała się z nim Kasia. – Łukasz! Chodź tu! – krzyknęła za siebie. – I weź coś do picia.

Usiedli na ławce na zewnątrz. Wkrótce dołączył do nich Łukasz i podał każdemu kubek z kwasem chlebowym. Przez dłuższy czas rozmawiali o drobnostkach, nim Hubert w końcu poruszył temat śmierci Łuczyka.

– Iza na pewno wszystko ci powiedziała – stwierdziła Kasia.

– Ale chciałem usłyszeć z ust Łukasza to, co on widział tamtej nocy. – Spojrzał wyczekująco na olbrzymiego piekarza.

Ten tylko wzruszył ramionami.

– No powiedz mu. – Żona wbiła mu palce w ramię.

– Ale nie ma co – mruknął ten. – Pewnie i tak mi się przywidziało.

– W ciągu ostatniego miesiąca widziałem demona, który wyglądał jak krzyżówka psa ze szczurem i jakby już za życia zaczął się rozkładać – powiedział Hubert. – Później był taki, który udawał ranne zwierzę i wpędził człowieka na bagna. Naprawdę nic mnie nie zdziwi. A każda informacja jest ważna.

Łukasz dopił swój kwas chlebowy i zaszurał butami na piasku.

– Był wieczór, wracałem akurat od rodziców – odezwał się. – Poczuję straszny smród...

– To znaczy? – dopytywał Hubert.

– Nie wiem, trochę jak zepsute mięso. Przeszedłem się po wsi, szukając źródła tego zapachu. W pewnym momencie kątem oka zobaczyłem coś na palisadzie.

– Jak wyglądało?

– Słuchaj, było naprawdę ciemno, a ojciec narobił wina na dożynki i kazał mi spróbować każdego rodzaju, czy się nadaje do podania ludziom.

– Po prostu mi powiedz, jak to zapamiętałeś, okej? – westchnął Sierpień.

Nie lubił, kiedy ludzie wyolbrzymiali to, co widzieli, ale bagatelizowanie sprawy też nie pomagało.

– To było jak jakieś wielkie, bezkształtne stworzenie. Nie przypominało ani psa, ani krowy. Zdziwiły mnie tylko rozmiary tego czegoś. Było prawie tak wielkie jak koń. Ale coś takiego nie mogłoby przecież wspiąć się na palisadę, prawda? Zamrugałem i przetarłem oczy, ale po sekundzie tego czegoś już nie było. Dlatego myślę, że mogło mi się wydawać.

– Miało futro? – zapytał Hubert.

Łukasz wzruszył ramionami.

– To może kolor? Albo liczba łap?

– Chyba było szare, ale naprawdę nic więcej nie widziałem. Przykro mi.

– Nie przejmuj się. – Sierpień machnął ręką. – A w kwestii tego tarana wodnego coś się zmieniło?

– Pozbieraliśmy wszystkie części, które znaleźliśmy – powiedziała Kasia. – Ale kilku dużych elementów brakuje. Może zostały zatopione w jeziorze. Co jest dość dziwne, bo same by się tam nie poturlały.

*Jakbym miał obsesję, tobym pomyślał, że to sprawka ludzi z Groty – pomyślał Hubert. Mieli u nas szpiega, o wiecu wiedzieli niemal wszystko; z łatwością mogliby zabić samotnego mężczyznę poza wsią i zniszczyć urządzenie. Tylko po co?*

Podejrzewał, że po ludziach z Groty mógł się spodziewać wszystkiego.

*Ale gdybym tylko powiedział to na głos, sam uznałbym, że wpadam w paranoję.*

– A nikt nowy czasem do was nie przyjechał? – zagadnął. Młode małżeństwo pokręciło głowami.

– Ostatni byli Mateusz i Artur – odparła Kasia.

*Co nie zmienia faktu, że mogą obserwować nas z ukrycia...*

Hubert potrząsnął głową, odpędzając od siebie te obsesyjne myśli. W końcu miał przecież zachować zdrowy rozsądek i nie rzucać się z pięściami na pierwszego człowieka z Groty, którego spotka. Z drugim zaś to już zupełnie osobna kwestia.



Mieszkańcy Świącina uznali, że każda okazja jest dobra do świętowania, a skoro odwiedził ich ulubiony strażnik społeczności, jak Hubert zwykł o sobie myśleć, zapowiedzieli uroczystą kolację na wieczór. Zanim zaczęło się ściemniać,

prawie cała osada zebrała się w szkolnej świetlicy. Każdy przyniósł ze sobą coś do jedzenia i picia. Gdy tylko Hubert najadł się do syta, zaczął wypytywać wszystkich strażników, czy nie widzieli ostatnio niczego niepokojącego, jednak okoliczne lasy wydawały się nad wyraz spokojne. Zuza z kolei usiadła na krześle pod oknem, a Ania bawiła się jej włosami i układała najróżniejsze fryzury.

Przez pół wieczoru Sierpień miał wrażenie, jakby ktoś go obserwował. Wydawało mu się, że co chwilę na jego karku pojawiała się gęsia skórka. Ale przecież był wśród przyjaciół, doskonale znał każdą osobę na sali. Nie wszyscy byli oczywiście święci – niektórzy nie stronili od kieliszka, inni nie unikali bijatyk, a jeszcze kolejni uwielbiali awantury, ale w gruncie rzeczy należeli do poczciwych ludzi. Czy to znaczyło, że znów jakiś intruz wtargnął do osady?

*Naprawdę popadam w paranoję – myślał, okrążając w ciemnościach budynek szkoły. Ernie miał rację, dopadła mnie mania prześladowcza. Jeszcze trochę, a zupełnie mi odbije i będę jak Zuza w jej najgorsze dni.*

Sierpniowe nocne powietrze było rześkie i dość chłodne, ale nie przesiąknięte zapachem demonów. Oczywiście jeśli pominąć Klakiera, którego Kasia nakarmiła pod stołem w trakcie kolacji. Teraz owinnik zaszył się gdzieś w stajni i drzemał na sianie.

– Wielki drapieźnik i nocny łowca – parsknął do siebie Hubert.

Platona nie wyczuwał. Leszy bał się dużych zbiorowisk ludzi i nigdy nie wchodził na teren osad innych niż Dąbrówka.

Sierpień postanowił wrócić do sali i zjeść drugą kolację. Ostatecznie musiał nacieszyć się dobrym jedzeniem przed podróżą. Już z daleka dostrzegł cień na rogu budynku,

usłyszał szelest ubrania. Oparł dłoń na kolbie colta, gotów na wszystko.

– Coś się stało? – zapytał, gdy rozpoznał szczupłą sylwetkę.

– Chciałem z tobą porozmawiać – odezwał się cicho Artur Diuk, brat Mateusza.

– To chodź do środka.

– A możemy zostać tutaj? – Rozejrzał się nerwowo.

Hubert zerknął przez ramię, ale nic go nie zaniepokoiło.

– Jak chcesz. – Wzruszył ramionami.

– Bo... tak się zastanawiałem... – zaczął się jąkać Artur. – Jaką trasą... jak planujesz... czy chcesz jechać tą samą drogą, co tamci?

– Mniej więcej tak, ale różnie to bywa, wystarczy mała przeszkoda, a cały plan idzie się... Zresztą wiesz, jak to jest.

Artur pokiwał skwapliwie głową.

– Bo tego... tak sobie myślałem... bo jest was tylko dwójka... i...

– I?

– Chciałbym jechać z wami – wypalił.

Hubert parsknął głośno, ale jego rozmówca zachował powagę.

– Ty tak serio? – zdziwił się Sierpień.

– Tak. – Artur zadarł bojowo podbródek.

– Słuchaj, twój brat jest jednym z najbardziej ogarniętych ludzi, jakich znam. – Łowca położył dłoń na jego ramieniu, ale szybko ją cofnął. Nie chciał wyjść na protekcyjnego mądralę. – Cieszę się, że z nimi pojechał. Jeśli wpadną w kłopoty, na pewno sobie poradzą. A jak nie, to po to jadę za nimi. Żeby wyciągnąć ich z każdego bagna.

– Tyle to i ja wiem.

Hubert poczuł się zbity z tropu.

– To dlaczego chcesz tam jechać?

*Za mało ci przygód w podróży?* – chciał dodać, ale ugryzł się w język. Kilka osób, które towarzyszyły dwóm braciom, zostało zabitych przez strzygonia.

– Bo mój brat nawet nie chciał słyszeć o zabraniu mnie ze sobą, a ja po prostu muszę tam pojechać – rzucił ponuro Artur.

– Tam, czyli gdzie?

– Do Mroczy.

– A gdzie to, u diabła, jest?

– Tuż przy waszej trasie. – Hubert wyczuwał nadzieję w głosie Diuka. – Naprawdę niewiele musielibyśmy zboczyć.

– To oświeć mnie, co tam jest takiego interesującego?

– Pewna dziewczyna...

Łowcy ostatkiem sił udało się zachować powagę.

– Mrocza była daleko od naszej osady – podjął Artur. Kiedy wyrzucił z siebie to, co najbardziej go trapiło, jego głos nabrał pewności. – Kilka razy zajechali do nas wymienić się różnymi towarami. Daria była... Polubiliśmy się. Myślałem nawet o przeprowadzce do nich, ale później zaczęło się u nas wszystko walić, zresztą Mateusz ponoć wszystko ci opowiedział...

Hubert pokiwał głową. Atak dezertarów, ciężka zima i nagle z kilkunastoosobowej osady została ich garstka, która ruszyła na północ szukać innych ludzi. Pech jednak nie przestał ich prześladować. Pewnej nocy zaatakował ich strzygoń i tylko dwóch braci uszło z życiem.

– To dlaczego od razu tam nie poszliście? – zastanowił się.

Artur spuścił głowę.

– Przekonywałem ich, że powinniśmy właśnie tam iść, ale Mateusz twierdził, że to za daleko.

– To lepiej było iść na północ zupełnie w ciemno?

– Mój brat miał zatarg z dowódcą Mroczy. Raz doszło do rękoczynów... Więcej już nas nie odwiedzili.

– W to akurat mogę uwierzyć – westchnął Sierpień.

– Mateusz uważał, że nas przegonią, i nie chciał nawet słyszeć o tym, żeby szukać schronienia u nich.

– I dlatego też nie chciał zabrać cię tym razem ze sobą?

– Planuje ominąć Mroczę – przyznał Artur. – A ja chcę tylko zobaczyć, czy z nią wszystko w porządku. Już tyle czasu minęło. Mogło wydarzyć się wszystko, a my nawet nie mieliśmy okazji naprawdę się pożegnać.

Hubert zastukał palcami w kolbę colta. I jak tu chłopakowi odmówić, żeby się nie załamał ani nie poczuł urażony?

*Z samą Zuzą mam wystarczająco problemów... Czy ty w ogóle umiesz posługiwać się bronią? Nie potrzebuję kolejnej osoby, którą będę musiał się opiekować...*

Przejechał dłonią po krótko przystrzyżonych włosach. Do głowy nie przychodziła mu żadna sensowna odpowiedź.

– Ja wiem, co ty teraz myślisz – odezwał się Artur.

– Chyba jednak nie. – Pokręcił głową.

*Gdybyś wiedział, tobyś się obraził* – dodał w myślach.

– Że się nie nadaję do podróży, że jestem zbyt miękki, że nie jestem własnym bratem...

– No dobra, to wiesz – przyznał Hubert.

– Potrafię o siebie zadbać. Mateusz zostawił w domu swoją strzelbę i choć rzadko z niej korzystam, uwierz, że mam lepszego cela niż brat. Mam już przygotowane zapasy, znam dwa obce języki...

– A po cholere nam one? Od ośmiu lat nie spotkałem obcokrajowca!

Pomijał kwestię Hansa i Blanki, ale Artur nie musiał tego wiedzieć.

– Ty dla Izy pojechałbyś na koniec świata.

– Chłopie, to zbyt ryzykowne! – Hubert stracił cierpliwość.

– Rozumiem – przyznał Artur. – W takim razie pojedę sam. Jestem dorosły i nikt tutaj nie zdoła mnie powstrzymać. Nikt nawet nie ma do tego prawa. Może spotkamy się gdzieś na trasie. Wyruszam jutro przed świtem.

– Nie rób tego, to jest naprawdę nierozsądne.

– To moja decyzja.

Artur wyminął go i odszedł w mrok. Hubert stał jeszcze w miejscu przez dłuższy czas i kręcił głową.

– Nie jestem kwalifikowanym przewodnikiem – mruknął w końcu. – Nie będę robił za niańkę.

Ponadto wierzył, że we dwoje z Zuzą będą bezpieczniejsi. Przecież obiecał, że będzie jej pilnował. Inna sprawa, gdyby chciał z nimi jechać którykolwiek ze strażników, ale nie facet, który wyglądał, jakby całe życie siedział za biurkiem. I nie wyszedł zza niego nawet po ostatniej wojnie. Pewnie wypił za dużo wina i stąd ta odważna gadka. Może liczył, że jak zagrozi samotnym wyjazdem, to Hubert zmięknie i się zgodzi. Wierzył jednak, że Artur nie był aż tak nieodpowiedzialny.

W podłym nastroju wszedł na salę i odszukał wzrokiem Zużę. Siedziała przy stole z Anią, która potrafiła zagadać chyba każdego.

– Co ty masz na głowie? – burknął, patrząc na loki upięte w fantazyjny kok.

– Hubercik nie w sosie? – zakpiła Ania. – Poza tym uważam, że ona bardzo ładnie wygląda w tej fryzurze.

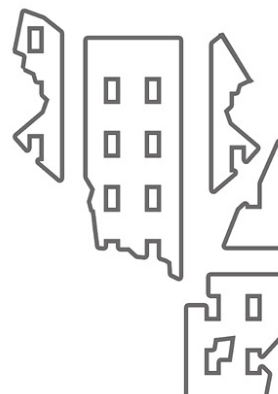
Zuza skinęła głową z dumą.

– Pewnie za mało zjadł – oświadczyła. – Zawsze jest marudny, jak dopadnie go głód.

Przetarł dłonią twarz. Przecież dziewczyny nie były niczemu winne, nie musiał być dla nich niemiły.

– Pora spać – powiedział. – Jutro z samego rana wyjazd.





## Rozdział IX

Zaopatrzeni w nowy prowiant na drogę, pożegnali się z kilkoma osobami, które przyszły pod bramę, i dosiedli koni.

– Uważajcie na siebie – powiedział Stanisław, stojący na warcie. – I szybko wracajcie z dobrymi wieściami.

Hubert skinął głową z uśmiechem.

– Dość tych plotek – rzucił w stronę Zuzy, która pochylała się w siodle do Ani, szepczącej jej coś na ucho. – Do zobaczenia.

Jacek otworzył im bramę. Hubert lekko ścisnął boki swojej klaczy, ale wtem coś mu się przypomniało.

– Widział dziś ktoś Artura? – zapytał.

Wszyscy pokręcili głowami.

– Wczoraj trochę zaszalał z winem, to pewnie odsypia kaca – rzuciła Kasia. – W każdym razie jego dom jest zamknięty.

Sierpień poczuł nieprzyjemne ukłucie w żołądku. Ale przecież był wczesny ranek. On z Zuzą wstali, gdy na świecie panowała jeszcze szarówka. Gdyby Artur chciał ich wyprzedzić, musiałby wyjechać po ciemku. No i przecież strażnicy wiedzieliby o tym, że opuścił wieś.

– Do zobaczenia! – Pomachał przyjaciółom i ruszył w drogę.

Kilometr dalej w koronach drzew odezwał się zachrypnięty, ale wesoły gwizd.

– Też się cieszę, że cię słyszę – powiedział Hubert, po czym odgwizdał.

– Wiesz, że dla większości ludzi gwizd demona to po prostu gwizd demona? – zagadnęła Zuza.

Sierpień zmarszczył brwi, nie do końca wiedząc, o co jej chodzi.

– Nie jest wesoły ani smutny. Jest zły – wyjaśniła.

– Przecież od razu słysząc, że jak tak trochę zaciąga... – spróbował naśladować leszego – to się cieszy.

Dziewczyna tylko pokręciła głową.

Przez cały dzień kierowali się na południowy wschód, planując ominąć Poznań szerokim łukiem. Co prawda Kruk pewnie przyjąłby ich z otwartymi ramionami, ale woleli nie zbliżać się zanadto do miasta. Wizyta w Gnieździe tylko by ich spowolniła, a ponadto Hubert obawiał się ewentualnego spotkania z niezbyt przyjaznymi Łazarzami.

Noc spędzili w domku oznakowanym przez święcinian. Na poszarzałym już tynku znajdował się namalowany żółtą farbą wielki X. Wnętrze budynku było stosunkowo czyste. Na kanapie leżały trzy koce, koło kominka zaś znajdowało się suche drewno i hubka do rozpalania ognia. Hubert bez skrupowania uszczuplił ten zapas, ale przed zmierzchem przywlókł z pobliskiego lasu wielką gałąź, która jakiś czas temu musiała zostać ułamana od drzewa, porąbał ją na mniejsze szczapy i ułożył na podłodze, żeby wyschła.

Zuza wpadła w melancholijny nastrój i w ogóle się do niego nie odzywała. Kiedy zjadła kolację, usiadła przy oknie i wlepiła spojrzenie w coś na zewnątrz. Wyglądała przy tym jak posąg. Patrząc na nią, Hubert uznał, że bardzo dobrą decyzją było

odmówienie Arturowi. Naprawdę nie potrzebował kolejnej osoby pod opieką. Najwyżej jak będą przejeżdżać niedaleko tej Mroczy, to tam zajrzą i popyta o tę dziewczynę. A młodemu Diukowi będzie musiała wystarczyć wiadomość, czy ona żyje i jest zdrowa.

Z ciekawości wyjął z tuby mapę i zaczął szukać na niej Mroczy. Rzeczywiście niewiele zboczą z wcześniej obranej trasy. Ale do tego czasu zostało im jeszcze co najmniej kilka dni.



Kolejny dzień podróży mijał im spokojnie – do czasu, aż Zuza gwałtownie ściągnęła wodze Arki. Klacz zatrzymała się i zarżała z niezadowoleniem.

– Co jest? – Hubert odwrócił się w siodle.

Dziewczyna tylko pokręciła głową i zamknęła oczy, przykładając palec wskazujący do ust.

*Błagam, tylko znowu nie świruj...*

– Słyszę, jak myślisz – warknęła. – Rób to ciszej.

Sierpień zrobił głupią minę, ale po chwili wzruszył ramionami i postanowił przeczekać ten napad.

– Bies – odezwała się wreszcie Zuza.

– Gdzie? – Hubert od razu wziął karabin i rozejrzał się nerwowo wokół.

– No przecież nie za najbliższym drzewem – rzuciła sarkastycznie.

– No przecież wiem – odparł nieco speszony. – Pytam, jak daleko i w którym kierunku.

Dziewczyna wskazała na drogę przed nimi.

- Skoro ty go nie czujesz, to daleko, ale jadąc w tym kierunku, możemy zahaczyć o jego terytorium, a może nawet wpadniemy do samego barłogu.

Hubert poczuł, że skręca mu się żołądek. Oni we dwójkę mogli zawrócić i wybrać inną drogę. Ale co z ich przyjaciółmi, którzy prawdopodobnie też tędy przejeżdżali? Czy wjechali prosto w paszczę biesa?

Poczuł przemożną chęć popędzenia przed siebie, żeby szukać krwawych śladów i ludzkich kości na ziemi.

- Kilka dni temu mógł być w zupełnie innym miejscu - odezwała się Zuza.

Jak zwykle potrafiła czytać w nim jak w otwartej księdze.

- Mam taką nadzieję - westchnął. - Kilkaset metrów wcześniej było skrzyżowanie, chyba powinniśmy do niego wrócić.

Pokiwała głową.

- Tylko nastaw swój radar na pełną moc - przestrzegł.

Leże biesa ominęli szerokim łukiem. We dwójkę, z jednym tylko karabinem, nawet nie mieli co pchać się w pobliże tego demona.

- Cieszę się, że jednak mi towarzyszysz - odezwał się Hubert, kiedy wrócili na planowaną wcześniej trasę.

- Chociaż raz - powiedziała, przeciągając się w siodle.

- Wiesz, że to nie tak - mruknął.

- Tak, wiem - westchnęła. - Ty jako jedyny traktujesz mnie poważnie. A przynajmniej się starasz.

- Się przejmujesz. Mnie nikt nie traktuje poważnie - zaśmiał się.

Przez biesa i niewielką zmianę w podróży nie zdołali przed zmierzchem dotrzeć do żadnej opuszczonej wsi i postanowili zatrzymać się na nocleg pod gołym niebem. Wybrali miejsce w świerkowym lesie, tuż nad niewielkim jeziorem. Hubert

naciął sporo gałęzi i rzucił je na dwie sterty obok ogniska. Nie zapowiadało się na deszcz, więc nie było sensu budować zadaszzonego schronienia. Zuza w międzyczasie się wykapała.

Godzinę później Sierpień wyciągnął się na miękkim pościeliu pachnącym żywicą. Zuza siedziała skrzyżnie naprzeciwko i na patyku piekła nad żarem kawałek mięsa zabranego ze Święcina.

– Strasznie długo ci to idzie – skwitował.

– Przynajmniej będzie smaczne, a nie spalone na zewnątrz i zimne w środku – odgryzła się.

Hubert, który o swojej kolacji zdążył już zapomnieć, wzruszył ramionami. Nigdy nie miał wystarczająco cierpliwości, żeby piec cokolwiek nad żarem.

Las wokół nich budził się do nocnego życia. Zwierzęta wyszły na żer. Gdzieś w oddali zaryczał jelen, nad ich głowami odezwał się puszczyk, coś małego przemknęło po suchej ściółce. I nagle wszystko zamilkło, a w pobliskich paprociach coś zaszeleściło. Hubert podniósł się na pościeliu i położył na udach karabin, wpatrując się w zarośla. Naraz między gęstymi liśćmi błysnęły olbrzymie ślepie.

Sierpień zagwizdał, a leszy odpowiedział. Zuza udawała, że niczego nie widzi ani nie słyszy i tylko wpatrywała się w ognisko.

– No chodź, tchórze jeden. – Hubert wyciągnął rękę w stronę demona.

Platon bardzo powoli ruszył w jego stronę. Poruszał się bokiem na czterech łapach, a każdy krok był poprzedzony dość długim wahaniem. Płomienie odbijały się w jego nienaturalnie wielkich oczach, na głowie wciąż widniała paskudna blizna – pamiątka po niewoli w jednostce Alicji Szlagi.

Zuza zdjęła znad żaru swoje mięso i zaczęła na nie dmuchać. Leszy speszył się nieco, ale nie uciekł. Reagował na nią znacznie lepiej niż na Izę czy Ernesta.

– Chyba cię lubi – orzekł Hubert.

– Mnie wszystkie demony lubią – odparła, zdejmując mięso z patyka. Odgryzła kawałek i rzuciła Platonowi pod łapy.

Leszy okrążył ten prezent, bardzo ostrożnie go powąchał, wziął w łapy i znów powąchał.

– Przecież byśmy cię nie otruli – powiedział Sierpień.

Zanim skończył mówić, mięso zniknęło w szerokiej paszczy.

– Myślisz, że pewnego dnia w każdej osadzie będzie co najmniej kilka osób, które będą miały swojego demona? – zagadnął Hubert. Obserwował Platona, który przycupnął na tyle blisko ogniska, żeby czuć jego ciepło, zachowując jednocześnie bezpieczny dystans, żeby nie dosięgnęła go żadna zbłąkana iskra.

– Może kiedyś – westchnęła Zuza. – Ludzie nie rozumieją demonów.

– Choć chyba nie wszystkie da się oswoić? – Łowca przypomniał sobie ten wieczny głód odczuwany przez meszę. Nie sądził, aby tego stwora dało się przekonać, żeby nie atakował ludzi ani zwierząt.

– Nie wszystkie – powtórzyła głucho Zuza. – Są też takie, o których nawet się nam nie śniło.

Ostatni kawałek mięsa rzuciła leszemu, który natychmiast go pochłonał. Wytarła dłonie o spodnie i ułożyła się wygodnie na posłaniu, przykrywając się śpiworem.

– Dobranoc, łowco. – Ziewnęła, zamykając oczy.

Hubert powoli wstał, starając się nie spłoszyć Platona, i dołożył do ognia kolejny gruby kołek, żeby żarzył się przez dłuższy czas. Zanim usnął, nasłuchiwał dźwięków okolicy,

spróbował wyczuć obce demony, jednak miał wrażenie, że byli bezpieczni. W końcu odpłynął w lekki sen.

Zdawało mu się, że tylko lekko przymknął powieki, a zbudziło go nagłe poczucie niepokoju. Otworzył oczy i spojrzał prosto w wielkie, opalizujące ślepie. Gwałtownie się poderwał, a Platon uskoczył na bezpieczną odległość.

– Co ty wyprawiasz? – burknął Hubert, przecierając twarz. – Chcesz, żebym zawału dostał?

Leszy zagwizdał z wyrzutem.

Sierpień pokręcił głową. Skoro już nie spał, równie dobrze mógł dorzucić do ognia i iść na stronę opróżnić pęcherz. Odrzucił śpiwór i oddalił się od obozowiska.

– Co jest? – zdziwił się, patrząc między drzewami na czarną wodę jeziora. Zdawało mu się, że zobaczył na niej jakieś błyski.

Przedarł się przez zarośla i stanął na błotnistym brzegu. W wodzie odbijało się pomarańczowe światło. Na drugim końcu jeziora ktoś palił ognisko.

Z tego, co wiedział, w okolicy nie było żadnych zamieszkałych osad, a więc musieli to być jacyś szabrownicy, i to duża grupa, jeśli oceniać po rozmiarach ognia. Żaden samotny podróżnik nie odważyłby się aż tak zwracać na siebie uwagi. Hubert przez dłuższy czas wpatrywał się w przeciwległy brzeg. Nocne spotkania w lesie z obcymi nie należały do najrozsądniejszych. Nawet bardzo spokojnemu i opanowanemu człowiekowi mogły wtedy puścić nerwy, a to mogło skończyć się niepotrzebną strzelaniną. Z drugiej jednak strony Sierpień czuł się dość niepewnie, nie wiedząc, kto rozbił obóz tak blisko nich.

Wahał się tylko przez chwilę, po czym wrócił do ogniska i obudził Zużę.

– Po drugiej stronie jeziora są jacyś ludzie – powiedział. – Pójdę na zwiad i sprawdzę, kto to i czego tu szuka.

– Ale...

– Nie będę nawet się im pokazywał. – Pokręcił głową. – Musimy jednak wiedzieć, czego się spodziewać.

Sięgnął po swój pas, wyjął z kabury colta i wręczył dziewczynie.

– Wiesz, jak go używać.

Zuza skinęła głową.

– Wrócę najszybciej, jak się da. – Hubert przewiesił przez ramię karabin, przypiął pas z nożem i ruszył przez ciemny las wzdłuż podmokłego brzegu jeziora.

Noc była ciemna i tylko dzięki gwiazdom odbijającym się w wodzie wiedział, w którym kierunku podążać. Droga zajęła mu znacznie więcej czasu, niż podejrzewał, tym bardziej że im bliżej obcego obozu się znajdował, tym wolniej się poruszał. Nie miał pojęcia, jacy ludzie tam się zatrzymali, więc wolał nastawiać się na najgorsze.

Trzciny zaszumiały, gdy zawiał lekki wiatr, w wodzie rzuciła się z cichym pluskiem ryba, Hubert zaś bezgłośnie podążał przed siebie. Martwiło go, że jeszcze nie słyszał żadnych głosów ani śmiechów. Ognisko odbijające się w jeziorze było dość duże, tylko naprawdę liczna i czująca się pewnie grupa ludzi by takie rozpałała.

W pewnym momencie między pniami drzew i krzewami ujrzał płomień. Kawałek drewna pękł z trzaskiem. Poza tym panowała tu nieprzerwana cisza. Hubert położył się na ziemi i zaczął się czołgać. Zatrzymał się dopiero, kiedy miał już dobry widok na obozowisko obcych. Brzeg jeziora został tu niegdyś wyrównany, do stromej skarpy tuliła się całkiem duża drewniana wiata. Znajdowały się pod nią przyczepa kempingowa i taras z podłogą z desek. Tuż obok stał

kamienny grill. Ognisko płonęło wesoło, rzucając na wszystko wokół fantastyczne cienie.

Zdawało się, że nie było tu żywego ducha. Sierpień jednak nie tracił cierpliwości. Poczłł łaskotanie na dłoni; to jakiś robak wspinał się po niej, ale łowca go zignorował. Może ci ludzie ukryli się w przyczepie? Albo oddalili się diabli wiedzą po co?

Za wiatą rozległo się pojedyncze ciche rżenie.

Minuta mijała za minutą i nic się nie działo. Hubert zaczął mieć paskudne myśli. Ktokolwiek był tu wcześniej, może został już rozszarpany przez demona? Albo właśnie skradał się do obozowiska po drugiej stronie jeziora, gdzie spała samotnie Zuza? Może powinien zawrócić? Przecież z samego rana i tak mieli stąd wyjechać. Po co zawracać sobie głowę obcymi, których prawdopodobnie nigdy nie spotka?

Postanowił poczekać jeszcze chwilę, lecz nic się nie wydarzyło. Zaczłł więc powoli się wycofywać. Nagle po jeziorze poniósł się płacz, aż Hubertem wstrząsnął dreszcz. Zawodzenie do złudzenia przypominało ludzkie, lecz istniała naprawdę niewielka szansa, że gdzieś nad wodą płakało dziecko. Bardziej prawdopodobne było, że to demon wyruszył na łowy. Pora wracać do Zuzy.

Dopiero gdy uznał, że jest już wystarczająco daleko od obcego obozowiska, pozbierał się z ziemi i ruszył w drogę powrotną. Wtem gdzieś z boku rozległ się szelest. Natychmiast odbezpieczył karabin i wycelował w ciemność. Nie wyczuwał żadnego potwora. Przywarł bokiem do pnia drzewa i zaczął nasłuchiwać. Dotarł do niego przyspieszony ludzki oddech. A najdziwniejsze było to, że źródło hałasów znajdowało się gdzieś wysoko nad ziemią.

*Ki grom? Jakiś snajper czy co?* – zastanawiał się Hubert, ostrożnie się cofając.

Miał nadzieję, że nie został jeszcze zauważony.

Znów dało się słyszeć płacz. Tym razem bardziej nagłacy, z typu tych, które wywołują ciarki na plecach.

Człowiek siedzący na drzewie poruszył się gwałtownie. Ewidentnie był przerażony dźwiękami wydawanymi przez demona. Szelest w gałęziach sugerował, że obcy nerwowo się rozglądał.

Sierpień zastanowił się chwilę.

*Jestem naprawdę głupi – skarcił samego siebie, po czym zaczął się skradać w kierunku obcego. I kiedyś tę głupotę przyplacę życiem.*

Gdy uznał, że znalazł się już wystarczająco blisko, przywarł bokiem do grubego pnia sosny. Jakoś nie miał sumienia zostawiać przestraszonego biedaka samego w lesie.

– Złaz z tego drzewa – rzucił.

Sądząc po odgłosach, obcy o mało nie zleciał z gałęzi.

– Nic ci nie zrobię, ale w pobliżu poluje strzyga, więc warto, żebyś zadbał o swojego konia. Inaczej do domu będziesz wracał pieszo.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Hubert?

Sierpnia zatkało.

– Hubert? To naprawdę ty?

Znał ten głos, ale za nic nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć skąd.

– To ja, Artur.

– Pogrzało cię?! – wybuchnął Sierpień. – Złaz z tego drzewa! Miałeś siedzieć w Świącinie!

Wyszedł zza sosny i zobaczył Diuka gramolącego się z drzewa.

– Mówiłem, że jadę i że to moja decyzja – powiedział Artur, kiedy znalazł się na ziemi.

– Po cholere tam wchodziłeś? I po co to wielkie ognisko?

– Chciałem odwrócić uwagę demona. – Diuk zarzucił na ramię strzelbę i podał Sierpniowi rękę. – Liczyłem, że uda mi się go ustrzelić, zanim zbliży się do mojego konia.

– Chciałeś ustrzelić demona? – zapytał ironicznie łowca, ściskając jego dłoń. – A mnie czołgającego się po ziemi to już nie zauważyłeś.

Artur się speszył.

– Poza tym strzygi nie da się zastrzelić – dorzucił Hubert. – Na szczęście jest daleko. Chodź po twoje rzeczy oraz konia i pójdziemy do mojego obozu. Zuza na pewno już się martwi.

Uwinęli się dość szybko i ruszyli razem wzdłuż brzegu jeziora. Tym razem nie trzeba było zachowywać już takiej ciszy.

– To ja! – zawołał Hubert już z daleka.

Wolał ostrzec Zużę, zanim ta go zastrzeli.

– Nie spieszyłeś się – usłyszał zgryźliwą odpowiedź.

– Nie, ale mam gościa – odparł, wchodząc w krąg światła rzucanego przez ognisko.

– Cześć – przywitał się Artur.

– Tak myślałam, że to ty – stwierdziła, wychodząc z cienia. Dorzuciła do ognia i usiadła na swoim pośłaniu.

– Nie mogłaś tego wiedzieć. – Hubert zmarszczył brwi. Przecież nic jej nie mówił o rozmowie, którą odbył z Diukiem jeszcze w Świącinie.

– Ja wszystko wiem – ucięła temat.

Nie zamierzała się kłócić.

– To tylko powiedz mi jeszcze, czy ta strzyga planuje nas zaatakować.

Pokręciła głową.

– Odeszła gdzieś dalej.

– Mimo wszystko do rana trzeba zachować czujność.



Tej nocy strzyga już się nie odezwała. Podczas śniadania na twarzach trójki podróżników dało się dostrzec zmęczenie po nieprzespanej nocy. Hubert uznał, że nie będzie się kłócił z Arturem i nie odeśle go do Świącina. W końcu to był dorosły człowiek, decydował sam za siebie, choć te decyzje mogły okazać się naprawdę głupie.

– Ten demon... strzyga, jak mówisz, szła za mną już od wczorajszego ranka – odezwał się Diuk. – Na początku myślałem, że coś mi się zdawało, ale koło południa jej zawodzenie stało się bardziej nachalne i bliższe.

– Strzygi lubią najpierw nastraszyć swoją ofiarę. – Hubert skinął głową. – Może przerażony człowiek lepiej smakuje.

– Ale dlaczego nie zaatakowała w nocy?

– Nie wiem. Nie sądzę, żeby przestraszyła się mnie. Może chciała pogłębić cię jeszcze trochę i dopiero dzisiaj pożreć?

Zauważył, że Artur się wzdrygnął. I dobrze; jak zda sobie sprawę z niebezpieczeństwa, może nie będzie już tak głupio odważny.

– Dobra, ogarniecie obóz? Ja się muszę wykąpać. – Hubert wstał ze zwiniętego śpiwora. – Jakby co, będę tuż obok. – Wskazał krzewy, za którymi połyskiwało jezioro.

Jego towarzysze pokiwali głowami i zabrali się do sprzątania.

Zimna woda otrzeźwiła go na tyle, że czuł się już w stanie wsiąść na konia i stawić czoła dalszej podróży.

W drodze Hubert sięgnął po mapę i zrównał się z Arturem.

– Jechałeś tą trasą? – zagadnął, stukając palcem w poślizki papier.

Diuk zastanowił się.

– Nie jestem pewien... – Przyjrzał się dokładnie. – Chyba nie.

Hubert wymienił spojrzenie z Zużą.

– A dlaczego pytasz?

– Bo tam wczoraj grasował bies. Jeżeli nie skręciłbyś wcześniej, tak jak my, pewnie wpadłbyś prosto do jego paszczy.

Artur zbladł.

– O pewnych rzeczach chyba jednak lepiej nie wiedzieć – westchnął, przecierając dłonią czoło.

– A strzyga? Idzie za nami? – Sierpień zwrócił się do Zuzy.

– Chyba dała sobie spokój. – Dziewczyna pokręciła głową. – Może nie była aż taka głodna. Albo jest młoda i nie chce ryzykować ataku na trójkę ludzi.

– Albo planuje coś naprawdę paskudnego – mruknął pod nosem.

– Ostatnio zrobił się z ciebie czarnowidz – wytknęła.

Chciał zaprzeczyć, ale uznał, że coś jest w jej słowach. Tak chyba wpływało na niego samo istnienie Groty. Zdawało mu się, że właśnie stamtąd pochodzi całe zło tego świata.

– Powinniśmy przyspieszyć, bo mam wrażenie, że tamci z dnia na dzień coraz bardziej się od nas oddalają – powiedział, popędzając Mokkę do kłusu.

Zuza i Artur spięli swoje konie. Niewiele rozmawiali tego dnia, każde było zatopione we własnych myślach. Hubert co chwilę starał się kontrolować okolicę na obecność demonów, jednak ani razu nie wyczuł strzygi. Raz, na samej granicy zmysłów, pojawił się boruta, ale niemal od razu zniknął. Sierpień spojrzał pytająco na Zużę, ale ona tylko pokręciła głową. Jej zdaniem nie zainteresowali demona na tyle, żeby zechciał ich atakować.

Przed wieczorem zatrzymali się w dużym gospodarstwie na odludziu. Nie spodziewali się znaleźć w nim nic cennego, ale jako miejsce na nocleg było idealne.

Hubert jak zwykle najpierw sprawdził, czy dom jest bezpieczny. Gdy nic nie wzbudziło jego podejrzeń, kazał Zuzie i Arturowi zanieść do środka ich bagaże, a sam przeszedł się po budynkach gospodarczych. W oborze leżały na klepisku rozwleczone kości bydła. Z doświadczenia wiedział, że Mokka nie przepadała za takim wystrojem i za nic nie będzie chciała spędzić tutaj nocy. Stodoła za to wydawała się w całkiem niezłym stanie. Jakimś cudem przetrwała te osiem lat po wojnie bez żadnego uszczerbku. W środku, na poddaszu, znajdowało się stare, ale suche siano. Nie było tu żadnej zgnilizny ani kości. W obejściu znajdowała się nawet studnia. Co prawda pompa nie działała, ale Hubert znalazł wiadro i zaczerpnął czystej wody.

Zadbał o konie i puścił je luzem po zarośniętej, za to otoczonej płotem łące, po czym wrócił do domu. W środku było aż szaro od dymu.

– Co wy tu robicie? – zapytał, kaszląc.

– W ogóle nie ma cugu – sapnął Artur, otwierając okna na oścież.

Zuza wygaszała właśnie ogień w kominku.

– Pewnie przewód jest zatkany. – Hubert zajrzał do środka, ale i tak nic nie zobaczył. – Nie ma sensu teraz tym się zajmować. Napiszcie kartkę, że zatkany, i przyczepcie ją do kominka, może ktoś kiedyś to ogarnie. Na szczęście noce jeszcze nie są aż takie zimne, damy radę bez ognia.

Z dnia na dzień zmierzch zapadał coraz szybciej. Kiedy tylko za oknami poszarzało, Sierpień zamknął konie w stodole, wrócił do domu i zabezpieczył drzwi. Tego wieczoru żadne

z nich nie miało ochoty na rozmowy, więc po prostu ułożyli się do snu.

Hubert przez jakiś czas wpatrywał się w gwiazdy za oknem, zastanawiając się nad dalszą podróżą. Wciąż miał złe przeczucia, że Iza, Ernest i pozostali z każdą chwilą się od niego oddalają, że dotrą do Groty na długo przed nim i wpadną w zasadzkę. A gdy on zjawi się na miejscu, będzie już po wszystkim, cokolwiek by to znaczyło. Starał się przekonywać samego siebie, że jego przyjaciele nie pierwszy raz wyruszyli w tak długą trasę. Każde z nich potrafiło doskonale posługiwać się bronią, praktycznie nigdy nie tracili czujności i nawet w najgorszych sytuacjach zachowywali zimną krew.

*Henryk na pewno ich przypilnuje* – pomyślał jeszcze, zanim zasnął.



*Demon! Demon! Demon!!!*

Hubert zerwał się z łóżka, zaplątując się w śpiwór. Jego zmysły aż wyły. Od razu sięgnął po karabin i obrócił się wokół własnej osi, spodziewając się, że coś zaraz rzuci mu się na plecy. Potrzebował kilku sekund, żeby zorientować się, gdzie jest i co się dzieje.

Nagle Zuza zaczęła krzyczeć.

– Cicho! – Przypadł do niej i wolną ręką zatkał jej usta.

W ciemnościach błysnęły białka jej przestraszonych oczu. Szarpnęła głową.

– Strzyga – szepnęła.

– Wiem. – Skinął głową. – Na zewnątrz.

– Jest wściekła i głodna...

– Jak zawsze. – Wyprostował się. – Ale do domu się nie dostanie.

– Co się dzieje?! – Do pokoju wpadł Artur ze strzelbą.

– Twoja strzyga nas odnalazła – rzucił ponuro Hubert.

Przywarł bokiem do ściany i ostrożnie wyjrzał przez okno, nic jednak nie zauważył.

– Jesteśmy tu bezpieczni? Czy trzeba wyjść i ją zabić? – zapytał konkretnie Diuk, lecz jego głos lekko drżał.

– Na razie nigdzie nie będziemy wychodzić – zdecydował Sierpień.

– Konie... – szepnęła Zuza. – Zwietryła je. Okrąża stodołę...

– Skąd...? – zaczął Artur.

Hubert zamknął oczy i się skupił. Słyszał Diuka przestępującego z nogi na nogę, szelest śpiwora Zuzy, myszy biegające na strychu. Wtem dotarło do niego ciche kwilenie przypominające dziecko. Strzyga czuła zapach koni, a one wyczuły ją, zaczęły się denerwować, ryć kopytami ziemię, rżec ze strachu. A to wszystko sprawiało, że była coraz bardziej podekscytowana. Pragnienie ciepłej krwi spływającej do gardła stawało się nie do zniesienia.

Sierpień potrząsnął głową, opanowując targające nim emocje.

– Dobierze się do koni – powiedział. – Tym razem nie odpuści.

Odłożył karabin na stół – kule nic mu nie pomogą w starciu z tym demonem – i wziął do ręki maczetę. Za ledwie poprzedniego dnia ją ostrzył.

– Co robimy? – Artur wyprostował się, gotów do walki.

– Zabijemy ją. Ty staniesz na progu domu. Dopilnujesz, żeby nic nie wlazło do środka, i będziesz mnie osłaniał, jeśli pojawiłby się inny demon.

Kolega skinął głową, choć jego twarz przybrała trupio blady kolor. Hubert zerknął jeszcze na Zużę, która siedziała na kanapie i masowała palcami skronie.

– Powinienem wiedzieć coś jeszcze?

– Pospiesz się – powiedziała, mocno zaciskając powieki.

Sierpień przeszedł przez korytarz i uchylił drzwi. Poczłł chłodne, rześkie powietrze przesycone zapachem demona. Nie musiał widzieć w ciemnościach, żeby wiedzieć, gdzie znajduje się potwór. A diabelec krążył właśnie pod wrotami od stodoły, zastanawiając się, jak je sforsować.

Hubert przyłożył palec do ust, nakazując Arturowi ciszę, sam zaś powoli zszedł z progu i stanął na miękkiej trawie, która wraz z chwastami porastała całe podwórko. Strzyga, zajęta obwąchiwaniem zasuw przy drzwiach, nie zdawała sobie sprawy z jego obecności.

Sierpień uniósł nieco maczetę i bezgłośnie ruszył w jej stronę. Miał nadzieję, że uda mu się ją zaskoczyć, dzięki temu, że tak bardzo skupiła się na zapachu koni i dźwiękach przez nie wydawanych. Gdy czuł jej głód i ekscytację, aż palce go świerzbiły. Wydawało mu się, że jest w stanie usłyszeć krew szumiącą w żyłach koni, ich wielkie, bijące serca, pot spływający po sierści.

W połowie drogi zatrzymał się i wziął głębszy wdech. Nie mógł pozwolić, żeby odczucia demona na niego wpływały. Owszem, to pomagało przewidzieć zachowanie stwora, ale w tej chwili wolał skupić się na własnym ciele, a nie pragnieniu krwi.

Nagle strzyga straciła cierpliwość. Rzuciła się na metalową zasuwę, kąsała ją i uderzała w nią łapami. Ta na szczęście ani drgnęła. Konie w stodole, jeśli oceniać po odgłosach, które poniosły się po cichym gospodarstwie, zaczęły wariować ze strachu.

Hubert ponownie ruszył w stronę demona, który zaczął gryźć deski w ścianie; szarpał je pazurami, aż drewno zaczęło pękać. Na ziemię posypały się pierwsze drzazgi. Jeszcze chwila, a stwór utworze sobie drogę do środka budynku. Sierpień przyspieszył. Zostały mu zaledwie trzy kroki. Uniósł maczetę. Dwa kroki. Strzyga, wciąż wściekle atakując deski, zdała sobie sprawę z tego, że coś jest nie tak. Jeden krok. Odwrócona do niego tyłem, uniosła łeb i wciągnęła w nozdrza powietrze.

Sierpień wziął zamach i opuścił ostrze, celując prosto w porośnięty rudą sierścią kark. Demon w ostatniej chwili odskoczył, maczeta rozcięła powietrze. Hubert jednak wyczuł, w którą stronę stwór wykona unik, i od razu wyprowadził kolejny cios.

Metal rozciął klatkę piersiową. Strzyga zawyła. Przed oczami Huberta rozbłysnął wybuch bólu, łowca szybko jednak zdał sobie sprawę z tego, że to nie jego odczucie, i je od siebie odepchnął.

W czarnych ślepiach pojawiła się żądza mordy. Człowiek był przecież znacznie bardziej smakowitym kąskiem niż koń. Demon oparł się na przednich łapach i poruszył się w bok, jakby chciał zejść go od tyłu, krew spływała po jego ciele i skapywała na trawę.

Hubert zrobił krok w drugą stronę z maczetą w gotowości do odparcia ataku. Przez kilka chwil krążyli wokół siebie, czekając, aż to drugie wykona ruch.

Strzyga była dorosłym osobnikiem, który osiągnął dość imponujące rozmiary jak na swój gatunek. Pod szarą skórą zagrały żylaste mięśnie. Ruda sierść na grzbiecie zjeżyła się. Paszcza, z której wystawały długie i ostre zęby, rozwarła się nieco, a Huberta owionął okropny smród.

W końcu poczwara szarpnęła się do przodu, kłapnęła zębiskami. Sierpień odskoczył, jednocześnie wyprowadzając cięcie, jednak to była tylko zmyłka. Demon natychmiast się cofnął, więc łowca wykonał krok do przodu, próbując dźgnąć go w podbrzusze. Wtedy jedna z przednich łap demona wysunęła się, a ostre pazury o centymetry ominęły nogi Huberta.

Strzyga straciła cierpliwość. Rzuciła się na człowieka. Sierpień błyskawicznie odwrócił się do niej bokiem i opuścił maczetę na wyciągnięte przedramię. Metal wszedł głęboko w ciało. Poczwara zaskrzeczała. Hubert wyszarpnął ostrze i opuścił je na jej bark. Usłyszał zgrzyt łamanych kości, ramię stwora bezwładnie zawisło wzdłuż ciała.

Wszystko nagle przyspieszyło. Strzyga zaczęła atakować na ślepo, zalała ją wściekłość. Sierpień odskakiwał, unikając ostrych pazurów i paszczy, która bez problemu mogłaby pogruchotać jego czaszkę. Młócił maczetą, a co któryś cios zagłębiał się w szarym ciele. Wkrótce jednak zaczęło ogarniać go zmęczenie, jeszcze chwila, a zabraknie mu oddechu. Nogi zgubią rytm, zbyt późno odskoczy, a szpony przeszyją jego ciało na wylot.

Nagle dostrzegł lukę. Strzyga odsłoniła zakrwawioną klatkę piersiową. Zaatakował, wbijając końcówkę maczety prosto w serce. Czarne ślepie rozszerzyły się, jakby z zaskoczenia, przednie łapy uniosły się na kilka centymetrów, ale zaraz potem opadły, tylne zaś się ugięły. Wreszcie stwór padł na ziemię.

Hubert wyszarpnął z jego ciała ostrze i wbił je jeszcze raz. Tak na wszelki wypadek.

Pochylił się, opierając dłonie o kolana, i splunął na trawę. Spróbował wyrównać oddech i dopiero wtedy rozejrzał się wokół. Artur nadal stał na progu ze strzelbą gotową do

strzału. Sierpień zdał sobie sprawę, że od chwili, gdy ruszył do ataku, musiały minąć nie więcej niż trzy, cztery minuty.

Przywołał kolegę gestem.

– Idź uspokoić konie – polecił.

Ponownie zerknął na truchło. Doskonale wiedział, co powinien z nim zrobić. O ile pamiętał, obok drzwi do obory znajdowała się całkiem spora kłoda. Zaciągnął tam martwego demona i ułożył tak, aby jego szyja leżała na drewnie. Uniósł maczetę, ale się zawahał.

*Strzygę i jej głowę należy zakopać osobno – przypomniały mu się jego własne słowa.*

*Ale dlaczego? – zapytał sam siebie.*

– Żeby się nie odrodziła – szepnął.

Ale czy coś takiego było możliwe? Czy demon mógł powstać z martwych? Przecież to przeczyło podstawowym prawom rządzącym światem.

*Podobnie jak istnienie takich maszkar – pomyślał, patrząc na truchło.*

Tuż za nim rozległy się kroki.

– Z końmi wszystko w porządku – powiedział Artur, wpatrując się w demona.

– Weź sprawdź, czy ta strzyga na pewno nie żyje – odparł Hubert.

– Że co?! – Diuk się cofnął.

– Sprawdź, czy na pewno ją zabiłem.

– Odetnij jej łeb, i tyle.

– Łowcę wzięło na eksperymenty. – Rozległ się za nimi spokojny głos; obaj drgnęli nerwowo.

– Dlaczego wylazłaś z domu? – zdenerwował się Hubert.

– Bo demon nie żyje. – Zuza dotknęła palcem wskazującym czubka własnego nosa, dając mu do zrozumienia, że coś takiego też potrafi wyczuć.

Sierpień skinął głową. Też to czuł, ale wolał mieć pewność.

– To o co chodzi? – dopytywał Artur.

Hubert wskazał budynek gospodarczy przylegający do obory.

– Znajdź pomieszczenie bez okien i z porządnymi drzwiami.

Zamkniemy tam strzygę na resztę nocy.

– Ale po co?

– Muszę coś sprawdzić.

Podczas gdy Artur zaglądał po kolei do wszystkich pomieszczeń gospodarczych, Hubert przyklęknął przed truchłem. Cała klatka piersiowa była poraniona i zalana krwią, z szerokiej paszczy wystawał długi jęzor. Sierpień z przyzwyczajenia wyrwał jeden ząb, wytarł go o trawę i schował do kieszeni.

– Znalazłem jakąś graciarnię bez okien. – Diuk wrócił po kilku minutach. – Ma też metalowe drzwi i solidną zasuwę od zewnątrz.

Razem zawlekli tam truchło i wrzucili do pomieszczenia. Rzeczywiście było zawałone najróżniejszymi sprzętami i przedmiotami, ale było zbyt ciemno, aby móc się im bliżej przyjrzeć. Hubert zamknął zasuwę i upewnił się, że drzwi wytrzymają.

– Chyba nie obawiasz się, że ten demon ucieknie? – rzucił pół żartem, pół serio Artur.

– Niektórzy twierdzą, że strzygi potrafią aż tak się zregenerować – powiedział Hubert.

Jego towarzysz znieruchomiał.

– A ty w to wierzysz? – zapytał.

– Sam nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Ale mamy doskonałą okazję, żeby się o tym przekonać.

Wrócili do domu i usiedli przy stole. Zuza zapaliła świeczkę. Dopiero w jej wąłym świetle Hubert zobaczył, że całe jego

dłonie są pokryte krwią. Poszedł zatem do studni, nabrał wody i umył ręce oraz twarz.

– Mamy trochę ponad dwie godziny do świtu – powiedział, kiedy już się ogarnął. – Proponuję wystawić warty. Wystarczy, że posiedzimy na zmianę przy oknie. Stąd widać drzwi do tamtej kanciapy.

– Wy idźcie spać, ja się tym zajmę – zaoferował Artur. – Obudzę was, jak będzie wasza kolej.

Hubert z wdzięcznością pokiwał głową, padł na swoje łóżko i niemal od razu zasnął. Obudził się, kiedy słońce zaczęło razić go w oczy.

– Co jest? – Wstał, przecierając twarz.

Artur nadal trwał przy oknie.

– Zagapiłem się – odparł. – Ale nie działa się nic podejrzanego.

– Dzięki. Zuza! – Potrząsnął śpiącą dziewczynę za ramię.

Podniosła się na posłaniu i odgarnęła z twarzy burzę loków.

– Wyczuwasz tę strzygę? – zapytał.

Zastanowiła się przez kilka sekund i ostatecznie potrząsnęła głową.

– Ja też nie. Idziemy zobaczyć?

Hubert wziął maczetę i wyszedł z domu. Z każdym kolejnym krokiem serce biło mu szybciej. Nie chciałby znów stanąć naprzeciw demonowi. Ale skoro go nie wyczuwał, to podejrzewał, że się nie odrodził. Chyba że potrzebował na to więcej czasu.

Zatrzymał się pod metalowymi drzwiami i przyłożył do nich ucho. W środku panowała martwa cisza.

– I co? – szepnął Artur, stając za nim.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się na sto procent przekonać – odparł. – Zuza? Weź colta, tak na wszelki wypadek, i stań na progu domu.

Niezbyt zadowolona dziewczyna wykonała polecenie.

– Ty przygotuj sobie ten bagnet. – Sierpień wskazał brodą broń wiszącą przy pasku Diuka. – Otworzysz drzwi i się od razu za nimi schowasz. Żadnego zaglądanego do środka, zanim upewnię się, że strzyga nadal jest martwa.

Kolega pokiwał głową i zajął stanowisko przy metalowej zasuwie.

Hubert stanął naprzeciw drzwi z lekko uniesioną maczetą.

*Strzyga jest martwa, wyczułbym ją, gdyby się odrodziła* – przekonywał samego siebie, gdy jego mięśnie zaczęły drżeć z napięcia.

Mimo wszystko wolał zachować wszelkie środki ostrożności.

– Otwieraj – powiedział.

Rozległ się nieprzyjemny zgrzyt zardzewiałego metalu, gdy Artur pociągnął za zasuwę, po czym szarpnął drzwi i się za nimi schował.

Oczom Huberta ukazało się ciemne pomieszczenie. Światło padło na podłogę, przeciwległą ścianę i ustawiony pod nią drewniany stół. Sierpień powoli zbliżył się do wejścia. Nic go nie zaalarmowało. Zaczął się zastanawiać, jak daleko wrzucili truchło. Wydawało mu się, że tuż przy drzwiach, ale może jakoś przetoczyło się na bok i leżało teraz w cieniu?

Kolejny krok i stanął na progu. Miał wrażenie, że bicie jego serca słychać w całym gospodarstwie. Omiótł wzrokiem pomieszczenie, lecz nie dostrzegł demona.

– Co do...? – zaczął. Przecież strzyga nie mogła ot tak sobie zniknąć!

Wychylił się do przodu, zaglądnąwszy do środka. Nie było tu okien ani żadnej innej drogi ucieczki niż przez drzwi, które jeszcze przed chwilą były nienaruszone.

Wciągnął do płuc powietrze przesiąknięte zapachem krwi. Na zakurzonym betonie dostrzegł ciemną, zaschniętą plamę.

– Kur... – zaczął, cofając się.

Nagle rozległ się zgrzyt. Stara pralka stojąca w rogu przy wejściu poruszyła się nieznacznie, a zza niej wypadła strzyga.

Hubert bez celowania machnął maczetą. Ostrze rozcięło powietrze i uderzyło w próg. Demon rzucił się na łowcę, wytrącając mu broń.

Sierpień zacisnął dłoń na chudym gardle, starając się trzymać na dystans paszczę pełną zębów. Lewą ręką sięgał do pasa po nóż, ale wtem kątem oka dostrzegł rozczapierzone pazury lecące wprost na jego żebra. W ostatniej chwili zablokował łapę w nadgarstku. Druga zacisnęła się na jego prawym przedramieniu. Przez dłuższy czas siłowali się w tej patowej sytuacji, na czoło człowieka wystąpiły kropelki potu.

Hubert spróbował kopnąć demona w podbrzusze, na niewiele jednak to się zdało. Wiedział, że jeszcze chwila, a strzyga wbije w niego pazury i rozora mu ciało. A z takich ran już tak łatwo się nie wylize.

Naraz kątem oka dostrzegł ruch. To Artur wyskoczył zza drzwi i stanął za demonem. Był blady jak płótno. W zaciśniętej dłoni trzymał nóż.

– W potylicę! – sapnął Sierpień.

Diuk przypadł do strzygi i dość nieporadnie spróbował wbić ostrze w jej ciało.

Stwór zareagował natychmiast. Wyszarpnął się z uchwytu Huberta i odwrócił do nowego przeciwnika. Artur zrobił wielkie oczy i cofnął się o krok, zasłaniając się bagnetem.

Sierpień jednym płynnym ruchem wyszarpnął z pochwy swój nóż i wbił go z boku w szyję strzygi. Demon zakrztusił się krwią. Łowca wysunął do przodu rękę, oparł dłoń o podbródek poczwary i szarpnął do góry. Wyciągnął z rany ostrze i przejechał nim po odsłoniętym gardle.

Stwór stracił równowagę i poleciał na pysk. Artur odskoczył przed nim w ostatniej chwili.

Hubert schylił się po maczetę. Uniósł ją i opuszczył na szary, porośnięty rudą sierścią kark. Rozległ się trzask pękającego kręgosłupa, na ziemię poląła się krew. Potrzeba było jeszcze co najmniej dwóch kolejnych cięć. Tym razem jednak Sierpień nie trudził się z podkładaniem pod szyję strzygi drewna; nie dbał o to, czy ostrze się stępi lub skrzywi, uderzając w ziemię, czy będzie sprężynowało, odbijając się od ciała. Chciał jak najszybciej pozabawić demona głowy.

Ostatnie uderzenie; krew chlusnęła mu na buty, maczeta wbiła się w trawę, a łapy strzygi zadrżały w pośmiertnym odruchu.

W gospodarstwie zapadła głucha cisza. Hubert odkopnął łeb od reszty ciała. Tak na wszelki wypadek.

– W porządku? – Podniósł spojrzenie na Artura.

– Ch-chyba – zająknął się jego towarzysz.

– Co za przeklęty... – zaczął Sierpień, ale zabrakło mu słów.

Nie miał pojęcia, jak mógłby wyrazić swój szok i zaskoczenie. Tak naprawdę nie oczekiwał, że strzyga mogłaby odżyć. Jakim cudem tak się zregenerowała? Butem odwrócił ją na grzbiet. Na klatce piersiowej zobaczył zasklepione rany, które zadał jej w nocy. Nie powinny tak szybko się zagoić. Poczul wyrzuty sumienia, że naraził przyjaciół na niebezpieczeństwo tylko po to, aby zaspokoić własną ciekawość. W tym przypadku powinien był ufać demonologii i od razu odrąbać stworowi głowę.

Powoli podeszła do nich Zuza. Jej twarz była blada, oczy wielkie. Hubert doskonale ją rozumiał – świadomość, że nie wyczuli obecności żywego demona, była dla nich nie do pojęcia.

– Trzeba go spalić – odezwała się dziewczyna słabym głosem.

Hubert skinął głową. Wbił maczetę w oczodół strzygi, przyszpilając tym samym łeb do ziemi. Nie wiedział, ile czasu

potrzeba, by stwór się odrodził, ale wolał nie ryzykować.

– Zaniesiemy całe suche drewno, jakie znajdziemy w gospodarstwie, na polanę za stajnią i tam zbudujemy stos – zdecydował.

Godzinę później stali we trójkę na polanie w bezpiecznej odległości od płomieni. Czarny dym unosił się kłębamii ku niebu, drewno pękało z trzaskiem, a truchło zapadło się głębiej w żar.

– To nie powinno być możliwe – odezwała się Zuza, nie odrywając wzroku od okazałego stosu. Na jej jasnej cerze pojawiły się wypieki od gorąca.

– Niby o tym już kiedyś mówiłem, ale tak naprawdę sam w to nie wierzyłem – przyznał Hubert. – Jej rany tak szybko się zabiżniły...

– Nie o tym mówiłam. – Dziewczyna potrząsnęła głową. – Powinniśmy byli wiedzieć, że ona żyje.

Sierpień miał wrażenie, jakby na dno jego żołądka opadła bryła lodu. Czy tak właśnie mieli inni ludzie, którzy nie potrafili wyczuwać demonów?

– Ilu takich ożywieńców chodzi po świecie, mimo że o tym nie wiemy?

– Wydaje mi się, że jak ktoś już zabija strzygę, to ucina jej ten łeb albo ją pali – rzucił na pocieszenie.

– A jeśli nie tylko strzygi tak mają? – Przeszyła go spojrzeniem zielonych oczu.

– Mam jednak nadzieję, że nie – powiedział.

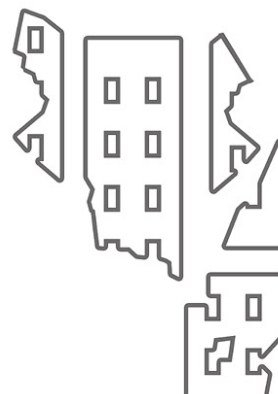
Jakiś grubszy, przepalony kołek pękł, a stos zapadł się nieco.

– W każdym razie dzięki za pomoc. – Hubert klepnął Artura w ramię.

– Przecież nic nie zrobiłem. – Diuk wzruszył ramionami. – Nawet nie bardzo trafiłem nożem w jej potylicę. Aż wstyd.

- Gdyby nie ty, pewnie by mnie załatwiła. I tylko to się liczy.
- Mój brat nie uwierzy, jak mu powiem, że uratowałem życie Sierpniowi. – Artur się roześmiał.
- Najpierw musimy go dogonić. Pora się pakować, a przed samym wyjazdem zagasimy resztki stosu. Teraz ta przeklęta strzyga już się nie pozbiera. Mam przynajmniej taką nadzieję.





## Rozdział X

Zuza moczyła stopy w małym strumyku. Tuż obok niej przysypiał zwinięty w kłębek Klakier. Hubert wyciągnął się na miękkiej trawie. Głowę oparł o siodło Mokki, nogi skrzyżował w kostkach. Słońce w zenicie przygrzewało dość mocno, woda szemrała w załomie, dwie jaskółki goniły się wysoko na niebie.

Za nimi było kilka kolejnych dni podróży.

– Opowiedz mi coś więcej o tej Mroczy – odezwał się Sierpień, wpatrując się w wysokie korony drzew. Gdzieś tam ukrywał się Platon.

– Wioska jak każda inna. – Artur wzruszył ramionami. Do ust wsunął zieloną słomkę trawy.

– Ilu mieszkańców, kto im przewodzi, co produkują sami, jaki mają stosunek do demonów i tak dalej – podpowiedział Hubert.

– Z tego, co pamiętam, to kiedyś było ich powyżej pięćdziesięciu. Rządzi nimi Prezydent...

– Prezydent? – powtórzył łowca.

– Tak na niego mówią; to oczywiście samozwańczy tytuł.

Sierpień przymknął powieki. Szybko wyrobił sobie zdanie o kimś, kto kazał się nazywać w taki sposób.

– I to właśnie z nim Mateusz miał zatarg? – zapytał.

Artur pokiwał głową.

– O co poszło?

Diuk wyjął z ust słomkę.

– A o co mogło pójść? O kobietę.

Hubert otworzył jedno oko i spojrzał na towarzysza.

– Jakies szczegóły? – poprosił.

– Prezydent zaczął przystawiać się do takiej Marty z naszej osady. A że akurat Mateusz się z nią spotykał, to nie życzył sobie czegoś takiego. Wieczorem trochę popili i wzięli się za łby.

– Kto wygrał?

– Zależy w czym. W bójce mój brat. W zdobyciu dziewczyny Prezydent. Po wszystkim stwierdziła, że woli zamieszkać w Mroczy. U nas nie miała żadnej rodziny, zresztą nasza osada była malutka, wciąż mieliśmy jakieś problemy. A Prezydent oferował jej spokojne i w miarę dostatnie życie u siebie. Nie dziwię się jej, że tak zdecydowała. Całkiem możliwe, że tylko dzięki temu żyje. O ile rzeczywiście nic jej nie jest i mieszka w Mroczy. Od tamtej pory nie widzieliśmy się z nimi.

– To się nie dziwię, że Mateusz za nimi nie przepada – stwierdził Hubert.

– Moim zdaniem trochę przesadził. Kiedy ruszyliśmy szukać innych ludzi, nie wiedzieliśmy, na kogo trafimy. To była dość ryzykowna podróż, a to, że zagnało nas do Świącina, gdzie zostaliśmy tak ciepło przyjęci, to zwykły łut szczęścia.

– Zobaczymy, jak jutro oni nas przyjmą.

– Na pewno z radością – upierał się Artur.

Hubert jednak nie był tego już taki pewien.

– Nie będziemy mieli problemów przez Klakiera? – Zerknął na owinnika, który właśnie przeciągle ziewnął.

– Powiedz mi, że w choć jednej wsi nie mieliście przez niego problemów.

Tego rzeczywiście nie mógł przyznać. Wszędzie reagowano na demona dość sceptycznie. Przynajmniej za pierwszym razem. Z czasem na szczęście ludzie się do niego przyzwyczajali.

Niedługo później osiodłali konie i ruszyli dalej w drogę. Na noc zatrzymali się w małym domku nad jeziorem. Przed zmierzchem zdążyli wykąpać się w zimnej wodzie, a nawet wyprać ubrania, które wymagały tego już od dawna. Wysuszyli je nad ogniskiem i dość wcześnie poszli spać.

Następnego dnia koło południa dostrzegli pierwsze oznaki bliskiej obecności ludzi – droga wyraźnie była uczęszczana, widać na niej było ślady kopyt, nieco dalej wiele drzew w lesie zostało wyciętych, a później pojawiły się pola z dawno już zebranych zbożem.

Hubert odruchowo sięgnął ręką do pasa, żeby upewnić się, że zarówno colt, jak i bagnet są na swoim miejscu. Przez ramię przewiesił karabin. Zerknął na Zużę, która miała rozmarzony wyraz twarzy, a we włosach stokrotki. Na grzywie Arki z kolei znajdowały się warkoczyki, również z wplecionymi kwiatami. Zdaniem Huberta obie: dziewczyna i klacz, prezentowały się co najmniej cudacznie, ale wolał, żeby wzbudzali wesołość niż wrogość.

Artur z kolei wyglądał na dość spiętego. Możliwe, że jako brat Mateusza jednak obawiał się spotkania z tym całym Prezydentem. Albo z tą swoją dziewczyną.

Naraz uwagę Huberta przykuły szczątki jakiejś metalowej konstrukcji na skraju jednego z pól.

– Wiesz, co to? – zainteresował się.

– Nie mam pojęcia. – Diuk pokręcił głową.

Na drodze przed nimi rozległ się stukot kopyt. Dwóch jeźdźców wyjechało im na spotkanie. Przybrali poważne miny, jeden oparł o ramię strzelbę, drugi położył dłoń na kolbie pistoletu za paskiem. Hubert przywołał na twarz uśmiech.

– Jak miło wreszcie spotkać ludzi! – zawołał wesoło, udając, że nie widzi broni. – Bo podróżując ciągle w tym samym towarzystwie, można świra dostać.

– Kim jesteście i czego tu szukacie? – zapytał jeden z jeźdźców.

– Nazywam się Hubert Sierpień. To jest Zuza. A Artura chyba znacie?

Pokręcili głowami.

– Ale ja znam Prezydenta – odezwał się Diuk. – Nieraz gościł w naszej osadzie. Teraz to my wpadliśmy w odwiedziny.

Mężczyźni porozumieli się spojrzeniem.

– Jeżeli chcecie jechać dalej, musicie oddać nam broń.

Hubert westchnął ciężko. Nie znosił tej części wizyt w obcych osadach. Bez karabinu i colta czuł się niemal nagi i nigdy nie miał pewności, że je odzyska.

Trochę z przekory, a trochę z ostrożności wyjął oba magazynki. Jeżeli miejscowym strzeliłby do głów jakiś głupi pomysł, wołał, żeby nie mieli amunicji do jego broni. On sam zaś niewiele mógł zrobić z samymi magazynkami, które schował do bocznych kieszeni spodni.

Artur tak samo postąpił ze swoją strzelbą. Miejscowi znacząco spojrzeli na bagnety przy ich paskach, ale nic nie powiedzieli. W tych czasach praktycznie każdy nosił przy sobie nóż.

Mrocza okazała się dużą osadą, ogrodzoną wysoką siatką zabezpieczoną na samej górze drutem kolczastym. Hubertowi ten widok od razu skojarzył się z więzieniem. Postawienie takich zabezpieczeń z pewnością wymagało olbrzymich

nakładów pracy i czasu, nawet jeśli źródło tych materiałów znajdowało się blisko wsi. Jeden z jeźdźców zeskoczył z konia i otworzył bramę. Gdy tylko ją przekroczyli, Sierpień poczuł na sobie zaciekawione spojrzenia. Ludzie powoli zaczęli wylegać z domów i ogrodów, żeby zobaczyć, kto do nich zawitał.

Przejechali do centrum osady. Jeden ze strażników kazał im zsiąść z koni i przywiązać je do małego płotka, drugi zaś wybrał się na poszukiwania Prezydenta. Wrócił z nim już po kilku minutach.

Widząc przywódcę Mroczy, Hubert uniósł w zdziwieniu brwi. Prezydent był stosunkowo młodym mężczyzną – mógł mieć około trzydziestki. Co prawda Artur przecież już wcześniej mówił, że jest mniej więcej w wieku Mateusza, ale dopiero teraz Sierpień zdał sobie sprawę z tego, że musiał objąć dowództwo nie ze względu na wiek, ale na umiejętności. Zresztą od razu dało się wyczuć bijącą od niego pewność siebie i siłę. Na sobie miał nieco wysłużone ubrania, pod którymi kryła się dobrze zbudowana sylwetka. Czarne włosy, ciemne oczy i kwadratowa szczęka jeszcze dodawały mu powagi.

– Artur! – zakrzyknął na widok przybyłych. – Jak miło cię widzieć!

Diuk podał mu dłoń, lecz Prezydent uściskał go, mocno poklepując chłopaka po łopatkach.

– Gdzie jest twój brat? Mam nadzieję, że... – zawiesił głos.

– Nic mu nie jest, przynajmniej z tego, co wiem.

– Jakieś dwa miesiące temu byliśmy w waszej osadzie. Co się stało? Puste domy, jeden spalony. Okropny widok. – Potrząsnął głową.

– Dezerterzy, głód, demony. – Diuk spuścił wzrok. – Tylko ja i Mateusz przeżyliśmy – dodał cicho.

– Przykro mi. A kim są twoi przyjaciele?

– Hubert i Zuza z Dąbrówki na północy – przedstawił ich.

Prezydent uściskał im dłonie. Miał w sobie coś takiego, że nie dało się go nie lubić. Dlatego też Sierpień postanowił bardzo uważnie go obserwować. Uważał, że po takich ludziach należy się spodziewać najgorszego.

Gospodarz zaprosił ich do siebie do domu, a wcześniej jeszcze kazał strażnikowi zaopiekować się ich końmi.

– Marta! Chodź, zobacz, kto przyjechał! – krzyknął, otwierając okno w salonie.

Później przyniósł z kuchni cztery kubki z kwasem chlebowym i poczęstował gości. Po chwili do salonu weszła młoda kobieta. Na widok Artura zrobiła wielkie oczy i stanęła jak wryta.

– Nie martw się, mojego brata tu nie ma – powiedział Diuk, a następnie serdecznie się z nią przywitał.

– Nie o to mi chodzi. – Potrząsnęła głową. – Po ostatniej wyprawie do was byłam przekonana, że już nigdy nikogo z was nie zobaczę. Myślałam, że... że wszyscy...

– Prawie wszyscy – przyznał ze smutkiem.

Usiedli za stołem i Artur pokrótce streścił to, co stało się z jego osadą. Hubert już raz słyszał tę historię z ust starszego z braci. Teraz doszedł do wniosku, że młodszy jeszcze bardziej przeżywał tragedię, która ich spotkała.

– A co was sprowadza tak daleko od domu? – zapytał w końcu Prezydent.

– Wybieramy się do Groty – odparł Hubert. – Wiecie, gdzie to jest?

Dowódca Mroczy pokręcił głową.

– Jeszcze kawałek za Łodzią. Niejaki Orłowski założył tam swoją jednostkę wojskową.

– Przykro mi, ale tak daleko zazwyczaj się nie wyprawiamy.

Sierpień podupadł na duchu. Miał nadzieję, że tutaj dowie się czegoś o Grocie i jej ludziach.

– Co was skłoniło, żeby jechać taki kawał? – zainteresował się Prezydent.

– Szukamy zdrajców i morderców – odezwała się Zuza.

Wszystkie oczy skierowały się na nią. Hubert kopnął ją pod stołem.

– Nie żartuj sobie – rzucił, siląc się na lekki ton. – Chodzi o to, że zaproponowali nam sojusz, a w dalekiej przyszłości handel, więc postanowiliśmy pojechać do nich na mały rekonesans.

– Handel? Tak daleko? – zdziwiła się Marta. – Musicie pochodzić z naprawdę wielkiej osady.

– Jest raczej mała, ale chodzi też o inne wsie. – Hubert podrapał się po krótko przystrzyżonej głowie, zastanawiając się, ile może zdradzić obcym.

– Niedawno mieliśmy wiec, na którym spotkały się wszystkie osady z północy – wypaplała Zuza. – A wy macie psy południcy w pobliskich lasach.

Przy stole zapadła cisza. Sierpień uderzył się dłonią w czoło. Akurat teraz musiało wziąć dziewczynę na szczerłość.

– Wiec? – powtórzył Prezydent.

– Spotkaliśmy się, żeby porozmawiać o handlu, wymienić się różnymi pomysłami – wyjaśnił Hubert.

– A te psy...?

– Południcy – dokończyła Zuza. – Kryją się pod ziemią, atakują na polach i w lasach. Rany po ich ugryzieniach bardzo źle się goją.

Gospodarze wymienili spojrzenia.

– Skąd o tym wiesz? – zapytała powoli Marta.

– Bo już nieraz je widziałam.

– Chodzi mi o to, skąd wiesz, że grasują w pobliskich lasach. Widzieliście je?

– Nie muszę ich widzieć, żeby wiedzieć, gdzie są.

– Zuza potrafi wyczuwać demony na odległość – przyznał z rezygnacją Hubert.

Takie rewelacje wolał zostawiać na dalszą rozmowę, jak już zaufa tym ludziom. Ale młodej Brzeskiej najwyraźniej włączył się tryb gadatliwości.

– Mieliście jakieś ataki? – zapytał Artur.

– Rozszarpały strażnika – przyznał Prezydent. – Mocno poraniły jedną kobietę. Na szczęście jej stan już się polepszył. Kilka z nich zabiliśmy. Mieliśmy nadzieję, że reszta się wyniesie...

Zuza pokręciła głową.

– Zostały.

Na moment zapadła cisza; każdy w spokoju trawił tę informację.

– A jak się ma Daria? – odezwał się wreszcie Artur, zmieniając temat. Nie dało się nie zauważyć, że cały się spiął, oczekując na odpowiedź.

– Daria? – Na twarzy dowódcy Mroczy pojawiło się zmieszanie, zupełnie jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że coś było pomiędzy nią a młodszym Diukiem. – Tak mi przykro...

Artur wyglądał, jakby ktoś spuścił z niego całe powietrze. Zgarbił się, a jego twarz poszarzała. Hubert niezgrabnie poklepał go po ramieniu.

– Zginęła wiosną – dodała Marta. – Zaatakował ją demon.

W pokoju zapanowała niezręczna cisza. Sierpień zaczął się obawiać, że Zuza zaraz znów palnie coś głupiego.

– Czy jest szansa, że ktoś oprowadzi nas po Mroczy? – zapytał. – Możemy wymienić się najróżniejszymi

doświadczeniami...

– Oczywiście. – Prezydent wstał. – Artur? Potrzebujesz chwili?

– Nie, idę z wami. – Pokręcił głową.

Wyszli na ulicę. Ich rozsiodłane konie pasły się w jednym z ogrodów.

– Nie mamy tu zbyt wielu atrakcji – podjął przywódca osady, obierając kierunek. – Jest nas pięćdziesięcioro troje, w tym siedmioro dzieci. Ten rok był dla nas dość łaskawy pod względem zbiorów. Nawet pszczoły narobiły mnóstwo miodu. – Machnął ręką w kierunku wzgórza za ogrodzeniem, gdzie stało kilkadziesiąt uli. – Więc jak będziecie chcieli pohandlować z nami, tego akurat mamy pod dostatkiem – dorzucił pół żartem, pół serio.

Mrocza okazała się osadą bardzo podobną do tych, które znał Hubert. Mieszkający tu ludzie usiłowali po prostu przetrwać w ciężkich czasach. Hodowali zwierzęta, uprawiali rolę, każdy miał swój ogród warzywny. Czerpali wodę ze studni oraz z pobliskiej rzeki. Prezydent z dumą wyjawiał, że są w trakcie budowy młyna do mielenia ziaren na mąkę. Przywódca osady sprawiał wrażenie, jakby szczególnie przed Arturem chciał pokazać, że Mrocza rozkwita pod jego rządami.

– Mieliśmy też genialny patent na oranie pola bez udziału zwierząt – westchnął.

– To znaczy? – zainteresował się od razu Hubert.

– A w sumie mogę wam pokazać. Tylko musimy wyjść za ogrodzenie.

– Dobrze by było odzyskać broń, skoro grasują u was psy południcy.

Prezydent znieruchomiał na chwilę, a później wybuchnął śmiechem.

– Masz absolutną rację! – powiedział. – Musimy więc odnaleźć strażników. Bo amunicję, jak widzę, to macie. – Spojrzał wymownie na wypchane boczne kieszenie spodni Huberta.

Kilkanaście minut później opuścili osadę. Sierpień od razu poczuł się lepiej, mając przy sobie colta i karabin. Co jakiś czas zerkał na Zużę, bacznie obserwując jej zachowanie, na razie jednak chyba się uspokoiła. Spróbował namierzyć psy południcy, ale znajdowały się daleko poza jego zasięgiem.

Prezydent zaprowadził ich do dużej metalowej konstrukcji, która stała na skraju jednego z pól, tuż pod lasem.

– I co o tym sądzicie? – zapytał gospodarz, opierając stopę o olbrzymie, leżące w trawie koło.

– Widziałem to, jak tu przyjechaliśmy, ale nie mam pojęcia...  
– zaczął Sierpień.

– Maszyna parowa. – Artur przykucnął przed urządzeniem.

– Bingo!

Hubert skrzyżował ramiona na piersi. Jemu maszyna parowa kojarzyła się tylko z pociągami. Po raz kolejny pożałował, że nie towarzyszy im Ernest. Przyjaciel na pewno z chęcią obejrzałby to ustrojstwo, mimo że wyglądało, jakby do niczego już się nie nadawało.

– Czym paliliście? – zainteresował się Diuk, okrążając ją.

– Na początku drewnem, próbowaliśmy też węglem, ale tego akurat mieliśmy mało. Co prawda nie była jakoś super wydajna, pracowała na dość niskich obrotach, ale oranie pola i tak szło o wiele sprawniej niż końmi. Nie wspominając już o ludzkim zaprzęgu! – zaśmiał się Prezydent. – Tu macie kocioł parowy. Specjalny suwak w środku przesuwiał się, dostarczając parę raz z jednej strony, a raz z drugiej, poruszając tłokiem. Ten z kolei wprowadzał w ruch koło

zamachowe. O, tutaj podpinaliśmy linę od pługą i jakoś to szło.

– A z drugiej strony pola?

– Drugie koło, przesuwane w poprzek.

– Genialne – westchnął Diuk.

– Drobne ułatwienie w życiu – odparł Prezydent, udając skromność.

– I co się stało? – wtrącił Hubert. W końcu maszyna była zniszczona.

– Przyszła wichura, przewróciło się drzewo. – Przywódca osady wskazał kikut pnia stojący nieopodal.

– I nie szło tego odbudować?

– Zniszczyło wiele drobnych elementów. Padł cały regulator odśrodkowy, który przy za dużych obrotach odcinał dopływ pary, żeby wszystko nie wybuchło. Części zaginęły, jakby ktoś je rozkradł...

– Skąd w ogóle mieliście te części? – Hubert machnął dłonią w kierunku maszyny.

– Ze starego skansenu w pobliżu. Musieliśmy wszystko rozebrać na miejscu i w częściach przewieźć tutaj. Całą akcję koordynowała Justyna. – Spojrzał na Artura. – Miałeś okazję ją poznać?

Diuk pokręcił głową.

– Kobieta miała łeb na karku. Tak genialnego inżyniera w życiu nie spotkałem. Po upadku tego przeklętego drzewa zapewniała nas, że da radę wszystko odbudować, choć będzie potrzebowała mnóstwa czasu i części.

– I co się z nią stało? – zapytał Hubert, choć tak naprawdę przeczuwał, jaka będzie odpowiedź.

– Wybrała się razem z Darią nad rzekę. Pomagały przy budowie młyna. Ale to była bardzo wczesna pora... Kiedy

pozostali przyszli na miejsce, znaleźli tylko zakrwawione szczątki.

Artur znowu zbladł.

– Ich śmierć była dla nas olbrzymim ciosem – dodał poważnym tonem Prezydent. – Kilka osób próbowało ogarnąć naprawę tej maszyny parowej, ale nikomu się nie udało. Trzeba mieć smykałkę do takich rzeczy.

Hubert westchnął ze zrozumieniem. Nie uważał się za człowieka głupiego, ale gdyby jemu kazali naprawić to ustrojstwo, nawet nie wiedziałby, w co ręce włożyć. Może Ernest jakoś by sobie z tym poradził, ale na pewno nie on.

Z zachodu zawiął lekki wiatr, niosąc ze sobą zapach demona. Kilka suchych liści potoczyło się po ziemi, drzewa zaskrzypiały, trawy się ugięły.

– Psy – odezwała się Zuza.

Sierpień też to poczuł, na samej granicy zmysłów. Z sekundy na sekundę zapach stawał się coraz wyraźniejszy. Demony się zbliżały.

Hubert sięgnął po karabin, przyłożył go do ramienia i odbezpieczył, celując między drzewa.

– Co się dzieje? – zapytał Artur.

– Nadchodzą – powiedziała cicho Zuza.

Sierpień miał kotłowaną myśl. Głód i złość, adrenalina uderzająca do głowy. Trzask przeładowywanej strzelby, słodki zapach ludzi, niepewność, bo stado było niepełne, szelest trawy gniecionej pod butem, ziemia uciekająca spod łap.

– Przygotujcie się; psy południcy zaraz tu będą – powiedział Hubert, nie odrywając wzroku od lasu.

– Widzicie to? – odezwał się Artur. – Jakaś mgła nad polem...

Łowca jednak nie obejrzał się za siebie, gdyż właśnie wtedy między drzewami rozległo się ujadanie.

– Cholera! – zaklął Prezydent, szarpiąc się z kaburą.

Hubert położył palec na spuście, wziął głęboki wdech i powoli wypuścił z płuc powietrze. W oddali dostrzegł cień, ale ten był jeszcze zbyt daleko, żeby oddać celny strzał. Artur zaczął mamrotać pod nosem przekleństwa; przywódcy Mroczy wreszcie udało się wyciągnąć pistolet.

– Zuza! – warknął Sierpień. – Za mnie!

Kątem oka zobaczył, jak dziewczyna się cofa.

Nagle zza najbliższego drzewa wypadł wielki, czarny pies. Obnażył wszystkie zęby i odbił się od ziemi, zostawiając w niej głębokie bruzdy. Łowca nacisnął spust. Huknęło, w powietrze wyleciała błyszcząca łuska. Demon zaskowyczał i padł martwy.

Tuż obok rozległ się kolejny strzał. W jednym z drzew powstała poszarpana dziura, jasne drzazgi posypały się na ziemię. Artur zaklął i strzelił ponownie, tym razem raniąc jednego z psów. Z lewej strony wypadł następny demon, którym z kolei zajął się Prezydent.

Hubert postąpił naprzód i dobił tego, którego ranił Diuk. Naraz wyczuł kolejnego psa. Gwałtownie się odwrócił, lecz to, co zobaczył, sprawiło, że na chwilę zamarł. Demon wypadł wprost na Zużę. Dziewczyna, zachowując zupełny spokój, wystawiła wskazujący palec i syknęła cicho, jakby właśnie strofowała Klakiera. Demona dosłownie sparaliżowało. Gwałtownie się zatrzymał, nadal szczerząc zęby i jeżąc sierść na karku.

Sierpień oprzytomniał dopiero po dwóch sekundach i zastrzelił go, zanim ten rzucił się na Zużę.

Wokół nich zapadła cisza, choć w uszach jeszcze pobrzmiwał im huk.

– To wszystkie? – zapytał nienaturalnym głosem Artur.

Hubert skinął głową, nie odrywając wzroku od siostry Ernesta, która podeszła do martwego demona i przykucnęła

przed nim.

– Co za wredne bestie – sapnął Prezydent, pochylając się nad tym, którego zabił.

– Co to miało być? – syknął Sierpień, podchodząc do dziewczyny.

Podniosła bladą twarz. W tej chwili jej oczy miały ciemnozielony kolor i sprawiały wrażenie, jakby potrafiła przeświecić go na wylot.

– Jak go zatrzymałaś?

Powoli wzruszyła ramionami.

– Przecież stanął jak wryty!

– Nie wiem – szepnęła. – Ja... po prostu...

Podał jej rękę i pomógł wstać.

– Później sobie o tym pogadamy – syknął jej do ucha. – Gdzie palicie demony? – zwrócił się do Prezydenta.

– Co? – Ten spojrzał na niego nieprzytomnie.

– Macie chyba specjalne miejsce, żeby pozbyć się truchel?

Mężczyzna pokręcił głową.

– To najwyższa pora, żebyście je sobie zorganizowali. A zalecam je palić, bo niektóre potrafią się odrodzić.

– Żartujesz sobie? – zapytał niepewnie przywódca Mroczy.

– Chciałbym.

Prezydent po raz ostatni spojrzał na demony, jakby musiał się upewnić, że istniały i już były martwe, po czym wyprostował się i odchrząknął.

– Wróćmy do wsi; zaraz znajdę ludzi, którzy się zajmą budową stosu – zdecydował, używając tonu pewnego siebie przywódcy.

Ruszyli ku osadzie. Świat wokół nich zdawał się wrócić do normalności. Coś zaszeleściło w ściółce, gdzieś w oddali rozległ się tętent spłoszonej zwierzyny, wysoko w gałęziach zaświergotały ptaki.

– Siedem – odezwała się Zuza.

– Co? – zdziwił się Hubert.

– Ich wataha zawsze liczy siedem osobników.

– Właśnie o to chciałem pytać – powiedział nieco zaskoczony Prezydent. – To by się zgadzało. Wcześniej zabiliśmy tylko trzy, dziś cztery. Czyli chyba możemy spać spokojnie? Więcej już ich nie będzie?

– Wykończyliśmy tylko tę jedną watahę, diabli wiedzą, czy w okolicy nie ma następnej. Albo w ogóle innych demonów – powiedział Sierpień.

Gospodarz skinął głową; najwyraźniej taka odpowiedź go satysfakcjonowała.

Brama do wsi była otwarta na oścież, strażnicy gdzieś się zapodziali. Huberta trochę to zaskoczyło. Po co wznosić takie wysokie ogrodzenie, skoro nikt nie pilnuje wejścia do wsi? Po minie Prezydenta wnosił, że nie była to normalna sytuacja.

Łowca nie wyczuwał już żadnych demonów. Zerknął dyskretnie na Zuzę, ale tylko pokręciła głową.

W tej samej chwili zza najbliższego zakrętu wypadł zdyszany strażnik.

– Słyszeliśmy strzały! – sapnął.

– Tak, już sobie poradziliśmy – odparł z przekąsem Prezydent. – Co tu się dzieje? Dlaczego brama jest otwarta?

– Konrad... – zaczął mężczyzna. – Konrad chyba miał zawał.

Przywódca Mroczy zaklął pod nosem.

– Gdzie on teraz jest?

– Zanieśli go do domu.

– Muszę was zostawić. – Prezydent zwrócił się do swoich gości. – Idźcie, proszę, do mojego domu i czujcie się jak u siebie. Ty – spojrzał na strażnika – przyślij do mnie Karola i Fabiana. A potem stań na warcie przy tej przeklętej bramie.

Dziesięć minut później Hubert zaczął krążyć po skromnej kuchni. Był przyzwyczajony do spędzania czasu w obcych domach, ale tamte zawsze były opuszczone, a tu po prostu gospodarze wyszli. Nie była to komfortowa sytuacja.

– Za dużo atrakcji jak na jeden dzień – sapnął, siadając na krześle.

Nikt mu nie odpowiedział. Zuza siedziała wyprostowana z zamkniętymi oczami, sprawiając wrażenie, jakby spała. Artur z kolei zwiesił głowę i nerwowo stukał stopą w podłogę.

– A ty jak się trzymasz? – zapytał go Sierpień.

Diuk podniósł na niego spojrzenie, po czym wzruszył ramionami.

Hubert nawet nie wyobrażał sobie, co sam mógłby czuć, gdyby pewnego dnia zajechał do Świącina i dowiedział się o śmierci Izy. Doskonale za to wiedział, jak wpłynęła na niego wieść o śmierci Beaty z Gdańska.

– Chcesz pogadać? – Miał szczerą nadzieję, że odpowiedź będzie odmowna.

Artur przetarł dłonią twarz.

– Nie byliśmy bardzo blisko... To znaczy byliśmy, ale... – zawiesił głos. – Nie wiem, dość poważnie myślałem o tym, żeby wyprowadzić się od nas i zamieszkać tutaj, w Mroczy. Nigdy nie mówiłem o tym bratu, ale... To jest bez sensu – sapnął i odwrócił głowę, starając się ukryć fakt, że jego oczy zawilgotniały.

– Pewnie Mateusz nie byłby zachwycony, gdyby usłyszał o takich planach?

– Wpadłby w furję! – zaśmiał się ponuro Artur. – I za każdym razem, kiedy Daria przejeżdżała przez naszą wieś, obiecywałem sobie, że następnym razem jej o tym powiem, a później postawię brata przed faktem dokonanym. I zawsze to odwlekałem. Zawsze wypadało coś, co mi w tym przeszkodziło.

Teraz jest zima, nie czas na przeprowadzki; mieliśmy kiepski rok, trzeba pomóc swoim, a nie ich zostawiać; Mateusz zachorował, więc musiałem zostać przy nim.

Hubert pokiwał głową. W pewnym sensie i on stał na rozdrożu pomiędzy Dąbrówką a Święcinem.

– A teraz się zastanawiam, czy gdybym przyjechał z nią tutaj, może wszystko inaczej by się potoczyło. Może nie poszłaby wtedy do tego młyna i żyła do tej pory.

– A może to ty byś z nią tam poszedł i również zginął – odparł Hubert. – Tego nigdy się nie dowiesz, nie ma co gdybać. – Jego wzrok padł na prawie pełną butelkę stojącą na blacie. – A, w dupę. Zabiliśmy im cztery psy południcy, coś się nam za to należy.

Wyjął korek i nalał czerwonego wina do dwóch kubków. Ten większy podał koledze.

– Zuza? – zapytał, sięgając po kolejne naczynie.

– Myślisz, że właśnie tego potrzeba mi do szczęścia? – odparła, nie otwierając oczu.

– Nie to nie – mruknął, jak zwykle starając się ignorować jej dziwactwa.



Gospodarz wrócił do domu dopiero wieczorem.

– Naprawdę was przepraszam, że tyle to trwało – zaczął na wstępie. – O, widzę, że degustujecie moje wino?

Hubert speszył się odrobinę.

– Poczekajcie, zaraz przyniosę to z jabłek. Powiecie, które lepsze. Ale najpierw pora na kolację.

Kilkanaście minut później przeszli do salonu z nową butelką.

– Co za dzień! – westchnął ciężko. Naraz wydał im się znacznie starszy niż w rzeczywistości.

– Jak się czuje...? – zaczął Artur, ale chyba nie mógł przypomnieć sobie imienia człowieka, o którego chciał zapytać.

– Konrad? Nie żyje. – Gospodarz pokręcił głową. – Nasz lekarz mówi, że to był zawał. Facet był w podeszłym wieku, nie oszczędzał się. A dziś poszedł na pole i cóż, trafiło go. Ale jest to dla nas naprawdę wielka strata.

– Czy to możliwe, że przestraszyły go nasze strzały? – odezwał się Hubert.

– Nie sądzę. To był twardy, nielekliwy człowiek. Coś takiego by go nie wykończyło. A tak na marginesie, muszę podziękować wam za zabicie tych psów, bo chyba nie zrobiłem tego od razu. Tak podejrzewaliśmy, że zaatakują w najmniej spodziewanym momencie. Dobrze, że byliśmy uzbrojeni.

Rozmawiali do późna w nocy. Niechęć, którą Hubert czuł wcześniej do Prezydenta, ulotniła się. Cóż, łowca nigdy nie twierdził, że jest dobry w odgadywaniu intencji innych osób. Zresztą kiedy wspólnie pokona się demona, między ludźmi zaczyna wytwarzać się pewna nić porozumienia, doświadczył już tego nie raz.

Gospodarz opowiedział im więcej o swojej osadzie, a oni z kolei pokazali mu na mapie, gdzie znajdują się ich domy, i zapewnili, że mieszkańcy Mroczy zawsze będą tam mile widziani.



Hubert wstał z samego rana, a i tak się okazało, że zarówno Zuza, jak i Artur byli już na nogach.

– Jesteś pewien, że chcesz jechać dalej z nami? – zapytał Diuka.

– A co innego miałbym zrobić?

– Możesz zostać tutaj. To Mrocza była twoim głównym celem. Możemy się umówić, że Zuza i ja odnajdziemy tę Grotę i w drodze powrotnej choćby na kopniakach przyprowadzę tutaj twojego brata. I razem zadecydujecie, gdzie chcecie mieszkać.

– Chciałem tu przyjechać tylko ze względu na Darię – odparł Artur, pakując swoją torbę. – Gdy jej zabrakło, nic mnie tu nie trzyma. Co prawda możemy odwiedzić Prezydenta w drodze powrotnej, ale nasz dom jest teraz w Świącinie.

Hubert więcej nie dyskutował. Może wcześniej nie marzył o towarzystwie młodszego Diuka podczas wyprawy, ale ten już zdążył udowodnić, że nie jest taki bezradny, jak się wcześniej zdawało.

– Jeżeli zaraz nie wyjedziemy, to Klakier wpadnie tu z wizytą – odezwała się Zuza.

– Jeszcze tego nam brakowało – burknął Sierpień. – Bierzcie swoje rzeczy i wymarsz.

Osiodłali konie, które ewidentnie wypoczęły od poprzedniego dnia i były już gotowe ruszać w dalszą drogę. Prezydent odprowadził ich pod samą bramę.

– Miło było was poznać – powiedział, ściskając każdemu z nich dłoń. – Jak tylko będziecie w okolicy, odwiedźcie nas.

Hubert wyjął z kieszeni metalowy liść dębu zawieszony na długim rzemyku.

– Byłbym zapomniał! Na razie to taka trochę prowizorka, ale jak będziecie kiedyś na północy, wystarczy, że pokażecie to

w którejkolwiek z osad, a ugoszczą was jak swoich.

Prezydent z wdzięcznością przyjął prezent.

– Do zobaczenia, mam nadzieję, że wkrótce! – zawołał, kiedy wsiedli na konie i opuścili Mroczę.

Odmachali mu na pożegnanie i popędzili wierzchowce do kłusu. Noc w bezpiecznych łózkach również im była najwyraźniej bardzo potrzebna i choć nie spali zbyt długo, wszyscy wyglądali na wypoczętych.

Hubert miał nadzieję, że przez to zboczenie z trasy nie stracili zbyt wiele czasu do przyjaciół. Przekonywał siebie, że oni również mogli zrobić sobie dłuższą przerwę gdzieś na szlaku, żeby odpocząć, ale nie wiedział, czy tylko się nie łudzi.

Wieczorem zatrzymali się w małym domku na uboczu wsi. Co prawda był w dość kiepskim stanie, ale na obcym terenie nie mieli co wybrzydzać w kwestiach noclegowych. Niestety budynek nie miał żadnego kominka, więc żeby napić się czegoś ciepłego do kolacji, musieli rozpalić ognisko w ogródku. Artur zaoferował, że przyniesie więcej drewna, i udał się do pobliskiego lasu.

– Zuza? – odezwał się Hubert, przycupnąwszy na starym wiadrze.

– Hm? – mruknęła cicho, głaszcząc Klakiera, który ułożył się na jej kolanach.

– Mam pytanie. Tylko proszę, nie zbywaj mnie, ale dobrze zastanów się nad odpowiedzią. Co tak naprawdę stało się wtedy z tym psem południcy?

Przez chwilę nie reagowała, a jej dłoń wciąż mechanicznie przesuwiała się po lśniącem czarnym futrze.

– Nie miałam przy sobie żadnej broni – odezwała się w końcu. – A on pędził wprost na mnie. To był odruch... Po prostu kazałam mu się zatrzymać. A on to zrobił.

– Tylko że demony zazwyczaj nie wykonują rozkazów ludzi – odezwał się. – Nawet on ma z tym problemy. – Wskazał brodą Klakiera.

– Wydaje mi się, że ten pies był tak samo zaskoczony jak ja. I tylko dlatego to podziałało.

– Szkoda – westchnął. – Dobrze byłoby mieć świadomość, że potrafisz zatrzymać atakującego demona. Mogliśmy to wypróbować na tamtej strzydze, która chciała mnie wypatroszyć.

Klakier uniósł nieco łeb i spojrzał na niego leniwie czerwonymi ślepiami.

– Wydaje mi się, że jest coś innego, co powinno zainteresować cię bardziej – odezwała się po chwili Zuza.

– To znaczy? – Zmarszczył brwi.

– Co z tamtym człowiekiem, który zmarł na zawał?

– A co ma być? Takie rzeczy się zdarzają.

– Podczas ataku psów południcy?

– O to ci chodzi? – parsknął cicho. – Z tego, co pamiętam, południca wywoływała udar słoneczny.

– A zawału nie?

– Może, ostatni raz czytałem demonologię dość dawno temu, ale nic takiego nie pamiętam.

Zuza skinęła głową i wyjęła z futra owinnika kilka świerkowych igieł.

– To akurat musiał być zwykły przypadek – dodał Hubert.

– Dobrze.

– Zresztą... Demony powodujące taką śmierć? Nie wydaje mi się.

– Niektóre potrafią wywołać halucynacje – przypomniała mu.

Sierpień już otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale do ogrodu właśnie wszedł Artur, ciągnąc za sobą wielką stertę gałęzi.

– W tamtym lasku jest mnóstwo grzybów – sapnął, siadając na ziemi. – Można by ich trochę nazbierać i wrzucić do jakiegoś gulaszu, jak macie ochotę.

Hubert już chciał zaprotestować, że nie mają czasu na takie rzeczy, ale uprzytomnił sobie, że każde urozmaicenie w diecie podróźnej było mile widziane. Tym bardziej że zapasy, które dostali w Świecinie, były już prawie na wykończeniu.

– To co, idziemy, zanim się ściemni? – Wstał z wiaderka i złapał je za ułamaną rączkę.

Zuza ostrożnie zdjęła z kolan Klakiera, który mruknął niezadowolony, po czym zwinął się w kłębek na miękkiej trawie.

Uzbierali całkiem sporo grzybów, które czyścili przy ognisku do późnej godziny.

W pewnym momencie usłyszeli gniewne poburkiwanie. Hubert od razu poderwał się na równe nogi, upuszczając borowika, którego akurat kroił. Przez chwilę uważnie nasłuchiwał, ale szybko doszedł do wniosku, że to zwykły dzik, niezbyt zadowolony z faktu, że w okolicy pojawili się ludzie.

– Teraz to my jesteśmy obcy w opuszczonych miastach i wsiach – powiedział, siadając.

Jakby w odpowiedzi, usłyszał odległe szczekanie dzikich psów, a w lasku rozległ się głuchy tętent kopyt. Konie podróżników nerwowo zastrzygły uszami.

– Nic się nie dzieje – rzucił uspokajająco w ich stronę Sierpień.

Mimo wszystko Mokka podeszła do niego i trąciła go chrapami w ucho. Przy okazji przewróciła wiaderko z resztą grzybów.

– Uciekaj, bo bałaganisz. – Poklepał ją lekko w pysk.

Gdzieś z okolic dachu domu doleciał do nich ochrypnięty gwizd.

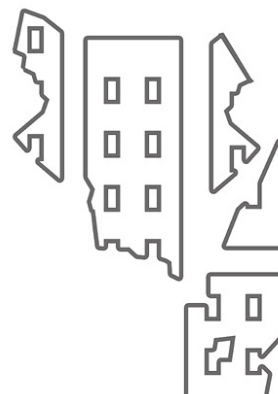
– O, kolejna zguba się znalazła – rzuciła Zuza.

– Przy nim przynajmniej nie muszę się martwić, że wparuje do obcej osady jak do siebie – odparł uszczypliwie Hubert.

Pokrojone grzyby sparzyli wrzącą wodą, szczelnie zamknęli w znalezionym garnku i zostawili na dworze w takim miejscu, żeby nie dobrały się do nich zwierzęta, po czym poszli do domu. Klakier oczywiście pierwszy wpakował się na łóżko Zuzy i rozłożył na samym środku.

– Ale kiedy ja chciałem z tobą spać którejś zimy, kiedy było tak lodowato, to nie. – Hubert pstryknął go w ucho, czym zasłużył sobie na ugryzienie w palec. – Wstrętny pchlarz – skwitował.





## Rozdział XI

Hubert miał wrażenie, jakby znalazł się w tanim horrorze jeszcze sprzed ostatniej wojny.

– Kogoś tu naprawdę posrało – odezwał się.

Wszędzie wokół zwisały z gałęzi drzew dziwne symbole. Niektóre były uplecione z trawy i patyczków, inne ze sznurków i metalowych czy plastikowych elementów. Sierpień wyciągnął rękę w górę i zerwał jeden z nich.

– Co to jest? – Artur zrównał swojego konia z Mokką.

– Diabli wiedzą. – Hubert obrócił w dłoni małą „ozdobę” z piór, patyczków i niewielkich kostek, możliwe, że ptasich. – Trochę to upiorne.

Nawet wierzchowce zdawały się bardziej nerwowe.

– Ale komu by się chciało wieszać aż tyle tego? – Diuk powiódł wzrokiem dookoła.

Rzeczywiście cały las był ustrojony takimi dekoracjami. Niektóre wyglądały na nowe, inne z kolei musiały wisieć tutaj już kilka dobrych lat.

Drzewa były wysokie, a ich korony gęste. Gdy zaś granatowe chmury przesłoniły słońce, w lesie zapanował półmrok. Hubert poczuł nieprzyjemny dreszcz przebiegający przez ciało. Dziesiątki razy stawał naprzeciw groźnym ludziom i krwiożerczym demonom, teraz jednak nie miał pojęcia, w obliczu czego się znalazł. A to okazało się bardzo niepokojące.

– To miejsce jest złe – szepnęła Zuza.

– Myślicie, że jakaś osada tak się zabezpieczyła? – zastanowił się Artur.

Hubert pokręcił głową. Przed chwilą sprawdzał mapę. Najbliższa miejscowość znajdowała się dopiero za kilkanaście kilometrów.

– Jesteśmy w samym środku niczego – odezwał się. – A wątpię, czy komukolwiek chciałoby się przystrajać las tak daleko od osady.

Im bardziej zagłębiali się w bór, tym więcej rzeczy wisiało na drzewach. Stawały się też coraz straszniejsze. Diuk bezgłośnie wskazał palcem nogę sarny przywiązaną do gałęzi. Sierść i skóra były miejscami zjedzone przez ptaki i robactwo, oczom wędrowców pokazała się szara kość.

– Krew. – Zuza wpatrywała się w pień drzewa, na którym widniała wielka, brązowa plama.

– Może nie... – Sierpień zeskoczył z konia i ostrożnie powąchał korę. Nie wyczuł zapachu krwi, ale przecież była już mocno wyschnięta.

Na innym pniu z kolei widniały wielkie bruzdy przypominające ślady pazurów. Hubert również im się przyjrzał, ale mógł je zostawić tutaj jakikolwiek demon.

– Nie chcę być złym prorokiem – odezwał się Artur. – Ale mam wrażenie, że coraz bardziej zbliżamy się do centrum tego... czegoś.

Z każdym ich kolejnym krokiem ozdoby z patyków i trawy były coraz częściej zastępowane takimi z kości. Jedna z nich w szczególności przykuła uwagę Huberta.

– To mi wygląda na ludzki piszczel. – Diuk na głos wypowiedział jego obawy.

Włoski na karku łowcy stanęły dęba.

– Niektóre zwierzęta mają podobne – odezwał się niezbyt pewnym tonem.

Od czasu ostatniej wojny nieraz sprawił zwierzynę, jednak minęło wiele lat, odkąd ostatni raz widział model ludzkiego szkieletu w książce.

– Zuza, czujesz jakieś demony? – zapytał.

Trupio blada dziewczyna pokręciła głową.

– Nawet Klakier i Platon nie chcieli zbliżyć się do tego miejsca – powiedziała.

Hubert podrapał się po brodzie. Najkrótsza trasa do Groty wiodła właśnie przez ten las. Gdyby chcieli go ominąć, straciliby mnóstwo czasu. Jeżeli ich przyjaciele jechali tą samą trasą, a tak przecież zakładał ich plan, podążali dalej, nie zważając na dziwne ozdoby, czy jednak zawrócili?

A jeśli nie zawrócili, to czy wpadli w pułapkę tych wariatów, którzy zabawili się w makabrycznych dekoratorów?

– Sprawdźmy jeszcze kawałek – odezwał się. – Może po prostu zaraz to wszystko miniemy. No i większość tych rzeczy wydaje się stara, ludzie, którzy je zawiesili, mogli już dawno się stąd wynieść.

– Trafimy na kanibali. Zobaczycie, to na pewno będą kanibale – powiedział Artur.

– Mając pod ręką lasy pełne dzikiej zwierzyny, a tak mało ludzi, raczej trudno zostać kanibalem – uzmysłowił mu Hubert.

– Trudno to było zbudować piramidy, a i tak to zrobili.

Na to Sierpień już nie miał odpowiedzi. Znał ludzi, którzy usiłowali ułożyć sobie życie po wojnie i posunęliby się do naprawdę złych czynów, żeby tylko bronić najbliższych. To było dla niego oczywiste. Podobnie jak zachowanie dezertersów, którzy napadali na bezbronne wsie, żeby ograbić je z żywności. Nie pochwalał tego, ale był w stanie zrozumieć, co napędzało takie osoby. Tutaj jednak mierzył się z czymś zupełnie obcym i niepojętym. A najgorsze, że potrafił dostrzec pewien zamysł upiornego artysty. Ile godzin musiał poświęcić, aby skonstruować tyle ozdób, i to w tak misterny sposób? To wszystko nie było przypadkowe.

Naraz poczuł wywołujący mdłości smród zepsutej krwi. Do jednego z pni została przybita głowa sarny. Posoka, zanim zaschła, ściekła do samej ziemi, wyznaczając krwawe ścieżki na korze. Po drugiej stronie drogi zaś w podobny sposób ktoś zawiesił na kolejnym drzewie łeb psa. Wszędzie wokół latały roje much, siadały na martwych zwierzętach, czerwono-brunatnych plamach na drzewach, a po chwili zaczęły przenosić się na podróżników. Kąsały odkrytą skórę, plątały się we włosach, bzyczały przy uszach, wchodziły koniom do oczu.

Tego było już za wiele. Ludzie różnie traktowali zwierzęta domowe, ale z takim okrucieństwem Hubert jeszcze się po wojnie nie spotkał. I o ile łeb sarny mógł być trofeum po polowaniu, o tyle nie rozumiał, kto mógłby potraktować tak psa.

Sierpień spojrzał na towarzyszy. Artur zrobił się zielonkawy na twarzy, jakby zaraz miał wymiotować. Zuza trzęsła się jak w febrze.

– Zawracamy – zdecydował.

Konie aż nazbyt ochoczo ruszyły w drogę powrotną. Hubert czuł bijące w przyspieszonym tempie serce, jego dłonie

zaciśnięte na wodzach drżały lekko, co chwilę oglądał się za siebie, mając wrażenie, że ktoś ich goni. Ledwie się powstrzymywał, żeby nie pogonić Mokki do galopu.

Droga powrotna zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Wciąż towarzyszyły im dziwaczne ozdoby, co prawda były coraz mniej makabryczne, ale Hubert miał wrażenie, że zdążył już cały przesiąknąć zapachem zepsutej krwi i podążały za nimi całe roje much.

Coś zaszeleściło w zaroślach po prawej stronie. Artur błyskawicznie sięgnął po karabin i wycelował w tamtą stronę. Rozległ się ogłuszający huk. Przestraszona Mokka przysiadła na zadzie. Z krzaków wystrzelił lis i popędził głęboko w las.

– To teraz wiedzą już, że tu jesteśmy – rzucił z przekąsem Sierpień.

Artur zrobił przeproszającą minę i opuścił lufę strzelby.

– Poniosło mnie – powiedział cicho.

Hubert skinął głową. W to akurat mógł uwierzyć. Rzucił spojrzeniem za siebie na pustą drogę, zlustrował las po jej obu stronach, lecz nic go nie zaalarmowało.

– Po prostu wynieśmy się stąd – mruknął.

Wiedział, że jeszcze chwila, a i jemu puszczą nerwy.

Odetchnęli z ulgą dopiero, gdy wyjechali z gęstego lasu i zatrzymali się na rozległej polanie porośniętej niskimi jeszcze samosiejkami. Słońce nadal kryło się za chmurami, ale i tak świat tutaj wyglądał na o wiele bardziej pogodny i przyjazny.

Przejechali jeszcze kilkadziesiąt metrów, żeby oddalić się od granicy ciemnego boru. Stąd też mieli dobry widok, czy coś czasem nie podążyło za nimi.

Zsiedli z koni i popuścili im popręgi.

– Co teraz? – zapytał Artur, biorąc solidny łyk wody ze swojego bukłaka.

Hubert wyjął odpowiednią mapę i rozłożył ją na dużym kamieniu. Ołówkiem zaznaczył las, z którego właśnie uciekli. „Banda psychopatów?” – napisał tuż obok.

– Jeżeli pojedziemy na przełaj przez to pole – spojrzał przed siebie – to powinniśmy trafić na tę drogę. – Postukał ołówkiem w odpowiednie miejsce. – Później tędy i tędy i ominiemy to przekłete miejsce. Mam nadzieję, że ta wieś będzie już bezpieczna. W końcu jest dość daleko.

Pozwolili sobie i koniom na chwilę wytchnienia, ale nie siedzieli zbyt długo na polanie. Cała trójka chciała opuścić to miejsce najszybciej, jak to tylko możliwe.



Noc zastała ich w drodze. Do najbliższej opuszczonej wsi nadal było zbyt daleko, żeby liczyć na łóżko pod dachem.

– Zostajemy tutaj? – zaproponował Hubert, rozglądając się po sosnowym lasu.

– Nie bardzo mamy inne wyjście – odparł Artur.

– Na wszelki wypadek ustalimy warty na całą noc. Niby jesteśmy kawał drogi od tamtego lasu, ale lepiej dmuchać na zimne. I nikt się nie oddała; zostajemy w zasięgu głosu.

Zuza i Diuk pokiwali głowami.

Szybko przygotowali obozowisko, zadbali o konie i przypalili je tuż obok ogniska. Na wszelki wypadek woleli, żeby były niedaleko.

Hubert przez dłuższy czas zastanawiał się, czy w ogóle powinni rozpalać ogień, ale ostatecznie uznał, że zapowiadało się na chłodną noc i dobrze byłoby zjeść przed nią coś ciepłego. A niewielki płomień nie będzie zbyt widoczny.

Zuza przygotowała na szybko potrawkę, która niestety wyszła trochę bez smaku, ale po wrażeniach tego dnia niezbyt się tym przejmowali.

Kiedy nakładała jedzenie do misek, w cieniu błysnęły czerwone oczy i po chwili do ogniska zbliżył się Klakier. Obecność owinnika była dla nich w jakiś sposób pocieszająca. Chwilę później między drzewami usłyszeli cichy gwizd.

Pierwszą wartę objął Artur. Hubert miał wrażenie, że tylko przymknął oczy, a kolega już go obudził.

– Coś się działo? – zapytał szeptem, przecierając twarz.

– Słyszałem tylko ryczące jelenie, poza tym cisza i spokój.

Sierpień wygrzebał się ze śpiwora i zarzucił na plecy bluzę od munduru. Noc rzeczywiście była chłodna. Dołożył grubszą gałąź do ognia i oddalił się od niego kilkanaście kroków. Artur właśnie kładł się do snu, po drugiej stronie Zuza, zwinięta w kłębek, tuliła się do Klakiera.

Platon zagwizdał niepewnie tuż nad głową Huberta, jakby chciał zapytać, co się dzieje.

– Wszystko w porządku – powiedział cicho łowca.

Postukał palcami w chłodny metal karabinu przewieszzonego przez ramię. W lesie przed nim panowały egipskie ciemności, ale miał przecież jeszcze kilka innych zmysłów, żeby wyczuć zagrożenie. Wsłuchał się w odgłosy nocnego polowania różnych zwierząt, które po zmroku wyszły na żer. Później nastawił swój radar na demony. Wyczuł leszego na drzewie i owinnika przy ognisku, a gdy bardziej się skupił, namierzył w oddali borutę. Było to jednak na tyle daleko, że nie musiał się nim martwić. Po raz kolejny pożałował, że nie potrafi w taki sam sposób wyczuwać ludzi. O ile ułatwiłoby mu to życie!

Powoli, starając się nie wywoływać żadnych hałasów, okrążył obozowisko, trzymając się tuż poza granicą terenu

oświetlonego przez wątłe płomienie. Dołożył do ognia kolejną gałąź, a później usiadł pod drzewem w mroku, wciąż nasłuchując. Gdzieś całkiem blisko odezwał się basowym rykiem jeleni, nawołując partnerkę.

Kiedy skończyła się jego warta, delikatnie obudził Zuzę. Teraz nie było czasu na męską uprzejmość, zresztą dziewczyna nie narzekała, że też musi przypilnować ogniska. Zdawała sobie sprawę z tego, że Hubert również powinien się wyspać, żeby za dnia być w stanie bronić ich przed wszystkim, co mogło na nich czekać.

Równo o świcie obudziła go krzątająca przy ognisku. Otworzył jedno oko i zobaczył Zuzę odgrzewającą potrawkę z poprzedniego dnia. Kiedy z kolei dotarł do niego zapach jedzenia, głośno zaburczało mu w brzuchu.

Klakier krążył wokół ogniska, jakby to właśnie dla niego był przygotowywany posiłek.

– Idź polować. – Hubert rzucił w niego szyszką.

Owinnik zgrabnie odskoczył i prychnął na niego ze złością.

– Skoczysz po wodę? – poprosiła Zuza.

Sierpień z ciężkim westchnieniem zwlekł się z pośłania, wziął plastikową butelkę i bukłaki, po czym udał się w stronę strumienia, który – według tego, co wyczytał z mapy – przepływał w pobliżu. Woda w nim okazała się czysta i lodowata. Hubert napełnił wszystkie pojemniki, po czym sapiąc z zimna, podjął się dokonania pobieżnej kąpieli.

Choć jego mundur już dawno temu potrzebował porządnego prania, łowca do obozowiska wrócił, czując się świeżo i czysto. Senność też gdzieś zniknęła.

Zuza podała mu miskę z parującą potrawką i zagotowała wodę na herbatę z ziół.

– Teraz wczorajszy dzień wydaje się jakiś taki nierealny – odezwał się Artur, jedząc.

Sierpień pokiwał głową. Miał takie same odczucia. Groza wywołana podejrzanymi amuletami wiszącymi na drzewach się ulotniła, wspomnienie o psiej i sarniej głowie przybitych do drzew zbladło. Trudno było się tym bardzo przejmować po spokojnej nocy, kiedy słońce wyszło zza chmur, zapowiadając pogodny dzień bez niemiłych niespodzianek.

Po południu dotarli do wsi. Wyglądała jak każda inna opuszczona miejscowość: porzucone samochody z wybitymi szybami i rdzewiejącą karoserią, zarośnięte ogrody, domy do czysta uprzątnięte przez szabrowników, kości bielejące po ulicach, kościółek z drewna z zapadniętym dachem, sklep wiejski z wybitymi szybami.

Gdy tylko wieś pojawiła się na horyzoncie, Hubert skupił niemal całą swoją uwagę na śladach widniejących na ziemi. Widział najróżniejsze tropy: dzików, saren, lisów, psów, a nawet kotów. A skoro miejsce to odwiedzało tyle zwierząt, istniało nikłe prawdopodobieństwo, że w niedalekiej przeszłości pojawili się tu ludzie. Mógł więc spokojnie założyć, że wariaci z lasu nie zapuszczali się aż tutaj.

– Co wy na to, żeby zatrzymać się na noc w tej wiosce? – zaproponował.

Zuza wskazała słońce, które dopiero co minęło zenit.

– Wiem, że jest jeszcze wcześniej, ale sama mówiłaś, że nasze zapasy mięsa są na wyczerpaniu. Mógłbym iść na polowanie i je uzupełnić.

– Nie narzekałbym na świeże mięso, ale nie jesteśmy jeszcze zbyt blisko tamtego lasu? – wyraził swoje obawy Artur.

– Sądzę, że będziemy tu bezpieczni.

Jego towarzysze pokiwali głowami, a przecież był przygotowany na nieco dłuższą dyskusję. Najwyraźniej zapomniał, z kim podróżował. To Ernest zawsze kwestionował jego wybory. I choć Hubert się na to wściekał, przyjaciel

najczęściej miał rację. Był zdecydowanie lepszym strategiem, a i trzeźwiej potrafił ocenić potencjalne zagrożenie.

Wybrali domek na nocleg, po czym Sierpień wręczył Zuzie swojego colta, a Artura kilka razy upomniął, żeby zachował wszelką ostrożność. Kilka minut później opuścił wieś i zagłębił się w las.

Było coś magicznego w tych chwilach, które spędzał samotnie, z dala od innych ludzi. Na nikogo nie mógł wtedy liczyć, ale też nie musiał się o nikogo martwić, był zależny tylko od siebie. Jego radar na demony zdawał się mieć jeszcze większy zasięg. Zatrzymał się pod starym bukiem, oparł dłoń o ciepłą korę i zamknął oczy. Ze wschodu dotarły do niego ledwie wyczuwalny zapach lejina oraz jeszcze słabsza woń biesa. A więc ruszył na zachód. Nie miał czasu, żeby polować na bestie. Potrzebowali świeżego mięsa zwykłych zwierząt.

Wkrótce natknął się na mało widoczną ścieżkę wydeptaną drobnymi racicami. Podążył wzdłuż niej, mając nadzieję, że tego dnia szczęście dość szybko mu dopisze. Dotarł do niewielkiej sadzawki ukrytej w lesie. Na błotnistym brzegu znajdowało się mnóstwo śladów. A na samym środku zbiornika pływały kaczki. Zauważyły go, ale niezbyt przejęły się jego obecnością. Możliwe, że nigdy nawet nie widziały człowieka. Jeśli nie upoluje większej zwierzyny, już wiedział, gdzie szukać mniejszej, aby nie wrócić z pustymi rękami.

Ruszył dalej wzdłuż wąskiej ścieżki, dwa razy ją zgubił i musiał nieźle się natrudzić, żeby znów odnaleźć trop. Szedł prawie bezgłośnie, każdy jego krok był ostrożny i przemyślany, nie trzasnęła żadna przypadkowa gałązka. W końcu dotarł na skraj lasu. Dalej rozciągało się dawne pole porośnięte skarłowaciałymi sosenkami. Wysoka, pożółkła trawa falowała na wietrze. Dobrze, że wiał akurat prosto w twarz łowcy. Wciąż

szedł przed siebie, przystając przy co którymś drzewku i bacznie się rozglądając.

Wreszcie zobaczył to, na co czekał. Niedaleko przed nim pasło się małe stadko saren. Niczym niezaalarmowane, spokojnie skubały trawę.

Hubert namierzył wzrokiem młodą, utykającą samicę. Wydawała się idealnym celem. Odbezpieczył karabin i przyłożył go do ramienia. Sarny nagle podniosły głowy i zastrzygły uszami, rozglądając się wokół, ale na szczęście nie dostrzegły go ukrytego za rosochatą sosenką. Sierpień kątem oka zobaczył trawę poruszającą się tuż przy kulejącej samicy. Zmarszczył brwi, przez chwilę obserwując to miejsce; wreszcie mignął mu szaro-brązowy grzbiet – prawdopodobnie tegoroczne kozłę.

Łowca wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze. Wycelował prosto pod łopatkę młodej kozy. Położył palec na spuście...

Nagle kozłę wystrzeliło w górę i rzuciło się prosto do gardła kulejącej sarny. Ta zaryczała ze strachu i padła na ziemię, pozostałe zaś zerwały się do biegu i uciekły w podskokach. Hubert przez chwilę patrzył ze zdziwieniem na ich białe zadki.

– Co, u licha...?

Nie opuszczając lufy karabinu, ruszył powoli przed siebie. Coś brązowego nadal ruszało się w trawach w miejscu, gdzie padła koza. Wkrótce dotarł do niego zapach krwi.

*Demon?* – zastanowił się, nic jednak nie wyczuł. *Martwa strzyga?* Zmroziło go na samą myśl o demonie, który powstał z martwych i był dla niego nie do wykrycia. Mimo to nie był w stanie się zatrzymać.

Krok za krokiem był coraz bliżej. Miał nadzieję, że to tylko zwykłe zwierzę zaatakowało sarnę. Może pies? Ale one polowały raczej w stadach.

Naraz jego oczom ukazało się przedziwne stworzenie. Jego sierść miała ten sam kolor co u sarny, ale było jakieś takie niekształtne. Na razie ustawiło się tyłem do Huberta, więc nie mógł dostrzec jego łba.

Serce łowcy przyspieszyło, wycelował w drapieżnika, gotów do oddania strzału. Nie chciał jednak go zabijać, nie wiedząc jeszcze, czym ten był.

Nagle wiatr się zmienił i zawiął w plecy Huberta. Stwór od razu musiał wyczuć jego zapach, gdyż natychmiast się odwrócił i... wstał.

Tak dziwnego widoku Sierpień jeszcze nie oglądał. Wszystko wydarzyło się tak naprawdę w ułamku sekundy, ale za każdym razem, gdy wspominał to później, miał wrażenie, jakby oglądał film w zwolnionym tempie. Bestia stanęła na tylnych łapach, a prostując grzbiet, odsłoniła ciemny brzuch. W przedniej łapie dzierżyła okrwawiony nóż. Wyszczерzyła jasne, krótkie zęby, oczy błysnęły białkami.

– Kurwa – sapnął Hubert, zdejmując palec ze spustu.

Przed nim stał... człowiek. Półnagi człowiek umazany błotem, ze skórą sarny narzuconą na plecy i głowę. Przez dłuższy czas mierzyli się wzrokiem – nieco zaskoczonym, a trochę wrogim.

– Odrzuć nóż! – polecił Sierpień.

– Odrzuć broń! – usłyszał gwałtowną odpowiedź.

Hubert opuścił nieco lufę. Odruchowo zerknął na martwą sarnę. Obcy podążył za jego spojrzeniem.

– Moja! – warknął.

– Dobra, twoja, ty ją upolowałeś – przyznał łowca.

Atmosfera rozluźniła się, ale tylko odrobinę.

– Nazywam się Hubert. – Postanowił przełamać pierwsze lody.

Może to był dość ryzykowny ruch, ale oderwał jedną dłoń od karabinu i wysunął ją przed siebie.

– Odejdź!

– Nie skrzywdzę cię – zapewnił.

Człowiek wyszczerzył zęby niemal jak dzikie zwierzę.

– Uhm, czyli nie jesteś zbyt towarzyski – rzucił łowca.

Obcy wciąż mierzył go nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Okej, odejdę – powiedział w końcu Hubert.

Zaczął powoli się wycofywać tyłem. Tamten wciąż uważnie go obserwował. Sierpień odetchnął dopiero, gdy znalazł się z powrotem w lesie.

– Co ten świat robi z ludźmi... – Pokręcił głową.

Facet sprawiał wrażenie, jakby od ostatniej wojny nie widział innego człowieka. Ale czy to możliwe – skończyć tak w ciągu zaledwie ośmiu lat? Sierpień nie miał pojęcia, ile czasu potrzeba, żeby zupełnie zdziczeć. Tamten nawet mówić za bardzo już nie umiał, a każde słowo w jego ustach brzmiało jak szczeknięcie.

Hubert szybko dodał dwa do dwóch. Tylko umysł kogoś takiego potrafiłby stworzyć ozdoby, które widzieli w lesie poprzedniego dnia. Teraz pozostawała tylko kwestia tego, czy człowiek był sam, czy towarzyszyła mu cała banda takich popaprańców. Choć na podstawie tego, jak się zachowywał, można było wysnuć wniosek, że był raczej samotny. Ludzie w grupach przynajmniej starali się zachować normalność.

Wciąż nie mogąc ogarnąć tego, co wydarzyło się przed kilkunastoma minutami, Hubert ruszył w drogę powrotną. Nie chciał, żeby Zuza i Artur byli sami zbyt długo. Co prawda dzikus pewnie był teraz zajęty pożeraniem serca sarny na surowo, czy coś w tym rodzaju, mimo wszystko Sierpień wolał nie ryzykować.

Zahaczył o sadzawkę ukrytą w zagłębieniu terenu. Na szczęście kaczki nie uciekły. Namierzył dorodną sztukę, wycelował i strzelił. Ptaki zerwały się do lotu, a Sierpień, nie sprawdzając nawet, czy trafił, oddał kolejny strzał. Po sekundzie coś brązowego wpadło z pluskiem do wody.

Hubert obejrzał się za siebie, jakby spodziewał się, że dzikus zaraz rzuci mu się na plecy za to, że polował na jego terytorium. Nikogo jednak nie zauważył. Teraz czekało go najgorsze – musiał się rozebrać i wejść do ciemnej, zimnej wody, aby wyłowić swoją zdobycz w postaci dwóch kaczek. Przez dłuższy czas zastanawiał się, czy zostawienie karabinu na brzegu to dobry pomysł, ale nie za bardzo miał inne wyjście. Przykrył go liśćmi, podobnie jak swoje ubrania, i wszedł do sadzawki.

Szybko podpłynął do kaczek, chwycił je za łapki i zaholował na brzeg. Najpierw sięgnął po karabin i przez chwilę nasłuchiwał i obserwował okolicę, gdy jednak nie dostrzegł nic podejrzanego, ubrał się i skierował prosto do wsi.



Przez całą drogę Hubert zastanawiał się, jaka mogła być historia tego dzikusa. Co sprawiło, że skończył w taki sposób? Czy to możliwe, że coś mu odbije i będzie próbował ich zaatakować w nocy? Teoretycznie widział, że Sierpień ma karabin, a on sam zaledwie nóż, ale kto wie, co takiemu siedzi w głowie.

– Jestem! – zawołał Hubert od progu domu.

Odpowiedziała mu cisza. Zajrzał do kuchni, salonu i małego pokoju, jednak nikogo tam nie zastał. Pewnie siedzieli

w ogrodzie. Zostawił upolowane kaczki na stole, wyszedł na zewnątrz i okrążył budynek, podążając wąską ścieżką wydeptaną w wysokiej trawie. Mokka i Arka od razu do niego podeszły i zaczęły skubać jego bluzę, upominając się o jakiś smakołyk.

– Zuza! Artur! – krzyknął Sierpień, ignorując konie.

W ogrodzie nie było nawet śladu po towarzyszach. Hubert wyszedł na ulicę i się rozejrzał.

– Zuza! Artur!

Dopadły go złe przeczucia. Mieli zostać w obejściu, a nie szlajać się nie wiadomo gdzie. Może jedno z nich poszło po drewno, a drugie szukało wody? Może był jakiś inny, całkiem racjonalny powód tego, że oboje zniknęli, nie zostawiwszy mu żadnej wiadomości?

Wrócił do domu i rozejrzał się w poszukiwaniu czegokolwiek, co podpowiedziałoby mu, co się stało. Nie znalazł nic. Po Zuzie co prawda mógł spodziewać się wszystkiego; przecież nie pierwszy raz oddaliłaby się od obozu, nic nikomu nie mówiąc. Ostatnim razem na wiosnę napędziła strachu jemu i Izie, bo poczuła nowego demona i poszła go szukać. Lecz po Arturze spodziewałby się bardziej rozsądnego zachowania.

Powinien zająć się kaczkami, oskubać je i wypatroszyć, spokojnie czekając na ich powrót. W głębi duszy jednak przeczuwał, że stało się coś złego. Zaczął się zastanawiać, czy tamten dzikus był w stanie go wyprzedzić i dotrzeć do wsi przed nim. Teoretycznie nie, ale w końcu – jak się okazało – nadal byli na jego terenie...

– Zuza! – wrzasnął, a z pobliskiego drzewa zerwało się kilka wron.

Coraz bardziej zaniepokojony, ruszył przez wieś. Zaglądał po kolei do wszystkich ogrodów, patrzył, czy trawa w którymś z nich nie jest zdeptana, czy nie ma ścieżki wiodącej do drzwi.

Może po prostu postanowili rozejrzeć się za jakimiś niezbędnymi przedmiotami.

W pewnym momencie dotarł do dużej łąchy jasnego piasku, która musiała niedawno spłynąć na drogę ze skarpy tuż obok podczas ulewnego deszczu. Dostrzegł na niej widoczne ślady kopyt jednego z koni, ale również odcisk butów, taki jak miała chyba Zuza oraz jeszcze jeden, identyczny pod względem rozmiaru. Z całą pewnością nie mógł należeć ani do Huberta, ani do Artura. A to znaczyło, że we wsi był ktoś jeszcze.

Sierpień poczuł lodowatą strużkę potu spływającego mu po plecach. Ruszył w kierunku, w którym podążały ślady. Niestety po kilku krokach nie mógł już ich dostrzec na drodze. Spróbował uspokoić nerwy, ale kiepsko mu to szło. Starał się nie dopuszczać do głosu myśli, że mogło stać się coś naprawdę złego.

*I gdzie jest ten durny Klakier, jak człowiek go potrzebuje? – wściekał się.*

Dotarł do końca wsi i stanął na skrzyżowaniu dróg. Pochylił się nisko nad ziemią; niestety tutaj również nie odnalazł żadnego tropu. Zuza mogła się udać w dosłownie każdym kierunku.

W zaroślach rozległ się szelest. Hubert od razu tam wycelował. Zza pnia wychyliła się wielka głowa z okrągłymi oczami. Łowca odetchnął i zdjął palec ze spustu.

– Wiesz, gdzie jest Zuza? – zapytał cicho.

Platon wciąż wpatrywał się w niego olbrzymimi ślepiami.

– Znajdź Zuzę – poprosił Hubert.

Leszy w kilku zwinnych susach wspinał się na drzewo i zniknął w gęstych gałęziach.

– To by było na tyle – mruknął zawiedziony łowca.

Naraz Platon zagwizdał w taki sam sposób, jak to robił, kiedy prowadził Sierpnia z przyjaciółmi na bagna, gdzie

utknął człowiek z Groty – albo tak się przynajmniej Hubertowi wydawało. Bez większego zastanawiania się ruszył w ślad za demonem.

Zszedł z drogi i zagłębił się w las. Ochrypiły gwizd docierał do niego za każdym razem, kiedy według leszego zbaczał z trasy.

Nagle usłyszał ludzki krzyk. Bez udziału świadomej woli zerwał się do biegu. Nie dbał już o to, że przestał zachowywać ciszę, że ewentualny przeciwnik go usłyszy. Teraz liczył się tylko czas, bo jeżeli Hubert dotrze za późno...

Nie chciał nawet myśleć o tym, co mogłoby się stać.

Potknął się o jakiś korzeń, ale szybko odzyskał równowagę i dalej pędził przed siebie. Krew szumiała mu w uszach, serce biło jak oszalałe, dłonie zaciskały się mocno na karabinie. Wrzask powtórzył się znacznie bliżej. Hubert jeszcze bardziej przyspieszył.

Bukowa gałązka porośnięta gęsto liśćmi chlasnęła go prosto w oczy. Zamrugał, jedną dłonią przetarł twarz, żeby odzyskać wzrok. Przed nim rozciągała się kotlinka porośnięta wysokimi sosnami i pożółkłymi trawami. W samym jej środku leżał nieprzytomny Artur. Zuza siedziała na ziemi tuż obok i się nad nim pochylała.

Hubert od razu ruszył w ich stronę.

Dziewczyna podniosła na niego spojrzenie. Była trupio blada, jej oczy zrobiły się nienaturalnie wielkie.

– Uważaj! – krzyknęła.

Sierpień błyskawicznie się odwrócił. Coś małego świsnęło tuż obok jego ręki. Wycelował przed siebie, ale nic nie dostrzegł, oprócz wciąż drżącego jałowca.

Powoli ruszył w stronę krzewu, okrążył go, ale ktokolwiek tu był, już zniknął.

Nie przestając mierzyć między drzewa, podszedł do przyjaciół.

– W porządku? – zapytał, nawet na nich nie patrząc. – Co mu jest?

– Nie wiem – jęknęła Zuza. – Czymś w niego strzelili.

– Oni?

– Nadal tu są...

– Chryste. Ilu ich było?

– Pięciu? Sześciu?

Sierpień dostrzegł ruch za małym świerkiem. Natychmiast skierował tam lufę karabinu, lecz nie dostrzegł człowieka. Nagle ktoś zaświergotał z zupełnie innej strony, naśladując jakiegoś ptaka.

– Hubert... – odezwała się Zuza.

W jeszcze innym miejscu zatrzęsała się niska brzoźka.

– Hubert!

– Co?! – Spojrzał wreszcie na dziewczynę i dopiero teraz dostrzegł, że nadgarstki ma związane za plecami.

Wyjął zza paska nóż i stanął za nią. Na chwilę musiał puścić karabin, ale jeżeli Zuza miała mu pomóc w jakikolwiek sposób albo być po prostu w stanie uciekać, nie mogła mieć skrępowanych rąk.

Sprawnie przeciął więzy, po czym dziewczyna podniosła się z klęczek i stanęła tuż przy nim. Artur, wciąż leżący na trawie, zaczął jęczeć i się trząść.

Sierpień, nadal celując w różnych kierunkach, zaczął się w panice zastanawiać, co robić. Czy da radę sześciu przeciwnikom? Jak byli uzbrojeni? Czy to, że jeszcze się nie pokazali, świadczyło, że nie mieli przy sobie broni palnej? Jak wyciągnąć stąd Artura? A może po prostu ratować Zuze i siebie, a po niego wrócić później? O ile będzie jeszcze żył...

– To są dzieci – odezwała się Brzeska.

W pierwszej chwili nie zrozumiał jej słów.

– To tylko banda dzieciaków.

– I tak was niby załatwiły dzieciaki? – Nie bardzo mógł w to uwierzyć.

– Bo są sprytne.

– W dupie mam, czy to dzieci, czy nie – warknął, podając jej karabin. – Jak któryś wychyli łeb z krzaków, strzelaj – dodał na tyle głośno, żeby usłyszał go każdy, kto znajdował się w pobliżu.

Schylił się, złapał Artura za rękę i pociągnął go w górę, po czym z niemałym trudem zarzucił go sobie na plecy. Na szczęście kolega był tak lekki, na jakiego wyglądał.

Przeszli kilka kroków i nic się nie wydarzyło, choć Hubert dałby głowę, że czuł na sobie baczne spojrzenie co najmniej kilku par oczu. Miał tylko nadzieję, że przeciwnicy, widząc karabin, odpuszczą. Rzucanie się na tak uzbrojonego człowieka było dość niebezpieczne, ale czasem taki wojskowy kbk AKMS mógł się okazać łakomym kąskiem wartym ryzyka.

Byli już w połowie zbocza, kiedy usłyszeli szelest z lewej. Hubert instynktownie odwrócił się w tamtą stronę, gdy coś świsnęło z prawej. Zobaczył dziwną, cienką lotkę wystającą z uda Artura. Gdyby przed chwilą się nie poruszył, ta sama strzałka wbiłaby mu się w pierś.

Nagle Diuk krzyknął i zaczął się wić tak, że Hubert nie był w stanie go utrzymać. Pochylił się, a kolega zleciał na trawę, rzucając się z bólu.

Sierpień zabrał karabin Zuzie, złapał ją za rękaw i siłą posadził na ziemi, po czym ruszył prosto w krzaki, z których wyleciała lotka. Miarka się przebrała. Nie miał pojęcia, z jakiej broni do nich strzelano, ale łudził się, że potrzeba było co najmniej kilku sekund, żeby ponownie ją naładować. A on nie zamierzał ich dać przeciwnikowi.

Wpadł w młode świerki, gotów na wszystko. Coś poruszyło się przed nim, mignęło rude futro. Spomiędzy gałęzi wychyliła

się czarna lufa. Hubert odskoczył, świsnęło, a w drzewo tuż za nim wbiła się kolejna strzałka. W kilku susach dopadł do broni, złapał za jej koniec i szarpnął. O dziwo przeciwnik ją puścił, a łowca stracił równowagę i musiał wykonać krok w tył, żeby się nie przewrócić. Nie miał czasu na oglądanie swojego trofeum i upuścił je na ziemię. Krzaki zaczęły się trząść, na ziemię poleciały liście, gdy obcy rzucił się do ucieczki, ale Sierpień nie zamierzał tak łatwo odpuścić. Skoczył przed siebie. Dostrzegł nogę przeciwnika uciekającego na czworaka. Złapał go za kostkę i pociągnął. Rozległ się niemal zwierzęcy pisk. Nastąpiła szamotanina, nieprzyjaciel chwycił się gałęzi, rył palcami ziemię, usiłował kopać, ale Hubert był znacznie silniejszy i na dodatek wściekły.

Po kilku chwilach wyciągnął z krzaków dzieciaka wymazanego błotem, ze skórą lisa na plecach; łeb martwego zwierzęcia był tak wyprofilowany, że tworzył kaptur.

Sierpień przycisnął chłopca wijącego się jak piskorz do ziemi i przyłożył mu do boku karabin. Nie chciał go zabijać, ale miał nadzieję, że ten przynajmniej przestanie tak się wiercić.

– Nie ruszaj się! – warknął łowca.

Dzieciak wreszcie znieruchomiał. Wybałuszył oczy, które w tej chwili wyglądały na bardziej zwierzęce niż ludzkie. Cała jego twarz była pokryta zaschniętym błotem.

Rzucił spłoszonym spojrzeniem w kierunku broni leżącej na trawie, tuż obok.

– Nawet o tym nie myśl. – Hubert sięgnął po nią i wsunął ją za pasek.

Okazało się, że to metalowa dmuchawka na lotki przypominające długie gwoździe. Miała około metra długości i nie wyglądała imponująco, ale Sierpień już zdążył się przekonać, że w rękach dzieciaka była naprawdę cenna, a na dodatek istniała możliwość, że chłopak zamoczył końcówki

strzałek w jakiejś truciźnie, jeśli mógł ocenić po tym, co działo się z Arturem.

Hubert złapał dzieciaka za ramię i pociągnął w górę, stawiając go na chudych, ubłoconych nogach. Na wszelki wypadek nadal przykładał lufę karabinu do jego żeber.

– Idziemy! – Wciąż trzymając go za ramię, przedarł się przez gęste świerki.

Diuk nadal leżał skulony na ziemi, jęczał głośno i trzymał się za głowę.

Zuza stała tuż obok z uniesionymi rękami. Kilka metrów przed nią młoda dziewczyna mierzyła do niej z łuku. Z lewej jakiś chłopak dzierżył włócznię, kolejny miał maczetę, a na oko siedmioletnia dziewczynka celowała z procy. Wszyscy byli wymazani błotem, ubrani w skóry i nikt z całej tej wesołej bandy nie miał nawet osiemnastki...

– Bez jaj – mruknął Hubert. – Nie ruszać się, bo zastrzelę tego dzieciaka – powiedział głośno.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Dostrzegł w nich strach. *Dobrze, może i są dzikie, ale przynajmniej zależy im na sobie nawzajem. No i chyba rozumieją, co mówię.*

– Ty tam, opuść ten łuk – zwrócił się do najstarszej dziewczyny.

Ta pokręciła głową. Najwyraźniej uznała, że jeśli straci z celownika Zuzę, to ich szanse spadną do zera.

– Naprawdę nie chcę dziś nikogo zabijać – westchnął Hubert. *Tym bardziej dzieciaków* – dodał w myślach.

Sytuacja zdawała się patowa. Łuk wyglądał na solidny, a grot strzały na ostry. Z takiej odległości, jaka dzieliła łuczniczkę od Zuzy, ta na pewno nie spudłuje.

Gdyby uwolnił tego chłopaka, którego trzymał, i strzelił serią z karabinu do dziewczyny, czy ta zdąży wypuścić strzałę?

Artur nagle krzyknął, a wszyscy drgnęli nerwowo.

– Czym zatruliście lotki? – zapytał Hubert.

Dzieciaki milczały.

– Zuza, podejdź do mnie – nakazał.

Dziewczyna bardzo powoli wykonała krok do tyłu.

– Nie – warknęła łuczniczka, jeszcze mocniej napinając cięciwę.

– Puszczę tego konusa, ale przestań w nas celować! – zdenerwował się Sierpień.

W oczach dziewczyny pojawiła się nadzieja.

*Albo zostanę mordercą dzieci, albo te nas powybijają – pomyślał. Dobra, zaryzykujemy.*

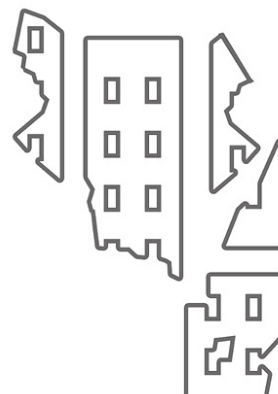
Rozprostował palce lewej dłoni. Chłopiec, który poczuł się nagle wolny, zerwał się do biegu i schował za łuczniczką. Hubert natychmiast uniósł karabin i zaczął celować w nią.

– Po prostu się wycofajcie – poprosił.

Dzieciaki zawahały się.

– Poszaleli?! – rozległ się jeszcze jeden głos.





## Rozdział XII

Hubert natychmiast skierował lufę karabinu w stronę jałowca, zza którego wyszła kolejna postać.

– Cudownie – mruknął na widok dzikusa w sarniej skórze.

*Ile ich, do diabła, jest? Całe pieprzone plemię?!*

Był to ten sam człowiek, którego spotkał wcześniej podczas polowania.

– Nie strzelę nikomu w plecy, tylko się, do cholery, wycofajcie! – powiedział głośno Sierpień.

Najstarszy dzikus powoli skinął głową.

– Iga! – rzucił.

Łuczniczka wykonała krok w tył, nie przestając mierzyć do Huberta. Reszta dzieciaków zniknęła po kolei w gęstwinie, aż w kotlinie został tylko ich przywódca.

– Poczekaj! – zatrzymał go Hubert, gdy ten wykonał krok w tył.

Tamten spojrzał na niego z podejrzliwością.

– Czym były zatrute te lotki?

Dzikus potrząsnął tylko głową i zniknął za jałowcem.

– Oddałem ci tę sarnę, a mogłem cię zastrzelić! – zawołał za nim Sierpień.

W lesie zapanowała cisza, przerywana jedynie jękami Artura.

– Banda cholernych dzikusów – mruknął ze złością.

Ponownie oddał karabin Zuzie i dźwignął na barki Diuka. Przez całą drogę zachowywali szczególną ostrożność, na szczęście tubylcy najwyraźniej sobie odpuścili. Bardziej martwił ich stan Artura, który ciągle jęczał; chłopak zbladł i zaczął się trząść. Z każdym krokiem zdawał się coraz cięższy. Hubert rozważał nawet, czy nie powinien pójść po Mokkę, ale nie chciał zostawiać towarzyszy znowu samych.

Zmierzchało, kiedy wreszcie dotarli do domu. Konie, niczym niezaniepokojone, pały się w ogrodzie.

Sierpień położył Artura na kanapie.

– Zaczyna się gorączka. – Zuzia przyłożyła rękę do czoła rannego.

– Pomóż mi go rozebrać, musimy znaleźć miejsca, gdzie go trafili.

Na udzie oraz tuż pod obojczykiem znajdowały się dwie małe, ale przypuszczalnie głębokie ranki. Skóra wokół nich się zaczerwieniła i lekko opuchła.

Nagle Artur otworzył oczy i powiódł spłoszonym spojrzeniem po otoczeniu, ale zdawało się, że nawet nie dostrzegł dwójki towarzyszy. Wrzasnął rozdzierająco i opadł z powrotem na kanapę.

– Co mamy w apteczce? – zapytał Hubert.

Zuzia zaczęła przeglądać małą torbę, którą zawsze zabierali w podróż. Znajdowały się tam bandaże, gaza, maść na rany, szczelnie zapakowany zestaw igieł i nici chirurgicznych jeszcze sprzed ostatniej wojny, suszone zioła na przeziębienie, gorączkę i kaszel oraz olej z dziurawca.

– Nie wiem, czy cokolwiek mu pomoże. – Dziewczyna spojrzała bezradnie na Sierpnia. – Możemy spróbować powstrzymać gorączkę...

– Rozpal z kominku, ja przyniosę wodę. – Skinął głową.

Pobiegł truchtem do strumienia za wsią i wrócił po kilku minutach z pełnymi butelkami. Zuza akurat dmuchała na malutki płomień, który przeskoczył z hubki na suche igliwie i drobne gałązki.

– W ogrodzie widziałem krwawnik, może też się przyda – powiedział Hubert. – Nazbieram trochę, zanim zupełnie się ściemni.

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł z domu. Wyjął z pochwy nóż i zaczął ścinać wysokie łodygi z białymi baldachimami. Konie podeszły do niego z zainteresowaniem, ale je odgonił, żeby nie deptały roślin.

– Wybaczcie, nie mam teraz czasu – mruknął cicho.

Starał się zachować chłodny umysł, nie panikować, aby podjąć tylko racjonalne decyzje, ale tak naprawdę był przerażony. Nie mieli pojęcia, jaką trucizną były wysmarowane lotki ani jak powinni pomóc przyjacielowi. A zapasy z apteczki wydawały się śmiesznie małe i zbyt słabe.

– Może powinniśmy rozciąć rany po tych strzałkach? – zapytał, kładąc naręczce roślin na stół.

– Trucizna i tak jest już w krwiobiegu. – Zuza pokręciła głową. Przygotowała właśnie napar z czarnego bzu i kwiatów lipy. – Ale możesz rozgnieść liście krwawnika na papkę i przyłożyć je do nich. Może coś to da.

Godzinę później stan Artura się pogorszył, podobnie jak nastroje jego towarzyszy.

Hubert, żeby tylko zająć czymś ręce i myśli, zaczął skubać kaczki. Zuza wciąż czuwała przy rannym, przemywając jego ciało szmatką zamoczoną w chłodnej wodzie.

– Co się stało? – zapytał Sierpień, kiedy nie znalazł już żadnej nowej pracy. – Jak te dzieciaki was dorwały?

– Ogarniałam dom, a Artur poszedł po drewno – odezwała się, patrząc w płomienie buzujące w kominku. – Długo jednak nie wracał. Zaczęłam się martwić...

– I poszłaś go szukać?

Pokręciła głową.

– Wyszłam tylko na drogę, żeby się rozejrzeć, i wtedy zobaczyłam tę dziewczynę z łukiem. Wyglądała, jakby mnie szukała. Prawie nic się nie odzywała, tylko wycelowała we mnie i kazała mi iść przodem. Zaprowadziła mnie do tamtego lasu. Artur już tam był, leżał nieprzytomny na trawie. Inny dzieciak mnie związał. Niedługo potem zjawiłeś się ty.

– Przecież zostawiłem ci colta – przypomniał zmęczonym głosem.

Pistolet leżał na stole.

– Wyszłam tylko na drogę. – Zuza wzruszyła ramionami. – Nie czułam w pobliżu żadnych demonów, jakoś nie pomyślałam...

– To, że potrafisz wyczuwać demony i zatrzymać je w miejscu za ledwie skinieniem palca, nie znaczy, że na tym świecie nie ma żadnych innych niebezpieczeństw.

– Wiem. – Uciekła wzrokiem. – To było głupie. A teraz Artur... przeze mnie...

– Nie przez ciebie, bo czy miałabyś tego colta przy sobie, czy nie, te dzieciaki i tak by go dorwały. Właśnie, ale on na pewno poszedł do lasu ze strzelbą!

Rozejrzał się po pokoju, nigdzie jednak nie zauważył broni.

– Chyba tak, ale nie wiem, gdzie ona jest.

– Może mu ją ukradli? – zastanowił się Hubert. – Ale jeśli tak, dlaczego nie użyli jej, kiedy ja was znalazłem? Byłaby

znacznie lepsza niż to coś. – Sięgnął po dmuchawkę, którą zabrał jednemu z dzieciaków.

Taki oręż zawsze kojarzył mu się z plemionami z Ameryki Południowej, nigdy nie sądził, że ktokolwiek mógłby produkować go w Polsce. Ale przed wojną było przecież wielu maniaków broni czy surwiwalu, a na dmuchawkę na pewno nie trzeba było mieć pozwolenia, podobnie jak na wiatrówkę. Wystrzeliwane z niej lotki raczej nie zabijały, ale zamoczone w truciznie mogły okazać się tak samo niebezpieczne, jak zwykły pistolet.

Artur znów zaczął się rzucać na kanapie, cały był zlany potem. Zuza zmieniła mu okład na czole, mimo to woda ze strumienia nie była wystarczająco zimna, żeby ulżyć mu na dłużej.

– Gdybym tylko dorwał te dzieciaki... – burknął Hubert, kręcąc głową.

– To co byś zrobił? – zapytała wyzywająco Zuza. – Nie zastrzelisz ani nie zrobisz im krzywdy, bo tak naprawdę masz miękkie serce.

– Dobrze wiesz, że mam już na sumieniu niejednego trupa.

– Ale nie dziecko.

Miała w tym trochę racji. Koniec świata nie zrobił z niego takiego barbarzyńcy, żeby nie zawahał się, gdy miał na celowniku kogoś tak młodego.

– Powiesiłbym za nogi pod sufitem i wyciągnął z niego, co to za trucizna – powiedział, jakby chciał, żeby choć ostatnie słowo należało do niego. – Jak on umrze – spojrzał na Artura – to nie wiem, jak spojrzę w oczy jego bratu.

– Nie możesz martwić się o wszystkich. – Zuza podeszła do niego i położyła dłonie na jego ramionach. – Artur sam podjął decyzję o tym wyjeździe, a my nie mogliśmy go powstrzymać.

– Wiesz, że ponad rok temu twój brat z kolei zarzucił mi, że o nikogo się nie martwię i niczym się nie przejmuję? – prychnął.

– Mój brat się nie zna.

– Chcesz odpocząć? – zmienił temat. – Ja go popilnuję, bo teraz i tak bym nie zmrużył oka.

– Podobnie jak ja. – Przysiadła na skraju kanapy i przetarła mokrą szmatką twarz oraz klatkę piersiową Artura.

Nagle u drzwi rozległ się łomot. Hubert poderwał się z krzesła, od razu chwytając za karabin. Wymienił zaskoczone spojrzenie z Zużą. Hałas się powtórzył.

Sierpień przyłożył palec do ust, podał jej colta, po czym gestem kazał jej schować się za kanapę. Sam zaś powoli ruszył przez korytarz.

*Nie otwieraj, tylko strzelaj przez drewno* – poradził mu głos w jego głowie.

*I zabij kogoś niewinnego* – odparł mu.

Ktoś znów zapukał. Hubert ostrożnie nacisnął klamkę i pchnął drzwi, jednocześnie cofając się głębiej w korytarz. Na zewnątrz nikogo nie było.

– Nie strzelaj – usłyszał.

– To się pokaż.

– To opuść broń.

– Chyba śnisz – prychnął.

– Chcę wam pomóc. Mam lek.

Hubert się zawahał.

– Opuszczam karabin – zdecydował. – Ale jeżeli cokolwiek mnie zaalarmuje, tym razem będę strzelał bez ostrzeżenia.

Jego rozmówca najwyraźniej również nie był pewien, czy może mu zaufać.

– Dobrze – powiedział po chwili, wychodząc z cienia i stając naprzeciwko drzwi.

Wątle światło księżyca padło na jego twarz. Tym razem nie był już wysmarowany błotem i choć nadal miał na sobie skórę z sarny, włożył też zwykłą koszulkę i spodnie. Rozłożył ręce na boki. W jednej z nich trzymał materiałową torbę.

– Jestem sam – odezwał się.

Hubert przestąpił z nogi na nogę.

– Rzuć mi ten lek – rozkazał.

*A jeśli to kolejna trucizna?*

– Albo nie, wejdź do środka. – Zabezpieczył karabin i skierował lufę pionowo w dół. – Zachowajmy się jak cywilizowani ludzie.

Dzikus strzelił spojrzeniem w bok, jakby się zastanawiał, czy to aby na pewno dobry pomysł, aż w końcu skinął głową. Ostrożnie przekroczył próg domu.

– Hubert. – Sierpień wyciągnął do niego dłoń.

– Igor – przywitał się.

– Chodź. – Łowca poprowadził go do pokoju.

Zuza stała za kanapą, z pistoletem wycelowanym w wejście.

– Możesz to opuścić – powiedział Hubert. – To co z tym lekiem? – Odwrócił się do gościa.

W świetle świec okazało się, że dzikus jest znacznie młodszy, niż łowca podejrzewał. Mógł mieć nie więcej niż dziewiętnaście lat.

– Podajcie mu to. – Wyjął z torby niewielką szklaną butelkę.

W środku przelewała się zielonkawa ciecz.

– Wybacz, ale nie wierzę ci, że to pomoże. – Hubert nawet nie drgnął.

Igor skinął głową, odkręcił korek i pociągnął solidny łyk.

– Mnie nie zabiło, jego też nie.

*Jak wykończymy Artura tą kuracją...* – przeszło łowcy przez głowę, ale urwał te rozważania. Wziął butelkę i podał Zuzie, która uniosła głowę Diuka i spróbowała go napoić.

Dzikus ponownie sięgnął do torby. Hubert wycelował w niego ostrzegawczo. Ten jednak bardzo powoli wyjął ze środka jakieś zawiniątko i wysunął w jego stronę. W środku było suszone mięso w plastrach.

– W podzięce za to, że zostawiłeś sarnę i nie zastrzeliłeś młodego.

Podarunek pachniał naprawdę smakowicie.

– Dobra, siadaj, chyba możemy sobie zaufać. – Hubert machnął ręką.

– Poza tym, tyle nie wystarczy. – Igor wskazał brodą do połowy opróżnioną butelkę. – Jutro rano przyniosę wam więcej, jeżeli mnie nie zabijecie.

Sierpień się roześmiał, starając się rozładować nieco atmosferę.

– Obiecuję, nie zabijemy. Oświeć mnie tylko, co to za trucizna.

Gość jednak pokręcił głową.

– No dobra, jak chcesz – westchnął Hubert. – Wczoraj przejeżdżaliśmy przez las pełen... hm, dziwnych ozdób. To wasza robota?

– Widzieliśmy was – przyznał Igor.

– Właśnie miałem wrażenie, że ktoś nas obserwował.

– Obserwujemy każdego przejezdznego. Choć większość ludzi nie zagłębia się w nasz las.

– I wcale im się nie dziwię. A czy kilka dni temu przejeżdżała tędy inna grupa? Pięć osób?

– Nie.

– A jest możliwość, że ich przegapiliście?

– Nie.

Hubert strapił się. Czyli jego przyjaciele jechali zupełnie inną trasą.

– Skoro wczoraj pozwoliliście nam się wycofać, dlaczego zaatakowaliście dziś?

Igor przeczesał palcami długie do ramion włosy.

– Nie planowałem tego – powiedział. – Oni mieli siedzieć w domu, ja poszedłem na polowanie. Ale trochę ich poniosło...

– Trochę ich poniosło? – powtórzył Hubert. – To jest dopiero niedomówienie.

– Wiedziałem, że zaraz opuścicie nasze ziemie. Ale wy nagle zatrzymaliście się tutaj, we wsi, jakbyście chcieli zostać dłużej.

– Bo planowaliśmy uzupełnić zapasy!

– Iga stwierdziła, że zachowujecie się podejrzanie. Sprawy wymknęły się spod kontroli... Ale nic się nie stało, wasz przyjaciel wydobrzeje za kilka dni.

– Nie mamy kilku dni! – zdenerwował się Hubert, uderzając dłonią w stół. – Rano byśmy stąd wyjechali, a tak... – Machnął ręką w powietrzu.

– Gdzie się wam tak spieszy?

– Jedziemy za przyjaciółmi, którzy mogą być w niebezpieczeństwie. I tak jesteśmy do tyłu, a teraz to już nie wiem, czy ich w ogóle dogonimy.

– Przykro mi. – Igor spuścił wzrok.

– Najważniejsze, że Arturowi nic nie będzie – westchnął Sierpień.

Chłopak wstał.

– Pora na mnie. Przyjdę jutro rano.

Hubert odprowadził go do drzwi i stał w progu przez chwilę, patrząc w ciemność.

– Co z nim? – zapytał, wracając do pokoju.

– Gorączka jeszcze nie spadła, ale wydaje się spokojniejszy – odparła Zuza, ponownie wycierając czoło Artura.

– Mam nadzieję, że ten ich lek pomoże. – Hubert usiadł na krześle i wziął do ust kawałek suszonego mięsa. – To było

jedno z dziwniejszych spotkań, jakie miałem od czasu wojny.



Hubert podniósł gwałtownie głowę i przetarł oczy. Okazało się, że przysnął na krześle z głową opartą o stół. Zuza leżała zwinięta na fotelu. Z zewnątrz dochodził jednostajny szum, deszcz zacinał o brudną szybę.

Podszedł do śpiącego Artura. Jego klatka piersiowa unosiła się w szybkich i płytkich oddechach, czoło zrosiły kropelki potu. Dzięki specyfikowi przyniesionemu przez Igora stan Diuka się poprawił, teraz jednak wyglądało na to, że bez kolejnej dawki leku czekało ich pogorszenie.

Sierpień zamoczył szmatkę w wodzie, która była ledwie chłodna, i przemył twarz chorego. Gdy Zuza wstała, wyszedł do ogrodu nakarmić konie. Wszystkie schowały się przed deszczem w otwartej stodole.

Pół dnia upłynęło im na czekaniu i chodzeniu z kąta w kąt. Hubert przyniósł z lasu sporo drewna, był też nad strumieniem po wodę. Później z kolei siedział w domu i suszył przy kominku ubrania. Zuza zabrała się do przygotowywania gulaszu z kaczek. Na początku planowała upiec je nad ogniskiem, ale pogoda temu nie sprzyjała. Co chwilę kontrolowali stan Artura, jednak poza chłodzącymi okładami niewiele mogli zrobić i tylko martwili się, czy Igor znów do nich przyjdzie, tak jak obiecał.

- Może powinienem tam pojechać? – denerwował się Hubert.
- Tam, czyli gdzie? – zapytała Zuza, mieszając w garnku.
- Nie wiem, do tego ich lasu, może trafię na ich dom.
- O ile wcześniej cię nie zastrzelą.

– Mówił, że przyjdzie rano, a już jest prawie południe. – Sierpień wstał z krzesła i zaczął krążyć po pokoju. Bezczynność go dobijała.

Artur nagle zaczął się rzucać na kanapie i krzyczeć. Oboje do niego przypadli, usiłując go uspokoić. Udało się dopiero po kilku minutach.

– Tymi wrzaskami może sprowadzić na nas kłopoty. – Hubert wyjrzał przez okno. Nie zauważył żywej duszy, nawet dzikie zwierzęta się pochowały, gdy wciąż lał deszcz.

– Przecież w pobliżu nie ma nikogo, ani ludzi, ani demonów – odezwała się Zuza.

– Niby tak, ale złe przeczucia...

– Złe przeczucia to ty masz od kilku miesięcy – wypomniała mu.

– Przynajmniej już mi się nie śni ten cały Orłowski – mruknął do siebie.

Usiadł na krześle, odchylił się i położył stopy na stole, jednak pod wpływem karcącego spojrzenia Zuzy z ciężkim westchnieniem opuścił je na podłogę. Czasem lepiej i wygodniej było podróżować bez kobiet.

– Tuż przed wiecem i na samym jego początku wyglądało na to, że wszystko układa się tak dobrze – westchnął.

*Nawet z Izą weszliśmy o stopień wyżej w tym naszym pokręconym związku...*

– I ciągle wydawało ci się, że to się zaraz posypie – dodała Zuza.

– A nie posypało się? – Uniósł brwi. – Na wiec bez zaproszenia wbili ludzie Orłowskiego. Największe żołnierskie męty tego świata...

– Tego ostatniego nie wiesz, tylko tak przypuszczasz – wtrąciła.

– Masz rację, może i są jakieś większe mendy, które ukrywają się Bóg wie gdzie.

– Wiesz, że nie o to mi chodzi.

– Dostałem durnego zakażenia, które uziemiło mnie na długi czas – podjął wyliczanie. – I zobacz, gdzie jesteśmy. – Zatoczył dłońmi półokrąg w powietrzu. – Na jakimś totalnym zadupiu, zdani na łaskę i niełaskę jakichś popieprzonych dzikich dzieci, a z Arturem z chwili na chwilę jest coraz gorzej. Nie wspominając o tym, że mamy coraz mniejsze szanse na dogonienie Izy i Ernesta, którzy postanowili wyjechać w najdłuższą i może najniebezpieczniejszą podróż od czasu wojny...

– A wyprawa do biblioteki po książkę?

Hubert już otworzył usta, żeby kontynuować dyskusję, ale po chwili je zamknął. Tamta wyprawa, nieważne, czy była snem, czy prawdą, skończyła się naprawdę tragicznie. W pokoju zapanowała cisza, przerywana jedynie szybkim, chrapliwym oddechem Artura.

– Dobrze się zastanów, czego tak naprawdę się obawiasz.

Zuza odwróciła się do garnka, nałożyła na łyżkę odrobinę gulaszu i spróbowała. Hubert wpatrywał się w nią niewidzącym wzrokiem. Były dziesiątki rzeczy, których człowiek mógł się obawiać w obecnych czasach – demonów, dezertów, choroby, na którą nie ma lekarstwa, utraty bliskich, zbyt małych plonów, głodu, a nawet bólu zęba bez możliwości udania się do dentysty. Jego jednak męczyła jeszcze jedna kwestia – a co, jeśli to wszystko, co go otacza, to nadal sen? Co zrobi, gdy ponownie obudzi się w Paryżu jako siedemnastolatek... albo w jeszcze innym miejscu i czasie?

Wszystko wokół niego zdawało się takie realne, czuł radość i ból, ale przecież tak samo było, gdy po raz pierwszy znalazł

się w Świącinie. Doskonale pamiętał swoją krótką rozpacz po śmierci Henryka i Izy, a później kule przeszywające jego ciało.

Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi. Otworzył je z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Na progu ponownie stał Igor.

– Cześć. – Uniósł swoją torbę.

Miał na sobie tylko krótkie spodenki i skórę z sarny.

– Cześć. – Hubert przepuścił go w drzwiach. – Tobie nie zimno?

Gość wzruszył ramionami. Pachniał lasem i dziką zwierzyną. W pokoju wyjął kolejną butelkę wypełnioną wywarem. Tym razem była większa.

– Do jutra wystarczy – powiedział.

– A kiedy przejdzie mu zupełnie?

– Jutro? Pojutrze?

Hubert sapnął cicho. Kolejne stracone dni.

– W lesie grasuje demon. Na razie nie wychodźcie poza teren wsi – przestrzegł Igor.

– Taki, który gwizdże? – upewnił się Hubert. – Ten akurat nie jest szkodliwy, można go zignorować.

Gość spojrzał na niego w zadumie.

– Uważajcie na siebie – powiedział w końcu i skierował się ku drzwiom.

– Poczekaj! – zatrzymał go Sierpień. – Zaraz będzie gulasz z kaczki. Zjedz z nami. Opowiesz nam o swojej osadzie, a my powiemy ci, z jakiej my pochodzimy.

– Jadłem już. – Pokręcił głową, po czym wyszedł do przedpokoju.

Hubert ruszył za nim.

– Przyjdę jutro – rzucił Igor na progu, po czym wyszedł na deszcz.

– Dziwny koleś – stwierdził Sierpień, wracając do pokoju. – Miałem nadzieję, że skusi się na ten gulasz i dowiemy się czegoś o reszcie jego pobratymców, ale mam wrażenie, że cały świat zewnętrzny, to znaczy ten poza jego lasem, w ogóle go nie interesuje. Aż dziw, że nam jeszcze pomaga.

Zuza poła właśnie Artura lekiem.

– Nie wydaje ci się, że jego objawy są dość podobne do tych, które się ma po naznaczeniu przez biesa? – zastanowił się Hubert, patrząc na chorego.

– To nie bies go zaatakował.

– No cóż. Masz rację. Tylko wariat porwałby się na próbę zdobycia śliny biesa. Ale – w zadumie pogłodził się po brodzie – ani Igor, ani reszta dzieciaków nie wyglądali na normalnych.



Na zewnątrz zapadła wieczorna szarówka. Hubert suszył przy kominku buty, starając się przy okazji ich nie spalić. Znów wybrał się po drewno, wodę i zadbać o konie, a deszcz nadal padał. Zuza siedziała w fotelu z zamkniętymi oczami, ale dałby głowę, że wcale nie spała, tylko sprawdzała swoim radarem okolicę. Godzinę wcześniej Artur przebudził się na jakiś czas i nawet trzeźwo z nimi porozmawiał, zjadł odrobinę gulaszu, po czym znów zapadł w sen.

Sierpień po raz wtóry obliczał w głowie, o ile dni jest już w tyle w porównaniu z przyjaciółmi, którzy pierwsi wyruszyli do Groty. Naraz usłyszał stukanie kopyt. Poderwał się z krzesła, złapał karabin, oparł się bokiem o ścianę i dyskretnie wyjrzał przez okno. Zuza w międzyczasie zgasła

świeczki palące się na stole. W pokoju zapanował półmrok rozświetlany jedynie przez ogień w kominku.

Na drodze zatrzymał się jakiś jeździec, zeskoczył z konia i od razu ruszył w stronę domu, po czym załomotał do drzwi.

Hubert otworzył je, mierząc do gościa z karabinu.

– Musicie stąd wyjechać – rzucił ponaglająco Igor.

– Dlaczego? – Sierpień usłyszał stukot kopyt i zobaczył drugiego jeźdźca. Widział zaledwie jego sylwetkę, ale dałby głowę, że znad ramienia wystaje mu kołczan ze strzałami.

– W stronę wsi zbliżają się obcy.

– Skąd wiesz?

– Mówiłem ci, że wiemy o wszystkim, co dzieje się w okolicy.

Nadchodziła noc, a do tego lał deszcz. Jeżeli ktokolwiek wędrował w okolicy, na pewno zmierzał do tej miejscowości, żeby się w niej zatrzymać. Ale czy to naprawdę oznaczało coś złego?

– Może to normalni ludzie? – zastanowił się Hubert. – Tacy jak my, zwykli podróżnicy?

– Wczoraj się urodziłeś? – Igor posłał mu protekcyjnalne spojrzenie. – Zresztą to żołnierze, którzy przejeżdżają tędy co jakiś czas. Uwierz mi, że z nimi nie chcesz się spotkać.

– I co mam zrobić? – Sierpień machnął dłonią za siebie, w głąb przedpokoju. – Zapakować Artura na konia i liczyć, że nie umrze?

– Dokładnie tak.

– Chyba oszalałeś!

– Spakujcie cały wasz dobytek, zabierzemy was do naszego domu.

Huberta zatkało. Do tej pory Igor bardzo pilnie strzegł tajemnicy swojej osady. Nie chciał zdradzić o niej zupełnie nic, a teraz nagle zapragnął ich tam ścigać? Nie trzeba było mieć manii prześladowczej, żeby nabrać podejrzeń.

– Znam ich, jak tylko zobaczą najmniejszy ślad, że ktoś tu był, znajdą go i zabiją.

*Znowu żołnierze – przemknęło Hubertowi przez myśl. I znowu są źli. Coś jest chyba bardzo nie tak z tym zawodem. A może to ludzie z Groty...? Albo Igor z resztą wesolej bandy dzikusów postanowił zabrać nas do siebie i tam pozabijać.*

Nagle obawy Artura co do kanibali mieszkających w lesie nie sprawiały już wrażenia takich kuriozalnych.

– Dlaczego chcesz nam pomóc? – zapytał.

Igor rzucił spojrzeniem za siebie, na drugiego jeźdźca.

– Nie mamy teraz na to czasu – powiedział. – Albo jedziecie z nami, albo my umywamy ręce od waszej śmierci.

Hubert się odwrócił. W drugim końcu przedpokoju stała Zuza, ale w tych ciemnościach nie widział jej twarzy.

– Dobra. – Pokiwał głową. – Zbieramy się – zwrócił się do dziewczyny.

Nie mieli wielu bagaży, poza tym potrafili spakować się w naprawdę imponującym tempie. Zuza ogarniała rzeczy w domu, Hubert pobiegł przygotować konie. Na sam koniec zostawili kwestię tego, jak przetransportują Artura.

– Przerzućcie go przez siodło i przywiążcie – powiedział Igor.

– Przecież taka podróż może go zabić – zaprotestował Hubert.

– Może, a żołnierze zrobią to na pewno.

Kiedy byli już gotowi, wyprowadzili konie na drogę. Iga, która nie zsiadła ze swojego wierzchowca, rzuciła im niechętne spojrzenie.

– Jedźcie za mną – odezwała się.

– A ty? – Hubert obejrzał się na Igora.

– Zatrę za wami wszelkie ślady. Żołnierze nie mogą się dowiedzieć, że ktokolwiek tu był i w jaką stronę zmierzał.

Sierpień skinął głową i wspiał się na Mokkę. W rękach cały czas trzymał karabin. Zerknął jeszcze na Zużę, upewniając się, że nadal ma przy pasku jego colta. Artur pojękiwał cicho, przerzucony przez siodło swojego konia.

Iga bez słowa ruszyła przez wieś, więc nie pozostało im nic innego, jak podążyć za nią. Wkrótce zagłębili się w las i choć było ciemno, Hubert dałby głowę, że jeszcze jakiś kilometr czy dwa, a na drzewach będą wisieć ozdoby z patyków, trawy, kości i piór. A im bliżej osady dzikusów, tym bardziej będą krwawe i niepokojące.

Przez cały czas zachowywali milczenie, dało się słyszeć tylko stukanie kopyt, oddech wierzchowców i pojękiwanie Artura.

Hubert miał wrażenie, że z chwili na chwilę las staje się coraz bardziej gęsty i stary, zupełnie jakby zbliżali się do samego serca pradawnego boru. Niepokoiło go, że tak naprawdę nie widział ani drogi, ani żadnych charakterystycznych punktów. Jeżeli z jakichś powodów będą musieli stąd uciekać, będą robić to praktycznie na ślepo. W pewnym momencie Mokka zaczęła się niepokoić. Strzygła uszami i rżała cicho, a gdy coś zaszeleściło kawałek dalej, prawie zerwała się do galopu.

– Ciii, spokojnie. – Sierpień nachylił się i poklepał ją po szyi.

Wkrótce jednak i on poczuł zapach krwi. Możliwe, że gdzieś na drzewie wisiał łeb sarny, którą Igor upolował przedwczoraj.

Nagle las się skończył i wyjechali na otwartą przestrzeń, choć nawet tu niewiele było widać. Deszcz wciąż mżył, a całe niebo było przesłonięte przez chmury. Wkrótce dotarli do zabudowań. Hubertowi udało się naliczyć kilka budynków pograżonych w ciemnościach. Czyżby wszystkie dzieciaki spały? *Raczej siedzą w krzakach i nas obserwują* – pomyślał.

Iga zatrzymała się i gwizdnęła w charakterystyczny sposób. Tuż obok rozległ się dźwięk uderzania o krzesiwo,

w ciemnościach błysnęła iskierka, spadła na hubkę i natychmiast zamieniła się w płomyk, który przeszedł na pochodnię. Na podwórku pojaśniało. Z ukrycia zaczęły wychodzić dzieci. Spoglądały ponuro na przybyszów, niezadowolone z ich obecności.

Iga zeskoczyła z konia. Dopiero teraz Hubert spostrzegł, że przez cały czas jechała na oklep.

Sierpień zsiadł z Mokki i zaczął odwiązywać od siodła Artura. Zuza natychmiast przyszła mu z pomocą. Gospodarze z kolei tylko obserwowali ich wilkiem.

– Gdzie mam go położyć? – zapytał Hubert.

– Za mną – mruknęła Iga. Wzięła od jednego z dzieci kaganek, odpaliła knot od pochodni i nie oglądając się za siebie, ruszyła do domu.

Sierpień przerzucił przyjaciela przez barki i podążył za nią. Przeszli przez ciemny korytarz, na którego końcu dziewczyna otworzyła przed nim drzwi do pokoju. W wątym świetle kaganka Hubert dostrzegł łóżko – tam właśnie położył Artura. Licząc, że Diuk będzie tutaj bezpieczny, wyszedł na podwórko, nie chcąc zostawiać Zuzy samej z bandą dzikich dzieciaków.

Iga poleciła im rozsiodłać konie i zaprowadzić je do stajni. Gdy to zrobili, usłyszeli tętent; to Igor wjechał do gospodarstwa. On również dosiadał wierzchowca na oklep.

– Dotarli do wsi – oznajmił ponurym tonem. – Zdążyłem w ostatniej chwili.

Hubert powiódł wzrokiem po twarzach dzieci, oświetlonych płomieniami. Było w nich coś pierwotnego i dzikiego. W beznamiętnych oczach krył się cień doświadczeń, jakich osoby w ich wieku nigdy nie powinny zaznać. Już teraz stanowiły godnych przeciwników, gotowych bez zmrużenia oka zabić każdego, kto stanie im na drodze. Za kilka lat staną się jeszcze bardziej niebezpieczne, niczym groźne drapieżniki.

Igor zaprowadził swojego wierzchowca do stajni, po czym zaprosił Huberta i Zuzę do domu. W największym pokoju znajdował się duży kominek. Jeden z chłopców w nim rozpałił.

– Siadajcie. – Gospodarz wskazał im ławy przy stole.

Pozostali mieszkańcy zajęli miejsca byle jak najdalej od przybyszów, nie ukrywając swojej niechęci do nich.

– Iga, przyniesiesz nam coś do picia? – poprosił Igor.

Dziewczyna z ociąganiem wyszła z pokoju.

– Rzadko mamy gości. – Gospodarz uśmiechnął się przeproszająco. – Ostatni raz był co najmniej kilka lat temu.

– I jak to się skończyło? – burknęła dziewczynka siedząca na parapecie.

– Chciał nas okraść – przyznał Igor.

– W tych czasach trzeba być ostrożnym. – Hubert pokiwał głową. Rozumiał nieufność dzieciaków, co nie zmieniało faktu, że ich zachowanie trochę go irytowało.

Jego wzrok padł na chłopaka, który wcześniej strzelał do niego z dmuchawki.

– Za sekundę wracam – powiedział łowca. – Zerknę do Artura.

Wyszedł z pokoju, odprowadzany podejrzliwymi spojrzeniami. Diuk spał, po nowej dawce leku gorączka spadła. Hubert odszukał w swoim bagażu dmuchawkę i wrócił z nią do salonu.

– To chyba twoje. – Podał broń chłopcu.

Ten wziął ją i obejrzał ze zmarszczonymi brwiami; najwyraźniej nie spodziewał się, że kiedykolwiek ją odzyska.

Iga wróciła z pełną tacą. Położyła ją na stole z takim rozmachem, że szkło aż zabrzęczało. Igor nalał wina do trzech kubków i poczęstował gości.

– Chce ktoś jeszcze? – zapytał, patrząc na pozostałych.

Nikt się nie odezwał. Najwyraźniej postanowili otwarcie bojkotować przybyszów.

Hubert poczekał, aż gospodarz upije pierwszy łyk, i dopiero wtedy sam skosztował rozwodnionego trunku. Albert pędził o wiele lepsze wino.

– Będziecie spali w jednym pokoju – odezwał się Igor. – Nie zamkniemy was w nim, ale lepiej, żebyście przed świtem go nie opuszczali.

Sierpień skinął głową.

Nagle Zuza odłożyła swój kubek, wstała i podeszła do okna. Jej wzrok zamglił się. Hubert chciał ją dyskretnie zatrzymać, złapać za rękę, ale nie zdążył, a nie chciał zrywać się za nią, żeby nie straszyc gospodarzy. Zauważył, że Iga położyła dłoń na rękojeści noża, wystającej z pochwy.

Zuza wyjrzała w ciemność.

– Martwi głosu nie mają – odezwała się lodowatym tonem.

– Wiecie co, jesteśmy zmęczeni. – Hubert powoli odsunął się od stołu. – Wczoraj niewiele spaliśmy, dziś też jeszcze nie zmrużyliśmy oka, a jest naprawdę późno. Zuza, idziemy.

Minęło kilka bardzo długich sekund, zanim na niego spojrzała. Jej wzrok nieco się rozjaśnił.

– Tak, pora spać – zdecydowała.

Sierpień uśmiechnął się do Igora, złapał dziewczynę za łokieć i wyprowadził do pokoju, w którym leżał Artur. Posadził ją na łóżku i pstryknął jej palcami tuż przed nosem.

– Uspokój się – warknęła na niego, odtrącając jego rękę.

– To ty się uspokój i ogarnij. O ile mi się wydaje, że można ufać Igorowi, o tyle te dzieciaki trochę mnie przerażają. Wyglądają, jakby tylko czekały, aż dostaną powód, żeby nas zlinczować. Czy ty w ogóle wiesz, co właśnie walnęłaś?

– Prawdę.

Hubert wywrócił oczami. Nie było sensu teraz o tym dyskutować.

– Możesz zająć drugie łóżko, ja się prześpię na podłodze – stwierdził, po czym rozłożył na deskach koc, a na miejsce poduszki rzucił bluzę.

Położył się i przykrył śpiworem. Nie było zbyt wygodnie, ale przecież sypiał już w gorszych warunkach.

Słyszał, jak Zuza kładzie się na łóżku.

– Oni coś ukrywają – odezwała się niespodziewanie.

– Co? – zapytał, podnosząc się na łokciach.

– Nie wiem. Ale bardzo nie chcę, żebyśmy to odkryli.

– Po tym, jak zachowywali się do tej pory, nie zdziwiłbym się, gdyby w co drugiej szafie mieli trupa – orzekł, po czym ziewnął przeciągle.

– Tak tylko ostrzegam, żebyś miał się na baczności – powiedziała to taki tonem, aż przeszedł go ciarki.



Hubert wstał, jak tylko przez okno do pokoju zaczęły się wlewać pierwsze promienie słońca. Zuza i Artur jeszcze spali, więc po cichu opuścił pokój i wyszedł z domu. Nadal było pochmurno, ale przynajmniej przestało już padać.

Podwórze tutaj było przestronne, otoczone budynkami gospodarczymi. Sierpień minął je, a jego oczom ukazała się wielka łąka, na której pasły się krowy i konie. Świnie grzebały w ziemi tuż przy chlewie. Wszędzie wokół wałęsały się kury i gęsi. Po prawej stronie znajdowały się sad oraz ogród warzywny. Po lewej zaś stała okazała wiata z wielkim stołem,

ławami i miejscem na ognisko. Wyglądała, jakby jeszcze przed wojną organizowano tutaj jakieś imprezy.

– Już na nogach? – usłyszał.

– Okoliczne lasy sugerują, że mieszka tu banda kanibali – odezwał się, widząc Igora. – Ale tutaj wszystko wygląda tak... tak normalnie.

– Tamte dekoracje mają właśnie służyć jako straszak.

– Powiem ci, że całkiem nieźle się sprawują.

– Wiem. Od pięciu lat nikt nie zapuścił się dalej niż wy.

Większość odpuszcza sobie jeszcze szybciej.

Razem ruszyli w stronę sadu.

– Stąd też te wasze skóry? Makijaż z błota?

– Tego akurat używamy na polowania.

– Całkiem skutecznie.

Widział Igora w akcji i musiał stwierdzić, że nie był wcale gorszy od dobrego myśliwego ze strzelbą. Poza tym, o ile się orientował, mieszkało tu zaledwie sześć osób, większość niepełnoletnich, musieli więc znaleźć sobie dobry system ochrony. Możliwe, że gdyby nie to, już ich by tu nie było.

– Od dawna tu mieszkacie? – zagadnął.

– Od samego początku.

Weszli do sadu między jabłonie z czerwonymi jabłkami zwieszającymi się ku ziemi.

– Jak to się stało, że... – Przez chwilę nie mógł znaleźć odpowiednich słów. – Wszyscy jesteście tacy młodzi. W osadach, które znam, jest jednak przeważająca większość dorosłych.

– Nasz wujek, to znaczy mój i Igi, prowadził tutaj zajęcia z surwiwalu. Przyjeżdżały tu całe wycieczki i kolonie dzieciaków. Nas też uczył... Kiedy wybuchła wojna, rodzice odesłali tutaj naszą dwójkę. Ojciec był lekarzem, a mama aptekarką. Stwierdzili, że muszą nadal pracować, ratować

ludzi. Myśleli, że to wszystko zaraz się skończy. A później wprowadzili zakaz podróżowania... – Igor wzruszył ramionami.

– Wiecie chociaż, co się z nimi stało? – zapytał Hubert ze współczuciem.

– Nie żyją. Po wszystkim pojechaliśmy z wujkiem ich szukać. A kiedy wracaliśmy, natknęliśmy się na kobietę z małym dzieckiem. To był Kornel, ten, który strzelał z dmuchawki. Wujek ich przygarnął. Później w gospodarstwie znaleźli się inni: Miłosz i Natałka, zagubione rodzeństwo bez rodziców, Sylwek z dziadkiem...

– I co się stało z dorosłymi?

Igor beznamyślnie wzruszył ramionami, jakby chciał ukryć prawdziwe uczucia.

– Mama Kornela była chora, zmarła niedługo potem. Dziadka Sylwka zaatakował demon. A wujek umarł trzy lata temu.

– Przykro mi.

– Dajemy radę przeżyć. To jest najważniejsze.

Hubert opowiedział mu o Dąbrówce, o tym, jak udało mu się tam dostać z rodzicami tuż przed podzieleniem kraju na sektory, o tym, jak zmarła jego mama, i o sąsiednich osadach.

– Myślę, że jest wiele wspólnot, które mogłyby was przyjąć. Do Dąbrówki kawał drogi, ale całkiem niedaleko znajduje się Mrocza. Co prawda byłem tam tylko raz, mimo to mieszkańcy wydawali się dobrymi ludźmi.

– A po co mielibyśmy się przeprowadzać?

– W większej grupie bezpieczniej.

– Jesteś pewien? – Igor posłał mu powątpiewające spojrzenie.

– Tak zawsze uważałem.

– Radzimy sobie doskonale. Nie jesteśmy od nikogo ani niczego zależni.

*Ale jeżeli tobie coś się stanie, te dzieciaki zostaną same –* dodał Hubert w myślach. *Choć może też sobie doskonale poradzą? Tylko jeszcze bardziej zdziczeją.*

– A co z tymi żołnierzami? – Hubert zmienił temat.

– Na razie siedzą we wsi.

– Wiesz, skąd pochodzą?

– Gdzieś z południa. – Igor wzruszył ramionami. – Czasem się tu zapuszczają.

– A czy ich miejscowość nie nazywa się czasem Grota?

– Nie mam pojęcia.

Mimo wszystko Hubert dałby głowę, że to ludzie Orłowskiego.

– Co skłoniło cię do tego, żeby ostrzec nas przed nimi?

Przez chwilę szli w milczeniu. Hubert zahaczył butem o jabłko leżące na ziemi. W powietrze wzbily się trzy osy.

– Zazwyczaj nie nawiązujemy kontaktu z obcymi. Ale ten wasz Artur był ranny, trochę z naszej winy, nie obronilibyście się sami...

– Dziękuję – powiedział Sierpień całkiem szczerze.

– No i wydawałeś mi się normalnym człowiekiem – dodał Igor. – Wtedy, kiedy spotkaliśmy się nad tą sarną, już myślałem, że mnie zastrzelisz.

– Niewiele brakowało, uwierz mi.

– A mimo wszystko zostawiłeś mi moją zdobycz. W twoich oczach nie widziałem strachu, może zaskoczenie na mój widok. Mogłeś odebrać mi sarnę, ale tego nie zrobiłeś. Jako myśliwy uznałeś moje prawo do niej.

– Taaa... – Hubert pokiwał głową.

Tak naprawdę nie przestraszył się na widok Igora odzianego w skórę i umazanego błotem, bo po prostu był w szoku. Wycofał się, bo nie chciał mieć do czynienia z takim dzikusiem.

– A ciebie co przekonało, że możesz mi zaufać? – zapytał Igor.

– To, że ja mam karabin, a ty nie – odparł.

Jego rozmówca się roześmiał. Podniósł z ziemi dorodne jabłko, wytarł je o koszulkę i ugryzł.

– Wcześniej mówiłeś, że żołnierze nadal są we wsi – odezwał się po chwili Hubert. – Skąd o tym wiesz?

– Bo przed świtem wybrałem się na małą wycieczkę.

– Jak myślisz, kiedy wyjadą?

– Może dziś, może jutro. – Igor wzruszył ramionami.

– Chcę ich zobaczyć – postanowił Hubert.

– Ale po co? Tu nam nie zagrażają. Nie wjadą do naszego lasu i niedługo odejdą.

– Bo istnieje szansa, że ich już kiedyś widziałem, i muszę się przekonać, czy to oni.

Igor cisnął w dal ogryzek od jabłka.

– Jestem temu przeciwny. – Pokręcił głową.

Sierpień już miał ochotę powiedzieć mu, że ma w poważaniu, co ten myśli, powstrzymał się jednak. Przecież był tutaj gościem, a Igor miał lekarstwo dla Artura.

– Umiem się skradać, dobrze poluję, sam zresztą się o tym przekonałeś. Żołnierze nawet się nie zorientują, że ich obserwuję.

– Jesteś tak samo uparty jak Iga – skwitował młody gospodarz.

– Coś mam jednak wrażenie, że ona bije mnie na łeb na szyję – zażartował.



– Nigdzie się nie oddalaj, a najlepiej nie wychodź z tego pokoju. Załóż teraz tę kaburę i nie odkładaj colta ani na chwilę – prowadził swoją tyradę Hubert. – Postaram się załatwić to naprawdę szybko.

– Uhm – mruknęła Zuza, ale jej mina sugerowała, że w ogóle go nie słucha albo ma zupełnie inne plany na najbliższe przedpołudnie.

– Słuchaj, to naprawdę nie są żarty. – Złapał ją za ramiona i spojrzał siostrze przyjaciela prosto w oczy. – Dziś widziałem, jak ta najmłodsza dziewczynka znalazła zdechłą mysz, oskórowała ją i zaczęła wplatać w jedną z tych ozdób do lasu.

– Sam przecież uznałeś, że to dobry system ochronny – wytknęła.

– Siedmioletnie dziecko powinno mieć inne zabawki niż zdechłe zwierzęta.

– Dlaczego? – zapytała wyzywająco.

Na to nie umiał znaleźć odpowiedzi.

– W każdym razie Igor pamięta jeszcze czasy sprzed ostatniej wojny. A te dzieciaki albo były zbyt małe, żeby je zapamiętać, albo w ogóle ich nie poznały. Na pewno mają zachwiane wszelkie zasady moralne...

– Na siłę dorabiasz teorię. – Dziewczyna machnęła ręką. – Idź już zobaczyć tych żołnierzy, skoro tak bardzo musisz.

Hubert wyprostował się i skierował do wyjścia, lecz w progu się odwrócił. Artur właśnie się przebudził, więc Zuza podała mu butelkę z lekarstwem. Sierpniowi nie podobało się to, że zostawia ich tutaj samych z tymi dzieciakami. Mimo to czuł, że musi sprawdzić, czy żołnierze ze wsi to ludzie Orłowskiego. Na razie jednak nie miał pojęcia, co robi, jeśli okaże się, że tak.

Wyszedł na podwórko, gdzie czekał na niego Igor. Miał na sobie swój normalny wyjściowy strój, czyli krótkie spodenki oraz skórę z sarny, a do tego cały był wymazany błotem.

Mokka została już osiodłana, drugi wierzchowiec miał na sobie tylko domowej roboty ogłowie.

Opuścili gospodarstwo i ruszyli drogą w stronę wsi.

– Czy to jest...? – zaczął Hubert, patrząc na poszarzałą kość wiszącą na gałęzi.

– Ludzka miednica? Tak.

– Skąd...?

Sierpień już miał w głowie obraz, jak Igor oraz Iga przeprowadzają sekcję zwłok na własnym wujku tylko po to, aby wyciągnąć z niego kości i porozwieszać je na drzewach. Aż się wzdrygnął.

– A mało to ludzkich szczątków zostało po wojnie? Akurat ten szkielet znaleźliśmy w jednym z domów we wsi. Czaszkę, piszczele i żebra umieściliśmy w innych miejscach. Może i powinniśmy biedaka pochować, pewnie zasłużył na prawdziwy grób z krzyżem, ale jemu te kości już nie są potrzebne, a nam się naprawdę przydają.

Hubert pokiwał głową. Ludzi, którzy umierali teraz, trzeba było pochować, ale gdyby chcieli grzebać w ziemi wszystkie szczątki znalezione chociażby podczas jednego szabru, nie mieliby czasu na nic innego.

– Jak jechaliśmy z drugiej strony, to widziałem przybite do pnia głowy sarny i psa – odezwał się.

– Sarnę upolowałem kilka dni temu.

– A pies?

– Znalazłem go już martwego w lesie. Dorwało go jakieś inne zwierzę, albo może większy pies.

Teraz, gdy poznał artystów oraz ich pobudki, ozdoby na drzewach nie wyglądały już tak niepokojąco. Poza tym Hubert sam przecież powiesił na płocie w Dąbrówce czaszkę biesa, mając nadzieję, że wzbudzi ona respekt wśród ewentualnych wrogów.

W pewnym momencie zbieczyli z drogi i wjechali w las. Konie zostawili w niewielkiej zagrodzie na polance. Na rogach drewnianego ogrodzenia sterczały ku górze zaostrome kije, a każdy był przyozdobiony czaszką: człowieka, jelenia, dzika i konia. Wszędzie wokół wisały inne amulety.

– Nikt jeszcze się tu nie zapędził – powiedział Igor. – Ale wolimy dmuchać na zimne. Wiesz, sama zagroda wygląda tak zwyczajnie, ludzko. Jeszcze czasem ktoś by pomyślał, że używa jej ktoś normalny do trzymania tu konia.

– Gdybym dotarł tu sam, pewnie uznałbym, że to banda kanibali przetrzymuje tutaj swoje przyszłe ofiary – odparł Hubert.

– I o to chodzi. – Igor puścił do niego oko.

Mokka parsknęła i zarzuciła łbem. Nie wyglądała na zachwyconą, że musi zostać w takim miejscu, jednak towarzystwo drugiego konia najwyraźniej koiło jej nerwy.

Dalej ruszyli pieszo, skradając się przez las. Jeśli Hubert kiedykolwiek był przekonany o tym, że potrafi cicho poruszać się po takim terenie, teraz doszedł do wniosku, że nie dorasta swojemu nowemu towarzyszowi do pięt. W mundurze i ciężkich wojskowych butach czuł się tak niezdarnie jak dziecko, które dopiero co nauczyło się chodzić. Wciąż zahaczał o jakieś gałązki, które przy tym szeleściły, co jakiś czas coś trzeszczało mu pod nogami. Igor zaś szedł pewnie przed siebie, jego białe stopy bezszelestnie stąpały po ziemi, bezbłędnie omijał wszelkie przeszkody. Co jakiś czas przystawał, nasłuchując, a gdy coś go zaniepokoiło, opadał na czworaka. Z odległości kilku metrów prawdopodobnie wyglądał wtedy jak dzikie zwierzę. Sierpień już się nie dziwił, jakim cudem był w stanie podejść tak blisko stada saren.

W pewnej chwili usłyszeli w oddali ludzkie głosy. Igor od razu przypadł do ziemi, podobnie postąpił Hubert. Porozumieli

się wzrokiem. Żołnierze najprawdopodobniej opuścili już wieś i wbrew oczekiwaniom zagłębili się w las.

Od tej pory dwóch myśliwych musiało zachować absolutną ciszę. Bardzo powoli skierowali się w stronę drogi.

– Kanibale, mówię wam, to na pewno kanibale – dotarł do nich nieco przestraszony głos.

– Dupa nie kanibale – prychnął ktoś inny. – Jakimś svirom odbiło po apokalipsie i zaczęli składać krwawe ofiary pogańskim bogom.

– Mało to wariatów teraz po świecie się szlaja?

Hubert i Igor podczołgali się na tyle blisko drogi, że mogli między drzewami dostrzec sześciu żołnierzy.

– Zasady są proste – odezwał się jeden z nich. – Rozdzielacie się, idziecie w las, oczywiście nie dajecie się zabić i za jakąś godzinę wracacie z trofeum.

Trzech młodych chłopaków wymieniło się niepewnymi spojrzeniami.

– Wygrywa ten, który przyniesie najstraszniejsze lub najbardziej krwawe znalezisko.

*Też nie mają co w wolnym czasie robić* – pomyślał z ironią Hubert.

Młodzi żołnierze ruszyli drogą przed siebie. Byli bladzi, wystraszeni i najwyraźniej zdeterminowani, żeby udowodnić własną odwagę. Po kilkudziesięciu metrach rozdzielili się i weszli w las. Trzech pozostałych żołnierzy, wyglądających na zaprawionych w boju i takich, którym brakowało rozrywki, rozsiadło się na poboczu.

– To teraz trochę tu poczekamy – odezwał się jeden, po czym wyjął z kieszeni flaszkę.

Pociągnął z niej solidny łyk, następnie podał ją towarzyszowi.

– Widzieliście ich miny? – prychnął kolejny. – Myślałem, że narobią w gacie.

– Poczekaj, jeszcze mają na to czas.

– Naprawdę nie macie pojęcia, kto to wszystko zrobił?

– Diabli wiedzą. Jakiś wariat. Na początku myśleliśmy, że w krótkim czasie zdechnie, ale za każdym razem, jak tu jesteśmy, widzimy nowe ozdóbki. – Mężczyzna w nieco za małym mundurze machnął ręką w stronę wysokich gałęzi drzew.

– Może jest ich kilku? Albo kilkunastu? Nie boicie się, że kiedyś coś im odwali i was zaatakują? – Jego kolega rozejrzał się nerwowo.

– Dlatego jak zatrzymujemy się w tej wsi, zawsze wystawiamy warty.

– Nie lepiej byłoby wysłać tu większy oddział i ich po prostu wyrznąć co do jednego?

– Zawsze brakuje ludzi. A las jest wielki, może się tu ukrywać naprawdę sporo tych dzikusów. Dopóki nas nie zaczepią, też zostawiamy ich w spokoju. Czasem tylko pozwalamy sobie na odrobinę rozrywki i postraszenie młodych.

– Nie jestem taki pewien, czy to dobry pomysł. Słyszałem, że w tym lesie siedzi mnóstwo demonów.

– Dlatego to my mamy broń, a nie młodzi.

Hubert zajął wygodniejszą pozycję w krzakach. Wyglądało na to, że posiedzą tu trochę dłużej, niż planowali. Sądząc po minie Igora, ten chciał mieć pewność, że trójka młodszych żołnierzy wróci tutaj i wszyscy razem opuszczą las.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Mężczyźni rozmawiali o błałych rzeczach, mówili o obcych ludziach, czasem rzucali jakimś nazwiskiem czy przezwiskiem, ani razu jednak nie padło „Orłowski” czy „Grota”, ani nawet imiona ludzi, których

Hubert poznał podczas wiecu w Piasecznie. A może oni po prostu nie mieli nic wspólnego z tą znieawidzoną jednostką? Sierpniowi trudno było się z tym pogodzić.

Igor z kolei wciąż miał skupioną minę i uważnie chłonał każde słowo. Hubert pomyślał, że chłopak tak samo obserwował jego i Zuzę oraz Artura, kiedy wjechali do jego lasu, i po plecach przebiegł mu nieprzyjemny dreszcz. Cieszył się, że w końcu są po tej samej stronie.

Upłynęła godzina, nim na drodze rozległy się kroki i wesołe gwizdanie. Trzech żołnierzy poderwało się na równe nogi i wycelowało przed siebie. Szybko jednak opuścili broń, kiedy okazało się, że nadchodzi jeden z nich.

– To będzie chyba trudno przebić – powiedział nowo przybyły, po czym rzucił coś na ziemię.

Hubert wysilił wzrok. Prawdopodobnie patrzył właśnie na głowę jelenia, na wpół zezartą przez larwy.

– Boże, jak to cuchnie – stwierdził jeden ze starszych żołnierzy, zasłaniając rękawem usta i nos.

– I krwawe, i straszne – pochwalił się młody.

– Weź to walnij gdzieś dalej. A tamtych dwóch widziałeś?

– Nie, ale powiem wam, że im dalej, tym gorzej. – W głosie chłopaka zabrzmiał strach.

– A może ten kanibal już ich dorwał? – zażartował jeden ze starszych żołnierzy.

Hubert zerknął pytająco na swojego towarzysza. Czy to możliwe, że jego podopieczni znów postanowili schwytać ludzi, którzy przekroczyli granice ich lasu? Igor jednak pokręcił głową. A jeśli dwójka młodych żołnierzy zapędziła się tak daleko, że dotarła do samego gospodarstwa? Sierpnia ogarnął niepokój.

Nagle cała czwórka siedząca przy drodze poderwała się na równe nogi. Ktoś biegł w ich stronę. Wycelowali w niego

karabiny, a Hubert napiął wszystkie mięśnie, gotów na wszystko, co mogło się stać. Ale żołnierze odetchnęli i opuścili broń.

– A tobie gdzie się tak spieszy? – zaśmiał się jeden.

– Tam coś jest! – zawołał niemal płaczliwym tonem zdyszany, młody żołnierz.

Zatrzymał się dopiero, gdy dotarł do kolegów.

– Niby co?

– Nie wiem, słyszałem... coś... coś wielkiego... warczało na mnie z krzaków!

– Stary jak koń, a się dzikiego psa wystraszył!

– To nie był pies!

– Gdzie twoje trofeum?

Żołnierz spojrzał na swoje puste dłonie.

– Zdejmowałem właśnie z drzewa ludzką czaszkę, kiedy usłyszałem to coś.

– Jasne – burknął jego kolega. – I co jeszcze? A może znalazłeś też ponadgryzane zwłoki?

– Serio wam mówię, że tam coś jest! – Wskazał ręką za siebie.

– A taki odważny był wczoraj w nocy! – roześmiał się najstarszy żołnierz. – „Nie boję się lasu! Ani świra, który w nim siedzi”. Akurat!

– A gdzie Zygmunt? – Dopiero teraz nowo przybyły zauważył, że brakuje jednej osoby.

– Jeszcze na niego czekamy.

– Ale godzina już przecież minęła! Powinien już tu być.

– Może spotkał tę samą bestię co ty, osrał się po gaciach i teraz usiłuje doprowadzić się do porządku.

Młodemu jednak nie było do śmiechu. Pozostałym miny również zrzędyły, kiedy usłyszeli strzały. Spojrzeli po sobie, jakby szukając potwierdzenia, że się nie przesłyszeli. Dopiero

po chwili przypomnieli sobie o wojskowym szkoleniu – odwrócili się do siebie plecami i zaczęli nerwowo mierzyć we wszystkie strony. Mroczna atmosfera tego miejsca zrobiła swoje – pojawiły się u nich pierwsze oznaki paniki.

– Co teraz robimy? – zapytał cicho jeden z żołnierzy.

– Idziemy go szukać?

– Spadajmy stąd.

– Wynosimy się.

– Ale nie możemy go tak zostawić!

Rozgorzała dyskusja, którą po niecałej minucie przerwał wrzask.

Hubert poczuł stuknięcie w ramię, po czym zerknął na Igora. Ten dał mu znak, że pora się wycofać. Bardzo powoli zaczęli się wyczołgiwać z krzaków. Musieli zachować skrajną ostrożność, bo gdyby którykolwiek z żołnierzy usłyszał szelest, prawdopodobnie bez zastanowienia zaczęłby strzelać w ich stronę.

Po lesie znów poniosły się strzały i krzyk.

Znaleźli się już dość daleko od żołnierzy, choć nadal słyszeli ich kłótnię na temat tego, co robić. I wtedy Hubert to poczuł. Już wiedział, dlaczego żołnierz strzelał i wrzeszczał, jakby obdzierali go ze skóry.

– Bies... – szepnął.

Igor odwrócił się do Huberta i spojrzał pytająco.

– Tam jest demon. – Sierpień zatrzymał towarzysza. – We dwóch z jednym karabinem nie damy mu rady.

– Skąd wiesz?

– Po prostu mi zaufaj.

Po lesie odbiły się echem jakieś huki, po nich nastąpił ludzki skowyt, który gwałtownie się urwał.

– Tamtym chłopakiem nie musimy się już przejmować. – Hubert pokręcił głową.

Zaczął się zastanawiać, czy zdołają ominąć biesa, dotrzeć do koni i wrócić do domu. Może demon zajmie się żołnierzami i nie będzie za nimi podążał? Przypomniał sobie o innym biesie, który poprzedniej zimy co noc przychodził do Dąbrówki, żeby zabijać. Jeżeli ten też odkryje, gdzie jest gospodarstwo... Zaklął w duchu. Mieli tylko jeden karabin i jeden pistolet – zbyt mało, żeby stawić czoła biesowi.

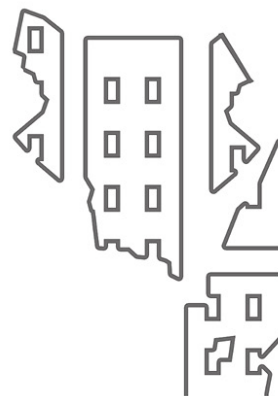
Naraz na drodze rozległy się krzyki, wystrzały i wściekłe warczenie. Igor przypadł do ziemi i pociągnął za sobą Sierpnia. Kilkadziesiąt metrów za nimi rozpętało się piekło. Demon musiał wpaść między ogarniętych paniką żołnierzy. Strzelali do niego, wrzeszczeli, ale nie tak łatwo było zatrzymać tego potwora.

– Wynośmy się stąd, zanim wyczuje i nas – stwierdził Hubert.

Pospiesznie skierowali się w stronę zagrody dla koni. Teraz nie musieli już zachowywać takiej ostrożności jak wcześniej, ważniejszy był czas – żeby jak najszybciej się stąd oddalić. Choć coraz cichsze, nadal dochodziły do nich krzyki konających i gniewne pomrukiwanie.

Kilkanaście minut później wszystko nagle się uspokoiło. Żołnierze albo uciekli, albo wszyscy zginęli. Jakkolwiek by było, nie stanowili już niebezpieczeństwa. W przeciwieństwie do biesa, którego Hubert nadal doskonale wyczuwał.





## Rozdział XIII

Przemierzali las szybkim krokiem. Hubert ledwie się powstrzymywał, żeby nie rzucić się do biegu. Jego serce waliło jak młotem, mięśnie drżały z napięcia, dłonie zaciskały się na karabinie tak mocno, aż zbiały.

Najgorsze jednak było to, że bies najwyraźniej nie nasycił się swoimi ofiarami i zaczął się przemieszczać. Przez jakiś czas Sierpień miał nadzieję, że bestia po prostu zawlecze jedną ze zdobyczy do swojego barłogu, ale szybko ją porzucił. Czuł, że demon zaczął niespiesznie podążać za nim i Igorem.

Jak się przed nim ukryć? Czy ucieczka na koniach wystarczy? A może tak tylko zaprowadzą go do gospodarstwa? Może należy zmylić trop? Albo zastawić na niego pułapkę? Wiedział jednak, że mają zbyt mało czasu na podjęcie jakiegokolwiek decyzji.

Wreszcie dotarli do zagrody i Hubert odetchnął z ulgą. Mokka radośnie ruszyła w jego kierunku. W głębi serca obawiał się, że demon mógł przyjść tutaj wcześniej i zabić oba wierzchowce. Pospiesznie osiodłał klacz. Igor z kolei

zachowywał się zupełnie inaczej: wyprowadził swojego konia z zagrody. Jego ruchy były spokojne i niespieszne. Pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy ze zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Nagle cały świat wokół nich wstrzymał oddech. Drzewa znieruchomiały, wiatr przestał szumieć w liściach, zamilkły nawet owady w trawie. Bies zaczął nowe polowanie.

Hubert wyczuł jego zainteresowanie kolejnymi ludźmi; nie bał się ich, tak naprawdę nikogo nie musiał się bać. Wyszedł spomiędzy drzew, jakby był właścicielem całego lasu. To oni znaleźli się na jego terenach łowieckich.

Sierpień uniósł karabin. Zastanawiał się, czy wystarczy mu nabojów. Możliwe, że nie. Oceniał, że powinien celować w najbardziej czułe punkty, i spojrzał prosto w czarne ślepia. Wielka bestia o gęstym szarym futrze niespiesznie zmierzała w jego stronę. Jej pysk i tors były zalane ludzką krwią.

Mokka ze strachem rzuciła się w najdalszy kąt zagrody.

– Czekaj! – Igor nagle przypadł do Huberta i złapał go za ramię. – Nie strzelaj!

Sierpień szarpnął się, zły, że na chwilę stracił demona z celownika.

Bies nadal niespiesznie szedł w ich stronę. Zupełnie jakby już się nasycił, a teraz chciał zabić tylko dla zabawy.

– Nie strzelaj – warknął Igor, po czym stanął tuż przed Hubertem.

– Co ty wyprawiasz?! – Sierpień chciał go odepchnąć, ale ten uskoczył.

– Nie zabijesz tego demona!

– Wiem, że jest odporny na kule, ale chociaż spróbuję!

Przesunął się w bok i znów wymierzył w biesa, który zamiast atakować, po prostu usiadł. Dla Huberta był to widok dość niezwykły – jeszcze nigdy nie widział tej bestii w takiej pozycji.

Zazwyczaj atakowała z wściekłością, a nie siedziała jak... jak pies.

Co więcej, dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie wyczuwał już u demona żądy krwi ani mordy. Była to raczej nieufność wymieszana z zainteresowaniem.

– Nie zrobisz tego, bo to mój demon – powiedział Igor.

Huberta dosłownie zatkało. W niemym przerażeniu patrzył, jak jego towarzysz zbliża się do biesa, wysuwa dłoń i... klepie go po łbie. Nagle bies się szarpnął i chwycił jego przedramię w zęby. Sierpień znów uniósł karabin, ale Igor odepchnął stwora, wyciągając całą rękę.

– Wiesz, że on ma w ślinie... – zaczął Sierpień, bo nie miał pojęcia, co innego mógłby powiedzieć.

– Substancje halucynogenne? Wiem, ale trzeba byłoby mieć otwartą ranę, żeby zadziałały.

Hubert opuścił karabin i zerknął za siebie. Przestraszona Mokka nadal tkwiła w najdalszym kącie zagrody. Z kolei drugi koń wyszedł za ogrodzenie i spokojnie skubał trawę, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy z obecności demona.

– Twój demon? – powtórzył Sierpień.

Igor pokiwał głową.

– Ma na imię Bajka.



Tego wszystkiego było dla Huberta zbyt wiele. Usiadł na ziemi i położył zabezpieczony karabin na kolanach. Igor dołączył do niego, a bies rozłożył się w trawie i zaczął się przeciągać.

– I naprawdę za niego ręczysz? – upewnił się.

– Atakuje tylko obcych.

– A ja kim dla niego jestem?

– Tego nie byłem pewien, dlatego zacząłem z tobą uciekać jak najdalej od tych żołnierzy. Miałem nadzieję, że Bajka zajmie się nimi i odejdzie. Ale najwyraźniej bardzo ją zainteresowałeś.

– Zainteresowałem – sapnął. – Biesa.

– Tak go nazywacie?

– Pasuje do opisu z demonologii. – Wzruszył ramionami. – Jakim cudem udało wam się go oswoić?

– Znaleźliśmy ją, jak była mała. Na początku nawet mieszkała z nami w domu, ale później wyniosła się do lasu i tylko czasem nas odwiedza.

Demon otworzył wielką paszczę i ziewnął. *Prawie jak Klakier* – pomyślał Hubert. Owinnik jednak nie miał na sumieniu tylu ludzi, jego futro nie było splamione krwią. Może w stosunku do Igora i pozostałych bies zachowywał się jak niemal udomowione zwierzę, ale dla obcych nie miał litości. I na dobrą sprawę dlaczego ich zabił? Tylko dlatego, że wtargnęli na jego teren; to nie była kwestia przetrwania. Sierpień wraz z Zuzą i Arturem nawet nie zdawali sobie sprawy z tego, jakie mieli szczęście, że nie trafili na niego, gdy przed trzema dniami wjechali do tego przeklętego lasu.

– Pora się zbierać. – Igor podniósł się z ziemi.

Hubert również wstał, ale na wszelki wypadek zrobił to bardzo powoli, żeby bies, który wciąż obserwował go jednym okiem, nie uznał tego za atak.

Mokka w ogóle nie chciała wyjść z zagrody i dopiero kiedy demon w końcu sam postanowił się oddalić, pozwoliła się wyprowadzić, choć reagowała nerwowo na każdy, nawet najcichszy szelest w lesie.



Zaledwie zbliżyli się do gospodarstwa, na spotkanie wybiegli im najmłodszy podopieczni Igora.

– Kornel widział żołnierzy! – zakrzyknęła od razu najmłodsza dziewczynka.

– Co ty opowiadasz? – zaniepokoił się Igor, zsiadając z konia. Na pieszo ruszyli w stronę budynków.

– Kornel! Powiedz mu!

– Chciałem upolować zająca na obiad – zaczął mówić chłopiec w skórze lisa, wymachując swoją dmuchawką. – A on siedział na drzewie!

– Zając? – zapytał Hubert.

– Nie, żołnierz. – Kornel spojrzał na niego jak na idiotę. – Dobierał się do czaszki psa.

– Zobaczył cię? – Igor posłał mu surowe spojrzenie.

Chłopiec ze wstydem pokiwał głową.

– Nie spodziewałem się... ja nie wiedziałem, że on będzie na drzewie...

– I co dalej?

– Strzeliłem do niego. I trafiłem prosto w ramię – dodał, jakby się usprawiedliwiając. – Ale trucizna nie zdążyła zadziałać. Zeskoczył z drzewa i zaczął mnie gonić.

– Chryste... – jęknął Igor.

– Ale się ukryłem w jamie. Tej niedaleko krzywego dębu.

– Mam nadzieję, że cię tam nie znalazł?

– Krążył niedaleko. Wołał mnie, coś tam gadał o jakimś trofeum. Mówił, że mnie nie skrzywdzi, ale ja już wiedziałem swoje.

– Mówiłeś, że zajrzał do jamy – wytknęła Natałka.

Kornel spuścił głowę.

– No zajrzał – przyznał. – Chciał wyciągnąć mnie za nogę! Kopałem go i się broniłem! A nie mogłem załadować dmuchawki. Ale na szczęście dostał omamów i mnie puścił.

– I wtedy przyszła Bajka – zakończyła dziewczynka z dumą, po czym spojrzała spłoszonym wzrokiem na Sierpnia i gwałtownie zatkała dłońmi usta.

Najwyraźniej mieli zakaz opowiadania swoim gościom o udomowionym biesie.

– Hubert właśnie poznał Bajkę – powiedział Igor.

Cała czwórka dzieciaków wybałuszyła oczy.

– Prawdziwy pieszczoł z niej – rzucił ironicznie łowca.

– I nie zjadła cię? – zapytał podekscytowany Sylwek.

– Jak widać. – Sierpień rozłożył ręce.

Igor zaczął strofować Kornela, że miał nie opuszczać domu pod jego nieobecność; Hubert szybko przestał ich słuchać. Coś innego przykuło jego uwagę – w gospodarstwie był kolejny demon, a nawet dwa, wyraźnie to wyczuwał.

Weszli między budynki. Sierpień od razu zaczął się rozglądać wokół, opierając dłoń o karabin. Najpierw dostrzegł w sadzie siedzącego na kocu Artura. Diuk nadal był blady, ale sam fakt, że zdołał wstać z łóżka, świadczył, że lekarstwo Igora pokonało truciznę. Nieopodal Iga uczyła Zuzę strzelać z łuku. Hubert nie miał pojęcia, jakim cudem dziewczyny dogadały się tak szybko. Przecież jeszcze rano nastolatka wyglądała, jakby miała ochotę udusić gołymi rękami całą trójkę gości.

Wtem w trawie rozległ się warkot, po czym z sadu wystrzeliła czarna, kudłata smuga, a tuż za nią popędziła kolejna.

Łowca przetarł twarz, bo przez chwilę dałby głowę, że dwoi mu się w oczach.

Klakier zatrzymał się gwałtownie, a drugi, niemal identyczny owinnik skoczył na niego i oba przerośnięte koty zaczęły tarzać się po ziemi, prycając i powarkując. Może demony nie

były dla siebie zbyt delikatne, ale z całą pewnością była to zabawa.

– Czy... to...? – zaczął Igor.

Chociaż raz był bardziej zaskoczony od Huberta.

– Widzę, że macie swojego owinnika – odezwał się Sierpień.

– Ale...

– Szczerze mówiąc, jestem trochę zdziwiony, bo od kilku lat nie widziałem innego przedstawiciela tego gatunku.

– Owinnika? – powtórzył Igor.

Hubert pokiwał głową. W międzyczasie demony pobiegły za stodołę, a dziewczyny wyszły z sadu.

– Widziałeś, jaki Klakier jest szczęśliwy? – zapytała Zuza z uśmiechem. – Wreszcie ma koleżankę.

– Koleżankę? – Rozbawiony Sierpień uniósł brwi. – I wszystko jasne...

– Żarka jest od niego starsza, ale od razu przypadli sobie do gustu – powiedziała Iga. Łowca po raz pierwszy widział na jej twarzy uśmiech.

– I to jest ta wielka tajemnica, którą przed nami ukrywali?

Zuza przytaknęła.

– Mówiłam, że się dowiem, o co chodzi. No i Artur czuje się o niebo lepiej.

Spojrzeli na Diuka, który ruszył w ich stronę z kocem pod pachą. Hubert, który w pewien sposób czuł się za niego odpowiedzialny, miał wrażenie, jakby ktoś zdjął z jego barków olbrzymi ciężar.

– Te lotki były zamoczone w ślinie biesa, prawda? – odezwał się.

Igor skinął głową.

– W takim razie muszę poznać recepturę na wasz lek.



– A pamiętacie, jak Żarka podpaliła stodołę? – zapytał Sylwek z wypiekami na twarzy. – Płomienie buchały do samego nieba!

– Czyli jednak potrafią wzniecić pożar? – zainteresował się Hubert, biorąc dokładkę warzyw.

– Jak się naprawdę wkurzą, to owszem – przyznała Iga. – Stąd jej imię.

– Aż iskry leciały z jej futra! – dodała Natałka.

– A co ją tak wkurzyło?

– Bajka. Dziewczyny za sobą nie przepadają – powiedział Igor. – Raz się nawet tak pogryzły, że myśleliśmy, że już po kocie.

Hubert ze zdumieniem pokręcił głową. Jedli właśnie obiad pod wiatą, a atmosfera między nimi w niczym nie przypominała tej z poprzedniej nocy. Nabrali do siebie zaufania, dzieciaki nie przestawały gadać i już nie wydawały się aż takie dzikie, jak na początku. Co prawda były trochę nieokrzesane, ale przecież nie widziały innych ludzi od kilku lat.

Teraz zaś wszyscy dzielili się swoimi doświadczeniami w wychowywaniu demonów.

– To było jakieś dwa lata po wojnie – opowiadała Iga. – Trzyletni Sylwek zgubił się w lesie zimą. Zaczął prosić taki śnieg, że przykrył wszystkie ślady. Byliśmy przerażeni, dorośli kazali mi zostać w domu z Natałką i Kornelem, a sami wraz z Igorem przez całą noc szukali małego w lesie. Kiedy wrócili nad ranem do domu... – Pokręciła głową. – Nigdy nie zapomnę ich min.

– Wujek już chciał się poddać, ale dziadek Sylwka tylko coś zjadł, wypił gorącą herbatę i ruszył dalej do lasu – wyjaśnił

Igor. – To poszliśmy za nim. Wujek był przekonany, że szukaliśmy już trupa. Nie było możliwości, żeby małe dziecko przetrwało taką noc w lesie. Nawet jeśli nic go nie zaatakowało, umarłoby z zimna.

– Ale znalazła go Żarka. – Iga uśmiechnęła się i spojrzała na owinniki, które leżały obok siebie na jednym kocu. – Razem ukryli się w małej norce i ogrzewała go przez cały ten czas, tak że nawet nie zmarzł!

– Ile mogła wtedy mieć lat? – zainteresował się Hubert.

– Na pewno była już dorosła, ale bardzo młoda – odparł Igor.

– Wyobraźcie sobie, że chciała bronić małego przed nami, jakby nie widziała, że bliżej mu do nas niż do niej. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy o demonach. Myśleliśmy, że to jakiś duży kot, który uciekł z zoo. Zabraliśmy Sylwka do domu, a ona przyszła do nas kilka dni później. Była bardzo ostrożna i nieufna, ale zaczęliśmy ją dokarmiać i jakoś tak... – Wzruszył ramionami. – Została z nami.

Zuza z kolei opowiedziała historię Klakiera i Platona.

– I to właśnie zaważyło na mojej decyzji, żeby ostrzec was przed żołnierzami – podsumował Igor.

– To znaczy? – zdziwił się Hubert.

– Słyszałem tego demona, jak gwizdał w okolicy, a ty powiedziałaś, żeby się nim nie przejmować, bo nie jest taki groźny. Istniała więc szansa, że nie wpadniecie w panikę na widok naszych demonów. Co prawda nie zamierzaliśmy ich wam przedstawiać, ale sami wiecie, jak to z nimi bywa. Szczególnie z Żarką; jak coś sobie postanowi, nie ma mocnych, żeby ją od tego odwieść.

– W to akurat wierzę – zaśmiał się Sierpień.

– Właśnie, coś mi się przypomniało – powiedział gospodarz. – Młody, przyniesiesz to? – zwrócił się do Miłosza.

Chłopiec zerwał się z ławy i pobiegł do domu. Wrócił ze strzelbą Artura.

– Na początku nie zamierzaliśmy wam jej oddawać, ale w sumie i tak nie korzystamy z broni palnej – wyjaśnił Igor. – Zresztą nie mamy nawet naboju.

– Brat by mnie chyba zamordował, jakbym wrócił do domu bez tej strzelby. – Diuk z wdzięcznością przyjął broń i położył ją na kolanach.

Do późna siedzieli pod wiatą i dyskutowali na najróżniejsze tematy. Patrząc po twarzach nowych znajomych, Hubert uznał, że bardzo się cieszy, że się zaprzyjaźnili. Choć w większości banda Igora to dzieci, nie chciałby mieć w nich wrogów.



Igor i jego podopieczni odprowadzili podróżników do samej wsi. Trzech żołnierzy, którzy przeżyli atak biesa, już dawno temu uciekło, zostawiając ciała swoich towarzyszy na pastwę demona i padlinożerców.

– Cieszę się, że was poznaliśmy. – Hubert uścisnął dłoń Igora. – No i że nie zabiliście nam Artura.

– Nie tak łatwo można się mnie pozbyć – wtrącił Diuk. Wszelkie objawy zatrucia śliną Bajki przeszły mu poprzedniego dnia.

– Ja też się cieszę – powiedział Igor. – Miło wiedzieć, że poza nami są jeszcze normalni ludzie na tym świecie.

– Nadal nie sądzę, że wy jesteście normalni. – Sierpień powiódł wzrokiem po szóstce dzikusów umazanych błotem i ubranych w zwierzęce skóry.

– Zajrzyjcie do nas, jak będziecie wracać – poprosiła Iga.

Natalka i Miłosz skwapliwie pokiwali głowami.

– Żeby Żarka miała z kim się pobawić – dodał Sylwek.

Zuza uściskała wszystkich po kolei, a później spojrzała wymownie na Huberta, lecz on nie zrozumiał, o co jej chodziło. Westchnęła ciężko, podeszła do niego i zdjęła z jego szyi rzemień z metalową zawieszka w kształcie liścia dębu.

– Właśnie, może kiedyś się wam przyda – powiedział Sierpień, patrząc, jak dziewczyna wręcza upominek Igorowi. – Każda osada na północy powinna was ugościć, gdy powiecie, że nas znacie. Wiem, że nie zamierzacie się przeprowadzać ani podróżować, ale zatrzymajcie to tak na wszelki wypadek.

– Dziękuję. – Igor założył wisiołek.

Natalka z kolei wręczyła odjeżdżającym ozdoby własnoręcznej roboty. Wplotła w nie patyki, piórka i małe kostki. Na szczęście tym razem powstrzymała się przed dodaniem martwych myszy czy kawałków surowego mięsa.

Trójka podróżników jeszcze raz się pożegnała i ruszyła w dalszą drogę. Przez dłuższy czas rozmawiali o wydarzeniach z ostatnich dni i streścili większość z nich Arturowi, którego sporo ominęło.

– Tyle przespałem... – stwierdził Diuk, kręcąc głową.

– Cwaniaczek, a ja musiałem ciebie nosić – powiedział Hubert.

– Dzięki, że nie zostawiłeś mnie na pastwę tych dzieciaków.

– Głupio byłoby tłumaczyć się przed twoim bratem, że pokonała cię banda małolatów – zażartował.

– Nie sądziłem, że takie miejsca w ogóle istnieją. – Artur obrócił się w siodle i spojrzał na drogę za nimi.

– Znamy kilka wsi, a wydaje nam się, że to już cały świat – odezwała się Zuza.

Hubert w zamyśleniu pokiwał głową. Nigdy jeszcze nie zapuścił się tak daleko od domu jak teraz i miał wrażenie, że czeka na nich jeszcze niejedna niespodzianka. Jakby na potwierdzenie tych rozmyślań w koronach drzew rozległ się zachrypnięty gwizd.



Hubert odłożył na bok butelki i bukłaki pełne wody, a następnie zdjął buty, podwinął nogawki spodni i zanurzył stopy w lodowatym strumieniu. Kiedy jego skóra zrobiła się czerwona od chłodu, położył się na trawie z rękami założonymi za głowę. Przez chwilę obserwował promienie słońca przeświecające przez zielone liście, po czym zamknął oczy, skupiając się na pozostałych zmysłach.

Strumyk szemrał na zakrętach, co jakiś czas zaskrzypiało jakieś drzewo, kilka ptaków urządziło sobie koncert wysoko w koronach. Las pachniał wodą, mokrą ziemią i zgniłymi liśćmi. Hubert nastawił się na wyczuwanie demonów i zapuścił się jeszcze dalej – poza to, co mógł z tego miejsca zobaczyć czy usłyszeć. W pobliżu kręcił się Platon. Chyba nawet coś upolował i właśnie pożerał swoją zdobycz. Kawalek dalej przez bór wędrował lejin. Biły od niego spokój oraz pewność, że nic nie jest w stanie mu zagrozić. Szedł niespiesznie, zgrabnie wymijając drzewa, o które mógłby zahaczyć olbrzymim porożem. Tuż na samej granicy zmysłów pojawił się kolejny demon. Już po kilku chwilach Sierpień zorientował się, że ten akurat zmierzał prosto w jego stronę. Łowca zaniepokoił się, jego serce zabiło szybciej. Podniósł się do pozycji siedzącej, pospiesznie włożył buty i zawiązał

sznurówki. Demon był coraz bliżej i nie zmieniał kursu. Może po prostu szedł do strumienia?

Hubert wycofał się między drzewa, zastanawiając się, co robić dalej. Wtem wyczuł coś znajomego. Już raz spotkał tę bestię. Tylko co ona tutaj robiła?

Wychylił się zza pnia i dostrzegł biesa idącego wzdłuż strumienia. Kiedy stwór dotarł do porzuconych butelek, zatrzymał się przy nich i spojrzał prosto w miejsce, w którym ukrywał się Hubert.

Sierpień policzył w myślach do dziesięciu i postąpił naprzód z karabinem gotowym do strzału, choć zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli bies postanowi jednak go zaatakować, to i tak ma marne szanse na ujście z życiem.

– Postanowiłaś nas odprowadzić kawałek? – zagadnął, po czym stwierdził, że brzmi jak idiota, próbując nawiązać dialog z takim stworem.

Bajka usiadła na ziemi i wciąż się w niego wpatrywała. Hubert opuścił karabin. Przełknął nerwowo i spróbował opanować drżenie mięśni. Zbyt dobrze pamiętał, jak wyglądały ostatnie ofiary bestii. Rozszarpała trzech żołnierzy, ich zmasakrowane ciała wyglądały, jakby ktoś kilka razy przejechał po nich bronią. Jednemu brakowało ramienia, drugiemu zmiażdżyła czaszkę, aż jedno krwawe oko wyszło na wierzch, z trzeciego wypruła wnętrzności, jakby chciała zobaczyć, co miał w środku. Pozostalej trójce wojskowych udało się uciec i nie zamierzali wracać do lasu, żeby pochować towarzyszy. Kiedy Igor zaproponował Hubertowi odszukanie ciał, Sierpień myślał, że to oni się tym zajmą. Szybko jednak się zdziwił, kiedy kolega powiedział, że nie warto marnować takiej okazji.

– Ty jednak jesteś takim świrem, jak sądziliśmy na początku – stwierdził, patrząc, jak Igor mocuje do drzewa ludzką głowę.

– To się nazywa bezczeszczenie zwłok.

– A ty jak daleko byś się posunął, żeby zapewnić rodzinie bezpieczeństwo? – Kolega spojrział na niego przenikliwie. W tamtej chwili w jego oczach pojawił się ten sam błysk dzikości, co podczas ich pierwszego spotkania nad zabitą sarną.

– Mieszkam w cywilizowanej wsi – mruknął cicho Sierpień. – U nas nie zabija się jeńców, nie profanuje ciał...

– Do czasu, aż dotrzecie do samej granicy pomiędzy tym, co właściwe, a przetrwaniem. Możesz mi wierzyć, że ta linia jest naprawdę cienka. – Igor zeskoczył z gałęzi i wytarł zakrwawione ręce o trawę.

Hubert nie spierał się. Każdy miał swój sposób na życie po apokalipsie.

Teraz zaś, gdy patrzył w niewielkie oczy bestii, wolałby nie pamiętać widoku jej zmasakrowanych ofiar. Na razie nie przejawiała wrogości, ale tak naprawdę nie miał pojęcia, co siedziało jej w głowie. Poprzednim razem, gdy ją spotkał, towarzyszył mu Igor, teraz jednak Sierpień był sam, a Bajka w każdej chwili mogła go uznać za takie samo zagrożenie jak tamtych żołnierzy. Jedynym pocieszeniem było to, że oni chcieli skrzywdzić Kornela, Hubert zaś przynajmniej w teorii nikomu teraz nie zagrażał.

– Nie rzucisz się na mnie, prawda? – zapytał, postępując kolejny krok w jej stronę.

Mógł odejść, ale bał się, że bies podąży za nim do obozowiska.

Powoli, bardzo powoli wyciągnął przed siebie dłoń. *Tylko nie odgryź mi ręki* – kołatało mu w głowie. Bajka wyszczerzyła zęby, a Hubert natychmiast się wycofał.

– To czego chcesz ode mnie? – mruknął.

Bies wstał i ruszył w stronę, z której przyszedł. Zanim jednak zniknął w zaroślach, obrócił wielki łeb i zerknął na człowieka.

Sierpień długo jeszcze stał bez ruchu w miejscu. Przekonywał siebie, że to dla zachowania czujności, bo demon mógł przecież zawrócić, ale tak naprawdę potrzebował czasu, żeby ochłonać. Gdy przestał już wyczuwać Bajkę, pozbiierał wszystkie pojemniki z wodą i wrócił do obozowiska.

– Miałeś gościa – usłyszał.

Zerknął na Zużę, która kuciała przed ogniskiem i grzebała w nim patykiem.

– Czego ona mogła ode mnie chcieć? – zapytał, siadając naprzeciwko.

– A jak myślisz? – Dziewczyna podniosła wzrok znad płomieni.

Czasem miał wrażenie, że takie pytania zadawała tylko wtedy, gdy sama nie знаła odpowiedzi, a czasem wydawało mu się, że dostrzega i rozumie znacznie więcej niż otaczający ją ludzie.

– Bo ja wiem... – Wzruszył ramionami. – Może sprawdzała, czy nie stanowimy zagrożenia i czy rzeczywiście opuściliśmy jej teren?

– Ale kto? – zainteresował się Artur, kończąc właśnie czyszczenie kopyt koni.

– Bajka.

– Ten bies? – Odruchowo potarł dłonią miejsce na klatce piersiowej, w które został trafiony strzałką Kornela. – Mam nadzieję, że nigdy go osobiście nie poznam.

– Ciesz się. Jesteś jednym z niewielu, którzy zostali naznaczeni przez biesa i jeszcze żyją – stwierdził Hubert.



Kopyta koni zastukały głucho na drodze. Kolejne opuszczone miasteczko było w dość kiepskim stanie. Częściowo spalona kamienica bez dachu i z tynkiem odrywającym się od ścian wielkimi płatami, zarośnięty park, w którym zamieszkały dziki, sklepy z powybijanymi witrynami, budynek kina wyglądający, jakby wybuchła w nim bomba, przewrócone słupy energetyczne, zdewastowana apteka, betonowa latarnia leżąca na ziemi.

– „Dopust boży” – Artur przeczytał napis nabazgrany na ścianie ratusza miejskiego.

– Czyżby chodziło im o lokalne władze? – zażartował Hubert.

– Działy się tu złe rzeczy – odezwała się Zuza.

Wyciągnęła rękę przed siebie i wskazała palcem park. Dopiero po chwili Sierpień zauważył sznury przywiązane do konarów kasztanowców. Skierował Mokkę w tamtą stronę.

– Oni tu przeprowadzali egzekucje...

Liny wiszące w parku wyblakły, część z nich miała poszarpane końce, o które były pozahaczane suche liście i drobne gałązki, ale kilka ewidentnie musiało być stryczkami. W pobliżu nie było widać żadnych ciał, kości ani krwi. Możliwe więc, że do samosądów nigdy nie doszło albo było to na tyle dawno, że wszelkie inne ślady się po nich zatarły.

– Coś dużo tych lin. – Artur wskazał brodą kolejne drzewa.

– Może miały tylko wisieć ku przestrodze? – zastanowił się Hubert. – Albo jako ozdoby-straszaki, takie same jak u Igora.

Podjechał nieco bliżej kasztanowców. Pod kopytem Mokki pękła zbutwiała deska. Sierpień spojrział w dół i ujrzał ich znacznie więcej, jakby niegdyś tworzyły jakąś niską, naprędce zbitą konstrukcję.

– Ludziom odbijało podczas ostatniej wojny – stwierdził w końcu ze wzruszeniem ramion. – Łatwo było ulec panice. Zuza, pamiętasz, jak w Dąbrówce chcieli pobić świętej pamięci żonę Woźnicy, bo zamknęła sklep i zamierzała zatrzymać cały towar dla siebie?

Dziewczyna przytaknęła, choć sama tych wydarzeń nie widziała.

– Wtedy jeszcze byliśmy nowi we wsi i nie znałem jej mieszkańców, ale po kilku miesiącach dałbym głowę, że wśród awanturujących się widziałem wówczas starego Borowskiego.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

– Facet należy do starszego pokolenia – wyjaśnił Hubert Arturowi. – Gdybyś go teraz poznał, pomyślałbyś: filar społeczności. Myślę, że niejeden, który teraz zdaje się normalnym człowiekiem, ma na sumieniu wiele grzechów sprzed ośmiu lat.

– Może w ten sposób pozbywali się chorych? – zastanowił się Diuk.

Kiedy wszystkich ogarnęła panika z powodu szerzącej się zarazy, ludzie padali na ulicach jak muchy, krematoria nie nadążały z kremowaniem zmarłych, a zwykły katar mógł skończyć się śmiercią, był to dość prawdopodobny scenariusz.

– Jedźmy dalej – zarządził Hubert.

Przemierzali miasto w milczeniu. Całą trójkę dopadło widmo przeszłości. Zazwyczaj ludzie starali się nie pamiętać o tym, co wydarzyło się podczas ostatniej wojny, ale takie miejsca sprawiały, że nigdy do końca nie mogli o tym zapomnieć.

Zatrzymali się kilka razy po drodze i Sierpień sprawdzał zawartość zapleczy sklepowych i zaglądał do domów, które wyglądały na najmniej zrujnowane, ale nie znalazł w nich nic cennego.

– Wszystko wyczyszczone do cna – orzekł, wychodząc z małego sklepiku ukrytego między kamienicami.

– Szabrownicy? – zapytał Artur.

Łowca pokiwał głową.

– Zrobili to naprawdę dokładnie. Nie zdziwię się, jak się okaże, że w okolicy znajduje się jakaś zamieszкана osada.

Kiedy tylko wyjechali poza granice miasta, zatrzymali się na postój, a Sierpień rozłożył na ziemi współczesną mapę. Niestety te stare, poniemieckie, które miał, nie obejmowały tych terenów.

– W pobliżu jest kilka wsi. – Zapatrzył się na lekko wyblakły papier. – Jeśli miałbym zakładać osadę, to wybrałbym to miejsce albo to. – Wskazał je palcem; jedno znajdowało się nad jeziorem, drugie nad rzeką. Niestety istniało jeszcze wiele innych czynników, które decydowały o tym, gdzie ludzie osiedlali się po wojnie.

– Omijamy je czy tam zaglądamy? – zapytał Artur.

Wizyta w obcych osadach zawsze niosła ze sobą duże ryzyko. Nigdy nie było wiadomo, na jakich ludzi się trafi. A jednocześnie warto było poznać nowych sprzymierzeńców albo chociażby zapytać, czy nikt nie widział przejeżdżających w okolicy wysłanników ze zjednoczonych osad z północy.

Huberta bardzo martwił fakt, że nie natknęli się na żadne ślady, które mogła zostawić po sobie grupa Ernesta i Izy. Nie przejeżdżali przez las Igora ani nie zbliżyli się do Mroczy. Najwyraźniej obrali inną trasę. Może natrafili na nieprzewidziane przeszkody albo poradzili sobie w podróży znacznie lepiej niż Sierpień oraz dwójka jego towarzyszy i już dotarli do Groty? Istniało też prawdopodobieństwo, że ktoś lub coś zaatakowało ich i wszystkich zabiło. A wtedy Hubert nigdy nie dowie się, co się stało z jego przyjaciółmi – i właśnie ta myśl co noc spędzała mu sen z powiek.

– Spróbujemy szczęścia – zdecydował. – Zajedziemy do obu wsi.

Już z daleka mogli stwierdzić, że pierwsza miejscowość jest opuszczona. Wokół niej nie było uprawnych pól ani wyciętych drzew, nad domami nie unosił się dym z kominów, nie słyszeli szczekających psów, bydło nie pasło się na łąkach. Jednak gdy tylko wjechali między zabudowania, dostrzegli świeże ślady kopyt na ziemi. Kawałek dalej leżały końskie odchody.

Hubert zatrzymał towarzyszy.

– Rozdzielimy się – szepnął. – Jeźdźcie powoli i spokojnie drogą. Ja będę szedł za wami.

Zeskoczył z Mokki i podał wodze Arturowi, żeby prowadził ją za sobą.

– Gdyby cokolwiek się działo, w nogi – dodał. – Spotkamy się w lesie za wsią. Jak nie dacie rady uciekać, znajdźcie schronienie. Jeśli dojdzie do strzelaniny, a w pobliżu nie będzie niczego, co mogłoby was osłonić, schowajcie się za koźmi.

Oboje pokiwali głowami.

– Do zobaczenia za chwilę – powiedział.

Zuza i Artur ruszyli przodem. Hubert szedł kawałek za nimi. Nagle usłyszeli szcęk przeładowywanej broni.

– Nie ruszać się! – krzyknął męski głos.

Sierpień od razu skrył się w gęstwinie w jednym z ogrodów.

– Jesteśmy tu tylko przejazdem – odparł spokojnie Artur.

– Zsiąść z koni!

Dwójka podróżników wymieniła spojrzenia. Hubert był pewien, że zastanawiają się, czy zastosować się do polecenia, czy uciekać. Pocieszał się, że gdyby tamten mężczyzna chciał ich zabić, zaczęłby strzelać bez ostrzeżenia. Na wszelki wypadek wołał jednak zachować ostrożność.

Niemal bezszelestnie przedarł się na tyły ogrodu.

– Rzućcie broń! – usłyszał.

Przeszedł przez leżące na ziemi ogrodzenie i znalazł się w sadzie za domem, w którym ukrywał się obcy. Dwa konie przywiązane do drzewa zarżały na jego widok. Sierpień zamarł bez ruchu. Na szczęście ich właściciele nie zwrócili uwagi na dźwięki wydawane przez własne wierzchowce. Niedaleko stał drewniany wóz, a jego zawartość była przykryta plandeką.

– Tego nie możemy zrobić – powiedział Artur.

Sierpień usłyszał nerwowe szepty dochodzące z budynku.

– Wyjdź z domu, pogadamy, a jeśli nie lubisz poznawać nowych znajomych, to po prostu odejdziemy.

Diuk starał się, żeby jego głos był spokojny i pewny siebie, ale w pewnym momencie zadrżał z nerwów.

W domu nastąpiła cicha wymiana zdań. Hubert wykorzystał ten moment, żeby zakraść się pod sam budynek. Niestety okna z tej strony były zabite deskami i nie miał szans, żeby wejść do środka. Ruszył więc wzdłuż ściany, aż do jej rogu.

– Jeden podejrzany ruch i już nie żyjecie! – zawołał mężczyzna.

Dało się słyszeć kolejne szepty, jakieś szuranie i skrzypnięcie otwieranych drzwi.

Sierpień minął róg budynku i dotarł do końca kolejnego muru. Zobaczył wtedy plecy mężczyzny, który szedł w stronę drogi. Ręce rozłożył szeroko, pokazując, że jest bezbronny. Zatem broń miał ten, który został w domu. Hubert przez kilka sekund gorączkowo zastanawiał się, co robić, aż szczęście się do niego uśmiechnęło – zobaczył lufę wystającą z okna.

Przypadł do ziemi i nie tracąc z oczu mężczyzny, który nadal zbliżał się do Zuzy i Artura, ruszył dalej przed siebie.

– Kim jesteście i dokąd jedziecie? – zapytał nieznajomy.

– Jedziemy z osady pod Poznaniem do znajomych na południu – powiedział Artur. – A wy?

– Jesteśmy z okolicy – odparł ostrożnie obcy.

*Zagaduj go dalej* – zaklinał go w myślach Hubert. Broń wystająca z okna była już coraz bliżej.

W pewnym momencie Sierpień nadepnął na kawałek szkła, które pękło cicho pod jego butem. Znieruchomiał, mając nadzieję, że mężczyzna jest już na tyle daleko, że nie zauważy go ukrytego w wysokiej trawie.

Na kilka sekund zapadła cisza. Sierpień poczuł strużkę lodowatego potu spływającą mu po plecach.

– Tak się właśnie zastanawialiśmy, czy w okolicy jest jakaś zamieszkała osada – powiedział Artur.

Hubert znalazł się tuż przy oknie. Wystarczy tylko wyciągnąć rękę...

– Czyj jest ten osiodłany koń? – zapytał nagle mężczyzna.

Sierpień nie miał już czasu na zastanawianie się. Zobaczył, że lufa zaczęła się cofać do wnętrza pomieszczenia. Gwałtownie się wyprostował, złapał ją i pociągnął. Ktokolwiek trzymał strzelbę, nie spodziewał się takiego ataku i pozwolił wyrwać ją sobie z rąk. Hubert wycelował do środka.

– Nie ruszaj się! – rozkazał.

– Nawet nie drgnij! – Usłyszał za plecami głos Diuka.

Zerknął za siebie i ujrzał Artura celującego prosto w mężczyznę.

– Wyjdź stamtąd – rzucił Hubert do osoby ukrytej w cieniu pokoju. – Przez okno – dodał.

Błada młoda kobieta podeszła do parapetu, wspięła się na niego i zeskoczyła po drugiej stronie.

– Idziemy na drogę. – Hubert wskazał brodą jej towarzysza.

Wykonała jego polecenie na chwiejnych nogach.

– Ilu was jest? – zapytał Sierpień.

Po minie mężczyzny od razu było widać, że zastanawia się, czy powinien skłamać.

– Tylko nasza dwójka – odparł w końcu.

Hubert skinął głową.

– Jak już mówił nasz kolega, jesteśmy tu tylko przejazdem – powiedział. – Nie szukamy kłopotów, wręcz przeciwnie, wolimy nawiązywać dobre kontakty z nowo poznanymi osadami.

Na potwierdzenie własnych słów opuścił lufę strzelby i wyjął z niej naboje, które schował do kieszeni. Samą broń zaś oddał kobiecie.

– Nazywam się Hubert. To są Artur i Zuza. Pochodzimy z północy.

– Kuba i Nina – odezwał się po chwili mężczyzna. – Pochodzimy z Biesowic.

– To ta wieś nad rzeką?

Dwójka obcych równocześnie zmarszczyła brwi.

– Przeglądałem mapę okolic – wyjaśnił Hubert, nie siląc się na bardziej szczegółowe wyjaśnienia.



– Wracamy właśnie z szabru – powiedział Kuba, podając gościom po kubku herbaty. – Do domu już blisko, ale stwierdziliśmy, że niedługo się ściemni, a lepiej nie podróżować w nocy.

– My też planowaliśmy zatrzymać się tutaj na nocleg – odparł Hubert. – Zastanawialiśmy się, czy ktoś tutaj mieszka. Jak już mówiłem, nawiązujemy znajomości z różnymi osadami.

– Po co? – zapytała nieufnie Nina.

– Chociażby dla wymiany towarów i doświadczeń. – Wzruszył ramionami.

Pierwsze minuty ich znajomości były dość burzliwe, po jakimś czasie jednak okazało się, że Nina i Kuba to dość sympatyczne małżeństwo po trzydziestce.

– Często jeździecie na szabry? – zagadnął Artur.

– Dwa razy do roku wysyłamy większą ekipę – odparł Kuba.

– A raz na dwa, trzy miesiące jeździmy we dwójkę po takie bardziej bieżące sprawunki. Wiecie, zawsze jest coś, czego nagle zabraknie.

Pokiwali głowami.

– Opowiedzcie coś więcej o swojej osadzie – poprosił Hubert.

Małżeństwo wymieniło porozumiewawcze spojrzenia, jakby musieli zdecydować, jakimi informacjami można podzielić się z obcymi, jednocześnie nie narażając swoich bliskich, co oczywiście było czymś zupełnie naturalnym.

– Cóż, trzymamy się raczej w zamkniętym gronie – powiedziała Nina. – Jesteśmy samowystarczalni, a mieliśmy już różne doświadczenia z innymi ludźmi, którzy... hm... – zawahała się. – Którzy nie do końca dzielali nasze poglądy na świat.

– Też mieliśmy trochę podobnych problemów – odezwał się Sierpień. – Zeszłej jesieni na przykład liczna grupa dezertarów napadała na bezbronne wsie, żeby tylko mieć gdzie przezimować.

– Katakizm i to, co działo się później, zmieniło wielu – wtrącił Kuba. – Co tu dużo mówić, my też musieliśmy zrewidować nasze przekonania.

– Koniec świata tak działa na ludzi. – Hubert się uśmiechnął. – Ale przyjmujecie gości z innych osad?

Mężczyzna zrobił niepewną minę.

– Staramy się tego unikać – powiedziała dość stanowczo Nina. – Wybaczcie więc, ale nie bardzo możemy was zaprosić

do siebie. Rada Starszych nie byłaby zachwycona, a nie chcemy mieć problemów.

– Rozumiem – westchnął Sierpień.

– Już i tak ostatnio podpadliśmy – dodał Kuba.

– Co takiego zrobiliście? – zapytał z ciekawością Artur.

– Głupia historia, szkoda gadać. – Kobieta machnęła ręką. –

Na szczęście mamy wóz pełen drobiazgów, których chciała Rada, więc przestaną się nas czepiać.

Hubert poczuł odrobinę żalu. Spotkał właśnie sympatycznych ludzi z prawdopodobnie normalnej osady. Dobrze byłoby nawiązać z nimi znajomość, mimo że znajdowali się tak daleko od Dąbrówki, a nawet Święcina. Chciałby znaleźć sprzymierzeńców bliżej Groty, ale nie mógł się im przecież narzucać. Jeśli mieli złe doświadczenia z innymi ludźmi, trudno się dziwić, że nie wpuszczali obcych na swoje tereny.

Wtem Sierpień poczuł kopnięcie w nogę. Spojrzał na Zużę, która usiłowała coś mu przekazać wzrokiem. Niestety jednak kiepsko jej to szło i nie miał zielonego pojęcia, o co mogło chodzić. W końcu rozdrażniona dziewczyna wstała z kanapy i bez słowa skierowała się ku drzwiom.

– Dokąd idziesz? – zapytał Hubert, zrywając się za nią.

– Na spacer – odparła, otwierając drzwi.

– Ale... jest już ciemno!

– I co z tego? – Postąpiła prosto w noc.

Hubert stanął na progu niezdecydowany.

– My już będziemy się zbierać. – Artur odstawił pusty już kubek na stół i wyszedł z pokoju. – Dziękujemy za herbatę.

– Nie ma sprawy – powiedział Kuba. – Jeżeli macie ochotę, możemy jutro rano zjeść razem śniadanie, zanim się pożegnamy.

– Wspaniały pomysł – powiedział Diuk, po czym zaczął wymieniać jeszcze jakieś grzeczności z nowymi znajomymi, lecz Hubert już ich nie słyszał, bo ruszył za Zuzą.

Dopadł ją na drodze i złapał za ramię.

– Co ty odstawiasz?! – syknął.

Spojrzała na niego ze złością.

– Przecież dawałam ci sygnały!

– I co z tego, jak nie wiedziałem, o co ci chodzi?!

– Z radości na widok nowych ludzi wyłączasz pół mózgu.

Zatkało go.

– Że co?

– Nie czujesz?

Rozłożył ręce. Nie miał pojęcia, o czym ona mówiła.

– Klakier.

– No i? – Wzruszył ramionami. – Już od dłuższego czasu kręci się po wsi.

– Ale teraz jest już zmęczony i głodny. Jeszcze chwila, a wszedłby do tamtego domu. Sam kiedyś kazałeś mi go pilnować, żeby bez zaproszenia nie pokazywał się obcym ludziom!

Hubert wypuścił powietrze z płuc.

– Dobrze, masz rację – przyznał. – Nie mogłaś tylko znaleźć jakiejś bardziej sensownej wymówki niż: idę w nocy na spacer?

– Na przykład jakiej? – oburzyła się.

– Jest już późno, chodźmy spać? – zaproponował. – Brzmi logicznie?

– Czepiasz się – orzekła.

– Co się dzieje? – Dogonił ich Artur.

– Idziemy do swojego domu, bo rozpuszczony jak dziadowski bicz Klakier ma ochotę na kolację – odparł sarkastycznie Hubert.

Coś zaszeleściło w trawie obok.

– Tak, o tobie mówię. – Sierpień zwrócił się do czerwonych ślepi, które mrugnęły w mroku.

– Upiorne są te jego oczy – stwierdził Artur. – Na sam ich widok człowiek mógłby narobić w gacie.

Za plecami usłyszeli szuranie. Cała trójka obróciła się jak na komendę.

– Wszystko w porządku? – zapytał Kuba. – Szedłem właśnie do wozu po kilka rzeczy...

– Taa, jak najbardziej w porządku – zapewnił nerwowo Hubert. – Idziemy już spać. Do zobaczenia jutro na śniadaniu.

Mężczyzna powiódł po nich wzrokiem, jakby się wahał, czy mu wierzyć.

– To do jutra. – Uniósł dłoń i już miał się odwrócić, kiedy jego spojrzenie padło na najbliższy ogródek.

Czerwone oczy zamrugwały.

Kuba drgnął i odruchowo sięgnął do paska po nóż.

– Powoli się wycofajcie – powiedział cicho, nie odrywając wzroku od zarośli. – Niesprowokowany nie powinien zaatakować.

Postąpił dwa kroki w tył.

Hubert z kolei złapał Zuzę za pasek na plecach, Artura za łokieć i pociągnął ich dalej od Klakiera.

– Taa, myślę, że możemy się rozejść – podchwycił.

Liczył, że Klakier może się schowa, ale zapomniał, że owinnik zawsze robił mu na przekór. Podobnie było tym razem. Wielki kot wyszedł z trawy, stanął na drodze i zaczął wodzić znudzonym spojrzeniem po czwórce ludzi.

– Tylko spokojnie – przekonywał Kuba. – Nie strzelajcie czasem do niego, bo może się rozżłościć. Może jest ich tutaj więcej. Najlepiej po prostu odejść. – Wciąż się cofał. –

Zostawimy dla niego coś do jedzenia na progu. Podpłomyki z miodem...

Klakier najwyraźniej znudził się dziwacznym zachowaniem ludzi i ruszył wprost na Zużę. Kuba syknął nerwowo, a owinnik otarł się bokiem o nogi dziewczyny.

– Od podpłomyków wolałby raczej kiełbasę – powiedziała Zuza.

Schyliła się i podrapała go za uchem.

– Aleś ciepły się zrobił – zagruchała do niego. – Nie ma czym się tak denerwować.

Kuba patrzył na nią oniemiały.

– Pierwszy raz widzę... coś takiego... – wykrztusił w końcu.

– To jest Klakier – powiedział ze znużeniem Hubert. – Nasz udomowiony demon. Nie jest niebezpieczny. Tylko bezczelny.

Czubkiem buta delikatnie tryknął kota, a ten zasyczał na niego gniewnie.

– Chyba nie powinienes... – Kuba pokręcił głową. Jego blada twarz wydawała się niemal biała.

– Gdzie, on to uwielbia. – Sierpień machnął ręką. – To my idziemy do siebie go nakarmić. Jakby co, nie bójcie się, będzie spał zamknięty w domu z nami.

Złapał Zużę za rękaw i pociągnął w stronę budynku, w którym się zatrzymali. Klakier obejrzał się na Kubę, który wciąż stał bez ruchu na środku drogi, a po chwili ruszył za nimi.

– Facet zachował zimną krew – przyznał Artur, kiedy zamknęli za sobą drzwi.

Owinnik od razu pobiegł do pokoju i zaczął się dobierać do zawartości bagaży.

– Poszoł won! – huknął na niego Hubert. – Bo jeszcze wyżresz nam wszystko, co mamy. Też jestem pod wrażeniem, że nie zaczął wrzeszczeć na jego widok.

– Gdybyś był bardziej domyślny i szybciej zobaczył, że daję ci sygnały, to nie musiałby nawet oglądać Klakiera – orzekła Zuza.

Sierpień odgonił demona od torby, w której trzymał resztkę suszonego mięsa od Igora, po czym wyjął z niej dwa cienkie kawałki, jeden wsunął do ust, a drugi podał owinnikowi.

– Ja mam wrażenie, że on tak się zachowuje celowo – stwierdził. – Uwielbia robić zamieszanie wokół siebie.

– Podobnie jak ty – docięła mu Zuza.

Usiadła na kanapie, a Klakier wskoczył tuż obok niej i rozłożył się, żując mięso.

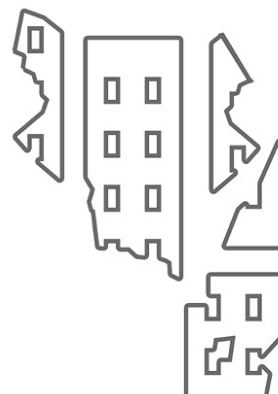
– A ja, gdybym was nie znał, byłbym przekonany, że jesteście prawdziwym rodzeństwem – odezwał się Artur.

– Gorzej, bo rodziny się nie wybiera, a my wylądowaliśmy tutaj razem z własnego wyboru – powiedział Hubert. – Ciekawe, czy propozycja wspólnego śniadania jest nadal aktualna.

– Jak jutro pójdziemy do domu Niny i Kuby, a ich już dawno nie będzie, to znaczy, że jednak nie przepadają za ludźmi, którzy hodują sobie demony – zażartował Diuk.

– I wcale nie miałbym im tego za złe.





## Rozdział XIV

Hubert usiadł na macie i przetaił zaspane oczy. Kawałek dalej na kanapie leżała Zuza, a tuż obok niej Klakier spał na grzbiecie z wyciągniętymi do góry łapami.

– Dziwak – orzekł Sierpień. – Wstajemy! – zawołał głośniej.

Owinnik gwałtownie obrócił się na bok i ziewnął szeroko. Zuza przeciągnęła się.

– Jeszcze chwila – wymamrotała.

Hubert wyszedł na zewnątrz i rozprostował ręce. Był rześki poranek, w okolicy nie kręciły się obce demony, zapowiadał się udany dzień.

Zajrzał do koni, a później poszedł nad jezioro. Wschodzące słońce odbijało się srebrnymi refleksami w pomarszczonej tafli. Sierpień zamknął oczy, wdychając głęboko do płuc chłodne, wilgotne powietrze. Raczej nie czał się tu żaden topielec, choć po ostatniej przygodzie ze strzygą Sierpień był w stanie uwierzyć, że nie wyczuwał wszystkich demonów. Mimo to wykapał się w lodowatej wodzie.

Gdy wrócił do domu, Zuza i Artur byli już na nogach. Klakier gdzieś zniknął.

– To co, idziemy zobaczyć, czy nasi nowi znajomi stchórzyli, czy będą dziś starali się robić dobrą minę do złej gry? – zapytał.

O dziwo Nina i Kuba nie dość, że jeszcze nie wyjechali, to czekali na nich z przygotowanym śniadaniem.

– Dość skromne te nasze zapasy, ale tak to niestety już bywa pod koniec podróży – zaczął się tłumaczyć Kuba.

– Jest super – stwierdził Artur, kładąc na stole suszone mięso.

– A jak będziecie chcieli zebrać dla siebie więcej tych jabłek, to rosną za domem obok kościoła – dodała Nina.

Hubert wytarł owoc w koszulkę i wgryzł się w niego. Był słodki i soczysty, rzeczywiście powinni wziąć ich trochę na drogę. Każde urozmaicenie w dość monotonnej diecie w podróży było mile widziane.

– Wasz... – Kuba się zawahał. – Wasz pupil nie zjawi się na śniadaniu?

– Spokojna głowa, poszedł sobie na coś zapolować – zapewnił Sierpień.

– Zapolować – powtórzyła Nina. – Słyszałam o nim. Niesamowite, aż trudno uwierzyć, że oswoiliście demona. Na co on poluje?

Hubert zerknął na Zuzę. Szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, czym żywił się owinnik, oprócz tego, co wyżebrał od nich.

– Lubi zające – odparła dziewczyna. – Czasem ma ochotę na sarninę...

– Co ty gadasz? – burknął Sierpień. – Sarninę?

Pokiwała głową.

– Nie wydaje mi się. – Machnął ręką. Z jednej strony nietrudno było mu to sobie wyobrazić, a z drugiej nie chciał za

bardzo straszyć gospodarzy.

– Jakie jeszcze... talenty on ma? – zainteresował się Kuba.

– W demonologii pisali, że gdy owinnik rozgniewał się na swoich gospodarzy, palił im stodołę czy nawet dom – powiedział Hubert. – Na początku trudno było mi uwierzyć, ale z czasem okazało się, że Klakier potrafi zwiększać temperaturę własnego ciała. I to tak konkretnie.

– Czyli mógłby kogoś oparzyć? – zapytała Nina.

– Jak się na niego wkurzy – przyznał Sierpień. – A stąd już z górki do zaproszenia ognia. Na szczęście Klakier na razie jeszcze nie próbował takich numerów. Kiedy go zaczepiam, oddaje mi pazurami i zębami. Może to dlatego, że wykarmiła go zwykła kotka.

– Niesłychane. – Kuba podrapał się po brodzie.

Przez większość śniadania małżeństwo wypytywało o Klakiera. Hubert był pełen podziwu, że strach przed demonami potrafili przekuć w czysto akademickie zainteresowanie. Szanował takie podejście i wołał je dużo bardziej od tego drugiego: demon to demon i trzeba go jak najszybciej zabić.

Posiłek się przeciągnął, a gdy słońce wzniosło się dość wysoko nad horyzont, wszyscy doskonale zdali sobie sprawę z tego, że czas już wyruszać.

– Pora się zbierać – stwierdził Hubert, wstając od stołu. – Trochę się zasiedzieliśmy, a czas nagli.

– Dziękujemy za to, że podzieliliście się z nami swoimi zapasami – dodał Artur.

– Zrobiliśmy to z przyjemnością – odparła Nina.

– Może jeszcze kiedyś się zobaczymy. – Hubert wyciągnął rękę do Kuby.

Mężczyzna jednak jej nie uścisnął, za to wymienił spojrzenie z żoną.

– Dyskutowaliśmy właśnie na ten temat – zaczął. – I stwierdziliśmy, że byłoby nam bardzo miło, gdybyście jednak towarzyszyli nam w drodze do Biesowic.

– A co z polityką niewpuszczania do siebie obcych? – zdziwił się Sierpień.

– Rada Starszych będzie musiała jakoś to znieść – powiedziała Nina. – A pewne znajomości naprawdę warto zawrzeć. Jeżeli oczywiście nadal chcielibyście nas odwiedzić.

Hubert zerknął na towarzyszy. Zuza wzruszyła ramionami, a Artur skinął głową.

– Trochę co prawda nam się spieszy, ale Biesowice i tak są po drodze, więc czemu nie?

– Wspaniale – ucieszył się Kuba. – Zatem pakujemy się i widzimy za kwadrans na drodze?



Podróż w nieco większym gronie okazała się miłą odmianą. Hubert był towarzyskim człowiekiem i choć cenił sobie chwile samotności, lubił nawiązywać nowe kontakty. Zresztą, co tu dużo mówić, od tak długiego czasu byli we trójkę w drodze, że większość tematów do rozmów już się im wyczerpała. Do tego Zuza często miała humor na milczenie i ignorowanie świata, a od opuszczenia Mroczy Artur co jakiś czas popadał w ponurą melancholię.

Nina, choć trochę przerażała ją taka wizja, bardzo chciała zobaczyć Klakiera. Ten jednak zniknął w lesie i nie raczył się pokazać. Na wysokości zadania stanął za to Platon. Oczywiście wciąż się ukrywał w krzakach albo na drzewach, ale kilka razy odpowiedział na gwizdanie Huberta.

– On też wam towarzyszy od małego? – zapytał Kuba.

– Nie. Uratowałem go półtora roku temu i jakoś tak zaczął się mnie trzymać – powiedział Sierpień.

– Przed czym go uratowałeś?

Opowiedział więc o jednostce Alicji i przetrzymywaniu demonów w klatkach. Torturowaniu ich, przeprowadzaniu sekcji zwłok albo i krojeniu jeszcze żywych, żeby tylko zobaczyć, jak funkcjonują ich organizmy.

– To okropne! – uznała Nina.

– Dlatego musiałem je wszystkie uwolnić. Wiem, że demony zabijają ludzi, ale nie mogłem na nie patrzeć, jak były w tych klatkach. Ranne, przestraszone... Po tym wszystkim Platonowi została na pamiątkę olbrzymia blizna na środku głowy.

Pominał kwestię tego, że wypuszczenie demonów miało posłużyć mu jako dywersja, nie wspomniał też, ilu żołnierzy przy tym zginęło. Na początku znajomości lepiej nie zdradzać takich szczegółów. Już i tak pewnie przesadził, robiąc z siebie wielkiego obrońcę potworów. Mało kto podzielał takie poglądy.

Po południu zatrzymali się na popas. Sierpień musiał się oddalić na stronę, a kiedy wracał, usłyszał ciche kroki. Natychmiast się zatrzymał, oparł bokiem o pień drzewa i wycelował karabin.

Zza rozłożystych paproci wyszła Zuza.

– Dlaczego się za mną skradasz? – ofuknął ją. – I dlaczego odeszłaś tak daleko od pozostałych?

– A ty?

– Ja mam kałacha.

– A ja ciebie.

– Bardzo zabawne – mruknął.

– Znalazłeś nowych przyjaciół? – zmieniła temat.

– O co ci chodzi?

– Nie za dużo im opowiadasz?

– Kuba widział Klakiera, więc trudno byłoby utrzymać go w tajemnicy. Platona teraz już też. A w kwestii jednostki Alicji przecież nie powiedziałem im wszystkiego.

– Jeszcze nie. Ale język ci się rozwiązał.

– A możesz mi konkretnie powiedzieć, do czego pijesz? – obruszył się odrobinę.

Zuza nie odpowiedziała. Zerwała z mijanej brzozy cienki kawałek kory i zaczęła rwać go w palcach.

– I jak zwykle nie potrafisz się wypowiedzieć – zarzucił jej.

Dziewczyna sapnęła i wypuściła z dłoni drobne resztki kory, które powoli sfrunęły na ziemię.

– Nie wiem – westchnęła. – Coś mi się tu nie podoba. Ich reakcja na Klakiera i Platona nie jest normalna.

– Przypominam ci, że dopiero co z podobnym zainteresowaniem wypytywaliśmy o Bajkę i Żarkę.

– To jest coś innego.

– Nie, to zupełnie to samo.

Zuza spuściła wzrok i nic więcej już nie powiedziała.

– Ale wezmę pod uwagę twoje wątpliwości i będę zwracał uwagę na to, żeby nie wygadać nic ważnego, dobra?

Skinęła głową i spojrzała na niego z wdzięcznością.



Późnym popołudniem wjechali na tereny, po których od razu było widać, że są zamieszkane. Na oczyszczonej drodze widniały liczne ślady kopyt i kół od wozów, po obu jej stronach zaś rozciągały się zaorane już pola uprawne. W oddali było widać wykarczowany kawałek lasu. Nina, która jechała wierzchem, popędziła swojego konia do galopu, aby dotrzeć do

wsi przed pozostałymi i uprzedzić mieszkańców Biesowic o niespodziewanych gościach.

Kuba z kolei poluzował lejce i pozwolił, aby jego klacz, ciągnąca wóz, sama odnalazła drogę do domu. Wkrótce usłyszeli ludzkie nawoływania, szczekanie psów, a na niebie pojawiła się smuga siwego dymu.

O dziwo osada nie była otoczona żadnym murem czy palisadą. Przy wjeździe zaś stały dożynkowe chochoły.

– Nie wiedziałem, że jest już tak późno – odezwał się Hubert, patrząc na nie. – To znaczy wiedziałem, że sierpień powoli się kończy, ale jakoś tak...

– Koniec lata zawsze człowieka zaskakuje, prawda? – powiedział Kuba z uśmiechem. – A poza tym mamy już wrzesień.

Łowca zmarszczył brwi i zaczął w myślach liczyć dni, które minęły od wiecu dziesiątego sierpnia.

– Jak stoicie z zapasami na zimę? – zagadnął Artur. – Dla nas ten rok był wyjątkowo łaskawy.

– Podobnie u nas – przyznał Sierpień, porzucając swoje wyliczenia. – Po raz pierwszy od ostatniej wojny.

– My po raz pierwszy tak naprawdę o to zadbaliśmy.

Sierpień nie zdążył dopytać, o co dokładnie chodzi, gdyż na spotkanie wybiegła im grupka rozkrzyczanych dzieci. Głaskały konia Kuby, łapały za wóz i starały się zajrzeć, co ukrywa się pod plandeką.

Zatrzymali się na placu w środku wsi. Kiedyś zapewne był to parking, ale teraz stanowił centrum życia mieszkańców. Tuż obok znajdowały się ruiny drewnianego kościółka. Huberta nieco zdziwił fakt, że budynek zostawiono w takim stanie. Zazwyczaj ludzie starali się kościół odbudować albo po prostu uprzątnąć smętne pozostałości po nim. Ten tutaj zaś wyglądał,

jakby częściowo strawił go pożar kilka lat temu i od tej pory nikt się do niego nie zbliżył.

- Skąd jesteście?
- Po co do nas przyjechaliście?
- Dlaczego ten koń jest łaciaty jak krowa?
- Zostaniecie na dłużej?
- Ale fajny karabin! Skąd go pan ma?
- Jest pan żołnierzem?

Dzieciaki zaczęły zasypywać przybyłych gradobiciem pytań. Goście nie zdążyli odpowiedzieć na żadne z nich, gdyż pojawiały się już następne.

W pewnym momencie na plac powolnym krokiem wszedł starszy mężczyzna o pokaźnym brzuchu. Miał siwe włosy do ramion i jasne oczy, a w jego ruchach kryła się stateczność, jaką można osiągnąć tylko z wiekiem. Na jego widok wszystkie dzieci zamilkły, część z nich nawet schowała się za wozem.

Mężczyzna podszedł do przybyłych i zmierzył ich zainteresowanym spojrzeniem. Hubert miał wrażenie, że podczas tej inspekcji Kuba zrobił się bardzo spięty.

- Dawno nie mieliśmy tu gości - odezwał się w końcu mężczyzna. - Witajcie w Biesowicach.

Kuba wyraźnie odetchnął z ulgą.

- Dzień dobry. - Hubert skinął mu głową, po czym zsiadł z konia i przedstawił siebie i dwójkę przyjaciół.

- Gabriel Haga - Mężczyzna uściśnął mu rękę, a jego dłoń była wielka, jakby przez całe życie pracował jako drwal. - Jestem Najstarszym w naszej małej Radzie Starszych - dorzucił z uśmiechem. - Ale to nie znaczy, że jestem też najbardziej stetryczały.

- Co to, to nie - dodał Kuba.

Na plac zaczęli schodzić się inni mieszkańcy. Dorośli, w przeciwieństwie do dzieci, starali się ukryć swoje

zaciekawienie, ale od razu można było się zorientować, że niezbyt często podejmowali u siebie obcych.

Niedługo później przyszła Nina i zaprowadziła gości do stajni, w której mogli rozsiodłać konie. Po chwili jednak ich zostawiła, mówiąc, że musi dopilnować rozpakowywania wozu.

– Nie wyglądali na takich złych, że przyjechaliśmy – odezwał się Artur zza grzbietu swojego wierzchowca.

– Może Nina i Kuba trochę przesadzali? – zastanowił się Hubert. – Z własnego doświadczenia wiem, że mnóstwo osad cieszy się, kiedy ktoś ich odwiedza i przerywa codzienną rutynę.

– A może w nocy nas zamordują – powiedziała Zuza.

Obaj spojrzeli na nią sceptycznie.

– Nie zamordował nas Igor ze swoją bandą, a było przecież blisko, tutaj więc nie mamy raczej czego się obawiać – stwierdził Diuk.

Puścili konie luzem na łące za stajnią i wrócili na drogę. Przez kilka chwil stali niezdecydowani, co powinni teraz zrobić; wreszcie podeszła do nich młoda dziewczyna.

– Gabriel zaprasza was na skromny poczęstunek – powiedziała.

Zaprowadziła ich do starego domu zbudowanego z czerwonej cegły i częściowo porośniętego bluszczem. W środku panował chłód, pachniało wilgocią.

W salonie powitała ich starsza kobieta słusznych rozmiarów i kazała im zająć miejsca przy stole. Trzasnęły zamykane drzwi i do pokoju wszedł Gabriel.

– Widzę, że poznaliście już moją żonę, Dagmarę – powiedział z uśmiechem. – Daję głowę, że jesteście głodni po podróży.

Jakby na te słowa, dwie dziewczyny postawiły na stole wazę z zupą, pokrojony bochen chleba oraz miski i sztućce.

– Musicie wybaczyć nam całe to zamieszanie. – Haga zatoczył ręką w powietrzu półokrąg. – Ale przygotowujemy się do dożynek i w całej wsi panuje jeden wielki rozgardiasz.

– To nie jest już po dożynkach? – zdziwił się Hubert.

W Dąbrówce i innych osadach, które znał, obchodzono je pod koniec sierpnia. Dokładnie tak jak przed ostatnią wojną.

– Cóż, z pewnych względów postanowiliśmy je nieco przesunąć – wyjaśnił gospodarz. – Równonoc jesienna wydaje się odpowiednim terminem, tak jak działo się to niegdyś.

– Chyba w bardzo zamierzchłych czasach – odezwał się Artur.

– Może zatrzymacie się u nas do uroczystości? – zaproponował Haga.

– Niestety spieszy się nam, jutro rano musimy ruszać dalej w drogę. Ale bardzo dziękujemy za zaproszenie – odparł Hubert.

– Kobiety zaplotą wieniec. W tym roku ma być tak wielki, że jedna osoba nie zdoła unieść go na swojej głowie. Upieczemy olbrzymi kołacz i będzie biesiada aż do rana – zachęcał Gabriel.

W każdych innych warunkach Sierpnia zainteresowałyby obchody takiego święta w obcej osadzie. Z jednej strony ludzie zazwyczaj starali się trzymać obyczajów sprzed wojny, ale z czasem wplatali do nich nowe tradycje, charakterystyczne tylko i wyłącznie dla swojej wsi. Z chęcią zobaczyłby, jak świętują inni, jednak byli już coraz bliżej Groty i nie mogli pozwolić sobie na kolejne przestoje.

– Musimy dogonić naszych towarzyszy, którzy wyjechali kilka dni przed nami – wyjaśnił.

– Nikt ostatnio nie przejeżdżał w okolicy. – Haga pokręcił głową.

– Podejrzewamy, że zmienili początkową trasę, ale docelowe miejsce jest to samo.

– A jakie to miejsce?

– Grota. Słyszał pan o niej?

Gabriel przecesał dłonią siwe włosy.

– To jest miejscowość pod Łodzią, założono tam jednostkę wojskową – dodał z nadzieją Hubert.

– My trzymamy się raczej na uboczu – odparł mężczyzna. – Unikamy kontaktów z innymi ludźmi, a w szczególności z żołnierzami. – Spojrzał wymownie na bojówki Sierpnia.

– To tylko dla wygody, z wojskiem nie mam nic wspólnego – zapewnił łowca.

Kiedy zjedli, Huberta ogarnęła senność i najchętniej poszedłby spać, ale nie mógł przecież przegapić okazji zwiedzenia nowej osady. Zawsze mogło się tu znaleźć coś, co warto byłoby wprowadzić na północy. Jako emisariusz czuł się niejako w obowiązku zajrzeć do każdego kąta, oczywiście jeśli nie będzie to przeszkadzało gospodarzom.

– Jest szansa, że oprowadzi nas pan po okolicy? – zagaił.

– Z przyjemnością – odparł Haga, wstając od stołu.

Gdy niespiesznie ruszyli we czwórkę drogą przez wieś, Sierpień nadal nie mógł się nadziwić, że Kuba i Nina tak bardzo obawiali się ich tu przyprowadzić. Mieszkańcy Biesowic okazali się bardzo mili, każdy chciał przywitać się z gośćmi, zapraszali ich na dożynki, z chęcią pokazywali swoje gospodarstwa.

– Musieliśmy włożyć dużo pracy w odbudowanie naszej wsi – powiedział Gabriel. – Większość budynków oczywiście stała po wojnie, ale nie nadawały się do mieszkania w nowym świecie. Brakowało nam studni, pieców, narzędzi, które nie wymagają prądu.

– U nas było podobnie – przytaknął Hubert.

Przez drogę przeszło stadko gęsi pędzone przez dwóch małych chłopców.

– Teraz staramy się żyć w zgodzie z naturą i nami samymi – dodał nieco zagadkowo gospodarz. – I wiecie co? Nie chciałbym już wracać do tego, co było kiedyś. Wtedy wszystko robiliśmy w biegu, ciągle się spieszyliśmy, nieustannie na coś czekaliśmy, jakbyśmy chcieli szybciej spotkać się z samą śmiercią. Gromadziliśmy bezsensowne dobra. Pieniądze – prychnął. – Powiedzcie mi, jaką wartość ma tak naprawdę kawałek papieru, dla którego kiedyś ludzie byli gotowi zabijać? Teraz więcej czasu spędzamy z rodziną, nie marnotrawimy go na wgapienie się w telewizor i komputer. Kiedyś ciągle byłem zabiegany, w pewnej chwili nawet niewiele brakowało, a rozstałbym się z Dagmarą. Zdawało się, że nic już nas nie łączyło. I dopiero kiedy przyszedł koniec świata, zdałem sobie sprawę, że choćby niebo waliło się na ziemię, nie mogę stracić tej kobiety. Teraz co wieczór siadamy przed domem z winem własnej produkcji albo herbatą i rozmawiamy o całym dniu lub po prostu milczymy, obserwując spokojne życie wokół nas. Jeszcze nigdy nie byliśmy ze sobą tak zżyci.

W to akurat Hubert mógł uwierzyć. Trudne doświadczenia zbliżały do siebie ludzi. Ale byli też tacy, którzy w obecnych czasach się po prostu nudzili i szukali rozrywki u sąsiadów, zdradzając współmałżonków.

Zawiał lekki wiatr, niosąc ze sobą zapach świeżo upieczonego chleba. Haga wciągnął powietrze do płuc, przymykając oczy.

– Kiedyś karmiono nas takimi świństwami – podjął. – Pamiętacie te... matko, jak one się nazywały, to niezdrowe jedzenie...

– Fast food? – odpowiedział Artur.

– O właśnie! Żaden fast food nie umywa się do takiej pajdy świeżego chleba z domowym masłem.

Hubert przytaknął odruchowo. Już nie pamiętał smaku śmieciowego jedzenia. Wiedział tylko, że kiedyś je uwielbiał.

Z jednego z domów wyszła kilkuletnia dziewczynka z garnkiem pod pachą. Przykucnęła na progu i drewnianą łyżką zaczęła wybierać z rondelka coś, co wyglądało na twaróg. Zapełniła nim całą miseczkę leżącą tuż obok drzwi.

– A tam trzymamy ostatni snopek zebrany z pola – pochwalił się Haga, wskazując na dużą stodołę za budynkiem.

– Ale po co? – zapytał Artur.

– Taka tradycja – odezwał się Hubert.

W Dąbrówce też tak robili – z pewnym namaszczeniem umieszczali ostatni snopek w stodole. Ale kiedy pytał o to starszych, nikt nie potrafił mu odpowiedzieć, skąd ten zwyczaj się wziął. Poza tym dwa czy trzy razy o tym zapomnieli i końca świata też nie było. To znaczy był, ale wcześniej.

– Tak, tradycja – przytaknął Najstarszy. – Bo to właśnie w tym snopku chowa się polewik.

– Że co? – zdziwił się Sierpień. – Jaki polewik?

– Demon polny, mówią o nim, że jest męskim odpowiednikiem południcy...

Hubert od razy nadstawił uszu. Czyżby kolejny stwór, o którym dotąd nie słyszał?

– Jak wygląda? Jak atakuje? – zainteresował się natychmiast.

– Jeszcze go nie widzieliśmy – zaśmiał się Haga. – Ponoć wygląda jak bardzo niski starzec z czarną, ziemistą cerą oraz kłosami zamiast włosów i brody.

– Aha... – odparł ostrożnie Hubert.

– Na polach pojawia się w południe i o zmierzchu. Czasem poddusza śpiących rolników, atakuje też pijanych. A kiedy

nadchodzi czas żniw, w popłochu umyka przed kosami i ukrywa się w ostatnim snopku, który chowamy w stodole do następnej wiosny właśnie z szacunku do tego demona.

Sierpień uznał, że nie wierzy w istnienie takiego stwora, ale też nie ośmieliłby się krytykować przekonań Hagi. W tych czasach odżywało wiele tradycji, o których niemal zupełnie zapomniano w nowoczesnym świecie. W dobie komputerów i internetu nie było dla nich miejsca. Jednak po ostatniej wojnie bardzo szybko wróciły do łask.

– Dlaczego go nie odbudowaliście? – zagadnął, gdy mijali ruiny kościoła.

Zatrzymali się przed kamiennym murkiem. Trawa za nim była wybujała, nieco dalej zaś wyrastały krzewy. Jedną z przewróconych drewnianych ścian porastał gęsto bluszcz. Dzwonnica zawaliła się, między deskami wystawał leżący na ziemi dzwon. Było w tym widoku coś poruszającego najgłębszą strunę w sercu człowieka.

– Żeby pamiętać – odparł Haga.

Sierpień zmarszczył brwi i zerknął na Zuzę. Liczył na porozumiewawcze spojrzenie, ale dziewczyna stała z głową odwróconą w zupełnie przeciwnym kierunku.

– Co takiego? – zapytał Artur. On też najwyraźniej nie do końca wiedział, co mężczyzna mógł mieć na myśli.

– Że nikt nie jest niezwyciężony i że sami musimy wziąć los w swoje ręce...

– Klakier – odezwała się Zuza.

Sekundę później Hubert wyczuł owinnika, który wkroczył do wsi.

– O cholera – rzucił, zastanawiając się, co powinien zrobić.

Mieć nadzieję, że demon jednak się wycofa? Zacząć tłumaczyć się przed gospodarzem? Biec prosto po kota, mając nadzieję, że miejscowi nie zdążą go zastrzelić?

– Jest pewna kwestia, o której powinniśmy porozmawiać... – zaczął.

Zuza, jak gdyby nigdy nic, oderwała się od murka i ruszyła w stronę owinnika.

– Tak? – Haga odwrócił wzrok od ruin i zmarszczył brwi.

– Właśnie do waszej osady przyszedł nasz... nasz zwierzak – zaczął wyjaśniać Sierpień. – Nie jest groźny, może tylko sprawiać takie wrażenie...

Usłyszeli krzyk.

– Zaczęło się – powiedział zmęczonym tonem Hubert, przykładając dłoń do czoła. – Przepraszam – rzucił, po czym ruszył biegiem za Zuzą.

Dogonił ją kilkadziesiąt metrów dalej.

– Nikt nie lubi niezapowiedzianych wizyt – tłumaczyła siedzącemu na środku drogi Klakierowi.

Wszędzie wokół, we w miarę bezpiecznej odległości, zaczęli gromadzić się ludzie. Pokazywali sobie owinnika palcami i szeptali nerwowo. Wszyscy byli bladzi i przestraszeni, ale o dziwo nikt nie sięgnął po broń.

– To jest Klakier – odezwał się głośno Sierpień. – I nie jest niebezpieczny!

Ktoś dyskretnie upuścił na ziemię trzymany w dłoni kamień.

*A więc dziś go jeszcze nie ukamieniują* – pomyślał z pewną ulgą Hubert.



– Dobrze, że Nina zdążyła ostrzec mnie i jeszcze kilka innych osób – powiedział Haga.

Stał razem z Hubertem i Arturem na uboczu, obserwując, jak trzech odważniejszych miejscowych zbliża się do Klakiera, chcąc go pogłaskać.

– O czymś takim jeszcze nie słyszeliśmy. – Najstarszy pokręcił głową. – Nawet nam się nie śniło, że można aż tak obłaskawić demona.

– Wymagało to trochę zachodu, ale w gruncie rzeczy Klakier czasem się przydaje.

– Kochanie? – Podeszła do nich Dagmara, po czym wskazała stojącego kilka metrów dalej Kubę. – Musisz z nim porozmawiać.

Haga westchnął ciężko.

– Cóż, obowiązki wzywają. Zostawiam was pod opieką mojej małżonki – powiedział, po czym się oddalił.

– Opowiedzcie mi o nim wszystko – poprosiła Dagmara, wpatrując się w Klakiera. – Budzi grozę, a jednocześnie jest stworzeniem pełnym godności.

Hubert krytycznie spojrział na demona. Gdy ten czał się na swoją ofiarę taką jak gryznie lub wodził czerwonymi oczami za domowym ptactwem krążącym po podwórku, może rzeczywiście był pełen gracji i dzikiej drapieżności. Ale Sierpień widział go też w takich sytuacjach, kiedy owinnik wracał po nocnym polowaniu do domu oblepiony rzepami z łopianu albo wymiotował pierzem, bo pożarł wronę i ta stanęła mu w gardle. Najwyraźniej zwykła codzienność odziera z elegancji nawet demona.

Mimo wszystko zaczął mówić to, co musiał powtarzać niemal w każdej osadzie, kiedy przedstawiał owinnika jej mieszkańcom. Bardziej jednak był zainteresowany tym, co działo się kilka metrów dalej. Co chwilę zerkał przelotnie w stronę Kuby i Gabriela. Nie dało się nie zauważyć, że byli na siebie wściekli i się kłócili, starając się nie zwracać na siebie

zbytniej uwagi. Jednak trudno było orzec, co było przyczyną tej scysji.

Wkrótce Klakier, najwyraźniej zmęczony nadmiarem uwagi, czmychnął do lasu. Dagmara zaś odprowadziła trójkę gości do domu, w którym mieszkała przygłucha staruszka.

– Odpocznijcie przed kolacją – powiedziała. – Jeśli czegoś potrzebujecie, pytajcie panią Marylę, tylko mówcie bardzo głośno i krótkimi zdaniami.

– A ja to bym poszedł nad rzekę się wykąpać i wyprać ubrania na zmianę, to do jutra może wyschną – odezwał się Artur, kiedy zostali sami.

Hubert ocenił krytycznym spojrzeniem swój mundur. Jak zwykle cieszył się, że na wzorze moro nie było aż tak widać plam z błota, krwi i popiołu.

– Nam wszystkim się to chyba przyda – stwierdził.

Zuza ochoczo pokiwała głową, wyciągając z torby brudną bluzkę i mydło.

Gospodyni przysypiała na fotelu w dużym pokoju. Powiedzieli jej, dokąd się wybierają, choć nie byli pewni, czy dobrze zrozumiała, i już kilka chwil później opuścili wieś. Ruszyli wzdłuż rzeki, szukając łagodnego i czystego brzegu.

– I co sądzicie o tej osadzie? – zagadnął w drodze Hubert.

– Wydają się normalni – odparł Diuk. – Nie wiem, o co chodziło Kubie i Ninie, jak mówili, że nie przepadają za obcymi.

– Może po prostu nie dogadują się ze starszyzną? Dziś wyglądali, jakby się kłócili.

– Chodziło o jakiegoś faceta – powiedział Artur. – Trochę ich podsłuchałem. Ktoś złamał jakieś tam zasady i ma być ukarany. Kuba twierdził, że to przesada, że ten nic złego nie zrobił, ale Haga się uparł. „Tak powiedziałem i tak się stanie”, uciał dyskusję, a Kuba odszedł wściekły.

– Nie nasza sprawa. – Hubert wzruszył ramionami. – Każda osada musi mieć jakieś reguły, żeby móc funkcjonować. Jak facet nabroił, to należy mu się kara. O, tu nurt jest słabszy, a brzeg nawet piaszczysty.

Zatrzymali się i rozebrali do bielizny. Woda okazała się dość zimna, więc szybko się wykąпали i jeszcze szybciej wyprali ubrania. Chylące się ku zachodowi słońce grzało coraz słabiej, więc rozpalili niewielkie ognisko, żeby się wysuszyć.

– Chyba pora już wracać – odezwał się jakiś czas później Hubert. – Bo jeszcze będą nas szukać.

Ich wyprane ubrania już nie ociekały wodą, ale nadal były mokre i wymagały rozwieszenia na linkach.

– Albo zagarną nasze rzeczy i konie – dodał Artur.

Zagasili ognisko. Ku niebu wzbiła się ciemnoszara smuga dymu. Zuza stanęła nieruchomo i zapatrzyła się na nią.

– Idziesz? – pospieszył dziewczynę Hubert.

– Stary kłamca klęka przed pogańskim bałwanem – odezwała się, nie odrywając wzroku od dymu.

– Co? Jaki kłamca? Jaki bałwan?

Przez chwilę na polanie panowała cisza, nim Zuza spojrzała na swoich towarzyszy.

– Naprawdę jesteście tacy ślepi? – zapytała.

– To nas oświeć – powiedział Sierpień zmęczonym tonem.

Dziewczyna otworzyła usta, nabrała tchu, zmarszczyła brwi i... zrobiła minę, jakby zgubiła wątek. Rozłożyła ręce.

– Nie umiem tego wyjaśnić – westchnęła w końcu. – Ale oni ukrywają przed nami znacznie więcej niż Igor i jego dzikie dzieci.

– Więcej niż udomowionego owinnika i biesa? – zapytał Artur.

Hubert machnął do niego ręką, żeby nie dopytywał, bo to i tak bez sensu. Zuza czasem gadała od rzeczy. Niekiedy

jednak w jakiś pokrętny sposób miała rację, dlatego warto zachować ostrożność.



Kolację zjedli w domu Gabriela. Przyszło na nią jeszcze kilkoro innych członków Rady Starszych. Ci nie byli już tak mili i uprzejmi jak Haga, wręcz przeciwnie – odnosili się do gości z dużą dawką rezerwy. Hubert chciał zrzucić to na fakt, że nie byli przyzwyczajeni do rozmów z obcymi, ale od chwili, kiedy usłyszał niezbyt sensowne słowa Zuzy nad rzeką, patrzył na miejscowych z coraz większą podejrzliwością. Najgorsze było jednak to, że choć naprawdę się starał, nie mógł znaleźć nic konkretnego, co mógłby zarzucić mieszkańcom Biesowic.

Gospodyni postawiła na stole pieczeń i zabrała się do krojenia, jednak kiepsko jej to szło.

– Ty, stary, jak zwykle nie naostrzyłeś noży – mamrotała pod adresem swojego męża.

– Mówiłem ci, żebyś mi je przyniosła, to się tym zajmę, ale ty zawsze zapominasz – wybronił się.

– Bo to ty powinieneś o tym pamiętać! – oburzyła się.

Kolejny kawałek mięsa okazał się jeszcze bardziej poszarpany niż poprzedni.

– Może tym będzie łatwiej? – Hubert podał gospodyni swój bagnet.

Może nie nadawał się do takich celów, ale z całą pewnością był bardzo ostry.

– Dziękuję – uśmiechnęła się Dagmara, krojąc. – Od razu lepiej!

Rozmowa przy kolacji nie poruszała poważniejszych tematów. Hubert spróbował wypytać innych o Grote, ale oni również nic o niej nie słyszeli. Kilka osób zainteresowało się Platonem – najwyraźniej Kuba i Nina zdążyli już o nim opowiedzieć swoim ziomkom.

Wczesnym wieczorem trójka gości się pożegnała i udała do domu, w którym mieli nocować. Planowali wyruszyć w drogę z samego rana, więc chcieli się wyspać.

Hubert rozwijał właśnie śpiwór na kanapie, kiedy nagle pacnął się dłonią w czoło.

- Dupa blada – jęknął.
- Co jest? – zapytał Artur.
- Zapomniałem zabrać mój nóż.
- Jutro rano po niego pójdziesz.

Sierpień jednak pokręcił głową. To był ten sam bagnet, który dostał od Michała, a zarazem jedyna pamiątka po zmarłym przyjacielu. Takich rzeczy nie zostawia się na później.

– Zaraz wracam. – Wyszedł na pustą, pogrążoną w ciemności ulicę i od razu skierował się do domu Hagi.

W żadnym budynku nie palił się nawet najmniejszy płomień świecy. Najwyraźniej wszyscy mieszkańcy dawno już spali.

*Prawie wszyscy* – poprawił się w myślach Hubert. W oknie przywódcy Rady Starszych nadal widać było wątłe światło. Dagmara pewnie sprzątała jeszcze po kolacji.

Sierpień stanął przed drzwiami i uniósł dłoń, żeby zapukać, kiedy z wnętrza dobiegły go podniesione głosy.

- Nie możecie tego zrobić! – Od razu rozpoznał głos Kuby.
- Gniewko zachował się nieroztropnie, wyciągnął broń! – odparł zdenerwowany Gabriel.
- To był odruch!
- Zasady są proste. Nie tylko go zranił, ale wręcz zabił. Musi ponieść konsekwencje!

- To jest barbarzyństwo!
- Nie, to nowe czasy, które wymagają nowych rozwiązań.
- Wyrzucicie go ze wsi, skażcie na banicję, ale nie na coś takiego!

W głowie Huberta zapaliła się czerwona lampka. Skoro banicja jawiła się jako dobre i mało barbarzyńskie rozwiązanie, co Haga planował zrobić z tym człowiekiem?

- Jakubie! - Najstarszy spróbował przywołać mężczyznę do porządku. - Jeżeli nie przestaniesz mnie napastować, możesz dołączyć do Gniewka. Chcesz tego? Wszyscy mówili mu, że ma się opanować, że tak chciał los, ale on go porąbał siekierą! Gdybyśmy w porę go nie powstrzymali...

- Czasem nie mogę uwierzyć w to, co robicie - powiedział Kuba tak cicho, że ledwie było go słyszeć.

- Zatem znajdź sobie inny dom.

W korytarzu rozległy się kroki. Hubert pospiesznie oderwał się od drzwi i cofnął się na drogę. W progu stanął czerwony ze złości Kuba.

- Zostawiłem nóż - rzucił Sierpień, siląc się na lekki ton.

Mężczyzna skinął głową, wyminął go bez słowa i odszedł w mrok.

Hubert zastukał knykciami w otwarte drzwi.

- Przepraszam, że tak późno, ale zapomniałem noża - wyjaśnił, kiedy w korytarzu pojawił się Gabriel.

- Tak, rzeczywiście, Dagmara zdążyła już go umyć. - Najstarszy przyniósł bagnet. - O której zamierzacie nas opuścić? - Jego wyciągnięta dłoń trzymająca ostrze zastygła w bezruchu.

- Niedługo po wschodzie. - Hubert złapał za rękojeść i spojrzał prosto w zmęczone oczy Gabriela.

- Mamy jutro małe... małe wydarzenie... - zająknął się starszy mężczyzna, puszczając ostrze. - Pewną ceremonię.

Właśnie o wschodzie słońca. Więc prawdopodobnie nie zdołamy się już zobaczyć.

– Szkoda. – Hubert wsunął bagnet do pochwy.

– Marylka przygotowuje dla was śniadanie. Dagmara zostawiła u niej mały pakunek dla was na drogę. Z resztą poradzicie sobie chyba sami?

– Oczywiście. Bardzo dziękujemy za gościnę.

– A my za odwiedziny. Miło było was poznać. Pożegnaj, proszę, ode mnie Zuzę i Artura. – Haga uścisnął mu dłoń.

Hubert przez sekundę zastanowił się, czy nie powinien wręczyć mu liścia dębu, który nosił na szyi. Poprzednie dwa oddał już Prezydentowi w Mroczy oraz Igorowi. Teraz jednak się zawahał. Przyłożył rękę do klatki piersiowej. Pod cienkim materiałem bluzki wyczuł nieregularny kształt wisiorka.

– Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się zobaczymy. – Cofnął dłoń i skinął gospodarzowi głową.

Odwrócił się i odszedł, mając wrażenie, że Gabriel nadal stoi na progu i go obserwuje.

*Zuza miała rację, oni coś ukrywają* – pomyślał, starając się nie zerkać przez ramię. *A właściwie nie coś, tylko kogoś.*

Powiódł wzrokiem po ciemnych domach. Czy to właśnie w którymś z nich przetrzymują mężczyznę, który złamał jakieś prawo i rzucił się na kogoś z siekierą? Jak zamierzali go ukarać? Obciąć mu dłoń? Wysłać na tortury? Zabić?

Nie popierał takich metod, a jednocześnie chyba cała wieś była zgodna co do jego winy, bo nie zauważył nikogo, kto usiłowałby się za nim wstawić. I tylko Kuba próbował wytargować inny los dla skazańca.

*Nie nasza sprawa* – uznał Hubert.

Miał na głowie własne problemy i nie planował mieszać się w cudze wyroki.



Pierwszym, co zobaczył Hubert po otwarciu oczu, była piegowata twarz Zuzy okolona burzą rudych, poczochranych loków.

– Przegapiłeś procesję – powiedziała.

– Jaką znowu procesję? – Usiadł na łóżku i przetaił twarz.

– O wschodzie prawie cała wieś przeszła ulicą, prowadząc związanego mężczyznę.

Potrzebował kilku chwil, żeby jego umysł zaczął sprawnie pracować.

– Taa, słyszałem o tym – powiedział w końcu. – Jakiś facet rzucił się na kogoś z siekierą i najwyraźniej dziś mieli wymierzyć mu karę.

– Jaką?

– Nie mam pojęcia i szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Sam jest sobie winny. A poza tym na nas już czas.

Pani Maryla rzeczywiście przygotowała dla nich śniadanie i wręczyła nieco jedzenia na drogę. Prawie krzycząc, podziękowali jej za gościnę, zabrali swoje torby i skierowali się do stajni.

Konie czekały na nich nakarmione i wyczesane. Zaczęli je siodłać, kiedy w jednym z boksów usłyszeli hałas. Hubert zajrzał do środka, a jego oczom ukazała się zapłakana twarz Niny.

– Co się stało? – zapytał.

Kobieta przyłożyła palec wskazujący do ust i rozejrzała się nerwowo.

– Jesteśmy tu tylko my – powiedział.

Nina wyglądała, jakby nie spała przez całą noc. Jej oczy były podkrążone, na policzkach wykwitły czerwone plamy.

– Ja... – zaczęła. – Bo oni...

Skuliła się i wybuchnęła płaczem.

Zuza bez słowa wyminęła Huberta, przycupnęła tuż obok Niny i położyła dłoń na jej ramieniu.

– Co oni chcą zrobić? – zapytała.

– Oni skazali go na śmierć! – zaszlochała Nina.

*A więc jednak* – przemknęło przez głowę Huberta.

– Ale on nic nie zrobił! – Kobieta gwałtownym ruchem objęła Zużę i ukryła twarz w jej włosach. – On chciał tylko ratować Agę!

– Chwila moment – odezwał się Sierpień. – Wy tłumacz nam na spokojnie, o co chodzi.

Nina nie reagowała przez chwilę.

– Chodzi o tego, jak mu tam, Gniewka? – podpowiedział Hubert. – Słyszałem, że rzucił się na kogoś z siekierą.

Kobieta wreszcie oderwała się od Zuzy i pokręciła głową. Otarła łzy, starając się uspokoić.

– Kuba zabronił mi wam mówić.

– Ale jednak przyszłaś tutaj, wiedząc, że nas spotkasz.

– Jeżeli Haga się o tym dowie... – Ukryła twarz w dłoniach.

– Nic mu nie powiemy – zapewnił. – Kim jest Gniewko i dlaczego skazali go na śmierć?

– To się stało, kiedy nas tu nie było – powiedziała w końcu. – Może gdybyśmy byli, Kuba by go powstrzymał... może Aga zostałaby tego dnia w domu...

– Ale wyszła i co się stało? – Hubert znów spróbował nakierować rozmowę na odpowiednie tory.

– Poszła na grzyby z innymi i... i zaatakował ją demon.

Znów się rozplakała.

– Jaki demon?

– Ten o gadzim łbie.

– Zabił ją?

– Tylko ranił, ale inni uciekli, zostawiając ją na jego pastwę.

– Cóż, ludzie często tchórzą na widok demona.

– Nie o to chodzi. – Potrząsnęła głową. – Demon ją wybrał. Powinna zginąć. Nie wolno odbierać demonowi jego ofiary.

– Że co proszę? – sapnął Artur za plecami Huberta.

Sierpień z kolei zamrugnął powiekami, niepewny, czy czasem się nie przesłyszał.

– Tak po prostu jest. – Nina uspokoiła się odrobinę. – Kiedy wszyscy wrócili do wsi, opowiedzieli, co się stało. Haga powiedział, że rodzina Agaty powinna być dumna, że demon wybrał ją na swoją ofiarę.

– Chryste – szepnął Sierpień, czując, że jego niedowierzanie zaczyna mieszać się z gniewem.

– Ale ona nie miała rodziny. – Kobieta pociągnęła nosem. – Nie miała nikogo, kto przejąłby się jej losem. Gniewko, mój kuzyn, chyba się w niej podkochiwał, bo kiedy tylko usłyszał o ataku, wziął siekierę i pobiegł do lasu. Zawsze był taki miły i spokojny, nikt się tego nie spodziewał. Kilka osób, widząc go, pobiegło za nim, żeby go powstrzymać. Znalazł Agę, była bardzo ranna, a demon czaił się w ukryciu.

– Zaatakował go?

– Chciał bronić swojego łupu. – Nina pociągnęła nosem. – I Gniewko... on... on go zabił. – Na nowo się rozplakała. – Rozplatał mu głowę siekierą!

– To chyba dobrze? – zapytał Sierpień.

– Nie, nie tutaj, nie w Biesowicach. Wierzimy... oni wierzą, że demony są dobre. Krwiożercze, ale dobre, i nie wolno odbierać im ofiary.

*Większych bzdur w życiu nie słyszałem* – cisnęło się Hubertowi na usta.

Kiedys w demonologii czytał, że gdy ktoś się topił, nie wolno było go ratować, ponieważ tę osobę wybrał sobie topielec. I jeżeli wyciągnęłoby się ją z wody, demon mógłby się zemścić na całej wsi. Jednak w coś takiego wierzono setki lat temu! Gdy na świecie panowały ciemnota i zabobon! Aż trudno było ogarnąć, że ktoś, kto pamiętał cywilizowane czasy, mógłby mieć podobne poglądy. I pójść jeszcze dalej, uznając wszystkie demony za coś niemal świętego!

Pewne rzeczy dopiero teraz nabrały sensu. To zafascynowanie Klakierem i Platonem. Dziewczynka zostawiająca twaróg na progu domu. Stóg siana schowany w stodole dla polewika. Nieodbudowany kościół. Brak kontaktów z innymi. Przecież żadna normalna osada nie chciałaby się zaprzyjaźnić z tą bandą wariatów!

– Bogowie zezłościłi się na nas i zesłali kataklizm, żeby później wypuścić demony – wyjaśniła Nina.

– Chwila, jacy bogowie? – zastanowił się Hubert.

– Pogańscy – szepnęła Zuza.

– Musimy szanować demony, żeby bogowie się na nas nie pogniewali.

– Nie wierzę. – Sierpień pokręcił głową. – A Aga?

– Zmarła od zadanych ran i zostawili ją w lesie.

– I co teraz chcą zrobić z Gniewkiem?

– Po tym wypadku zamknęli go w piwnicy. I chodzili do lasu, żeby zostawiać ofiarę dla innych demonów. Już myśleli, że wszystkie się na nas obraziły, ale wreszcie jedzenie zaczęło znikać. Ktoś zobaczył innego demona o gadzim łbie w okolicy. Żeby go przebłagać, postanowili oddać mu Gniewka.

Hubert przyłożył palce do skroni.

– W jaki sposób?

– Przywiążą go do drzewa w tym miejscu, gdzie widziano demona. Może go zranią, żeby skusił się na jego krew... I tak

go zostawią, aż jakiś stwór przyjmie taką ofiarę.

– Facet ratował kogoś przed demonem i zamiast go chwalić za odwagę, zamierzają rzucić go na pastwę innym bestiom? – podsumował Artur. Jego ton brzmiał, jakby sam nie wierzył we własne słowa.

Nina skinęła głową. Po jej policzkach nadal lały się łzy.

– Czy wy zaprosiliście nas do Biesowic, bo zobaczyliście, że mamy Klakiera? – zapytał Hubert.

– Nie do końca popieramy poglądy Rady Starszych – przyznała. – Często się kłócimy. Myśleliśmy, że jeśli przyprowadzimy was z takim demonem, trochę zapunktujemy. Przecież wszyscy byli nim zachwyceni. Nie mieliśmy pojęcia, co działo się tutaj podczas naszej nieobecności.

– Dlaczego po prostu stąd nie wyjedziecie? – Sierpień wskazał dłonią okno. W głowie mu się nie mieściło to wszystko. Gdyby był na miejscu Kuby i Niny, już dawno temu opuściłby ten cyrk.

– Dokąd? Tu jest nasz dom. Poza tym mama Kuby jest schorowana, nie przeżyłaby dalekiej podróży. Ale też nie chcę, żeby zabili mojego kuzyna!

Hubert spojrzał na Zużę, a później na Artura. Byli tutaj tylko gośćmi, jeszcze przed chwilą mieli stąd wyjechać. Zresztą nawet gdyby chcieli interweniować, było ich tylko troje przeciw całej wsi. Czego Nina od nich oczekiwała? Że dla obcego faceta będą ryzykowali życie?

– Powiedz to – odezwała się Zuza, patrząc mu w oczy.

– Co?

– Że nie możemy tego tak zostawić.

– Zuza... ja...

– Wiem, co ci chodzi po głowie. Znam cię. Wiem też, co w tej chwili zrobiłby mój brat.

– Co takiego?

– Kazałby ci się zatrzymać na kilka sekund, żeby chociaż obmyślić plan ratowania Gniewka. Gdybyś był z nim, już pędziłbyś na pomoc.

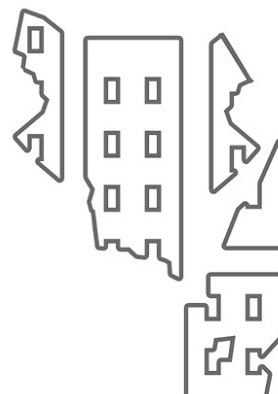
Pewnie miała rację.

– Mój brat też by interweniował – dodał Artur.

– Mamy swoją misję – powiedział Hubert bez przekonania.

– Czy będziesz w stanie żyć z samym sobą, jeśli teraz po prostu odjedziemy? – zapytała Zuza.





## Rozdział XV

Zuza miała rację, Hubert nie wybaczyłby sobie, gdyby zostawił praktycznie niewinnego mężczyznę na pastwę zdziczałych pogan.

– Dobra, mów, dokąd dokładnie go zabrali – zwrócił się do Niny. – Odbijemy go.

Z nadzieją pokiwała głową.

– Tylko nigdy już nie będziecie mogli tu wrócić – zastrzegła.

– Uwierz, że po tym, co właśnie usłyszałem, nie zamierzaliśmy tu wracać.

– I zabierzecie Gniewka ze sobą?

Przytaknęła.

– Tylko nie mówicie nikomu, że wiecie o tym wszystkim ode mnie.

– Nie powiemy, ale na wszelki wypadek powinniście z Kubą i jego matką być gotowi na szybką ewakuację, gdyby jednak się domyślili.

Nina, siodłając dodatkowego konia, pośpiesznie wytłumaczyła im, gdzie mieszkańcy Biesowic planowali złożyć

ofiarę dla wija.

– Powinniście łatwo odszukać ich ślady. Nie będą mieli też ze sobą żadnej broni – zaznaczyła. – Jeszcze kogoś by podkusiło, żeby zranić demona, gdyby ten pojawił się wcześniej.

– To dlatego cwaniaczki poszły do lasu z samego rana, a nie w nocy – mruknął Hubert, wsiadając na Mokkę. – Żeby tylko nie spotkać żadnej cudownej demonicznej istoty. – Jego głos aż ociekał ironią.

– Spakowałam kilka najpotrzebniejszych rzeczy Gniewka. – Nina przytroczyła torbę do siodła gniadego wałacha i podała wodze Sierpniowi. – To koń Gabriela, ale stary i tak rzadko na nim jeździ.

Łowca poczuł mściwą satysfakcję na samą myśl, że ukradną wierzchowca Hagi.

– Uważajcie na siebie i powiedzcie Gniewkowi... – Kobieta zająknęła się. – Powiedzcie mu, że mam nadzieję, że kiedyś się jeszcze zobaczymy.

– Wy też uważajcie – odparł Hubert. – A w razie czego uciekajcie na północ. Kilkanaście dni drogi stąd jest niewielka osada. Mrocza. Tam możecie szukać schronienia. Powiedzcie tylko, że to my was tam wysłaliśmy.

Nina pokiwała głową.

– Dziękuję – szepnęła przez łyżę.

Trójka podróżników spokojnie przejechała przez wieś. Nie chcieli jeszcze popędzać koni, żeby nie zwracać na siebie uwagi tych miejscowych, którzy mogliby obserwować ich z okien. Jednak zaledwie kawałek za osadą popędzili wierzchowce do kłusu. Nina miała rację, łatwo było odnaleźć ślady – miejscowi sypali na ziemię kwiaty, jakby szli w jakiejś liturgicznej procesji.

Dotarli do starego krzyża stojącego na rozstaju dróg.

- Zuza, ty zostaniesz z końmi - odezwał się Hubert, sprawdzając magazynek broni. - Ukryj się z nimi za tamtymi drzewami. W razie czego masz colta. My - zwrócił się do Artura - zajdziemy ich z dwóch stron. Nie strzelaj do nich, chyba że w ostateczności. I raczej celuj w nogi.

Diuk skinął głową, ładując swoją strzelbę.

- Mam nadzieję, że rzeczywiście będą nieuzbrojeni - powiedział.

- Na wszelki wypadek liczymy się z tym, że ktoś mógł po cichu, w tajemnicy przed Starszymi, wziąć jakąś klamkę.

- To do dzieła.

Hubert już postąpił krok w stronę lasu, ale odwrócił się jeszcze.

- Zuza? Jakies demony? - On sam nic jeszcze nie wyczuwał, ale wolał mieć pewność.

Dziewczyna zamknęła oczy i wzniosła twarz ku niebu, zupełnie ignorując Arkę, która zaczęła skubać wargami bluzkę na jej ramieniu.

- Wuj - odezwała się po chwili. - Jest daleko. Boi się ludzi, są głośni, ale jeżeli coś go rozdrażni, może ruszyć do ataku.

- Super - rzucił ironicznie łowca. - Widzimy się za niecałe pół godziny.

Wraz z Arturem zagłębił się w las, idąc wzdłuż ścieżki usypanej z kwiatów. Kiedy usłyszeli w oddali ludzkie głosy, rozdzielili się.

Hubert zatoczył duże półkole, wciąż nasłuchując. Mieszkańcy Biesowic chyba celowo zachowywali się dość głośno, żeby odstraszyć dzikie zwierzęta i ewentualne potwory.

*Banda hipokrytów - pomyślał ze złością. Jeśli tak kochają demony, niech wszyscy dadzą się im pozabijać. Ku chwale pogańskim bogom.*

Nie mógł stąd po prostu odjechać, wiedząc, co ci ludzie planują zrobić, a jednocześnie znów dopadły go obawy, że bezsensownie ryzykuje. A jeśli to wcale nie będzie takie proste, jak się zdawało? Albo oni będą jednak dobrze uzbrojeni? Lub zupełnie oszaleją, gdy ktoś spróbuje interweniować w ich obrządek? A może Nina ich okłamała i to wszystko było tylko jakąś farsą, Hubert i Artur zaś właśnie pchali się w sam środek pułapki?

*Zaraz się przekonamy.*

Między drzewami mógł już dostrzec ludzkie sylwetki. Bardzo powoli zaczął skradać się w ich stronę. Na szczęście wszyscy byli bardziej zainteresowani tym, co działo się pod starym, powyginanym dębem stojącym na środku polanki.

– Za wszystkie swoje przewinienia wobec naszej społeczności; za sprzeciwienie się temu, w co wierzymy; za wystawienie naszej osady na niebezpieczeństwo i zemstę ze strony demonów zostałeś skazany na śmierć. – Hubert rozpoznał donośny głos Hagi.

Czy wcześniej u starego też pobrzmiwał taki upór maniaka? Czy łowca mógł tego nie zauważyć? A może dopiero w tak „podniosłej” chwili Gabriel poczuł się jak przedstawiciel samych bogów?

Kilka kolejnych kroków i Sierpień miał już zupełnie dobry widok na całą polankę. Zebrało się tutaj ponad dwadzieścia osób, w tym kilkoro dzieci.

*Przed południem popatrzymy, jak składa się ofiarę z człowieka, a później wrócimy do domu na rodzinny obiad – pomyślał z ironią.*

– Wykaż się odwagą – kontynuował Haga. – I bądź dumny z tego, jak przyszło ci umrzeć. Twoja śmierć przebłaga demony i zapewni bezpieczeństwo naszej osadzie!

Tłumek zafalował, rozstąpił się nieco i dopiero teraz Hubert dostrzegł młodego mężczyznę przywiązanego do pnia wielkiego dębu. Gniewko okazał się wysokim i potężnym człowiekiem, bez problemu mógłby położyć co najmniej kilku przeciwników. Nie miał na sobie żadnej koszuli, a na jego twarzy malowała się obojętność kogoś, kto dokładnie wiedział, jaki los go czekał. Jego rodzina w postaci kuzynki nie zdołała przebłagać Rady Starszych, żeby go ułaskawili, a jedyna dziewczyna, która mu się podobała i być może wiązał z nią jakąś przyszłość, zginęła rozszarpana przez wija. Najwyraźniej sądził, że życie nie ma już mu nic do zaoferowania. Widząc w jego oczach tę rezygnację, Hubert zapałał do niego współczuciem. Podobne spojrzenie mieli ludzie, którzy zaczęli chorować w trakcie ostatniej wojny. Choć wydarzyło się to ponad osiem lat temu, Sierpień doskonale pamiętał szare twarze matek, które bez pożegnania zostawiały swoje dzieci i szły do lazaretu, wiedząc, że tam przyjdzie im skonać w męczarniach. Widział mężczyznę, który z siłą odepchnął od siebie zapłakaną żonę, kiedy sąsiad przyszedł po niego z bronią, aby zaprowadzić go do polowego szpitala.

Na szyi Gniewka wisiał naszyjnik z owoców jarzębiny i orzechów, a na jego głowę włożono okazały wieniec z kwiatów i kłosów zbóż. Przez te ozdoby skojarzył się Hubertowi z prowadzonym na rzeź wołem przystrojonym w wianki i wstążki.

Z drugiej strony polany doleciał ptasi ćwierkot – umówiony sygnał, że Artur zajął już swoje miejsce.

Haga podszedł do więźnia, w jego dłoni błysnął nóż. Hubert na sekundę zamarł.

– Twoja krew dla nas – odezwał się głośno Gabriel, po czym przeciągnął ostrzem po nagiej klatce piersiowej.

Na twarzy Gniewka pojawił się grymas bólu, na jego piersi zaś krwawa rysa.

– Pójdiesz za to do piekła – odezwał się i zacisnął mocno szczękę.

Haga przekazał ostrze Dagmarze, która powoli podeszła do związanego mężczyzny.

– Twoja krew dla nas – rzekła niczym w transie.

*Oni zamierzają pociąć go na sito, żeby zwabić demona!*

Hubert wyszedł na polankę, celując w ludzi. Uprzedzał Artura, żeby użyć ostrej amunicji tylko w ostateczności, ale sam miał w tej chwili ochotę wystrzelać tych głupców jak kaczki.

– Dość już się napatrzyłem! – powiedział donośnie.

Mieszkańcy Biesowic odwrócili się w jego stronę. Dagmara zamarła z uniesionym nożem.

– Szedłem za wami z ciekawości – mówił dalej, idąc przed siebie, a ludzie rozstępowali się przed nim. – Chciałem zobaczyć, co to za procesja... ale widzę, że urządziliście sobie zabawę w krwawe rytuały. Może jeszcze jakaś orgia?

– Odejdź stąd! – Najstarszy odzyskał głos. – To nie twoja sprawa.

– Owszem, moja – rzucił lodowato. – Szczególnie gdy jacyś idioci chcą rzucić na pastwę demonów bezbronny człowieka. Nie wiem, co on wam zrobił, ale nikt nie zasługuje na taką śmierć.

Z każdym krokiem był coraz bliżej dębu. Na razie ludzie nie przejawiali wrogości, byli jeszcze zbyt zaskoczeni. Ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jeszcze chwila, a mogą zamienić się w rozwścieczoną tłuszczę.

– Przyjęliśmy was pod swój dach, nakarmiliśmy, podzieliliśmy się naszą historią; czas, żebyś okazał

wdzięczność i odszedł – powiedział Haga. – Uszanuj nasze tradycje i zwyczaje.

– Jestem bardzo wyrozumiałym człowiekiem, ale pewnych zwyczajów nie będę tolerował. Wiecie, jak nazywają mnie na północy?

Od więźnia dzieliły go jeszcze jakieś trzy metry i postawna sylwetka Najstarszego. A najgorsze było to, że przejście za nim się zamknęło – ludzie ustawili się za jego plecami w półokrąg.

– Nazywają mnie łowcą demonów. – Spojrzał prosto w oczy Gabriela i dostrzegł w nich szaleństwo.

– I jesteś dumny z tego tytułu? – Haga splunął na ziemię.

– Zasłużyłem sobie na niego. Zabiłem więcej demonów, niż wy wszyscy widzieliście razem wzięci. Może i mam oswojonego owinnika i leszego, ale też nie zawaham się przed zabiciem potwora, który czyha na ludzkie życie.

Skierował lufę prosto w klatkę piersiową Hagi.

– Jesteś takim potworem? – zapytał Najstarszego.

– Ten człowiek zasłużył na śmierć! Jak chcesz, możesz dziś dołączyć do niego!

Hubert usłyszał szuranie za plecami. Jeszcze chwila, a się na niego rzucą.

Wtem zza dębu wyszedł Artur. Lufa jego strzelby zataczała ósemki, celując w tłumek. Ludzie nagle stracili rezon.

– Zejdź mi z drogi – warknął Sierpień do Hagi.

Najstarszy się zawahał.

– Jeżeli nam przeszkodzisz, nie będziesz już mile widziany w naszej osadzie.

Hubert się roześmiał.

– Nie zamierzam znów was odwiedzać.

Nagle Gabriel strzelił spojrzeniem ponad jego ramieniem. Za plecami łowcy rozległ się hałas. Już zaczął się odwracać, ale zdał sobie sprawę z tego, że jest za późno. Po lesie poniósł się

huk wystrzału. Ludzie przypadli do ziemi, a jeden z mężczyzn zwał się na trawę, głośno krzycząc. Na jego spodniach na wysokości uda zaczęła wykwiatać plama krwi.

– Następny, który chociażby drgnie, dostanie prosto w czaszkę – zagroził Artur.

Sierpień odetchnął. Wyminął Hagę, który nie miał już tak pewnej siebie miny, i stanął przodem do mieszkańców Biesowic. Wyjął z pochwy nóż i po chwili zmagania przeciął wszystkie więzy krępujące Gniewka.

– Chyba wolałbyś opuścić tę imprezę? – zagadnął, nie spuszczać wzroku z ludzi. Na szczęście żaden nie był już taki odważny, kiedy słyszeli jęki postrzelonego. – My się wycofamy, a wy jak chcecie, możecie złożyć sobie ofiarę z któregoś z was. Proponuję na przykład Najstarszego. Taki kawał schabu demony na pewno przyjmą z radością.

Zaferowany tym, co działo się na polance, zupełnie przestał zwracać uwagę na to, co działo się poza nią. Dlatego dopiero w ostatniej chwili poczuł zapach demona.

– Wij! – krzyknął do Artura.

Chwilę później z lasu wystrzelił wielki gadzi łeb, a tuż za nim długie, grube węzowe ciało na dwóch chudych łapach.

Stwór wpadł prosto na tłum ludzi. Był głodny i rozsierzony, a obłądny zapach krwi mieszał mu zmysły. Pochwycił w długie szpony ramiona jakiegoś mężczyzny, miażdżąc mu kości, po czym rozwarł paszczę i zacisnął ją na jego twarzy. Człowiek wrzasnął, a ostre zęby zsunęły się z niego, zostawiając na policzkach i czole głębokie bruzdy. Jedno oko pękło, nos zawisł na kawałku skóry. Mężczyzna nie był w stanie już krzyczeć. Upadł na ziemię i usiłował odczołgać się od potwora, ale ten jeszcze raz pochwycił jego głowę i tak mocno zacisnął szczękę, że dało się usłyszeć trzask łamanej czaszki.

Ludzie wokół rozpierzchli się z wrzaskiem. Hubert chciał strzelić do demona, ale ktoś ciągle stawał mu na linii. Stwór podniósł wielki, zakrwawiony łeb i rozejrzał się za kolejną ofiarą. Postrzelony wcześniej mężczyzna kuśtykał w stronę drzew. Wij rzucił mu się na plecy, rozorał skórę i mięśnie, a następnie wgrzył się w jego kark. Człowiek znieruchomiał.

Sierpień strzelił, lecz kula tylko drasnęła wężowe ciało. Wściekły demon powiódł wokół wzrokiem. Był ogłupiały od ludzkiego krzyku, ale czuł się, jakby otworzono przed nim szwedzki bufet pełen smakowitości.

Gabriel i jego żona umykali właśnie w las, kiedy Dagmara potknęła się i upadła na ziemię. Haga przebiegł jeszcze kilka kroków, zanim się zorientował, co się stało. Zawrócił i dopadł do kobiety, ale wij był szybszy.

– Nie!!! – wrzasnął Najstarszy, gdy gadzia paszcza zmiażdżyła udo kobiety.

– Uciekaj! – krzyknęła Dagmara.

Jednak jej mąż nie zamierzał zostawić jej na pastwę potwora. Wyjął z jej dłoni nóż i zaczął nim wymachiwać, chcąc przestraszyć bestię.

Hubert nadal usiłował wycelować w wija, ale gdyby tylko nacisnął spust, pewnie trafiłby w któregoś z Hagów.

– Biegnijcie do koni – rzucił do Artura. – Ja was dogonię.

– Ale... – Przyjaciel się zawahał.

– Już!

Diuk stuknął Gniewka w ramię i razem uciekli do lasu.

Gabriel nadal wymachiwał nożem tuż przed oczami wija, który zdawał się tym dość zainteresowany. Uniósł się nieco wyżej, jednocześnie zaciskając łapy na klatce piersiowej Dagmary. Kobieta krzyknęła z bólu, gdy zagłębiły się w niej pazury.

Najstarszy rzucił się do przodu, chcąc chyba wbić ostrze w oko demona. Ten jednak szarpnął łbem w bok, unikając noża, i chwycił zębami przedramię Gabriela, odgryzając mu dłoń.

Haga osunął się na kolana. Wij chlasnął w powietrzu długim ogonem.

– Nie tak szybko – warknął Hubert, podbiegając do niego.

Zanim demon rzucił się na Najstarszego, aby dokończyć dzieła, Sierpień kopnął go w łeb, strącając go z ciała nieruchomej Dagmary.

Wij na sekundę stracił równowagę, a następnie obrócił łeb w stronę łowcy, który zdążył już przyłożyć karabin do ramienia. Wielka, zakrwawiona paszcza rozwarła się, gotowa do ataku. Hubert nacisnął spust, trafiając prosto w gardło demona.

Wystrzelił trzy kule, dwie z nich przeszły na wylot i wbiły się w pień drzewa kawałek dalej. Potwór zaś zwałił się na ziemię, bijąc w konwulsjach długim ogonem o trawę.

Na wszelki wypadek łowca wyjął nóż i poderżnął mu jeszcze gardło, po czym przypadł do Gabriela, który tulił do siebie kikut jednej ręki, a drugą klepał po twarzy martwą żonę. Po jego twarzy łały się łzy.

Bez żadnych ceregieli Hubert wyszarpnął z jego spodni pasek i zacisnął go na odgryzionym przedramieniu. Później sięgnął do własnej kieszeni i wyjął z niej bandaż, którym owinął ranę.

Mężczyzna był najwyraźniej jeszcze w szoku.

– Nie, nie – szlochał, pochylając się nad ciałem Dagmary. – Moja droga...

– Ona nie żyje – powiedział Sierpień. – Ale ciebie jeszcze da się uratować.

Z niejakim trudem pociągnął Hagę w górę, stawiając go na chwiejnych nogach.

– Nie mogę jej tak zostawić! – Najstarszy mu się wyrwał.

– Ona nie żyje! Demon zresztą też, więc zaraz ktoś będzie mógł wrócić po nią i po pozostałych. – Hubert powiódł wzrokiem po polance zalanej krwią. Nieco dalej leżał mężczyzna z dziurami w plecach, a na samym środku był ten ze zmiażdżoną czaszką.

Jeszcze raz chwycił Najstarszego za ubrania i pociągnął go w stronę drogi. Zanim jednak do niej dotarł, napotkał trzech ludzi ukrywających się w zaroślach.

– Wy tam! – Puścił Hagę, który osunął się na ziemię, i wycelował do nich z karabinu. – Wyłazić z tych krzaków!

Tamci niepewnie wychylili głowy.

– Wasz dowódca potrzebuje medyka – rzucił Hubert. – Z tego, co pamiętam, macie kogoś takiego we wsi. Natychmiast zaprowadzić Gabriela do niego.

Mężczyźni bardzo powoli zbliżyli się do nich. Haga siedział na ziemi i jęczał cicho.

– Później weźmiecie broń i wróćcie tutaj po ciała zmarłych – kontynuował Sierpień. – W okolicy nie ma więcej wijów, ale na wszelki wypadek zachowajcie ostrożność.

Wciąż podejrzliwie zerkając na łowcę, podźwignęli nadal jęczącego Gabriela.

– I nie bawcie się już więcej w ludzkie ofiary – dorzucił Hubert, oddalając się.



W kilka chwil dotarł na rozstaje dróg pod drewnianym krzyżem, gdzie czekali na niego towarzysze.

– Wuj nie żyje. Dagmara i dwóch ludzi również, a Gabriel stracił dłoń – powiedział, wsiadając na Mokkę. – Ale kazałem zaprowadzić go do wsi. Jak dobrze go opatrzą, to nie umrze. A my się stąd zmywamy.

Popędzili konie i nie oglądali się za siebie. Wcześniej Hubert obawiał się, że wściekli mieszkańcy Biesowic ruszą za nimi w pogoń, teraz jednak w to wątpił. Byli zbyt przerażeni atakiem demona. Pewnie jeszcze przez długi czas będą po kolei wracali do wsi. No i musieli zająć się własnym przywódcą oraz ciałami zmarłych. Raczej nie będą mieli głów do tego, aby organizować pościg. Choć z wariatami nigdy nie wiadomo i dlatego warto było się spieszyć, żeby do wieczora znaleźć się jak najdalej od Biesowic.

Zatrzymali się dopiero wtedy, gdy wierzchowce zaczęły okazywać oznaki zmęczenia.

– Padam z głodu – stwierdził Hubert, puszczając Mokkę luzem na polanie nad małym jeziorem.

– Najpierw to ty się ogarnij – powiedziała Zuza, otwierając pakunek od pani Maryli.

Sierpień spojrział po sobie. Jego mundur był poplamiony krwią, podobnie jak dłonie, które wcześniej wytarł jedynie w trawę. Przyklęknął nad brzegiem i zamoczył ręce w chłodnej wodzie.

– Twarz też umyj – dodała dziewczyna.

Po chwili Hubert, tylko odrobinę czystszy, dołączył do pozostałych.

– A ciebie nie trzeba opatrzyć? – zapytał, zerkając na Gniewka.

Ten odruchowo przyłożył dłoń do wciąż nagiej klatki piersiowej. Od prawej do lewej strony ciągnęła się zaschnięta

już, krwawa rysa.

– To nic takiego – stwierdził cicho.

– Jasne, a później dostaniesz zakażenia. Uwierz mi, że wiem coś na ten temat. – Sierpień wyjął z torby podrózną apteczkę.

– Artur, rozpal małe ognisko, żeby zagotować trochę wody. Ale naprawdę malutkie.

Diuk od razu zabrał się do pracy. Hubert przeglądał zapasy ziół, a Zuza zaczęła kroić chleb. I tylko Gniewko stał na środku, najwyraźniej nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

– Kim wy jesteście? – zapytał w końcu.

Trzy pary oczu spojrzały na niego z zaskoczeniem.

– To znaczy dziękuję za ratunek, ale...

Dopiero teraz łowca zdał sobie sprawę, że ich nowy towarzysz siedział zamknięty w piwnicy podczas ich wizyty w Biesowicach, prawdopodobnie nie widział nikogo obcego już od naprawdę długiego czasu i na dobrą sprawę jeszcze tego ranka był gotów na śmierć.

– Hubert Sierpień. – Podał mu dłoń. – Zuza Brzeska i Artur Diuk.

– Gniewko Rosa – odparł automatycznie.

– Pochodzimy z północy. Po drodze spotkaliśmy Ninę i Kubę, którzy zaproponowali nam nocleg w waszej wsi. Dziś mieliśmy spokojnie wyjechać, ale Nina poprosiła nas, żebyśmy spróbowali cię odbić.

– Kuba kilka razy wdał się w awanturę z Hagą, żeby cię ułaskawił – dodał Artur w przerwie pomiędzy dmuchaniem na mały płomyk, który pojawił się na kupce gałązek.

– Ale dziad jeden był zbyt uparty. – Hubert pokręcił głową. – Więc Nina opowiedziała nam, co się stało, co zrobiłeś i co ta banda wariatów zamierza.

Gniewko stał przez chwilę nieruchomo, a potem ruszył w stronę koni.

– Ty gdzie? – zapytał Sierpień.

– Muszę ratować kuzynkę. – Podniósł z ziemi siodło i zacmokał na gniadego konia.

Hubert zerwał się za nim. Położył rękę na jego ramieniu i dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę z tego, o ile wyższy był jego nowy znajomy. Pod jego skórą zagrały twarde jak stal mięśnie.

– Nigdzie nie jedziesz, bo znów będą usiłovali cię zabić – powiedział twardo Sierpień. – No i na pewno nie podziękują ci za śmierć Dagmary i tamtych dwóch mężczyzn.

Gniewko spojrzał krzywo na jego rękę.

*Jak mi przyłożą, to nakryję się nogami* – pomyślał Hubert.

– Posłuchaj – odezwał się, cofając dłoń. – Nikt nie wie, że to Nina nas wysłała. Poza tym w tej chwili w Biesowicach panuje takie zamieszanie, że nawet nie będą się nad tym zastanawiali. A w razie czego razem z Kubą miała być przygotowana na szybką ewakuację.

Gniewko pokręcił głową.

– Nie po to cię ratowaliśmy, żebyś teraz tam wracał i dał się zabić.

– Woda! – zawołał Artur, zdejmując z ognia metalowy kubek.

– Chodź, opatrzemy cię – poprosił Hubert.

Ruszył w stronę pozostałych. Wziął kubek z zagotowaną wodą i wrzucił do niego garść liści krwawnika. Po bardzo długim, jak na jego gust, czasie, usłyszał, jak Gniewko odkłada na trawę siodło. Zamoczył czystą gazę w wywarze z ziół i podał ją nowemu towarzyszowi, który usiadł na ziemi i zaczął wpatrywać się w zabarwiony na żółtozielono materiał.

– Co ja mam teraz zrobić? – zapytał w końcu.

– Przemyj tym ranę – polecił Hubert.

Rosa jednak nawet nie drgnął.

- Pojedziesz z nami do Groty – odezwała się Zuza. – Szukamy naszych przyjaciół. Jeśli wpadli w kłopoty, pomożesz nam ich uratować. A później będziesz mógł zatrzymać się w jakiegokolwiek osadzie po drodze lub wrócić z nami do Dąbrówki.

Gniewko skinął głową i bez słowa zaczął przecierać swoją ranę.

Sierpień wziął od Zuzy pajdę chleba z kawałkiem suszonego mięsa i usiadł na pniu przewróconego drzewa.

*Normalnie dream team* – przemknęło mu przez myśl, gdy spojrzał na swoich towarzyszy. Nie do końca normalna dziewczyna, która potrafi wyczuwać demony jak nikt inny; zbyt chudy chłopak, wyglądający, jakby całe życie przesiedział przed komputerem, oraz facet sprawiający wrażenie zagubionego, nieszkodliwego olbrzyma... choć trzeba przyznać, że tak naprawdę nic o nim nie wiedzieli.

Hubert zamierzał wyruszyć w tę podróż zupełnie sam. Miał jechać szybko i bez przeszkód. Możliwe, że właśnie teraz dogoniłby już Izę i Ernesta. Ale jednocześnie cieszył się, że nie był sam, że towarzyszyli mu ludzie, z którymi mógł się podzielić swoimi obawami i na których mógł liczyć w trudnych sytuacjach.



Przed zmierzchem zjechali z drogi, starając się zacierać za sobą ślady, żeby zmylić ewentualny pościg z Biesowic. Zatrzymali się w świerkowym lesie, mając nadzieję, że osłona z gęstych drzew uchroni ich przed obcymi spojrzeniami. Tego wieczoru nie rozpalali ognia – musieli zadowolić się kolacją na

zimno, popitą niezbyt smacznym winem, które dostali od pani Maryli.

– Ale wiecie co? – odezwał się Artur.

Siedzieli na matach na ziemi. Wokół szumiały cicho ciemne świerki. Nieba ani gwiazd nie było widać, a twarze towarzyszy wyglądały jak tylko odrobinę jaśniejsze plamy na tle czarnej nocy.

– Mam trochę wyrzuty sumienia – dodał.

Hubert zmarszczył brwi.

– Ale dlaczego?

– Bo ten facet, którego postrzeliłem... – Diuk zająknął się. Z jego głosu można było wywnioskować, że bił się z myślami przez cały dzień. – Może to jego krew zwabiła tego wija? Zuza? Jak myślisz?

– On był głodny – odparła po chwili milczenia. – Spędził wiele dni ukryty w swojej jamie. Może to po śmierci pierwszego wija. Poczuł krew i wypełził w poszukiwaniu ofiar...

Artur westchnął głośno.

– Nie zapominaj, że to Haga pierwszy ranił Gniewka – wtrącił Hubert. – I to pewnie za jego krwią ruszył demon. A ty – zwrócił się do Rosy – powinieneś wiedzieć, że zarówno Zuza, jak i ja potrafimy wyczuć stwory, zanim je zobaczymy czy usłyszymy. Choć ona jest w tym znacznie lepsza ode mnie.

Ku jego zaskoczeniu Gniewko nie zaczął wypytywać o szczegóły ani nie okazał żadnego zdziwienia.

– Ale ja go postrzeliłem – wrócił do tematu Artur. – A wija go zabił, bo facet nie był w stanie uciekać.

– A gdybyś go nie postrzelił, to może ten stałby w innym miejscu i padłby jako pierwszy – powiedział Hubert.

Właśnie zdał sobie sprawę z tego, że to mógł być pierwszy człowiek, do którego śmierci przyczynił się Artur. Zazwyczaj

bracia Diukowie byli nierozłączni. I to Mateusz brał na siebie odpowiedzialność za niemal wszystko.

– Szkoda tych ludzi – odezwał się Sierpień po chwili. – Szkoda Dagmary i... nie, Hagi mi nie szkoda, zresztą stracił tylko dłoń. Ale oni wszyscy przyszli do tego lasu popatrzeć na egzekucję. Przywiązali Gniewka do drzewa. Chcieli, żeby zginął w powolny i okrutny sposób. Ranili go, żeby zwabić wija, więc... Sami sobie są winni. Sami sprowadzili na siebie śmierć.

Zapadła cisza. Każdy zdawał się zatopiony we własnych myślach.



Ciemne świerki szumiały złowieszczo nad głową Huberta wsłuchującego się w nocne odgłosy. Ukryta w gęstych gałęziach sowa zahukała cicho, w oddali rozbrzmiał basowy ryk jelenia. Las nocą ożywał zupełnie innym życiem niż za dnia. Inne istoty wychodziły na żer. Sierpień wiele razy zastanawiał się, jak to by było należeć do tego świata. Widzieć w ciemności, mieć dużo lepszy słuch, bezszelestnie przemierzać puszcze.

Kilka metrów dalej Gniewko zachrapał, Artur ze stęknieniem odwrócił się na drugi bok. Po tym, co wydarzyło się pod Biesowicami, żaden z nich nie spał dobrze. Jeden przeżywał fakt, że jego ludzie chcieli złożyć go w ofierze demonom, drugi obwiniał się o śmierć innego człowieka. Huberta wcale nie dziwiło ich paskudne samopoczucie. Bardziej martwił go fakt, że Zuza również rzucała się przez sen, a to mogło oznaczać obecność demonów. Na szczęście Hubert nic nie wyczuwał, co

znaczyło, że stwory, jeśli zamieszkiwały ten las, znajdowały się dość daleko.

Łowca mimowolnie zadrżał. Wrześniowa noc nie należała do najcieplejszych. Hubert miał wrażenie, jakby chłód snuł się po ziemi, wspinał po jego ciele, przenikał przez ubrania i kęsał skórę. Żałował, że rozpalenie ogniska niosło ze sobą zbyt duże ryzyko. Podniósł kołnierz bluzy mundurowej i schował dłonie w kieszeniach. Posiedzi tu jeszcze chwilę, a później ruszy na obchód okolicy i może podczas ruchu się ogrzeje.

Odchylił głowę i przymknął oczy, nasłuchując. Obawiał się, że lada moment usłyszy odległy stukot kopyt na drodze i ludzkie głosy niosące się po lesie.

Wkrótce popadł w odrętwienie, przestał czuć zimno i twardą ziemię, na której siedział, wszystko wokół stało się mniej wyraziste, szum świerków zabrzmiał nierealnie, odgłosy nocnych zwierząt zlały się w jedną, prostą melodię, graną co noc od zarania dziejów.

Coś prastarego przemierzało puszcze. Było starsze niż otaczające je drzewa, niż strumień wijący się w małym wąwozie. Było tu od zawsze, strzegło swoich terenów, przepędzając stąd wszelkich intruzów. Hubertowi zdawało się, że może usłyszeć trzask gałązek pękających pod czarnymi kopytami, zobaczyć ślady wielkich łap z pazurami zostawiającymi wgłębienia w miękkiej ziemi. Rogi wielkie jak u wołu kiwały się w rytm powolnych kroków.

Hubert gwałtownie otworzył oczy i wciągnął do płuc zimne powietrze. Potrząsnął głową, budząc się z letargu. Czy to możliwe, że przysnął na warcie? A może wcale mu się to nie śniło? Jego oddech był przyspieszony, serce waliło w klatce piersiowej. Nie, nie wymyślił sobie tego stwora. Poderwał się na równe nogi i zerknął w kierunku obozowiska. Jedyne, co

ujrzał w ciemnościach, to trzy nieregularne wzniesienia. A więc wszyscy spali.

Sierpień skupił wszystkie zmysły. Demon nie zmierzał w ich stronę, nie dało się też wyczuć u niego żądzę mordy i pragnienia ludzkiej krwi. Na razie.

Hubert poprawił pasek od karabinu na ramieniu, po raz ostatni spojrzął na śpiących towarzyszy i cicho ruszył przed siebie.

Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, poczuł się w lesie jak intruz. Był tu kimś obcym i niechcianym. Miał wrażenie, że z ciemności wpatrują się w niego dziesiątki opalizujących oczu. Śledziły każdy jego krok, były trochę zainteresowane i odrobinę poirytowane.

*Wkręcam sobie głupoty* – zganił sam siebie w myślach. Jednak mrowiące odczucie na karku wcale nie zelżało. *Powiniennem pilnować obozowiska, a nie się od niego oddalać.*

Mimo to nie potrafił się zatrzymać. Musiał zobaczyć nowego demona.

Naraz między drzewami dostrzegł słaby błysk czegoś niebieskiego. Przetarł oczy, pewien, że mu się zdawało, a zjawisko zniknęło.

Jeszcze tylko kawałek, kilkadziesiąt metrów, a zawróci. Doczekają jakoś do rana i opuszczą ten przeklęty las.

Coś błysnęło na niebiesko w suchej, wysokiej trawie. Hubert tym razem nie mrugał i ani na sekundę nie spuszczał wzroku z tego dziwnego zjawiska. Dzielilo go już od niego tylko kilka kroków; na wszelki wypadek odbezpieczył karabin, choć nie wiedział, jak miałby strzelać do czegoś tak małego. Zbliżał się coraz bardziej, a przytłumione niebieskie światełko nawet nie drgnęło. Może to jakiś dziwny rodzaj świetlika? Choć, o ile wiedział, zazwyczaj były one zielonkawe. Sierpień przykucnął i ostrożnie rozchylił wysoką trawę lufą karabinu.

– Czym ty, do diabła, jesteś? – zapytał, przekrzywiając głowę na bok.

Wysunął rękę w bok i zacisnął palce na chudej gałązce. Delikatnie szturchnął nią światełko, które nagle zniknęło.

– Cholera – sapnął cicho.

Gdyby tylko miał przy sobie zapałki albo jakiegokolwiek inne źródło światła, mógłby zobaczyć, czy w trawie nie siedzi jakiś robak, który emitował niebieski błysk, a teraz po prostu się przestraszył i zgasł. Podłubał jeszcze trochę w zaroślach, ale nic nie zauważył.

Z westchnieniem wyprostował się i... zaniemówił. Wszędzie wokół unosiły się niebieskie światełka. Było w nich coś pięknego, coś przyzywającego. Tchnęły spokojem, dryfując w powietrzu. Zdawało się, jakby należały do zupełnie innego świata – fantastycznego i pełnego magii.

Sierpień jednak doskonale wiedział, że znajdował się w swoim świecie zrujnowanym po apokalipsie. I jeżeli czegoś nie rozumiał, istniała spora szansa, że to coś czyhało na jego życie. Uszczypnął się w dłoń tak mocno, aż syknął z bólu. Dzięki temu otrzeźwiało. Już nigdy nie zamierzał dać się omotać podejrzanym światełkom. Doskonale bowiem pamiętał, ile razy utopiłby się w bagnie, gdy zobaczył ogniany i zafascynowany chciał za nimi podążać.

Powoli zaczął się wycofywać, aż wyminął wszystkie światełka. Spróbował je okrążyć; może nie bez powodu pojawiły się akurat w tym miejscu?

Nagle usłyszał szelest. Uniósł karabin i w ostatniej chwili opanował odruch naciśnięcia spustu. Na samym środku niebieskiej chmary stała Zuza. Tuż przed twarzą trzymała rozprostowaną dłoń i wpatrywała się w jedno ze światełek, które zdawało się przysiąść na jej ręce niczym ptak.

– Zuza! – syknął Hubert. – Co ty wyprawiasz?!

Światełko spłoszyło się i zniknęło. Dopiero wtedy dziewczyna spojrzała trochę nieprzytomnym wzrokiem na łowcę.

– Chodź tu! – ponaglił ją.

Przez kilka sekund się wahała. Z żalem spojrzała na dryfujące w powietrzu niebieskie ogniki, a następnie się wycofała.

– Co to jest? – zapytał Hubert, nie przestając mierzyć z karabinu do dziwnego zjawiska.

– Nie wydaje mi się, żeby były niebezpieczne – odparła rozmarzonym głosem.

– Dopóki nie zaciągną delikwenta na bagna, żeby go utopić – stwierdził.

Wolną ręką złapał Zużę za ramię i pociągnął ją lekko w tył. Miał wrażenie, że do ogników dotarło, że nie będą za nimi podążali, więc po kolei zaczęły gasnąć, aż w lesie na powrót zapanowała ciemność i magiczna atmosfera prysła.

– W okolicy był jeszcze jeden demon, ale ja już go nie wyczuwam – odezwał się Hubert. Jego głos zabrzmiał dziwnie pusto i nienaturalnie.

– Odszedł – przytaknęła Zuza.

– My też wracamy do obozu. – Na wszelki wypadek przez następnych kilka kroków nadal trzymał rękę na jej ramieniu, żeby nie została w tyle. – A po drodze wyjaśnisz mi, jakim cudem znalazłaś się tam przede mną.

– Bo mam lepszy węch do takich rzeczy?

– Przecież kiedy oddalałem się od obozu, ty spałaś.

– Nie, to kiedy ja szłam sprawdzić tego demona, ty przysnąłeś na warcie.

Sierpnia dopadły wyrzuty sumienia. A więc odpłynął na kilka minut, w ciągu których Zuza się wymknęła. W ciemnościach zaś nie dostrzegł, że jej posłanie było puste.

– Ile razy mam ci mówić, żebyś nie oddalała się, nic mi na ten temat nie mówiąc? – zaczął narzekać.

– Na pewno mniej niż mój brat – odgryzła się.

– Kiedyś obaj przez ciebie osiwiejemy – mruknął.

Wrócili do obozu. Zarówno Artur, jak i Gniewko nadal twardo spali, co można było wywnioskować po donośnym chrapaniu.

– Mam tylko nadzieję, że nie słyhać ich z drogi – stwierdził Hubert. – Kładź się spać, ja jeszcze trochę posiedzę.

Zuza bez słowa zawięła się w śpiwór. Spod najbliższego świerka wyszedł Klakier i ułożył się u jej boku.

Łowca uniósł wzrok, szukając między gęstymi gałęziami drzew księżycy. Po miejscu, w którym się znajdował na niebie, Hubert mógł ocenić, że już jakiś czas temu nadeszła kolej warty Artura, ale Sierpień i tak nie mógłby w tej chwili zasnąć.

*Ilu jeszcze demonów nie znamy? – zastanowił się. Przez ile lat będą pojawiały się nowe? I czy pewnego dnia znów odejdą w niepamięć?*

Nie wyobrażał już sobie świata bez potworów. Ale podobne odczucia pewnie mieli ludzie setki lat temu. Trzeba tylko odbudować cywilizację, a demony znikną.

Sam nie wiedział dlaczego, ale przed oczyma pojawił mu się widok zniszczonego silnika parowego w Mroczy, tarana wodnego w Święcinie, przepalonych żarówek w Piasecznie i wielkiej wyrwy na Górze Gradowej, jaką pozostawił po sobie wiatrak zerwany podczas wichury.

*Zupełnie jakby coś, może los, może pogoda, może demony albo jeszcze co innego, pilnowało, żebyśmy jednak nie zdołali odbudować starego świata...*



Kopyta koni uderzały jednostajnie w zarośniętą drogę. Słońce chyliło się ku zachodowi, a głowa Huberta zwiesiła się na klatkę piersiową.

– Ty, łowca, nie śpij – powiedziała głośno Zuza.

– Nie zawracaj mi czterech liter, bo już więcej nie będę cię ratował przed demonami.

– Dobrze wiesz, że akurat wczoraj nie potrzebowałam pomocy.

– Pogadamy następnym razem – burknął.

– Następnym razem, jak coś będzie się działo, obudź nas – odezwał się Artur. – Taka akcja, a my wszystko przespaliśmy, nie? – Odwrócił się w siodle do Gniewka.

Ten tylko pokiwał głową. W ciągu ostatniej doby wszyscy zdążyli już się zorientować, że ich nowy towarzysz nie był zbyt rozmowny. Nie przeszkadzało im to, bo w końcu ani Hubert, ani Artur do milczków nie należeli i nadrabiali za pozostałą dwójkę.

Zanim się ściemniło, znów wjechali w gęsty las, zacierając za sobą ślady. Tego wieczoru jednak pozwolili sobie na rozpalenie małego ogniska. Nic nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek z Biesowic za nimi jechał.

– Skąd się wzięła u was, to znaczy u nich – poprawił się szybko Hubert – ta dziwaczna miłość do demonów?

Zuza i Artur spojrzeli z ciekawością na Gniewka, który tylko wzruszył ramionami.

– Zazwyczaj ludzie się ich panicznie boją – kontynuował Sierpień. – Uciekają przed nimi albo chcą je zabić. Ale nigdy jeszcze nie spotkałem się z czymś takim.

– Haga uważał ostatnią wojnę za... – Rosa zawahał się. – Za coś w rodzaju dopustu bożego. To było konieczne zło, żeby ludzkość mogła się na nowo odrodzić.

– Taa, po apokalipsie już nie chciał rozwodzić się z żoną i docenił zalety prostego życia – dorzucił z przekąsem Hubert.

– A ty nie?

– Cóż, żony nie mam, a proste życie... coś w tym jest, że teraz niektórym może się ono bardziej podobać. Do czasu, aż zachorują na coś, czego nawet nie potrafimy zdiagnozować. Albo jak po ciężkiej zimie zapasy zbyt szybko się kurczą i przednówek roztacza widmo głodu.

– Tak to jest, jak ktoś myśli tylko o tym, żeby urwać się z domu i pojechać w siną dal, zamiast pracować w gospodarstwie – powiedziała zgryźliwie Zuza.

– Ty to zawsze umiesz wbić mi szpilę, co?

– Ktoś musi co jakiś czas sprowadzić cię na ziemię.

Hubert parsknął śmiechem. Akurat w kwestii bujania w obłokach Zuza była, jego zdaniem, mistrzynią.

– No dobra, ale wracając do tego hołubienia demonów... – zwrócił się do Gniewka.

– To nie było tak, że jednego dnia Haga ogłosił, że od dziś nie wolno ich zabijać. To się stało, nie wiem, stopniowo. Nawet nie zauważyliśmy kiedy. Po wojnie wróciliśmy do dawnych zwyczajów, starych świąt.

– Pogańskich świąt? – wtrącił Artur.

– Większość naszych świąt bazuje na tych pogańskich – przypomniał Hubert.

– Najpierw mieliśmy obchody kupałnocki. Bo potrzebowaliśmy choć jednej nocy, żeby się rozerwać i zapomnieć o tych wszystkich tragediach. Dziewczyny nawet puszczały wianki na rzece. Ale to tylko tak, dla zabawy.

Huberta to nie dziwiło. Przecież w Świącinie też urządzali sobie huczną potańcówkę z tej okazji.

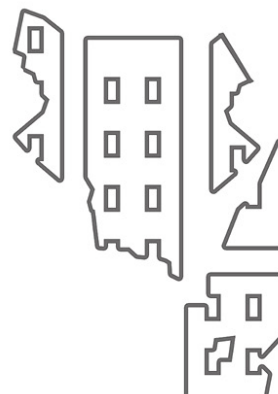
– Później było święto plonów i dziady – dodał Rosa. – A gdy okazało się, że demony istnieją... – Gniewko zapatrzył się w płomień.

Zdaniem Huberta ludzie od zawsze musieli w coś wierzyć. I jeśli pojawił się ktoś wystarczająco przekonujący, mógł wmówić innym, że potwory trzeba kochać i szanować. Że to część boskiego planu na odkupienie ludzkości.

*Ciekawe tylko, jakiego boga to plan* – pomyślał niespodziewanie, gdy przypomniał sobie zrujnowany kościół w Biesowicach.

Czy to możliwe, że za dziesięć, dwadzieścia lat tamci ludzie rzeczywiście zaczną modlić się do dawnych bogów? W tej chwili Hubert mógł uwierzyć we wszystko.





## Rozdział XVI

Kolejne trzy dni w podróży minęły nad wyraz spokojnie. Nie spotkali żadnych ludzi, nikt ich nie ścigał, ale też niestety nie widzieli żadnych śladów, które mogła zostawić pierwsza grupa wysłanników z północy.

– Wy sprawdźcie domy w tej części ulicy, my zajmiemy się tamtą stroną – powiedział Hubert.

Miasteczko, do którego zajechali, nie wyglądało na mocno splądrowane. Istniała więc szansa, że znajdą coś użytecznego.

– Szukajcie ubrań, puszkowanego jedzenia, zresztą sami wicie najlepiej – machnął ręką. – Jakby cokolwiek się działo, krzyczcie, postaramy się być w zasięgu głosu.

Artur i Gniewko przywiązali konie do płotu porośniętego gęstym bluszczem i skierowali się do pierwszego z domów.

– Może znajdą jakąś broń – rozmarzył się Sierpień. – Przydałoby się, żeby Gniewko też był uzbrojony. Choć chyba ma tak łagodny charakter, że nie jestem pewien, czy w ogóle umie strzelać.

– Myślę, że w razie czego będzie umiał stanąć na wysokości zadania. – Zuza stanęła w obronie nowego towarzysza.

– Oby – westchnął Hubert. – Gotowa? Zaczynamy od tego domu.

Wskazał ręką budynek ukryty w gąszczu samosiejek z pobliskiego klonu. Przywiązał Mokkę do przekrzywionego znaku drogowego, po którym również wspinał się bluszcz, i wyciągnął z bagażu łom.

Nigdzie na ganku nie znalazł ukrytego klucza, więc musiał użyć siły, ale już po chwili drzwi stanęły przed nim otworem. Gestem nakazał Zuzie czekać w progu, gdy on sam powoli wszedł do budynku. W środku śmierdziało stęchlizną i pleśnią. Na szczęście nie wyczuwał żadnych demonów. Sprawnie przemierzył pomieszczenia na parterze, zajrzał do piwnicy i dopiero wtedy zawołał Zuzę.

– Posprawdzaj tutaj wszystko, ja idę na górę – powiedział.

Skinęła głową i zaczęła przeglądać szafki.

Piętro wyżej znajdowały się trzy sypialnie i łazienka. Połowa okien tutaj była wybita, w wyniku czego przez ostatnie lata do środka wpadały deszcz i śnieg. Podłoga przegniła i groziła zapadnięciem. Farba całymi płatami odchodziła od ścian. Po kątach leżały suche liście i drobne patyczki. W jednym z pokoi jakiś większy ptak uwił sobie gniazdo, przez co cały dywan był zasłany odchodami.

Hubert zajrzał do wszystkich zakamarków, nie znalazł jednak nic wartościowego. Większość ubrań w szafach pokryła pleśń, pojawiły się w nich dziury.

– Nic ciekawego – powiedział, gdy znalazł się na dole.

Zuza wyjęła z lnianej torby opakowanie makaronu.

– Wygląda na jadalny – stwierdził Sierpień.

– Będiesz królikiem doświadczalnym. – Uśmiechnęła się.

– Tym razem wykorzystamy do tego Artura lub Gniewka – zaprotestował.

Po kolei sprawdzali w ten sposób następne domy. Hubert znalazł kilka koszulek z krótkim rękawkiem, które były w dobrym stanie. Na pewno lepszym niż ta, którą miał obecnie na sobie. Natrafił też na nóż myśliwski, który co prawda wymagał porządnego ostrzenia, ale zdawał się nieźle wykonany. Zuza zaś namierzyła kilka słoików, których zawartość wyglądała na tyle obiecująco, że Hubert od razu skusił się na coś, co wyglądało jak kompot z wiśni. Co prawda miały paskudny, sprany kolor, ale w smaku okazały się całkiem nieźle.

– Wystarczy. – Zuza zabrała mu słoik z rąk. – Dla innych też musi wystarczyć.

– Daję głowę, że jeżeli oni znaleźli coś dobrego, to właśnie w tej chwili to jedzą – zaprotestował.

– Nie każdy jest wiecznie głodny, jak ty.

– W każdym razie Gniewko na takiego wygląda.

Odwiązali konie i wrócili na umówione wcześniej miejsce spotkania.

– Patrz. – Hubert ukucnął w pewnej chwili i rozchylił trawę.

Na ziemi leżały odchody saren.

– Może bym później zapolował? – zastanowił się.

– A mamy na to czas? – zapytała Zuza. – Żeby sprawić zwierzynę? I przygotować mięso?

– Nie mamy, ale odkąd jest nas czworo, wszystkie zapasy maleją w zastraszającym tempie. A obawiam się, że to, co dziś znaleźliśmy, może nie wystarczyć na długo, o ile w ogóle będzie jadalne.

– Przyznaj się, odkąd Igor upolował twoją sarnę, cały czas chodzi za tobą sarnina.

– Coś w tym jest. – Pokiwał głową. – Co nie znaczy, że nie potrzebujemy więcej zapasów.

Drogą nadchodzili właśnie ich towarzysze. Obaj mieli przewieszane przez ramiona wypchane materiałowe torby.

– Łowy się udały? – zagadnął Sierpień.

– Znaleźliśmy nawet niezły dom na nocleg – odparł Artur. – W miarę czysty i z kominkiem. A u sąsiada jest studnia i wiata nadająca się dla koni.

Sierpień zerknął wymownie na Zuzę. Skoro mieli już wybrane miejsce na noc, było więcej czasu na polowanie.



Ślady zwierząt prowadziły przez zniszczone ogrodzenie do jakiegoś zakładu produkcyjnego. Spomiędzy kilku wysokich drzew, mnóstwa samosiejek, krzewów i zarośli wystawał kompleks niskich budynków.

Hubert ostrożnie przeszedł przez wielką dziurę w metalowej siatce i rozejrzał się wokół. Po prawej stronie kiedyś znajdował się parking, o czym świadczyło kilkanaście porzuconych samochodów z powybijanymi szybami, powyginaną karoserią i mchem porastającym tapicerkę. Nieco dalej leżał przewrócony wózek widłowy powoli pożerany przez korozję. Łowca ruszył za niezbyt wyraźnymi śladami przez plac. O dziwo wiodły prosto do wielkiej wyrwy w ścianie jednej z hal. Odkąd zabrakło ludzi, zwierzętom nie przeszkadzało, czy pasły się w lesie, czy w samym środku miasta, o ile były w stanie znaleźć soczystą trawę. Natura radziła sobie tak dobrze, jakby cywilizacja nigdy tak naprawdę jej nie zagrażała.

Pod butem Huberta zachrząścił kawałek szkła. Z najbliższej maszyny zerwała się siwa wrona. Usiadła na parapecie, spojrzała na człowieka najpierw jednym czarnym okiem, później drugim, po czym zakrakała donośnie, oburzona, że ktokolwiek śmiał przerywać jej odpoczynek.

Wszędzie wokół pachniało wilgotnym gruzem i skorodowanym metalem. Zapomniane maszyny niszczały z dnia na dzień. Już nigdy nie będzie im dane pracować. Ewentualnie ktoś kiedyś rozbierze je na części albo przetopi. Zresztą Hubert nie miał pojęcia, do czego służyła ponad połowa z nich, i podejrzewał, że większość ludzi, którzy się na nich znali, już dawno temu umarła.

Ruszył dalej, wciąż wypatrując zwierzyny. Spod jego nóg uciekła z cichym piskiem szara mysz. Minął stos połamanych palet i wreszcie dostrzegł młodego koziołka idącego spacerowym krokiem w stronę kolejnej dziury w ścianie. Do środka budynku wlewały się przez nią ciepłe promienie popołudniowego słońca. Zwierzę podniosło nagle łeb, zastrzygło uszami i rozejrzało się uważnie wokół. Hubert z kolei zastygł w zupełnym bezruchu. Odczekał, aż koziołek się uspokoi i podejmie swoją wędrówkę, po czym ruszył powoli za nim.

Pod małymi racicami zachrząścił gruz, kiedy zwierzę wyszło na zewnątrz i dołączyło do reszty stada. Stąd niestety Hubert nie miał możliwości oddania czystego strzału, musiał zbliżyć się do wyjścia.

Powoli omijał kolejne maszyny, przewrócone krzesła, ostrożnie stawiał stopy, żeby nie spłoszyć zwierząt. Jeszcze chwila, a będzie miał dobry widok na polankę znajdującą się przy zewnętrznej ścianie hali oraz na całe stadko saren. Właśnie wtedy to poczuł.

To było jak powiew zimnego powietrza. Ogarnął go niepokój, mięśnie zadrżały, po plecach spłynęła strużka lodowatego potu. Gdzieś w pobliżu znajdował się demon.

Sarny jak na zawołanie podniosły łby, powiodły wokół wielkimi ciemnymi oczami, po czym rzuciły się do ucieczki.

– Cholera – mruknął Hubert, opuszczając lufę karabinu. Teraz widział już tylko białe zadki znikające między drzewami; nie było najmniejszego sensu strzelać i marnować amunicji.

Odwrócił się do wnętrza hali i wciągnął powietrze do płuc. Było przesiąknięte doskonale mu znanym, a jednocześnie zupełnie obcym zapachem. Demon, ale taki, jakiego jeszcze w życiu nie spotkał.

Sierpień się zawahał. Z polowania nici, nie miał nawet co liczyć, że sarny wrócą albo on odnajdzie je przed zmrokiem. Powinien wracać do towarzyszy, ale jednocześnie nie podobało mu się, że jakikolwiek potwór czaił się gdzieś na terenie zakładu, tak blisko miejsca, w którym postanowili przenocować. Co robić? Próbować zabić go samemu? Pójść po pomoc?

– Złożyć mu żywą ofiarę? – mruknął ironicznie.

Cofnął się w głąb hali i skupił wszystkie zmysły. Jednak znajdował się jeszcze zbyt daleko, żeby dokładnie namierzyć stwora. Wrócił tą samą drogą, którą tu wszedł, później ruszył między budynkami, wiedziony swoim szóstym zmysłem. Z każdym krokiem demoniczna aura stawała się coraz wyraźniejsza.

Hubert obszedł jedną z hal dookoła i wkrótce nabrał pewności, że to właśnie tam ukrywa się demon.

– Jak żeś tam wlaź? – zastanowił się łowca, stając przed zamkniętymi drzwiami.

Wszystkie okna znajdowały się dość wysoko i z tego, co zaobserwował, nie były powybijane.

Oparł się o wielkie, metalowe drzwi i spróbował jeszcze raz namierzyć stwora.

Poczuł przyjemny chłód i wilgoć. Spłynął na niego spokój, ogarnęła go senność. Ukryty w ciemnościach, trwał bezpiecznie w oczekiwaniu.

Hubert potrząsnął głową, wracając do rzeczywistości.

*Na co czekasz?* – zastanowił się. W tej chwili demon nie przejawiał żadnej agresji, jego myśli nie krążyły wokół krwi i rozrywania ludzkich gardeł. Może to jeden z tych mniej niebezpiecznych? Może był jak lejin albo ogniany i wolał trzymać się z daleka od ludzi? Nie atakował ich bez powodu... Cóż, Hubert chciałby w to wierzyć, ale zawsze bezpieczniej zachować ostrożność.

Obejrzał z każdej strony drzwi, ale bez łomu, którego nie zabrał na polowanie, miał nikłe szanse na otwarcie ich w sprawny i w miarę cichy sposób. Ponownie ruszył wzdłuż ściany budynku, uważnie się jej przyglądając. Po kilkunastu krokach szczęście się do niego uśmiechnęło – znalazł zsyp do piwnicy.

Po raz ostatni zerknął na słońce, które chyliło się ku zachodowi, po czym kopniakiem wyważył drewniane drzwiczki i precyzyjnie się w dół. Wkrótce stanął w ciemnej, zatęchłej piwnicy. Odruchowo otrzepał z munduru kurz i brud. W świetle wpadającym do piwnicy przez zsyp obejrzał zadrapany nadgarstek, a następnie wyszedł na korytarz. Niestety było tam tak ciemno, że poszukiwania demona w takich warunkach mogły okazać się zwykłym samobójstwem. Jeżeli cokolwiek się stanie, jeśli zostanie ranny, to nikt tak naprawdę nie będzie miał pojęcia, gdzie go szukać. Pokręcił głową i wrócił do zsypu. Niestety okazało się, że znacznie łatwiej było tu zejść niż się wspiąć.

Po kilku nieudanych próbach, obdrapanych łokciach i kolanach, postanowił zaryzykować poszukanie innej drogi.

Wyszedł na korytarz, szóstym zmysłem namierzył demona i wybrał przeciwny kierunek. Poruszał się bardzo powoli. Jedną dłoń wciąż przykładając do ściany, drugą podtrzymywał uniesiony karabin. Dwa razy źle skręcił i musiał zawracać, aż wreszcie odnalazł schody.

Szedł po nich, aż dotarł do drzwi. Te na szczęście nie były zamknięte na zamek i wkrótce Hubert trafił na kolejną halę zastawioną różnego rodzaju maszynami. Przez brudne okna umieszczone pod sufitem do środka wlewało się bardzo niewiele światła. Zresztą słońce zaraz miało skryć się za horyzontem, więc jeszcze chwila, a budynek zaleje półmrok.

W ciemnościach piwnicy Sierpień stracił orientację i teraz nie był pewien, w którym kierunku powinien iść, aby dotrzeć do wyjścia. Wybrał więc na chybił trafił, byleby nadal zachować dystans między sobą a demonem. Najpierw planował odnaleźć bezpieczną drogę ucieczki, a dopiero później sprawdzić, co to za stwór krył się gdzieś w ciemnym zakamarku zakładu.

Wkrótce okazało się, że od środka również nie miał szans na otwarcie drzwi. Ale przecież demon musiał jakoś tu wleźć i oczywiście wychodzić na polowanie, bo na terenie hali nie miał szans na znalezienie jakiegokolwiek pożywienia.

Wzrok łowcy przykuła hałda składająca się z najróżniejszych sprzętów i śmieci ułożona pod przeciwległą ścianą. Powoli do niej podszedł. Zobaczył dwie maszyny na samym dole, wyżej leżały drewniane ławki, krzesła, chyba nawet stół, skrzynie i masa innych rzeczy. Jednak najważniejsze, że u samego szczytu znajdowało się duże, wybite okno. Aż dziwne, że Hubert nie zauważył go, kiedy okrążał budynek na zewnątrz.

Złapał za wystające nogi krzesła i lekko pociągnął. Przyciśnięte z drugiej strony metalową szafką, trzymało się całkiem mocno. Na próbę wspiął się kawałek wyżej. Konstrukcja zdawała się całkiem wytrzymała. Ciekawe, kto ją zbudował. Człowiek? A może demon? Czy stwór mógł być na tyle sprytny? Hubert nigdy tak naprawdę nie zastanawiał się nad ilorazem inteligencji bestii kryjących się w mroku. Na pewno cechowała je krwiożerczość... Ale przecież Klakier i Platon z pewnością nie należeli do głupich istot.

W hali pociemniało. Najwyraźniej słońce właśnie skryło się za horyzontem. A to znaczyło, że Sierpień miał coraz mniej czasu. Może powinien jednak się wycofać? Skoro demon nie przejawiał na razie żadnej agresji...

Zgasł ostatni promień. Istota otworzyła wielkie oczy i zadrżała na całym ciele. Właśnie nadchodziła noc, a wraz z nią ciemność i czas na łowy. Pora napełnić pusty żołądek. Ogarnęło ją przyjemne podekscytowanie, już niemal czuła zapach krwi i surowego mięsa, słyszała trzask łamanych kości swoich ofiar.

Hubert natychmiast odwrócił się od hałdy i powiódł wzrokiem po hali. Mrok wokół niego gęstniał coraz bardziej. Łowca właśnie zdał sobie sprawę z tego, że bez zastanowienia wlaźł do jamy demona, nie wiedząc nawet, z czym przyjdzie mu się mierzyć. A nie miał zamiaru robić tego w ciemnościach.

Czuł, jak demon powoli przemierza korytarze, kierując się do wyjścia.

*Pora się ewakuować i zacząć gdzieś na zewnątrz – postanowił, zarzucając karabin na plecy.*

Zaczął wspinać się na hałdę. Z początku szło mu całkiem sprawnie, im wyżej jednak, tym bardziej chybotliwe wszystko

się stawało. Miał wrażenie, że jeden niewłaściwy ruch, a cała konstrukcja runie jak domek z kart.

Był mniej więcej w połowie drogi i szukał właśnie oparcia dla prawej stopy. Po kilku sekundach postawił ją na czymś obłym, ale chyba wystarczająco twardym. Oderwał dłoń od krzesła, wysunął ją dalej, przeniósł ciężar ciała...

Nagle to, na czym stał, zachybotało się, a później wysunęło spod jego buta. Hubert zsunął się jakiś metr, gorączkowo usiłując znaleźć zaczepienie dla rąk. W końcu zacisnął palce na oparciu krzesła. Niestety metalowe wiadro, w które uderzył kolanem, oderwało się od konstrukcji, z głośnym grzechotem wylądowało na betonowej podłodze i potoczyło się jeszcze dalej.

Sierpień zacisnął mocno zęby. W otaczającej go ciszy dźwięk spadającego wiadra brzmiał jak salwa armatnia.

*Spieprzyłem...*

W tej samej chwili uderzyła w niego nowa fala odczuć demona. Najpierw było to zaskoczenie i przestrasz, które bardzo szybko zamieniły się w gniew i chęć rozerwania intruza na strzępy.

Hubert miał ułamek sekundy na podjęcie decyzji. Do okna było bliżej niż do ziemi. Zaczął pięć się coraz szybciej. Teraz nie musiał przynajmniej zachowywać absolutnej ciszy. Chwycił za uchwyt od szuflady, a ta niespodziewanie wysunęła się z szafki. Konstrukcja zaczęła się chwiać. Pospiesznie odszukał oparcie dla drugiej ręki. Na chwilę odzyskał równowagę, gdy nagle coś posypało się na niego z góry. W ostatniej chwili cofnął dłoń; gdyby tego nie zrobił, w jego palce wbiłaby się wielkimi zębami tarcza od pilarki.

Po hali poniósł się dźwięk podobny do tego, jaki wydawał puszczyk. Na betonie zabrzmiał stukot kopyt. Hubert

zaryzykował spojrzenie za siebie. Coś wielkiego pędziło prosto w jego stronę. Rozpostarło potężne skrzydła.

Łowca zaklął pod nosem. Tego się zawsze obawiał – że kiedyś trafi na demona, który potrafi latać.

Stwór machnął skrzydłami i wskoczył na jedną z maszyn. Wybił się z niej i przefrunął kilka metrów, zanim wylądował na ziemi z głośnym stukotem.

Hubert podjął wspinaczkę. Cała hałda sprzętów tak się chwiała, jakby zaraz miała runąć. W takich warunkach nie było szans, aby przyjąć dogodną pozycję i spróbować zastrzelić bestię. A do okna został mu już tylko kawałek.

Demon znalazł się już u stóp konstrukcji i bijąc skrzydłami powietrze, ruszył za człowiekiem. Szło mu to jednak dość kiepsko, zupełnie jakby nie potrafił znaleźć oparcia dla dolnych kończyn. Nagle stracił równowagę, poleciał na plecy i grzmotnął o podłogę.

Hubert gorączkowo wyrzucił przed siebie dłonie i zacisnął je na parapecie. Poczuł, jak w ciało wbija mu się odłamek szkła. Podciągnął się, a spod jego butów wysuwały się kolejne przedmioty.

Rzucił spojrzeniem przez ramię. Demon wlaźł na jedną z maszyn i stanął na jej krańcu. Jego wielkie ślepia opalizowały w ciemnościach. Wziął rozbieg, rozpostarł skrzydła i wzniósł się w powietrze.

Hubert odwrócił się w ostatniej chwili i kiedy stwór znalazł się tuż przy nim, kopnął go w łeb prosto między wielkie oczy. Bestia spadła niżej, dzięki czemu łowca zyskał czas, aby wspiąć się na parapet. Po drugiej stronie znajdował się daszek i to pewnie przez niego Sierpień wcześniej nie dostrzegł wybitego okna. Chciał najpierw sprawdzić, czy wiata utrzyma jego ciężar, zanim na niej stanie, ale nagle poczuł silne

uderzenie w plecy. Spadł z parapetu i uderzył bokiem w blachę, która zatrzeszczała głośno.

W oknie pojawił się demon. Ze złością otworzył wielki dziób i zasyczał.

Hubert sięgnął po karabin, zanim jednak zdążył wycelować, ptakopodobny stwór rzucił się na niego. Małe kopyta zatańcowały na śliskiej blasze, skrzydła biły powietrze, wokół zaczęło fruwać pierze.

Sierpień zasłonił się bronią przed wściekle kłapiącym dziobem. Chciał złapać stwora za gardło, ale nie mógł namierzyć go w gęstych piórach. Nagle demon dziabnął go w ramię. Hubert poczuł rozbłysk bólu. Uderzył przeciwnika kolbą w łeb. Bestię na chwilę zamroczyło, a belki, na których stała wiata, zaczęły trzeszczeć.

Zanim łowca zdążył strącić z siebie potwora, usłyszał trzask łamanego drewna. Wiata gwałtownie opadła kilkanaście centymetrów niżej, a później przechyliła się tak, że człowiek i demon zsunęli się z niej i spadli na ziemię.

Hubert wylądował na trawie, która wcale nie była taka miękka, jak by sobie tego życzył. Powietrze uleciało mu z płuc, na kilka chwil zaczął się dusić, nie mogąc nabrać tchu. A kiedy wreszcie mu się to udało, stwór ponownie zaatakował.

Sierpień poczuł ból w udzie, w które został uderzony kopytem; wielki dziób kłapnął tuż obok jego dłoni, a potężne skrzydła wciąż biły powietrze. Dopiero teraz zauważył, że w miejscu, w którym się zginały, znajdowały się długie szpony.

Wił się i szarpał, usiłując zrzucić z siebie bestię, aż w końcu udało mu się zacisnąć palce na jej gardle, a demon wydał z siebie cienki świst. Jedno z kopyt wylądowało na brzuchu Huberta, aż przed oczami zamigotały mu gwiazdy. Wolną ręką zdołał sięgnąć do paska i wyciągnąć z kabury nóż. Jednym silnym pchnięciem wbił go prosto w podgardle stwora.

Demon zachłysnął się własną krwią. Skrzydła biły na oślep, kopyta ryły ziemię, dziób się rozwarł. Sierpień wyciągnął ostrze i zaczął wbijać je raz po raz w ciało bestii, aż ta utraciła siłę i opadła całym cielskiem na niego.

Hubert opuścił ręce, na chwilę odpłynął w niebyt. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło, zanim powróciły mu zmysły. Najpierw poczuł duszenie w klatce piersiowej. Z ogromnym wysiłkiem zepchnął z siebie demona i podniósł się do pozycji siedzącej. Wieczorna szarówka zamieniła się w noc. Na próbę poruszył palcami u stóp, później kostkami, ugiął kolana. Chyba nie połamał sobie kości. Schował nóż do pochwy i rozprostował palce, uniósł łokcie. Coś zapiekło go w ramieniu. Wsunął dłoń pod bluzę i poczuł pod palcami ciepłą krew tam, gdzie ugryzł go demon. Na szczęście nie wyczuwał żadnej głębokiej bruzdy w miejscu rany.

Wziął kilka głębszych wdechów i opierając się o karabin, spróbował wstać. Jedna noga się pod nim ugięła. Dotknął uda i syknął z bólu. W miejscu kopnięcia już pojawiła się twarda opuchlizna.

– Niech cię szlag trafi – powiedział pod adresem demona, po czym splunął na ziemię.

Było kilka rzeczy, które powinien teraz zrobić. Na przykład obejrzeć truchło, by upewnić się, że stwór rzeczywiście jest martwy. Na wszelki wypadek odrąbać mu łeb albo spalić cielsko. Niestety na żadną z nich nie miał w tej chwili siły. Najważniejsze to dowlec się do domu i nie dać się zabić innemu stworowi po drodze.

Bardzo powoli ruszył przez teren zakładu. Co chwilę musiał się zatrzymywać i łapać oddech, ale wreszcie dotarł do dziury w ogrodzeniu. Gdy stanął po drugiej stronie na drodze, zdawało mu się, że dostał omamów, bowiem w oddali dostrzegł niewielkie światełka. Zamrugał i przetarł oczy, ale światełka

nie dość, że nie zniknęły, to jeszcze stały się większe. Uniósł karabin i przypatrywał się im przez dłuższy czas, nie wiedząc, czego się spodziewać, aż dotarło do niego, że to ogień dwóch pochodni. Usłyszał kroki i ludzkie głosy.

– Mówiłam, że go znajdę – dotarł do niego pewny głos Zuzy.

Hubert odetchnął z ulgą. Ostatnie, na co miał ochotę, to spotkanie obcych ludzi.

– Wszystko w porządku? – zapytał Artur. Opuścił strzelbę i podszedł do niego.

– W jak najlepszym – zapewnił Sierpień.

– Wyglądasz okropnie – oceniła Zuza.

Podejrzewał, że zarówno twarz, jak klatkę piersiową miał zalane krwią ptakopodobnego stwora.

– Demon nie żyje? – upewnił się Diuk.

– Mam taką nadzieję – odparł Hubert.

Wsparł się o ramię Gniewka i wszyscy razem bardzo powoli ruszyli do domu, w którym mieli nocować.



Hubert stęknął cicho i wyciągnął przed siebie nogi. Gorąca woda powoli wyciągała z niego ból. Przyjaciele zagrzali ją w kilku wielkich garach na ognisku, po czym zatkali korkiem wannę, choć odpływ był niedrożny. Na przewróconej obok pralce stały dwie świece. Dzięki nim Sierpień zdołał dostrzec olbrzymiego siniaka na udzie i niezbyt głęboką, ale obficie krwawiącą ranę na ramieniu.

– Żyjesz tam? – Do drzwi zastukała Zuza. – Nie utopiłeś się?

– Jeszcze żyję – odparł, wstając.

Woda niestety zdążyła już ostygnąć, ale przynajmniej zmył z siebie kurz, brud i posokę demona. Włożył w miarę czyste ubrania i wrócił do salonu.

– Co się w ogóle stało? – zapytał Artur.

Hubert opadł na fotel.

– Wiedziałem, kurczę, wiedziałem, że pewnego dnia trafię na latającego demona. Dobrze, że ten przynajmniej nie był w tym super sprawny, bo nie wiem, czybym to przeżył.

– Nie trzeba było leźć za nim samemu – burknęła Zuza.

Wiedział, że była na niego zła, bo się martwiła.

– Za dnia, kiedy słońce było jeszcze nad horyzontem, siedział gdzieś w kącie i przysypiał – wyjaśnił. – Nie przejawiał absolutnie żadnej agresji.

– To trzeba było iść i sprawdzać, czy rzeczywiście jest taki spokojny? – podpowiedział nieco uszczypliwie Diuk.

Sierpień wzruszył ramionami.

– Takie życie. Dopiero gdy słońce zaszło, cholera jedna się obudził i jedyne, co miał we łbie, to marzenie o surowym mięsie.

– Jak on wyglądał? – zainteresowała się Zuza, a łowca w odpowiedzi się wzdrygnął.

– Był prawie mojego wzrostu, miał łeb jak sowa i wielki dziób. Skrzydła z pazurami, nóg nie widziałem, ale dałbym głowę, że zamiast szponów miał kopyta, takie jak końskie. I wydawał dźwięki podobne do puszczyka.

– Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić – stwierdził Artur, kręcąc głową. – Mutant pierwsza klasa.

– No i przez niego znowu nic nie upolowałem – westchnął z żalem Hubert.



Choć sam upierał się, że może jechać konno, przyjaciele zarządzili dodatkowy nocleg w tej samej wsi.

– Jesteśmy coraz bliżej Groty, musisz dojść do siebie, zanim tam dotrzemy. – Argument Artura powstrzymał wszelką dyskusję.

Co prawda kazali mu odpoczywać i najchętniej właśnie do tego wykorzystałby cały dzień, ale nie byłby sobą, gdyby nie sprawdził, jak w świetle słońca wygląda demon i czy czasem nie powstał z martwych przez noc. Uparł się więc na niewielką wycieczkę do zakładu. Przyjaciele, również ciekawi stwora, postanowili mu towarzyszyć.

Truchło leżało dokładnie w tym samym miejscu, w którym je zostawił. Szare pióra naznaczone jasnymi cętkami były splamione krwią.

– W życiu czegoś takiego nie widziałem – ocenił Diuk.

Gniewko w milczeniu pokręcił głową.

– Wiecie, co to za demon?

Hubert wzruszył ramionami. Przez pół nocy usiłował sobie przypomnieć nazwy wszystkich latających stworów z demonologii, tylko żadnego z nich nie mógł dopasować do stwora zabitego w nocy.

– Pójdźka – odezwała się Zuza.

Nagle wszystko stało się jasne, puzzle wpadły na swoje miejsca.

– No tak. – Sierpień pacnął się lekko dłonią w czoło.

– Ale że co? – zdziwił się Artur. – Z tego, co wiem, pójdźka to jakiś podgatunek puszczyka.

– Lamia – wyjaśnił Hubert. – Porywa i pożera dzieci, uwielbia surowe mięso. Często żeruje na cmentarzach,

rozkopując groby i obgryzając kości nieboszczyków. W niektórych wersjach miała postać starej kobiety i stopy zakończone smoczymi łbami. Czasem nazywali ją pójdzką, bo wydawała podobne dźwięki jak ten ptak, no i tak samo lubi mięso.

– A nie występuje czasem w stadach albo chociaż parach? – chciał upewnić się Diuk.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. – Sierpień pokręcił głową i spojrzał pytająco na Zuzę.

– Nie ma tu innych – odparła.

Hubert przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę i skrzywił się, kiedy poczuł ból w udzie.

– Dobra, wy wracajcie do domu – zarządził Diuk. – A ja pójdę na polowanie. Może mi uda się coś ustrzelić.

– Tylko uważaj na siebie i... – zaczął Hubert, ale machnął ręką. Nie chciał zabrzmieć jak nadopiekuńcza kwoka. – Zresztą sam wiesz.



Okazało się, że nie tylko Hubert potrzebował dnia wolnego. Zuza i Artur również byli zmęczeni przedłużającą się podróżą, a Gniewko, choć na nic się nie skarżył, mógł dzięki postojowi w spokoju i samotności przemyśleć swoją sytuację. Ucieczka z Biesowic i ciągłe oglądanie się za siebie wszystkim dały się we znaki. Oczywiście wciąż martwili się, że nie dogonią przyjaciół, ale tak naprawdę niewiele mogli już na to poradzić.

Wykorzystując wolne przedpołudnie, przeszukali więcej domów, znajdując trochę ubrań, dzięki czemu mogli wyrzucić te, w których jechali od samego początku. Gniewko zdobył

nowe buty, które nie przeciekały nawet w kontakcie z rosą na trawie tak jak jego obecne. Zuza uporządkowała zapasy żywności, Artur zaś upolował zająca, którego przygotowali na kolację wraz z dziko rosnącymi warzywami, które Hubert znalazł w jednym z ogrodów.

Wieczorem z kolei wyszli przed dom, rozłożyli na trawie koce i rozpalili niewielkie ognisko. Sierpień wyciągnął przed siebie nogi i rozmasował obite udo.

– Dobrze, że ta lamia nie była podkuta – mruknął do siebie.

– Dobrze, że była tylko jedna – dodał Artur.

Pobliski krzew porzeczki się zatrzęsł. Diuk natychmiast porwał w ręce strzelbę, Gniewko sięgnął po łom.

– To tylko Klakier – uspokoił ich Hubert.

Z zarośli błysnęły czerwone oczy i po chwili wymaszerował z nich dumnym krokiem owinnik. Rosa spał się na całym ciele i zrobił wielkie oczy. Sierpień dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że ich nowy towarzysz przecież nie miał jeszcze okazji poznać pupila Zuzy.

– To właśnie dzięki niemu zostaliśmy w ogóle zaproszeni do Biesowic – odezwał się.

Demon spojrzał na niego, jakby chciał powiedzieć: *tylko dzięki mnie, a ty nazywasz mnie głupim sierściuchem.*

– I czasem mam wrażenie, jakby doskonale rozumiał, co się do niego mówi – dodał w zamyśleniu Hubert.

– Oczywiście, że rozumie – zapewniła Zuza. – Tylko czasem wygodniej udawać ignorancję.

Przesunęła się na kocu, robiąc miejsce dla swojego pupila. Klakier najpierw dobrze się przyjrzał ognisku, czy nie pieką na nim nic dobrego, a później ułożył się koło dziewczyny. Biło od niego przyjemnym ciepłem.

– Rozumiem już, dlaczego Haga zapałał do was sympatią – stwierdził Gniewko, nie odrywając od niego wzroku.



Z każdym dniem znajdowali się coraz bliżej Groty. Hubert czuł narastające zdenerwowanie. Nie wiedział, czego powinien się spodziewać, a możliwości było naprawdę dużo. Może Iza i Ernest już tam byli, cali i bezpieczni, właśnie negocjowali wymianę towarów z jednostką. Albo zostali uwięzieni lub co gorsza zabici. Ostatniej wersji wolał wcale nie brać pod uwagę. Mogło również się okazać, że w ogóle nie dotarli do celu, ponieważ z niespodziewanych przyczyn podróż się przeciągnęła albo zaginęli gdzieś po drodze. O tym też nie chciał myśleć. Nie wyobrażał sobie, że mógłby już nigdy nie zobaczyć przyjaciół i nie wiedzieć, co się z nimi stało.

Potrząsnął głową. Jeżeli nie dotarli do Groty, Hubert zrobi wszystko, żeby ich odnaleźć. Przeczesze cały kraj wzdłuż i wszerz, choćby miało mu to zająć długie lata. Ale nie tylko on się martwił. Zuza częściej niż zwykle się zamyślała i traciła kontakt z rzeczywistością, Artur zaś stał się dość nerwowy. Sierpień starał się przekonać ich, że wszelkie obawy na zapas są bezsensowne, ale miał wrażenie, że traktują to jako czcze gadanie. W końcu to on najzagorzalej krytykował Grotę i spodziewał się po niej wszystkiego, co najgorsze, więc zapewnienia, że wszystko będzie dobrze, brzmiały w jego ustach dość fałszywie.

– Liczę, że w dwa-trzy dni się wyrobimy i będziemy na miejscu – oznajmił, pochylając się nad mapą. – Ominiemy to miasto, ale zajrzemy do tej wioski. – Stuknął palcem w papier.

Artur na chwilę oderwał wzrok od ryb, które piekł nad ogniskiem, i pokiwał głową. Złowili je przed godziną

w jeziorku, nad którym zatrzymali się na nocleg.

– Jest jak dzikie, spłoszone zwierzę i skrada się przez las – odezwała się Zuza.

– Ale co? – Hubert podniósł na nią wzrok, lecz mu nie odpowiedziała.

Co i rusz coś takiego mówiła, więc i tym razem to zignorował.

– Długo jeszcze? – zapytał Diuka. – Te ryby tak pachną...

– Jeszcze chwila. Ale Gniewka coś długo nie ma.

Sierpień rzucił spojrzeniem na las za siebie. O ile wiedział, w okolicy nie było żadnych demonów, jednak Rosa rzeczywiście ociągał się ze zbieraniem drewna na opał.

– Pewnie stwierdził, że za jednym zamachem przyniesie wystarczająco gałęzi na całą noc – powiedział.

– Na pewno byłby w stanie to zrobić – przyznał Artur. – O wilku mowa.

Hubert znów się odwrócił. Gniewko wszedł właśnie na polankę, ale nie miał ze sobą żadnego drewna. Sierpień od razu chwycił karabin i poderwał się z ziemi. Już chciał pytać, co się stało, kiedy z lasu wyłoniło się dwóch mężczyzn. Obaj mieli broń wycelowaną w plecy Rosy.

– Stać! – rozkazał Hubert.

Obcy zatrzymali się. Jeden nadal trzymał Gniewka na celowniku, drugi natomiast skierował lufę prosto w Sierpnia.

– Przepraszam – odezwał się cicho Rosa. Na jego twarzy malowało się poczucie winy, że sprowadził do obozowiska żołnierzy, jak można było wywnioskować po ich ubiorze i uzbrojeniu.

*Może to tylko amatorzy strojów maskujących* – pomyślał z nadzieją Hubert.

Wciąż gorączkowo analizował sytuację. Jeżeli trafili na normalnych ludzi, to nikomu z tutaj obecnych nie będzie

zależało, żeby się nawzajem powystrzeliwać. Trudno jednak było wywnioskować cokolwiek z min obcych. Choć byli w mniejszości, to oni mieli dwa karabiny. Szkoda, że Artur odłożył strzelbę tak daleko od siebie.

Skupiony na żołnierzach i własnych rozmyślaniach, Sierpień zwrócił uwagę na Zuzę dopiero wtedy, gdy dziewczyna go wyminęła i ruszyła ku żołnierzom. Jeden z karabinów natychmiast wycelował w jej klatkę piersiową, ale ona zdawała się tego nawet nie zauważyć.

– Zuza! – syknął Hubert. Zignorowała go.

Podeszła do jednego z obcych. Młody chłopak miał jasne włosy, które już dawno chyba nie widziały nożyczek, bo kilka kosmyków wpadało mu do oczu i co chwilę na nie dmuchał, żeby mu nie przeszkadzały.

– Nie ruszaj się! – rzucił, ale w jego głosie zabrakło pewności siebie.

Dziewczyna prześlizgnęła po nim wzrokiem w taki sam sposób, jak ogląda się szafę przed kupnem.

– To nie ty – oznajmiła w końcu.

Chłopak zbaraniał.

– Nie ja? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Nie ciebie widział – odparła, po czym jak gdyby nigdy nic wróciła do ogniska. – Ryby ci się palą.

Artur tylko spojrzał na kolację, która nabrała ciemnobrązowego koloru.

– Dobra, nie chcemy przecież tutaj żadnej strzelaniny – powiedział drugi żołnierz. Ten był koło czterdziestki, miał kwadratową szczękę, szpakowate włosy i paskudne blizny na policzkach. Jako pierwszy opuścił broń. – No, Młody – pospieszył swojego towarzysza.

Blondyn zawahał się, ale wreszcie poszedł w jego ślady.

– Twój ruch. – Mężczyzna spojrział na Huberta.

Sierpień zabezpieczył karabin i przewiesił go przez ramię.

– Zapraszamy do ogniska. – Wskazał brodą miejsce obok. –

A ty może rzeczywiście zdejmuj już te ryby.

Diuk dopiero teraz rzucił się ratować kolację.

Żołnierze podeszli kilka kroków, wciąż zachowując czujność.

– Siadajcie – powiedział Sierpień.

– Krzychu. – Starszy mężczyzna wyciągnął do niego sękatą dłoń. – I... – zawahał się. – Młody.

– Maciek – poprawił blondyn.

Hubert przedstawił siebie i swoich towarzyszy.

– Wybaczcie takie powitanie, szczególnie ty – mężczyzna zwrócił się do Gniewka – ale wiecie, ostrożności nigdy za wiele.

Artur wyłożył wszystkie ryby na miskę i ustawił ją na ziemi na środku.

– Częstujcie się – powiedział.

Sierpień jako pierwszy sięgnął po okazałego okonia i zaczął skubać mięso palcami.

– To dokąd zmierzacie? – zagadnął.

– Donikąd, jesteśmy na patrolu.

Serce Huberta zabiło szybciej.

– Jesteście z Groty? – zapytał.

– Nie daj Panie Boże – odparł Krzychu.

Maciek splunął na trawę.

– Skąd taka reakcja? – zdziwił się łowca.

– A skąd wy wiecie o Grocie?

Sierpień wymienił spojrzenia z Arturem. Zuza była zbyt zajęta obgryzaniem swojej ryby, żeby zainteresować się konwersacją.

Jak wiele mogli im powiedzieć? Kim byli żołnierze i co ich łączyło z Grocą albo ich do niej zraziło?

– Pochodzimy z północy – powiedział w końcu Hubert. – Ludzie z Groty zaproponowali nam sojusz i ewentualny handel. Jedziemy więc do nich, żeby... – zawahał się. – Żeby wybadać teren.

Teraz z kolei żołnierze porozumieli się wzrokiem.

– To macie szczęście, że trafiliście najpierw na nas – odezwał się Maciek.

– Dlaczego?

– Bo Grota to chuje.

Sierpień zamrugął, zaskoczony takim określeniem. Miał wrażenie, że do kompletu zaraz usłyszy krótką, acz wulgarną rymowaną w stylu tych, jakimi kibice obrzucali przed wojną wrogie kluby.

Krzychu z kolei zlustrował spojrzeniem okolicę, jakby spodziewał się, że ktoś będzie ich podsłuchiwał.

– To wasza sprawa, jakie interesy macie z Grotą, ale na waszym miejscu dobrze bym przemyślał, czy chcecie z nimi gadać. Szczególnie że jesteście taką mało liczną i... hmm, mało uzbrojoną grupą.

– Taa, bez kałacha to do nich nawet nie podchodź – przytaknął Maciek.

Hubert wrzucił do ognia ości i sięgnął po płótkę.

– Możecie opowiedzieć nam o swoich doświadczeniach z nimi?

– Pewnie uznasz, że przesadzamy, ale ja interesów z nimi to i po końcu świata bym nie robił. Orłowski, ich dowódca, jest...

– Uniósł dłoń i poruszył palcami, jakby szukał odpowiedniego określenia.

– Szalonym skurczybykiem, który po trupach idzie do celu – podpowiedział Maciek. – I chce rządzić światem.

Artur zakrztusił się swoją rybą. Gniewko bez słowa uderzył go dłonią w plecy, aż zadudniło.

– Dzięki – rzucił Diuk; w jego oczach pojawiły się łzy.

Krzychu spojrzał na swojego towarzysza, po czym wywrócił oczami.

– Ty to nie potrafisz usiedzieć cicho – sarknął.

– Co to znaczy, że Orłowski chce rządzić światem? – zapytał Hubert.

– Może nie całym światem, ale plany ma faktycznie ambitne – przyznał starszy żołnierz. – Podporządkował sobie mnóstwo wsi na południu, a później ruszył bardziej na północ. Założyli jednostkę blisko nas. Wbrew temu, jak wyglądamy, nie jesteśmy bardzo zmilitaryzowaną osadą. Większość z nas to rodziny z dziećmi. Od początku nie podobało nam się tak bliskie towarzystwo żołnierzy. Ale wydawali się w porządku. Zaproponowali handel. Trochę powymienialiśmy się z nimi różnymi rzeczami. My dostarczaliśmy im głównie jedzenie. Ale kiedy poprosiliśmy o broń, odmówili nam. Uznaliśmy, że pewnie sami mają jej mało, jednak z czasem zaczęli coraz bardziej surowo dyktować warunki naszych wymian. Pomogli nam z raz czy dwa z demonami, ale później zażądali całkiem dużego wynagrodzenia. Następnym razem podziękowaliśmy im za współpracę, woleliśmy sami radzić sobie z naszymi problemami...

– Ale oni coraz bardziej się panoszą w okolicy! – wtrącił Maciek. – Nawet nam grozili!

– W każdym razie ja na waszym miejscu dwa razy bym się zastanowił, zanimbym do nich pojechał – podsumował Krzychu.

– Najpierw wyciągną od was wszystko o waszej osadzie, a później was pozabijają – stwierdził blondyn.

Jego starszy kolega rzucił mu ponure spojrzenie.

– Może tak źle nie będzie. Zresztą to wasza decyzja, co zrobicie.

– Będziemy musieli to przemyśleć. – Hubert skinął głową.

– Nie wierzycie nam – westchnął Krzychu. – Nie dziwię się, pewnie to wszystko brzmi, jakbyśmy naprawdę przesadzali...

Od tej chwili Sierpień miał wrażenie, jakby żołnierze zdali sobie sprawę, że za bardzo rozwiązały im się języki, i zaczęli uważać na słowa, żeby nie wyjść na maniaków. Mimo to wciąż usiłował wyciągnąć z nich więcej informacji na temat samej Groty, ale niewiele potrafili powiedzieć o jednostce. Nigdy nie byli na jej terenie, nie wiedzieli, jakie budynki się tam znajdują, ilu ludzi je zamieszkuje ani jak są uzbrojeni.

Z każdą chwilą Hubert coraz bardziej martwił się o los Izy, Ernesta i pozostałych. Jeżeli bez żadnego przygotowania po prostu wjechali na teren ludzi Orłowskiego... Potrząsnął głową, odpędzając od siebie najgorsze wizje, jakie podsuwał mu umysł.

*Przecież nie są głupi, na pewno zrobili najpierw jakiś zwiad – przekonywał sam siebie. Henryk na pewno o to zadbał.*

– Późno się robi. – Krzychu spojrzał na niebo. Słońce zaszło już jakiś czas temu.

– Daleko jest stąd do was? – zapytał Artur.

– Dziś na pewno już nie zdążymy. Tak to jest, jak się człówek zagada. A mieliśmy nie spać w lesie – westchnął.

– A może przenocujemy gdzieś w okolicy i jutro razem pójdziemy do nas? – zaproponował Maciek.

Jego kolega zastanowił się chwilę, a później skinął głową.

– Jeśli macie ochotę, zapraszamy – zwrócił się do Huberta.

Sierpień bardzo szybko rozważył wszystkie za i przeciw. Może w tej osadzie dowiedzą się czegoś więcej o Grocie? Poza tym mieli przy sobie jeszcze dwie butelki wina znalezione w ostatniej wsi. Alkohol powinien bardziej rozwiązać języki dwóch żołnierzy.

– Zostańcie z nami – zaproponował.

Artur posłał mu pytające spojrzenie, Zuza zdawała się nie zauważać towarzystwa nowych znajomych, a Gniewko wyglądał jak oaza spokoju.

– Zaraz będzie ciemno, po co szukać innego miejsca na nocleg? – rzucił lekko Sierpień. – Tylko będziemy musieli przynieść więcej drewna, bo akurat w tym przeszkodziliście Gniewkowi.

– Da się załatwić. Młody, do dzieła. – Krzychu machnął ręką do swojego towarzysza.

Maciek zrobił bardzo zawiedzioną minę, ale pozbierał się z ziemi. Rosa bez słowa poszedł w jego ślady.

– Iść z nimi? – Artur zwrócił się do Huberta.

Sierpień skinął głową.

– Tylko nie zapomnij strzelby, jakbyście trafili na jakiegoś demona – rzucił.

Miał nadzieję, że Diuk zachowa ostrożność na wszelki wypadek, gdyby chłopak coś kombinował. Sam zaś nie zamierzał spuszczać wzroku z drugiego żołnierza.



Wino pomogło. Zarówno Maciek, jak i Krzychu stali się dzięki niemu bardziej gadatliwi. Opowiedzieli więcej o swojej osadzie, zdradzili kilka wesołych anegdotek i ponarzekali na Grotę.

– Boimy się, że pewnego dnia przyjadą do nas i oświadczą, że w zamian za to, że nas nie atakują, należy im się haracz – powiedział starszy żołnierz, patrząc zamyślonym wzrokiem w płomień.

Hubert dolał mu wina do kubka, ale Krzychu chyba nawet tego nie zauważył.

– Mamy całkiem sporo własnych zapasów żywności – kontynuował – ale nie chcielibyśmy ich oddawać obcym. Szczególnie takim jak Orłowski.

– Wystarczyłby jeden celny strzał. – Maciej przymknął jedno oko i wyciągnął przed siebie wskazujący palec, imitując broń. – Jeden strzał i świat od razu stałby się lepszym miejscem.

– Przecież ty strzelasz, jakbyś miał zeza – wytknął mu kolega. – Pewnie skończy się tak, że albo się poddamy i będziemy składać mu daninę, albo stąd uciekniemy. Choć nie wiem, jak przeprowadzić ewakuację całej wsi. No i zaczynać wszystko od nowa... – Pokręcił ze smutkiem głową.

Coś zaszeleściło w krzakach. Sierpień rzucił spojrzeniem w tamtą stronę, ale nic nie dostrzegł. Pewnie jakieś małe zwierzątko wyszło na żer.

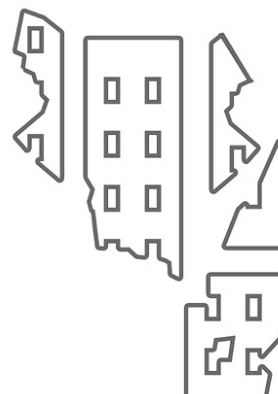
Hubert niewiele pił tego wieczoru. Wolał, żeby procenty uderzyły do głowy ich gościom. Mimo wszystko w pewnej chwili musiał oddalić się na stronę. Opuścił krąg światła rzucany przez ognisko i zagłębił się w las. Słyszał przytłumione głosy, które stąd zdawały się nierealne, jakby pochodziły z innego świata.

Gdzieś w okolicy Klakier czaił się na swoją zdobycz, a Platon chyba spał ukryty w gałęziach starego dębu.

Naraz Sierpień dostrzegł cień wyłaniający się zza drzewa. Serce podeszło mu do gardła. Sprawnym ruchem sięgnął po karabin, odbezpieczył go i wycelował.

– Nie strzelaj – usłyszał szept. – Skisnąć można w tych krzakach.





## Rozdział XVII

– Że też nikt z was do tej pory nie musiał odejść od ogniska.

Hubert nie mógł uwierzyć własnym uszom. Znał ten głos. Tak dobrze go znał, że rozpoznałby go wszędzie. Jego serce stało się nagle tak lekkie, jakby mogło unieść go całego.

– Co ty tu robisz? – Natychmiast opuścił broń i przypadł do osoby, za którą tęsknił najbardziej.

– Czekam, aż kogoś wezwie na łono natury – rzuciła sarkastycznie Iza.

– To naprawdę ty! – Wziął ją w ramiona, mocno ścisnął i zaczął całować po całej twarzy. Rozpierała go taka radość, że nie byłby w stanie opisać jej słowami. Chciał jednocześnie skakać, tulić dziewczynę do siebie i krzyczeć ze szczęścia. Odnalazł ją. Była cała i zdrowa. Nie dotarła do Groty przed nimi. Teraz już wszystko będzie dobrze.

W pewnej chwili jednak Iza syknęła z bólu i odsunęła się od niego.

– Co się stało? – przestraszył się.

– Pół twarzy mnie boli – powiedziała to takim tonem, że opadły go najgorsze obawy.

– Gdzie pozostali? Dlaczego jesteś tutaj sama? I dlaczego skradasz się w krzakach, zamiast podejść do ogniska?

– Bo nie mam broni, a planuję zabić tamtych żołnierzy.

– Jak to zabić? Ty ich znasz?

– I to bardzo dobrze. Przez nie wiem ile dni więzili nas u siebie.

Radość Huberta zmieniła się we wściekłość.

– Oni? – Wskazał palcem za siebie. – Jesteś pewna?

Postąpił krok w stronę ogniska.

– Zaraz sobie z nimi pogadam.

– Hubert, poczekaj! – Złapała go za ramię. – To nie takie proste.

Przestąpił z nogi na nogę.

– Opowiadaj, tylko szybko, żeby nie zaczęli się zastanawiać, dlaczego tak długo mnie nie ma – poprosił.

Iza westchnęła i usiadła na ziemi. Poszedł w jej ślady. Odszukał w ciemnościach jej dłoń i zacisnął na niej palce. Żałował, że nie widział jej twarzy. Tak bardzo chciałby spojrzeć w jej dwukolorowe oczy, dostrzec jej usta i patrzeć, jak je skubie palcami, gdy się nad czymś zastanawia. Właśnie postanowił, że już nigdy więcej się nie rozdziela.

– Przypadkiem trafiliśmy do Osieczy, ich osady – zaczęła mówić cicho. – Na początku zdawali się całkiem mili i normalni. Trochę zmilitaryzowani, ale przecież kto by im bronił... Ugościli nas, wypytywali o nasze osady, o pakt północy. Ale wiesz, wszystko w granicach rozsądku. No i Henryk kazał nam zachować powściągliwość w zdradzaniu zbyt wielu szczegółów. Chcieliśmy też wyciągnąć od nich trochę informacji o Grocie. Strasznie na nią narzekali, mówili, że Orłowski to świr i maniak, że sprowadzi zagładę na

wszystkie osady, które im się nie podporządkują. Zresztą dziś wieczorem dostałeś próbkę ich kłamstw. My im zaufaliśmy, ale Henrykowi wciąż coś się nie podobało. Nawet zaczęliśmy mu dokuczać, że ma manię prześladowczą – zaśmiała się ponuro. – W końcu zarządził wyjazd. Ale oni nie chcieli pozwolić nam odejść.

– Jak to?

– Było ich więcej, mieli więcej broni – rzuciła sucho Iza, ale Hubert wyczuł w jej głosie, że na samo wspomnienie o tamtych wydarzeniach targają nią skrajne emocje. – Prawie zabili Ernesta...

Sierpień poczuł, że serce podjeżdża mu do gardła.

– Ale nic mu nie jest? – zapytał ostrożnie, bojąc się usłyszeć odpowiedź.

– Powiedzmy, że nie. Przynajmniej jak go ostatni raz widziałam, jeszcze jakoś się trzymał.

– Chryste... – Przyłożył dłoń do ust.

– W każdym razie okazało się, że nasi gospodarze są nienormalni – powróciła do opowieści. – Mają manię wielkości i ambicje, żeby podbijać inne osady. Bardzo zainteresował ich nasz pakt i stwierdzili, że nie chcą, żebyśmy zaprzyjaźnili się z Orłowskim.

– Dlaczego?

– Bo chcą go zniszczyć, a nie pozwolić, żeby nawiązał z kimkolwiek sojusz. Chcą doprowadzić do wojny pomiędzy nim a nami.

Sierpień otworzył szerzej oczy ze zdumienia.

– Niby jak?

Iza przez chwilę nie odpowiadała, zatopiona w ponurych wspomnieniach. Huberta zaś rozpierała wściekłość. Ktokolwiek śmiał podnieść na nią rękę, powinien mieć ją odrąbaną.

W pobliżu odezwał się puszczyk, a dziewczyna drgnęła nerwowo.

– To w tej chwili nie jest ważne – powiedziała, starając się zapanować nad własnym głosem. – Więzili nas i prawdopodobnie planowali zabić. Na szczęście udało mi się uciec... Wysłali za mną pościg, ale nie dałam się złapać. Najgorsze, że nie miałam gdzie szukać pomocy. W pobliżu nie ma żadnych innych ludzi. A ja byłam bez broni, konia ani jedzenia. Sama nie zdołałabym uwolnić pozostałych. Już chciałam kierować się w stronę Groty i prosić Orłowskiego...

Głos jej się załamał. Hubert przysunął się do niej i objął ją ramieniem. Iza była najodważniejszą dziewczyną, jaką znał, ale wyobrażał sobie, co musiała czuć, będąc tutaj sama. Bezbronna, głodna i zagubiona, kryjąca się przed wrogimi patrolami...

– Kilka godzin temu już myślałam, że mam omamy – podjęła. – Bo usłyszałam twój głos. To się wydawało tak nierealne... a wtedy ty się zaśmiałeś. Już chciałam biec w twoją stronę, ale w porę się opamiętałam. Gdyby nie to, pewnie wpadłabym na sam środek obozowiska, a na mój widok tylko tamci sięgnęliby po broń.

Przyznał jej rację. Choć żołnierzy było zaledwie dwóch, mieliby wtedy szanse zastrzelić ich wszystkich.

– Coś wymyślimy – pocieszył ją.

– Masz karabin, po prostu wróć tam i ich zabij.

Zapadła między nimi cisza. Wierzył w każde słowo Izy, ufał jej, ale jednocześnie miał pewne obawy. A jeśli Krzychu i Maciek byli jednak niewinni? Jeśli wzięła ich za kogoś innego? Od trzech dni błąkała się sama po lesie, mogła się pomylić, szczególnie w ciemnościach.

– Strzelać do bezbronnych... – odezwał się. – Ja...

– To daj mi karabin, ja to załatwię – powiedziała twardo.

– Jeżeli to rzeczywiście oni, od razu cię rozpoznają. – Pokręcił głową.

– Jeżeli to rzeczywiście oni?! – powtórzyła ze złością. – Kpisz ze mnie?!

Miał wrażenie, że była bliska załamania.

Odsunął się nieco od niej i zacisnął dłonie na jej ramionach, patrząc w ciemnościach na jej bladą twarz.

– Iza, nie pozwolę nikomu cię więcej skrzywdzić. Obiecuję ci to. Ale nie mogę tam wpaść i ich ot tak zastrzelić. Są podpici, nieuzbrojeni i...

– I jeśli uciekną, to wrócą do swoich i ostrzegą ich przed wami. A wtedy nie będziemy już mieli szans na wyciągnięcie stamtąd Henryka, Ernesta, Mateusza i Pawła. Chcesz, żeby oni zginęli?

– Jeżeli od razu ich zabijemy, to nie wyciągniemy od nich żadnych informacji.

– Jakich jeszcze informacji oczekujesz?!

– Ciszej – syknął, oglądając się na ognisko prześwitujące między drzewami. – Zaufaj mi, dobrze? Nie pozwolę im uciec i w razie czego nie zawaham się strzelić. Poczekaj tutaj na mnie. Wszystkim się zajmę.

Iza w milczeniu odwróciła głowę. Pocałował ją w czoło i wstał z ziemi.

– Zaraz cię zawołam – obiecał.

Wykonał kilka kroków.

– Hubert? – szepnęła.

Odwrócił się do niej.

– Bądź ostrożny – powiedziała.

– Jestem wcieleniem ostrożności – zażartował, wywołując u niej ciche prychnięcie.

Ruszył w stronę ogniska. W głowie miał kotłowaną myśl. Iza była cała, pozostali tkwili uwięzieni diabli wiedzą gdzie,

Krzychu i Maciek to mordercy, Grota nie była taka zła... Za dużo tego wszystkiego do ogarnięcia w kilka minut.

Oparł dłoń o karabin. Jeszcze nigdy nie strzelał do bezbronnych ludzi. Zabił kiedyś tych, którzy chcieli skrzywdzić Ernesta, Sylwię i Adę pod Kamienną tyle lat temu, przyczynił się do śmierci żołnierzy Alicji Szlagi, a zeszłej jesieni strzelał do niczego niespodziewających się ludzi, którzy planowali zaatakować Dąbrówkę. Jednak ani razu nie miał wątpliwości, że wszyscy sobie na to zasłużyli.

Szedł tak powoli, jak tylko się dało, przez cały czas myśląc, jak załatwić sprawę. Droga przez polankę jednak była zbyt krótka, żeby obmyślić sensowny plan.

– Coś długo ci tam zeszło – powiedział na jego widok Maciek.

Hubert uniósł kąciki ust, ale uśmiech nie dotarł do jego oczu. Stał po drugiej stronie ogniska, a następnie gwałtownym ruchem uniósł karabin i wycelował w żołnierzy.

– Nie ruszać się! – warknął.

Wszyscy spojrzeli na niego w zaskoczeniu.

– Artur! Strzelba! – syknął Sierpień.

Diuk dopiero po kilku sekundach zaczął mierzyć w gości.

– Co ty wyprawiasz?! – oburzył się Maciek. Jego głos był lekko bełkotliwy od wypitego wina.

– Odstrzelę ci tę rękę! – zagroził Sierpień, kiedy Krzychu bardzo powoli wysunął dłoń w stronę swojego karabinu. – Gniewko, zabierz im broń.

Wyglądało na to, że Rosa się waha.

– Ludzie! Ogarnijcie się! – huknął Hubert.

Dopiero teraz nowy towarzysz skonfiskował karabiny.

– Zwiąż ich. Sznurek jest przy mojej torbie.

– Ale co ci odbiło?! – pieklił się Maciek. – Spokojnie sobie siedzimy, rozmawiamy...

– Zamknij się!

– Mówiłem ci, że to wariaci! – zwrócił się młodszy żołnierz do swojego kolegi. – Mówiłem, żeby nie zostawać tutaj na noc. Trzeba było wracać do domu!

Krzychu jednak zachował milczenie, obserwując baczny wzrokiem zarówno Huberta, jak i Artura. Pewnie się zastanawiał, czy zdoła sam ich rozbroić.

– Tylko porządnie – rzucił Sierpień, kiedy Gniewko wiązał żołnierzy. – Nogi też.

Po chwili upewnił się, że obcy nie będą mieli szans na uwolnienie się, i dopiero wtedy odetchnął. Zerknął na Zużę, która jak gdyby nigdy nic siedziała przy ognisku i grzebała w nim patykami.

– A więc o co chodzi? – zapytał ze zniecierpliwieniem Artur.

Ufał Sierpniowi, ale cała ta sytuacja najwyraźniej nie przypadła mu do gustu.

– Iza! – zawołał Hubert. – Iza!

Jego głos poniósł się po spokojnej tafli jeziora.

– Chyba sobie żartu... – zaczął Diuk, gdy w pobliżu rozległ się szelest, a w krąg światła weszła dziewczyna. – O kurczę...

Dopiero teraz Hubert zauważył, że miała zapuchnięte oko, a ciemna plama na czole to prawdopodobnie była zaschnięta krew. Na ten widok wezbrała w nim złość.

Maciek rzucił przekleństwem i zaczął się szarpać w więzach. Sierpień przypadł do niego i przyłożył mu lufę do czoła.

– Nawet nie drgnij, bo ci rozwalę ten dumny łeb – warknął.

Krzychu wciąż bez słowa obserwował rozwój wydarzeń.

– Iza! – sapnął Artur, a następnie ją uściskał. – Co ty tu robisz? Gdzie są pozostali? Co tu się w ogóle dzieje?

Uśmiechnęła się słabo.

– Zaraz... – rzuciła.

Zuza wstała, podeszła do Izy i ją objęła.

– Miło cię widzieć – powiedziała jak gdyby nigdy nic. – To ciebie widział.

Hubert zmarszczył brwi. Później nadejdzie czas, żeby ją o to zapytać.

Wreszcie Iza spojrzała na związanych mężczyzn. Maciek zaczął jeszcze głośniejsze rzucać przekleństwami. Dziewczyna bez większego wahania przyklękła przed nim.

– Mówiłam, że pożałujesz – warknęła, po czym zacisnęła pięść i uderzyła go w nos, aż dało się słyszeć łamaną chrząstkę.

– Ty kurwo! – Chłopak zalał się krwią, ale trudno mu było jednocześnie nią pluć i przeklinać.

Iza odwróciła się od niego i zamachała ręką, która najwyraźniej zabolęła ją po kontakcie z nosem żołnierza, ale na jej twarzy malowała się satysfakcja.

– Pewnie chcesz coś pić? I jeść? – zapytała Zuza jak gdyby nigdy nic.

Kiedy córka sołtysa pokiwała głową, dziewczyna posadziła ją na swojej macie, wcisnęła w rękę butelkę z wodą i podała pieczone ryby, które zostały z kolacji.

Jakiś czas później oddalili się nieco od ogniska, żeby Iza mogła pokrótce opowiedzieć wszystkim, co działo się z nią i pozostałymi, o tym, jak trafili do osady Krzycha i Maćka, a później zostali tam uwięzieni.

Hubert przysłuchiwał się jej tylko jednym uchem, wychwytyjąc wyłącznie te szczegóły, o których nie wspomniała za pierwszym razem. Większą uwagę za to skupiał na dwóch żołnierzach. Starszy z nich siedział wciąż nieruchomo, obserwując wysłanników z północy, młodszy zaś leżał na boku i co chwilę pluł krwią albo puszczał pod nosem wiązaną przekleństwami.

Sierpień nie miał pojęcia, co z nimi zrobić. Wypuścić ich nie mogli, bo to rzeczywiście udaremniłoby wszelkie plany na uratowanie przyjaciół, a nie potrafił zabić związanych ludzi. Zaczął się zastanawiać, czy udałoby się dokonać wymiany więźniów.

Zrobiło się naprawdę późno; po wszystkich, a w szczególności po Izie było widać oznaki zmęczenia.

– Kładźcie się spać – powiedział Hubert. – Ja przypilnuję tych dwóch.

Rozłożył dla Izy swoją matę, dał jej śpiwór i upewnił się, że będzie jej wygodnie, choć miał wrażenie, że po ostatnich dniach zasnęłaby nawet na kamieniach.

– Nie pozwól im uciec – westchnęła z zamkniętymi oczami.

– Nie pozwolę – obiecał, gładząc ją po policzku. – Wyśpij się, jesteś bezpieczna.

Zanim wstał, już zasnęła. Podeszedł do żołnierzy i sprawdził, czy ich więzy się nie poluzowały.

– Pożalujecie tego – groził mu Maciek. – Znajdzie was inny patrol i wam nie daruje. Nawet nie wiecie, z kim zadzieracie!

– Nie – odparł spokojnie Hubert. – To ty nie wiesz, z kim zadarliście. A poza tym mówiłem ci, żebyś się zamknął.

Zacisnął dwa palce na jego nosie i lekko pociągnął, wywołując u chłopaka jęk bólu. Oddalił się od nich i usiadł na ziemi z karabinem na kolanach. Wiedział, że tym razem nie uśnie na warcie. Targało nim zbyt wiele emocji.



Tuż przed świtem Gniewko wstał i krótko, acz stanowczo kazał Hubertowi zdrzemnąć się choć dwie godziny.

– W razie czego umiesz z tego strzelać? – upewnił się Sierpień, podając mu karabin jednego z żołnierzy.

Rosa obejrzał broń i skinął głową.

– Jakby cokolwiek się działo, nie wahaj się – polecił Hubert, choć nie miał pojęcia, czy jego nowy towarzysz byłby w stanie zabić człowieka.

Odszedł kilka kroków, ale do głowy przyszła mu jeszcze pewna myśl.

– Gniewko? – Odwrócił się. – Jeszcze nie wiem jak, ale będziemy chcieli ratować naszych przyjaciół; ty ich nawet nie znasz, więc jeśli... bo wiesz, do niczego nie będziemy cię zmuszać... a to na pewno będzie ryzykowne... Zawsze też możesz to przeczekać i popilnować tej dwójki.

– Zawdzięczam wam życie – odezwał się Rosa. – Jeśli uważacie, że warto ryzykować, żeby wyciągnąć z tego bagna waszych przyjaciół, to ja idę z wami.

To było jedno z najdłuższych zdań, jakie wypowiedział, odkąd się poznali.

– Dzięki. – Hubert się uśmiechnął.

Podszedł do tłącego się ogniska i położył się na ziemi tuż obok Izy, obejmując ją ramieniem.



– Plan jest taki – odezwał się Hubert podczas śniadania. – Odprowadzamy tych dwóch do tej opuszczonej wsi. – Wskazał malutką miejscowość na mapie. – Zamykamy ich w jakiejś piwnicy skutych łańcuchami czy diabli wiedzą jeszcze czym...

– A o konwencjach genewskich to słyszałeś? – zażartował Artur.

– Po końcu świata nie obowiązują – odparł łowca. – Zresztą zostawimy im wodę i coś do jedzenia. Chodzi o to, żeby nie wydostali się stamtąd do czasu, aż my wyciągniemy naszych. Później ich wypuścimy.

Iza pokręciła głową.

– To jest dość ryzykowne. Jeżeli się uwolnią...

Hubert spojrział na nią. Z samego rana Zuza pomogła jej się ogarnąć i umyć twarz, mimo to nadal było widać poźółkłego siniaka na kości policzkowej i rozcięcie na czole; aż go bolało serce, kiedy na nią patrzył. A podejrzewał, że to nie jedyne „pamiątki”, jakie zostały jej po pobycie w Osieczy.

– Jeśli nie znajdziemy odpowiedniej piwnicy albo wydarzy się cokolwiek nieprzewidzianego, sam ich zabiję – odparł.

Izie najwyraźniej to wystarczyło, ponieważ skinęła głową.

– Ale zanim to nastąpi, rozdzielimy ich i wypytamy o wszystko na temat ich osady – podjął. – Zobaczymy, czy to się pokrywa z tym, co ty wiesz. I dopiero wtedy będziemy mogli zaplanować sensowny ratunek dla naszych. Wszyscy się zgadzają?

Powiódł wzrokiem po twarzach przyjaciół, jednak nikt nie zgłosił żadnych obiekcji.

Przed południem dotarli do opuszczonej wsi. Znajdowało się w niej zaledwie kilka domów, ale liczyli, że jest na tyle daleko od Osieczy, że nie zabłąka się tu żaden patrol. Jak tylko się zatrzymali, Krzychu i Maciek od razu usiedli na ziemi – jako jedyni szli pieszo. Hubert narzucił dość szybkie tempo podróży, żeby stracić jak najmniej czasu i zmęczyć więźniów, aby nie przychodziły im do głów głupie pomysły. Artur podał im wodę, którą od razu wypili.

– Ja ich popilnuję, a wy poszukajcie jakiegoś miejsca, gdzie będziemy mogli ich zamknąć – powiedział Sierpień.

Przyjaciele pospiesznie się rozeszli.

– Nie uwolnicie swoich ludzi – odezwał się Maciek.

Wyglądał dość paskudnie – złamany nos był opuchnięty, a pod oczami wykwitły mu sińce.

– Myślicie, że ot tak można sobie wejść do Osieczy? Od razu was zastrzelą. Nie dotrzecie nawet do połowy drogi.

Hubert nie chciał wdawać się z nim w żadne dyskusje, ale aż cisnęło mu się na usta stwierdzenie, że jakimś cudem Iza zdołała uciec z tak dobrze strzeżonego miejsca. Zresztą gadanie młodszego żołnierza było tylko drażniące. Bardziej niepokoiło go zachowanie starszego. Ten siedział cicho i wszystkich obserwował, jakby tylko czekał na dogodny moment na ucieczkę, dlatego Sierpień co chwilę sprawdzał, czy nie uwolnił się z więzów.

Nie minęło pół godziny, a wszyscy spotkali się na środku drogi.

– Znalazłyśmy piwnicę, która chyba się nada – powiedziała Iza. – Nie jest idealna do przetrzymywania jeńców, ale myślę, że szybko damy radę ją przystosować.

Zuza pokiwała głową, choć jej wzrok był utkwiony w jakimś odległym miejscu.

– Pokażcie mi ją – poprosił Hubert. – Przypilnujecie ich? – zwrócił się do Artura i Gniewka.

Dziewczyny zaprowadziły go do jednego ze starszych domów. Sam budynek był w opłakanym stanie jeszcze chyba przed ostatnią wojną, teraz zaś nie nadawał się już praktycznie do niczego. Wejście do piwnicy znajdowało się na zewnątrz. Kilka kamiennych schodków wiodło do zbutwiałych, drewnianych drzwiczek, wiszących na jednym zawiasie.

Hubert wszedł do środka. W małym, wyłożonym cegłami pomieszczeniu panowały wilgoć i chłód. Nie było tu żadnego okna. Pod jedną ze ścian znajdował się zavalony regał z potłuczonymi słoikami.

– Jeżeli dobrze zastawimy czymś drzwi, to nie uciekną – ocenił Sierpień, wychodząc.

Iza zdjęła mu z głowy wielką pajęczynę.

– Ale ich zwiążemy? – upewniła się.

– Jak znajdziemy łańcuchy i kłódkę, to możemy ich nawet skuć – odparł. – Przydałaby się też jakaś kotwa, żeby wbić ją w ścianę. Nawet jeżeli pokonają takie przeszkody, to zajmie im to mnóstwo czasu. My zdążymy uwolnić naszych, zanim oni dotrą chociażby w pobliże Osieczy.

– Boruta – odezwała się niespodziewanie Zuza.

– Gdzie? – zapytał od razu Hubert.

Wskazała w kierunku samego środka wsi, gdzie czekali na nich pozostali.

– Cholera – rzucił Sierpień.

Zerwał się do biegu. Teraz i on wyczuł demona. Ten skradał się niepostrzeżenie w gęstych zaroślach, czując ludzką krew. Atakować, zabijać, rozszarpywać – tylko to obijało się w małej głowie stwora.

Hubert pędził, ile sił w nogach. Tuż za nim biegła Iza, szybko jednak dystans między nimi się zwiększał. Dziewczyna była najpewniej zbyt przemęczona po przeżyciach ostatnich dni.

Sierpień już z daleka dostrzegł pozostałych. Niestety nic nie było tak jak powinno. Gniewko gdzieś zaginął, Artur leżał na ziemi, a Krzychu, cofając się, mierzył do niego z jego własnej strzelby. Tuż obok żołnierza powoli kroczył jego nadal związany kompan.

W pewnym momencie dostrzegli biegnącego w ich stronę Huberta. Lufa natychmiast powędrowała nieco wyżej, celując prosto w klatkę piersiową łowcy.

– Stój! – krzyknął Krzychu.

Sierpień nie miał innego wyjścia, musiał się zatrzymać.

– Odłóż karabin! – rozkazał starszy żołnierz.

Obaj powoli kierowali się w stronę koni. Hubert właśnie zdał sobie sprawę, że jeżeli pozwoli im uciec, już nigdy nie zobaczy ani Ernesta, ani Henryka. Nie mógł na to pozwolić, a jednocześnie nie mógł tak naprawdę nic zrobić. A do tego jeszcze miał problem z zebraniem myśli przez bliskie towarzystwo czającego się w krzakach boruty.

– Spokojnie – odezwał się. – Pogadajmy...

Krzychu parsknął śmiechem.

– Odłóż karabin!

Hubert bardzo powoli zsunął pasek z ramienia. Nagle usłyszał kroki Izy tuż za sobą. Krzychu natychmiast wycelował broń w dziewczynę.

– Nie ruszaj się! – huknął.

Z każdą chwilą żołnierze znajdowali się coraz bliżej koni. Wtem zza drzewa, które właśnie mijali, wypadł Gniewko. Poczzerwieniał na twarzy i wyglądał jak szarżujący byk. Przedramieniem uderzył od góry w strzelbę; huknęło i w powietrze wzbiła się fontanna piasku. Drugą pięścią zaś wymierzył cios prosto w szczękę Krzycha. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, a Rosa wyrwał mu z rąk broń.

Hubert ruszył pędem ku nim. Starszy żołnierz rzucił się w stronę koni, gdy z krzaków wyskoczył wprost na niego boruta. Człowiek krzyknął i zaczął miotać się po drodze, usiłując zrzucić z siebie demona.

Gniewko i Maciek, tak samo zszokowani, cofnęli się, z przerażeniem patrząc, jak niewielki stwór sięga zębami krtani Krzycha. Wkrótce mężczyzna przewrócił się na ziemię. Zaczął krztusić się własną krwią. Boruta mocno wbił pazury w jego klatkę piersiową, nadal zaciskając zęby na jego szyi.

Hubert podbiegł do nich. Wymierzył mocnego kopniaka prosto w bok demona, aż ten spadł z człowieka. Wyszczerył ociekające czerwienią kły. Łowca wycelował i strzelił. Stwór

jednak był szybki i odskoczył. Ruszył wprost na Gniewka, który najwyraźniej zapomniał, że przez ramię ma przewieszony karabin, a w rękach trzyma strzelbę. Sierpień wystrzelił jeszcze trzy razy. Dwa naboje na szczęście sięgnęły celu. Demon padł na ziemię, ale to mu nie przeszkodziło w dalszych próbach ataku. Czołgał się w stronę Rosy, a jego pazury zostawiały głębokie bruzdy w pyle na drodze.

Hubert dopadł borutę, sięgnął nóż i wbił go prosto w szyję stwora.

– Nie! – usłyszał krzyk Izy.

Podniósł głowę, ale potrzebował chwili, żeby się zorientować, co się działo. To Maciek, nadal związany, rzucił się do ucieczki. Na szczęście ruszył w przeciwnym kierunku, niż znajdowały się konie, ale znalazł się już wystarczająco daleko, żeby za kilka sekund zniknąć im z oczu.

– Strzelaj! – Iza podbiegła do Gniewka dzierżąc strzelbę.

– Nie trafię – jęknął potężny mężczyzna.

Hubert, nie czekając na nic, podbiegł do koni, odwiązał Mokkę i wskoczył na jej grzbiet. Już miał uderzyć piętami w jej boki, kiedy Iza wyrwała Gniewkowi strzelbę i przyłożyła ją do ramienia.

Sierpień nie popędził klaczy, dając dziewczynie czas na wycelowanie. Gdyby ruszył od razu za Mackiem, sam znalazłby się na linii strzału.

Iza zastygła w bezruchu, przymknęła jedno oko i nacisnęła spust. Po wsi poniósł się huk wystrzału, łuska poszybowała w górę. Kilkadziesiąt metrów dalej Maciek padł na drogę. Na kilka sekund zapadła cisza, nikt nawet się nie ruszył.

– Sprawdźcie, czy ten żyje – powiedział w końcu Hubert, wskazując Krzycha z rozszarpanym gardłem.

Sam zaś pokłusował w stronę drugiego żołnierza. Szybkie oględziny potwierdziły to, czego się spodziewał – Iza prawie

nigdy nie pudłowała.

– Ja nawet nie wiem, jak to się stało – tłumaczył się Artur, kiedy Hubert wrócił do pozostałych. – W jednej chwili sprawdzałem, czy nie poluzowały im się więzy, a w drugiej zobaczyłem wszystkie gwiazdy. Drań jeden musiał się jakoś uwolnić i tylko czekał na dogodny moment.

Sierpień właśnie czegoś takiego spodziewał się po starszym żołnierzu.

– Mielicie razem ich pilnować – zwrócił się do Gniewka.

Rosa spuścił wzrok i zaszurał butami na piasku jak karczone dziecko.

– Musiałem iść w krzaki – przyznał cicho. – Przepraszam... I to ja ich przyprowadziłem do naszego obozowiska...

– Nie przejmuj się. – Hubert klepnął go w ramię. – Tak czy siak by nas znaleźli. A jak nie nas, to Izę.

– Teraz przynajmniej mamy pewność, że nikogo przed nami nie ostrzegą – odezwała się dziewczyna. – Zastanawia mnie tylko, dlaczego ani razu nie użyłeś karabinu.

Gniewko wzruszył ramionami.

– Nie przepadam za bronią palną – powiedział w końcu. – Nigdy za bardzo jej nie potrzebowałem.

Hubert spojrzął na jego wielkie pięści. Nawet się nie dziwił, że mogły budzić podobny respekt jak karabin.

– Szkoda tylko, że nie zdążyliśmy ich przesłuchać – westchnął.

– Ja wiem o Osieczy i jej mieszkańcach wszystko, czego potrzebujemy – stwierdziła Iza.

– I to będzie musiało nam wystarczyć.



Ciała dwóch żołnierzy spoczęły w wykopanych naprędce płytkich grobach.

– Mam tylko nadzieję, że nie wyślą za nimi misji ratunkowej – odezwał się Artur, stojąc nad mogiłami. – Bo jeszcze ich spotkamy.

– Więcej ludzi na poszukiwaniach to mniej tych, którzy pilnują więźniów – odparł w zamyśleniu Hubert.

Już raz wymknął się wraz z Zuzą z jednostki wojskowej, przy okazji wywołując niezłe zamieszanie. Mógł liczyć na to, że szczęście jeszcze raz mu dopisze i wszyscy wyjdą z tego cało?

– Czas już na nas – powiedziała Iza. – Nie chcę, żeby nasi byli tam zamknięci choćby o godzinę dłużej, niż to konieczne.

Pospiesznie się przepakowali, biorąc ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Porzucili też część bagażu niesionego przez luzaka, na którym teraz miała jechać dziewczyna.

– Słuchaj... – powiedział Hubert, kiedy we dwójkę siodłali konie. – Chciałabyś... czy chcesz pogadać o tym, co tam się wydarzyło?

Iza dopięła popręg i odwróciła się do niego. Jej dwukolorowe oczy zdawały się zimne niczym lód.

– Nie. – Pokręciła głową.

– Czasem naprawdę dobrze jest się wygadać zamiast tłumić wszystko w sobie. – Podszedł do niej i położył dłonie na jej ramionach.

W takich chwilach nigdy nie miał pewności, czy dziewczyna zaraz go nie odtrąci. Tym razem jednak przywarła do niego i oparła głowę o jego klatkę piersiową. Jej włosy nie pachniały tak jak zazwyczaj, prochem i ziołami. Teraz wyczuwał kurz i krew.

– Więc? – odezwał się po chwili.

To, jak naciskała na zabicie żołnierzy, i że nawet się nie zawahała przed strzeleniem Maćkowi w plecy, dało mu do myślenia. Wiedział jednak, że siłą nic z niej nie wyciągnie.

Iza odsunęła się i zaczęła ustawiać odpowiednią długość strzemiem.

– Dziękuję, ale nie będziemy teraz o tym mówić – powiedziała w końcu. – Po pierwsze nie mamy czasu i musimy skupić się na uwolnieniu naszych, a po drugie wolę o tym wszystkim zapomnieć.

– W razie czego pamiętaj, że jestem do twojej dyspozycji – zapewnił.

– Lepiej mi powiedz, skąd wytrzasnęliście tego Gniewka – zmieniła temat. – Facet jest wielki jak byk, a ma usposobienie kociaka.

– Jakiś czas temu zajechaliśmy do wsi, która powoli wracała do pogańskiej wiary... – zaczął opowiadać.

Gdy skończył, akurat nadeszli pozostali. Nie zwlekając dłużej, wsiedli na konie i ruszyli we wskazanym przez Izę kierunku. Chcieli jak najszybciej zbliżyć się do Osieczy.

– Powiedz nam wszystko, co wiesz o tej osadzie – poprosił w drodze Hubert.

– Jest otoczona wysoką siatką, która stanowi zabezpieczenie raczej przed dzikimi zwierzętami niż czymkolwiek innym – odparła Iza. – Bez problemu ją sforsujemy. Ludzie mieszkają w niskich barakach, ale ich życie toczy się wokół wielkiego, starego budynku jakiejś fabryki zamkniętej na długo przed ostatnią wojną. Teren całego obiektu jest płaski i bez drzew, więc ciężko będzie się ukryć. W południowej części mają wielkie ogrody uprawne.

– Ilu ludzi tam w ogóle mieszka?

– Mówili nam, że niecała setka, ale dałabym głowę, że jednak więcej.

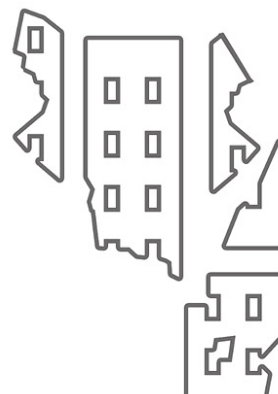
- Jak są uzbrojeni?
  - Większość z nich to byli żołnierze, skrzyknięci pod wodzą niejakiego Rejtera.
  - Kolejny wojskowy z wizją? – rzucił z przekąsem Hubert.
  - I wielką nienawiścią do Orłowskiego.
  - Ciekawe, co ten Orłowski zrobił, że aż tak go nie lubią.
  - Może sobie na to zasłużył, może nie. Nie będę wnikać. – Iza wzruszyła ramionami. – W każdym razie nie brakuje im broni ani palnej, ani białej. I wiedzą, jak się nią posługiwać.
  - Cudownie – mruknął Artur.
  - Więźniów trzymają w piwnicach fabryki. Każdy ma osobną celę zamykaną na klucz.
  - A gdzie są te klucze?
  - Gdzieś niedaleko wejścia do piwnic. Na w razie czego muszą być pod ręką, a poza tym przecież nikt nie spodziewa się ataku z zewnątrz.
  - I to jest choć jedna dobra wiadomość – przyznał Hubert. – A nie trzymają czasem gdzieś w klatkach demonów? – zapytał z nadzieją.
  - Przykro mi, taka dywersja nie uda ci się po raz drugi. – Pokręciła głową.
  - A konie? Gdzie jest stajnia?
  - Nie mam pojęcia – westchnęła. – To właśnie była pierwsza rzecz, jaka nam podpadła. Gdy jeszcze udawali dobrych gospodarzy, zabrali nasze wierzchowce, obiecując dobrze je nakarmić, wyczesać i tak dalej. Wykręcali się, że na pewno jesteśmy zmęczeni po podróży i sami chcielibyśmy zjeść i się odświeżyć.
  - Cholera – sapnął Hubert.
- Wydostanie przyjaciół z piwnic to jedna sprawa, ale pozostawała jeszcze kwestia jak najszybszej ucieczki z terenów

Osieczy. Wolał, żeby nie zostali złapani przez konny patrol, który ruszy w pościg za nimi.

– Dobra, to zostawmy na później. Ile jest wejść do tej fabryki i jak są strzeżone?

Iza ze szczegółami opisała cały budynek, a podczas krótkiego popasu, na który zatrzymali się po południu, rozrysowała całą osadę na piasku, oczywiście na tyle, na ile ją pamiętała. W głowie Huberta zaś bardzo powoli zaczął układać się plan działania.





## Rozdział XVIII

– Nie znoszę tego miejsca. – Hubert zabił na ramieniu komara opitego jego krwią.

– Sam je wybrałeś – przypomniała mu Zuza. We włosy miała wplecione żółte kwiaty wrotyczu, który ponoć odstraszał owady, ale na bagnach owadów było tyle, że niewiele tak naprawdę pomagało. – „Tu będzie bezpiecznie, tu nas nie znajdą” – przedrzeźniała go dziewczyna.

Gdy tylko zbliżyli się do Osieczy, ledwie się powstrzymał, żeby od razu nie pędzić na ratunek przyjaciom. Wiedział jednak, że akcja ratunkowa musi być dobrze przemyślana i poprzedzona długimi obserwacjami. Choć Iza dość dokładnie opisała samą miejscowość i całą fabrykę, musieli dowiedzieć się jeszcze wielu innych rzeczy. Dlatego postanowili zatrzymać się na mokradłach – nikt tu się nie zapuszczał, łatwo było się ukryć w gęstych zaroślach, a jednocześnie znajdowali się stosunkowo blisko niczego niepodważającego wroga.

W pobliżu rozległ się krótki, wcześniej umówiony gwizd. Po nim zaś zaszeleściły krzewy i do obozowiska wkroczył Artur.

– Wpadłem w bagno po kolana – mamrotał. Usiadł na trawie i zdjął ubłocone buty. – Jak ja je teraz wysuszę?

– Mów lepiej, czego się dowiedziałeś – odezwał się Hubert.

– Zmiana warty jak co dzień o ósmej rano. Nawet kiedy jest ciepło, to wartownik nie wyłazi z fabryki, tylko otwiera okna i z nich obserwuje cały obiekt. Reszta wstaje ze świtem, ale nie wyglądali na zbyt rześkich. Dwunastu ludzi poszło pracować w ogródkach, tamtych trzech z wczoraj wróciło z polowania z dzikiem. Dwóch wyszło na ryby jeszcze podczas porannej szarówki. Aha, widziałem też powracający patrol.

– Dziwi mnie, że nie wyglądają na zmartwionych nieobecnością Krzycha i Maćka. – Hubert pacnął się w czoło, zabijając kolejnego komara. – Że też nikogo jeszcze za nimi nie wysłali...

– Może uznali, że tamci znaleźli mój trop? – zastanowiła się Iza. – I nie wracają, bo są już blisko złapania mnie. Bardziej mnie dziwi, że nie przejmują się moją ucieczką.

– Gdybym ciebie nie znał, to na ich miejscu podejrzewałbym, że już dawno nie żyjesz – powiedział Sierpień.

Dziewczyna spojrzała na niego krzywo.

– Sama w lesie, bez broni, bez jedzenia – zaczął szybko wymieniać. – Na pewno uznali, że padłeś ze zmęczenia albo dorwał cię jakiś demon. I tylko ktoś, kto cię dobrze zna, wie, że tak łatwo się nie poddajesz. Ba, ty właśnie przyprowadziłeś kawalerię, żeby odbić swoich ludzi.

*Choć kawaleria to może za mocne słowo* – dodał w myślach, patrząc na towarzyszy.

Artur siedział w bokserkach, susząc spodnie na gałęzi, i usiłował doczyścić buty trawą, a Zuza leżała na ziemi i wplatała we włosy kolejne kwiaty wrotyczu. Gniewko co prawda był nieobecny, ponieważ teraz wypadła akurat jego

kolej obserwacji, ale jego też trudno byłoby zaliczyć do profesjonalnego oddziału szturmowo-ratunkowego.

Z najbliższego krzewu wystrzeliła czarna smuga i rzuciła się na Diuka.

– Zdurniałeś?! – oburzył się Artur, kiedy Klakier wbił pazury w jego dłoń. – Ja tylko buty czyszcze!

Owinnik odskoczył, ugiął wszystkie łapy i zaczął uważnie obserwować jego ruchy. Długi ogon uderzał jednostajnie w ziemię.

– Jesteś już chyba za stary na takie zabawy. – Hubert pstryknął go palcami w ucho, czym zasłużył sobie na ugryzienie.

– Skąd wiesz? – odezwała się Zuza.

– Bo normalne koty poważnieją w jego wieku.

– On jest wyjątkowy i z pewnością nie jest kotem – wytknęła.

Sierpień zmarszczył brwi. Tak naprawdę nie zastanawiał się, jak długo żyją demony.

– Jeszcze czasem Klakier przeżyje nas wszystkich – zażartowała Iza.

– Jeżeli zawalimy akcję ratunkową, to na pewno – przyznał Hubert. – Tak w ogóle, to musimy poczekać na bezksiężycową noc.

– W zupełnych ciemnościach po obcym terenie? – wyraził swoje wątpliwości Artur.

– Wczoraj w nocy księżyc mocno świecił i powiem ci, że wartownik nie spał. Co chwilę pojawiał się w którymś z okien.

– Chłopaki się nie objijają.

– Dlatego musi być naprawdę ciemno, żeby nas nie zauważyli, jak skradamy się do fabryki.

– Gdyby tak dosypać im środka przeczyszczającego do zupy – rozmarzył się Artur.

– Jeżeli dałbyś radę dodać wartownikom cokolwiek do obiadu, to wyprowadzenie więźniów z piwnicy nie powinno już stanowić żadnego problemu – rzucił z przekąsem Sierpień.

– A ja nadal zastanawiam się nad tą dywersją – wtrąciła Iza.  
– Wtedy na jednostkę Szlagi nieźle to podziałało. A założę się, że masz przy sobie choć jeden granat. – Spojrzała na Huberta.

– Ano mam – przyznał. – Ale pamiętaj, że nadal nie wiemy, gdzie trzymają konie. Połowa z nas będzie musiała uciekać pieszo. Jeżeli narobimy hałasu, raz-dwa nas złapią. Wolałbym jednak przeprowadzić tę akcję po cichu, żeby dopiero po kilku godzinach się zorientowali, że ich więźniowie nawiali. A nawet wtedy będzie to dość ryzykowne.

– Ja mogę znaleźć stajnię i wyprowadzić konie – rzuciła od niechcienia Zuza.

– Niby jak?

– Klakier mnie tam zaprowadzi – powiedziała, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

– Jak to: Klakier zaprowadzi? – zdziwiła się Iza.

– On będzie wiedział, gdzie jest stajnia. Zresztą tam są Inka i Hermes. A on ich lubi.

Hubert potrząsnął głową.

– Chwila moment. Chcesz powiedzieć, że jesteś w stanie wytłumaczyć mu, żeby zaprowadził cię do stajni, w której on nigdy nie był?

– Uhm.

W tym momencie Hubertowi przyszła do głowy pewna myśl. Już wcześniej się nad tym zastanawiał, ale nie miał jeszcze chwili, żeby o to zapytać.

– Ty wiedziałaś, że Iza błąka się po lesie, prawda?

– Nie wiedziałam, że to była Iza.

Córka sołtysa szturchnęła Huberta łokciem i zrobiła pytającą minę.

– Ale Klakier ją widział? – chciał się upewnić Sierpień.

– Nie Klakier. – Zuza pokręciła głową. – Gdyby to był on, od razu wiedziałabym, co się działo.

Artur wodził zagubionym wzrokiem od dziewczyny do Huberta.

– Platon – westchnął łowca.

– Uhm.

– Dobra, wyjaśnijcie mi, o co chodzi, bo nic nie rozumiem – poprosił Diuk.

– Platon widział Izę ukrywającą się w lesie – odezwał się Hubert, patrząc uważnie na twarz Zuzy; czekał na potwierdzenie swoich słów, aż skinęła głową. – Ale z nim nie masz tak dobrego... kontaktu jak z Klakierem. I wiedziałaś tylko, że ktoś się czai w pobliżu, ale już nie kto ani jakie ma zamiary.

– No i Platon bał się podejść bliżej do Izy.

– Tchórz jeden – mruknął Hubert.

– A ty nic o tym nie wiedziałaś? – zapytała go Iza.

– Przecież wiesz, że nie jestem w tym aż taki dobry jak ona. Choć czasem mnie przerażasz. – Spojrzał na Zużę.

– To co z tymi końmi? – zmieniła temat. – Nie chcę zostawiać Inki u obcych ludzi.

Sierpień się zamyślił. Nie planował brać dziewczyny na żadną akcję. Wolał, żeby została z ich wierzchowcami bezpiecznie ukryta w lesie.

– To by naprawdę ułatwiło nam sprawę – zabrał głos Artur. – Można by też wypuścić inne konie i podpalić stajnię. Zanim by je połapali i ugasili pożar, my moglibyśmy być już daleko stąd. Na pewno mają też inne zwierzęta, które moglibyśmy uwolnić. Nie wiem, jakieś krowy czy kurczaki. Przy takim zamęcie...

– Kurczaki? – powtórzył Hubert. – I jak taki kurczak ma niby pomóc w dywersji?

– Nie wiem. – Diuk wzruszył ramionami. – Może ktoś się o niego potknie.

Łowca przetarł dłońmi twarz. Brakowało mu Ernesta i Henryka, którzy potrafiliby szybko zaplanować sprawną akcję. On ewentualnie dodałby jakieś modyfikacje...

– Nie. – Pokręcił w końcu głową. – Nie będziemy tworzyć żadnego chaosu. Musimy ich wyprowadzić cicho, bez zwracania na siebie uwagi. Chcę, żeby dopiero rano zorientowali się, że ich więźniowie uciekli. Bez żadnych środków komunikacji możemy nie zgrać się odpowiednio w czasie. Bo najpierw musielibyśmy wyciągnąć naszych, a dopiero później wywołać na przykład pożar czy rzucić jakieś granaty. Jeżeli nie zachowalibyśmy takiej kolejności, owszem, większość żołnierzy będzie gasić płomienie i łapać te kurczaki, ale znajdzie się kilku takich, którzy od razu polecą sprawdzić, co z więźniami. Ja na pewno bym tak zrobił. Zuza, dasz radę wyprowadzić te konie po cichu?

– Sama? – zdziwiła się.

– Nie, pójdą z tobą Artur i Iza.

– Dam radę. – Skinęła głową.

– Hubert, ja nie mogę iść szukać stajni – odezwała się córka sołtysa. – Tylko ja byłam w fabryce i tylko ja sprawnie odnajdę piwnice.

Wiedział, że będzie protestowała. Ale on też miał swoje argumenty.

– Mogę prosić cię na słowo? – Wstał i skierował się w stronę zarośli.

Zawahała się, ale po chwili ruszyła za nim. Zatrzymali się kilkanaście metrów od obozu. Kiedy Sierpień się odwrócił, otworzyła usta, najwyraźniej mając już ułożoną w głowie całą przemowę, dlaczego powinna ratować przyjaciół, a nie konie.

– Potrzebuję cię – odezwał się szybko Hubert.

– Co? – Zmarszczyła brwi zbita z tropu.

– Wiesz sama, jaki jest Artur. To dobry chłopak, ale nie jest swoim bratem. Niewiele brakowało, a zawaliłby sprawę z Krzychem i Maćkiem. Nie chcę puszczać go samego z Zużą.

– To niech Gniewko idzie z nimi.

– I uważasz, że oni będą potrafili obronić Zużę?

Iza sapnęła gniewnie.

– Znasz ją o wiele lepiej niż oni... – Potarł dłonią własny kark. – Wiesz, że ona jest dla mnie jak siostra. Nie mogę ryzykować jej życia... A tylko tobie ufam na tyle, żeby pod twoją opieką puścić ją na teren wroga. Jestem pewien, że ty mnie nie zawiedziesz.

– To jest cios poniżej pasa – mruknęła niezadowolona.

– Wiem, ale taka jest prawda.

– To może ty pójdziesz z Zużą do stajni, a ja z którymś z chłopaków do fabryki? – zaproponowała.

Na moment zapadła między nimi cisza. Nad ich głowami zagwizdał Platon, ale nie zwrócili na niego uwagi.

– Jeżeli uważasz, że dasz radę, że uda ci się obezwładnić strażników i wyciągnąć stamtąd naszych ludzi, to możemy tak zrobić – powiedział w końcu. – Ale musisz być tego absolutnie pewna.

Miał wrażenie, że Iza warknęła cicho.

– Dobra – westchnęła. – Pójdę do tej stajni. Ale ty masz uwolnić ich wszystkich i nie dać się samemu zabić. – Dźgnęła go palcem wskazującym w mostek.

– Postaram się. – Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Po chwili zaś ujął jej twarz w obie dłonie i spojrzał w dwukolorowe oczy. Nadal go hipnotyzowały i mógłby się w nie gapić cały dzień. Siniaki pod okiem i na czole powoli zaczęły zniknąć, a rana nad brwią się zablizniła. Może nawet

nie pozostanie po niej żaden ślad, choć nie sądził, że Iza by się tym przejmowała.

– A dlaczego chcesz zabrać ze sobą Gniewka? – zapytała. – Nie lepiej Artura?

– W wąskich piwnicach jego pięści będą chyba bardziej przydatne niż umiejętność strzelania. Może strażnik się przestraszy na jego widok i zemdleje – dodał w żartach.



– A może jest jeszcze jakiś inny sposób na wyciągnięcie ich? – odezwał się podczas obiadu Artur.

– Lepszy niż wypuszczenie kurczaków? – zażartował Hubert.

– Nadal uważam, że zrobiłyby dużo zamieszania – zachnął się Diuk.

– To mów, przydałby nam się jakiś mniej ryzykowny plan.

– Z tego, co mówiła Iza, oni wszyscy boją się tego Orłowskiego. A gdyby tak w jego imieniu zażądać wydania więźniów?

Sierpień zmarszczył brwi, zastanawiając się.

– Przecież my sami nie mamy pojęcia, jak facet wygląda.

– Ale możemy podszyć się pod jego ludzi. W Osieczy na pewno nie znają wszystkich jego oficerów.

– I jak to widzisz? – zainteresowała się Iza.

– Wjechać na teren osady jak do siebie. Powiedzieć, skąd jesteśmy, że w lesie ukrywa się pięćdziesięciu albo nawet setka żołnierzy i że zrównamy ich wiochę z ziemią, jeśli nie wypuszczą ludzi, którzy są gośćmi Groty.

– Nie jestem pewien, czy będą tak naiwni, żeby uwierzyć w tę setkę ukrywającą się w lesie – odezwał się Hubert, drapiąc się

po brodzie. – Gdybyśmy mieli takie zaplecze, myślę, że od razu byśmy się z nimi pokazali, żeby miejscowi zmiękli już na początku.

– Jeżeli dobrze to odegramy, to nam uwierzą – obstawał przy swoim Artur.

– Jest tylko jeden problem – powiedziała Iza. – Jak jeszcze nie wiedzieliśmy, kim są, przyznaliśmy się, że Grota nie wie nic o tym, że do nich jedziemy. Więc nie ruszyliby nam na ratunek.

– Cholera. – Diuk uderzył pięścią w otwartą dłoń. – A to był taki dobry plan...

– Ten, który teraz mamy, też nie jest zły. – Hubert zasznurował dokładnie buty i się przeciągnął. – Idę zmienić Gniewka. Bądźcie cicho i uważajcie na siebie.

Pozostali pokiwali głowami bez entuzjazmu. Wszystkim dłużyło się czatowanie na bagnach. Chcieliby mieć tę akcję ratunkową już za sobą.



Hubert powiesił lornetkę na szyi i przetarł twarz. W Osieczy nie działo się nic, dosłownie nic. Od trzech godzin widział jedynie garstkę ludzi, którzy tylko szwendali się z kąta w kąt. Ożywił się nieco, kiedy zobaczył dwóch mężczyzn na koniach, wracających z patrolu, ale kiedy wjechali między budynki, stracił ich z oczu. Stajnia musiała znajdować się gdzieś w centrum osady, ale z żadnej strony nie było jej widać.

*To na pewno jest duży budynek – pomyślał. Może udałoby się go znaleźć bez pomocy Zuzy?*

Zazwyczaj drażniło go, kiedy Ernest wykazywał się nadmierną opiekuńczością w stosunku do siostry. Najczęściej też stawał po jej stronie, kiedy chciała gdzieś z nimi jechać czy chociażby iść do lasu. Teraz jednak miał wątpliwości. A co, jeśli coś jej się stanie? Nie dość, że sam by sobie tego nie wybaczył, to jeszcze Ernest chyba już nigdy by się do niego nie odezwał.

*Ona nie jest dzieckiem i doskonale potrafi o siebie zadbać* – przekonywał sam siebie i właśnie wtedy uświadomił sobie, że za każdym razem, gdy znaleźli się w jakiejś opresji, to właśnie Zuza wychodziła z niej najczęściej bez żadnego uszczerbku na zdrowiu. Została porwana przez żołnierzy i uciekła z ich jednostki bez szwanku, stawiała czoła demonom, ba, ostatnio nawet jednym palcem powstrzymała atak psa południcy. Jeżeli ktoś miał przetrwać włamanie do Osieczy bez draśnięcia, to na pewno będzie to Zuza. Zwłaszcza pod opieką Izy. Poza tym cieszył się, że córka sołtysa nie będzie musiała wracać do więzienia, z którego uciekła.

Około dwudziestej nastąpiła zmiana warty. Żołnierze wymienili się w drzwiach fabryki, przekazując sobie broń. Później nie działo się nic.

Hubert zerknął w górę. Już jakiś czas wcześniej ciężkie chmury pojawiły się na horyzoncie, teraz zaś zasnuły całe niebo. Może nawet zacznie padać. Jego serce zabiło szybciej. Nadchodziła noc idealna do ataku. Po raz ostatni powiódł wzrokiem po osadzie, następnie zszedł z drzewa i ostrożnie się wycofał.

Droga na bagna zajęła mu znacznie krócej, niżby sobie tego życzył. Chciał jeszcze wszystko obmyślić, ułożyć sobie w głowie, ale zanim się obejrzał, znalazł się już w obozowisku. A może właśnie nie powinien zaprzętać sobie głowy skrupulatnym planem? Zawsze działał impulsywnie,

pochopnie i zazwyczaj jakoś mu się udawało wyjść obronną ręką z większości opresji.

*A jak misja ratunkowa nie wypali, bo za długo i zbyt skrupulatnie ją planowałem?* – przestraszył się i natychmiast potrząsnął głową, odpędzając takie myśli.

– Zrobimy to dziś – oświadczył.

– To będzie ciemna noc – przyznała Iza.

– Wkroczymy tam nad ranem, kiedy wszyscy będą spać, a wartownikowi głowa będzie się chwiała ze zmęczenia. Zjedzcie coś, zróbcie przegląd swojej broni i spróbujcie choć chwilę się przespać.

– Ja stanę na warcie – zaoferował Artur. – Przed chwilą się zdrzemnąłem, więc i tak teraz bym nie usnął.

Hubert z wdzięcznością skinął głową.

– Zuza, jak sytuacja z demonami?

Dziewczyna zadarła głowę, wypuszczając nici swojego radaru na całą okolicę.

– Na razie czysto – odparła.

– A Klakier? Pojawi się?

Jakby na zawołanie, z zarośli wymaszerował owinnik.

– Liczę na ciebie. – Sierpień pogroził mu palcem.

Demon mrugnął dwa razy czerwonymi ślepiami.



W ciemnościach rozległy się ciche kroki, zaszeleściły ocierające się o czyjeś ubranie gałęzie.

– Będą tu bezpieczne? – odezwała się cicho Iza.

Hubert zdołał dostrzec jedynie jej niewyraźną sylwetkę.

– Mam taką nadzieję. – Poklepał Mokkę po szyi.

Klacz skubnęła go za kołnierz bluzy; poczuł na karku jej ciepły oddech. Jeśli dobrze słyszał, Iza zaczęła jeszcze raz sprawdzać, czy wierzchowce na pewno nie zerwą się z uwięzi.

– Na razie nie ma w pobliżu żadnych demonów – powiedział Hubert. – Liczę, że nie pojawią się tu w ciągu najbliższych kilku godzin.

– A zwierzęta? Jeżeli coś zaatakuje albo spłoszy konie...

– Siedzimy na tych bagnach od trzech dni. – Pokręcił głową, choć dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że nie mogła tego zauważyć. – Wszędzie wokół czuć nasz zapach. Żadne normalne zwierzę nie powinno się zbliżyć do naszego obozowiska.

Iza westchnęła ciężko.

Od chwili kiedy oświadczył, że tej nocy ruszą na misję, dziewczyna stała się nerwowa. Dałby głowę, że wieczorem nawet nie zmrużyła oka. Bała się wracać do Osieczy. Próbowwała to ukryć i całkiem nieźle jej to szło, ale Hubert znał ją wystarczająco długo, żeby rozpoznać, kiedy coś ją gryzie. Teraz tym bardziej cieszył się, że namówił ją na udział w akcji uwalniania koni, a nie na zakradanie się do fabryki.

Przeszedł pod szyją Mokki i wyciągnął przed siebie rękę. Gdy tylko namierzył ramię Izy, przyciągnął ją do siebie.

– Damy radę – szepnął. – Wiem, że sobie poradzisz. Zresztą nie idziesz tam sama. Artur i Zuza będą przy tobie...

– Martwię się o ciebie, głupku. Nie o siebie – odparła.

– O mnie? – zdziwił się. – Złego diabli nie biorą – zacytował Alberta.

– Jesteś zbyt pewny siebie. – Stuknęła go palcem w pierś. – A w tych piwnicach... – zaczęła, ale w końcu westchnęła z rezygnacją. – To nie jest łatwe zadanie. Jeżeli ciebie również złapią, nie będzie już nikogo, kto mógłby przybyć z odsieczą.

– Wiem. Będę ostrożny. Poza tym za kilka godzin znów się tu spotkamy i wrócimy do domu. Nawet jak będą nas ścigać, wkrótce znajdziemy się na naszych terenach, a tam to oni powinni bać się o siebie. Zresztą po drodze też mamy kilku przyjaciół. – Przed oczami stanął mu widok lasu ustrojonego kośćmi i niepokojącymi talizmanami, w którym mieszkali Igor i dzieciaki. A nieco dalej była jeszcze Mrocza, gdzie również mogli liczyć na pomoc.

– Za kilka godzin będzie po wszystkim – przyznała. Chyba udało mu się ją pocieszyć.

Po raz ostatni tej nocy przycisnął ją do siebie, chcąc się nią nacieszyć. Jej ciepłem, jej zapachem.

– Nawet nie wiesz, jak mi ciebie brakowało – odezwał się. – Kocham cię.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, co powiedział, dopóki Iza nie zeszywniała w jego ramionach. Znali się już od dawna, ryzykowali dla siebie życie, ale po raz pierwszy wyznał jej miłość.

– Dlaczego to powiedziałeś? – sapnęła, odpychając go od siebie. – Dlaczego akurat teraz?

Z tą dziewczyną chyba nigdy nie będzie mu łatwo.

– Bo tak jest – odparł ze wzruszeniem ramion. Nawet nie oczekiwał, że odwdzięczy się tymi samymi słowami, ale miło by było, gdyby się na niego nie wkurzyła.

– Ale to brzmi jak pożegnanie! Tak, jakby któreś z nas miało zginąć!

– Iza, nikt dzisiaj nie zginie – powiedział twardo, lecz miał wrażenie, że zabrzmiało to jak kłamstwo.

– Nie mówi się takich rzeczy przed akcją – burknęła, kontynuując na swoją modłę. – Trzeba było chociaż poczekać do rana.

– Dobra, cofam to.

Na usta cisnęło mu się jeszcze wiele innych słów. Ale nie wypowiedział żadnego z nich. Nie chciał ich żałować, gdyby cokolwiek poszło nie po ich myśli. Zbyt dobrze pamiętał, jakie były jego ostatnie słowa skierowane do mamy. „Jesteś okropna...”

– Teraz to już za późno – stwierdziła Iza. – Poza tym, ja też... ciebie kocham – wyrzuciła z siebie.

Zrobiło mu się ciepło na sercu. Na usta wypłynął mu uśmiech.

– I kto teraz zapesza? – zażartował.

– Chodźmy już, bo zaraz któreś z nas się rozklei i będzie dupa z akcji – powiedziała.

Złapała go za rękę i pociągnęła w stronę miejsca, gdzie szykowali się pozostali.



– Wiecie, co macie robić – szepnął Hubert.

Jego towarzysze wydali potwierdzający pomruk. Ledwie dostrzegał ich sylwetki przycupnięte w wysokiej trawie. Ta noc była naprawdę ciemna. Oby tylko nikt nie połamał nóg.

Przecisnął się przez niewielką dziurę w ogrodzeniu. Na szczęście stara siatka, z której było zrobione, łatwo dała się ciąć zwykłymi kombinerkami. Tuż za nim, stękając cicho, podążył Gniewko.

Iza, Zuza i Artur mieli jeszcze poczekać w tym miejscu kilka chwil i powiększyć dziurę na tyle, żeby konie dały radę przez nią przejść.

Sierpień przemknął kilka kroków, po czym przykucnął w trawie. Dobrze, że nikt jej tu nie kosił. Za sobą usłyszał

szelest. Cóż, wiedział, że od Gniewka nie ma co oczekiwać absolutnej ciszy. Na szczęście w nocy nikt się nie kręcił z tej strony osady. Rzucił spojrzeniem za siebie, ale w ciemnościach nie mógł już dostrzec ani płotu, ani pozostałych przyjaciół. Zresztą wszyscy mieli na sobie ciemne ubrania, a twarze i dłonie wysmarowali błotem.

Kolejnych kilka kroków i krótki przystanek. Nadstawił uszu. W odległej oborze zamuczała krowa, poza tym cała Osiecz była pogrążona w ciszy. Serce Huberta biło odrobinę szybciej, oddech stał się płytszy. Spojrzał w stronę masywnego budynku fabryki. Niestety okna były zupełnie czarne, nie miał szans dostrzec strażnika w żadnym z nich.

Po czasie, który wydał mu się wiecznością, wreszcie dotarli do ściany z czerwonej cegły. Oparli się o nią plecami i zlustrowali wzrokiem otoczenie. Nic nie wzbudziło ich podejrzeń.

Nagle ciszę rozdarło głośne skrzypnięcie. Hubert nawet nie drgnął, wstrzymując oddech. Wiedział, że jeżeli się poruszy, mógłby zostać dostrzeżony. Szkoda tylko, że Gniewko, starając się zrobić mniejszym, niż w rzeczywistości był, przypadł do ziemi.

Sierpień syknął cicho, dając mu znak, żeby się nie ruszał, po czym zadarł głowę i obrzucił spojrzeniem budynek.

W końcu udało mu się namierzyć nieco ciemniejszą na tle nieba postać strażnika, który pojawił się na metalowej kładce na wysokości drugiego piętra. Wychodził na nią mniej więcej co pół godziny i obserwował teren wokół fabryki. Hubert miał nadzieję, że trójka przyjaciół zdażyła już zniknąć z jego pola widzenia między barakami.

Zdawało się, że mężczyzna tkwi tam w nieskończoność, wreszcie jednak znów rozległo się skrzypnięcie i wrócił do

budynku. Dobrze, że noc nie należała do najcieplejszych i wolał siedzieć w środku.

Hubert dał sygnał Gniewkowi, po czym ruszyli wzdłuż ściany. Niestety skradanie się w ciemnościach po zupełnie obcym terenie nie było wcale takie proste. W pewnym momencie Sierpień trafił stopą na niewielką hałdę gruzu, której nie było widać z ich punktu obserwacyjnego zza płotu. Kilka kamieni wysunęło się spod jego buta i stoczyło ku ziemi z cichym stukotem.

Zacisnął zęby i znieruchomiał. Miał wrażenie, że pół osady usłyszało ten hałas. Odruchowo zacisnął obie dłonie na karabinie, wyprostowany palec wskazujący znalazł się tuż przy spuście. Nic jednak się nie stało. Hubert spojrzał w stronę kładki na drugim piętrze. Strażnik się tam nie pojawił.

Sierpień odetchnął i ominął hałdę. Gniewko poszedł w jego ślady. Wkrótce dotarli do załomu. Hubert ostrożnie wychylił się zza rogu i natychmiast się cofnął.

*Szlag, szlag, szlag...*

Pod drzwiami stał drugi strażnik.

*Co on tu robi?! Przecież nie powinien opuszczać posterunku!*

Najwyraźniej trzy noce obserwacji nie wystarczyły, żeby w pełni poznać zwyczaje mieszkańców osady.

Serce Huberta zaczęło bić jak oszalałe. Jeżeli mężczyzna stąd nie odejdzie, to oni nie mieli szans dostać się do środka. Chyba że go znokautują. Ale ile czasu będzie wtedy potrzebował drugi strażnik, żeby zaniepokoić się nieobecnością kolegi?

Sierpień poczuł stuknięcie w ramię. Odwrócił się i napotkał pytający wzrok Gniewka.

*Strażnik* – poruszył ustami. Rosa jednak pokręcił głową, nie rozumiejąc.

Hubert gestem poprosił, żeby towarzysz dał mu jeszcze chwilę, po czym ponownie wychylił się zza rogu.

Strażnik zamknął drzwi i ruszył przez dziedziniec.

*Gdzie on, do cholery, lezie?! – zastanawiał się Hubert. Jak długo go nie będzie? Czy zdążą w międzyczasie wkraść się do środka? Może lepiej poczekać? A jeśli ten nie wróci do świtu?*

Iza, Zuza i Artur wyprowadzą konie ze stajni, ale Hubert i Gniewko nie wydostaną przyjaciół z piwnic. Miejscowi zorientują się, że ktoś na nich napadł, i będą od tej nocy lepiej pilnować więźniów. A co gorsza, może postanowią ich zabić...

Sierpień nie spuszczał wzroku ze strażnika, co było dość utrudnione w tych ciemnościach, i wkrótce mężczyzna zniknął mu z pola widzenia.

– Strażnik gdzieś polazł – szepnął wprost do ucha Gniewka, gdy tylko się odwrócił.

Zarzykował kolejne wyjrzenie na dziedziniec. Wartownik właśnie wracał, zapinając rozporek. Hubert odetchnął z ulgą. A więc to była tylko krótka przerwa na toaletę.

Zgrzytnęły stare zawiasy i wartownik wszedł do budynku.

Sierpień odczekał kilka minut, po czym dał sygnał Gniewkowi, żeby podążał za nim. Powoli zbliżyli się do drzwi; na szczęście nie były zamknięte na klucz. Hubert nacisnął klamkę i bardzo powoli zaczął je pchać, tak żeby nie wydały żadnego dźwięku. Otworzył je tylko na taką szerokość, żeby zdołali przecisnąć się przez nie bokiem.

W środku panowały niemal zupełne ciemności. Hubert od razu przesunął się pod ścianę i zaczął nasłuchiwać. Słyszał ciężki oddech Gniewka i cichy zgrzyt zawiasów, gdy ten zamykał za sobą drzwi. Zdawało mu się, że dotarła do niego przytłumiona rozmowa dwa piętra wyżej, ale równie dobrze mógł to być wytwór jego wyobraźni.

Po omacku ruszyli wzdłuż ściany. Iza była w fabryce jako gość Osieczy tylko dwa razy, ale na szczęście potrafiła dość szczegółowo opisać jej wnętrze.

Jeszcze kilka kroków i powinni dotrzeć do dużego drewnianego stołu. Hubert wyciągnął przed siebie rękę i wyczuł pod palcami blat. Okrążył go i znów oparł dłoń o zimne cegły. Twarzą zaś trafił w jakieś kable zwisające z sufitu. O nich niestety Iza nic nie wspominała. Kolejną przeszkodą miał być niski murek. Musiał pamiętać, żeby dotykać go bardzo delikatnie, gdyż z tego, co pamiętała dziewczyna, wyglądał, jakby lada moment miał runąć. Dalej znajdowało się niewielkie pomieszczenie dobudowane do ściany, które niegdyś chyba pełniło funkcję dyżurki czy czegoś w tym stylu.

Hubert w myślach odhaczał kolejne przeszkody – wielką maszynę, która była zbyt ciężka, żeby ktokolwiek pokusił się o wyrzucenie jej, grube rury wystające ze ściany, poustawiane w rzędzie krzesła, stertę desek.

Co chwilę przystawał i nasłuchiwał, lecz ciszę fabryki mącił jedynie lekko świszczący oddech Gniewka.

*Jeszcze tylko kawałek, zaledwie kilka metrów – uspokajał się w myślach.*

Nagle po fabryce poniosło się echo kroków. Dwóch włamywaczy zamarło. Rozległ się zgrzyt metalowych stopni, ktoś stuknął dłonią w starą poręcz, która zawibrowała.

– Cofaj się – syknął Hubert.

Kilka metrów za nimi znajdował się zniszczony wózek, którym przewożono ciężary na terenie fabryki. Wkrótce natrafili na wgłębienia w betonie – stare szyny; a więc byli już blisko. Sądząc po dźwiękach, jeszcze chwila, a strażnik wejdzie do głównej hali.

Gniewko dopadł do wózka i się za nim skrył. Sierpień był tuż za nim. Wtem zahaczył o coś ramieniem. Kawałek rurki spadł na podłogę i potoczył się po niej z ogłuszającym zgrzytem. Chłopak chciał ją łapać, ale było już za późno, zresztą w tych ciemnościach narobiłby pewnie jeszcze więcej hałasu. W tej samej chwili do hali wkroczył strażnik. Hubert błyskawicznie przykucnął za wózkiem, przywarł plecami do nierównej ściany i sięgnął po nóż. Byli jeszcze zbyt daleko piwnic, żeby używać broni palnej. Wystarczyłby jeden wystrzał, żeby obudzić całą osadę, a wtedy na pewno już nikogo nie uratują.

Przez dziury w zardzewiałej ścianie wózka obserwował płomyk lampki naftowej niesionej przez wartownika.

– Toudi? – odezwał się głośno. – Toudi, to ty?

Mężczyzna zatrzymał się i zaczął się rozglądać po hali, na szczęście światło nie docierało do zakamarka, w którym ukryli się dwaj włamywacze.

– Jeżeli znowu wzięło cię na durne żarty... – Strażnik ruszył prosto w stronę przewróconego wózka. – Masz grację betoniarki, wiem, że to ty.

Jego głos odbijał się echem od wysokich ścian.

*Zaraz tu zajrzy* – przestraszył się Hubert. Zaszło mu w ustach, a dłonie zaczęły się pocić. Mocniej zacisnął palce na rękojeści noża. Będzie musiał zabić strażnika tak, żeby ten nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Czuł w nogach mrowienie od tkwienia w niewygodnej pozycji. Będzie w stanie zareagować wystarczająco szybko, gdy tylko przeciwnik się do niego zbliży? Oby tylko Gniewko nie spanikował i nie zaczął strzelać.

Dziesiątki myśli przelatowały mu przez głowę i żadna nie była zbyt optymistyczna, a przeciwnik znajdował się coraz bliżej. Jeszcze tylko kilka kroków. Hubert widział przez dziury, że ten utkwiał spojrzenie w wózku, zaraz padnie na nich

światło lampy i będzie po wszystkim. Spiał wszystkie mięśnie, szykując się do ataku. Wziął głęboki wdech.

Nagle kilka metrów w bok rozległ się zgrzyt metalu, a po nim tupot małych łapek.

Wartownik od razu zwrócił się w tamtą stronę.

– Pieprzone szczury – warknął. – Są większe od kotów!

Mężczyzna stracił zainteresowanie wózkiem i ruszył na niezbyt skrupulatny obchód hali. Zajrzał w kilka kątów, zrobił sobie dwie całkiem długie przerwy, po czym wrócił na piętro. Dopiero gdy znikło światło lampy, a na schodach rozległy się kroki, Hubert odetchnął.

– Idziemy dalej – szepnął.

Wkrótce dotarli do szerokiego korytarza. Na szczęście został oczyszczony z wszelkich śmieci i szło się nim całkiem szybko, choć nadal po omacku. Dodatkowym ułatwieniem okazały się stare szyny w podłodze, które wyznaczały im kurs.

Gdy znaleźli się w kolejnej hali, Hubert musiał przystanąć na chwilę i przypomnieć sobie wszystko, co mówiła Iza: „Po prawej stronie będą wielkie betonowe kadzie. Dwie... albo nie, chyba trzy. Uważajcie przy nich, bo beton w podłodze będzie tam dość wyszczerbiony. W ciemnościach można łatwo się potknąć. Kawałek dalej powinno być wejście na coś w rodzaju klatki schodowej. Musicie oczywiście zejść niżej. Będą tam schody zabiegowe, tylko uwaga, bo w jednym miejscu brakuje barierki, żebyście czasem nie zlecieli...”

Hubert wyczuł pod palcami stosunkowo gładką, zaokrągloną powierzchnię kadzi. Pierwsza, tuż za nią znajdowały się druga i trzecia. Rzeczywiście beton w tym miejscu był tak odłupany, że trzeba było uważać, gdzie się stąpa. Później dotarli do wejścia na klatkę schodową. Zardzewiała, chropowata poręcz w jednym miejscu się urywała, na to jednak obaj byli przygotowani. Szkoda tylko, że Iza zapomniała o brakującym

stopniu w schodach. Chwila dekoncentracji i Hubert stoczyłby się na sam dół do wtóru okropnego rumoru. Na szczęście w porę uwiesił się skrzypiącej poręczy i złapał równowagę.

Gniewko, ucząc się na jego błędach, sprawnie i cicho przeszedł nad brakującym stopniem.

W końcu dotarli do niewielkich drzwi wiodących do piwnicy. Nie były zaryglowane, przecież nikt nie spodziewał się, że więźniowie zdołają opuścić swoje cele.

Hubert bardzo powoli je otworzył i ostrożnie badając stopą grunt przed sobą, przekroczył próg. Znajdowali się już tak blisko celu, w jego sercu pojawiła się nadzieja, choć wciąż usiłował ją stłumić. Musiał zachować absolutną czujność. Poza tym gdzieś przed nimi stało na warcie dwóch kolejnych strażników. A ich już nie zdołają ominąć – będzie trzeba ich ogłuszyć albo zabić.

Naraz usłyszeli kroki – ktoś szedł korytarzem w ich stronę. Tutaj niestety nie było żadnego miejsca, w którym mogliby się schować. Hubert pospiesznie pchnął Gniewka w stronę niewielkiej wnęki; niestety była ona zbyt ciasna, żeby pomieścić ich dwóch.

*Co robić? Co robić?!* – myślał w panice Sierpień.

Widział już poświatę lampki zbliżającej się do załomu. A on stał na samym środku korytarza, nie mogąc podjąć żadnej sensownej decyzji. W końcu postanowił po prostu być sobą i iść na żywioł.

Gdy tylko strażnik wyszedł z za rogu, Sierpień ruszył zwawym krokiem w jego stronę. Wartownik zatrzymał się na jego widok i uniósł nieco lampkę naftową.

– Toudi, to ty? Nawet nie wiesz, co za sajgon dzieje się na górze! – odezwał się pewnym tonem Hubert. – Złapali jakiegoś szpiega od Orłowskiego. Mam nadzieję, że pilnujecie więźniów?

– Co...? – Strażnik zmarszczył brwi.

Na pewno znał wszystkich mieszkańców w osadzie. Na razie jednak nie dostrzegł twarzy Huberta i choć nie rozpoznawał jego głosu, Sierpień najwyraźniej trafił z jego przezwiskiem. A kiedy zbliżyli się do siebie na tyle, że wartownik mógł mu się przyjrzeć, łowca uderzył go pięścią prosto w twarz. Drugą ręką zaś pochwycił lampkę, żeby ta się nie stłukła.

Niestety Toudi był mężczyzną pokaźnych rozmiarów i jeden taki cios nie był w stanie powalić go na ziemię. Zamachnął się na Huberta. Sierpień uchylił się przed pięścią lecącą wprost na jego szczękę, ale nie zdołał zablokować tej, która wbiła się w jego żołądek. Sapnął z bólu i mimowolnie się pochylił. Wiedział, że wystarczy jeszcze jeden dobrze zadany cios, a runie jak długi na ziemię. Jego dłoń wystrzeliła w kierunku noża za paskiem.

Nagle coś odtrąciło go na bok. Uderzył barkiem o ścianę i... nie doczekał się dalszego ataku. Do jego uszu dotarło głośne charczenie. Uniósł lampkę i zobaczył Gniewka podduszającego strażnika. Ten usiłował poluzować śmiertelny chwyt, drapał paznokciami szerokie przedramię zaciśnięte na jego szyi. Bez skutku. Szamotanina trwała jeszcze chwilę, aż ręce wartownika bezwładnie opadły, a całe jego ciało zwiotczało.

– Zaciągnij go do wnętrza – szepnął Hubert.

Rosa bez słowa wykonał jego polecenie. Sierpień nie miał pojęcia, czy strażnik przeżył, ale nawet jeśli tak było, to nie wstanie zbyt szybko.

– Co teraz? – zapytał cicho Gniewko, z kiepskim skutkiem upychając wartownika we wnęce.

Został jeszcze jeden strażnik. Z tego, co mówiła Iza, powinien siedzieć przy stole niedaleko drzwi do poszczególnych pomieszczeń piwnicznych, w których byli

pozamykani więźniowie. Niestety przed nim rozciągał się długi i prosty korytarz. Od razu zobaczy, że ktoś się do niego zbliża.

– Improvizujemy – zdecydował Hubert, patrząc w zamyśleniu na ciało strażnika. – W tym jestem najlepszy.

Zauważył, że klatka piersiowa powalonego przeciwnika lekko się uniosła. A więc przeżył.

– Czy mi się wydaje, czy Toudi jest niewiele mniejszy od ciebie? – zastanowił się Hubert.

Gniewko zrobił minę typu: ja tam nic nie wiem.

– Będiesz go udawał.

– Ale drugi strażnik od razu się połapie!

– Wystarczy nam tylko kilka sekund, żeby go zmylić. – Sierpień przypadł do wartownika i ściągnął z niego bluzę z kapturem. Następnie sięgnął do kieszeni po kawałek sznurka i skrupował nieprzytomnego.

Gniewko stał w miejscu z opuszczonymi rękami i ze smętną miną patrzył na jego poczynania.

– Dasz radę? – Hubert podał mu ubranie.

– Jestem kiepski w kłamaniu – przyznał cicho.

– Nie musisz nic mówić, po prostu idź w jego stronę. Ja będę tuż za tobą. Weź lampę i trzymaj ją nisko, żeby twoja twarz pozostała w cieniu.

Rosa włożył bluzę. Rękawy okazały się za krótkie i nie miał szans, żeby ją zapiąć, ale przecież chodziło o to, żeby tylko z daleka wyglądał jak Toudi.

– Przed chwilą uratowałeś mi tyłek – przyznał Hubert, zanim ruszyli. – Dzięki.

– Po to mnie tu zabrałeś. – Gniewko się uśmiechnął.

– Załóż jeszcze kaptur i do dzieła. – Podał mu lampkę, a sam wziął pistolet strażnika i wsunął go sobie za pasek.

Rosa niepewnie ruszył przed siebie. Hubert odczekał chwilę, aż towarzysz oddali się na tyle, aby on sam pozostał w cieniu.

To, co zamierzali zrobić, było ryzykowne. Nawet bardzo. W myślach powtarzał sobie, że na ich korzyść działa fakt, że strażnik nie spodziewa się żadnego ataku. W końcu o więźniach wiedziała tylko Iza, którą prawdopodobnie uznali za martwą. Zresztą o tej godzinie, tuż nad ranem, wartownicy najczęściej byli już na tyle zmęczeni, że ich reakcje były znacznie wolniejsze.

Zza kolejnego wyłomu wylewała się słaba poświata. A więc zaraz wszystko się rozstrzygnie.

Gniewko dotarł do zakrętu i obejrzał się za siebie, jakby szukając wsparcia Huberta. Ten uśmiechnął się i skinął mu głową, choć nie był pewien, czy towarzysz mógł to zobaczyć.

Rosa wziął głęboki wdech, poprawił kaptur i zniknął za załomem.

– Co tak szybko? – dało się słyszeć obcy głos. – Mam nadzieję, że przyniosłeś ten ser. Zaraz padnę z głodu.

Hubert ostrożnie wychylił się zza rogu. Ujrzał szerokie plecy przyjaciela i strażnika, który układał na blacie karty. Nie podniósł znad nich wzroku, dzięki czemu nie zorientował się, kto się do niego zbliża.

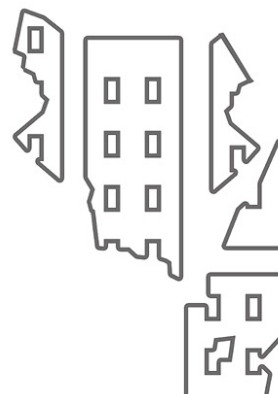
– Twoja kolej zobaczyć, czy tamci żyją – mamrotał dalej wartownik. – Rudy coś kiepsko wygląda. A jak zdechnie, to nam się dostanie, choć to nie my tak go obiliśmy.

Hubert poczuł narastający gniew.

Rosa szedł dalej przed siebie. Od przeciwnika dzieliły go już zaledwie cztery metry.

– Toudi? Co ty nic nie gadasz? – Strażnik spojrzał wprost na Gniewka.





## Rozdział XIX

Na twarzy strażnika odmalowała się cała gama uczuć. Od zniecierpliwienia, przez niezrozumienie, aż po strach i wściekłość.

Od razu rzucił się w stronę karabinu, który stał na ziemi oparty o ścianę. Gniewko niczym szarżujący byk ruszył wprost na niego, był jednak zbyt daleko, żeby dosięgnąć go swoimi zabójczymi pięściami.

– Nie ruszać się! – zawołał podniesionym głosem Hubert. – Gniewko, na bok!

Uniósł broń i wycelował w strażnika, który zamarł w połowie ruchu.

– Nie bądź głupi – ostrzegł Sierpień, widząc, że mężczyzna wciąż zerka to na niego, to na swój karabin. – Pozostali wartownicy zostali obezwładnieni. Nasi ludzie przejęli już całą osadę. Tylko Toudi się rzucał, więc dostał nożem w bebechy. Nie bądź jak Toudi. – Pokręcił głową.

Jego słowa podziały jak kubeł zimnej wody. Przeciwnik wybałuszył oczy. Niemal można było dostrzec w jego minie, że

zastanawia się nad tym, czy to możliwe, aby ktokolwiek opanował Osieczną. Ostatecznie doszedł chyba do wniosku, że skoro siedział zamknięty w piwnicy, mógł przegapić całe to zamieszanie.

– Wstań i ręce na ścianę – polecił Hubert, nie spuszczając go z celownika.

Strażnik wykonał polecenie, a Rosa w międzyczasie wzięła jego karabin i zawiesiła na pasku na swoim ramieniu.

– Zobacz, czy nie ma jeszcze jakiejś broni, i go zwiąż – rzucił Sierpień, jednocześnie rozglądając się za kluczami do cel.

Dostrzegł je leżące na ławie.

Gniewko zabrał właśnie strażnikowi nóż, gdy ten gwałtownie się odwrócił i uderzył czołem prosto w jego nos. Chrupnęła łamana chrząstka, olbrzym zatoczył się do tyłu, a wartownik ruszył wprost na Huberta.

– Stój! – krzyknął Sierpień.

Przeciwnik jednak się nie zatrzymał. Najwyraźniej postawił wszystko na jedną kartę – mając nadzieję, że historia o przejęciu osady jest kłamstwem, wyszedł z założenia, że jego wrogowie nie będą chcieli narobić hałasu i strzelać do niego w ciasnym korytarzu.

Hubert błyskawicznie odwrócił karabin i uderzył go kolbą w podbródek, aż huknęło. Strażnik wyprostował się, a później runął na plecy.

– Idiota – skwitował Sierpień. – Żyjesz? – zwrócił się do towarzysza.

Gniewko, cały zalany krwią, pokiwał głową.

– Zwiąż go – poprosił Hubert. – Ja pójdę po pozostałych.

Wziął ze stołu drugą lampkę i skierował się w głąb korytarza. Wkrótce natrafił na drewniane drzwi zamykane na sztabę i kłódkę. Chwilę trwało, zanim odnalazł właściwy klucz, ale wkrótce piwnica stanęła otworem.

– Jest tu kto? – zapytał, świecąc do środka.

Niestety pomieszczenie było puste. Hubert przestraszył się nie na żarty. A jeśli po ucieczce Izy przeniesiono gdzieś jeńców? Zemdliło go z niepokoju. Szukanie ich w ciemno po całej osadzie na pewno się nie uda, podobnie jak ponowne włamanie na teren wsi.

Z bijącym sercem otworzył kolejne drzwi. W twarz buchnęło mu zapachem stęchlizny, potu i krwi. Oświetlił pomieszczenie. Ktoś leżał zwinięty w samym rogu, przykryty cuchnącym kocem.

– Żyjesz? – zapytał Hubert.

Postać powoli podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Mateusz, to ty? – upewnił się Sierpień.

Ten nie zareagował, tylko się w niego wpatrywał. Łowca podszedł do niego i pomógł mu wstać.

– To ja, Hubert.

– Niemożliwe. – Kolega dźgnął go palcem w pierś, jakby chciał sprawdzić, czy nie ma omamów.

– Chodź, uciekamy stąd. – Wyprowadził go na korytarz. – Idź tam, Gniewko się tobą zajmie, ja wyciągnę pozostałych.

Mateusz postąpił kilka kroków w stronę stołu wartownika, po czym się odwrócił.

– Hubert Sierpień – rzucił, kręcąc głową. – Nie wierzę.

W kolejnej celi był zamknięty Henryk. Nawet przy wątłym świetle lampki naftowej Hubert mógł zauważyć, że jego przyjaciel znacząco postarzał się w ciągu ostatnich dni – zyskał nowe zmarszczki i więcej siwych pasm we włosach.

Gdy tylko łowca otworzył drzwi na oścież, były wojskowy poderwał się z podłogi i wlepił w niego niedowierzające spojrzenie. Po kilku sekundach na jego twarz wypłynął uśmiech.

– Dobrze cię widzieć – powiedział.

Hubert podał mu dłoń, dziwiąc się, jak słaby jest jego uścisk, po czym pokierował go do stolika wartowników.

Kolejna cela była pusta, ale w następnej znalazł Pawła z Kamiennej. Przyjaciel wyglądał okropnie. Miał sińce pod oczami, a krzywy i zapuchnięty nos sugerował, że nie raz został złamany. Na widok Huberta jednak poweselał i gdy tylko minęła początkowa faza niedowierzania, z radością go uściskał.

Zostały już tylko jedne zamknięte drzwi, a Sierpnia ogarnęły obawy, że cela za nimi będzie pusta. Słyszając za plecami szepty przyjaciół, którzy zebrali się przy stole, wziął głęboki wdech i wsunął ostatni klucz do dziurki. Z bijącym sercem przekroczył próg i oświetlił pomieszczenie. Po chwili pełnej grozy dostrzegł potężną sylwetkę siedzącą pod ścianą.

– Ernie – sapnął.

Przyjaciel nawet nie drgnął.

Hubert przypadł do niego i położył dłoń na jego ramieniu.

– Ernest?

Ten w końcu uniósł głowę. Sierpień miał wrażenie, że jego policzki zapadły się, w oczach zaś dojrzał strach. *Powiniennem ich pozabijać za to, co im zrobili* – pomyślał pod adresem ludzi z Osieczy.

– Wstawaj, wracamy do domu – powiedział, łapiąc przyjaciela za przedramię i ciągnąc w górę.

Z całej grupy Ernest wyglądał najgorzej.

Hubert zaprowadził go do stolika i posadził na ławce.

– Dasz radę przytargać tu Toudiego? – zwrócił się do Gniewka, który skinął głową. – Na wszelki wypadek powinniśmy ich zamknąć. – Zerknął na drugiego wartownika. – Oświecaj mu drogę. – Podał Pawłowi lampkę.

Sam chwycił za rękę nieprzytomnego strażnika i zaczął ciągnąć go w stronę pierwszej celi. Mateusz rzucił mu się do

pomocy. Wkrótce obaj strażnicy zostali ulokowani w oddzielnych piwnicach.

– Mamy mało czasu i musimy zachować absolutną ciszę – odezwał się Hubert, patrząc na przyjaciół. – Na górze jest jeszcze dwóch...

– Gdzie Iza? – przerwał mu Henryk. – Musimy ją wyciągnąć.

– Spokojnie, Iza uciekła kilka dni temu. To ona nas tu sprowadziła.

Starszy przyjaciel wpatrywał się przez chwilę w niego, marszcząc brwi, jakby mu nie dowierzał.

– Naprawdę nic jej nie jest – zapewnił Hubert. – W tej chwili wraz z Zuzą i Arturem kradnie konie.

– Mój brat też tu jest? – zdziwił się Mateusz.

Sierpień skinął głową, podając mu karabin wartownika. Henryk dostał pistolet Toudiego.

– Ja idę pierwszy, Gniewko osłania tyły – powiedział Hubert.

– Trzymajcie się blisko. Na lewo od wyjścia z fabryki jest dziura w płocie, tamtędy się przedostaniemy na zewnątrz. Dalej kierujemy się na zachód, na bagna, gdzie czekają konie. I tam mamy spotkać się z resztą.

Droga przez piwnice zajęła im mało czasu, ponieważ mogli sobie pozwolić na korzystanie ze światła. I dopiero kiedy wyszli na jedną z hal na parterze, zgasili lampki, ponownie pogrążając się w ciemnościach. Zwolnili tempa, Hubert słyszał ciężkie oddechy przemęczonych towarzyszy i szuranie ich stóp. Miał nadzieję, że wartownicy przysypiali na górze i nie będzie im się chciało schodzić tutaj.

Szli właśnie przez halę z kadziami, kiedy na zewnątrz rozległy się strzały. Na sekundę wszyscy zamarli.

– Cholera – rzucił Hubert.

Chwilę później usłyszeli jakiś huk.

– Jazda! – ponaglił przyjaciół.

Ruszyli szybkim krokiem przed siebie. Nie byli w stanie biec w mroku, ale nie musieli już zachowywać absolutnej ciszy.

Gdy znaleźli się w wąskim korytarzu, zabrzączały metalowe schody. Ktoś przeskakiwał po dwa stopnie naraz, chwytając się skrzypiących poręczy.

Wtem jedne z bocznych drzwi otworzyły się z rozmachem i uderzyły w ścianę. Wypadł przez nie strażnik z piętra. Serce Huberta zamarło. Stłoczeni w wąskim korytarzu, stanowili cel łatwiejszy niż na strzelnicy. Wartownik w jednej ręce trzymał karabin, w drugiej lampkę. I to właśnie dzięki temu światłu Sierpień zobaczył go, zanim ten dostrzegł uciekających więźniów. Łowca zyskał zaledwie ułamek sekundy, ale tyle wystarczyło. Sięgnął po nóż i jednym płynnym ruchem cisnął nim w zaskoczonego mężczyznę, który zaczął już unosić broń. Rozległo się głuchoe stuknięcie. Strażnik zatoczył się do tyłu, a później runął na ziemię.

Hubert przypadł do niego i wyrwał ostrze z jego klatki piersiowej. Przeciwnik jeszcze żył, z jego ust dobył się cichy charkot. Sierpień jednak nie zamierzał go dobijać. Może jego ludzie znajdą go na czas i uratują. A jeśli nie, to cóż, na wojnie nie ma niewinnych.

– Biegiem! – pospieszył pozostałych.

Sprawnie pokonali korytarz i wypadli do ostatniej hali. Stąd była już prosta droga do wyjścia. Z zewnątrz dochodziły ich krzyki i nawoływania. Hubert nawet nie chciał myśleć, co się stanie, jeśli żołnierze obstawią drzwi.

*Wszyscy zginiemy* – przemknęło mu przez głowę.

Nagle się potknął, ale na szczęście szybko odzyskał równowagę.

– Uwaga na szyny w podłodze! – rzucił przez ramię.

Wreszcie dopadł do drzwi. Szarpnął za metalową sztabę i je otworzył. Wychylił się ostrożnie, ale nie dostrzegł nikogo

w pobliżu. Ciemność nocy nieco zelżała, niedługo będzie świtać.

– Idziemy!

Ruszyli wzdłuż ściany fabryki, aż dotarli do jej rogu. Hubert wyrzwał za niego i zaniemówił. W osadzie panowała pożoga. Między barakami biła łuna od pożaru. Ludzie biegali wokół w chaosie.

*Podpalili stajnię!*

Z trudem powstrzymał się, żeby nie popędzić w stronę ognia na ratunek Izie i Zuzie. Musiał jednak wyprowadzić stąd pozostałych przyjaciół i modlić się, że tamta trójka, choć nie wszystko poszło zgodnie z planem, zdołała uciec z osady.

Przebiegli kilkadziesiąt metrów wzdłuż drugiej ściany, aż dziura w siatce znalazła się dokładnie naprzeciwko nich. Teraz od wolności dzielił ich prosty kawałek łąki, na którym jednak nie było żadnego schronienia.

Hubert już chciał dać hasło do ucieczki, kiedy spojrzał nieco w bok i w górę. Na tle szarzejącego nieba dostrzegł sylwetkę strażnika z karabinem, który wyszedł na metalową kładkę.

– Biegnijcie, będę was osłaniał – postanowił.

– Hubert, nie... – zaczął Henryk.

Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że wrogowie zaraz odkryją ich ucieczkę, a Sierpień zostanie tu sam, zdany na ich pastwę.

– Gniewko, zaprowadź ich na bagna. – Łowca zignorował protesty przyjaciela. – Poczekajcie tam na mnie godzinę. Jak nie wrócę, uciekajcie. Wracajcie tą samą drogą, którą tu przyszliśmy z Biesowic. Dogonię was.

Rosa się zawahała.

– Już! – Sierpień popchnął go w stronę płotu.

Za olbrzymem podążyli pozostali. Hubert zaś oparł się o ścianę i wycelował w strażnika, który na razie patrzył na

pożar.

*Zdążą uciec, błagam, niech zdążą* – powtarzał w myślach łowca, nie spuszczać wzroku z mężczyzny na kładce.

Co chwilę zerkał też kątem oka na przyjaciół. Byli już w połowie drogi, kiedy wartownik odwrócił głowę i ich dostrzegł. Krzyknął coś, ale jego głos rozmył się w ogólnej wrzawie. Uniósł karabin.

Hubert nacisnął spust. Huknęło, łuska poszybowała w górę, kula zrykoszetowała na metalowej barierze.

Wartownik skulił się odruchowo, zanim jednak cofnął się w głąb budynku, Sierpień oddał kolejny strzał. Mężczyzna stracił równowagę i upadł na metalową kładkę. Hubert obserwował go przez chwilę, nie zdejmując palca ze spustu. Gdy ten jednak się nie poruszył, uznał go za martwego.

Ruszył za przyjaciółmi. Połowa z nich była już przy ogrodzeniu. Nagle Ernest się potknął i runął w wysoką trawę. Sierpień przyspieszył, chcąc jak najszybciej dopaść do przyjaciela. Paweł zerknął za siebie i ruszył Brzeskiemu na pomoc. Dotarł do niego przed Hubertem. Pomógł mu wstać, zarzucił sobie jego ramię na barki i zaczął prowadzić ku dziurze w siatce.

– Uciekajcie! – krzyknął do pozostałych.

Tamci ruszyli w stronę lasu, żeby skryć się pod osłoną drzew.

Od dwójki przyjaciół łowcę dzieliło już tylko kilkanaście metrów. Wrzawa we wsi nadal trwała, pożar musiał przenieść się na kolejne budynki. Nagle pośród krzyków rozległ się strzał. Paweł i Ernest padli na ziemię.

– Nie!!! – wrzasnął Hubert.

Obejrzał się w bok, ale nie mógł dostrzec strzelca, który ponownie nacisnął spust. Sierpień przypadł do ziemi. Ogarnęła go panika. Nie miał szans namierzyć snajpera, który

najwyraźniej doskonale wiedział, gdzie znajdował się wróg. Do tego jeszcze doszedł strach o dwóch przyjaciół. Któryś z nich dostał, tego był pewien.

Nie mógł wstać, żeby nie zostać od razu trafionym, więc zaczął na czworakach zmierzać w stronę ogrodzenia. Drobne kamyki wbijały mu się w kolana i dłonie, suche chwasty drapały go po twarzy, ale w ogóle nie czuł bólu. Za to usłyszał nawoływania.

*Niech ich szlag!*

To snajper prawdopodobnie zaczął wołać towarzyszy. Zaraz wszyscy się tu zlecą i ich powystrzelają. Hubertowi pozostawało jedynie przeć powoli naprzód i mieć nadzieję, że większość jego przyjaciół uciekła już na bagna.

Naraz poczuł mdląco-słodki zapach krwi.

*Błagam, nie, tylko nie to...*Trawa przed nim była zabarwiona na czerwono.

*Nie, nie, nie...*

– Ernest? Paweł? – zawołał cicho.

Rozchylił trawę przed sobą i ujrzał przyjaciół.

Brzeski pochylał się nad Pawłem, który miał roztrzaskaną czaszkę. Rana wlotowa była stosunkowo mała i znajdowała się tuż za skronią. Wylotowa zaś była tak olbrzymia, że nie pozostawiała złudzeń, że chłopak mógł to przeżyć.

– On wrócił po mnie... – szepnął Ernest, unosząc umęczone spojrzenie na Huberta.

– Wiem. Ale musimy uciekać.

– Trzeba zabrać jego ciało...

– Nie, Ernie, musimy stąd zwać, zanim i nas zabiją.

Brzeski potrząsnął głową.

Hubert spróbował ostrożnie wychylić się ponad trawę, lecz gdy tylko rozległ się strzał, ponownie przypadł do ziemi. Bez

skrupułów szarpnął przyjaciela za ramię i pociągnął go w stronę ogrodzenia.

Snajper strzelił jeszcze raz, a kula świsnęła tuż nad ich głowami. Znów huknęło, lecz tym razem Hubert dałby głowę, że z zupełnie innej strony.

– Szybciej! – ponaglił Ernesta.

Już widział między wysokimi źdźbłami ogrodzenie.

– Wstawajcie! – usłyszeli nagle damski głos. – Zastrzeliłam go!

Sierpień uniósł głowę i zobaczył Izę tuż przy dziurze w ogrodzeniu. Wreszcie odetchnął z ulgą. Pozbierał się z ziemi i pomógł Ernestowi wstać. Lekko skuleni, pokonali ostatnie kilka metrów biegiem. Przecisnęli się przez siatkę, po czym od razu popędzili w stronę drzew.

Gdy tylko do nich dotarli, Hubert się odwrócił. Niebo poszarzało na tyle, że mógł już dostrzec wszystko, co działo się za ogrodzeniem. Ludzie usiłowali ugasić pożar, który trawił kolejne baraki, między budynkami biegały spłoszone konie, lecz była też grupka pięciu żołnierzy, którzy pędzili prosto w stronę uciekinierów.

– Wiejemy – rzucił Hubert. – Gdzie pozostali?

– Kazałam im uciekać na bagna – odparła w biegu.

Zagłębili się w las, cały czas słysząc za sobą nawoływania pościgu. Zdawało się, że z każdą chwilą rozbrzmiewały coraz bliżej.

– Nie możemy zaprowadzić ich do obozu – powiedział Hubert.

– Damy radę ich zgubić? – zapytała Iza.

Sierpień zerknął na Ernesta, który wyglądał, jakby zaraz miał paść na ziemię.

– Zasadzka? – zastanowił się, nie przerywając biegu.

Doskonale jednak wiedział, że nie mieli żadnej przewagi – ani liczebnej, ani zaskoczenia. A czas na podjęcie decyzji kurczył się coraz bardziej.

– Nie uciekniemy im – sapnął Ernest, zatrzymując się. – Nie mam już siły, wy biegnijcie...

Pochylił się, opierając ręce o kolana.

– Chyba sobie żartujesz! – zachnęła się Iza.

Złapała go za ramię i pociągnęła za sobą.

– Nie ruszać się! – usłyszeli nagle.

Zza drzewa po prawej stronie wychylił się jeden z żołnierzy. Drugi pojawił się z lewej.

*Jakim cudem zdążyli nas okrążyć?!* – pomyślał Hubert.

Zastanawiał się, czy zdąży strzelić, zanim przeciwnicy ich zabiją, i stwierdził, że nie ma na to szans. Tym bardziej że w polu widzenia pojawili się kolejni wrogowie.

– Dogadajmy się – powiedział, unosząc rękę.

Tamci parsknęli śmiechem.

– Tym razem was zabijemy i wasze głowy odeślemy na północ z pozdrowieniami od Orłowskiego – warknął jeden z nich, celując w jego głowę.

– Poczekajcie! Chyba nie chce wam się nieść naszych ciał taki kawał...

Żołnierzom jednak najwyraźniej wcale to nie przeszkadzało.

Trójkę przyjaciół od śmierci dzieliły sekundy. Hubert spojrzał przeproszająco na Izę. Jej oczy powiększyły się ze strachu, ale nie zamierzała błagać o litość.

Naraz do Huberta dotarł charakterystyczny zapach.

– Demony... – odezwał się. – W pobliżu czatują demony. Już wyczuły krew, a jeśli nas tu zastrzelicie, nie zdążycie wrócić do osady.

Żołnierze zawahali się, jednak już po chwili, sądząc po ich minach, uznali, że przeciwnik usiłuje tylko grać na zwłokę.

Sierpień ponownie spojrzął w lufę karabinu, gdy całkiem niedaleko rozległo się basowe warczenie przypominające grzmot.

– Mówiłem.

Tym razem żołnierze uznali, że wolą nie ryzykować i nie będą wabili demonów rozlewem krwi w samym sercu lasu.

– Połóżcie broń na ziemi! – rozkazał jeden z nich. – Tylko powoli!

Hubert wręcz ślimaczym ruchem zaczął zdejmować z ramienia pasek od karabinu. Warkot się powtórzył.

– Co to? – szepnęła Iza.

– Trzymajcie się blisko mnie – odparł cicho.

– Nie gadać! – zawołał kolejny żołnierz.

Nagle zza drzew wypadła wielka, wściekła bestia. Zaszarżowała na niego jak rozjuszony niedźwiedź. Jedno machnięcie ciężką łapą i mężczyzna padł na ziemię z rozoranymi plecami.

Żołnierze zaczęli strzelać do demona, ale kule na niewiele się zdały.

Hubert złapał przyjaciół za ręce, żeby tylko odciągnąć ich z linii ognia.

A bestia szalała w najlepsze. Zacisnęła paszczę na biodrze kolejnego mężczyzny, miażdżąc mu miednicę. Ten osunął się na ziemię, wrzeszcząc wniebogłosy, ale potwór uderzył go łapą prosto w głowę, przetrącając mu kark. Gdy dopadł trzeciego żołnierza, jego dwaj pozostali przy życiu koledzy rzucili się do ucieczki. Bies spojrzął za nimi i parsknął gniewnie, po czym zwrócił się w kierunku trójki uciekinierów.

Iza spróbowała unieść karabin, ale Hubert położył dłoń na lufie i zasłonił sobą przyjaciół, od razu rozpoznając demona.

– Bajka? – odezwał się, siląc się na spokojny ton. – Bajka, to ja, poznajesz mnie, prawda?

Nie miał pojęcia, co bies tutaj robił, jakim cudem tak bardzo oddalił się od lasu Igora ani dlaczego zaatakował żołnierzy. Miał tylko nadzieję, że pamiętał go jako „swojego”.

– Dziękuję, uratowałaś nas – mówił dalej, mając wrażenie, że jego głos uspokaja bestię. – Teraz się powoli wycofamy, dobrze?

Lekko pchnął przyjaciół do tyłu i małutkimi kroczkami zaczęli oddalać się od demona.

Bajka zamrugła małymi, ciemnymi oczami, po czym odwróciła się i zniknęła między drzewami. Dopiero wtedy cała trójka odetchnęła z ulgą.

– Co to, u diabła, było? – sapnęła Iza.

– Bies z urazem do żołnierzy – odparł Hubert. – Nieważne, długa historia. Wracajmy na bagna.



W drodze do obozowiska nie spotkali już nikogo. A na miejscu czekali na nich wszyscy towarzysze. *Prawie wszyscy* – pomyślał ze smutkiem Hubert.

Żałował, że nie mogli chociaż zabrać ze sobą ciała Pawła. Nie chciał, żeby trafiło ono w ręce ludzi, którzy w najlepszym wypadku zakopią je w jakimś nieoznakowanym dole, a w najgorszym porzucą w lesie na pożarcie zwierzętom i demonom. Był wściekły na siebie, że w porę nie dostrzegł snajpera i że cała akcja nie poszła tak, jak sobie to zaplanował. Miał ochotę po prostu usiąść na ziemi, roztrzasać śmierć przyjaciela i się o nią obwiniać. Niestety nie mógł sobie pozwolić nawet na to, jeżeli nadal chciał ocalić pozostałych.

– Musimy stąd uciekać – zakomenderował. – I to szybko. Dobrze, że mamy konie. – Skinął głową w stronę Zuzy.

– A jeśli nas dogonią? – odezwała się Iza. – Na pewno od razu wyślą za nami pościg.

– Ma rację, nie puszczą nam tego płazem – przyznał Henryk.

– Nie dogonią nas, jeśli nie będą wiedzieli, gdzie pojechaliśmy – odparł Hubert.

– Na północ, na znane nam tereny – powiedział Artur. – Taki przecież był plan.

– Taki był plan i właśnie czegoś takiego będą po nas oczekiwać. Ale jest inne miejsce, znacznie bliżej, gdzie możemy udać się po pomoc i schronienie. Taką przynajmniej mam nadzieję.

– Zwariowałeś! – oceniła Iza. – Po tym wszystkim, co właśnie się stało, co o nich usłyszeliśmy, ty chcesz teraz jechać do Groty?!

– A jeśli Orłowski jest naprawdę takim wariatem, jak twierdzą ludzie z Osieczy? – odezwał się Mateusz.

– Wiecie, w myśl: wróg mojego wroga... – zaczął Hubert.

– Jest moim wrogiem – dokończył za niego ponuro Artur.

– Ale nie będą się spodziewać, że właśnie tam pojechaliśmy. No i dotrzemy tam już za dwa-trzy dni. A do innej najbliższej i przyjaznej nam osady mamy ponad tydzień drogi!

– Wpadniemy z deszczu pod rynnę. – Iza pokręciła głową. – Ale jak uważasz...

– Hubert wyciągnął nas z tego piekła – odezwał się Ernest. – On zatem decyduje.

O dziwo pozostali pokiwali głowami. Bez słowa wyprowadzili konie z bagien, dosiedli ich i puścili się galopem w stronę nieznanego.



Nie oszczędzali wierzchowców, żeby jak najszybciej oddalić się od Osieczy. Na przedzie jechał Henryk, który miał całą mapę podróży w głowie. Hubert zamykał tyły. Wciąż oglądał się za siebie w obawie, że dostrzeże pościg albo usłyszy strzały. Wiedział, że w przeciwieństwie do mieszkańców Biesowic żołnierze będą zmotywowani, żeby ich dopaść.

Po południu Sierpień dogonił Izę.

– Skąd ten pożar? – zapytał.

Znów odruchowo rzucił spojrzeniem za ramię. Dziewczyna również się odwróciła. Była blada i miała podkrążone ze zmęczenia oczy.

– Klakier bezbłędnie zaprowadził nas do stajni – odparła. – Znaleźliśmy tam wszystkie nasze konie, nawet ich siodła i ogłowania. Wszędzie wokół panowała głucha cisza, nikt nie kręcił się w pobliżu, więc uznaliśmy, że jeśli tylko mamy szansę uciekać nie na oklep, to warto ją wykorzystać...

– Ale coś się spieprzyło?

Iza pokiwała głową.

– Do stajni wpadło dwóch żołnierzy – przyznała. – Jednego udało nam się obezwładnić, z drugim poszło nieco gorzej. I kiedy ten zaczął celować do Zuzy, Klakier wkroczył do akcji. Rzucił się na niego. Ten strzelił, na szczęście w sufit. Już nie było sensu zachowywać ciszy, Artur go zastrzelił. A to, co się wydarzyło później... – Kontrolnie zerknęła na drogę za nimi. – W pierwszej chwili myślałam, że mi się wydawało, ale nad Klakierem uniosła się smużka dymu i zaczął strzelać na boki iskrami.

– Iskrami? – powtórzył Hubert.

– Wiem, jak to brzmi. Później biło od niego takim ciepłem jak od ogniska. Zuza krzyczała, że trzeba wypuścić konie, i rzuciła się otwierać kolejne boksy. Wtedy wokół owinnika buchnęło płomieniami. Głupia byłam, w pierwszym odruchu chciałam go ratować, wyciągać z ognia. Wiesz, jak zwykłego kota. W końcu to nasz zwierzak. – Spojrzała na swoje dłonie.

Dopiero teraz zauważył, że jej skóra była miejscami zaczerwieniona.

– Ale Zuza mnie od niego odciągnęła, mówiąc, że nic mu nie będzie. Płomienie szybko ogarnęły cały budynek. W ostatniej chwili uwolniliśmy wszystkie konie i sami uciekliśmy ze stajni, prowadząc nasze wierzchowce. Zanim miejscowi zorientowali się, co się dzieje, my już byliśmy po drugiej stronie ogrodzenia. Kazałam Zuzie i Arturowi zaprowadzić konie do obozu, a sama czekałam na was na skraju lasu. Nic nie poszło tak, jak się umawialiśmy.

Posłała mu przepaszające spojrzenie.

– Nic się nie stało – odparł. – Kiedy usłyszeliśmy strzały, wyszliśmy już z piwnic.

– Jak to: nic się nie stało? – rzuciła gorzko. – A Paweł? Gdybyśmy nie narobili tyle hałasu, wszyscy zdążylibyście po cichu uciec z fabryki i nikt nawet by się nie zorientował!

– Może tak, a może nie. Równie dobrze mogliśmy zostać przyłapani przez jednego ze strażników, który wszcząłby alarm i wszystkich nas by złapali. A przy tym zamieszaniu z płonąca stajnią i barakami oraz przestraszonymi końmi biegającymi wszędzie... – Zapatrzył się na plecy przyjaciół, których wyciągnęli z więzienia. – Pamiętasz, co sama kiedyś mi powiedziałaś? Licz tych, którzy przeżyli.

– To wcale nie pomaga – westchnęła. – Co my powiemy Teresie?

Paweł był jedynym synem przywódczyni z Kamiennej.

Hubert wyciągnął rękę i ujął w nią dłoń Izy.

– Nie wiem; nie mam nawet pojęcia, czy dożyjemy tej chwili, kiedy będziemy mogli z nią porozmawiać.

– Czasem tak sobie myślę, że koniec świata jest wystarczająco ciężki. Dlaczego ludzie muszą wszystko jeszcze pogarszać?

Na to nie miał już odpowiedzi, więc przez jakiś czas jechali w milczeniu.

– A co z Klakierem? – odezwał się. – Mam nadzieję, że się stamtąd wydostał.

– Widziałam go, kiedy na was czekałam. Po prostu podszedł do dziury w ogrodzeniu i jak gdyby nigdy nic przez nią przeszedł. Spojrzał tylko na mnie i słowo daję, jego oczy nigdy nie były tak krwisto czerwone. A później czmychnął gdzieś do lasu. Zuza nie wygląda na zmartwioną, więc podejrzewam, że kręci się gdzieś w pobliżu. Wiedzieliście, że on potrafi coś takiego?

Hubert wzruszył ramionami.

– Według demonologii owinniki mogły spalić stodołę, jeśli się je zdenerwowało. No i niedawno poznaliśmy taką... rodzinę, która też miała swojego. Nazywała się Żarka, bo wywołała kiedyś u nich pożar.

– A ten bies?

– To też ich pupil. – Wzdrygnął się na samą myśl o Bajce zabijającej żołnierzy. Uratowała ich, ale w jej spojrzeniu było coś dzikiego, nieokiełzanego. Hubert miał wrażenie, że niewiele brakowało, a i na nich by się rzuciła. – Nie wiem, dlaczego przyszła tutaj za nami. Może wydaliśmy się jej po prostu interesujący. Ponoć nie do końca dogadywała się z Żarką, więc może postanowiła opuścić jej teren?

– Rozumiem owinnika, rozumiem też leszego, ale bies... – Iza zaczęła skubać palcami dolną wargę.

– Na razie w ogóle jej nie wyczuwam, więc albo została w tyle, albo po prostu odeszła. Zresztą myślę, że Bajka to problem nie na teraz.



– Zostaniemy tu – zdecydował Henryk, wspinając się po schodach. – Okolica czysta?

Hubert skinął głową, lustrując wzrokiem łąki porośnięte samosiejkami klonów.

Zupełnie przypadkiem natrafili na masywny, dwupiętrowy budynek w surowym stanie. Właściwie były to tylko szare mury oblepione porostami. Pewnie miał to być piękny dom bogatej rodziny, ale w dokończeniu go przeszkodził koniec świata. Nie miał okien ani drzwi, a ściany wewnątrz nosiły znamiona dawnych ognisk. Wilgotne, betonowe mury może nie były wymarzonym miejscem na nocleg, ale łatwo było się wśród nich ukryć, a w razie czego bronić przed ostrzałem.

– Wystawimy dwie warty – powiedział Henryk, kiedy wszyscy zebrali się na parterze. – Na pierwszym i drugim piętrze. Spać też będziemy w grupach na różnych poziomach. Niech każdy sprawdzi swoją broń i przeliczy amunicję. Musimy robić wszystko tak, jak gdybyśmy byli pewni, że nocny atak nastąpi. Nie mogą nas zaskoczyć.

Zuza rozdzieliła między wszystkich skromną kolację. Niestety ich zapasy żywności były na wyczerpaniu. Widzieli, że wystarczą zaledwie na jeszcze jeden posiłek. W normalnych okolicznościach Hubert by się tym nie przejmował i poszedł na polowanie albo chociaż na ryby, lecz teraz nie mieli na to

czasu ani możliwości. Dobrze, że chociaż Izie udało się podkraść ze stajni worek owsa dla koni.

Ponownie wspiął się na drugie piętro, gdzie zastał Ernesta. Przyjaciel nadal wyglądał kiepsko. Miał podkrążone oczy oraz wiele starych i nowych siniaków na twarzy. Stał lekko przygarbiony i ze zmarszczonymi brwiami przypatrywał się palcom prawej dłoni.

– W porządku? – zapytał Sierpień.

Przyjaciel zacisnął pięść i skrzywił się z bólu.

– Chyba mam zwichnięty nadgarstek – ocenił. – Kilka dni temu coś w nim chrupnęło.

– Co tam się tak naprawdę działo?

Ernest zapatrzył się na łąkę roztaczającą się przed nimi.

– Najpierw chcieli przekabacić nas na swoją stronę – odparł.

– Później doszli do wniosku, że skoro po dobroci się nie dało...

Zacisnął zdrową rękę na betonowym parapecie.

– Nie wiem, co powiedzieli im inni. Rozdzielili nas bardzo szybko i nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Ale oni... Oni wyciągnęli ze mnie więcej, niż chciałbym im zdradzić. Tak mi się wydaje. Chyba. Teraz to wszystko jest jak jakiś koszmar. Dzień zlewał się z nocą, nie wiem, co mi się śniło, a co było prawdą. – Przyjaciel posłał mu umęczone spojrzenie.

– I co mogłeś im niby powiedzieć? – odezwał się Hubert. – Ilu ludzi mieszka w Dąbrówce, a ilu w Kamiennej? Ile mamy karabinów? Tego i tak dość łatwo dowiedzieliby się, gdyby nas odwiedzili. A nie mamy żadnych tajnych danych na temat broni nuklearnej czy czegoś takiego.

– A jeśli... a jeśli powiedziałem im, gdzie jest nasz bunkier? Chciałem zachować to w tajemnicy, ale nie wiem... – Potrząsnął głową. – Już wszystko mi się miesza.

– Nawet wiedząc mniej więcej, gdzie jest ten bunkier, nie tak łatwo do niego trafić. Przecież nie wiecie tam żadna droga.

A poza tym w tej chwili są raczej bardziej zajęci ściganiem nas niż wyprawą na północ do schronu, o którym równie dobrze mogłeś im skłamać. Jak wrócimy do domu, możemy na wszelki wypadek przewieźć całą zawartość bunkra gdzieś indziej.

Ernest spojrzął na niego z wdzięcznością.

– A teraz chodź na dół, jak masz skręcony ten nadgarstek, to trzeba by go chyba jakoś usztywnić.

Hubert przepuścił przyjaciela przodem. *Co oni im zrobili?* – pomyślał. Ernest wyglądał jak człowiek na skraju załamania. Sierpień miał tylko nadzieję, że to minie i ta przeklęta Osiecz nie zostawi trwałych śladów na jego psychice. *Normalnie pozabijałbym wszystkich*, pomyślał któryś już raz.

Noc nie należała do najspokojniejszych. Co druga osoba miała koszmary i mamrotała przez sen. Hubert, siedząc na warcie na drugim piętrze i obserwując samotnie okolicę, doskonale wszystko słyszał. Ogarnęło go zmęczenie po nieprzespanej nocy i dniu szaleńczej ucieczki, więc zaczął krążyć od okna do okna, żeby tylko nie usnąć. Gdzieś na granicy zmysłów wyczuwał borutę samotnie przemierzającego las, ale demon na szczęście nie zainteresował się zapachem ludzi. Spomiędzy traw zabrzmiał cichy gwizd. Sierpień odpowiedział mu, ciesząc się, że Platon nadal za nimi podąża. Może niewiele pożytku było z leszego, ale jego towarzystwo przynajmniej dodawało otuchy.

W pewnej chwili zdawało mu się, że zobaczył ruch między młodymi klonami, na których pozostało już niewiele liści. Znieruchomiał przy oknie i zaczął wpatrywać się w ten jeden punkt, ale nic więcej nie dostrzegł. Lekki wiatr przepędził chmury, które odsłoniły okrągły księżyc. O ile się nie mylił, nadeszła pełnia myśliwych. Zwierzęta były dobrze odżywione po lecie, a dzięki temu, że drzewa zaczęły gubić liście, łatwiej

było je dostrzec. Tak mało czasu zostało do zimy. Zdążą wrócić do domu? Czy mróz zastanie ich gdzieś w drodze? A może pierwsze płatki śniegu spadną wprost na ich martwe ciała?

Teraz, siedząc samotnie po ciemku, Hubert miał wiele czasu na przemyślenia. W głowie co chwilę pojawiał mu się obraz upadających Pawła i Ernesta, widział suchą, wysoką trawę zabarwioną na czerwono, nieruchomą twarz przyjaciela z Kamiennej i wielką ranę w jego głowie. Był wściekły, że nie udało się go uratować, choć byli już tak blisko ogrodzenia. Jednocześnie cieszył się, że kula nie przeszła Ernesta, co wywoływało u niego dodatkowe wyrzuty sumienia.

Wciąż zastanawiał się, czy kierunek, który obrali, był tym właściwym. Czy mogli oczekiwać pomocy od Groty? Czy wpadną w kolejną zasadzkę, bo wszystko, co o Orłowskim mówili ludzie z Osieczki, okaże się prawdą?

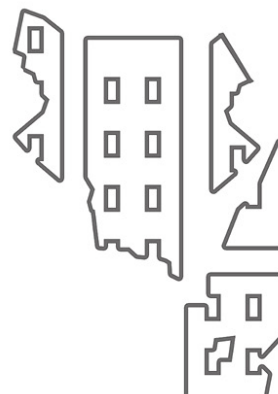
Może powinni z podwiniętym ogonem uciec na północ? Ale przecież brakowało im broni, żywności, a uwolnieni przyjaciele sprawiali wrażenie, jakby ledwo trzymali się na nogach. Potrzebowali opieki medycznej, porządnego wypoczynku i ciepłego jedzenia.

*Nie tak wyobrażałem sobie, że będziemy odbudowywać świat.*

Stale mieli pod górkę, jakby los i demony sprzysięgły się przeciwko nim. Czasem Hubert miał wrażenie, że ludzie znajdowali się na granicy wyginięcia i nic już tego nie powstrzyma. Za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat umrze ostatni człowiek. Wyzionie ducha w zupełnej samotności, nie wiedząc nawet, że nie ma już nikogo poza nim, a świat obejmą we władanie potwory.

*I taki właśnie będzie koniec ludzkości...*





## Rozdział XX

– Dość już tego czajenia się – zdenerwował się Hubert. – Przecież widać, że ta wiocha jest opuszczona. Po prostu nas okłamali.

Pozbierał się z ziemi i wziął karabin.

– Idę zobaczyć, co się tam znajduje – zdecydował.

– A jak to pułapka? – zapytała Iza, łapiąc go za dłoń.

– To mnie z niej wyciągniecie.

Dziewczyna spojrzała prosząco na Henryka, ale mężczyzna zachował milczenie.

– Nie po to jechaliśmy taki kawał drogi, żeby teraz zawrócić – powiedział Hubert. – Dajcie mi jakieś pół godziny.

W końcu były wojskowy skinął głową.

Poprzedniego dnia dotarli do niewielkiej wsi, która miała być Grotą. Tak przynajmniej wskazywały na to długość i szerokość geograficzna wskazane przez Owczara. Jednak w jej pobliżu nie dostrzegli żadnych śladów bytności ludzkiej, co wzbudziło niepokój wysłanników. Przez cały wieczór, noc i rano obserwowali z daleka miejscowość, która okazała się

opuszczona. Kilka razy nawet sprawdzali na mapach, czy się nie pomylili w wyliczeniach, jednak wszystkie wskazówki od ludzi z Groty wiodły właśnie tutaj.

Hubert przyczał się w najbardziej skrajnie położonym ogrodzie, lecz nie dostrzegł w okolicy żadnego ruchu, więc powoli i ostrożnie ruszył w głąb wsi. Ze szczelin w popękany asfalcie wystawały więdnące już chwasty, wybujała, pożółkła trawa rosła przy poboczach. Zawiał lekki wiatr, porywając ze sobą brązowe liście pobliskiej brzozy. Sierpień rozglądał się za wydeptanymi ścieżkami w zaroślach, za roślinami przyciśniętymi do ziemi ludzką stopą, za śladem buta odcisniętym na żółtym piasku wymytym z niskiej skarpy czy chociażby odchodami końskimi. Nieważne jednak, jak bardzo wyteżał wzrok, wyglądało na to, że od dawna nie zawitał tu żaden człowiek.

Przysiadł na wielkim głazie ustawionym przy skrzyżowaniu dróg i jeszcze raz dokładnie zlustrował otoczenie. Co teraz powinni zrobić? Nie będą przecież jeździć od wsi do wsi, szukając Groty, która może być oddalona o wiele kilometrów. Nie mieli na to ani siły, ani wystarczająco dużo zapasów. Ostatnie trzy dni wciąż pędzili przed siebie, co chwilę oglądając się przez ramię w obawie przed pościgiem. Byli głodni i zmęczeni zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Nie wytrzymają takiego tempa dłużej. Przyjaciele uwolnieni z Osieczy starali się tego po sobie nie pokazywać, ale byli w złym stanie i potrzebowali odpoczynku, na który tak naprawdę nie mogli sobie pozwolić.

Dlaczego Owczar ich okłamał? Przecież przez cały wiec powtarzał, że chce zawiązać sojusz, zaprosił ich do swojej osady... Może ludzie z Groty rzeczywiście byli takimi wariatami, jak o nich mówiono? Może naprawdę mieli jakiś

paskudny plan na podbicie wszystkich samodzielnych osad w kraju? Czy Orłowski mógł być aż takim maniakiem władzy?

Hubertowi przypomniały się wszystkie te koszmary, które dręczyły go przed wyruszeniem w tę podróż. Płonące wioski, ginący ludzie, walące się domy i wylaniający się z ognia męczyzna ze skrzydłami utworzonymi z płomieni.

*Nie jestem żadnym pieprzonym wieszczem!* – Sierpień potrząsnął głową. *Ale jeden koniec świata już wyśniłeś* – odpowiedział sam sobie.

Westchnął ciężko, patrząc na słońce. Za kilka minut będzie musiał wrócić do towarzyszy i powiedzieć im, że wieś jest opuszczona. A później przyjdzie czas na decyzję, co robić dalej. Tyle że nie miał żadnego pomysłu. Po ucieczce z Osieczy ściągnął tutaj przyjaciół, wiele ryzykując, i choć przemyślał wiele możliwych scenariuszy, nie spodziewał się, że po prostu nie zastaną tu nic.

Wrócił myślami do wiecu i pojawienia się na nim ludzi z Groty. Oprócz tego, że dość bezczelnie zakłócili spotkanie, ich zachowanie było całkiem rozsądne – najpierw wysłali do Dąbrówki szpiega, którym okazała się Maja, więc wiedzieli niemal o wszystkim, co działo się w zjednoczonych osadach; ukryli się w lesie, a do Piaseczna wysłali tylko garstkę ludzi; byli dobrze uzbrojeni i przygotowani do negocjacji. Jedyne, czego nie przewidzieli, to wielka niechęć Huberta do nawiązywania sojuszu z jednostką z gór, o której słyszał przecież już tyle złego.

Przez cały czas starali się być przyjacielscy, ale nie głupi. Nie ufali w pełni osadom z północy.

*Jakbym komuś nie do końca ufał, to też nie podałbym im swojego dokładnego adresu* – myślał Hubert, powoli odbezpieczając karabin. *– Podałbym im sąsiednią wieś, a w tej wystawił czujki...*

Gdy tylko o tym pomyślał, zorientował się, że jest obserwowany. Nic wokół nie zdradzało obecności ludzkiej, ale Hubert dałby głowę, że włoski na karku zjeżyły mu się, jakby ktoś wpatrywał się w jego plecy. Zagwizdał krótko. Nic. Zagwizdał ponownie. Cisza. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Platon był w pobliżu, i wiedział też, że ten tchórz milkł, kiedy tylko coś go niepokoiło. A obecność obcego na pewno wzbudziłaby jego obawy.

Leszy odpowiedział dopiero na trzecie wezwanie. Jego gwizd był jednak cichy i przepełniony strachem.

Sierpień, udając nonszalancję, zeskoczył z głazu i ruszył drogą. Chciał jak najszybciej opuścić wieś, ale wybrał inną drogę niż ta, którą tu przyszedł, żeby nie zdradzać potencjalnemu wrogowi, gdzie ukrywają się jego towarzysze.

Kątem oka obserwował ciemne okna w domach. Nie zobaczył w nich nic, ale czuł, że właśnie gdzieś tam ukrywają się ludzie z Groty. Jego nogi same wrywały się do biegu, ale nie zamierzał w ten sposób wywołać podejrzeń. Strużka zimnego potu spłynęła mu po plecach, dłonie mocniej zacisnęły się na karabinie. Miał wrażenie, że jest odsłonięty i bezbronny. Wystarczyłby zaledwie jeden celny strzał snajpera ukrytego w którymś z budynków.

*Chyba jednak mam paranoję* – pomyślał, mijając ostatni budynek. Tuż przed nim rozciągała się łąka pełna samosiejek, która zaledwie osiem lat wcześniej była polem uprawnym.

Ledwie słyszalny szelest, szcęk broni, piasek, który zachrząścił pod butem. Hubert gwałtownie odwrócił się i wycelował.

– Nie ruszaj się – usłyszał lodowaty głos, patrząc prosto w lufę karabinu.

Kątem oka dostrzegł kolejnego przeciwnika wychodzącego z zarośniętego ogródka. Pokona ich obu? Wątpliwe. Wyglądali

na takich, którzy nie zawahają się strzelić, widząc jakikolwiek podejrzany ruch.

– Powoli połóż broń na ziemi – rozkazał mężczyzna.

Podobnie jak jego towarzysz miał na sobie maskujące ubrania, a twarz i dłonie wymazane popiołem. Sprawiali wrażenie zawodowców, nic więc dziwnego, że Hubert nie zauważył ich wcześniej.

Sierpień niechętnie wykonał polecenie. Nawet jeśli zastrzeliby jednego z nich, drugi załatwiłby go sekundę później.

– Nóż też – dodał żołnierz.

Zupełnie go rozbroili, po czym dokładnie przeszukali i związali ręce za plecami.

– Idziemy. – Hubert został lekko popchnięty w kierunku, w którym wcześniej zmierzał.

Mężczyźni nie pytali go o imię, skąd jest ani czy ktoś mu towarzyszył. Zupełnie jakby ich to nie interesowało albo... wszystko już o nim wiedzieli.

*Niemożliwe* – przekonywał sam siebie.

Zastanawiał się, kiedy Iza i Henryk zorientują się, że został schwytany. Miał nadzieję, że w nagłym impulsie nie zrobią nic nierozsądnego. Dobrze by było, gdyby Platon dał znać Zuzie, co się stało... A może uda mu się samemu uciec?

Przed nimi ciągnęła się asfaltowa droga i wyglądało na to, że dokądkolwiek zmierzali, mieli jeszcze spory kawałek do przejścia. Gdyby tylko żołnierze choć na kilka chwil stracili czujność. A jeśli zacząłby nagle uciekać w las? Strzelaliby do niego? Z jakichś względów jeszcze go nie zabili, a więc chcieli, żeby pozostał żywy. Tylko na jak długo?

– Jesteście z Groty, prawda? – odezwał się, obserwując twarz żołnierza po prawej. Nie drgnął na niej żaden, nawet

najmniejszy mięsień. – Ja jestem wysłannikiem z północy i nie wydaje mi się, że tak właśnie powinno traktować się gości.

Mężczyźni zachowali milczenie. Hubert spróbował zagadać ich jeszcze kilka razy, ale nie zamierzali mu odpowiedzieć.

Nie potrafił wywnioskować, co nimi kierowało, czego od niego chcieli i czy bardzo zależało im na tym, żeby doprowadzić go do Groty żywego.

Choć przeszli kawał drogi, Hubertowi wcale się ona nie dłużyła. Wciąż intensywnie myślał nad tym, jak mógłby uciec. Po około pięciu kilometrach żołnierze zatrzymali się na krótką przerwę. Nie rozwiązali mu rąk, ale dali trochę wody z bukłaka.

– Muszę w krzaki – oświadczył Hubert.

Liczył, że wtedy zdejmą sznur z jego nadgarstków albo chociaż skrepują je z przodu.

– Nie – odpowiedział krótko jeden z żołnierzy.

– Ale ja naprawdę muszę – naciskał Sierpień, czując się jak małe dziecko przed nauczycielem.

– Wytrzymasz.

Sapnął ze złością i dał się poprowadzić dalej.

*Wyciągnęliśmy naszych z Osieczy, to oni wyciągną mnie z Groty* – pocieszał się.

– Czekaj – odezwał się w pewnej chwili żołnierz, następnie przykucnął, żeby zawiązać but.

Drugi zatrzymał Huberta i spojrzał na kolegę. To był ten moment.

Sierpień, nie czekając na nic, wystartował w stronę lasu. Przeskoczył nad rowem i wbiegł między drzewa. Wolność znajdowała się tuż przed nim. Nagle coś huknęło, poczuł uderzenie w plecy i zarył głową w ziemię.

Zabolało jak diabli. Jęknął cicho, przewracając się na bok. Żołnierz, który go powalił, chwycił go za ramiona i postawił na

nogi.

– Następnym razem będziemy strzelać – przestrzegł.

Wrócili na drogę i ruszyli dalej. Hubert zaczął się martwić, w jaki sposób przyjaciele odkryją, w którym kierunku go zabrali, ale liczył, że skoro Klakier zaprowadził Zuzę do stajni, to i jego trop odnajdzie.

*I gdzie jest Bajka? Naprawdę by się teraz przydała...*

W pewnej chwili jeden z żołnierzy uniósł dłoń w stronę krzaków. Hubert wlepił w nie spojrzenie i dopiero po kilku sekundach dostrzegł ukrytego w nich wartownika, który im odmachnął. Cała ta sytuacja podobała mu się coraz mniej. Zdawało się, jakby miał do czynienia z ludźmi z najbardziej specjalistycznej jednostki, jaka istniała przed wojną. I jakby po końcu świata nie robili nic innego, tylko dostosowywali się do nowych warunków i teraz nie było nikogo, kto mógłby się z nimi równać.

Jeżeli Grota wypowiedziałaaby wojnę północy... Nawet nie chciał myśleć o tym, co by się wtedy stało. Przecież zjednoczone osady to tak naprawdę banda rolników, którzy całkiem niedawno nauczyli się posługiwać bronią.

Wreszcie dotarli do wysokiej, metalowej bramy. Gdy ta stanęła otworem, Hubert się zawahał. Właśnie stał na progu być może swojego największego i najgroźniejszego wroga.

Poczuł lekkie pchnięcie w łopatkę, po czym zrobił kilka kroków i usłyszał za plecami nieprzyjemny zgrzyt zamykanej bramy. Na spotkanie wyszło im dwóch innych mężczyzn i jedna kobieta.

– Odprowadzimy go – powiedziała.

Dotychczasowi „towarzysze” Huberta skinęli głowami i się oddalili.

Sierpień, nie licząc na to, że uda mu się skłonić nowych żołnierzy do rozmów, zaczął się rozglądać po osadzie, żeby

zapamiętać jak najwięcej szczegółów, na wypadek gdyby udało mu się zbiec. Widział stare, ale zadbane domy, ogrody warzywne, sady owocowe, nawet pasące się zwierzęta.

– Twój znajomi czekają w sztabie głównym – odezwała się kobieta.

Huberta najpierw zaskoczyło to, że się w ogóle odezwała; dopiero po sekundzie dotarło do niego to, co właściwie powiedziała.

– Jak to...?

– Mieliśmy z nimi trochę problemów. Ten z długimi włosami strasznie się rzucał. Dobrze, że przynajmniej ten wielki przygłup zachował spokój...

*Czyli mają Mateusza i Gniewka.*

– Niewiele brakowało, a musielibyśmy zastrzelić rudego, kiedy usiłował bronić swojej siostry... czy kim ona dla niego jest.

Hubert poczuł się tak, jakby jego żołądek chciał się wywrócić na lewą stronę. Dobrze, że chociaż Iza i Henryk...

– Starego i dziewczynę też przechwyciliśmy.

A więc to koniec. Schwyтали ich wszystkich i diabli wiedzą, co zamierzali z nimi zrobić. Akurat teraz Sierpień przypomniał sobie, że on sam wcale nie był zbyt miły dla ludzi z Groty, którzy przyjechali do Piaseczna. Jednego z nich przecież nawet pobił.

Zaprowadzili go do wielkiego starego gospodarstwa otoczonego kamiennym murem. Było tu kilka budynków gospodarczych, stajnia, stodoła i jeszcze wiele innych budowli, których przeznaczenia nie mógł nawet się domyślić. W samym zaś centrum, na niewielkim wzniesieniu, stał olbrzymi dom, przypominający miniaturę pałacyku w Kamiennej.

– Do sztabu? – zapytał jeden z żołnierzy.

– Nie. – Kobieta pokręciła głową. – Z nim Orłowski chce pomówić osobiście.

Weszli do domu i ruszyli chłodnym, ciemnym korytarzem, na którego końcu znajdowały się stare, drewniane drzwi z witrażami przedstawiającymi motywy roślinne. Kobieta pchnęła je i wprowadziła Huberta do dużego pomieszczenia.

– Siadaj. – Wskazała mu krzesło przy masywnym biurku. – Nie uciekaj ani nie rób niczego głupiego. Pamiętaj, że mamy twoich przyjaciół.

Po czym wszyscy wyszli, zostawiając Huberta zupełnie samego. Nawet nie usłyszał, żeby zamknęli drzwi na klucz.

– O co tu, do diabła, chodzi? – mruknął, rozglądając się po pokoju.

W kącie znajdował się duży kominek, obok którego leżał schludnie ułożony stosik drewna. Kawałek dalej stały stare, przeszklone szafy. Po chwili wahania Sierpień podszedł do nich i zajrzał do środka; znajdowały się tam stare, podniszczone książki w różnych językach. Wzruszył ramionami i skierował się ku kolejnej ścianie, na której wisiały pożółkłe mapy. Dokładnie takie same, z jakich on korzystał.

– Co to...? – zaczął, ale nie był w stanie dokończyć pytania.

Poniemieckie mapy przedstawiały jego tereny. Szybko odszukał tam Dąbrówkę, Piaseczno, Kamienną i inne znane mu osady. Pod każdą z nich znajdowały się natomiast odręcznie napisane notatki. Liczba mieszkańców, uzbrojenie ludzi i wszystkie inne kwestie przydatne dla taktyka planującego wojnę.

– Chryste – jęknął Hubert.

Grota wiedziała o nich wszystko! Nie miał nawet pojęcia, kiedy zebrali te informacje ani w jaki sposób! Na północy żyli sobie spokojnie, przekonani, że kolejny atak demonów czy

nieudane zbiory to najgorsze, co może ich spotkać, zupełnie nieświadomi, że ktoś wciąż ich obserwował!

A może ktoś z jego bliskich znajomych był szpiegiem, podobnie jak Maja? Ktoś, kto niespodziewanie pojawił się w którejś z osad i od kilku lat donosił Grocie o wszystkim? W pamięci zaczął szybko przeglądać twarze ludzi, których znał i im ufał.

– Nie. – Potrząsnął głową. Nie mógł przecież popadać w taką paranoję.

Znał tych ludzi od dawna, dla większości z nich rzuciłby się prosto w paszczę demona.

Spojrzał na notatki zawieszane pod mapą, na której znajdowała się Dąbrówka.

*Mieszkańcy: 22*

*Średni wiek: ok. 37 lat*

*Brak ogrodzenia*

*Dowódca: brak – rada starszych*

*Uzbrojenie: liczna broń palna, granaty? MG42?*

*Profesje: pielęgniarka, kowal, dentysta*

Hubertowi zrobiło się na zmianę zimno i gorąco. W liczbie mieszkańców pomylili się tylko o trzy osoby, ale reszta się zgadzała. Wiedzieli nawet o tym, że przez jakiś czas mieszkał u nich dentysta z Piaseczna, zanim został zabity zeszłej zimy przez biesa!

Najgorsze jednak były dwa słowa dopisane pod tą listą. Jakby trochę innym charakterem pisma i wzięte w kółko:

*Hubert Sierpień*

Wysłannik z powrotem opadł na krzesło. Po co były im tak dokładne informacje? Czego chcieli od samego Huberta? Przecież był nikim! Nie był dowódcą ani bardzo ważną osobą!

No dobrze, może wyczuwał demony, ale Zuza była w tym znacznie lepsza.

– Jak nic sprowadzili nas tu, żeby wyciągnąć z nas to, czego jeszcze nie wiedzą, a później nas pozabijają – westchnął.

Poczuł się już zmęczony tym wszystkim. Śmierć Pawła przyćmiła sukces uratowania przyjaciół, a teraz wpadli w jeszcze większe bagno i nie miał pojęcia, jak mogliby się z niego wydostać. Wiedział, że tym razem nikt już nie przyjdzie im na pomoc, żaden demon nie pojawi się w ostatniej chwili, żeby uratować ich z opresji. Najgorsze, że nikt w domu nie dowie się, co się z nimi stało, do czasu, aż Grota zaatakuje Święcino, Dąbrówkę i inne osady.

Jego marzeniem było odbudowanie świata, lecz teraz nie był już pewien, czy chciał żyć w takim świecie, w którym to ludzi należy obawiać się bardziej niż demonów.

Zwiesił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Miał nadzieję, że zdąży jeszcze zobaczyć przyjaciół, po raz ostatni weźmie Izę w ramiona i powie jej wszystko to, czego jeszcze nie zdążył jej wyznać.

Usłyszał skrzypnięcie zawiasów i spojrzał w stronę drzwi. Pojawił się w nich jeden z żołnierzy, którzy byli w Piasecznie. Potężny, z gęstą czarną brodą jak u pirata. Jeśli Hubert dobrze pamiętał, miał jakąś taką śmieszna, niepasującą ksywkę... Misiek chyba.

– Jak się trzymasz? – zagadnął i były to ostatnie słowa, jakich Sierpień się spodziewał. – Cieszymy się, że wreszcie postanowiliście nas odwiedzić – kontynuował niezrażony, po czym minął biurko i usiadł po drugiej stronie.

Nagle wszystkie trybiki w głowie Huberta zaczęły obracać się coraz szybciej. Przypomniawszy sobie, jak w Piasecznie Owczar co jakiś czas zerkał na Miśka, jakby szukając u niego aprobaty.

Jak Misiek uważnie wszystko obserwował, choć niewiele mówił.

– Ty jesteś Orłowski, prawda? – odezwał się.

Mężczyzna skinął głową, po czym wstał i wyciągnął w jego stronę dłoń.

– Leon Orłowski – przedstawił się.

– Dlaczego w Piasecznie podawałeś się za kogoś innego?

– Żeby was lepiej poznać – odparł lekko. – Wiem, że różne historie krążą wokół mojego nazwiska, a nie chciałem, żebyście na dzień dobry nabrali uprzedzeń. Choć ty od samego początku nie pałałeś do Groty ciepłymi uczuciami.

Orłowski uniósł krzaczaste brwi i spojrzał pytająco na Huberta.

– Bo miałem już nieciekawe doświadczenia z twoimi ludźmi.

– Wzruszył ramionami.

– Cóż, Szłaga to nie jedyna skaza na naszej historii.

– Czego ty w ogóle od nas chcesz? – Sierpień czuł w sercu dziwną mieszankę obojętności, zmęczenia i złości. – Najpierw wbijas do Piaseczna i chcesz się z nami zaprzyjaźnić, potem twoi ludzie pod bronią przyprowadzają mnie tutaj, a teraz gadamy sobie, jakbyśmy spotkali się na piwo! Po co to wszystko? Dlaczego pozwoliłeś zobaczyć mi te mapy?! – Wskazał oskarżająco obklejoną ścianę. – To jakaś prezentacja siły?! Chcesz mnie zastraszyć?

– Z pewnych przyczyn od dawna już zbieram informacje o północy – powiedział Leon. – Chciałem, żebyś zobaczył moje dzieło, ale nie po to, żeby cię zastraszyć. Chcę, żebyś wiedział, że jesteś bezpieczny w Grocie. Tak samo jak twoi przyjaciele. Musieliśmy przyprowadzić was tu pod bronią, bo... – Rozłożył ręce. – Sam wiesz, że jesteś trochę nieobliczalny. Przyjechaliście do nas, ale do końca nie wiedzieliśmy, jak się zachowacie ani czego się spodziewać.

Hubert już nic z tego nie rozumiał.

– Dlaczego? – westchnął, choć tak naprawdę sam nie wiedział, czego miało dotyczyć to pytanie.

– Obiecuję, że rozwieję wszystkie twoje wątpliwości – powiedział Orłowski. Splótł palce swoich wielkich dłoni i oparł umięśnione przedramiona o blat biurka. – Ale najpierw chciałbym, żebyś to ty powiedział mi o kilku rzeczach.

– Przecież wiesz już wszystko. – Hubert machnął ręką w stronę map.

– Powiedz mi, czy udało ci się zmienić bieg wydarzeń?

– Co? – Sierpień był zupełnie zbity z tropu.

– Czy zmieniłeś to, co wydarzyło się w twojej wizji?

Ciemne, inteligentne oczy wpatrzyły się w Huberta, jakby potrafiły prześwidrować go na wylot.

– Ja... – zaczął, ale nie miał pojęcia, co powiedzieć dalej.

– Jesteś zadowolony z tego, jak rzeczy się potoczyły? Czy wszystko jeszcze bardziej się pomieszało?

– Uratowałem Izę i Henryka – odparł, czując się, jakby śnił na jawie. – I jeszcze kilka osób. Ktoś inny za to zginął. – W pamięci pojawił mu się obraz Mikołaja ze Świącina, rozszarpanego przez strzygę. – Zamieniłem śmierć na śmierć.

– Ale bilans żywych jest na plusie?

– Można i tak to ująć.

Orłowski odchylił się w krześle, najwyraźniej całkiem zadowolony.

– Dlaczego tak cię to interesuje?

– Bo ja również chciałbym zmienić przyszłość.

Huberta zatkało. Czy to znaczyło...?

– Ty też miałeś wizję – powiedział cicho.

Mężczyzna skinął głową.

– Czego dotyczyła? Jak długo trwała? Kiedy ją miałeś? – Sierpień nie mógł powstrzymać lawiny pytań przychodzących

mu do głowy.

– Była inna niż twoja. Wybiegała dużo dalej w przyszłość. Byłem w niej już stary. Tak stary, że ledwie chodziłem o lasce. A mimo wszystko ludzie mnie szanowali i uwielbiali. Wiesz dlaczego? Bo zjednoczyłem prawie całe południe.

*Czyli jednak ma zapędy maniaka* – przemknęło przez myśl Hubertowi.

– Na razie nie widzę tu nic do zmieniania – powiedział.

– Problem w tym, że prowadziłem wojnę z północą. To znaczy w mojej wizji robili to już moi synowie, którzy przejęli po mnie dowodzenie.

W żołądku Huberta pojawiła się wielka bryła lodu.

– To była długa i wyniszczająca wojna. – Leon pokręcił głową.

– Nikomu nie przyniosła nic dobrego. Moi chłopcy zginęli...

– I chciałbyś ich uratować? – zapytał z rezygnacją Sierpień. Jeżeli teraz Orłowski zabije wszystkich ze zjednoczonych osad, jego synowie przeżyją...

– Nie. Chcę powstrzymać tę wojnę.

– Dlatego przyjechałeś na nasz wiec? I dlatego tak usilnie chcieliście zawiązać z nami sojusz? Obiecywaliście handlować z nami, oferując sól i węgiel, choć wiedzieliście, że my nie mamy nic aż tak wartościowego do zaoferowania.

– Pokój. Macie do zaoferowania pokój. Ale fakt, może za bardzo się starałem – przyznał. – Dlatego to wszystko wydawało się wam podejrzane.

– Nadal wydaje się podejrzane.

Orłowski się uśmiechnął.

– Przez wiele lat zastanawiałem się, jak to będzie ciębie spotkać. Jednego z założycieli Zjednoczonej Północy.

– I co, jesteś rozczarowany?

Mężczyzna pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać.

– Ani trochę.

W pokoju zapanowało milczenie. Hubert tak bardzo starał się nie ufać Orłowskiemu. A jednocześnie to, co właśnie usłyszał, było tak zagmatwane, że nie potrafił w to nie uwierzyć.

– Popełniłem w życiu wiele błędów – powiedział Leon. – Jednym z nich było pozwolenie na to, żeby mój brat zginął zabity przez demony na długo przed ostatnią wojną. Nie wierzyłem mu, kiedy twierdził, że bestie z najgorszych koszmarów istnieją. A wszystko zaczęło się właśnie tam, w małym, nic nieznaczącym Wiatrołomie... – Potrząsnął głową.  
– Teraz zaś, jako hołd dla niego, zamierzam powstrzymać długą i wykańczającą wojnę między nami. Wiem, że w tej chwili samo słowo „wojna” brzmi dość górnolotnie w odniesieniu do Groty i Północy. Ale uwierz mi, że za jakieś trzydzieści lat nasz świat będzie wyglądał zupełnie inaczej.

W głowie Huberta zaczęły się pojawiać dziesiątki pytań.

– Co teraz? – zdecydował się na to najprostsze.

– Teraz pewnie chciałbyś porozmawiać ze swoimi ludźmi. Wszyscy wyglądacie, jakbyście potrzebowali porządnej kolacji, kąpieli i wypoczynku. A niektórym, jak na przykład Ernestowi, nie zaszkodzi wizyta u lekarza.

– A później?

– Później powstrzymamy wojnę i stworzymy mapę przyszłości. – Orłowski zerknął na swoją ścianę.

– Mapę przyszłości? – powtórzył głucho Hubert.

– Odnajdziemy innych, którzy mieli wizje, a może nawet dowiemy się, kto lub co je na nas zesłało.

Sierpień zaniemówił. Zamrugnął powiekami, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Co, myślałeś, że tylko ty jesteś taki wyjątkowy, że widziałeś przyszłość?

– Szczerze mówiąc, to tak – sapnął.

Orłowski wstał zza biurka, podszedł do drzwi i je otworzył. Promienie jesiennego słońca przepłynęły przez witraż i pokolorowały ścianę.

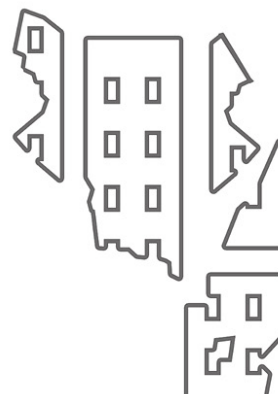
– Chodź do twoich przyjaciół. Odpoczniecie, a później zaplanujemy, jak możemy uratować nasz świat.

Hubert ruszył ku wyjściu, czując się, jakby śnił. Wszystko, co do tej pory wiedział, albo chociaż zdawało mu się, że wiedział, obróciło się wniwecz. Okazało się, że świat był znacznie większy i jeszcze dziwniejszy, niż kiedykolwiek przypuszczał. Przekroczył próg i poczuł na ramieniu rękę Orłowskiego – swojego najmniej spodziewanego sojusznika. A może jednak największego wroga? To się pewnie jeszcze okaże.

Skoro demony żyły wśród ludzi, mógł uwierzyć, że istniały jeszcze przed ostatnią wojną. Skoro widział przyszłość, dlaczego nie miałyby być więcej takich osób jak on?

*Nie będziemy odbudowywać starego świata – pomyślał. Teraz to już nie jest możliwe. Ale stworzymy nowy. Może nawet taki, w którym ludzie nie prowadzą wojen i potrafią żyć w zgodzie z demonami.*





# Spis treści

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

[Rozdział XVIII](#)

[Rozdział XIX](#)

[Rozdział XX](#)